



Kroniki abisyńskie

Moses ISEGAWA

Kroniki abisyńskie

Z niderlandzkiego przełożyła *Alicja DehueOczko*

ŚWIAT KSIĄŻKI

Grupa Wydawnicza Bertelsmann

Najważniejsze osoby

MUGEZI

SERENITY

KŁÓDKA

DZIADEK

BABCIA

TIIDA

DOKTOR SSALI NAKATU HADŹI ALI KAWAYIDA

LWANDEKA

KASAWO

MBALE

KASIKO narrator ojciec Mugeziego (zwany również „Sere” lub „Mpanama”) matka Mugeziego (właściwe imię Nakkazi; zwana też „Dziewicą” lub „siostrą Piotr”) dawny wójt; ojciec Serenity siostra Dziadka, ciotka Serenity siostra Serenity (zwana też „Miss Sunlight Mydło”) mąż Tiidy siostra Serenity drugi mąż Nakatu przyrodni brat Serenity (z Dziadka i jakiejś kochanki) siostra Kłódki siostra Kłódki brat Kłódki kochanka Serenity przed jego ślubem z Kłódką

NAKIBUKA ciotka Kłódki; kochanka
Serenity

HADŹI sąsiad Serenity i Kłódki

GIMBI w Kampali

LUSANANI najmłodsza żona
Hadziego Gimbi; ukochana
Mugeziego

AMANT klient Kłódki (właściwe
imię Mbaziira; zwany też
„Boy”)

ŁODYGA kolega Mugeziego z
klasy w szkole podstawowej w
Ndere

LWENDO kolega Mugeziego ze

	studiów w seminarium	
OJCIEC	bibliotekarz	w
KAANDERS	seminarium	
OJCIEC	skarbnik seminarium	
MINDI		
OJCIEC	następca ojca Mindi	
LAGEAU		
DOROBO	stróż seminarium	
JO	ukochana Mugeziego w	
NAKIBIRI	Kampali	
KEEMA	gospodyni Mugeziego w	
	Bijlmermeer	
EVA	dziewczyna Mugeziego	
	w Bijlmermeer	
MÄGDELEI	dziewczyna Mugeziego	
N	w Amsterdamzie	

Księga pierwsza

...1971:

LATA NA WSI

Gdy Serenity zniknął w szczękach ogromnego krokodyla, przez jego głowę przebiegły trzy ostatnie obrazy: rozkładający się bawół pełen dziur, z których wypełzały nitki larw i wylatywały roje much; jego długoletnia kochanka, ciotka jego zaginionej żony - oraz tajemnicza kobieta, która, gdy był dzieckiem, uleczyła go z opętania przez duże kobiety.

Tych parę osób, które w młodości znały mojego ojca i żyły jeszcze, gdy byłem mały, przypominało sobie, że do siódmego roku życia podbiegał niemal do każdej przechodzącej dużej kobiety i miękkiem, drżącym od wyczekiwania głosem mówił: „Witaj w domu, mamusiu. Tak długo cię nie było, że bałem się, że już nigdy nie wrócisz”. Zaskoczona kobieta uśmiechała się wtedy, głaskała go po główce i patrzyła, jak zaciska rączki, a potem wyjaśniała mu, że znowu się pomylił. Kobiety z zagrody jego ojca próbowały go tego oduczyć; straszyły go - co potwierdzają niektórzy mieszkańcy wsi - mówiąc, że kiedyś podbiegnie do przebranego za dużą kobietę ducha, który zabierze go ze sobą i wsadzi do głębokiej dziury

pod ziemią. Równie dobrze mogły próbować doić wodę z kamienia, bo ojciec mój, jak zwykle, z upartym wyrazem twarzy nadal pędził w kierunku dużych kobiet i raz za razem doznawał rozczarowania.

Aż w południe pewnego gorącego dnia 1940 roku podbiegł do kobiety, która się nie uśmiechnęła i nie pogłaskała go po główce. Nie rzuciwszy mu nawet jednego spojrzenia, złapała go za ramiona i odepchnęła od siebie. Ta tajemnicza uzdrowicielka, która uwolniła go od jego obsesji, zdobyła tym sobie raz na zawsze miejsce w jego życiu. Nigdy więcej nie podbiegał już do dużych kobiet i nie chciał o tym rozmawiać, nawet wtedy, gdy Babcia, jedyna jego ciotka ze strony ojca, obiecywała mu słodycze. Zamknął się w grubym kokonie i odrzucał wszelkie próby pocieszenia. Na jego twarzy pojawiła się życzliwa, samotnicza obojętność, tak zdecydowana, że nadano mu imię Sere - nity, choć mieszkańcy wsi nazywali go „Sere”, co jak na ironię oznacza również roślinkę z czarnymi kolcami, występującą w zapuszczonych ogrodach lub zaroślach i czepiającą się ubrań oraz zwierzęcych boków.

Matka Sere, kobieta, która w jego myślach przyjęła postać wszystkich tych obcych kobiet, pozostawiła go swemu losowi, gdy miał trzy lata; mówiło się, że poszła do odległych sklepów na drugim końcu Mpande Hill, gdzie robiono większe zakupy, i nigdy nie wróciła. Zostawiła też dwie dziewczynki, obie starsze od Sere, które z wielką pokorą pogodziły się z jej nieobecnością i nie mogły znieść opętańczego zainteresowania brata dużymi kobietami.

W idealnej sytuacji Sere powinien był się urodzić jako pierwszy, bo wszyscy mieli nadzieję, że Dziadek będzie mieć wnuka, przyszłego przywódcę okręgu. Ale na świat przychodziły tylko dziewczynki, z czego dwie umarły zaraz po urodzeniu, w okolicznościach, które trąciły matczyną rozpaczą. Kiedy urodził się Sere, jego matka postanowiła odejść, ponieważ wszyscy oczekiwali od niej, że wyda na świat jeszcze jednego syna - jako rezerwę, bo jeden syn jest jak świeca wobec nagłego powiewu wiatru. Napięcie niesłychanie wzrosło, gdy ogłoszono, że znowu jest w ciąży. Wiele na ten temat spekulowano: będzie dziewczynka czy chłopiec, będzie mieć szansę na przeżycie czy nie, czy jest to dziecko Dziadka czy mężczyzny, w którym była zakochana po uszy? Zanim można się było czegokolwiek dowiedzieć, odeszła. Ale nie miała szczęścia: trzy miesiące później, w nowym życiu, pękła jej macica i wykrwawiła się w drodze do szpitala, na tylnym siedzeniu rozklekotanego morrisa minor.

Tymczasem Serenity coraz bardziej zamykał się w swoim kokonie, unikał ciotek, kuzynów i kuzynek oraz zastępczych matek, o których myślał, że go nienawidziły, ponieważ był spadkobiercą majątku ojca, na który składało się kilka hektarów płodnej ziemi przodków. Jego wyobcowania nie zmniejszyły narodziny Kawayidy, przyrodniego brata, zrodzonego z

muzułmanki, kochanki ojca. Zgodnie z prawem Kawayida stanowił niewielkie zagrożenie dla Sere i w ten sposób wszystko pozostało po staremu. Aby uciec duchom bląkającym się po jego głowie i wśród skażonej atmosfery nad zagrodą ojca, Sere wałęsał się po okolicznych wsiach. Wiele czasu spędzał w domu Skrzypka, mężczyzny o dużych stopach i serdecznym śmiechu, wokół którego roztaczał się ostry zapach cebuli. Człowiek ten przychodził zawsze zaśpiewać Dziadkowi serenadę podczas weekendów, spędzanych przez niego w domu.

Serenity nie mógł zrozumieć, dlaczego Skrzypek chodzi z szeroko rozstawionymi nogami. Bardzo niegrzecznie byłoby pytać go o to wprost, a Serenity obawiał się, że gdyby zapytał o to jego dzieci, powtórzyłyby to swemu ojcu, a on z kolei wygadałby się przed jego ojcem, który ukarałby Serenity. Dlatego pytanie zadał ciotce:

- Dlaczego Skrzypek ma piersi między nogami?
- Kto mówi, że Skrzypek ma piersi między nogami?
- Nigdy nie zauważyliście, jak on chodzi?
- A jak chodzi?
- Z szeroko rozstawionymi nogami, jakby miał pod tuniką dwa owoce

chlebowca.

Po czym Serenity zademonstrował, grubo przesadzając, sposób chodzenia Skrzypka.

— Dziwne, ale nigdy nie rzuciło mi się to w oczy. - Babcia udawała głupią, jak zwykli to robić dorośli, kiedy znaleźli się w trudnej sytuacji.

— Jak mogło nie rzucić się to wam w oczy? Ciotko, on ma duże piersi między nogami.

— Skrzypek nie ma piersi między nogami, tylko jest chory. Ma *mpanama*.

Siostry Serenity dowiedziały się w jakiś sposób o tym i nie mogły się powstrzymać, by na wsi, z przyjaciółkami i koleżankami ze szkoły, nie plotkować na temat Skrzypka z piersiami i małego kłowna, który go tak śmiesznie przedrzeźniał. Skutek był taki, że gdy w pobliżu nie było dorosłych, wyśmiewano Serenity, wykrzykując za nim „Mpanama” - słowo o wstrętnym, mokrym dźwięku krowiego łajna, wypadającego na twardą ziemię wprost z zadą cierpiącej na biegunkę krowy. Znowu został wyleczony z fascynującej obsesji, choć nadal zachodził do domu tego biednego człowieka, z nikłą nadzieją, że przyłapie go podczas sikania albo jeszcze lepiej kucającego w wychodku, bo koniecznie musiał się dowiedzieć, czy piersi Skrzypka są równie duże i miękkie jak piersi kobiet z zagrody ojca.

Oprócz zweryfikowania tych tajemniczych fantazji Serenity chciał również nauczyć się grać na skrzypcach. Uwielbiał te jednostrunowe jęki, skargi, wzdychania i skowyty, które Skrzypek wyskrobywał ze swojego niewielkiego instrumentu. Wizyty Skrzypka u Dziadka

były najważniejszym momentem tygodnia, a jego muzyka była jedyną, której Sere słuchał z przyjemnością, bez przymusu czy nacisków ze strony dorosłych bądź rówieśników. Chciał nauczyć się grać na skrzypcach, dumnie przykładać instrument do ramienia i stroić jedyną strunę za pomocą grudki wosku - a ponad wszystko zwabiać do swego zakłętego koła obce kobiety i trzymać je tam tak długo, jak długo będzie mieć na to ochotę. W szkole słynął z pięknych szkiców skrzypiec. Ale jego marzenie nigdy się nie spełniło. Dziadek, który był katolikiem, utracił mandat i z powodu fanatyzmu religijnego został zastąpiony przez protestanckiego rywala.

Pod koniec lat pięćdziesiątych, kiedy Dziadek został pozbawiony władzy, a tym samym stracił to, co było najważniejsze w jego życiu, jego dom opustoszał, ponieważ rodzina, przyjaciele i zwolennicy odchodzili jeden po drugim albo grupkami. Zniknęły kobiety, nawet Skrzypek zabrał swój talent w inne okolice. Gdy miałem tyle lat co podbiegający do dużych kobiet Serenity, Dziadek mieszkał sam w domu, który od czasu do czasu dzielił z którymś z członków rodziny lub kobietą, kilkoma szczurami, pajakami i wężem zrzucającym skórę za stosami worków z kawą.

Babcia, jego jedyna żyjąca jeszcze siostra, także mieszkała sama, w odległości trzech boisk do piłki nożnej. Kawalerskie mieszkanie Serenity, skromny domek wybudowany na kawałku ziemi podarowanym mu przez Dziadka i Babcie, znajdowało się pomiędzy tymi dwoma zagrodami. Był to martwy, pusty dom, który od czasu do czasu ratowano przed upadkiem, porządkując go czy to na cześć jakiegoś gościa, czy też po prostu w celu ograniczenia szkód wyrządzonych przez korniki i inne pałające żądzą zniszczenia robactwo. Ożywał w pełni jedynie wtedy, gdy na jakiś czas przyjeżdżały siostry Serenity i wujek Kawayida; oświetlano go wówczas złotymi promieniami latarni sztormowych, belki drżały od głosów i śmiechów, a dym z ognia, na którym grzano wodę do kąpieli, unosił się wokół dachu w postaci długich, efektownych nitek wywołujących odległe wspomnienia, równie przekonujące jak moje własne dzieciństwo.

Exodus kobiet, członków rodziny, przyjaciół i innych osób, często wcześniej przebywających w domu ważnego człowieka, pozostawił po sobie przerażającą pustkę, zagrodę spowita pełna glorii nostalgia. Nostalgia, która przetrwała lata pięćdziesiąte i sześćdziesiąte, a nam przysporzyła opowieści zachowanych, wygładzonych i upiękuszonych przez pamięć. Każda dusza, która zniknęła, stawała się zjawą ubraną w profetyczne słowa Dziadka i Babcy, wyczarowaną z pustki i użytą w celu zaszczepienia w naszym dzisiejszym ubogim istnieniu elementów dawnego życia. Te mroczne duchy, występujące w przepelnionych nostalgią opowieściach, zniknęły jedynie wtedy, gdy osoby, o których była

mowa, niczym zmartwychwstali stawiali czoła niebezpiecznym wzniesieniom Mpande Hill i zdradliwym mokradłom papirusowym, by pojawić się u Dziadka i osobiście przedstawić swoją sprawę. Skrzypek nigdy nie powrócił, ale jego wpływ pozostał, jako że Dziadek przypominał go żalonym wykonywaniem jego piosenek, które serwował otoczeniu podczas golenia, podczas inspekcji plantacji kawy czy podczas medytacji w cieniu, kiedy zastanawiał się, jak zdobyć młodą dziewczynę ze starą duszą, która pomogłaby mu przeżyć jego ostatnie dni.

Pod koniec lat sześćdziesiątych z nikim nie wiązano tak wielkich nadziei jak z wujkiem Kawayidą: ten człowiek był czarodziejem, żyłą złota pełną fascynujących, czasem budzących strach opowieści, wspaniałym narratorem obdarzonym niezwykłą cierpliwością, a na moje często nużące pytania odpowiadał z żywym, zachęcającym wyrazem twarzy. Kiedy długo się nie pojawiał, stawałem się niespokojny i zaczynałem liczyć, w jakie dni i miesiące szansa, że przyjedzie, jest największa. W te dni wdrapywałem się na moje ulubione drzewo, na najwyższy chlebowiec na terenie trzech okolicznych zagród, z którego roztaczał się widok na rodzinne miejsce pochówku, i kierowałem wzrok na Mpande Hill, czyli Górę Męskości, wznoszącą się w oddali. Jeżeli miałem szczęście, mogłem zobaczyć go na motorze, orle z niebieskim brzuchem otoczonym srebrnymi błyskami, szybującego w dół wzdłuż osławionego stromego wzniesienia i znikającego w parasolowatych zaroślach papirusowych mokradel u stóp góry. Ze słowami „wujek Kawayida, wujek Kawayida” na ustach szybko spuszczałem się z drzewa, nie zważając na suche, ostre gałęzie, które kłuły moją skórę, i biegłem na podwórko Babci, by z płucami pełnymi słodka - wego, hipnotyzującego aromatu owoców chlebowca zakomunikować dobrą wiadomość.

Wujek Kawayida był pracownikiem Państwowego Zakładu Energetycznego. Jego zadaniem było spisywanie u ludzi w domach stanu liczników i obliczanie comiesięcznych należności użytkowników. Dzięki temu, że dużo jeździł i widział, a sądzę, że i dzięki swej wielkiej fantazji, potrafił opowiadać historie kobietach próbujących przekupić go słodkimi słówkami, by podawał niższy stan licznika; opowiadał także o mężczyznach, którzy - z zamiarem przeszkodzenia mu w pracy - oskarżali go niesłusznie o flirtowanie z ich żonami i grozili, że go pobiją. Zadziwiał nas opowieściami o ludziach z kryminalnych dzielnic, mieszkających po dziesięć osób w małych domkach, w nędznych warunkach, pozbawionych intymności, gdzie rodzice parzyli się w obecności dzieci udających, że śpią. Opowiadał o kobietach, które w garażach przerywały ciężę, wsuwając ostre łodygi roślin lub szprychy kół w przekłete drogi rodne cudzołożnych żon czy rozpustnych córek, co czasem, gdy źle trafiły, kończyło się fatalnym lub niemal fatalnym w skutkach krwotokiem. Opowiadał o mężach

okładających żony kablami elektrycznymi, kijami, pięściami albo kopiących je butami z cholewami, po czym żony musiały gotować im jedzenie albo się z nimi parzyć; a także o kobietach, które piły i walczyły jak mężczyźni, rozwalaly głowy swych partnerów rozbitymi butelkami po piwie, po czym opróżniały ich kieszenie. W świecie tym były dzikie dzieci, które nie chodziły do szkoły i prowadziły występny tryb życia: kradły, rabowały, plądrowały, czasem nawet zabijały - oraz dzieci bogatych rodziców przywożone do szkoły samochodami, wyśmiewające się z nauczycieli i piszące w klasie listy miłosne. Byli też ludzie, którzy ledwo wiązali koniec z końcem spożywali jeden skąpy posiłek po długim dniu morderczej pracy. W świecie tym byli wandale piłkarscy, gotowi poświęcić życie dla swych drużyn i aranżujący z kibicami przeciwnych zespołów heroiczne walki, podczas których latały kamienie, butelki z sikami, paczuszki z odchodami, używano pałek czy nawet broni palnej, aż w końcu musiała interweniować policja z gazem łzawiącym i kulami. Mieszkali tam mężczyźni i kobiety chodzący regularnie do kościoła, katolicy i protestanci, ludzie, którzy czcili Diabła i podczas nocnych orgii składali krwawe ofiary; byli tam również ludzie różnych innych wyznań, pozostawiający w ogrodach, sklepach czy na skrzyżowaniach oskubane i pozbawione głów kurczaki, martwe jaszczurki, żabie wnętrzności i inne rytualne odpadki. Kiedyś opowiadał o obdartym ze skóry jagnięciu, które - wypełnione różnymi mrocznymi zaklęciami i otoczone chmarami wygłodniałych much - wypuszczono na ulicę. Pamiętam historię człowieka dogadzającego sobie z trzema siostrami - najpierw z tą, z którą się ożenił, potem z drugą, która przyszła opiekować się dziećmi podczas ciężkiej ciąży pierwszej, a w końcu z trzecią, uczennicą szukającą dachu nad głową w pobliżu renomowanej szkoły. Jak to zwykle z takimi opowieściami bywa, nie miały zakończenia i dawały możliwość wielorakich interpretacji i domysłów.

Kiedy przyjeżdżał wujek Kawayida, starałem się robić wszystko, by być w domu niezbędnym i by nie odesłano mnie do innych zajęć. Gdy jednak czułem, że będzie opowiadał wyjątkowo barwną historię o którymś z członków naszej rodziny lub znajomym, Dziadek podnosił się, by mnie wyrzucić za drzwi, sam wychodziłem na zewnątrz, po czym natychmiast zakradałem się z powrotem i chowałem za kuchnią, żeby słuchać z ukrycia. Ale często też się zdarzało, że Dziadek i Babcia tak się zasluchali, że zapominali o mnie zupełnie lub po prostu ignorowali moją obecność i moją inteligencję, a ja się rozkoszowałem opowiadaniem, jakby od tego zależała przyszłość całej wsi.

Wujek Kawayida tak pobudzał moją wyobraźnię, że koniecznie chciałem sprawdzić niektóre z jego opowieści, odwiedzając miejsca i osoby, o których mówił. Co to na przykład za rodzice, którzy robili to wówczas, gdy ich dzieci leżały obok na ziemi i nazywało się, że

chrapały? Byli katolikami czy nie? Jeżeli nie, to czy protestantyzm, islam lub jakiegokolwiek inne wyznanie zezwalało na takie pogańskie zachowanie? Czy ludzie ci byli wykształceni i dobrze wychowani? Nie będąc w stanie poskromić swojej szalonej ciekawości i rozwiązać wątpliwości, błagałem wujka Kawayidę, żeby zabrał mnie ze sobą, choćby jeden jedyny raz, ale on zawsze odmawiał - popierany przez Dziadka i Babcie. Najbardziej denerwujące były te ich marne wymówki. Później odkryłem prawdziwy powód owego odmawiania: żona Kawayidy, osoba z dużej poligamicznej rodziny, nie znajdowała wspólnego języka z moją matką Kłódką, kobietą z rodziny bardzo katolickiej, i ani wujek Kawayida, ani Dziadek i Babcia nie chcieli ryzykować rozdrażnienia Kłódky, wysyłając jej syna do domu kobiety, której tak nie znosiła i którą potępiała.

Napięcie między żonami wbiło klin pomiędzy obu braci. Kłódka lekceważyła żonę Kawayidy, bo uważała, że nie może dobrze działać się w rodzinie, składającej się z trzydziestu dziewcząt i dziesięciu chłopców, zrodzonych z tyłuż „matekdzi - wek”, w atmosferze wiecznego grzechu. Żona Kawayidy pogardała Kłódką z powodu jej pochodzenia i dlatego, że zbyt szybko chwytła za różgę z guavy; pewien kuzyn opisał metody wychowawcze mojej matki następująco: bije dzieci, jakby waliła w bębny. Obwiniano też Kłódkę o to, że stała na przeszkodzie sukcesowi Kawayidy, zabraniając Serenity pomagać bratu w formie kredytów bankowych i pożyczek od dobrze usytuowanych osób. Kawayida chciał otworzyć własny interes, zarabiać własne pieniądze i móc je wydawać, lecz nie dysponował kapitałem i potrzebował jako poręczyciela kogoś godnego zaufania, na przykład swojego brata. Ale prawda była taka, że Serenity, który załatwił Kawayidzie obecną pracę, nie był przekonany do handlu detalicznego, z przyczyn osobistych wręcz go nie znosił i odmawiał wsparcia każdemu, kto się nim zajmował. Ponieważ jednak nigdy nie powiedział o tym wprost, wszyscy wyjaśniali sobie jego stanowisko według własnego uznania.

W tym czasie obaj bracia spotykali się na weselach i pogrzebach oraz przy okazji walk bokserskich z udziałem Muham - mada Alego. Kawayida opowiadał nam ich szczegóły, siedząc na skrzydłach orła z niebieskim brzuchem, opluty własną śliną, a swoją opowieść przetykał wieloma barwnymi dygresjami, których dostarczała mu jego wyobraźnia. Babcia słuchała sprawozdań z owych sławetnych walk z tą samą zdawkową ironią, z jaką wysłuchiwała zwierzeń Sere o „piersiach” Skrzyпка i z tym samym pobłażliwym uśmiechem, jaki wywoływał u niej jego osławiony kaczy chód. Kawayida z równie wielką przyjemnością przerabiał z nami efekciarski arsenał ciosów, podskoków i sierpów Alego, z jaką opowiadał inne historie. Za jego plecami Babcia nazywała go „Alim”, jednak przezwisko to się nie przyjęło, ponieważ poza nami tylko jedna rodzina, rodzina Stefano, wiedziała

cokolwiek na temat osiągnięć Muhammada

Alego, a chudy, patykowaty Kawayida nie mógł się z nim mierzyć.

Ciotka Tiida, najstarsza siostra Serenity, była najmniej popularnym z gości, których przyjmowaliśmy w ciągu całego roku, mimo że była imponującą postacią. Gdy przyjeżdżała, każdy był spięty, zwłaszcza na początku. Aby pohamować nieco arogancję swego najstarszego dziecka, Dziadek odnosił się do niej z radosnym, na pół drwiącym entuzjazmem. Babcia natomiast była zdania, że prostolinijność jest najlepszą bronią w walce z zarozumiałością, i przyjmowała ją z obojętnością, która miała rekompensować arogancję Tiidy. Obie strategie zawodziły jednak, bo gdy tylko ciotka rozpakowała walizki, wszystko musiało dziać się według jej uznania. Zawsze odnosiłem wrażenie, że przyjechał z wizytą inspektor służby zdrowia w cywilu.

Tiida była niczym egzemplarz zagrożonego wymarciem gatunku, który nawiązując kontakt z naszym zacofanym, wiejskim środowiskiem, ryzykował życie. Nigdy nie pojawiała się bez zapowiedzi. Na parę dni przed przybyciem „Miss Sunlight Mydło” dom Serenity musiał zostać wywietrzony i pozamiatany, a łóżko dla ciotki posypane środkiem na insekty. Musiałem atakować obfite ilości pajaków, ściągać i sprzątać ich pajęczyny, niszczyć ich jajeczka. Zatykałem korytarze wryte w drzwiach i oknach przez termyty. Oстрыm nożem zdrapywałem z podłóg i ram okiennych odchody nietoperzy. Moim zadaniem było też okadzenie wygodki pękiem wysuszonych liści bananowych, coś, czego nie cierpiałem, bo przypominało mi pierwsze solidne lanie, jakie dostałem od Kłódki.

Podczas pobytu u nas Miss Sunlight Mydło kąpała się cztery razy w ciągu dnia, a ja musiałem pilnować, by miała wystarczającą ilość wody do swych rytualnych ablucji. Było to nie lada zadaniem w domu, w którym przez cały dzień stała jedna wanna wody, a niektórzy jego mieszkańcy w ciągu tygodnia ograniczali się do opłukiwania stóp, pach i kroku. Tak samo było w innych domach, nic więc dziwnego, że mieszkańcy wsi nazywali ciotkę Miss Sunlight Mydło lub Miss Etykiety. Tiida nie była zadowolona z pierwszego przydomka z powodu zawartej w nim aluzji, a także dlatego, że jedyna oprócz niej osoba we wsi fanatycznie zażywająca kąpiele, stewardesa należąca do rodziny Stefano, zyskała zaledwie przydomek Miss Aeroplanu.

W przeciwieństwie do Miss Aeroplanu Tiida była bardzo elegancka, bardzo atrakcyjna i elokwentna i pomimo jej przemądrzałości czułem się dumny, przebywając w jej towarzystwie. Gdyby Dziewica Maria była Murzynką, Tiida z powodzeniem mogłaby twierdzić, że są siostrami. Wieczorami widywałem ją spowitą w zwiewne obłoki muślinu, podziwiałem jej biały szlafrok, który lekko wydymał wiatr, jej długie, cienkie, złożone na

brzuchu palce i długą szyję, pochyloną w kierunku, w którym marzenia stapiały się z rzeczywistością. Jednak mój szacunek dla niej nie trwał długo: ucierpiał wskutek poobiednich rozmów Dziadka i Babci. Tiida, wychodząc za mąż, nie była już dziewicą. Straciła dziewictwo z wiejskim chłopakiem, który nie ożenił się z nią, jako że był już żonaty. Człowiek ów miał córkę znaną z tego, że zawsze przesiadywała na zewnątrz z rozsuniętymi kolanami, bez bielizny, z twarzą zwróconą w stronę drogi. Dziadek był zły na tego mężczyznę, ponieważ naraził na niebezpieczeństwo szansę jego córki na zamążpójście. Pamiętam, że ciotka Tiida zapytała mnie kiedyś, czy tamten nadal jest żonaty z tą samą brzydką kobietą. Kiedy odparłem, że tak, zaśmiała się tryumfalnie. Chciałem jej powiedzieć, że znam jej tajemnicę, była to jednak sprawa dorosłych. Nie mogłem bezkarnie robić podobnych aluzji. Przygotowując dla niej wodę do kąpieli, starałem się, z parą w oczach, wyobrazić sobie, jak wyglądała w czasach, gdy mężczyźni ją odrzucali, bo nie była już dziewicą. Jak się przed tym broniła? Wyobrażałem sobie, że gdy taki mężczyzna nią wzgardzał, wyrzucała mu impotencję, dodając, że jego preferowanie dziewic to tylko próba jej usprawiedliwienia.

Nikogo nie zdziwił fakt, że Tiida wyszła za mąż za lekarza. Za lekarza, który po latach okazał się jedynie asystentem lekarskim. Babcia nieraz jej z tego powodu dokuczała.

— On nie jest prawdziwym lekarzem, prawda? - pytała po raz któryś z kolei. - Nie może mi przepisać lekarstwa na cukrzycę.

— Wy i wasza cukrzyca - odcinała się dotknięta Tiida. - Jakby ten cukier był jakimś problemem.

— Nie złość się, Tiido. To twoja własna wina. Dlaczego wywiodłaś nas w pole, mówiąc, że jest lekarzem?

— Asystent lekarski z jego doświadczeniem wart jest tyle samo co lekarz. Mój mąż potrafi wszystko to, co i lekarz. I nosi nienagannie biały fartuch. Kto widzi różnicę?

— Sugerujesz, że ty jej nie widzisz!

— Musicie przyznać, że mój mąż nie jest fajtłapą. Korzysta z każdej okazji, by się wybić. Nie o wszystkich mężczyznach wżenionych w naszą rodzinę można to powiedzieć.

— Tak, tak. Ale tak czy inaczej też byśmy go zaakceptowali. Nie musiał się zachowywać tak snobistycznie.

— Jest człowiekiem skrajności.

— Następnym razem może trochę spuścić z tonu - mówiła Babcia i wybuchała śmiechem. - Biedaczysko. Kiedy ktoś się żeni z Miss Sunlight Mydło, musi być istotnie człowiekiem skrajności.

— Przestańcie, ciotko - mówiła zdenerwowana Tiida.

Kiedy wizyty ciotki dobiegały końca i odjeżdżała w oparach zapachów, zawsze ogarniało mnie jakieś dziwne uczucie pustki - prawdopodobnie brakowało mi badawczego spojrzenia higienisty.

Tym razem minął rok od wyjazdu, zanim znów coś o niej usłyszeliśmy. Dziadek tęsknił za nią, zwłaszcza że była bardzo podobna do matki. Była jedyną córką wywołującą w nim mgliste wspomnienia miłości, która się skończyła, podczas gdy tyle pytań pozostało bez odpowiedzi - miłości splukanej wodami płodowymi i ciepłą krwią, która spłynęła po tylnym siedzeniu rozklekotanego morrisa minor. Niemal każdego dnia mówił o Tiidzie.

Oczywiście to wujek Kawayida rozwiązał zagadkę długiej nieobecności Tiidy: doktor Ssali, protestancki mąż Tiidy, nawrócił się na islam! W latach sześćdziesiątych oznaczało to spory krok w tył, bo w polityce na czoło wysunęli się chrześcijanie: lwią część tortu dostali protestanci, hienią część katolicy, a muzułmanie chudziutkie sępie resztki. Ta dziwaczna zmiana wywołała z przeszłości koszarne obrazy klęski, na którą skazał Dziadka jego protestancki rywal. Rozzłoszczony wykrzyknął:

— Niemożliwe! Jak on mógł?!

Już widział swoją córkę pogrążającą się w przepaść, tak jak pogrążył się on sam. Teraz, gdy doktorowi wolno było mieć cztery żony, Tiidzie mogłyby przybyć trzy konkurentki, co oczywiście nie obeszłoby się bez zazdrości i złośliwości. Gdyby leżało to w Dziadka mocy, osobiście pomógłby jej się rozwieść.

Mnie również Tiida nie wydawała się kobietą skłoną do dzielenia się swym mężem. Wkrótce na pewno znowu wróci do domu. Cały ten nonsens z nawracaniem się nie pasował do jej świata. Lojalność za wszelką cenę nie była cechą, którą z nią kojarzyłem. W każdej chwili spodziewałem się, że nadjedzie od strony Mpande Hill samochodem obładowanym kosztownymi, skórzanymi torbami. Jednak nigdy to nie nastąpiło. Wszyscy się pomyliliśmy - Tiida pozostała przy mężu.

Jeżeli nawet nawrócony na islam doktor zamierzał dobrać sobie w najbliższej przyszłości bądź po śmierci trzy żony, stanowiło to teraz najmniejszą z jego trosk. To, co go najbardziej trapiło, to zapalenie rany po obrzezaniu, która czyniła jego penis szczególnie czułym i utrudniała posługiwanie się nim. Zwykłe czynności, jak na przykład sikanie, stały się piekielną próbą, do której trzeba się było odpowiednio przygotować. Długi, dyndający interes pomiędzy nogami ocierał się o tunikę, a czasem o opaskę, do rany przyklejały się nitki i włoski łonowe. Siedzenie, spanie i stanie zmieniły się w tortury. Czasem na brzegu ropiejącej rany tworzył się strup, który zakrywał ogniste miejsce i doktor Ssali ożywał pełen

nadziei, lecz wówczas, jakby maczał w tym palce diabeł, dostawał w nocy erekcji i strup znowu pękał. Na nowo zaczynało się bolesne sikanie, na nowo do rany przyczepiały się nitki, a do oczu doktora napływały łzy z powodu gryzącej maści, jaką stosował. Co drugi dzień golił włosy łonowe, a swędzące resztki zarostu przysparzały mu morderczej udręki. Poddawał się badaniom, czy nie ma zatrucia krwi albo jakichś form raka krwi, jednak raz za razem wynik był negatywny. Był zdrow jak ryba. Uporczywość tej infekcji doktor przypisywał swemu wiekowi, ale przecież miał zaledwie czterdzieści lat.

Do tego doszły jeszcze muchy. Pewnego ranka Tiida wyszła na zewnątrz i wrzasnęła przeraźliwie. Dwa rosnące za domem drzewa awokado otoczone były chmurą zielonych much wielkości ziaren kawy. Wypuściła z rąk balię z mokrym praniem. Doktor Ssali podbiegł do drzwi, a skóra na jego ciele napięła się, jakby go z niej obdzierano. Był to prawdziwy horror. Śmierdziało, jakby pod drzewem gniła koza albo Świnia. Już na samą myśl o tym Tiida zaczęła wymiotować na pranie. Ssali, który chciał ją wysłać pod drzewa, by sprawdziła, co tak śmierdzi, sam musiał tam pójść. Poczłapał na szeroko rozstawionych nogach. Leżała tam kupka kurzych jelit.

W zwykłych okolicznościach muchy osiadłyby na jelitach i może na niższych gałęziach drzew, teraz jednak siedziały wysoko wśród listowia. Z uczuciem mdłości doktor wrócił do sypialni i wezwał robotnika, który wykopał dziurę w ziemi i zakopał w niej jelita. Muchy zostały jeszcze przez cały dzień, ale o zmierzchu zniknęły.

Cztery dni później Tiida ponownie je zobaczyła. Tym razem zakopano kupę psich jelit i muchy odleciały. Tydzień później zakopali jeszcze jedną kupę psich jelit. Zaczęło to wyglądać dosyć niepokojąco. Ktoś zabijał psy, żeby zesłać na nich nieszczęście, a czasy były już i tak ciężkie. Kozy i owce stanowiłyby zrozumiałą ofiarę, ale psy?! Zakrwawione psy były kładzione na jelitach, by nikogo nie pozostawić w niepewności, o jakie zwierzęta chodzi! To było ostrzeżenie, które pochodzić mogło tylko od jednej osoby - od matki człowieka, który sprzedał doktorowi Ssali ziemię, na której ten zbudował swój dom.

Pięć lat wcześniej doktor Ssali kupił grunt z zamiarem hodowania bydła. Nie wiedział wówczas nic na temat sporów toczących się w rodzinie właściciela ziemi. Sprzedaż przebiegła uczciwie, bez przekupywania czy jakichkolwiek innych form korupcji. Dopiero gdy kupno oficjalnie przypieczętowano, zaczęły się kłopoty. Pojawiła się matka człowieka, który sprzedał grunt, twierdząc, że jej chciwy syn przywłaszczył sobie prawo do ziemi i zmienił testament ojca, dopasowując go do swoich własnych planów. Jej oskarżenia zostały przez sąd oddalone, lecz zagroziła, że będzie o ten skrawek gruntu walczyć do upadłego. Dlaczego na swój atak wybrała akurat ten moment, poważnie nękało powracającego do

zdrowia muzułmanina. Czy myślała może, że po obrzezaniu doktor okaże się zbyt słaby, by oddawać ciosy, i sądziła, że tak po prostu zwróci jej ziemię? Wysłał do niej delegację pokojową, ale natychmiast odesłała ją - urażona, że śmiał posądzać ją o składanie ofiar z psów bogom terroryzmu.

Ssali zatrudnił stróża, który miał wyśledzić, kto przynosi łby i jelita, ale bez powodzenia. Terrorysta mógł bezkarnie robić swoje. Według niektórych była to klątwa, kara zesłana przez któregoś ze zmarłych członków rodziny jako zemsta za przejście doktora na stronę Allaha. Ssali był bezradny. Przez wiele tygodni próbował wszelkich sposobów, lecz łby nadal się pojawiały, a strupy na jego ranie nadal pękały. Już sama obecność much doprowadzała jego medyczny umysł do szaleństwa. Zgnilizną! A przecież on całe swoje życie poświęcił na jej wytrzebiecie!

Jakby nie dość tego, niektórzy psim łbom i muchom przypisywali religijne znaczenie. Utrzymywali, że pojawiły się one w siedem, inni że sześć dni po nawróceniu się Saifa Amira Ssalego. Wśród wielu ludów siedem uchodziło za liczbę oznaczającą klątwę. Cyfra sześć mogła tworzyć liczbę 666, liczbę Antychrysta. Ssali stał się więc teraz czymś pomiędzy chodzącą klątwą a demonem i w pełni zasłużył na takie traktowanie. Jako były chrześcijanin nie mógł tego zignorować, więc na wszelki wypadek zaprosił paru szejków i dwóch znanych imamów, aby się pomodlić i złożyć ofiarę. Dwa dni później pod drzewem pojawił się nowy łeb i góra jelit. Była to zorganizowana próba wypędzenia doktora z domu i ziemi.

Zarazem ogarnęła go nowa obawa: że Tiida go opuści. Łamał sobie głowę, czy nie wypytać ją jakoś podstępnie, co o tym wszystkim myśli. Nie mógł zwrócić się z tym do niej bezpośrednio, ponieważ bał się, że urazi ją swymi wątpliwościami. Załóżmy, że to wszystko tylko mu się wydawało, a ona wcale nie zamierza od niego odejść - wtedy być może podsunąłby jej taką myśl. Jak długo jeszcze by wytrzymała? Czy kobieta, która cztery razy w ciągu dnia bierze kąpiel, zostanie w domu skalanym jelitami i psimi łbami? Wydawało się to nie do pomyślenia.

Wiadomo było, że starsi nawróceni mieli większe szanse na zachorowanie na raka penisa, i wszyscy mu o tym mówili. Ale jak długo mogło to jeszcze potrwać? Jego dzieci były tymczasem wyśmiewane przez szkolnych kolegów, którzy wołali: „Lep na muchy”, „chory penis” i „ojczulek podomka”.

Obleżenie przez muchy wywarło na mnie wielkie wrażenie. Ten człowiek musiał się czuć, jakby przez cały dzień był pokryty gównem. Co za zmiana! Doktor Ssali odwiedził nas przedtem dwa razy i wyglądał jak prawdziwy doktor. Podczas obu wizyt pił herbatę i najpierw musiałem trzy razy umyć filiżanki w gorącej wodzie, z górą piany po łokcie.

Siedział, patrząc na mnie i na Babcie, milcząc, z takim spojrzeniem w oczach, jakbyśmy byli dla niego powietrzem. Miał na sobie szare spodnie, białą koszulę z niebieskim krawatem i czarne jak smoła, błyszczące buty. Miał też złoty zegarek, który pruć powietrze niczym złoty nóż, gdy podnosił rękę, by dotknąć swych elegancko rozdzielonych przedziałkami włosów. Tiida była dumna jak paw. Do wszystkiego się wtrącała, a od czasu do czasu, jakby w oczekiwaniu milczącej aprobaty, spoglądała na niego. Sześć razy musiałem wycierać do sucha tacę, łyżeczki cztery. Za każdym razem jednak pozostawała jakaś plamka albo kropelka. Aby przerwać ciszę, Tiida powiedziała:

— Doktor Ssali ma taki wrażliwy żołądek!

Później pomyślałem sobie, że mogła wtedy powiedzieć: „On ma takiego wrażliwego siusiaka! Nie wolno go nigdy ciąć”.

Czternaście miesięcy po obrzezaniu męża ciotki Tiidy niebo się wypogodziło, a rana zagoiła. Nie oznaczało to jednak jeszcze końca kłopotów doktora Ssalego. Odmówiono mu nagrody, której tak pożądliwie wyczekiwał, jednej z tych rzeczy, dzięki którym był w stanie wszystko to znieść. Przedstawiciel Rady do spraw Nawracania powiadomił go, że nie ma już prawa do nowiutkiego peugeota, ponieważ nie spełnił wszystkich wymogów kontraktu. Jego współnawróceni, mówił ten przedstawiciel, w zeszłym roku prowadzili w całym kraju kampanię na rzecz szerzenia islamu, z przemówieniami w meczetach, szkołach, parkach i wiejskich domach. On tego nie robił, ponieważ musiał leżeć w szpitalu. Ostatecznie Rada zapłaciła koszty leczenia szpitalnego i zaoferowała nagrodę pocieszenia: skuter o pojemności 125 cc.

— Ale pan obiecał, szejku - jęknął doktor.

— Widzi pan tę kupkę rachunków lekarskich?! Poza tym nie dotrzymał pan słowa: nie wziął pan udziału w dżihadzie.

— To nie moja wina.

— Nasza też nie. Zechce pan zorganizować objazd solowy?

— Muszę wracać do pracy.

— Proszę nie zapominać o swojej jarmułce, powinien pan zakładać ją wszędzie, dokąd się pan udaje. Niech pan będzie dumny ze swego nowego wyznania, Saifie.

Wciąż na nowo opowiadano o tym, jak Ssali odbierał swoją nagrodę: typowo damską vespę z Włoch. Sądziłem, że historia ta będzie mieć jeszcze ogonek, ale wujek Kawayida nigdy nic więcej na ten temat nie wspomniał. Próbowałem skłonić Dziadka, by mówił dalej, lecz on wyrzucał mnie wtedy z pokoju. Kiedy ciotka znów przyjechała z wizytą, wzniosła wokół siebie mur i nie chciała wypowiadać się na temat żadnych szczegółów. Wtedy się

poddałem.

Siedziałem wysoko na drzewie w nadziei, że mignie mi gdzieś orzeł z niebieskim brzuchem, gdy ujrzałem jadący w stronę domu Babci samochód. Strach mnie obleciał. Ludzie przyjeżdżający w gości samochodem zostawali z reguły o wiele za długo, zajmowali mnóstwo miejsca, wybijali nas z rytmu, a mnie wpędzali w niecierpliwość. Najgorsi byli ludzie z dziećmi: dla nich rzeczą oczywistą było, że dziećmi zajmowałem się ja, jakbym nie miał nic lepszego do roboty, podczas gdy oni wychodzili się zabawić. Dzieci robiły kupy i sikały w portki, włożyły na wszystko i złożyły z wszystkiego, i to ja byłem odpowiedzialny za ich bezpieczeństwo. A ich rodzice, odjeżdżając, nawet mi nie dziękowali, nie mówiąc już o tym, by dali mi parę groszy.

Gdy powoli spuszczałem się z drzewa, zastanawiałem się, ile dzieci przywieźli ci goście. Ach, ta odrażająca myśl o tych wszystkich pieluchach moczących się w balii lub powiewających w słońcu na sznurku!

Kiedy dotarłem do domu Babci, auto zniknęło. Na podwórku stały dwie duże walizki i kartonowe pudła. Obleciał mnie jeszcze większy strach. Ta kobieta naprawdę miała zamiar długo zostać i skomplikować nam życie, rządzić nami. Znowu! To była ciotka Nakatu, druga siostra Serenity. Mała, ciemna kobieta o korpulentnym, krępyim ciele zdradzającym wielką siłę. Miała miękki, melodyjny głos nadający się raczej do śpiewania niż do wydawania rozkazów, i dlatego prawdopodobnie wszystko musiała powtarzać dwa razy, zanim wykonano jej polecenie. Była jedyną córką w rodzinie, która wzięła ślub kościelny. Na zdjęciu ślubnym wyglądała imponująco; masy tiulu i trzymetrowy tren nadawały jej królewski wygląd. Jej mąż był bardzo duży i wyobrażałem sobie, że aby nie krzyczeć, musi się pochylać, by z nią porozmawiać. Stojąc oko w oko z tą pulchną osobką i wymawiając obowiązkową regułkę powitalną, próbowałem wyobrazić sobie, jak wszystko będzie wyglądać podczas jej pobytu. Na szczęście nie przywiozła ze sobą dzieci, których musiałbym pilnować, żeby nie wsadzały do buzi gąsienic, stonóg i robaków.

Dziadek poszedł kogoś odwiedzić. Wieści, które usłyszał po powrocie, zmartwiły go. Bardzo lubił męża Nakatu, a więc ta miała związek z nowym rowerem Raleigh, który zięć podarował mu przed ślubem. Dziadek wciąż jeszcze na nim jeździł. Usłyszawszy nowinę, skierował swój wzrok na drzewa, jakby bał się, że teraz zięć nagle się zjawi, by zażądać zwrotu roweru, bo Nakatu odeszła i nie zamierzała wrócić do jego domu.

Wyrzucił mnie za drzwi, ale jak zwykle wśliznąłem się z powrotem. Małżeństwo Nakatu trwało prawie dziesięć lat. Dziadka złościło, że jego córka odmawia powrotu do męża. Jako kompromis zaproponował, że zaprosi go, by wysłuchać historii obu stron. Nakatu jednak

uparła się i powiedziała, że nie zmieni swego zamiaru, nawet gdyby zaprosił samego papieża. Twierdziła niezmiennie, że inna żona męża próbowała ją zamordować.

— Najpierw były nocne koszmary. Gdy tylko zamykałam oczy, zaczynały mi się śnić lwy, które mnie otaczały i rozszarpały na strzępy. Kiedy spałam przy zapalonym świetle, koszmary nieco ustępowały. Poradziłam się jasnowidza, a on powiedział, że to inna żona, która chce mnie usunąć. Gdy uświadomiła sobie, że nie odejdę, próbowała kazać mnie przejechać.

— Na drodze jest wielu pijaków i wariatów.

— Dostałam wrzodów żołądka i miałam migreny, które znikwały, gdy tylko wychodziłam z domu i spałam gdzie indziej, ale pojawiały się na nowo, gdy z powrotem byłam w domu - ciągnęła. - Ta kobieta chce mnie usunąć, ale teraz może robić, co jej się podoba.

— Czy on ma z nią dziecko? - zapytał Dziadek.

— Nic mi o tym nie wiadomo, ale przecież przy wszystkich chorobach, które mnie nękają, nie obarczyłby mnie jeszcze dodatkowo dzieckiem innej!

Dziadka nie zadowolili ta zdawkowa odpowiedź. Z jego doświadczeń wynikało, że to właśnie inne żony z dziećmi zaczynały kampanie terroru, aby ich dzieci zostały uznane, a one zdobyły równe prawa z pierwszymi żonami. Matka Kawayidy stosowała te same sztuczki. Ułożyła sobie plan zostania oficjalną żoną po śmierci matki Serenity, ale Dziadek nie był skłonny zapewnić jej tego statusu, choć jej syn, owszem, został uznany i przyjęty do rodziny. Podejrzewam, że Dziadek, mimo faktu, że spłodził z nią dziecko, wstydził się jej dwóch wystających zębów.

— Nie uważasz, że to dziwne, że bezdzietna kobieta wypędza cię z twojego domu i od męża? - zapytał.

— Takie zachowanie nie jest właściwe kobietom, które mają dzieci. Może ona zechce mieć dzieci, gdy tylko zamieszka w domu - powiedziała Babcia.

Babcia, która cierpiała na brak menstruacji i dlatego była bezdzietna, widziała rozpad swego małżeństwa, gdy młoda dziewczyna usunęła ją w cień i podarowała jej mężowi sześcioro dzieci. Świadomość tego zapieczętowała Dziadkowi usta. Burknął pod nosem coś niezrozumiałego, po czym powiedział:

— Wszystkie moje córki mają złe małżeństwo.

Innymi słowy: Klódka miała rację, kiedy mówiła, że w rodzinie Serenity było mnóstwo nieudanych małżeństw. Normalnie Dziadek nic by sobie nie robił z takich uwag, ale jego synowa nie była osobą, którą można lekceważyć. Starał się ją trzymać poza domem

swego syna, lecz nie udało mu się to. Jej uwaga bardzo go zabolala, ponieważ sama więzila jego syna w złym małżeństwie i nie było żadnych oznak, by coś się w nim miało zmienić. Dziadek jej nie lubił: była stanowczo zbyt uparta. Ale jednocześnie podziwiał jej poświęcenie, cechę, którą według niego nie została obdarzona Nakatu.

Długo jeszcze Dziadek nie mógł pozbyć się swych zmartwień. Nakatu została zaledwie dwa dni. Potem pojechała odwiedzić swoją siostrę Tiidę. Byłem zachwycony jej wyjazdem. Dziadek i Babcia nic z tego nie rozumieli.

Wróciła miesiąc później, z nową propozycją małżeństwa w kieszeni. Spotkała Hadżiego Ali, starszego o dziesięć lat dawnego szkolnego kolegę, i zakochała się w nim. Niezupełnie jasne było, czy już dawno miała go na oku, czy też był całkiem nowym zjawiskiem. Ale z promieniejącej twarzy Nakatu można było wyczytać, że naprawdę chce wyjść za tego byłego piłkarza, który swe uzdolnienia, ukierunkowane na osiągnięcie sukcesu, przeniósł z boiska do handlu. Tymczasem Dziadek napisał dwa listy do męża Nakatu, jednak nie otrzymał na nie odpowiedzi. Obawiał się, że między tymi dwoma mężczyznami może dojść do zatargu, co z kolei nie wyszłoby na dobre jego własnej reputacji. Chciał uniknąć wszelkich niedopowiedzeń. Ale dlaczego mąż Nakatu nie przybył złożyć oświadczenia? Dziadek nie zastanawiał się nad tym zbyt długo - miał o wiele bardziej palący problem: czuł się powołany do gaszenia szerzącego się wokoło ognia islamskiej inwazji.

— Tego już za wiele. Trzeba z tym skończyć! - grzmiał. - Patrzcie, co się stało z mężem Tiidy: wrzody na fiucie, a w ogrodzie kupa jelit! Dlaczego wy, kobiety, nigdy niczego się nie nauczycie? Pewnie myślałaś: moja siostra ma coś szczególnego, więc i ja tego chcę!

— Wybaczcie, ale sami o tym zaczęliście - odparła Na - katu. - Matka Kawayidy jest także naszą matką, a jest mu - zułmanką. Mogę ojca zapewnić, że Tiida z mężem są bardzo szczęśliwi. Wspólne troski przybliżyły ich do siebie. Ta pomyłona kobieta, która kazała wrzucać do ich ogrodu psie łby, przyznała się i wycofała roszczenia do ich ziemi. Ssali stał się lepszym człowiekiem. Nie jest już takim aroganckim typem, jakim był kiedyś.

— Czy dlatego postanowiłaś wypróbować cuda islamu, wybierając dla siebie samej muzułmanina? Zastanów się: twierdzisz, że opuściłaś męża z powodu podstępnych poczynań jego innej żony, a teraz zamierzasz poślubić człowieka, któremu wolno mieć cztery żony. Dlaczego to robisz?

— Hadzi Ali nie ożeni się z nikim innym. Ja mu wystarczam.

— Głupie babskie gadanie! Mogę sobie jeszcze wyobrazić, że Ssali nie ożeni się po raz drugi, bo jest wykształcony. Ale co powstrzyma Hadżiego Ali, by robił to, na co ma ochotę? Jesteś jeszcze dziewicą czy też myślisz, że jeszcze nią jesteś?

— Gdyby zależało mu na dziewicach, nie szalałby za mną. Ma już dość dziewcząt, które wszystkiego dopiero muszą się uczyć. Niech ojciec zachowa swoje zmartwienia dla innych dzieci, ja wiem, co robię.

— Chodzi więc o muzułmanina, który ma dosyć muzułmańskich dziewcząt i dla odmiany chce wypróbować chrześcijankę!

— Jestem w nim zakochana. W moim wieku wie się takie rzeczy. Wiem też, że zdarzy się coś szczególnego. Czuję to.

Istotnie zdarzyło się coś szczególnego: po ośmiu latach bezpłodności zaszła w ciążę. Dziadek pobłogosławił małżeństwo, nie wiedząc jednak, że Nakatu zamierza się również nawrócić. Gdy szczegół ten dotarł do niego, upadł na duchu.

— Ale nie zostaniesz obrzezana, co? - pytał, starając się żartować.

— Kto kiedy słyszał o obrzezaniu kobiet? - odparła Nakatu, śmiejąc się głośno.

— W porządku. Rób, co chcesz. Gdyby twój poprzedni mąż cię potrzebował, już dawno by tu był.

Tak więc ciotka Rose Mary Nakatu stała się ciotką Hadiją Hamzą Nakatu. Sześć miesięcy po opuszczeniu przez nią domu pierwszego męża został zawarty nowy związek małżeński, przy nieobecności większej części rodziny. Serenity jednak się pojawił, po raz pierwszy od lat, bo do tej pory schodził z drogi wszelkim rodzinnym dramatom.

To był już dojrzały Serenity, „SerenityKokon”, jak Nakatu go niekiedy nazywała. Zamknięcie się w sobie zawsze było jego najlepszą formą obrony, a po całym zamieszaniu poprzedzającym jego własne małżeństwo z siostrą Piotr, czyli Kłódką, Nakaza Nakaze Nakazi Nakazo Nakazu, postanowił zachowywać się powściągliwie. Jeden raz był z wizytą u Tiidy, pod koniec okresu psich łbów i wrzodów. Był tym rodzajem szwagra, który nigdy do niczego się nie miesza i nie pośredniczy w małżeńskich kłótniach, chyba że zostanie o to poproszony. Był pierwszą osobą w rodzinie, która zwróciła się do siostry Nakatu, nazywając ją „Hadija Hamza”.

Serenity jako kawaler otrzymał swą własną porcję problemów, na przykład problem, jak uwolnić się od Kasiko. Żył z nią pod koniec lat pięćdziesiątych, urodziła mu córkę, po czym postanowił ją oddać, by móc ożenić się z inną. Kasiko, mimo długich nóg i ładnego wyglądu, była typową wiejską dziewczyną z rodzaju „mójmążpowiedział”, zawsze czekała na rozkazy i jasne polecenia i była całkowicie nastawiona na umiłanie życia mężczyźnie oraz okazywanie mu posłuszeństwa. Człowieka, który przez całe życie musiał omijać zdradliwe wiry i niebezpieczne głębiny kobiet kręcących się wokół jego ojca, napawało to lękiem. Serenity czuł się przez Kasiko kontrolowany, analizowany i manipulowany, krótko mówiąc -

obrośnięty jak rzeka łodygami papirusu. Stał się z tego powodu nerwowy i drażliwy. Sam chciał być stroną manipulującą. A co gorsza, Kasiko stałe nękała go sprawami domowymi. Sprawy domowe były zaś tym, co go w ogóle nie interesowało, stał ponad nimi, ale do Kasiko nie chciało to dotrzeć. Zamiast poradzić się innych, jego zarzucała pytaniami, czy kupić to czy tamto, czy gotować tak czy inaczej, tego dnia czy tamtego. A najgorsze ze wszystkiego było to, że próbowała odgadnąć, co myślał, co lubił, a czego nie - sprawy, które wolał trzymać dla siebie.

Kasiko była słodka, miła i powierzchowna, ograniczona w swych poglądach; była dobra w łóżku, bardzo dobra w kuchni i wspinała w ogrodzie. Typ kobiety, jaki wielu mężczyzn chętnie wzięłoby sobie jako kolejną lub drugą żonę. Serenity nie myślał jednak o poligamii, przynajmniej jeszcze nie wtedy. Szukał owcy o pięciu nogach: kobiety samodzielnej, na dystans, która sama podejmowałaby decyzje, a przy tym była dobra w łóżku, w kuchni i pracach domowych. Kobiety, która zostawiałaby go w spokoju, gdy przygotowywał lekcje i robił plany na przyszłość, i nie rozpraszała go rzeczami będącymi według niego poniżej jego godności.

Gdy w końcu powiedział Dziadkowi, że chce odprawić Kasi - ko, natychmiast otrzymał pozwolenie, ponieważ Dziadek zakładał, że syn zleci mu wyszukanie odpowiedniej kandydatki do małżeństwa. Odchodziło się już powoli od zaaranżowanych małżeństw, lecz nie zostały jeszcze całkowicie zniesione. Ponadto dla Dziadka stanowiło to wyśmienitą okazję do wykazania swego zaangażowania jako ojca. Był już najwyższy czas, by przyciągnąć syna bliżej siebie i udzielić mu paru przydatnych rad, jak powinien się zachowywać jako mężczyzna i mąż. Należało pilnie wypełnić kilka luk, które powstały w czasach, gdy był przywódcą klanu i miał mało okazji do rozmów z Serenity. Jako człowiek tradycji, przedstawiając mu kandydatkę na żonę, wyciągnąłby do niego rękę w geście przyjaźni i koleżeństwa. Chciał również zaproponować klanowi kandydaturę Serenity jako głowy klanu lub choćby jako jednej z głów klanu. Uważał, że klany mają obecnie zapotrzebowanie na wykształconych przywódców, a Serenity ze swoją nauczycielską przeszłością miał widoki na powodzenie wśród handlarzy i innych podobnych ludzi stojących teraz na czele klanów. Gdyby przypadł do gustu starszyźnie klanowej i prominentnym członkom klanu, miałby szanse na stopniowe przejmowanie zarządu nad klanowym terytorium. Dziadek byłby ogromnie zadowolony, gdyby pozostało to w rękach jego rodziny.

— Dobrze, że zdecydowałeś się wreszcie oficjalnie ożenić. Jest to oznaką dojrzałości i świadczy o obraniu sobie celu w życiu. Mój dawny kolega ma dobrze wychowaną, wykształconą, atrakcyjną córkę w wieku do zamążpójścia, która bardzo dobrze

pasuje do twego temperamentu. Jej posag będzie nas słono kosztować, ale weźmiemy się do tego wspólnie, chłopcze. Spełnię warunki. No, co o tym sądzisz?

— Eeh...

— Wiesz, synu, niektórzy ludzie przykładają dużą wagę do wyznania - dodał Dziadek. - Ale dla nas nie jest to aż tak istotne, czyż nie? Po tym wszystkim, co wydarzyło się w naszej rodzinie! Ta dziewczyna otrzymała protestanckie wychowanie, lecz jej matka należała kiedyś do Kościoła katolickiego. Może da się tę dziewczynę nawrócić, chociaż protestanci nie przechodzą tak prędko na katolicyzm. Zresztą to bez znaczenia. Powinieneś postarać się wnieść w dobrą rodzinę, a jej pochodzenie jest doskonałe. Różnice zawsze możemy pokonać.

Jego syn był zaskoczony tym potokiem słów i czuł, że zapada się w nich jak w bagnie. Dom ojca z cegły, z zielonym dachem, zdawał się walić, przekształcać w ciecz i opadać na nich w postaci gęstego szlamu, żeby ich pochłonąć.

Serenity często życzył sobie, by dom ojca naprawdę się zawalił - nigdy go nie kochał. Użyty schronienia zbyt wielu ludziom, których nie lubił i nie rozumiał; ludziom, którzy jego również nie lubili i nie rozumieli. Dudnił od wrzasków, sapania, biadolonia i szeptów tych wszystkich kobiet, z dziećmi lub bez, od których roilo się w domu, gdy gościły w nim jeszcze łaska i pieniądze. Był świadkiem najdziwniejszych rzeczy. Widział, jak do kuchennych garnków sypano tajemniczy proszek; widział, jak na palącym się węglu drzewnym kładziono wysuszone liście i mamrotano nad nimi czarodziejskie formuły; w ciemności podsłuchiwał szeptanych spisków i spisków przeciwko spiskom. Jego mury widziały wiele zmów i zemst, ataków i prób obrony. Huczały od walk, raz zażartych, raz komicznych, między męskimi i damskimi członkami rodziny, między gościmi pasażerami i przyjaciółmi, między chciwą rodziną i rywalizującą z nią rodziną teściów. Zielony dach był obciążony złorzeczeniami obcych, których nie potraktowano tu sprawiedliwie lub dla których przyszło to zbyt późno, ponieważ w domu wielkiego przywódcy przebywali ludzie, którzy, umyślnie lub nieumyślnie, przeszkadzali innym w uzyskaniu u niego audiencji.

W czasie upadku Dziadka, gdy duch lat pięćdziesiątych sięgał prawie zenitu, dom stał się świątynią zaludnioną przez złodziei; każdy uprawiał tam swój handel, każdy rywalizował, każdy wysiadywał jakieś swoje plany. W tamtych czasach był to dom wariatów, w którym wszystko wymykało się spod kontroli i wszyscy tracili rozeznanie, mimo iż niektórzy myśleli, że mocno trzymają sznurki w swych rękach. A Dziadek zajmował wówczas taką samą pozycję, jak każdy z pozostałych mieszkańców domu, musiał walczyć o miejsce do spania, starał się jak najmniej przeszkadzać innym i składał fałszywe zobowiązania w nadziei, że

ostatecznie wszystko wróci do dawnego porządku.

W czasie upadku Dziadka Serenity nie jadał już w domu, chcąc w ten sposób uniknąć intryg, zazdrości, przezroczystej wesołości i kruchych nastrojów, które zanieczyszczały powietrze jak krowie łajno. Tym, czego szukał w domu Skrzypka z jego wyszczerbionymi talerzami, obtłuczonymi kubkami i dziećmi biegającymi z gołymi tyłkami, była wolność ducha. U Skrzypka, otoczonego dziećmi ze świeczkami pod nosem i kupami w majtkach, czuł się dobrze, czuł się akceptowany, nie spoglądano tu na niego, jakby zamierzał coś ukraść.

Na krótko po zniknięciu matki Serenity ogromnie za nią tęsknił i wierzył, że w każdej chwili może wrócić. Ale po błogosławieństwie tamtej tajemniczej kobiety, po odepchnięciu przez nią nie myślał więcej o matce, a pustkę po niej wypełnił obojętnością i marzeniami o zdobyciu wykształcenia i muzyce. Kiedy zaczął dojrzewać, miał nadzieję, że ktoś powie mu coś matce albo opowie o rzeczach, które matka mówi synowi. Gdy nikt niczego mu nie powiedział, nawet ciotki, które zgodnie z tradycją powinny wziąć na siebie jego wychowanie seksualne, zaakceptował tę sytuację, ale zwiększyło to tylko jego obojętność. Rodzice stali się dla niego widmami, odlatującymi w kierunku ciemnych brzegów bezdennej przepaści. W tym samym czasie jego przyjaciel stracił oboje rodziców w spektakularnym wypadku autobusowym, w którym jedna połowa pasażerów zginęła, a druga została ranna - jedynie kierowca wyszedł z tego cało. Serenity uznał wówczas, że rodzice zrobili mu przysługę, oszczędzając takiego bólu. Czuł się jak tamten kierowca, siedzący wśród fragmentów wraka i w morzu krwi, lecz nie raniony, otoczony krzykami i jękami, lecz nietknięty.

Spójrz, tam rosło smukłe drzewo pomarańczowe o cienkich gałęziach pełnych liści, szarzielone od mączniaka, z krótkimi cierniami i małymi zielonymi kuleczkami owoców. Mówiono, że było to ulubione drzewo jego zmarłej matki. Jak niewiele odczuć w nim wywoływało! Było mu zupełnie obojętne, jak zbezczeszczona świątynia albo splądrowana grotka. Tysiące razy zamiatał opadnięte liście, razem z liśćmi akacji, drzewa chlebowego mango, a stosy zbędnego listowia palił, nic przy tym nie czując.

W gęstym lesie drzew kawowych rosnących dookoła domu zerwała się wichura. Widział, jak wrywało je z korzeniami, jak się przewracały, łamały niczym słoma, przelatowały przez wieś i w końcu trafiały na mokradła papirusowe u stóp Mpande Hill. Ile worków kawy zbierał w swoim życiu! Ileż os go ukąsiło podczas tej pracy! Ile litrów jego potu i łez wsiąkło w ziemię! Dochód z kawy sfinansował wprawdzie jego wykształcenie, aż po wyższą szkołę pedagogiczną, lecz pomógł również bezwartościowym osobom, takim jak liczne żony ojca, uporać się z wieloma zbytecznymi katastrofami finansowymi. Przychodziło ich wiele, najadały się do syta i wszystkie szły dalej, do drzew, które były trwalsze niż drzewo

jego ojca. Wiele z nich schroniło się pod parasolem klanu, by uszczknąć ziarenko z klanowego zysku, i pozostało tam do chwili, gdy ojca pozbawiono władzy. Serenity chciał teraz, by wichura zryła całe terytorium klanu, by starła je na miazgę i by ta breja jak jedna potężna, pieniąca się rzeka spłynęła na mokradła. Chciał, żeby wichura pozostawiła po sobie jedynie zdradzieckie, nie nadające się do zamieszkania krater i śmiertelnie niebezpieczne wąwozy, do których wpadaliby mężczyźni i łamali sobie karki. Chciał, żeby pozostałości po tym kataklizmie były tak nieplodne, by już nikt nigdy nie chciał mieć z nimi nic do czynienia. Chciał, żeby inna rodzina przejęła całe terytorium klanu i wszystkie klanowe problemy.

A religia? Utrata przez ojca władzy z powodu religii katolickiej, której kościelnych obowiązków nigdy nie spełniał, była w oczach Serenity jak najbardziej sprawiedliwa. Nie miałby też nic przeciwko temu, gdyby ta sama wichura zrównała z ziemią potężny kościół jego młodości, a jego okruchy rozproszyła po okolicznym lesie. Pokryta blachą falistą wieża kościelna na Ndere Hill przywodziła mu na myśl wszystkie bezowocne msze, wszystkie roztrwonione modlitwy o powrót matki i całą energię zmarnowaną na religię. Przywodziła mu również na myśl Dziewicę Marię: błagał ją, by go odwiedziła, by stała się jego matką. Odmówiła. Nie chciała osuszyć jego łez, tych paru gorzkich łez, które kiedyś uronił. Teraz pragnął, żeby kościół i jego wieża zostały zrównane z ziemią.

W nowym życiu, o którym marzył Serenity, nie było miejsca na córkę przywódcy klanu, chełpiącą się swym chlubnym pochodzeniem, wyglądem i manierami. Nigdy jej nie spotkał i nigdy nie życzył sobie spotkać, bez względu na to, ile miała zalet, bo po prostu nigdy nie występowała w jego marzeniach. Ktoś już na niego czekał. Nowa Gwiazda, nowe Wino, nowa Dziewica, klucz do wolności, sukcesu i szczęścia. Z nią u swego boku byłby wyzwolony od obowiązków wobec ojca, innych członków rodziny i całego klanu. Stanowiłaby zaporę pomiędzy nim i wszystkim, czego w swojej rodzinie nienawidził.

— Ojcie - wyjąkał - ja już mam kogoś.

— Znam tego kogoś? - Dziadek zawiesił głos w nadziei, że nie jest to jakaś gaska ze wsi. Przez całe życie się obawiał, że syn przyprowadzi do domu taką właśnie dziewczynę. Czyżby zapomniał o swoich priorytetach? Na moment zamknął oczy.

— Nie, ojcie - odparł Serenity. - Ona mieszka w innej okolicy.

— Czy już złożyłeś jej propozycję?

— Jeszcze nie, ojcie.

— To nie brzmi najlepiej, synu. Nie możesz przecież budować domu na piasku. Znasz ją dobrze? Jej pochodzenie? Jej wykształcenie? Jej temperament? Skąd wiesz, czy nie cierpi na epilepsję albo nie jest opętana przez złe duchy?

W idealnym świecie Serenity nikt nigdy niczego nie obiecywał, lecz po prostu to robił. Nie mógł znieść, gdy ktoś mu coś obiecywał. Nie ufał żadnym obietnicom ani ludziom, którzy coś obiecywali. Ale w przypadku Dziewicy miał dobre przeczucia. Wierzył, że nie musi się o nic martwić. Gdyby mu obiecała, że za niego wyjdzie, byłby niespokojny.

— Niech się ojciec nie martwi.

Dziadek wybuchnął ze złością:

— Jakie potomstwo wprowadzisz do rodziny, chłopcze?

Serenity wiedział, co jego ojciec miał na myśli. Dziadek lubił kobiety wysokie i eleganckie, o talii osy, lecz mocnym tyłku, i bez tego rodzaju cycków, „które dyndają w jedzeniu podczas nakrywania do stołu”. No i oczywiście bez wystających zębów. Wszystkie kobiety Dziadka wyglądały tak samo i miały tę samą figurę. Stąd i u innych doceniał niezmienny wybór - według niego świadczyło to o charakterze. Wierzył, że mężczyzna zakochuje się zawsze w tej samej kobiecie, choć może ona pojawiać się w różnych przebraniach.

Serenity był zakłopotany. Jego Dziewica Jego nowa Gwiazda, miała zupełnie inną figurę: była filigranowa, należała do tego rodzaju kobiet, które na starość kurczą się, zamiast pęcznieć jak dynia. W pewien sposób była podobna do Babci, jego ciotki, choć była nieco delikatniejsza, ambitniejsza, bardziej uparta, chłodniejsza.

— W niektórych rzeczach trzeba zdać się na przypadek albo na Boga - powiedział Serenity, zamiast po prostu poprosić ojca, by mu zaufał.

— Staram się okazać zrozumienie, mój synu, ale te wszystkie niedomówienia nie brzmią w moich doświadczonych uszach zbyt przekonująco. Usilnie ci doradzam, żebyś zastanowił się nad moją propozycją. Zaaranżuję spotkanie z tą dziewczyną... może wtedy zrozumiesz, co mam na myśli.

— To nie jest konieczne, ojcze.

Ta tryumfalna fanfara ogłosiła pierwsze ważne zwycięstwo Serenity nad ojcem. A ryzyko, które podejmował, fakt, że całkowicie zdawał się na swoją intuicję, czyniły to zwycięstwo jeszcze wspanialszym. Promieniał. Teraz chodziło o niego i jego Dziewicę. Postawił wszystko na jedną kartę. To sprawiało, że czuł się oszołomiony i szczęśliwy jednocześnie.

— Czy pomyślałeś o naszym klanowym terytorium i o twoim wprowadzeniu w klanowe kręgi? - zapytał Dziadek.

Znowu odezwały się fanfary:

— Chcę się najpierw skoncentrować na weselu, ojcze.

— W takim razie decyduj sam, mój synu - oświadczył Dziadek i westchnął ciężko.

Zdał sobie sprawę, że Serenity założył sobie, że będzie kroczył własną drogą i nie da się powstrzymać nikomu ani niczemu. Poddał się. Zrobił, co mógł. Mężczyznę ocenia się po tym, jak troszczy się o swoje potomstwo, jakie wychowanie daje swoim dzieciom. Syn nie mógł mu niczego zarzucić. Może tylko powinien jeszcze powiedzieć Serenity coś o jego zmarłej matce.

— Zapamiętaj sobie dobrze, synu: twoja matka była moją wielką miłością, ale wszystko potoczyło się inaczej. Zrobiła to, co uznała za słuszne. Szkoda tylko, że nikogo nie obdarzyła zaufaniem. Gdyby mi powiedziała, co się z nią dzieje, z pewnością podjąłbym jakieś kroki, żeby jej życie stało się znośniejsze. Ale ona zatajała swoje uczucia, z katastrofalnymi następstwami. Zamierzałem zestarzeć się razem z nią. Wciąż jeszcze oniej myślę. Ty masz więcej możliwości, by uporządkować swoje sprawy i sprawy swojej rodziny. Złap tę szansę obiema rękami.

Serenity rozkoszował się swoją wolnością. Wichura w *shamba* kawy ucichła. Słyszał świergoczące i ćwierkające ptaki. Widział czarne ptaki, które nadciągnęły z północnej półkuli. Obserwował je przez całe życie i czekał na nie przy zmianach pór roku. Były jego ptakami szczęścia. Pewnego dnia uda się za nimi, polecą tą samą trasą co one, gdy wracają na północ. A we wsi była tylko jedna osoba, która mogła polecieć za ptakami: dziewczyna od Stefano, Miss Aeroplanu, stewardesa. Odtąd jego marzeniem było stać się drugą osobą we wsi, która potrafi latać.

W przeciwieństwie do większości przyszlých panów młodych Serenity nie zastanawiał się, czy jego wesele będzie wielkim wydarzeniem, czy też stanie się miażdżącą klęską. Perspektywa małżeństwa miała inną, zdradliwą stronę: nadźerała skórkę jego obojętności i naruszała jego opanowanie, a głęboko zakorzeniona nienawiść, pogarda i strach, jakie żywił do sklepikarzy i sklepów w ogóle, wychodziły na zewnątrz. Cokolwiek by się teraz stało, nie mógłby umknąć szponom tych duchów.

Będzie musiał kupić nowe ubranie i nowe buty, nowe sprzęty domowe i niezliczone inne rzeczy. Będzie musiał godzinami robić zakupy i ciągnąć ze sobą swe duchy od sklepu do sklepu. Sklepikarze będą go dotykać, obmacywać, szacować, okadzać swym oddechem pełnym curry lub czosnku, zgarniać jego pieniądze i obłudnie szczyrzyć zęby. Lecz on przejrzy ich na wylot. W równie absurdalny sposób wielu innych ludzi będzie wchodzić do wielu sklepów, by wychodzić z nich z wieloma rzeczami, które mu ofiarują wraz z życzeniami szczęścia. Te rzeczy będą jego trampoliną do burzliwych wód małżeństwa,

ojcostwa i dorosłej odpowiedzialności. Chciałby, żeby istniał lepszy sposób wyrażania takich tęsknot i intencji.

Sklepy i sklepikarze uczynili z jego życia zimne piekło z ciemnymi pokojami. Ileż razy dostał jako dziecko lanie, ponieważ odmówił pójścia do sklepu albo dlatego, że poszedł za późno i sklep był zamknięty? Jakże często był karany, ponieważ zamiast pójść samemu, wysyłał kolegów, a oni czasem kradli pieniądze lub zakupy albo przynosili zaledwie połowę? Jego największym problemem było to, że nie mógł nikomu wyjaśnić, dlaczego się tego bał i dlaczego czuł taką niechęć do robienia zakupów. Wstydział się własnego strachu.

A jednak sprawa była jasna jak słońce: w sklepach czuł się źle. Nie ufał żadnemu sklepikarzowi i nigdy do głowy mu nie przyszło, że oni ufali jemu. Azjatów i jednego Afrykańczyka, którzy mieli sklepiki w pobliżu, oraz niewidzialnych finansistów i fabrykantów uważał za rasę kanibali, gotowych rozszarpać ludzi na kawałki swoimi pięknymi słówkami. Miał ich za dobrze ubranych zbrojów z ukrytymi nożami, których używali, by mordować ludzi z powodu tej odrobiny, jaką posiadali, i tego krocia, którego nie posiadali. Uważał ich za rogate diabły, wiecznie podważające pokój, spokój i duchowe zdrowie innych.

Nikt jednak nie rozumiał, dlaczego worki cukru, soli i grochu, paczuszki słodczy, zapalki i zeszyty napawały go tak wielkim strachem. Było jednak faktem, że na widok tych wszystkich rzeczy zaczynał wpadać w panikę. Wydziałały obojętność o wiele większą, głębszą i gwałtowniejszą od jego własnej; sprawiały, że przepelniało go poczucie własnej małości. Towary emanowały drogocенnością, pożądlivością i niezbędnoscіą, a on nie mógł znieść tego, jak o nie dbano i jak je chroniono.

To właśnie diabelska siła przyciągania towarów zabrała mu matkę. Gdyby nie były tak warte pożądania i gdyby sklepikarze tak ich nie eksponowali, myślał, jego matka nadal by tu była, cała i zdrowa. Te kosztowne rzeczy, sklepikarze i mężczyzna, w którym się zakochała, wszystko to sprzysięgło się, by odciągnąć ją od niego, a ona się nie sprzeciwiła. Mężczyzna, który zabrał mu matkę, spotkał ją w sklepie, kupił dla niej wiele rzeczy i jeszcze więcej rzeczy jej obiecał, tym samym przypie - czętowując *jego* los. Jak więc on, Serenity, miał się opanować, okazać lub udawać obojętność, kiedy znajdował się między warczącymi szczękami tej bandy spiskowców? Jak miał się nie przejmować, skoro nie mógł wskazać palcem żadnego z nich, żywego bądź martwego, który przyłożył rękę do rozdarcia w jego życiu?

Tak więc jako dziecko, kiedy był w okolicy sklepów, doznawał uczucia, jakby miał w brzuchu chmurę szarańczy, a język odmawiał mu posłuszeństwa. Zaczynał drżeć i zdarzało się, że zapominał, co przyszedł kupić, choć przejechał w tym celu wiele kilometrów. Czasem

kupował coś niewłaściwej marki i potem miał w domu kłopoty. Jak to się dzieje, pytano, że *on* zawsze robi wszystko na opak, a dziewczynki nie? Czyżby wysłał swój mózg do klopa? Czy też robił to celowo, żeby wszystkich dręczyć?

Urodzony w 1933 roku, w którym duże części kraju zostały spustoszone przez plagę szarańczy, łącznie z rodzinną miejscowością jego Dziewicy, Serenity często marzył, by przepędzić wszystkich sklepikarzy i wywieźć ich na bezludną wyspę Oceanu Indyjskiego, zburzyć wszystkie budynki sklepowe, a gruz splukać do Jeziora Wiktorii. By uczcić swoje zwycięstwo, posadziłby na wszystkich miejscach po sklepach drzewa mango i chlebowce.

Jego pewność siebie wzrosła z czasem, choć musiał włożyć w to dużo wysiłku. Teraz już lepiej panował nad swymi nerwami, a w razie potrzeby potrafił przyczepić się do lady lub wsadzić rękę do kieszeni i wyjąć z niej staranną listę zakupów i w ten sposób wyczarować na twarzy mężczyzny za ladą bezzębny uśmiech.

Pytanie Dziadka, czy narzeczona Serenity nie jest opanowana przez złe duchy, mogło wynikać z przeczucia albo telepatycznego znaku. Później okazało się mgiełką wydobywającą się z nozdrzy trójgłowego smoka, który straszył w rodzinie Dziewicy.

Pierwsza głowa pluła żrącym jadem ultrakonserwatywnego katolicyzmu tego rodzaju, który zabija w zarodku wszelką inicjatywę, wysławia biedę i niestrudzoną pracę, chwali uległość, brzydzi się polityką i ukierunkowany jest wyłącznie na niebo. Druga głowa zionęła bezwzględny posłuszeństwem typu: wszelkautorytetpochodzi od Boga. Z trzeciej dymiła dziedziczna brutalność, na którą cierpiała również Dziewica, łącznie ze skłonnością do obrony nieobranialnych stanowisk, takich jak katolicka wizja aborcji, środków antykoncepcyjnych i celibatu.

Dziadek mógł oszczędzić sobie zmartwień: Serenity był gotów rozpocząć walkę z każdą formą idiotyzmu ciskającego kamieniami lub pożerającego gówno. Z punktu widzenia swego idealizmu, wzmocnionego niezależnością i opanowaniem Dziewicy, sądził, że jest w stanie sprostać każdemu problemowi dotyczącemu kobiet i ugasić każdy rodzinny pożar. Było kilka kobiet, przez które drżał; było kilka dziewczyn, które rozpały jego jądra i sprawiły, że przez jego piersi popłynął ciepły, uspokajający olej. Jednak intensywność i głębia tych doznań ustępowały wobec uczuć, jakie wywoływała w nim Dziewica.

Ten gwałtowny, magmowy wylew w swym wnętrzu uważał za miłość i sądził, że ma jej w sobie tyle, iż może posunąć się dalej niż z Kasiko - i to tym razem bez wycofywania się.

Rodzina i przyjaciele narzeczonego musieli złożyć dwie uroczyste wizyty w domu narzeczonej, tak przynajmniej Serenity zdawał sobie przypominać. Gdy dwa wypożyczone białe peugeoty, wypełnione po brzegi mężczyznami w białych tunikach, czarnych płaszczach

i czarnych butach przejeżdżały górami i dolinami, głowa Serenity pełna była szarańczy. Widział ją w powietrzu, mrowiącą się jak groszek w puszczy, latającą, opadającą na ziemię, zracą i srającą, srającą i zracą. Podczas gdy jej część obzerała do czystą ziemię, a potem ją zasrywała, reszta przelatywała w powietrzu dalej, na nowe tereny, żeby je również obezreć do czysta i zasrać.

Wieś Dziewicy była przyklejona do łańcucha górskiego, przypominającego nabrzmiałe sutki wilczycy albo grzbiet monstrualnego krokodyla. Otaczał go gęsty las, w 1933 roku obzarty do czysta i zasrany, a teraz podzielony laterytową drogą na dwie części i pokryty czerwoną ziemią, która w porze deszczowej zamieniała się w czerwone błoto. Droga, wpełzająca do wsi od strony nawietrznej, leżała pomiędzy polami taro i gospodarstwami oddalonymi od siebie o setki metrów. Czterdzieści dwa lata po pierwszej szarańczy wieś miała ponownie zostać obzarta do czysta i zasrana, teraz jednak wyglądała normalnie, nieco smutno i uległe, i przypominała Serenity Skrzyпка z jego „piersiami”. Bananowce i kawowce dzielnie stawiały czoła słońcu, pierwsze delikatnie kołysząc się na wietrze, jakby chciały zwrócić na siebie uwagę, drugie nieruchomo, jakby chciały pokazać, jakie są nieugięte. Na początku wsi było kilka ubogich sklepików, wyspecjalizowanych w sprzedaży nafty, zapalek, mydła i soli, z dachami rdzewiejącymi w wilgotnym upale. Para ciekawskich oczu przyglądała się, kiedy kierowcy zgarniali z samochodów czerwony pył, a towarzysze Serenity wyglądali zmięte ubrania, czyścili buty i poprawiali fryzury. Połysk samochodów zdawał się potęgować chrobotanie szarańczy w piersi Serenity. Ostatecznie to on był tym, który miał zostać zważony, oszacowany, wypróbowany i przyjęty bądź odrzucony.

W rodzinnym domu Dziewicy panowała oficjalna atmosfera, wywołana białymi tunikami i różnego rodzaju marynarkami noszonymi przez mężczyzn oraz sięgającymi do kostek *busuti* z krótkimi rękawami, w które owinięte były kobiety. Gospodarze stali na podwórku jak wypolerowane gliniane garnki na lśniącej tacy. Oczyszczona z chwastów *shamba* kawy w tle wyglądała jak świeżo namalowana dekoracja do starego, do znudzenia powtarzanego spektaklu. Jednak pozorny przepych gości z ich błyszczącymi samochodami przyczyniał się do tego, że rodzinny dom Dziewicy i cała wioska ze swymi zwietrzałymi, zdającymi się pochodzić z zeszłego wieku murami oraz rdzewiejącymi, pokrytymi blachą falistą dachami sprawiały smętne wrażenie.

Goście usadowili się wygodnie na ławkach, osłoniętych białym materiałem w celu nadania im jednolitego wyglądu i zatarcia różnic pochodzenia i własności. Kobiety siedziały na matach we wszystkich barwach tęczy, co w kombinacji z delikatnymi odcieniami brązu, zieleni i czerwieni ich *busuti* kontrastowało z powagą sytuacji. Tu naszymi, tam pęk

bransoletek, perła lub zegarek ze sztucznego złota przydawały atmosferze spotkania wesołości.

Doświadczenia życiowe i próby wiary wryły się głębokimi bruzdami na twarzach rodziców Dziewicy, bruzdami przypominającymi plemienne blizny występujące zwykle na północy kraju. Ojciec był mały, ale mocno zbudowany, a na jego twarzy malowała się ucziwość. Matka była wysoka i chuda; jej wygląd zdradzał niezłomność i wielką siłę przebicia. Jeżeli nawet mieli na nogach zdarte buty, nie było tego widać, a nawet jeżeli było widać, znaczenie tego faktu blakło przy oprawionych w ramki portretach Świętej Rodziny, o różowych twarzach otoczonych aureolą. Dzieciątko Jezus wyglądało, jak na swój wiek, o wiele za poważnie, a Dziewica Maria, owinięta w ciężkie, unoszone wiatrem szaty, miała zwiotczałą twarz. Święty Józef stał za żoną i dzieckiem w swojej wiecznej czerwonej tunice anarchisty, z milczącym, umęczonym spojrzeniem oszukanego leciwego małżonka, zbyt nieśmiałego, by swą o wiele młodszą żonę zagadnąć na temat jej przewinienia. Wszelkiej frywolności, jaka poza tym była tu jeszcze możliwa, definitywnie ukręcono łeb, wieszając na czołowym miejscu naprzeciw drzwi wizerunek ciężko rannego i obficie krwawiącego Jezusa na krzyżu.

Nie oczekiwano od Serenity, by wiele mówił, i w istocie nie mówił prawie wcale, ponieważ zabrał ze sobą kogoś, kto miał bronić jego sprawy przed rodziną i przyjaciółmi Dziewicy.

Podczas gdy mówca ten wykonywał swoją pracę, członkowie rodziny Dziewicy taktownie obserwowali Serenity. On tymczasem rozglądał się zuchwale dookoła, nie spoglądając jedynie na wewnętrzną stronę dachu, gdzie w niektórych miejscach przez otwory wielkości monety widać było kawałki nieba - przyzwoicie wychowany człowiek nie wprawiał innych w zakłopotanie. Przez większą część czasu wzrok jego był skierowany na pożywienie i napoje, które spożywał lub udawał, że spożywa. Mógł kaszleć lub kasłać, lecz nie na tyle głośno, by zwracało to na niego uwagę. Nie wolno mu było jednak czyścić paznokci albo wygrzebywać czegoś z zębów, nawet jeżeli między przednimi zębami utkwiłby kawałek mięsa gruby jak mały palec. W takim wypadku mógł przeprosić, wstać, ująć rąbek swej tuniki i wyjść na zewnątrz. Żeby pogrzebać sobie w nosie, musiał zrobić to samo. Również aby puścić bąka lub beknąć, podrapać się pod pachą bądź w kroku, musiał wyjść na zewnątrz. Nie wolno mu też było spoglądać pożądliwie na kobiety. Nie wolno mu było kierować do nich bezpośrednio swoich słów. Nie wolno mu było sprzeciwiać się rodzinie narzeczonej ani jej poprawiać. Biorąc to wszystko razem pod uwagę, musiał się zachowywać jak owca w drodze do rzeźni albo przynajmniej jak wilk w owczej skórze.

Podczas gdy pracowicie stwarzał te pozory, kilka rzeczy stało się dla niego jasnych: a) nie był pod wrażeniem i nie czuł się zastraszone przez swych szwagrów, b) potraktowałby siostry Dziewicy i innych członków jej rodziny tak, jak oni go potraktowali, c) jedna z ciotek ze strony ojca, o ile dobrze sobie przypominał moment, gdy go jej przedstawiano, była wielką piękną. Prawdopodobnie miała tyle lat co on. Nie spuściła ani nie odwróciła oczu, gdy jego świdrujący wzrok sprawił, że spojrzała na niego. Jej twarz była lekko owalna, nie okrągła czy pyzata jak twarze reszty rodziny, a z powodu dużych, jasnych oczu, wysokiego czoła i luźno upiętych, wyprostowanych gorącym grzebieniem włosów wyglądała jak zjawisko. Jej długa, subtelnie uformowana szyja przypominała mu jego siostrę Tiidę. Była również w jakiś sposób podobna trochę do Dziewicy, może sprawiał to kształt ust albo odległość między nosem i ustami, nie umiałby powiedzieć. Jej uśmiech, który widział dwa razy, za każdym razem przeznaczony dla innego członka rodziny, wybuchął z błyskiem pękającego na dwoje orzecha kokosowego, a jej białe jak śnieg zęby lśniły w ciemnej, zapierającej dech w piersi twarzy. Aby zwiększyć napięcie i być pewnym, że ona również zwróciła na niego uwagę, długo trzymał wzrok z dala od niej, patrząc na inne rzeczy, dużo uwagi poświęcając napojom, po czym przerwał czary, spoglądając na nią nagle spod brzegu kieliszka. Znowu uchwycił jej spojrzenie. Kiedy chciał spróbować tego po raz trzeci, zobaczył, że jej miejsce jest puste. Zjawiała się ponownie dopiero wtedy, gdy odjeżdżał.

Dziewica ukazała się za ledwie jeden raz, aby powitać gości. Wyobrażał ją już sobie w ogrodzie albo między drzewami kawowca, całkowicie pochłoniętą tym, co rozgrywało się w jej głowie. Nie załamała się pod napięciem tej wizyty. Pod tym względem można było liczyć na katolików: wiedzieli, jak kształtować charakter i jak ostrzyć go niczym nóż na wiekowym kamieniu.

Tydzień trwało, zanim w Serenity zniknęło poczucie nie - rzeczywistości wywołane przez tyle poświęcanej mu uwagi. Kiedy jednak zbliżała się druga wizyta u narzeczonej, był już na tyle odprężony, by jej wyglądać. Czuł się tymczasem jak bogaty, chełpiący się przepychem nauczyciel, który przemawia do grupki dobrze wychowanych, choć ubogich uczniów. Z jego wnętrzości i piersi zniknęła szarańcza, tak męcząca go poprzednim razem. Teraz już wiedział, co może zaoferować swym gospodarzom. W tym centralnym rejonie kraju kobiety były tanie, inaczej niż u ludów na zachodzie i północy, które miały stada bydła i gdzie posag mógł sięgać setki krów. Tutaj żądano tykw piwa, bel materiału, puszek nafty, ceremonialnych kurczaków, drobnych sum pieniędzy i jeszcze paru rzeczy znikomej wartości. W dniu ustalania ceny i jej płacenia Serenity ogarnęło nieprzeparte uczucie, że rodzinie jego Dziewicy przydałoby się nieco finansowego wsparcia, o ile ich wiara to dopuszczała. A

wsparcie takie mogli łatwo uzyskać - żądając okazałego posagu.

Dziadka i Serenity czekała jednak miła niespodzianka: rodzice Dziewicy nie zamierzali się wzbogacić z pomocą córki. Zażądali mało. Tak zawstydzająco mało, że rodzinie pana młodego, gdy odeszła do swych dwóch peugeotów, lśniących jak osobliwe skrzynie skarbów, aby się naradzić, nie pozostało nic innego, jak okazać oszałamiającą hojność.

Dziadek chciał zaoferować krowę i cielaka. Ale Serenity wołał dać coś zdecydowanie bardziej niezbędnego: nowy dach. Miał trwałą wartość, ponieważ nie miała się go *nagana* ani inne śmiertelne choroby bydła. Ojciec i syn nie mogli dojść do porozumienia. Aby przerwać ten impas, zawołano najstarszego brata panny młodej, Mbalego. Mbale, którego w dzieciństwie nawiedzały wciąż powracające koszmary, że pewnego złego dnia obudzą się w domu bez dachu, opowiedział się po stronie Serenity. Następnie powierzono mu zadanie dyskretnego poinformowania rodziny o ofercie. Rodzice Dziewicy sprzeciwiali się tak jawnemu zbezczeszczeniu świątyni małżeńskiej świętości, oświadczając, że ich córka nie jest krową wystawioną na sprzedaż. Jednak reszta rodziny z całych sił rzuciła się do walki. Kto z nich nie czuł niechęci do wizyt u rodziny w porze deszczowej? Kto z nich nie myślał już o udzieleniu jej pomocy w naprawieniu dachu, w razie konieczności nawet wbrew jej woli? To była najlepsza okazja do wymiany dachu. Potem, gdy już będzie po weselu, będzie za późno.

Obowiązywała większość głosów i oferta została przyjęta. Okazało się, że Mbale i paru innych mężczyzn zadziwiająco dużo wiedzą na temat dachów i cen blachy falistej, gwoździ i śrub, belek, stawek za godzinę pracy i tym podobnych rzeczy i zaraz obliczyli, ile potrzeba pieniędzy, by jak najszybciej uporać się z robotą. Rodzice Dziewicy byli zrozpaczeni, ponieważ nie udało im się przepędzić handlarzy ze świątyni. Nie mogąc znieść zasmuconego spojrzenia ukrzyżowanego Jezusa, opuścili dom i udali się na długi, ponury spacer, oplakując pohańbienie świętego sakramentu małżeństwa przez mamonę.

Serenity dobrze bawił się tą komedią. Po raz pierwszy od lat nie brał za złe sklepikarzom ich zajęcia. Widział już nową blachę błyszczącą w słońcu. Wszystko przybrało doskonały obrót: duch wieży kościelnej z blachy falistej, wieży, którą chciał zniszczyć, przeniknął do tego domu, gotów zdruzgotać ultrakatolicyzm rodziny jego narzeczonej. Nie chodziło tu o wieżę, ale ten dach miałby siłę wieży. Byłby znakiem pogańskiej siły jego mamony. Dzięki tej sile obcy ludzie w zapoconych kombinezonach wdarliby się do wnętrza tego domu, zdjęliby zgniły dach i wyrzucili rdzę, krzywe gwoździe i zbutwiałe belki. Dziewica Maria o alabastrowym zapachu, ze swymi martwymi alabastrowymi obietnicami zostałaby pogrzebana pod gruzem. Nowy dach byłby symbolem nowej Dziewicy i jej nowego

Wina.

Zostałby umieszczony na starym domu tak jak i jego stare życie otrzymałoby dzięki Dziewicy nowy impuls, nową siłę i nowy błysk nowego marzenia. Kupka banknotów na przebudowę, sama stanowiąca już małą wieżę, dawała Serenity uczucie zadowolenia. Nie był panem młodym, który obiecywał wszystko i jeszcze więcej, po czym nie spełniał swoich obietnic z powodu udawanej utraty pamięci. Wszystko mogło zacząć się zgodnie z planem. Był człowiekiem czynów, nie obietnic.

Dziewica pilnowała robotników pracujących przy dachu, wysłuchiwała ich sprośnych, dwuznacznych rozmów i złościła się, bo w roztopionym maśle, którym ciotka nacierała jej skórę, by przed weselem doprowadzić ją do jak najlepszej kondycji, pływała rdza. Ciotka używała własnoręcznie zrobionego masła, pachnącego lekko mlekiem, ponieważ własnoręcznie zrobione miało lepsze działanie niż produkty fabryczne. Skóra stawała się pod jego wpływem bardziej brązowa, bardziej błyszcząca i bardziej napięta na kościach. Ale Dziewica, jak większość wiejskich dziewcząt, które nie wychowały się wśród krów i świeżego mleka, uważała zapach mleka za nieprzyjemny i robiło się jej od niego trochę niedobrze. Przeszkadzała jej również myśl, że jej strój ślubny i łożo małżeńskie będą przesycone zapachem mleka. Pierwsze wrażenie miało być doskonałe. Między nią i jej męża nie powinien od razu wciskać się klin niedoskonałości. Ogarniał ją strach, że zioła w kąpielach nie przesłonią zapachu mleka. Opanowywała się jednak, choć nieustannie miała skłonności do wybuchania kalejdoskopicznymi atakami paniki. Nadal chciała mieć wpływ na to, co się wokół niej rozgrywało. Tylko jak miała to robić wśród tego całego stukania, tych krzyków i lubieżnych spojrzeń robotników? Jak miała pozostać w centrum zainteresowania z tyloma członkami rodziny wokół siebie, tyloma przyjaciółmi członków rodziny, tyloma obcymi, mieszkańcami wsi i ludźmi, których ledwo znała? Wszyscy oni kłębili się wokół niej, wołali i krzyczeli, wyszczekiwali rozkazy i zachowywali się, jakby wiedzieli wszystko na temat etykiety, tradycji i wiary. Wszyscy mieszkańcy wsi, którzy byli coś dłużni jej rodzicom, jak i ci, którzy nie byli nic dłużni, przychodzili i, czy było to potrzebne czy nie, oferowali pomocną dłoń, przyczyniając się do zwiększania chaosu. A najgorsze ze wszystkiego było to, że wiara została usunięta w cień. Nikt nie odmawiał modlitw porannych ani wieczornych. Każdy oddawał się swym zachciankom, niczym się nie przejmując. Nawet jej rodzice zrezygnowali z prób wymuszania modlitwy przed jedzeniem. Przez cały dzień do wesołych gardeł wlewano warzone w okolicy piwo. Krótko mówiąc, Diabeł miał wyraźną przewagę, podczas gdy okres ten powinien być poświęcony Bogu. A ona nie była w stanie temu w żaden sposób zaradzić.

W cielesnym i duchowym zamieszaniu myśli panny młodej powędrowały w kierunku przyszłego teścia i odczuła coś w rodzaju naprzemiennych ataków gorąca i zimna. Nie lubiła tego człowieka. Wibracje dochodzące od niego były zdecydowanie niedobre. Ich osobowości kłóciły się, a przecież przez najbliższe lata miała mieszkać w jego domu. Jak to zniesie? Martwiła ją także ciotka Serenity, również mieszkająca w domu teścia. Jej także nie lubiła. Kto by lubił kobietę, która zaledwie trzy razy w swym życiu miała miesiączkę? Takie kobiety okazywały się często czarownicami wzbudzającymi w każdym strach. Ich języki miały często niewyobrażalną moc i wyrządzały zło, nawet gdy tego nie chciały. A poza tym to babsko miało jeszcze ten sen o bawole. Co powinna o tym sądzić? Ale jakże mogła cokolwiek sądzić, skoro nad niczym już nie panowała, skoro cały świat tańczył na jej głowie?

Oczywiście mogła odwołać wesele, ale czy ktoś kiedyś słyszał owiejskiej dziewczynie odwołującej wesele? Po tym wszystkim, co się wydarzyło? Kto by jej teraz posłuchał? Jakiego pretekstu mogłaby użyć? Nadwrażliwość i nerwy przyszłej panny młodej? Wiedziała, że nikt z jej otoczenia by tego nie przełknął. Zresztą wcale nie chciała odwoływać wesela, nawet gdyby mogła. To było jej święto, jej dzień w słońcu. Cała jej bezsilność i sadyzm wobec Serenity, wobec siebie samej, wobec robotników, wobec Mbalego i siostry Jan Chryzostom, wobec świata, były jedynie próbą przyzwyczajania się do nowej pozycji w życiu, do nowej władzy, nowych oczekiwań i nowych marzeń.

Serenity był w siódmym niebie - rodzina Dziewicy drżała od uderzeń młota jego potęgi. A po tym, co dała mu przeżyć Dziewica, sukces smakował mu jeszcze lepiej.

Ponieważ zawsze korzystał z pośredników, zlecał innym przekazywanie wiadomości i pośredniczenie w sprawach miłosnych, był przyzwyczajony do życia w ciągłym napięciu. Teraz jednak nieobecność i milczenie pośredników trwały bardzo długo. Nie spał przez dziewięćdziesiąt nocy, w ciągu połowy których rozważał, czy się nie pomylił. I ze spoconymi plecami zastanawiał się nawet, czy mimo wszystko nie zwrócić się do ojca w związku z wizytą u dziewczyny, którą tak arogancko odtrącił. Czyżby Dziewica go odrzuciła i potajemnie się wycofała? W ten sposób dawano zazwyczaj do zrozumienia, że mężczyzna nie powinien żywić nadziei, starając się jego uczuciom i godności oszczędzić paru niepięknych zadrapań. Serenity wolał jednak usłyszeć złe wieści bez ogródek: początkowo sprawiało to ogromny ból, lecz prędko nikło we mgle przeznaczenia bądź spalało się w żarze nowej szansy. Nie był zdobywcą jak jego ojciec i śmiertelnie bał się odrzucenia. Dlatego zawsze korzystał z pośredników. Wyobrażał sobie siebie jako krokodyla, który oszczędza swe siły, czekając, aż zdobycz sama do niego przyjdzie. Dzięki takiej postawie nie narażał się na poczucie winy, które mieli niektórzy zdobywcy, gdy zrywali związek. Wychodził z założenia,

że jego zdobycz powinna to przeczuć. Dziewica sama się mu zaoferowała, a intensywność ognia, jaki w nim rozpałała, w połączeniu z respektem, jaki jej okazał, powinna była rozwiązać jej wszelkie wątpliwości. Dlaczego więc tak go dręczyła?

Podczas tych bezsennych nocy, gdy strach i ból docierały do każdej tkanki jego ciała, jeszcze raz prześledził wszystkie swoje rozmowy z Dziewicą. Z pewnością nie narzucał się jej. Siła przyciągania była obustronna. Ponadto okazał jej głęboki szacunek. Nie przechwalał się na prawo i lewo ani nie mówił niczego dla połechtania własnego ego. Krótko mówiąc, dał jej odczuć, że jej zdanie jest jedynym, które się liczy. Dlaczego więc nastąpiła tak nieznośna przerwa w przekazywaniu wiadomości? Słabym punktem systemu pośrednictwa było to, że wiele pytań zbyt długo pozostawało bez odpowiedzi. Jak długo spodziewano się, że będzie jeszcze czekać? Minęło już kilkadziesiąt dni. Jego cierpliwość, zrozumienie i nadzieja przechodziły powoli w złość i frustrację. Kiedy ból stawał się zbyt silny, zastanawiał się nawet nad zrezygnowaniem z tego związku. Poradziłby sobie z tym, bo przeżył już w swym życiu różne porażki. Nie byłoby to dla niego żadnym nowym doświadczeniem. Mógłby odwołać swych pośredników, przyrzec, że nigdy nie zobaczy się z Dziewicą, i szukać pocieszenia w ramionach ojca. Dał jej jeszcze trzy dni i trzy noce. I jakby Dziewica go śledziła, jakby czytała w jego myślach i wiedziała, jakie są granice jego wytrzymałości, po dwóch dniach otrzymał od niej wiadomość.

Dziewica uważała za konieczne odprawić dziewięć kolejnych nowenn do świętego Judy Tadeusza i modlić się o potwierdzenie, że Serenity jest mężczyzną dla niej, ponieważ małżeństwo zawiera się na zawsze, a rozwód jest nie do pomyślenia. Prosiła siłę, by podolać diabelskim figlom Kasiko, gdyby zaczęła je płatać, i o siłę, by móc znieść wszelkie przyszłe trudności. Modliła się też o szczęście i o zdrowie. Modliła się o dwanaścioro zdrowych, bogobojnych dzieci i o siłę potrzebną do ich dobrego wychowania. Snując rozważania na temat powagi świętości związku małżeńskiego, straciła zupełnie poczucie czasu. Mogłaby odmówić jeszcze dziesięć nowenn, wcale nie uważając, że trwałyby to zbyt długo. Poza tym mężczyzna żyjący w grzechu zasługiwał według niej na ten cały czas oczekiwania, którego Pan potrzebował na wysłuchanie jej modlitw. Powinien trochę pocierpieć, zanim osiągnie właściwy stopień czystości i będzie mógł wstąpić w święty związek małżeński.

Serenity szalał z radości, kiedy otrzymał pozytywną odpowiedź na swoje oświadczenia. Jego marzenie jeszcze żyło. By uczcić zwycięstwo i dobrze rozpocząć nowe życie, musi pozostawić trwały ślad na rodzinnym domu Dziewicy: nowy dach. Jego narzeczona nigdy się nie dowie, co oznaczają dla niego te nowe, błyszczące, żelazne płyty, on jednak zawsze będzie spoglądał na nie z zadowoleniem. Wyznaczą koniec jego udręki i walki

o władzę z ojcem, będą lśniły obietnicami na przyszłość.

Przyjaciele i członkowie rodziny, ludzie ze wsi i obcy przybyli zewsząd na wesele syna byłej głowy regionu. Dom Dziadka, kawalerski dom Serenity, dom Babci oraz szalasy postawione z okazji uroczystości pękały w szwach od gości. Przez trzy dni panował ogromny tłok, a punktem kulminacyjnym była sobota, kiedy panna młoda miała wkroczyć do domu pana młodego, by dokonało się święte zjednoczenie. Zapowiadało się na wesele dziesięciolecia. Dziadek starał się, by wszystko przebiegało według życzeń i by było dosyć jedzenia i picia. Wspaniałe iskry szybowały z ogniska w górę, przecinając swym żarem ciemne niebo. Noc rozbrzmiewała śpiewem, bębnieniem, tańcem i kłótniami, przemowami, walkami i innymi ludzkimi zajęciami, które nie mogą tu zostać wymienione. Zapach piwa, mięsa i pieczonych bananów wyzwał wspomnienia sięgające dni, kiedy Dziadek był jeszcze przywódcą klanu i w jego domu co drugi tydzień wydawano uroczysty posiłek. Tak było i według wielu tak powinno być nadal, ale prawdopodobnie nigdy już nie będzie. Letnie palce nostalgii głaskały serca starszych, wypełniały zapachy, dźwięki i blaski ogniska dawnymi wartościami, które w rzeczywistości dnia dzisiejszego stały się matowymi niepewnościami. Wielu z rozmarzeniem przypominało sobie własne wesele, dawno temu, kiedy byli mężczyznami wśród mężczyzn, kiedy narzeczona musiała być dziewicą, aby wyjść za mąż i pozostać zamężną.

Wielu pamiętało jeszcze wesela Tiidy i Nakatu. Wesele córki było wydarzeniem skłaniającym do głębokich rozważań, ponieważ wtedy członek rodziny odchodził, był oddawany, odbierany, by innej rodzinie przynosić życie i szczęście. Taka uroczystość była jednostronna i nigdy nie trwała całą noc. Co tu było do świętowania, skoro dzieci, które miały zostać zrodzone z dziewcząt, miały nosić inne imię klanowe? Ale gdy syn przyproceedzał do domu narzeczoną, przybywał ktoś, kto miał wzbogacić rodzinę i klan o potomstwo. To dlatego wieczór naznaczony był jaskrawym odcieniem seksualizmu, lubieżnym podtekstem, śmiałą wesołością. Było tak, jakby każdy się żenił i miał pozbawić pannę młodą dziewictwa, wbić zęby w jej dziewicze, niepokalane ciało. Z tego powodu piwo każdemu uderzało do głowy, rozwiązywało wszystkie języki i manifestowało się w sprośnych żartach, pikantnych piosenkach i sugestywnym kołysaniu biodrami.

Dla Dziadka wieczór ten był niemal powtórzeniem jego własnej nocy kawalerskiej. Wokół wszystkich ognisk wypowiedano jego imię. Tu i tam znowu wychwalano go pod niebiosa. Od czasu do czasu na starym, sfatygowanym bębnie wybijano pieśń o Wiewiórczym Klanie. Członkowie i przywódcy klanu mówili o Dziadku i rozważali możliwość jego dalszej kadencji jako zarządcy terenów klanu, rozważali też szanse Serenity jako potencjalnego

następcy. Polityka klanowa była nieoficjalnym tematem wieczoru oraz następnego dnia, dnia wesela.

Jutro o tej porze panna młoda będzie już pozbawiona dziewictwa, a jej charakter i płodność staną się głównym tematem dalszych aktów przedstawienia traktującego o jej przystąpieniu do tego domu i klanu.

Ślub moich rodziców został zawarty w starym katolickim kościele, wybranym przez moich dziadków ze strony matki. Tam, między grubymi murami kościoła, w słabym, kolorowym świetle padającym przez witrażowe okna na przygnębiętego Chrystusa, który przypatrywał się tej radosnej ceremonii ze swego odrażającego krzyża, w oparach ostrego kadzidła, silniejszego niż wszelkie zapachy mleka, perfumy i kąpiele ziołowe, którym każdy się musiał poddać, tam w otoczeniu radosnych uśmiechów i syczących szeptów świadków obu stron ogłoszono siostrę Piotr Kłódkę i Serenity mężem i żoną.

Większość członków rodziny panny młodej nie pojawiła się ani w kościele, ani w jej nowym domu, ponieważ obstawali przy tym, by podróżować jako grupa, ale odrzucili zaoferowany im przez Dziadka autobus. Zdezelowany bus, jaki wynajęli, zepsuł się, a zdezelowana ciężarówka, która go zastąpiła, złapała dwie gумы, podczas gdy oni mieli tylko jedno koło zapasowe. Żalodne i mniej żalodne samochody dostawcze, które następnie dzięki wyjątkowemu sprytowi udało im się zdobyć, mogły przewieźć jedynie najznamienitszych członków rodziny, a tych oczywiście było znacznie mniej niż członków rodziny pana młodego, która poza samochodami miała do swej dyspozycji dwa dobrze utrzymane autobusy Albion.

Przed zapadnięciem zmierzchu nowo poślubiona para wjechała czarnym, dziesięcioletnim mercedesem na niespokojny teren uroczystości. Otoczono samochód, zrywano z niego ozdobne girlandy, a zachłanne twarze wpatrywały się do środka, by choć przez chwilę ujrzeć pannę młodą owiniętą w chmury tiulu. Trochę to trwało, zanim młoda para mogła zostać uwolniona z wnętrza samochodu - samochodu należącego zresztą do przywódcy, którego córkę Dziadek, Tiida, Nakatu, Kawayida i jeszcze kilku bliskich członków rodziny o wiele chętniej widziałoby na ślubnym kobiercu u boku Serenity. W końcu opływająca w tiul panna młoda, z księżycowatą koroną na głowie, orchideami w jednej ręce, drugą ręką trzymając dłoń Serenity, zaczęła brodzić wśród gęstego jak błoto nawoływania, klaskania, bębnienia, śpiewów i chciwego gapienia się. Obecność Serenity - z jego czarnym garniturem z wąskimi wyłogami, białą koszulą, krawatem szerokości języka i czarnymi, spiczastymi butami - ledwo zauważała. *Crewcut* powodował, że jego głowa wydawała się dużo mniejsza, jego postać większa i chudsza, a jego uszy przypominały uszy

wiewiórki.

Świeżo zaślubioną młodą parę posadzono na drewnianym podwyższeniu przykrytym białymi matami, na dwóch kanapach, na których udrapowano biały materiał - raczej nie po to, żeby ukryć różnorodność mebli, ale dla podkreślenia uroczystości chwili i czystości małżeńskiej. Podczas grzmiącego aplauzu młodzi siedzieli pod lśniącą srebrną lampą sztormową, która, nie oblepiona ćmami, migotała, delikatnie kołysząc się nad ich głowami. Nowożeńców oglądano skrupulatnie ze wszystkich stron. Kłódka czuła się jakby przezroczysta i zahipnotyzowana, a od poświęcanej jej uwagi robiło się jej niedobrze. Zwłaszcza tancerze wywoływali w niej duszące uczucie i chwilami bała się, że zemdleje. W głębokim, ponaglącym rytmie wielkiego bębna dolną częścią ciała wykonywali najbardziej pogańskie, bezwstydne i odrażające ruchy, jakie kiedykolwiek widziała. Przez opaski z długich włosów małą, zabawnie akcentujące pośladki, ich pełne aluzji uderzenia biodrami wydawały się coraz szybsze, coraz bardziej obsceniczne i zuchwałe. Zarówno mężczyźni jak i kobiety obracali się w kółku, wypychali biodra do przodu i drżąc od seksualnej dwuznaczności, kołysali nimi znowu do tyłu - na przesadnie szeroko rozstawionych nogach, jakby zsiadali ze zbyt wysokiego roweru. Kręcąc biodrami i brzuchami natartymi olejem, na stopach ledwie dotykających ziemi, ruszyli w stronę pali namiotu znajdujących się tuż przed młodą parą, a uczepiwszy się ich, zaczęli się wić wokół nich, wykonując najbardziej diabelskie ruchy kopulacji, jakie Dziewica kiedykolwiek widziała. Goście weselni, śliniąc się jak głodne, dręczone psy, kompletnie oszaleli i ogarnęło ich takie podniecenie, że cały namiot aż się od niego trząsł; niektórzy naśladowali tancerzy: uczepili się pali i zaczęli poruszać biodrami, wydając przy tym nieokiełznane okrzyki radości.

Gdyby Dziewica nie nosiła korony i nie miała rękawiczek, mogłaby zakryć oczy. Czuła, że wstyd łapie ją niczym para mocnych rąk. Ten tłum pieprzył ją, gwałcił, pozbawiał dziewictwa, a z jej narządów płciowych w szatański sposób wypływały rzeki krwi, które łączywie zlizywano. Chciałaby umrzeć, ale to było jej wesele, jej show, jej ścieżka do nowego życia i nowego zadania, o którym od tak dawna marzyła. Przywołała przed oczy obraz Jezusa na krzyżu, będącego samą krwią, samą raną, samym bólem. Zamknęła oczy, a kiedy znowu je otworzyła, tancerze zniknęli.

Zaczęto przemawiać. Dziadek, w białej tunice i czarnej marynarce, powitał wszystkich obecnych, podziękował za zaszczyt, jaki swym przybyciem wyświadczyli jego rodzinie, i poprosił, by zostali do świtu. Potem przychodzili i odchodzili inni mówcy, którzy też nie mieli zbyt wiele do powiedzenia. Większość z nich raczej prawiała kazania, niż przemawiała, próbowała wstrząsnąć tłumem, używając słów typu wierność, lojalność, zgodność, szacunek

dla starszych, lecz nie znajdowała zbyt wielkiego posłuchu. Wszystkie te słowa opadały jak luźne strzępy na słuchaczy. Panna młoda czuła się jak ryba wydobyta z dna oceanu i na pokaz wrzucona do zbiornika w laboratorium. Musiała walczyć z napięciem, wyobcowaniem, irytacją i niecierpliwością. To prawda, że łaknęła uwagi, ale to, co dostała, było zalewem grzechu, w którym prawie tonęła. Na co ci ludzie tak przenikliwie patrzyli? Na jej twarz? Na tiul lub koronę? Czy było to coś, co spotkało tylko ją, czy też miało miejsce na wszystkich weselach? Czy Sere wywołał skandal i teraz ludzie zastanawiają się, jak ona się z tym upora? Czy też to wszystko tylko się jej zdawało i widziała rzeczy, których nie było? Dlaczego, och dlaczego każdy tak się na nią gapi? Chryste...

Potem ujrzała tort i lśniący srebrny nóż. Drużka dała jej kuksańca, więc wstała i poszła za Serenity. Próbował pomóc uporać jej się z trenem, ale tylko wyprowadził ją z równowagi. Z oczami skierowanymi równocześnie na stopień, tort i pana młodego potknęła się, jakby ktoś ją mocno zepchnął. Księżyc na jej czole wypadł z orbity. Serenity prędko wkroczył do akcji i zapobiegł upadkowi. Dzięki wprawnym palcom drużki księżyc wrócił na swoją orbitę. Tłum zawył. Bębniarz wybił parę pobudzających taktów i panna młoda w zmieszaniu, jakby opuściła własne ciało, zaczęła kroić tort.

Otoczyły ją dzieci wyciągające ręce: dziewczynki promieniejące z podziwu i podekscytowani ciekawością chłopcy. Nagle wszystkie one zaczęły przypominać jej córkę Kasiko, wypędzonej żony Serenity. Szydziły z niej, drwiły i publicznie ją znieważały, ponieważ wyparła ich matkę. Zaczęła nagle przypisywać Kasiko winę za to, że autobus i ciężarówka, które miały tu przywieźć jej rodzinę, zepsuły się. Poczula się osaczona, otoczona dziećmi, gotowymi obrzucić ją kamieniami, i dorosłymi, którzy cieszyliby się z tego. Po obscenicznym tańcu i zbiorowym pozbawianiu jej dziewictwa sprowadzało się to ostatecznie do jednego: diabelskie dziecko Kasiko ją zabije! Dlaczego to diabelskie dziecko i wszystkie jego kopie uśmiechają się tak słodko i niewinnie? Uratowała ją drużka, zabierając jej talerz z rąk i rozdając tort uradowanym dzieciom, które, jako że ich rodzice znajdowali się w pobliżu, były spokojne i posłuszne.

Wydawało się, jakby nawet tort uderzył świętującym do głowy: gorączkowo zareagowano na tancerzy i bębniarzy. Cały namiot zakolysał się od wesołych wrzasków, oklasków i gwizdów. Ze środka tej wrzawy szybko usunięto pannę młodą.

Serenity był zatroskany i zdenerwowany, ledwo trzymał się na nogach. Po raz pierwszy od dłuższego czasu przebywał tak blisko narzeczonej. Zawładnął nim niejasny, lecz bardzo realny strach. Jego odwaga, męskość i opanowanie osiągnęły punkt niżowy. Erekcje! Zdawało się, że produkowano je w odległej fabryce, na tej półkuli, z której przylatywały

czarne kruki, jego szczęśliwe ptaki. Zdawało się, że iskra, jaką ostrożnie rozniecił, eksplozja w jądrach, o której marzył, wypaliła się jak nocna świeca. Znajdował się teraz w swym kawalerskim pokoju, pokoju, który był świadkiem jego najbardziej i najmniej udanych seksualnych spotkań. Pośród tych dusznych ścian przeżył z Kasiko wspaniałe i rozczarowujące orgazmy. W duszności tego pokoju została poczęta jego córka, niech ją Bóg ma w swojej opiece. Potem w pokoju gościnnym ta córka przyszła na świat pod okiem Babci. Stękanie pozamałżeńskich partnerek seksualnych jego brata Kawayidy zdawało się mieszać z jękami jego własnych kobiet i przydawało temu pokojowi, który tak dobrze znał, złowieszczej atmosfery nadciągającej katastrofy. Wiedział, że wszystkim tym upiornym hydrom błakającym się po tym pokoju musi poukręcać łby, zobaczyć, jak się zwijają w śmiertelnych drgawkach, i poczekać, aż zawładnie nim nowy duch. Póki co, mogło wydarzyć się tu jedynie coś niedobrego. Wolałby, żeby wesele odbyło się w domu jakiegoś przyjaciela, na neutralnym terenie nie tkniętym przeszłością.

Czekając, aż Dziewica zmyje ze swego ciała troski, burze, obawy i brud dnia ślubu, nieszczęśliwym trafem myślał o ostatnich nienawistnych słowach Kasiko: „Wypędzasz swoją Ewę, swoje własne zebro. Jeżeli ja ci nie wystarczam, dlaczego nie weźmiesz nas obu? Dołożę wszelkich starań, by ci udowodnić, że popełniasz błąd...”. Była to groźba czy blef? Cóż za mętne niedomówienie!

Serenity czuł, jak wszystko w żołądku mu się wywraca: jego narzeczona została wprowadzona do pokoju przez kobietę, z którą przed kilkoma miesiącami, podczas przedślubnych negocjacji, wymieniał wiele znaczące spojrzenia! Zaszło mu w gardle, ręce zaczęły drżeć. Czy to był podstęp? Nie mógł wypowiedzieć ani słowa, tak bardzo był uwięziony w pajęczynie marzenia, które ma wielu mężczyzn: marzenia o dwóch kobietach do swojej dyspozycji, marzenia o dwóch pożądlivych kobietach, które ci dogadzają. To nie mogło być prawdą: kto wybrał tę kobietę, by towarzyszyła podczas nocy poślubnej jego Dziewicy?

Jej zadaniem było udzielenie pomocy, jeśli okazałaby się potrzebna. Podjęła się tego zadania nie dlatego, by odziedziczyć komplet prześcieradeł, gdyby Dziewica okazała się naprawdę dziewicą, ani dla zaszczytu, ale z powodów o wiele bardziej osobistych. Pan młody był interesującym mężczyzną, człowiekiem wykształconym, którego przyjaźnie i kontakty mogły dostarczyć jej korzyści. Już od lat nie zdarzało się, żeby ktoś wpadł jej w oko podczas pierwszego lub kilku pierwszych spotkań. Ten człowiek był reinkarnacją jej cielej miłości, nauczyciela, w którym z podziwu była zakochana po uszy, którego ubóstwiała i którego na wszelkie możliwe sposoby starała się zaciągnąć do łóżka. Dzięki Bogu był to człowiek starej

daty i o wiele rozsądniejszy niż ona. Ten rodzaj podziwu chciała teraz zainwestować w swego nowego szwagra.

Pierwsze intymne spotkanie moich rodziców pod wieloma względami było charakterystyczne dla ich całego małżeństwa. Serenity chciał, aby ciotka Dziewicy opuściła sypialnię: gdyby wyszła, może ucichłoby chrobotanie szarańczy w jego piersi i wnętrznościach. Poza tym nie był już prawiczką i nie potrzebował niczyjej pomocy. Kobieta uległa i ze spuszczonej oczami opuściła pokój. Prędko jednak musiała wrócić, ponieważ za każdym razem, gdy Serenity dotykał Dziewicy, odpychała go od siebie.

W jej oczach Serenity był uosobieniem tłumu rozpustników i świntuchów, którzy zatruli jej życie swym pogańskim kołysaniem biodrami i pieprzeniem pali. Nie zamierzała go zaakceptować jako ich zastępcy. Przypomniała sobie naukę świętego Jana Chryzostoma: „Cielesna piękność to śluz...”. W klasztorze, w którym przebywała, to, co on zamierzał wpompować w jej łono, nazywali „świętymi smarkami”. Już samo to słowo było odrażające!

Ciotka Dziewicy, nie zarażona słowami świętego Jana Chryzostoma, bądź ich spóźnionym wydzwiękiem, przywróciła porządek przez wielokrotne podkreślenie znaczenia „świętego” rytuału. Święte smarki czy diabelskie smarki, czynu należało dokonać. Serenity pogmerał trochę połowiczną erekcją pod czujnym okiem kobiety, z którą kiedyś wymienił wiele mówiące spojrzenia, i skaleczył się na trzydniowym zarostcie łonowym swej narzeczonej, która dopiero co nauczyła się posługiwać brzytwą. W klasztorze wrywano zawsze te diabelskie włoski, jeden po drugim, nie po to, żeby zarost był mniej szorstki, ale dla umartwiania się. Zraniony i sfrustrowany, bo skrzypiące spirale łóżka zaczęły w równym stopniu działać mu na nerwy jak chrobotanie szarańczy w jego piersi, Serenity coraz bardziej popadał w złość. Pozbawiona radości bezskuteczność jego wysiłków została dodatkowo spotęgowana niedwuznaczną obojętnością narzeczonej i spojrzeniami towarzyszącej im kobiety, rzucanymi na części jego ciała, których nigdy nie odsłaniał przed obcymi.

W namiocie na zewnątrz było spokojnie, ponieważ grający na bębnach zajęli się jedzeniem, ale sytuacja w pokoju stała się bolesna i nieznośna. Ciotka Dziewicy czuła się zmuszona posunąć dalej i postanowiła wkroczyć do akcji. Była w końcu odpowiedzialna za ostateczne załatwienie sprawy. Najbardziej uprzejmym, przyjaznym tonem, jaki Serenity usłyszał w tym tygodniu, zaproponowała krótką pauzę. Gdy wstał z łóżka, lekko dotknęła jego ramienia, aby wskazać mu krzesło, gdzie czekało na niego piwo. To dotknięcie było kluczem, którego jego duch szukał przez cały dzień: otworzyła się chłodnia, w której zamrożona była jego męskość. Zamknęła się księga jego obaw z przeszłości. Został wystrzelony w strefy niezwyklej ulgi i znalazł się w stanie błogosławionej bez troski. Jego

ulga nabrzmiała do takich proporcji, że pijąc piwo, zastanawiał się, czy nie jest to coś więcej niż tylko odrzucenie wcześniejszych trosk. Czy jego miłość nie przeradzała się w pożądanie ciotki narzeczonej? Myśl, że mógłby żywić do niej tego rodzaju uczucia, męczyła go i czuł, że jego stopy ssie błoto, w którym nie miał odwagi się zanurzyć. Kuszące było potraktować narzeczoną i jej ciotkę jak uzupełniające się części jednego charakteru, jednej osoby. Jeżeli Dziewica była tą poważną, zdecydowaną, ambitną, to jej ciotka powinna być swawolną, wesołą, lubieżną figlarką. Nigdy wcześniej podobny dylemat nie wziął go na rogi i modlił się, by była to jedynie fantazja, halucynacje przemęczonego i wpółżywego narzeczonego.

Ciotka Dziewicy szepnęła mu coś do ucha, ale Serenity nie usłyszał tego. Zadrzał po same kości, poczuwszy ponownie jej rękę na swoim ramieniu. Przeszedł przez niego wstrząs, jakby muł go kopnął. Kobieta usiadła, a jej błyszczące, ciemnobrązowe kolano, na które padło złote światło, ze zmieszania i tłumionego pożądania wywołało u niego zawrót głowy. Jego ciało wypełniły wspaniałe sensacje, gdy dotknęła jego łydki. Jeżeli los ich trojga nie został tu przypieczętowany, to z pewnością ich życia, jak trzy rzeki spływające po stromym zboczu, spotkały się tu, połączyły i utorowały sobie drogę do gorzkiego morza za mgłą.

Serenity, odmłodzony, silny, z płomieniem w klatce piersiowej, z łaskotaniem w jądrach i źródłami rozkoszy tryskającymi z żołądka doszedł znowu do siebie. Ponownie się skaleczył, lecz nie czuł już tego, było mu wszystko jedno. Pomalowane na białą ściany, białe obrusy i białe prześcieradła wydawały się dygotać i drżeć. Dolna część ciała Serenity potrzebowała wszystkich sił, bo jego żona miała błonę dziewiczą tysiąca kobiet. Dyszał niemal do utraty tchu i pocił się na całym ciele, ale był zdecydowany przebić się przez tę błonę, choć była łykowata jak niewygarbowana skóra.

Otoczony trzeszczącymi, chylącymi się ścianami, piszczącymi i kwiczącymi myszami, szeleszczącymi i chrzęszczącymi prześcieradłami, Serenity staranował barierę Dziewicy, która była jedną kołyszącą się falą lśniących mięśni. Wyprodukowane zostały trzy bardzo duże rubiny, dwa średnie i jeden malutki. Ciotka narzeczonej pogratulowała im uśmiechem, zadowolona, że narzeczone nie chodziła po drzewach, nie jeździła na rowerze i nie bawiła się ostrymi przedmiotami, które mogły uszkodzić jej błonę. Poplamione prześcieradło zostało szybko zaniesione kilku członkom rodziny obu stron do przestudiowania. Promieniejący teraz ze szczęścia Serenity podarował rodzinie narzeczonej - jak chciała tradycja - dużą, tłustą kozę.

Narzeczone, przebrawszy się, wróciła na podium bez korony, z nieruchomą, zboląłą twarzą. Tancerze znowu zaczęli kołysać biodrami. Muzycy i śpiewacy ustawili się do jednej z najdłuższych sesji wieczoru. Tłum szalał z niecierpliwości. Pod koniec wieczoru wszyscy

będą tańczyć i śpiewać, młodzi mężczyźni będą kłąć i wrzeszczeć, wyglądając okazji do szybkiego numerka albo bójki, a staruszkowie wycofają się, aby ustąpić miejsca młodzieńczym ekscesom. Bębniarze z wielkim zapałem ponownie uderzyli w bębny, a skrzypkowie przeciągnęli smyczkami po strunach, pobudzeni jedzeniem i piwem oraz zachęcającymi okrzykami publiczności. Panna młoda najchętniej posłałaby wszystkich do diabła, już choćby tylko z powodu dwuznacznych spojrzeń, jakie jej rzucano. Wszyscy dowiedzieli się już, że była dziewicą, a pijane wyobrażenia krwi i przytłaczającego seksu sprawiły, że stali się jeszcze bardziej rozognieni, jeszcze bardziej wyzywający.

Serenity czuł się częścią tłumu. Był tak pewny siebie i radosny, że nie zwracał uwagi na pieczenie wywołane głębokimi ranami na jego żołądki. Rozkoszował się zainteresowaniem własną osobą i życzeniami szczęścia: przyjaciele, członkowie rodziny i obcy wchodzili na podium w namiocie, aby uścisnąć mu rękę i szepnąć do ucha parę słów. Wyjątkowa uprzejmość, z jaką to robili, przywodziła mu na myśl ojca u szczytu władzy. W tym momencie rozważał nawet, czy nie ubiegać się o funkcję zarządcy terytorium klanu. W porównaniu z jego wykrzywionymi twarzami uczniami z dziurami między zębami było to bardzo odległe marzenie. Ale wyobraźnia natychmiast pociągnęła go za sobą na rozgorączkowane spotkanie polityczne, z grzmiącymi głośnikami, krzyczącymi politykami i tłumem odurzonym obietnicami lepszego życia. Niezależność stała pod drzwiami, a coś, co przeskoczyło na niego z wyimaginowanego tłumu, powiedziało mu, że nie powinien przepuścić takiej szansy. Z tego całego bębnienia, z tego całego śpiewu i wszystkich poddańczych życzeń szczęścia wywnioskował jedno: powinien złapać szansę, żeby się wybić.

Dwóch tancerzy, kołysząc biodrami i potrząsając brzuchami, wkroczyło na podium z nogami rozstawionymi już do jednego z tych spektakularnych szpagatów, które rozerwałyby mięśnie każdego amatora. Serenity wstał i wyszedł do tancerzy, a oni obiegli go z lubieżnymi minami, przyciskając do niego rozkołysane biodra w symulowanej kopulacji - tak gwałtownie i frywolnie, jak to tylko było możliwe. Tańczył z nimi miękko, gdy złapali go za ręce, drżąc, jakby ziemia pękała u podstaw. Następnie tancerze podnosili do góry jedną nogę, jakby byli psami próbującymi obsikać wysoki pał, po czym wycofywali się, dygocząc. Panna młoda najchętniej wybiłaby wszystkich do nogi. Zastrzełaby nawet Serenity, ponieważ zdjął marynarkę, związał ją w pasie, poszedł za tancerzami i o mało nie upadł na twarz w słomę przed podwyższeniem. Nie tańczył zbyt dobrze, był za bardzo sztywny, nie był też zbyt urodziwy, ale ponieważ był panem młodym, człowiekiem odpowiedzialnym za te wybryki, tłum pokrzykiwał do niego zachęcająco. Szybował na nowej fali zamroczony nową, nigdy wcześniej nie odczuwaną brawurową witalnością. Nie miał pojęcia, skąd się brał ten ogień, i

nie chciał zastanawiać się nad tym zbyt głęboko ze strachu, że go straci albo spłoszy. Podrygiwał, mając nadzieję, że ma to coś wspólnego z rubinami na prześcieradle, a nie z magicznymi palcami na jego ramieniu. Tłum połknął go. Zaczęto oblewać go piwem, wsadzać mu do kieszeni banknoty i podnosić go wysoko do góry. Wszystkie bębny zdawały się walić i dudnić w jego głowie. Dziadek również był w ekstazie. Chwiał się jak pijany tancerz. Tiida i Nakatu także tańczyły i krzyczały, a Babcia machała w powietrzu szalem w rytm muzyki.

Ostatnią osobą, której był świadomy, była Nakibuka, ciotka towarzysząca narzeczonej, która go rozebrała, zmyła z niego piwo, wymiociny i brud i w końcu położyła do łóżka.

Wesela nie zawsze się udawały, a gdyby sugerować się śladami dookoła domu Serenity, można by sądzić, że podczas uroczystości nastąpiła mała katastrofa. Na zewnątrz namiotu, na werandzie i na drodze było tyle rzygów, że gdyby twierdzenie, iż jakiś żartowniś zapłacił ludziom za zarzyganie wszystkiego dookoła, nie brzmiało zbyt absurdalnie, Serenity naprawdę by uwierzył, że zrobiono to celowo. Wszystkie pieczone banany, całe chude mięso, wszystkie krowie żołądki i całe piwo zostały zwrócone, prawie nieprzetrawione. Ubikacje i teren wokół nich wyglądały jak dotknięte kataklizmem. Serenity w całym swoim życiu nie widział takich ilości gówna. A ślady żółtozielonej biegunki wywoływały u niego odruch wymiotny. Jeżeli za takie szczodre rozrzucenie gówna nie było odpowiedzialne stado hipopotamów, to z piwem bananowym, które konsumował tłum, musiało być coś bardzo nie tak. Serenity przypomniało się, że jak to było w zwyczaju przy tego rodzaju okazjach, napoje zatroszczyły się różne osoby, nie uzgadniając tego ze sobą. „Ale na co by się zdała lista donatorów?” - pomyślał wzruszył ramionami.

Posprzątanie wszystkich śmieci, wszystkich szalasów, całego brudu miało zająć kilka dni, ochotników jednak nie brakowało. Na szczęście nikt nie narzekał na piwo ani na jedzenie, a w następnych tygodniach nie zanotowano żadnych przypadków śmiertelnych. Więc nie był to spisek! Nikt nie wrzucił do napojów ani nie dodał do jedzenia kawałków wątroby hieny. Co za ulga!

W hierarchii społecznej, w której rodzina męża stała ponad żoną, każda kobieta zamierzająca rządzić domem po swojemu musiała od pierwszego dnia małżeństwa wziąć ster mocno w swoje ręce. Na początek musiała natychmiast wyraźnie dać rodzinie męża do zrozumienia, że w nowym gospodarstwie, w którym ona będzie dzierżyć berło, dzieć się będzie zupełnie inaczej niż teraz, w następstwie uczyty weselnej. I było to dokładnie to, co zrobiła ta niepokieszona i naburmuszona Kłódka. Członkowie rodziny Serenity prędko się

zorientowali, że wszyscy poranni goście, mający nadzieję na kawałek tortu weselnego, kieliszek, porządne śniadanie, a może i jakąś przekąskę w południe - podaną oczywiście z uśmiechem na ustach - nie są zbyt mile widziani. Prędko zaczęli czuć się ogromnie skrępowani wobec niezbyt rozmownej narzeczonej, w ciszy pokoju gościnnego, która stawała się coraz bardziej bolesna. Kilku z nich westchnęło nawet, że lepiej by było, gdyby Serenity ożenił się z Nakibuką, ponieważ ona przynajmniej była wesoła, chętnie rozmawiała, a poza tym słodko się uśmiechała. Każdy prędko zrozumiał też, że nie powinien wstępować do domu Serenity, gdy go nie było, co zdarzało się dość często, ponieważ oprócz podjętych na nowo obowiązków szkolnych miał mnóstwo pracy.

Siostry Serenity, Tiida i Nakatu, obie weteranki małżeństwa, znajdujące się na rzeczy, szybko zauważyły, że ich brat ożenił się z kobietą, która będzie je trzymać z dala od jego domu. Podobnie jak wielu innych członków rodziny odjechały do swych domów, gdy tylko kupy gówna i kałuże rzygów zostały sprzątnięte, pożyczone krzesła i ławki oddane, a namiot złożony. Tiida streściła swoje uczucia następująco: „Co za kobieta. Nieprzystępna jak Mpande Hill”.

— Przecież ja to od razu mówiłam - odparła Nakatu.

Poza tym obie zgodnie twierdziły, że kupy gówna i kałuże rzygów są znakiem płodności. Czują, że w kwestii rozmnażania Kłódka prześcignie je obie. Nie żeby rywalizowały z młodszym bratem, ale gdy można było przyjść do domu ojca na wesele, pogrzeb albo spotkanie klanowe z orszakiem dzieci, było to oznaką wpływu. Tiida przestała planować dalsze potomstwo - doktor Ssali miał zbyt wrażliwy nos i żołądek, by jeszcze dłużej znosić widok pieluch. Nie mógł też już wytrzymać dziecięcego krzyku, gdy wracał do domu po ciężkim dniu w szpitalu. Chciał mieć tylko dwójkę dzieci. Tiida podarowała mu czwórkę, a o dwa ostatnie musiała błagać. Nakatu miała tylko dwójkę, bliźniaki, i obawiała się, że zepsuły jej coś w środku, bo pomimo usilnych wyrachowanych prób od ośmiu lat nie zachodziła w ciążę. Ze swym niespełnionym marzeniem o dziecku nie cieszyła się zbytnio z przypuszczalnej płodności nowej szwa - gierki. Hadżiego Ali z jego cudownym nasieniem jeszcze wówczas nie spotkała. Ale również potem nie przepadała za Kłódką właściwie cieszyła się, że żona Serenity okazała się taka mrukliwa; nie musiała teraz przynajmniej wymyślać wymówek, by trzymać się z dala od niej.

Samej Kłódce nie brakowało szczególnie towarzystwa brato - wych. Z nich obu wolała Tiidę. Tiida wyglądała według niej na człowieka czynu, kogoś, kto stara się poprawiać siebie samego. Smutne jednak było to, że wciąż poprawiała się w niewłaściwym kierunku. Kłódka współczuła jej z powodu jej niewybaczalnej dumy i zarozumiałości. Kobieta, która

brała kąpiel cztery razy w ciągu dnia, wszystkim się przejmowała i błagowała na temat swej toalety ze spluczką, marmurowej łazienki i wysokiej pozycji męża, była chora, niezdolna i nad wyraz godna ubolewania. Gdyby Tiida nie była jej bratową, Klódka porozmawiałaby z nią, aby ją ostrzec i aby jej pomóc pokonać złe cechy. A poza tym, aby jej powiedzieć, że zarozumiałość wynika z nieznamośności własnej osoby i że bardzo ostro musiałyby się wziąć do pracy, żeby to zwalczyć. Jakże chętnie wbiłaby do dumnej głowy Tiidy, że piękno, a w szczególności ten rodzaj piękna, jaki Tiida czyściła cztery razy dziennie, było śluzem, krwią, żółcią smarkami... Zmusiłaby ją też do przeczytania pism Jana Chryzostoma, a jeśli byłoby to konieczne, wyciągnęłaby nawet różgę. Ale siostróm męża nie wolno było wypominać ich błędów; były nietykalne i skazane na szczytnie we własnym kale.

Nakatu została przez Klódkę obejrzana z wysokości tronu jej nowego królestwa, z lekceważeniem przyprawiającym omdłości. Dla niej Nakatu była wszą. Niedobrze jej się robiło od niepewności bratowej, o której świadczyło ciągle gadanie o jej dużym przystojnym mężu i rowerze Raleigh, który podarował Dziadkowi, i narzekanie na zdrowe jak ryba bliźniaki. Niepewność świadczyła o braku charakteru albo o słabym charakterze, braku wychowania w dyscyplinie i bojaźni bożej. Co księża i nauczyciele religii wyprawiali w tej okolicy, w tej parafii? Czyżby pozostawili wszystko Diabłu, który wyssał z ludzi szpik i zrobił z nich puste, niepewne łuski? Nakatu była tak chwiejnym typem, że Klódka była pewna, że bratowa uległaby wszelkim pokusom, łącznie z pójściem do łóżka i wyjściem za mąż za muzułmanina, i że byłaby nawet w stanie nawrócić się na islam. Klódka była ponadto przekonana, że Nakatu radziła się znachorów, którzy obiecywali jej zajście w ciążę, zjadali jej kurczaki, wyciągali z niej pieniądze i uciszali jej sumienie bzdurnymi rytuałami, wyściełającymi jej drogę do ostatecznego potępienia. Klódka widziała już Nakatu tańczącą nago wokół ogniska albo kąpiącą się w różnych świństwach: w zwierzęcej krwi i sikach i wszystkim, co ci znachorzy przepisywali. Widziała już Nakatu pijącą mieszanki z żółci salamandry, jaj węża i lwiej spermy. Widziała nawet Nakatu pieprzoną przez obrzezanego znachora, któremu zależało tylko na jej pieniądzech i na jej ciele. Dusza bratowej wołała o ratunek. Jakże chętnie Klódka wypędziłaby z niej te wszystkie demony! Widziała już siebie samą poszczącą i zamykającą Nakatu na całe dnie; widziała siebie wchodzącą do wypełnionego demonami pokoju Nakatu, rozbierającą ją, smagającą biczem i nakazującą Diabłu opuszczenie jej ciała. Widziała siebie siedzącą przy Nakatu i czekającą, aż wyjdą z niej wszystkie diabły, jeden po drugim. Na koniec zrobiłaby jej lewatywę z wody święconej, ochrzciłaby ją po raz drugi i pozwoliła odejść. Ale siostróm męża nie wolno było wypominać ich błędów; były nietykalne skazane na szczytnie we własnym kale.

Aby wtrącaniu się Dziadka i Babci do jej spraw natychmiast ukręcić łeb, Kłódka przygotowała wysublimowany, strategiczny wybuch wściekłości. Jak wiadomo od początku nie znosiła Dziadka. Był jedyną osobą, przy której czuła się niepewnie nieswojo. Co on sobie wyobrażał? Wciąż się obawiała, że przywróci Kasiko do jej dawnej pozycji, gdy tylko nadarzy się ku temu okazja, albo że tak podbechta swego syna w jego *machismo*, że ten weźmie sobie drugą żonę. Aby temu zapobiec, natychmiast musi urodzić syna, pierwszego z wielu, którzy po nim nastąpią. Wiedziała, że będzie niepokonana i będzie mogła wszystko sobie podporządkować pod warunkiem, że spłodzi co najmniej tuzin potomków. Byłby to najlepszy sposób na starcie z twarzy tego starego człowieka owego zarozumiałego wyrazu, owego nieznośnego, tryumfującego wyrazu kogoś, kto innego uleczył z trądu. Oczywiście, że to ona była trędowata, a jej trądem było ubóstwo. Czy ten człowiek nie ostrzegł swego syna, że żeni się poniżej swego stanu? Czy to nie on w niekatolicki sposób powątpiewał w jakość jej genów? Jako dobra katoliczka powinna mu przebaczyć siedem razy siedemdziesiąt i wybaczyła, ale nie zapomni mu tego nigdy.

Stopniowo będzie go zmuszać, by pożerał z powrotem własne słowa. Postara się, by zniknęła falująca blacha, błyszcząca w jego oczach za każdym razem, gdy na nią patrzył. Wciąż jeszcze spuszczała przed nim oczy, wciąż jeszcze klękała przed nim, jak przystoi dobrej synowej, i pozostawała na kolanach, kiedy zwracał się do niej i zadawał jej pytanie, które doprowadzało ją do wściekłości:

— Wszystko w porządku, dziewczyno?

Czy ten stary gamoń myślał, że jest akurat po operacji, wykonanej przez pijanych chirurgów, ma chore serce albo dopiero co została uleczona z odrażającej przepukliny? Czy to z powodu jej rubinów i kozy подарowanej przez jego syna jej rodzinie tak się zachowywał? Czy sądził, że jego syn ma interes jak zebra i za każdym razem, gdy ją pieprzy, trzeba ją potem cucić kubłami zimnej wody i zszywać? Bardzo chętnie wbiłaby Dziadkowi do głowy, że jego syn jest w łóżku dość przeciętny od tej pory będzie musiał liczyć się z regularnymi okresami posuchy. Na początek nie będzie dopuszczać seksu w soboty niedziele, w ważne święta kościelne, w dzień świętego Piotra świętego Jana Chryzostoma, podczas czterdziestodniowego postu, tygodnia wielkanocnego i podczas ciąży. Jeśli więc ten stary człowiek wierzył, że wychował zebra, albo jeśli Kasiko pozwoliła mu tak myśleć, na przykład szepcząc do ucha Nakatu kłamstwa, to ona tę pomyłkę skoryguje. Możliwe zresztą, że Serenity sam przesadzał.

Klękała jednak jeszcze jak układna synowa i nawet się uśmiechała, kiedy Dziadek zwracał się do niej „dziewczyno”. Dziewczyna! Nie znosiła tego słowa. Nigdy nie

przykładała wagi do czegoś tak głupiego jak wiek i zawsze chciała być starsza, niż była.

Ten stary człowiek, słusznie pozbawiony przed laty władzy, wciąż jeszcze przemawiał z autorytetem despoty w głosie, nadając swoim słowom błogosławiący bądź lekko obraźliwy ton: no cóż, jesteś dziewczyną ze wsi, ale dzięki Bogu ciężka praca nie zrobiła z ciebie wołu roboczego. W słowie „dziewczyna” pobrzmiwał też odcień protekcjonalności i wątpliwości. Wiedziała, że Dziadek, dla siebie i dla innych, chciał tylko dużych kobiet, a ona nie była największa na świecie. Nie miała też tak idiotycznie szerokich bioder, takiego płaskowyzu płodności. Nie miała jednak także skóry grubej jak skóra słonia, więc pokaże mu jeszcze kiedyś, że nie należy z niej szydzić. Ale na razie, wstając z klęczek i widząc dwa wygniecione w ziemi dołki, szeptała: „Panie, Panie, Panie, jak ja nisko upadłam! Jak długo będę jeszcze porównywana z prostackimi kobietami i dziwkami?”.

Jak wszystkim pozornie bezradnym istotom, przyszło Serenity z biegiem lat sporo przełknąć. Działo się tak, ponieważ wielu ludzi, nawet po jego przeprowadzce do miasta, nadal powątpiewało w żywotność jego małżeństwa i przydatność jego żony. Podczas wielu parnych popołudni, po których nad okolicą wiała delikatna bryza, strzepując z bananowców popołudniowe lenistwo, Dziadek i Babcia po spożytym posiłku i przy syczącym na ogniu kociołku z kawą brali pod lupę stan sprawy. Dziadek mówił wówczas:

— Nie powinien był się w ogóle żenić z tą dziewczyną. Syn wodza plemienia nie powinien dać się usidlić wiejskiej dziewczynie.

— To był jego własny wybór - odpowiadała Babcia. - A tak długo, jak długo się w miarę dobrze dogadują... Poza tym matka Sere była córką przywódcy i patrz, co się z nią stało.

— To inna sprawa. Ta kobieta miała robaka w głowie: nie mogła zaznać spokoju. Myślała, że cały świat kręci się wokół niej. Dawałem jej najpiękniejszy jedwab i najlepsze kozie mięso, traktowałem tak dobrze, jak mogłem, a i tak mnie zdradziła z jakimś beznadziejnym sukinsynem. Nawet swoje dzieci zostawiła dla tego skapcaniałego gbura!

— Nie poświęcałeś jej dosyć uwagi. Była najmłodszą z wszystkich twoich żon, w klatce lwa pełnej łykowatych bab, które przeżyły wszystko między niebem a piekłem.

— Daj spokój, siostrze. Była moją ulubioną żoną. Czego więcej mogła pragnąć? W gruncie rzeczy powinienem był wysłać za nią policję i kazać przyprowadzić ją z powrotem. Nigdy nie powinienem się zgodzić, by spędziła choćby jedną noc w domu tego sukinsyna.

— Straciłeś ją, a teraz boisz się stracić również syna?

— Sere nie jest zainteresowany klanem. Ożenił się z kobietą, która powinna zostać żoną papieża albo arcybiskupa. Dziwi cię, że boisz się go stracić?

i Spójrz na to tak - powiedziała Babcia. - Najpierw Sere miał kobietę, która się go bała, a jednocześnie stawiała go na piedestale. Czegóż Kasiko by dla niego nie zrobiła! Urodziła mu córkę i urodziłaby mu jeszcze wielu synów, ale ją odesłał ożenił się z tą kobietą. O niego nie musisz się martwić. Martw się lepiej o jego córkę, naszą wnuczkę, której już tak dawno nie widzieliśmy. Czuję, że ta kobieta odda ją jakiemuś mężczyźnie tylko po to, by mu zrobić przyjemność albo żeby dokuczyć Sere. I pomyśl: kiedy Sere widział ją po raz ostatni?

— Lubilem Kasiko. Ona przynajmniej wiedziała, jak obchodzić się z ludźmi. Nie była zbyt rozgarnięta, ale żona Sere też nie jest doktorem ani adwokatem. Chociaż nie, jest przecież doktorem katolicyzmu - Dziadek wybuchnął gromkim śmiechem. - Próbowałem zainteresować go jego pierworodną, jego pierwszą krwią, ale za każdym razem, gdy o niej zaczynam, zmienia temat. Co ja mogę na to poradzić?

— Gdybym była na twoim miejscu, poszukałabym sobie młodej dziewczyny albo przyzwoitej kobiety, która mogłaby się o mnie zatroszczyć. I nie rozmyślałabym zbyt długo nad synem, który ożenił się z doktorem katolicyzmu.

— Młode dziewczyny to tylko kłopot. Już po jednym dniu w twoim domu idą szukać chłopaków w swoim wieku, od których dostają rzeżączki, po czym oczekują od ciebie, że zapłacisz rachunki lekarskie. A starszym kobietom pozostaje zbyt wiele neuroz po poprzednich niepowodzeniach.

— Mimo wszystko nie zawracałabym sobie głowy kimś, kto się ożenił z kobietą, która właściwie powinna była wyjść za mąż za papieża - śmiała się Babcia. - Ale teraz, kiedy powierzyła mi swoje pierwsze dziecko, choć dość brutalnie to zrobiła, mogę jej życzyć jedynie wszystkiego najlepszego.

■- Żona Sere ma na niego szkodliwy wpływ.

— Ty lepiej uważaj na niezamężne dziewczęta kołyszące biodrami... - zaśmiała się wieloznacznie Babcia.

Czterdzieści pięć dni po utracie przez jego narzeczoną dziewictwa rozpoczęła się dla Serenity pierwsza posucha seksualna: lekarz potwierdził, że Kłódka jest w ciąży. Na dowód tego przez wiele tygodni codziennie rano obficie wymiotowała i żuła słonawą glinę z bagnistego terenu u stóp Mpande Hill.

Serenity tchnął w swoje marzenie o opuszczeniu wioski nowe życie, jakby mógł w ten sposób stłumić swe sfrustrowane popędy seksualne, i pisał listy motywacyjne do instytucji państwowych, aby dostać pracę w mieście. Kraj zalała fala afrykanizacji, liczne zakłady i instytucje przechodziły z rąk Azjatów lub Europejczyków w ręce rodzimych biznesmenów, więc Serenity miał nadzieję na pracę. Ale po jedenastu miesiącach małżeństwa nie miał

jeszcze żadnych widoków na rozmowę w tej sprawie. wtedy ja przyszedłem na świat.

Tak mocno padało w tamtym tygodniu i tak lało tamtego dnia, że mokradło napuchło i wydawało się, że zacznie się dzielić na mnóstwo mniejszych złośliwych mokradeł. Były powodzie, w wyniku których zawały się akwedukty, a niebieski ford zephyr, którego Serenity wynajął, żeby móc zawieźć żonę do szpitala Ndere, stanął po dach w wodzie. Gdy Kłódka rodziła, kierowca musiał wspiąć się na bagażnik i ucześć się go podczas szalejącego wiatru. Wody przybywało i kierowca zaczął wykrzykiwać przez wiatr swoją ostatnią wolę, przekonany, że nie wyjdzie z tego z życiem. Jednak po dwóch godzinach wiatr ucichł, przestało padać, a ten biedny człowiek dziękował swym bogom, że go oszczędzili.

Babcia przecięła mi pępowinę nową dwustronną żyłką marki Wilkinson Sword. Kłódka nadała mi imiona Johannes Chrysostomus oraz Noel, mimo że nie było to Boże Narodzenie. Serenity wybrał kilka imion z arsenału Wiewiórczego Klanu, po czym nałożył na mnie obowiązek, żebym w imieniu Dziadka zemścił się i pewnego pięknego dnia został adwokatem. I aby wyraźnie zaznaczyć, że przekazał mi pałeczkę, nazwał mnie dodatkowo „Muwaabi”, co oznacza „oskarżyciel” lub „publiczny oskarżyciel”. Równie dobrze mógł mi nadać imię „Zemsta”. Dziadek nie mógł w młodości zostać adwokatem, ponieważ adwokatami mogli być wyłącznie biali. On nazwał mnie „Mugezi” (wspaniały lub inteligentny) - jedyne imię, które zatrzymałem, kiedy uznałem, że nadszedł czas, by z mojej listy imion skreślić wszelki zbędny balast. Babcia nie nadała mi żadnego imienia, ale od moich urodzin rościła sobie do mnie prawo i obwieściła moją przyszłą rolę asystenta akuszerki oraz maskotki położnicy (kobiety ciężarne, w wiecznej nadziei na synów, preferowały męskie maskotki).

Kłódkę oburzała arogancja tego obwieszczenia i zniechęciła Babcie z tego powodu, ale nie mogła nic zrobić, ponieważ to właśnie ona przecięła moją pępowinę. Jej myśli błądziły wokół snów Babci o bawole i krokodylach i coraz mocniej wierzyła, że te sny były prorocze. To było tak: mówiono, że tydzień przedtem, zanim Serenity przedstawił rodzinie Kłódkę jako swoją narzeczoną, Babcia miała dwa krótkie sny. W pierwszym widziała Kłódkę stojącą na piasku, a za nią bawoła. W drugim śnie Serenity gapił się na ogromnego krokodyla na dnie wąwozu. Babcia odmówiła wyjaśnienia obu snów. Kłódka poprosiła wówczas narzeczonego, by on to zrobił. Serenity w swojej interpretacji wyszedł od symboli totemowych. Kłódka należała do totemu słonia. Bawół również był leśnym olbrzymem, więc także pewnym rodzajem słonia, i symbolizował władzę (totemu). To, że bawół stał w piasku, było znakiem jego nieposkromienia, dodał na koniec.

Drugi sen wytłumaczył w podobny sposób. Krokodyl symbolizował nadzwyczajną

władzę, takt, cierpliwość, znajomość samego siebie, pęd terytorialny i długie życie (sto pięćdziesiąt milionów lat ewolucji). Ponieważ Babci śnił się krokodyl, a nie wiewiórka, Serenity musiał dojść do wniosku, że jego małżeństwo jest układem równych sobie. Jego żona - bawół - miała być napastnikiem, on zaś - krokodyl - taktykiem, głosem przeczności, zdrowym rozsądkiem.

Kłódka, która była o wiele bardziej podejrzliwa, zrozumiała sny Babci raczej negatywnie. Kobiety, które miewały tego rodzaju sny, nie miały najczęściej zbyt dobrych zamiarów, podobnie jak czarownice w czasach inkwizycji. Kłódka wychodziła z założenia, że Babcia próbowała ją szantażować i sięgnęła po sny, aby związać Serenity ze sobą. Matki, które z trudem rozstawały się z synami, często tak robiły. Babcia oczywiście nie była matką Serenity, ale Kłódka wierzyła, że uważa się za zastępczą matkę. Dlaczego bawół, a nie słoń, jeżeli to wszystko było takie niewinne? I po co ten piasek? Po piasku trudno poruszać się do przodu - to był zły znak. Raczej było tak, że to Babcia była tym piaskiem i chciała utrudnić jej dalsze kroki, zamierzała mieszać jej szyki, a jej małżeństwo zmienić w piekło.

Przekonanie, że Serenity pochodzi z zatrutego gniazda, coraz głębiej wżerało się w jej serce. Przede wszystkim była jego puszczańska matka, podejrzewana o to, że zabiła dwie własne córeczki, noworodki; kobieta, która zaszła w ciążę z innym mężczyzną i odchodząc, uciekła przed pajęczyną własnego wstydu i zmarła w hańbie. Potem był jego pogański ojciec, który twierdził, że jest katolikiem, ale wszędzie miał kobiety i w grzesznych okolicznościach spłodził dziecko, Kawayidę - prawdopodobnie jedno z wielu dzieci, jakie spłodził i wydziedziczył, albo jedno z wielu, jakie zgubił w labiryncie swoich pozamałżeńskich związków. A potem były te dwie siostry Serenity. Jedną więziła jej własna głupota i próżność, drugą zaś przygniatały dziwactwa, oddawanie czci diabłu, czary i opuszczenie się w wierze. I do tego jeszcze ta dziwna ciotka, cierpiąca przez całe życie na brak menstruacji, pomagająca przy porodach, przepisująca zioła i miewająca ezoteryczne sny, których nie miała odwagi wyjaśnić. Ponieważ Kościół nie zezwalał już na palenie czarownic, jedynym, co Kłódce pozostało, było baczne obserwowanie tej kobiety i trzymanie jej z dala od domu, z dala od własnego życia i z dala od życia jej przyszłych dzieci.

Kłódka nie miała we wsi przyjaciółek do plotkowania, toteż pogłoski na jej temat pleniły się równie bujnie jak chwasty po pożarze lasu. Ludzie nie rozumieli jej, a skoro nie otrzymywali informacji, których łaknęli, sami odpowiadali sobie na liczne pytania dotyczące jej osoby. Wskutek tego Kłódka nabrała do całej wsi ogromnej niechęci. Czuli się wtłoczona między Dziadka i Babcie, a tymczasem atmosfera w domu Serenity, z powodu jego centralnego położenia, stała się niebezpieczna jak skalna ściana dla kogoś, kto cierpi na lęk

przestrzeni. Kłódka miała wrażenie, że jej pilnują, że niewidzialne oczy pchają ją w kierunku przepaści po obu stronach domu. Babcia jeszcze tylko pogarszała sytuację, bo za każdym razem, gdy słyszała, że beczę, pojawiała się w zagrodzie z takim wyrazem twarzy, jakby przyszła coś pożyczyć, lecz zapomniała, co to było. Kłódka zachowywała się wówczas tak, jakby akurat była czymś bardzo zajęta i nie widziała jej. Potem nagle się odwracała, gotując się z wściekłości, spoglądała nieruchomo na Babcie i mówiła:

— Witajcie, ciotko, czemu zawdzięczamy tę niespodziewaną wizytę?

— To nie jest niespodziewana wizyta - odpowiadała Babcia stoicko. - To wizyta grzecznościowa staroświeckiej kobiety.

Później, kiedy te złośliwości się nasiliły i zaczęły być wyrażane otwarcie, dodawała jeszcze:

— Starej kobiety, która przyszła rzucić okiem na męża.

Babcie często dla żartu nazywały swoich wnuków „mężami”, ponieważ wnukowie tacy jak ja według tradycji mieli być ich przyszłymi opiekunami, kiedy ich prawdziwi mężowie nie będą już żyć. Kłódka z wielkim trudem przełykała ten grubiański wyraz pogaństwa w swoim domu, ale nie mogła zrobić niczego, by z tym skończyć.

Sparaliżowana i bezsilna jak szarańcza bez nóg, odreagowywała swoją nienawiść między innymi na mnie, ponieważ przyszedłem na świat owego potwornego deszczowego dnia, podczas owego potwornego deszczowego tygodnia, i tym samym przyczyniłem się do tego, że jej największy wróg uzyskał tak potężny wpływ na jej sprawy domowe. Ale wszelkie te sprzeczki były jedynie przedsmakiem epickich zmagania, jakie miały nastąpić później, w napiętej atmosferze miasta.

Kłódka w lot pojęła, że trudno jej będzie wygrać wojnę z nowinkarzami. Zaczęto twierdzić, że swój obecny status zawdzięcza raczej czarom niż czemukolwiek innemu. Ponieważ uświadamiała sobie, że plotkarze mogliby wyrządzić o wiele więcej zła, robiła, co mogła, by trzymać się od nich z daleka, i nie odzywała się nawet wtedy, gdy nadarzała się okazja, by paru z tych „pogan” solidnie ochrzanić. Skutek był taki, że czuła w sobie coraz bardziej narastające napięcie i najchętniej jak najszybciej by się przeprowadziła. To ona była tym nowym winem, które należało umieścić w nowych workach. Ale bała się, że w starych, w które wiano ją w dniu ślubu, zepsuje się, zanim dostanie szansę, by je rozerwać.

Kiedy była sama w domu, miała wrażenie, że zgniatają ją jego stare duchy, jego stare tajemnice, stare zazdrości i stara nienawiść. Gdy wchodziła do sypialni, wszędzie czuła zapach zepsutego mleka, pomieszany ze smrodem długoletnich kawalerskich szaleństw Serenity, i ponownie uświadamiała sobie obecność skalanego łóżka, na którym poświęciła w

ofierze swą świętą błonę dziewiczą. To łóżko ze swoimi piekielnie skrzypiącymi sprężynami zdawało się roztaczać grzeszne zapachy, było jak ropiejący wrzód, który wszystko zaraża. Kłódka aż kurczyła się w sobie, myśląc, że zgodziła się stać jego ofiarą. Łóżko uświadamiało jej, że Serenity w dniu ich ślubu nie był już prawiczkiem. I że jego grzeszny, upadły stan został umieszczony w tej jego córce, o której nigdy nie mówił, a która przebywała gdzieś na wsi i drwiła z niej i jej dzieci. Kłódka cieszyła się, że tym grzesznym dzieckiem jest dziewczynka bez prawa dziedziczenia, drżała jednak na myśl, że pewnego dnia dziewczynka ta popadnie w grzech jak jej matka, rodząc własne, najprawdopodobniej również nieślubne dzieci.

Często wspominała dni przed weselem. Widziała siebie samą nacieraną topionym masłem. Nacierała ją ciotka Nakibuka, która kazała jej spokojnie leżeć, nie ruszać się, żeby masło przeniknęło głęboko w skórę na palącym, gorącym słońcu. A podczas gdy ona musiała znosić ten zapach, ten żar, to wysuszenie, splamiony Serenity musiał się jedynie wykąpać i pójść do fryzjera. Chciałaby go wepchnąć do tego rozgrzanego masła i splukać ciepłą wodą, by z jego skóry i jego myśli wymoczyć wszystkie kobiety. Chciałaby użyć roztopionego mydła, gorącego jak gotujący się ołów, i wypalić z jego porów wszelkie grzechy, kazać mu zmówić wiele, wiele modlitw i zrobić mu wiele, wiele lewatyw święconą wodą. Wtedy dopiero byłby gotowy do pozbawienia kogoś dziewictwa. Było już jednak na to za późno. W tej chwili czuła jedynie skondensowany smród dziesięciu lat grzechu. Musiała opuścić ten zwyrodniały dom, choćby ze względu na dzieci. Dała Serenity dosyć czasu na znalezienie rozwiązania. Teraz zaczęła grozić, że zrówna z ziemią ten splamiony, śmierdzący, przeklęty dom.

— Kiedy będziemy mogli wyjechać? - pytała ze swej czerwonej maty, spoglądając na męża, który jadł pieczone banany z mięsem. A może to były słodkie ziemniaki z rybą?

— Robię, co mogę - odpowiadał, nie patrząc na nią.

Był zadowolony ze sposobu, w jaki prowadziła dom, lecz denerwowało go, gdy dręczyła go czymś ważnym podczas jedzenia. Niektóre kobiety, jak Kasiko, robiły to w łóżku; Kłódka robiła to podczas obiadu lub kolacji. Obu brał za złe ich *timing*, ponieważ sugerowało to słabość z ich strony.

— Czekam na wezwanie na rozmowę - wyjaśniał.

— Czekasz już tak długo. Prawie dwa lata temu zacząłeś czekać. Może poczta gubi twoje listy. Albo może ktoś w szkole je ukrywa.

— Dowiem się - odpowiadał bezbarwnym głosem, dotknięty jej

przypuszczeniem, że firma, w której tak bardzo chciał pracować, stwarza mu przeszkody. Iluż listów motywacyjnych nie napisał już do Unii Pocztowej? Całą masę.

Spojrzał na mnie, gdy bezskutecznie próbowałem uporać się z kawałkiem mięsa. Jeszcze dwójka dzieci i będzie mieć trójkę, myślał. Wtedy skupi się na pracy i postara się zarabiać wystarczająco dużo pieniędzy, by móc posłać je do dobrej szkoły. Co ojciec może więcej?

W samym środku tego snu na jawie dotarło do niego nagle, że trwa już druga posucha seksualna. Znowu zaczęło się rzyganie i żucie gliny! Jego pierwotny plan zakładał: co trzy lata dziecko, żeby rozłożyć nacisk finansowy. Ten plan się więc nie powiódł. Wpatrywał się w ścianę i nagle zrozumiał, dlaczego żona tak nalegała, by podjął pracę. Dzień Niepodległości minął niezauważony. 9 października 1962 Serenity spędził, kołysząc się na spokojnym morzu, a jedyną zmarszczką na jego tafli była kłótnia Dziadka z paroma typami ze świata przestępczego. Serenity uważał, że stary przywódca mówił więcej, niż powinien. Dlaczego irytował ludzi, którzy byli o wiele silniejsi od niego? Muszę postarać się stąd wynieść, zanim będzie za późno, mruzczał do siebie.

— Czy w zeszłym tygodniu albo miesiącu, albo w ciągu kilku ostatnich miesięcy wzywano cię na rozmowę w sprawie pracy? - zapytała Kłódka z resztkami gliny na dziąsłach. Poprzednim razem bagno, z którego pochodziła ta glina, obróciło się przeciwko niej i zatopiło samochód wiozący ją i jej jeszcze nienarodzonego syna do szpitala. Jakie teraz miało zamiary? Czy ukarze ją poronieniem albo martwym dzieckiem za kradzież gliny?

Serenity zastanawiał się, jakie środki antykoncepcyjne wolałaby: prezerwatywę, pressarium czy tradycyjny środek... O, zadała mu pytanie.

— Mam zamiar zapytać wkrótce w mieście.

— Tu w każdym razie nie będę wychowywać mych dzieci - powiedziała Kłódka surowo. Pierwsze słowo chlupnęło jak grudka gliny wpadająca do wiadra z wodą.

— Wiem - odparł i uznał, że słowo „dzieci” zabrzmiało jak tłum, a nie jak trzy małe indywidua. Wstał. Musiał pilnie wyczyścić rower. Był zabłocony.

Wrzucił dwie szmatki do wiadra, które umocował na bagażniku, i pojechał nad strumyk po drugiej stronie wsi. W tym samym kierunku, pięć kilometrów dalej, leżał kościół, szpital misjonarzy i szkoła. Przejechał obok domu Palców i domów jeszcze dwóch innych. Z zabłoconych podwórek machały do niego dzieci o brudnych gołych stopach, o brzuskach wzdymających się pod ich luźno wiszącymi koszulami. Przypominały mu jego szkołę, która była biedniejsza niż katolicka szkoła na Ndere Hill i ostro musiała walczyć, by móc rywalizować z lepszymi szkołami. Nadszedł czas, by pozostawić to wszystko za sobą. Dał

szkole sześć lat swego życia i uważał, że to wystarczy. Uważał, że powinien wyjechać, zanim stanie się zbyt stary i zanim będzie za późno. Niektórzy z jego kolegów nie wykorzystali szansy, zestarzeni się i tkwili tu teraz jak ciężarówka w bagnie.

0 Dzieci daje Bóg! - wykrzyknęła jego żona gniewnie, kiedy napomknął o środkach antykoncepcyjnych. - Iluż ludzi pragnie dzieci ponad wszystko, a nie może ich mieć? Pomyśl swojej ciotce, jeżeli wolno mi użyć twojej rodziny jako przykładu. Ona nigdy nie zazna radości rodzicielstwa, chociaż pomaga przyjść na świat prawie wszystkim dzieciom w okolicy dalej.

— Dostyc tego! - powiedział stanowczym tonem.

Później doszedł do wniosku, że zaprzepaścił złotą szansę.

Powinien był wystąpić bardziej zdecydowanie i oświadczyć bez ogródek, że nie ma zamiaru produkować dzieci za cały niepłodny świat. Teraz musiał czekać na nową okazję do wyrażenia swego stanowiska. Byłoby to nieco łatwiejsze, gdyby mieszkali w mieście. Tam życie było droższe, co stanowiłoby dobry argument do zrobienia dłuższej przerwy pomiędzy jednym dzieckiem a drugim i do tego, by nie mieć ich więcej niż tyle, ile bez kłopotów można wychować. Ale nawet w mieście przekonanie Kłódki byłoby nie lada zadaniem i sam się zastanawiał, czyby mu się to udało.

Często spoglądał na zdjęcia ślubne i zachodził w głowę, co mu mimo wszystko tak przeszkadzało w twarzy żony. Stał ze stopami w ssącej, mętnej wodzie strumyka sączącej się pośród sitowia, przepływającej przez kawałek lasu i docierającej w końcu do mokradeł papierosowych po drugiej stronie Mpande Hill. I nagle wydało mu się, że znalazł przyczynę swych rozterek. Jego narzeczona nie uśmiechała się na żadnym ze zdjęć, a tylko na kilku szczyrzyła zęby w takim grymasie, jakby miała termyty w majtkach. Jediną osobą, która wszędzie się śmiała, była Nakibuka, ciotka panny młodej, kobieta, która przerwała małżeński impas, która magicznym dotknięciem jego ramienia zdobyła sobie dostęp do jego życia. Uśmiechała się pewna siebie i urocza, jakby to było jej własne wesele, jakby to ona odniosła zwycięstwo nad wszystkimi poprzednimi kochankami męża, jakby była absolutnie niepokonana. Płomień, który zmusił go do zejścia z podium pomiędzy tańczących, aby dać im się ocierać osiebie, aby samemu tańczyć i zupełnie się zatracić, ogarnął go na nowo. Uśmiechnął się w wyrazie wdzięczności. Podczas miesiąca miodowego Nakibuka, niczego nie zatajając, opowiedziała mu historię życia Kłódki. Nie była to najmiłsza historia, jaką kiedykolwiek usłyszał. Teraz, znając przeszłość swej żony, zaczął coraz poważniej powątpiewać, czy potrafi ją namówić do korzystania ze środków antykoncepcyjnych.

Wiedział z pewnością, że ponury wyraz twarzy żony jest wiecznym protestem wobec

niesprawiedliwego faktu, iż nie dotyczy jej prawo pierworództwa. Srogość fałd wokół jej ust była jedną wielką skargą na tę krzywdę. Zaraz po urodzeniu się jej młodszego braciszka Mbalego rodzice przestali poświęcać jej uwagę. A jak na ironię to właśnie Mbale występował jako negocjator i oddał ją mężowi w imieniu całej rodziny. I to do niego Serenity powinien się zwrócić, gdyby jego żona zrobiła coś, co by mu nie odpowiadało. Narodziny jeszcze trzech braci oznaczały z kolei, że Kłódka musiała wykonywać wszystkie ciężkie prace na polu, gotować wszystkie posiłki, prać całe pranie i zbierać całe drewno na opał, ponieważ musiała się nauczyć, jak prowadzić dom. Przyzwyczaiła się, że kobiety wstają pierwsze i idą spać ostatnie. Wszyscy ci chłopcy, ci przyszli mężczyźni, urodzili się krótko po sobie, a ona musiała ich myć, karmić, wyprawiać do szkoły, strzec przed pchłami piaskowymi, pluskwami i kleszczami i chronić przed wściekłymi psami. Stopniowo upodabniała się do mokradła przy Mpande Hill, napełniając się powoli stęchlą wodą nienawiści, zasklepiając twardą gliną niezłomności i obrastając ciemnozielonym papirusem posłuszeństwa i stoicyzmu. Jej kręgosłup trzeszczał od worów ziemniaków, manioku lub pęków drewna, których noszenia chłopcy odmawiali. Jej włosy i ubranie zalatywały kuchennymi zapaszkami i proszkiem do prania. Jej oczy były czerwone od licznych trosk i skąpego nocnego spoczynku.

Dwie dziewczynki, Kasawo i Lwandeka, przyszły na świat za późno dla niej i bez zapasowego oleju w swych lampkach. Była zbyt młoda, by być ich matką, zbyt stara, by być ich siostrą, zbyt jędzowata, by mogły dzielić się z nią swoimi tajemnicami, i zbyt tajemnicza, by mogły coś z niej mieć. Trzymały się więc z dala od niej i zajmowały jedynie chłopakami w swoim wieku. Rodzice nigdy nie przyznawali jej racji i traktowali zawsze surowo - żeby ją przyzwyczaić do każdej pracy i nauczyć znosić największe trudy. Nawet wybór jej imienia podporządkowali tej zasadzie. Z całego arsenału imion klanowych wybrali imię Nakkazi, co oznacza „silną bądź krzepką kobietę”. Początkowo była z niego dumna, dopóki nie stała się dość duża, by pójść do szkoły. Tam jej imię okazało się marzeniem każdego prześladowcy, ponieważ po zmianie kilku liter oznaczało coś zupełnie innego. Nakaza, Nakaże, Nakazi, Nakazo, Nakazu oznaczały odpowiednio: żeńskie owłosienie łonowe, suchą cipę, babskie gównno, kij do bicia kobiet i babską paplaninę. Każdy jej dręczyciel mógł się więc rozkoszować do woli tą gamą znaczeń. Ale pod koniec tygodnia, jakby gnębiciele chcieli jej coś wynagrodzić, znajdowała w swej szkolnej teczce guavy. Na początku zjadała je, niemyte, aż w końcu dotarło do niej, że na owoce napluto albo któryś z prześladowców potarł się nimi między pośladkami, zanim włożył je do jej teczki.

Kiedy miała wolną chwilę, szła do ogrodu i stawiała pod drzewami guavy. Zatopiona w myślach, głaskała ich gładkie pnie i wpatrywała się w twarde owoce. Pnie przypominały jej

w dotyku własne ręce, fascynowało ją to i nie mogła przestać ich głaskać. Chętnie zamieniłaby wszystkie swoje imiona na imię Nakapeela (żeńską guava), lecz nikt jej na to nie zezwolił. Kiedy z powodu dręczycieli pożaliła się rodzicom na swoje imię, kazali jej odmówić różaniec i siedem razy siedemdziesiąt prosić o przebaczenie. Zaczęła wtedy wyobrażać sobie, że jej ramiona są konarami guavy, którymi karze swych gnębieli.

Ostatecznie poszukała schronienia w klasztorze, gdzie nazwano ją siostrą Piotr, znowu narzucając jej imię. Właściwie chciała nazywać się siostra Jan Chryzostom, dla zmanifestowania niechęci do ciała i wysławiania ducha i duszy. Jednak nazywała się już tak matka przełożona, a nie mogło być w klasztorze dwóch Janów Chryzostomów. Poza tym jako wielką próżność odebrano to, że chciała przybrać imię noszone przez tę, która stała ponad nią i została powołana, by nosić płaszcz świętego. Przepraszając matkę przełożoną, zadowolili się więc świętym Piotrem, roztrzępianym człowiekiem czynu, który mimo swych ułomności wyrobił sobie jednak w Kościele pozycję i został pierwszym papieżem.

Potem sytuacja zmieniła się na jej korzyść: spoza zimnych murów klasztornych patrzyła zadowolona, jak jej bracia, pozostawieni swemu losowi, musieli orać twardą jak kamień ziemię, jak smagał ich deszcz, jak nękały ich plagi, jak drwiły z nich okresy suszy i pokonywały ich nieudane żniwa. Wiedziała, że dalej nie zajdą i nigdy nie wybiją się ponad wiejski poziom. Pod ochroną habitu patrzyła również, jak ich bardzo młode żony zaharowują swe ciężarne ciała znojną pracą na roli, gotowaniem, praniem i rodzeniem. Patrzyła, jak z błotem na twarzach idą naprzeciw niepewnej przyszłości, nękane często zmieniającymi się cenami utrzymania i dziećmi z robakami. Było to jej zemstą. Gdy tylko miała chwilę czasu na rozważanie o losie braci, czerpała z tego rozkosz małymi łykami. Jedynym, co pozostawało jej braciom w ich nędzy, była nużąca, stroma wspinaczka do klasztoru, gdzie w palącym słońcu i z kapeluszem w ręku mogli błagać ją o pomoc. To ona miała teraz władzę jej udzielania lub odmawiania. Różany krzak, symbol statusu zakonnicy, od czasu do czasu napelniał jej nos świętym zapachem zwycięstwa. W takich momentach nie czuła bólu, jaki sprawiały kolce tego krzaka.

Ale miała jeden wielki problem, z którym zmagala się codziennie w swych modlitwach. Była to jej jedyna słabość, do której była skłonna się przyznać. Niekiedy wydawało jej się, jakby potężne ręce wciskały ją do pęcherzyka powietrza, który zdradzieckie wiry unosiły między niebezpiecznymi, groźnymi rafami koralowymi. Była wówczas nieosiągalna dla nikogo, łącznie z Bogiem i sobą samą. Paniczny strach i wulkaniczne wybuchy następowały w niej jeden po drugim i traciła wtedy wszelką kontrolę nad sobą. A potem czuła się nagle jak orzeł bez skrzydeł, spadający z nieba jak cegła. Zanim ponownie

zaczynała sobie uświadamiać swoje ciało, krzyże, pachy i zmysł powonienia, było już najczęściej za późno i mogła jedynie zdumiona oglądać następstwa tego zjawiska.

Zacząło się to pewnego dnia, dawno temu, gdy zdecydowała się odeprzeć atak swego młodszego brata. Złapała gruby kij i uderzyła nim Mbalego. Upadł, a ona dalej biła i biła, i nie przestały go bić, gdyby dwóch mężczyzn ze wsi nie odebrało jej kija i nie odciągnęło jej na bok. To było jednym z powodów, dla których jej rodzice cieszyli się, gdy poczuła powołanie do klasztoru, ponieważ chłop - a jej przyszły mąż najprawdopodobniej będzie chłopem - okaleczyłby czy może nawet zabił ją, gdyby ją tak wobec niego poniosło.

Obecnie ataki te, „napady”, jak je nazywała, zdarzały się sporadycznie. Zwykle wywoływał je jakiś incydent z uczniami, który wzbudzał w niej wściekłość i psuł jej humor. Rodzaj przewinienia nie grał roli: równie dobrze mogły wywołać taki wybuch dzieci, które łamały innym nosy, dzieci, które łamały reguły ciszy klasztornego ogrodu lub pojawiały się za późno w kościele. Wtedy nagle słyszała jakieś dźwięki, czuła, że jest unoszona do góry, świat wokół niej stawał się mglisty, a potem zaczynała się pocić i ze wszystkich jej porów buchał zapach cytryny.

Właśnie oczyszczające działanie tych ataków tak intrygowało i niepokoiło zwykle bardzo trzeźwą siostrę Piotr. Wybuch przerywał wszelkie wewnętrzne napięcia, jak święty ogień, i przez chwilę czuła się błogo. W takich momentach nie słyszała wrzeszczących ani marudzących dzieci, lecz miażdżącą orkiestrę, w takich momentach cały świat kręcił się wokół niej i stawała się centrum szalejącego, gotującego się prapodziemia.

Aby stłumić następujący po tych atakach strach, wmawiała sobie, że doznawała wtedy objawienia, że Bóg zapala w niej święty lont dla swego świętego celu, którego znaczenia ona, w swej prostocie, jeszcze nie dostrzegała. Modliła się więc o objaśnienie tej mistycznej zagadki. Pościła. Nosila włosiennicę na gołym ciele. Pracowała ciężiej niż pozostałe zakonnice, karmiła świnię, wyrzucała gnój, wdychała zapach ich łajna. Sprzątała wszystkie klasztorne ustępy i dezynfekowała wszystkie klasztorne łazienki. Chwalono ją za to i wydawało się, że lont gaśnie z sykiem.

Ale kiedy ograniczyła swe modlitwy i zwolniła tempo pracy, zauważyła, że nie tylko lont jeszcze się tli, ale że i jego cel nadal pozostaje zagadką. Zwróciła się do Pisma Świętego. Eliasz wyrzwał czterystu pięćdziesięciu proroków Baala; Jezus wy - chłostał ludzi, którzy ze świątyni uczynili gniazdo złodziei; Bóg zesłał węże na swój lud i dał umrzeć tysiącom, aby uciszyć swój gniew. Ale co było celem jej lontu? Była tylko zwykłą zakonnica.

W końcu doszła do wniosku, że ma on wystawić na próbę niezłomność jej charakteru. I prawdziwość jej powołania. Zaczęła wyczekiwać kolejnych ataków, aby móc z nimi

walczyć. W hołdzie dla przejrzystości swej nowej wizji ofiarowywała swoim występny podopiecznym przebaczenie i zadowalała się ustnym ostrzeżeniem, a oni słysząc to, nie mogli uwierzyć swym uszom. Czasem wymierzała im lekkie kary, jak zbieranie słomy na miotły czy zamiatanie liści mangowca na dziedzińcu i pomoc kucharce przy płukaniu kotłów po papce. Szybko jednak znów sobie uświadomiła, że niegrzeczne dzieci należy surowiej karać. Znowu więc dzieliła razy jak nikt inny, choć teraz starała się trochę powstrzymać. Udało jej się to zaledwie po części. W rezultacie dzieci, które obrywały pierwsze, wychodziły na tym najlepiej, a te, które były w kolejce ostatnie - gdy następowało zjawisko spadającego orła - zostawały najciężej ukarane, jakby chciała powetować sobie początkową pobłażliwość. Dzieci w lot pojęły, że z siostrą Piotr jest coraz gorzej. Bo skoro wszystkie były winne tego samego przewinienia, to dlaczego niektóre z nich były bite mocniej niż inne?

Gdy pewnego razu siostra Piotr sprawowała nadzór podczas lekcji liturgii, stało się to, co stać się musiało. Zraniła siedmioro dzieci tak poważnie, że siostra Jan Chryzostom, starając się uniknąć procesu i nie dopuścić do sprawy za tłuszczonych rąk łowców skandali i przeciwników Kościoła, przyrzekła rozwścieczonym rodzicom, że natychmiast podejmie odpowiednie kroki. Kilka godzin później odebrała siostrze Piotr habit i odesłała ją z powrotem do świata, którego tamta tak nienawidziła i którym tak pogardzała.

Zniesławiona zakonnica padła na kolana, błagała o litość i przysięgała, że nigdy więcej nie dotknie żadnego dziecka, lecz nadaremnie. W rozpacz dodała jeszcze, że nie ma dokąd pójść, na co matka przełożona odparła:

— Każdy ma dokąd pójść. Zapamiętaj sobie: Lisy też mają nory.

Sparalizowana wstydem i ślepa z wściekłości siostra Piotr poszukała schronienia w domu Mbalego, brata, którego wcześniej, gdy to wszystko się zaczęło, o mało nie zatłukła na śmierć.

Po kilku dniach dach z blachy falistej domu Mbalego trzeszczał od wulkanicznych sił depresji siostry. Zamknęła się w pokoju gościnnym z kanistrem wody i plastikową miseczką i odmawiała wychodzenia na zewnątrz. Odmawiała również jedzenia i utrzymywała się przy życiu dwoma kubkami wody dziennie. Płakała i modliła się przez cały dzień, a wieczorem zasypiała wycieńczona. Umartwiając się, kładła się na gołej podłodze i drapała ziemię, aż jej palce zaczynały krwawić, wzywała Śmierć, żeby po nią przyszła, i kołatała do drzwi nieba palącymi nowennami do świętego Judy Tadeusza, opoki i ucieczki zrozpaczonych. Co rano gryzmoliła na kartce papieru wiadomość, żeby dać znać, że jeszcze żyje, by nikt się nie martwił i nie próbował przeszkadzać jej w modlitwach i umartwianiu się.

Siódmego dnia Mbale zastukał do jej drzwi. Chciał z nią porozmawiać, ale go

odesłała. Groził, że rozwali drzwi młotkiem, a ona odparła, że będzie żałował tego do końca życia. W obawie, że naprawdę zadreczy się tam na śmierć, prędko udał się po ciotkę, dobroduszną osobę, w nadziei, że pomoże mu poradzić sobie z siostrą. Ciotka przyszła dziewiątego dnia i zastała siostrę Piotr na werandzie, gdzie umyta, nakarmiona i ubrana w niebieską suknię, siedziała odprężona w trzcinowym fotelu. Kilka kur dziobało palce u jej nóg, sądząc, że to ziarenka kukurydzy. Klódka zgodziła się pójść z ciotką, która znalazła jej pracę w księgowości niewielkiego zakładu bawełnianego, mieszczącego się w pobliskim miasteczku.

Siostra Piotr, jak wciąż jeszcze siebie nazywała, poszła na pierwsze w swym życiu wesele, ponieważ chciała wyrwać się choć na chwilę z domu ciotki. Miała jedynie nadzieję, że uczucie obrzydzenia, wywołane kołysaniem bioder tancerzy i bluźnier - stwami ludzi, pogna ją pod koniec wieczoru z powrotem do domu. Na nikogo nie patrzyła. Niczego nie piła. Nie brała udziału w uroczystościach. Wołałaby szybować ponad tłumem, niewidoczna dla innych, i patrzeć, jak ci wszyscy głupi ludzie przynoszą sobie wstyd, tarzając się w rozpuście. Stała na zewnątrz weselnego namiotu, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, wpatrywała się we wszechświat i pozwalała, by hałas, radosne okrzyki i bicie w bębny spływały po niej jak woda po skale. Ale nagle pewna twarz przecięła jej pole widzenia. Zniknęła i znowu się pojawiła. Była to twarz młodego mężczyzny, który wyglądał na równie zagubionego jak ona. Wydawało się, że drżał, dygotał, jakby doznawał cudu. Gdy się nad tym potem zastanawiała, doszła do wniosku, że emanowała prawdopodobnie w jego oczach wysublimowaną nostalgią i doskonałą samotnością - z siłą, jakiej chyba nigdy wcześniej nie doświadczył. Zdawał się zaczarowany bezdenną intensywnością, tryskającą z jej delikatnej piersi. Być może jej bardziej niż rozsądne spojrzenie na sto i jedną nierozważność wokół nich w jakiś sposób przemawiało do czegoś w jego wnętrzu, czegoś, co tkwiło tak głęboko, że nie mógł oderwać od niej oczu. To było owo nagłe uświadomienie sobie swoich sił, o których do tamtej pory sądziła, że pozostawiła je między zimnymi murami klasztoru, przez które drżała i prawie wpadała w panikę. Bojąc się, że zostanie to zauważone przez drugiego młodego mężczyznę, który podszedł do tamtego, odwróciła się i zmieszała z podnieconym weselnym tłumem.

Młody Serenity słyszał siebie samego zaklinającego się, dzwoniąc zębami, że nie pozostawi na ziemi ani jednego kamienia, dopóki nie zdobędzie tej kobiety lub nie zostanie przez nią zdobyty. Czuł błoto ssące jego stopy i szarańczę chroboczącą w żołądku. Co go czeka? Nie miała tego rodzaju urody, którą doceniłby jego ojciec, był jednak zdecydowany pójść własną drogą. Owładnięty jej samotnością - albo raczej swoją własną samotnością, wzmocnioną jej samotnością - zamknął się przed nieumiarkowanym piciem i tańcem. Ale ona

nagle zniknęła jak duch. Usłyszał, jak jego przyjaciel głośno się zaśmiał. Znał ją i jej ciotkę. Niewiele w niej widział: za bardzo porywcza, traktująca wszystko zbyt serio jak na jego gust. Gdyby Serenity nie spoglądał na niego tak poważnie, zacząłby pewnie żartować sobie w najokropniejszy sposób z jej sztywnego charakteru, a może nawet i z jej wyglądu.

Serenity nie potrafił przywołać w pamięci obrazu byłej zakonnicy. Długo próbował przypomnieć sobie jej twarz, figurę i głębię jej samotności, nie udało mu się to jednak. Na weselu wypił zaledwie jedno piwo, ale czuł się, jakby opróżnił całą skrzynkę i jakby jej postać - albo to, co uważał za jej postać - było tylko pijanym urojeniem. Ostrzeżenia przyjaciela i jego wyraźny brak entuzjazmu wytrąciły go z równowagi. Jedynym co dodawało mu odwagi, była jego intuicja, intuicja mówiąca, że znalazł się na właściwym torze. Przyjaciel był skłonny mu pomóc, tak mówił z cynicznym grymasem na twarzy.

Ciotka byłej zakonnicy natychmiast zauważyła zmianę na twarzy kuzynki. Gorycz i smutek strawił słaby płomień objawienia, a potem zostały zastąpione oznakami ledwo skrywanego podniecenia, które odczuwa ktoś, kto za chwilę ma przeżyć coś wielkiego. Kiedy ciotka dowiedziała się, o co chodzi, zareagowała taktycznym zdziwieniem, ponieważ nie знаła tego młodego mężczyzny. Ale ucieszyła się. Jej kuzynka potrzebowała nowego startu, nowego celu w życiu.

Wyraz na twarzy tamtego chłopaka po raz pierwszy nadał treść jej imieniu Piotr. Była opoką, na której miała zostać zbudowana nowa rodzina, nowy Kościół. Czowała już pale, wbijane w jej grunt. Widziała już rosnącą budowlę, widziała, jak jej okazałość zmienia kolor firmamentu. Zwolniono ją z klasztoru, ale koniec jej zakonnego istnienia umożliwił to zmartwychwstanie. Z jej twarzy można było odczytać, co to dla niej oznacza.

Gdy pośrednik Serenity i jej brat negocjowali, nie czuła ani śladu wątpliwości co do swojej przyszłej roli w życiu. Potrzebowała tylko akceptacji Boga i zaangażowania Serenity. A potem pozostawała kwestia tej jego konkubiny i zrodzonego w grzechu dziecka: to było coś dla świętego Judy. Dziewięćdziesiąt dni później nic więcej nie stało jej na przeszkodzie.

Serenity westchnął, pomyślałszy o owych dziewięćdziesięciu piekielnych dniach, podczas których zastanawiał się trwożliwie, czy była zakonnica nie odrzuci jego oświadczeń. Jego życie przebiegało według utartego schematu i wyglądało na to, że osprawach dotyczących jego samego dowiadywał się zawsze jako ostatni. O wszystkim dowiadywał się zbyt późno, kiedy nie był już w stanie niczego zrobić. Co miał począć z przeszłością żony? Fakt, że wszystko o niej teraz wiedział, sprawi jedynie, że będzie miał dla niej zrozumienie, chociaż czasem lepiej by było, żeby go nie miał. Na początek przestał nalegać, aby zaczęła stosować środki antykoncepcyjne.

Tymczasem zrobiło się ciemno i bagno zaczęło wydzielać fetor, który zawisł nad doliną jak mokry koc. Była to mieszanina zapachu błota, ryb, gnijącej trawy, dzikich kwiatów i żab. Komary i inne kłujące paskudztwa przypuściły atak na myjącego rower intruza. Nie zwracając na nie uwagi, pojechał do domu. Drzewa i krzaki wzdłuż ścieżki przybierały demoniczne kształty i groteskowe rozmiary i uwalniały obwieszone pajęczynami wspomnienia opowiadań z dzieciństwa o duchach, czarownicach i czarach. Dom ojca spowijała absolutna ciemność. Stary człowiek wracał późnymi wieczorami: odwiedzał przyjaciół i szukał kobiecego towarzystwa. Dni, kiedy huczało i roiło się tu od ludzi, przy czym dwudziestu gości oznaczało jeszcze małe grono, zdawały się zbyt odległe, by pamięć mogła je wskrzesić. Jakby nad domem przeszła szalona wichura, która zmiotła wszystkich do bagna, gdzie, trafiwszy pod mętną wodę, zatonęli *en masse*, i pozostała tylko ta ogromna pusta skorupa, w której pobrzmiwały jeszcze tylko strzępy melodyjek Skrzypka.

Serenity był już prawie w domu. Przez okno zobaczył żonę pochyloną nad stołem i wpatrującą się w coś. Przyszedł list z miasta, ze stemplem Ugandyjskiej Unii Pocztovej - mieli dla niego pracę! Lata sześćdziesiąte przyniosły mu powodzenie: ożenił się, ma syna, a teraz przeprowadza się do miasta!

Nareszcie nowe wino rozerwało stare wiejskie worki. Nadająca się do przeprowadzki część naszych przedmiotów - rzeczy osobiste, zdjęcia, prezenty ślubne, wszystko, co potrzebne do nowego startu w mieście - została zredukowana do poręcznych paczek i tobołków i zapakowana do pudeł, które zaklejono taśmą albo zawiązano sznurkiem. Duże drewniane skrzynie połknęły jak za dotykem czarodziejkiej różdżki cały dom. Wkrótce już tylko stare łóżko stało na swoim miejscu, a tu i ówdzie leżało parę ubogich sprzętów domowych. Te prze - prowadzkowe czynności zalały mnie jak woda topielca i choć ze wszystkich sił machałem rękami, nie udało mi się niczego uczepić. Tłum ludzi wchodził i wychodził z coraz bardziej pustego domu, żeby napić się herbaty albo piwa i życzyć moim rodzicom wszystkiego najlepszego.

Pojawiła się żółta jak wymiociny ciężarówka, która wszystko połknęła. Dopiero teraz dotarło do mnie, że wyjeżdżamy. Kiedy ktoś wołał, w domu odzywało się echo. Ale dlaczego nie przebrano mnie do wyjazdu? Pomimo deszczu na trawie przed domem zebrał się niewielki tłum, w bezpiecznej odległości od grubych opon ciężarówki i pryskającego na wszystkie strony błota. I wtedy powiedziano mi, że muszę zostać.

Serenity wspiął się do kabiny. Kłódka odwróciła się i również chciała wsiąść. Złapałem ją, brudząc przy tym jej sukienkę. Cofnęła się i jakby odruchowo uderzyła mnie prosto w twarz. Przewróciłem się w błoto i na znak protestu przetoczyłem się kilka razy.

Kopałem na prawo i lewo i słyszałem kierowcę mówiącego niskim głosem, że rozstania zawsze są tak cholernie bolesne. Grudki błota poleciały na sukienkę Kłódki. Podniosła stopę, zobaczyłem błyskającą w moją stronę żółtawą zelówkę i przez moment pomyślałem, że zmiążdży mi nią twarz. Serenity krzyknął coś i wydawało się, że Kłódka obudziła się ze swego snu. Postawiła nogę na desce stopnia i z pomocą Serenity weszła do kabiny. Jej błyszcząca zelówka otrzeźwiła mnie. Siedziałem w błocie, a spaliny buchały w moją twarz. Ciężarówka wyla i warczała jak ranne zwierzę. Kiedy otworzyłem oczy, zniknęła. Jediną rzeczą wskazującą jeszcze na jej obecność był podwójny ślad opon, który powoli napelniał się wodą.

Byłem utyłany w błocie jak prosię, które wytarzało się w nim dla przyjemności. Potem przyszła po mnie Babcia. Znowu zaczęło padać. Babcia wzięła mnie na ręce i zabłoconego zaniósła do domu. Nie pierwszy raz przyszła mnie ratować i widziała, jak cierpiałem. Była jedynym świadkiem pierwszego lania, które dostałem od Kłódki po tym, jak z czystej ciekawości przedwcześnie dojrzałego dziecka zbyt natarczywie wetknąłem swój nos w jej dorosłe sprawy. Chodziło o niemowlęta: chciałem wiedzieć, skąd się biorą. A ona nie chciała mi tego powiedzieć. A ja wiedziałem, że ona wie. Dlatego postanowiłem to zbadać i tamtego dnia poszedłem za nią do wygodki.

Gdy drzwi były zamknięte, od spodu był otwór na ponad sześćdziesiąt centymetrów, przez który można było podglądać. Podpełzłem do niego na brzuchu i z brodą zanurzoną w trawie, wśród szelestów i stękania zobaczyłem duże brązowe wałki, które w świetle pełnym fruujących cząstek kurzu pluskały do kwadratowej dziury. Gdzieś w owłosionej, mięsistej części ciała u spodu brzucha błysnęło coś różowawego. To wydawało mi się dowodem, że moje badanie szło we właściwym kierunku.

Rodziło się dziecko! Poczulem konieczność wdarcia się do wygodki i ostrzeżenia Kłódki przed tym, co ma się zdarzyć, jednak ciekawość przygwoździła mnie do ziemi. Pyłki trawy łaskotały mnie w nos, ale udało mi się opanować kichnięcie. Myślałem: jeżeli dziecko wpadnie do dziury, trzeba je będzie z niej natychmiast wyłowić... Ta myśl wywołała u mnie gęsią skórkę. Dlaczego ona nie kucnie obok tej śmiertelnej dziury? Czy chce, żeby noworodka oblażyły larwy, które wpełzną do wszystkich otworów jego ciała? Kłódka jęknęła głośno, jakby ją bardzo zabolalo. Zamknąłem oczy, żeby nie musieć patrzeć, jak ludzka istota ginie w odchodach. A więc to było powodem, dla którego zachowywała się tak tajemniczo, gdy pytałem narodziny dzieci!

Nagle usłyszałem jej głos i poczułem, że ziemia pode mną się rozstępuje.

— Ja ci pokażę! Żeby tak kogoś podglądać! - wrzasnęła.

Na wpół biegłem, a na wpół leciałem w powietrzu. Przeszkodziliśmy dwóm kurom w walce o długiego robaka. Czułem się tak samo jak ten robak: dla mnie zabawa się skończyła. Próbowałem jeszcze wszystko wyjaśnić, ale Kłódki nie dało się już powstrzymać w jej narastającej złości i mogła jedynie tłuc walić wokół siebie różgą z guavy. Dlaczego nikt nie przyszedł mi z pomocą, gdy kwiczałem jak kastrowana Świnia?

Ale nagle pojawiła się Babcia. Stała na skraju pola bitwy, z założonymi rękami, z uniesionym podbródkiem - czekając, aż zostanie zauważona. Chciałem, żeby zacisnęła te ręce na gardle Kłódki, one jednak nadal spoczywały skrzyżowane na piersiach. Nie możesz już wymyślić niczego lepszego? - zdawała się pytać Kłódkę. Odbiłem to pytanie z powrotem w twarz Babci.

Kłódka, czując, że w powietrzu wisi coś szczególnego, przestała mnie bić, wprawiona na moment w zakłopotanie, ponieważ przyłapano ją w samym środku jej szalu. Pociągając nosem, wysliznąłem się jej i schowałem za plecami Babci. Szkło w oczach Kłódki zmatowiało, posypało się jeszcze parę pogroźek, wiedziałem jednak, że jestem bezpieczny. Posiniaczony, ale bezpieczny.

Teraz, choć przemoczony i ociekający błotem, również czułem się naprawdę bezpieczny. Cieszyłem się z nowej sytuacji. Stoczył się ze mnie kamień młyński: wiecznie grożąca mi złość Kłódki tym razem mnie ominie. Wytarzałem się w błocie raczej nie dlatego, że mnie zostawiła, ale dlatego, że nie powiadomiono mnie wcześniej o moim wybawieniu.

Najpiękniejszy czas w moim życiu zaczął się tam, gdzie dla większości ludzi ten czas się kończy: wśród niemowląt. Dzięki mojej nowej funkcji trafiłem nagle do kręgów dorosłych i dobrze się w nich czułem. Raptem znalazłem się między ojcami i matkami zajętymi rodzeniem się dzieci. Nagle zacząłem brać udział w tajemnicach dorosłych i widziałem ich w momentach, w których byli najbardziej narażeni na zranienie - było to coś, czym moi rówieśnicy nawet nie mogli marzyć. Nagle przesądne kobiety zaczęły mnie traktować jak małego księcia, bo sądziły, że to mnie jako maskotkę zawdzięczają pomyślne położa długo wyczekiwanych synów. Nagle zacząłem uczestniczyć w życiu mnóstwa dzieci urodzonych w naszej i kilku okolicznych wsiach. Uświadomiłem sobie, że mam władzę nad życiem i śmiercią, ponieważ mogłem podać ciężarnej kobiecie zioła, które wywołają poronienie lub mu zapobiegą - albo takie, które pomogą płodowi rosnąć. Było to nowe, zarazem wspaniałe, jak i niepokojące uczucie.

Jako asystent akuszerki oraz maskotka położnicy zawsze byłem obecny przy konsultacjach, to znaczy, gdy kobiety przy nadziei odwiedzały Babcię i omawiały z nią swoją ciążę. Opisywały, jak się czują, jak długo i ile wymiotują i jak bardzo to śmierdzi. W barwny

sposób opisywały swoje ataki gorączki, bóle kręgosłupa, częste sikanie, hemoroidy, zaparcia, opuchnięte kostki i zgagę. Omawiały swój apetyt, obawy i oczekiwania i pytały, do którego tygodnia przed porodem mogą uprawiać seks. Kiedy rozmowa schodziła na ten ostatni temat, zawsze wysyłano mnie, żebym coś załatwił, ale często stawałem za drzwiami i słuchałem dalej. Czasem kobiety musiały pokazywać Babci brzuch. Pragnąłem dotknąć tych mocno napiętych balonów, jednak wiedziałem, że nigdy nie będzie mi tego wolno. Babcia głaskała je, ugniatała, obmacywała i udzielała kobietom rad. Jeżeli przypadek wymagał dokładniejszego zbadania, zabierała kobietę za dom, a do mnie docierały wówczas ich szepty albo śmiech, albo przekomarzanie się. Kiedy znowu się pojawiały, ciężarna zapinała pas i poprawiała spódnicę.

By zebrać zioła dla kobiet, Babcia przeszukiwała las, ogród, zarośla i mokradła, i wracała z różnego rodzaju liśćmi, łykiem i korzeniami. Towarzyszyłem jej z koszykiem lub torbą i patrzyłem uważnie, jak to robi. Fachowo i bardzo ostrożnie zrywała listki, usuwała zwiędnięte, a zostawiała te, które akurat się rozwinęły, żeby roślina na tym nie ucierpiała. Rzadko wyrwała całą roślinę, jedynie wówczas, gdy poza łodygą i liśćmi potrzebowała również korzenia. Do łyka używała noża lub skrobki i usuwała tylko zewnętrzną warstwę, która szybko się odnawia. Zawsze gdy uszkodziła korzenie lub łodygę, okładała skaleczone miejsce ziemią lub owijała liściem bananowym. Często się wtedy niecierpliwiłem i mówiłem, że drzewa potrafią się przecież same o siebie zatroszczyć, ona jednak odpowiadała, że mamy z nich pożytek i naszym obowiązkiem jest je dobrze traktować.

Nasza wieś, Mpande Hill i mokradła przywoływały mi zawsze na myśl olbrzymią ośmiornicę: góra była głową, a mokradła długimi, wijącymi się mackami, pełzającymi wokół naszej wsi. Gdy zbliżaliśmy się do nich, przypominały wielkie węże, więc skradaliśmy się ostrożnie, w bezpiecznej odległości od groźnej głowy. Woda, czasem krystalicznie jasna, czasem czarna, zielona lub brązowa, była zawsze zimna i pełna życia: były tu ważki, kijanki, małe rybki, pijawki, długie wstążki żabiego skrzeku i rośliny z matowymi korzeniami, przypominającymi długie włosy, za które się ciągnie. Kiedy brodziliśmy w płytkiej wodzie, staraliśmy się omijać ostre brzeżki trzciny i trujące rośliny. To była najmniej przyjemna część ekspedycji, ponieważ pozostawały po niej zadrapania na skórze, mokre ubrania, ukąszenia pijawek i różnego rodzaju rany, jako że rośliny, których potrzebowaliśmy, rosły w stosunkowo głębokiej wodzie lub w stosunkowo niebezpiecznych miejscach.

Wśród zbieranych przez nas ziół były takie, które zażywało się na surowo albo które należało zemleć na papkę i smarować nią brzuch, plecy i stawy. Inne zioła wrzucało się do kąpieli wraz z korzeniami, kijankami i błotem. Pozostałe suszyło się na słońcu, pakowało do

plastikowych torebek i odkładało na później. Najważniejsze ziele poszerzało biodra, dzięki czemu poród stawał się łatwiejszy. Kobiety musiały przez całą ciążę, dwa lub trzy razy dziennie, brać kąpiel z jego dodatkiem i pić wyciąg z niego. Nazywano to „łamanie kości”. Babcia ostrzegała, że jeśli nie będą przestrzegać „łamania kości”, dziecko może się udusić albo zostać okaleczone, a nawet oboje, zarówno matka, jak i dziecko, mogą umrzeć.

Poza ziołami Babcia doradzała także kobietom zdrowe jedzenie: dużo mięsa, ryb, jajek, soi i warzyw. W tym czasie kobiety zaczynały się dopiero uczyć jeść kurczaki, ryby bez łusek i jajka. Do tej pory produktami tymi pogardzano i nie doceniano ich, jadali je wyłącznie mężczyźni. Dumna, dobrze wychowana kobieta zniżała się co najwyżej do ich przygotowania, nigdy jednak sama nie brała ich do ust. Babcia próbowała wprowadzić w tej tradycji zmiany.

Tiida posłuchała jej jako pierwsza. Konserwatywne kobiety mówiły, że obgryzała kości kurczaka i siorbała jajeczny śluz jak mężczyzna i że jej dzieci pewnie będą mieć pióra i małe skrzydełka zamiast rąk. Ale ona serdecznie je wyśmiała i wyśmiewała również checiwych mężczyzn, wciąż jeszcze odmawiających swoim żonom i córkom tych specjalów. Wbrew temu, czego każdy się spodziewał, z Tiidy nie wyciągnięto żadnych opierzonych ani uskrzydionych dzieci - jej potomkowie byli zdrowi jak ryba. Wtedy kobiety zaczęły się przekonywać, z wyjątkiem paru najbardziej sceptycznych. Wśród nich znajdowała się ciotka Nakatu: z jakiegoś powodu nie mogła przełamać tabu. Kilka razy spróbowała mięsa z kurczaka, jednak miało według niej dziwny zapach.

Babybiznes był ciekawy i ekscytujący, ale gdy przychodziło do porodu, zaczynały się kłopoty. Bachory wybierały na to zawsze najdziwniejsze pory: przychodziły na świat za wcześnie lub za późno, w środku nocy albo bardzo wcześnie rano, w porze deszczowej albo w czasie świąt Bożego Narodzenia. A niektórym wywoływanie zamieszania zdawało się sprawiać przyjemność: zaczynały się bóle, wody odeszły, a potem całymi godzinami lub nawet dniami nic się nie działo. W takich przypadkach często odkrywaliśmy z Babcią, że wiele kobiet nie zażywało albo zażywało zbyt mało kąpiele ziołowych i wyciągu, które pomagały poszerzyć biodra.

— Jak często łamałaś kości? - pytała srogo Babcia.

Najczęściej z popękanych, wykrzywionych bólem ust kapały odpowiedzi potwierdzające nasze przypuszczenia. Słyszając potem taką kobietę wrzeszczącą z bólu i strachu, mruzciliśmy pod nosem, że zasłużyła sobie na to, choć ani dla mnie, ani dla Babci nie było to zbyt wielką pociechą, bo dziecko tak czy owak musiało się urodzić.

Nie wolno mi było asystować przy samym porodzie. Najczęściej wychodziłem, gdy

położnica kładła się na plecach z poduszką pod głową, z rozłożonymi nogami, z kolanami uniesionymi do góry pod prześcieradłem, z twarzą pokrytą kroplami potu i wytrzeszczonymi ze strachu oczami, a babcia starała się zapobiec histerycznym atakom paniki. W takich chwilach Babcia była jak bogini lub kapłanka, a jej ruchy, westchnienia i mimika były bardzo wymowne. Kiedy strzelała palcami, opuszczałem plac boju z nieobecnym wyrazem twarzy kobiety wyrytym głęboko w mózgu i jej bojaźliwymi jękami w uszach, próbując ocenić jej szanse na przeżycie.

Na początku, kiedy towarzyszyłem Babci, zawsze śmiertelnie się bałem, że rodząca nie przeżyje. Trząsałem się ze strachu, w piersi czułem ostre ukłucia. Każda kobieta jęczała w inny sposób, a w przypadku niektórych miało się wrażenie, że twoje ręce i ręce dzieci twoich dzieci splamią się jej krwią, jeżeli umrze. Mężowie, posępni i milczący, jak mocno związane naręcza chrustu, również nie nastrajali zbyt optymistycznie. Zdawali się śledzić każdą zmianę wysokości tonu, każdy niuans wrzasku swej żony, gotowi złapać cię za gardło, gdyby kobieta wydała ostatnie tchnienie. Myślni byłem po stronie położnicy i próbowałem wyobrazić sobie jej mękę i wysiłek, ale jednocześnie obmyślałem najbezpieczniejszą drogę ucieczki. Czasem jednak wszystko trwało tak długo, że krzyki kobiety nikły niczym kółeczka dymu w wieczornym powietrzu, a ja powoli zapadałem w drzemkę - aż nagle znowu budziłem się w strachu wywołanym gwałtownym wrzaskiem rodzącej.

Wychodziłem wtedy na chwilę na zewnątrz, gdzie z kolei zapierał mi dech w piersiach smród krowiego lub świńskiego łajna albo kozich sików, w zależności od tego, jakie zwierzęta trzymała dana rodzina. W deszczowe dni najbardziej śmierdziały chlewy świń ociekające rozcieńczonym łajnem - śmierdziały jeszcze bardziej niż podmyte kraale i stajnie krów. Z powodu tego fetoru i płynnego łajna, w którym często musiałem brodzić, nie przepadałem zbytnio za żadnymi zwierzętami.

Gdy poród przebiegał sprawnie, wszyscy na tym zyskiwali. Kiedy sprawy szły na opak i kobieta w ostatniej chwili, gdy widoczna już była główka dziecka albo na zewnątrz wystawała dziecięca nóżka, musiała zostać przewieziona do szpitala, wszyscy wpadali w panikę. We wsi był tylko jeden samochód, który należał do członka rodziny Stefano. Dzięki niemu człowiek ten był najbardziej szanowanym mieszkańcem wsi, mimo że samochód najczęściej był zepsuty. Często nagle stawał na środku drogi, a wtedy wzywano nas do pchania.

Ustawiczna zawodność tego wehikułu oznaczała, że trzeba było błyskawicznie załatwiać jakiegoś busa, by rodzącą kobietę móc przewieźć do szpitala. Bo, rzecz jasna, rodząca kobieta z widoczną główką dziecka albo wystającą na zewnątrz nóżką nie mogła

pojechać na rowerze. Najczęściej lekarz ostrzegał przed porodem w domu, zawsze jednak było dosyć powodów, żeby takie ostrzeżenie puścić mimo uszu.

Fascynowała mnie, ale zarazem napawała strachem zmiana, jaka zachodziła w dorosłych podczas gwałtownych ataków bólu. Kobiety, które zwykle pracowały jak konie, harowały na roli, nosiły wodę, taszczyły drewno na opał, prały stopy ubrań, stawały się nagle jęczącymi wrakami, rzucały głowami na wszystkie strony, biły wokół siebie ramionami, słaniały się i zupełnie traciły panowanie nad sobą. Przypominały mi wtedy psa napadniętego przez chmarę pszczoł albo chwiejną papierową łódkę szarpaną przez wiatr.

Równie fascynujący był widok kobiet po narodzinach dziecka. Wydawało się, że nagle zapomniały o całym bólu i strachu i otwierały się na radość, ulgę i szczęście. Widziałem, jak się śmiały, promieniały, płakały z radości, jakby wszystko, co właśnie przeżyły, było jakimś żartem czy grą.

Dziecko, przyczyna całego zamieszania, leżało błyszczące jak młoda małpka natarta tłuszczem albo prosiaczek w surowym oleju - same zmarszczki, fioletowa skóra i wstrętne pępowina nadymająca się przy każdym oddechu. Nasza robota znowu dobiegła końca. Szybko zapominało się wtedy o nieprzespanych nocach, niepokoju, napięciu i złożonych w ofierze przez znachorów kogutach, zarżniętych, uduszonych lub żywcem zakopanych.

Pierwszy poród, w którym uczestniczyłem, był najtrudniejszy i najbardziej pamiętny. Obudzono nas krótko po północy. Było po deszczu i wiał ostry wiatr, od którego stukwały płyty z blachy falistej i trzeszczały gałęzie drzew. Przez tę psią pogodę moje łóżko wydawało się jeszcze cieplejsze, a spanie czarująco słodkie. Kiedy usłyszałem wołającego człowieka, życzyłem sobie, żeby go porwał wiatr i zagrzebał w rowie aż do nastania dnia. Ale ludzi tego rodzaju nie można było powstrzymać żadną siłą. Zachowywali się równie gwałtownie jak kipiące mleko.

Babcia wołała mnie kilkakrotnie, ale udawałem, że śpię, jak te dzieci w opowiadaniu Kawayidy, podsłuchujące parzących się rodziców. Potrząsnęła mną parę razy i w końcu spojrzałem na nią nieprzytomnym wzrokiem, jakby wyrwała mnie z głębokiego snu. Roześmiała się, ja również, ale nasza wesołość zaraz się skończyła. Kobietę, o którą chodziło, widziałem wcześniej dwa razy. Była mała i chuda, a jej brzuch wyglądał jak worek ziemniaków przywiązany do jej wątego ciała. Dlaczego nie pojechała do szpitala? Życzyłem jej w tym momencie śmierci, ale cofnąłem swe złożenie, bo tak czy owak musieliśmy tam pójść.

Posłaniec, duży młokos z grubymi nogami, przyjechał na rowerze, jednak Babcia nie zgodziła się usiąść z tyłu, mimo jego wielkiej wprawy w kierowaniu (regularnie zawoził

rowerem worki kawy na Mpande Hill, do palarni, i brał udział w samobójczych zawodach w jeździe na dół, podczas których za hamulce służyły jedynie gołe pięty). Wobec tego ja usiadłem na bagażniku, ale tak mnie wytrzęsło, że postanowiłem dalej pójść pieszo. Po dotarciu na miejsce byliśmy cali ubłoceni. Rozwaliłem sobie palec u nogi o blok skalny, ale z powodu zamieszania panującego w domu rodzącej nie było czasu na współczucie dla siebie samego.

Ojciec chłopaka, ciemny, mocno zbudowany mężczyzna, trząsł się i szczekał zębami, próbując powstrzymać łzy. Kobieta zawodziła ledwo słyszalnym głosem, jakby ostatkiem sił. Było to o wiele bardziej przerażające niż mocne krzyki, które miałem usłyszeć podczas późniejszych porodów. To były jęki kobiety, która miała w sobie martwe, ciężkie jak kamień dziecko. To był skowyt psa maltretowanego przez bandę chłopaków za podebranie jajek, uduszenie kurczęcia albo pogryzienie kogoś. I na dodatek wzywała księdza! Potajemnie zajrzałem do pokoju, zobaczyłem jej wybaluszone oczy, poczułem zapach bólu, przerażenia i czegoś jeszcze, czego nie potrafiłem zdefiniować, i wycofałem się pospiesznie. Odebranie dziecka zajęło Babci dwie godziny. Miał to być duży, brzuchaty egzemplarz, a był mały jak pięść. Resztę nocy spędziliśmy u tej rodziny. Rano ta kruszyna obudziła nas tak ostrym wrzaskiem, że Babcia była dumna jak paw.

Mieliśmy we wsi trędowatego, który nazywał się Palce. Był to miły, uprzejmy, Bogu ducha winny człowiek. Nie bałem się go, podobnie jak nie bałem się większości dorosłych ludzi, ale ślady po jego chorobie wstrząsały mną za każdym razem na nowo. Żołądek mi się wywracał na widok bladoporóżowych kikutek w miejscach, gdzie wcześniej znajdowały się jego palce. Dostawałem gęziej skórki, kiedy mnie dotykał albo stukał w głowę, każąc pozdrowić Dziadka lub Babcie. Stawałem wtedy w miejscu, nie odwracając się, bo nie chciałem go urazić, modliłem się jednak, by wydarzyło się coś niespodziewanego, co przyniosłoby kres mojej udręce. Palce był hojnym człowiekiem. Od czasu do czasu zatrzymywał mnie w drodze do szkoły, zapraszał do siebie do domu i dawał duże żółte owoce mango albo soczyste fioletowe łydgi trzciny cukrowej. Jego dzieci spokojnie bawiły się w ogrodzie. Nie mogłem nie przyjąć jego prezentów; byłoby to niegrzeczne bądź nieuprzejme. Zjadałem je więc z odwagą zrodzoną z rozpacz, jak dorosły mężczyzna, za którego się uważałem. Jednak zaraz po wyjściu stamtąd wsadzałem palce do gardła. Musiałem natychmiast pozbyć się całego tego trądu, całego tego soku i wszystkich bakterii. Nie uspokajał mnie fakt, że jego żona i dzieci nie miały objawów choroby. Całkiem możliwe, że trąd był przenoszony tylko na osoby spoza rodziny.

Żona Palców znowu była przy nadziei, a ja byłem przekonany, że tym razem dziecko

będzie chore - naszemu trędowatemu nie mogło wiecznie dopisywać szczęście. Modliłem się o poród w szpitalu, w bliskości pielęgniarek i położnych, dysponujących odpowiednimi lekami. Za każdym razem, gdy widziałem tę kobietę, oglądałem ją partiami: zaczynałem od głowy lub od stóp i przesuwalem wzrok w dół albo w górę, w nadziei, że nie będzie już w ciąży w chwili, gdy dotrę do jej przepony. Ale jej brzuch robił się coraz większy. Niekiedy prosiła mnie o pewne zioło, dawałem jej dwa rodzaje ziół, mogące wywołać przedwczesny poród. Wiedziałem jednak, że to na nic.

Pewnego popołudnia zostaliśmy przez kogoś wezwani. Od rana zamierzałem wdrapać się na moje ulubione drzewo i wyglądać motoru wujka Kawayidy, orla z niebieskim brzuchem. Łaknąłem jego opowiadań. Dlaczego tak długo z tym zwlekałem? Teraz z wdrapywania się nic już nie będzie. Gorzej nawet, Babcia odesłała posłańca z wiadomością, że zaraz przyjdziemy.

— Nie chcę być przy porodzie dziecka, które nie ma palców - oświadczyłem.

— Któż ci to powiedział? - zapytała wystraszona.

— Spójrzcie na ręce jego ojca.

— Jest wyleczony. Dlatego znowu mieszka we wsi.

— Nie boicie się, że się zarazicie?

— Nie.

— Ale ja się boję. Gdyby jego choroba całkiem minęła, to przecież palce odrosłyby mu z powrotem - odparłem, bardzo z siebie dumny.

— Głuptasie, palce u rąk i nóg nie odrastają. Gdybyś obciął sobie palec, krojąc owoc chlebowca, to koniec. Byłbyś wtedy jak on, a mali chłopcy wymyślaliby dziwne rzeczy na twój temat.

— Mimo to nie pójdę tam.

— Przynies szybko torbę i sprawdź, czy są w niej brzytwy. Chcesz, żeby przez ten twój bezsensowny upór coś się nie powiodło?

Dziecku, które się urodziło, nie brakowało palców ani u rąk, ani u nóg, nie miało też dziur w głowie ani w brzuchu. Ale ja sądziłem, że w ciągu kilku miesięcy na pewno coś się wydarzy, i szpiegowałem tę rodzinę. Tymczasem zrobiło mi się coś, na co często cierpieli Dziadek i Serenity: czyrak. Natychmiast zaczęły mi się śnić koszmary. Moje palce u rąk i nóg gnęły w oczach i odpadały. Trędowaty pochylał się nade mną i pytał, jak to jest, gdy się nie ma palców u rąk i nóg. Śmiał się głośno i długo, a jego śmiech roznosił się echem po ciemnym korytarzu. Budziłem się obłany potem, mając wrażenie, że straciłem węch i czucie. Co za ulga, gdy się okazywało, że wszystko jest na swoim miejscu!

Od czasu do czasu w ramach opieki poporodowej trafiały się nam przypadki z komplikacjami. Na przykład pępek dziecka mógł zacząć ropieć i wydzielać wstrętną zielonożółtą wydzielinę, co poważnie niepokoiło niedoświadczonych rodziców. Babcia dawała wtedy zioła i polecała, by zwracać większą uwagę na higienę. Kobiety, które podczas porodu nie były na dole zbyt rozciągliwe, musiały czasem zostać rozcięte, co w niektórych przypadkach, podobnie jak było z wrażliwym penisem doktora Ssałego, kończyło się długotrwałym leczeniem. Niektóre kobiety krwawiły tygodniami z powodu szwów, które puściły, i ogromnie cierpiały podczas siedzenia lub chodzenia. Inne, które miały już dosyć bólu, prosiły Babcie, by usunęła szwy i swoją uzdrawiającą mocą spowodowała gojenie się ran. Był to oczywiście idiotyczny pomysł i Babcia starała się im wytłumaczyć, co by pozostało z ich życia seksualnego, gdyby zrobiła to, o co ją prosiły. Posuwała się przy tym tak daleko, że cytowała męską piosenkę o „wiadrach”, kobietach tak szerokich na dole, że mógłby w nich rosnać pień drzewa, i często udawało się jej przekonać swoje podopieczne, że powinny wrócić do szpitala, by dać się zszyć na nowo.

Do czasu, kiedy w 1971 roku nadszedł kres naszej kariery, pomogliśmy przyjść na świat ponad pięćdziesięciorgu dzieciom, z których dziesięcioro zmarło: troje podczas porodu, a siedmioro później, głównie na odrę. Zmarły również cztery kobiety, podczas porodu lub tuż po nim, z czego trzem lekarze ze szpitala misyjnego radzili, by nie zachodziły więcej w ciążę. Ostatni przypadek był bardzo dziwny i miał dla nas nieprzyjemne skutki.

Mąż zmarłej kobiety dostał okropnego ataku wściekłości, najokropniejszego, jaki w swym życiu widziałem, i rzucił się na Babcie z pangą. Ale Babcia odegrała wtedy przedstawienie swego życia: nie cofnęła się i nawet odwróciła głowę, tak że jej szyja była wystawiona na cios błyszczącego ostrza. Kiedy nóż znalazł się w górze, zamknąłem oczy. Co zostanie odrąbane, głowa czy ramię? Widziałem już głowę Babci toczącą się po podwórku i opryskującą każdego krwią -■ jak w dramatycznej scenie, uwiecznionej w pieśni. Z przerażenia narobiłem wtedy do spodni.

Nikt nie wie, co sprawiło, że mężczyzna nagle się opanował. Może spowodowała to nieustraszoność Babci; może był to cud; może mężczyzna nie potrafił popełnić morderstwa, choć był znany z tego, że zawsze szukał zaczepki. Widziałem go kiedyś w bójce z innym mężczyzną. Nie był człowiekiem troszczącym się o żonę i docierały do nas słuchy, że często ją bił. Przypuszczam, że zmarła na zapalenie opon mózgowych, z wyczerpania albo w wyniku uszkodzenia narządów wewnętrznych spowodowanego biciem. Cokolwiek jednak to było, za bardzo bałem się o Babcie, żeby mogło mi to sprawiać różnicę.

W 1967, kiedy miałem sześć lat, po raz pierwszy spróbowałem szczęścia w szkole.

Stan wyjątkowy z 1966 roku minął, nie wyrządzając zbyt wielu szkód w naszej okolicy, szkoła w Ndere

Hill również wyszła z niego bez szwanku. Serenity także chodził do tej szkoły, podobnie jak Tiida, Nakatu i jeszcze paru innych członków naszej rodziny. Co rano dzieci z okolicznych wsi wyruszały do Ndere Hill, by zaczerpnąć ze źródła wiedzy. Kiedy stało się na szczycie pagórka i widziało setki dużych i małych istotek, wyłaniających się z mlecznej porannej mgły, z chmurkami oddechów wokół głów, stukających pudełkami na cyrkle i szurających stopami o kamienie, można było pomyśleć, że to apokaliptyczna chmara szarańczy wysłana na pagórek przez jakieś rozgniewane bóstwo.

Dołączałem do rzędów tych postaci w zielonych koszulkach i opłakiwałem mój upadek z piedestału w przepaść anonimowości. W nagrodę za to ponizenie musiałem przemierzać codziennie pięć kilometrów, a na dodatek musiałem znosić kaszel i kichanie z zimna. Aby zmniejszyć moją udrękę, fantazjowałem co rano na temat olbrzymiej wieży kościelnej w Ndere Hill. Czasem błyszczała w porannym słońcu, czasem spoglądała ospale spoza strzępów mgły, a czasem wydawało się, że po prostu zniknęła, jakby się przewróciła, i zastanawiałem się, jak wyglądałaby na ziemi. Ale ona zawsze tam stała, wzbudzając respekt swym majestatem, przesiąknięta władzą, spowita w nietykalność. Miała pięćdziesiąt pięć lat, o pięć lat mniej niż kościół, w cieniu którego usadowiła się nasza szkoła.

Zarówno kościół, jak i wieżę zbudował francuski ksiądz. Gdy tylko ozdobił ją czarnym krzyżem, niektóre kobiety, wierzące w jego zdolności do czynienia rzeczy ponadnaturalnych, zobaczyły go latającego, niczym jakiś anioł, ptak albo Pan Jesus. Spełniał w ten sposób widocznie swoją wcześniejszą obietnicę dokonania cudu na cześć ukończenia kościoła. Złożył tę obietnicę, ponieważ wieża dwukrotnie się zawaliła, zanim wpadł na pomysł użycia płyt z blachy falistej zamiast cegieł. Ludzie zaczęli klaskać i śpiewać „Hosanna na wysokości”, kiedy zobaczyli go szybującego w powietrzu z rozłożonymi ramionami i nogami, w białym habicie wzdymanym wiatrem niczym żagiel, z młotkiem niebezpiecznie kołyszącym się u pasa. Nauczyciel religii pierwszy zrozumiał, co się naprawdę stało, i prędko złapał za ręce innego mężczyznę, by złagodzić upadek mistrza. Ale ojciec Lule (miejskowa wersja imienia Roulet) spadł tak szybko, że złamał cztery starające się go uratować ręce. Jego plecy pękły, jego mózg wypłynął i zmarł bez słowa. Drabina, o której wszyscy w całym zamieszaniu zapomnieli, spadła zaraz po ojcu Lule, zabiła jakąś kobietę i złamała nogę jej córce. Dwa miesiące później spadł z ambony pewien katecheta z jednej z podgmin i złamał sobie kręgosłup, biodro i rękę. Niektórzy twierdzili, że był pijany. Inni mówili, że zawsze miał lęk wysokości. Większość ludzi wierzyła jednak, że wszystkie te

przypadki śmierci i nieszczęścia miały ze sobą związek, ponieważ każdy duży budynek żądał krwawych ofiar, zanim otwarto go dla publiczności. Nie zarżnięto byków dla kościoła i wieży, więc mówiono, że kościół postanowił sam zarżnąć byki.

Zazwyczaj, zanim wprowadzono się do nowego domu, zabijano kozę, a ściany spryskiwano jej krwią. Jeśli ktoś nie mógł sobie pozwolić na kozę, wystarczało parę kogutów. Właściciel wiecznie psującego się samochodu wiejskiego zabił na cześć swojego pojazdu koguta: odrąbał mu głowę, po czym rzucił korpus na dach samochodu. Bezgłowe ciało prześliznęło się, trzepocząc skrzydłami, wzdłuż przedniej szyby w dół i wykrwawiło się na masce silnika.

Kiedy zapytałem Dziadka, czy to prawda, że kościół zabił księdza, kobietę i katechetę, a innych ranił, odpowiedział mi pytaniem na pytanie:

— Co byś sobie o tym pomyślał, gdybyś był: a) fanatycznym katolikiem, b) sceptykiem, c) poganinem?

— Prawda ma wiele stron - odparłem po namyśle.

— Byłbyś dobrym adwokatem - stwierdził Dziadek.

W szkole musiałem rywalizować z innymi uczniami. Szło mi to nie najgorzej. Znałem na pamięć tabliczkę mnożenia i potrafiłem dość dobrze czytać i pisać, choć moje pismo było okropne.

Powolni uczniowie często mieli kłopoty, ale inteligentni również. Więksi chłopcy, niektórzy już z pierwszym zarostem, przekazywali mi liściki, na których musiałem dopisywać odpowiedź i odsyłać je z powrotem. Przyłapywano mnie sporadycznie, a wtedy nauczyciel obijał mnie kijem. Starsi chłopcy - „dziadkowie” - nadawali każdemu przydomek. Mnie ochrzczono „Diabelskie Nasienie”, ponieważ według Głupiego A tylko diabły w tak młodym wieku znały na pamięć tabliczkę mnożenia i ortografię. Głupi A napisał na kartce „Djabelskie Nasienie” i przykleił ją na moim stoliku garścią papki z owocu chlebowca. Zostałem ukarany, ale zakonnica zwróciła uwagę na ohydny pisownię autora, co trochę mnie pocieszyło.

Próbowałem przekonać Głupiego B, również należącego do grupy starszych chłopców, żeby ukarał w moim imieniu Głupiego A, ale odmówił mi swego poparcia. Głupi A był znany ze swej mściwości. Mógł zamknąć cię w szafie i trzymać w niej, aż zaczniesz na kolanach błagać o łaskę. Mógł usiąść na twoim brzuchu i napluć ci w twarz. Mógł wsadzić cię do brudnego kotła albo zagrozić, że połamie ci nogi podczas gry w piłkę. Wszyscy się go baliśmy.

Pewnego ranka usłyszałem, jak dwóch młodych nauczycieli mówiło do siebie, że dokuczanie jest również formą szantażu. Postanowiłem to wypróbować. Wszedłem do klasy,

zanim pojawił się nauczyciel, i powiedziałem:

— Moja Babcia jest znachorką. Jeśli o północy wrzuci do ognia gąsienicę, wystarczy, by wymówiła jedno słowo, a temu, kto przykleił na moim stoliku napis „Djabelskie Nasienie”, wyrosną włosy na całym kutasie i na zawsze pozostanie obwisły.

Splunąłem trzy razy w dłoń i potarłem swoje krocze. W klasie zapanowała złowroga cisza. W przerwie w południe Głupi A zabrał mnie na stronę, za toalety, spodziewałem się więc najgorszego, ale on się po prostu przyznał. Potrzymałem go przez chwilę w niepewności, aż z mokrych placków pod jego pachami zaczął unosić się zjełczały zapaszek. Zawarliśmy porozumienie. W ten sposób zdobyłem swojego pierwszego ochroniarza.

Teraz przyszedła kolej na dziewczyny. Ponieważ nie miały kutasów, z których można by zrobić gąsienice, myślały, że sobie z nimi nie poradzę. Wołały „Djabelskie Nasienie”, śmiały się i uciekały. Głupi A zabierał im książki, chował piłki do kosza i groził paru z nich, ale bez powodzenia.

Pewnego ranka otoczyło mnie sześć dziewczyn. Sięgnąłem po czarodziejskie ziele, splunąłem w dłoń i zwróciłem się do tej, która podjudzała inne - wyrosniętej dziewczyny z piersiami jak moja głowa.

— Masz faceta - zacząłem blefować - i urodzisz stworzenie bez członków, a mleko w twoich piersiach zsiądzie się i zmieni w ropę.

Wbrew moim oczekiwaniom nie zostałem zaatakowany ani zwymyślany. „Flaszka Mleka” pękła jak grudka gliny pod naporem młyńskiego kamienia i zaczęła płakać. Wpadłem w panikę. Pobiegłem w stronę ślepej ściany kościoła i zostałem tam przyłapany przez samego kierownika. Chwycił mnie za przegub, pchnął z powrotem w krąg dziewczyn i zażądał wyjaśnień. Powiedziałem, że nie chciałem nikogo zranić, ale musiałem się bronić. Flaszka Mleka zachowywała się idiotycznie: wciąż płakała. Kierownik wetknął jej kij do ręki i kazał mnie zbić. Jednak ona upuściła go jak grubą, owłosioną gąsienicę. Po solidnej naganie kierownik odesłał mnie do domu, mówiąc, że nigdy nie wolno mi nikogo straszyć penisami ani piersiami, i dał mi dwa razy kijem po głowie. Byłem wściekły.

Myślałem, że Babcia stanie po mojej stronie, ale pomyliłem się.

— Nigdy nie powinienes zniżać się do poziomu tych dziewczyn, słyszysz, co mówię?

— Zniżyć się! - zawołałem. - Dziewczynisko wielkie na tyle, że mogłoby mnie wydać na świat, zaczyna mi dokuczać, a jak jej się rewanżuję, to okazuje się, że jest to poniżej mojej godności!

— Zapewne nie opowiedziałeś mi całej historii - wywnioskowała Babcia.

Miała rację. Opuściłem ten fragment o znachorce.

Podczas pierwszych lat szkoły jedna osoba wywierała na mnie szczególnie silne wrażenie - Santo, wiejski idiota. Był cichy, nieszkodliwy i płochliwy jak cień. Zawsze nosił czystą białą koszulę i spodnie khaki i nigdy nie śmierdział jak Głupi A. Czasem mówił do siebie, liczył palce u ręki, jakby rozwiązywał problem matematyczny. Nikt mu nie dokuczał, co graniczyło z cudem, bo starsi chłopcy wałęsali się po wiosce, śmiertelnie się nudząc. Nauczyciele ostrzegali przed katastrofalnymi skutkami, których mógł spodziewać się każdy, kto zostanie przyłapany na dokuczaniu Santo: liczne kije i zadanie wykopania motyką dwóch grubych pniaków drzew mango.

Zazdrościliśmy Santo jego pisma, ładnie pochylonego, oraz zacięcia matematycznego. Nauczyciele często mówili, że dostalibyśmy nagrodę, gdybyśmy pisali choć w połowie tak starannie jak on. Przed pójściem do domu wycieraliśmy do czysta wszystkie szkolne tablice, ale co rano na każdej tablicy zastawaliśmy słowa: „Kyrie elejson, Kyrie elejson, Chryste elejson”. Ortografia była zawsze nienaganna, zawsze ten sam tekst. Mówiono, że Santo był geniuszem, a zwariował tuż przed wyjazdem do Rzymu, gdzie zamierzał studiować na Uniwersytecie Urbana. Miał zostać pierwszym księdzem z naszej okolicy. Uroczystości przed jego wyjazdem trwały pięć dni. Ojciec Mulo (zniekształcenie imienia Moreau), następca ojca Lule, miał go zawieźć na lotnisko. Ale tamtego ranka wszystkich obudził pożar. Santo oblał bagaże, łóżko i zasłony kerozyną i wszystko podpalił. Od tamtej pory nie wypowiedział ani słowa. Wszelkie próby nakłonienia go do mówienia, nie wyłączając tortur, spełzły na niczym.

Czasem przychodził do szkoły na papkę. Czasem zrozpaczeni chłopcy dawali mu karteczki z trudnymi matematycznymi zadaniami, a on czasem im pomagał, czasem jednak tylko żuł te karteczki. Co sprytniejsi zostawiali swoje skomplikowane zadania na tablicy i jeśli mieli szczęście, następnego ranka obok „Kyrie elejson” znajdowali odpowiedź. Ale zdarzało się również, że odpowiedź pojawiała się dopiero po kilku dniach.

Wiele razy wstawałem wcześniej rano i pędziłem do szkoły w nadziei, że przyłapię go na pisaniu albo zobaczę wychodzącego przez szkolne okno. Nigdy mi się to nie udało. Nigdy nie rozwiązałem tej zagadki i nigdy nie dowiedziałem się, czy miał zapasowy klucz, czy też, jak sądzono, wchodził zwyczajnie przez okno.

Kiedy chodziłem do szkoły podstawowej, nie było zbyt dużo pracy połoźniczej. Liczba urodzeń na wsiach drastycznie zmalała. Większość młodych kobiet i mężczyzn ulegała wątpliwej pokusie małych i dużych miast. Nie mogłem brać im tego za złe. Byli ogromnie odmienieni, kiedy wracali: sprawiali wrażenie postawniejszych, bogatszych i mądrzejszych i znali mnóstwo nieprzyzwoitych dowcipów. Ale nie bałem się już tych

wygnańców. Byli marnymi imitacjami wujka Kawayidy, a ich dowcipy nie umywały się do jego podniecających opowieści. Przestałem słuchać ich gadek i zamiast tego wiele czasu spędzałem w dawnym domu Serenity, na drzewach i w każdym zakątku wsi. Często wspinałem się na swoje ulubione drzewo i gapiłem na horyzont. Podglądałem ludzi tnących trzcinę papirusową, której używali na maty na podłogę i pokrycie dachów. Obserwowałem ich z ukrycia, gdy stali w wodzie i cięli, cięli, cięli, stawiając czoła pijawkom i węzom wodnym i uważając, by nie skaleczyć się papirusem ostrym jak brzytwa Babci. Uwielbiałem też gapić się na Mpande Hill. Od czasu do czasu widziałem organizowane tam zawody rowerowe, samobójcze zjazdy na dół popisujących się chłopaków z okolicznych wsi. Wygrywali je zawsze ci, którzy wozili worki kawy do palarni, bo tylko oni potrafili hamować na rowerze gołymi piętami. Raz brałem udział w takich zawodach, siedząc na bagażniku roweru kolegi, i o mało nie przyplącałem tego utratą stopy, ale potem zabroniono mi tego, bo chłopcy obawiali się, że ściągną na siebie gniew Dziadka.

Po nieznośnie długim czasie ujrzałem wreszcie orła z niebieskim brzuchem sunącego w dół wzdłuż stoku.

— Wujek Kawayida, wujek Kawayida, wujek Kawayida! - wykrzyknąłem.

Szybko złapałem klucz od domu Serenity i wbiegłem do środka. Słomianą miotłą pozamiatałem wszystkie pokoje. Gdy wietrzyłem dom, usłyszałem na zewnątrz wycie motoru. Wujek Kawayida przywiózł jednak złe wieści.

Zmarł jego teść, pan Kavule. Wujek był ponury i milczący, więc myślałem, że pewnie bardzo kochał zmarłego. Wyjechali z Dziadkiem następnego ranka. Wrócili pełni obrzydzenia.

Pan Kavule zmarł na raka i śmierdział jak martwy słoń, ale nie pochowano go od razu, ponieważ zażądał w testamencie czterodniowego czuwania, a ostatnie życzenie zmarłego jest święte. Jego ciało leżało w dużym pokoju. Gdy zaczynał wiać wiatr, pół wsi robiło się niedobrze od smrodu. Wszyscy głodowali, bo kto tylko coś zjadł, natychmiast to wyrzygiwał. Zmarły miał rekordową liczbę potomków - czterdziestu: trzydzieści córek i dziesięciu synów. Dziadek głośno się zastanawiał, skąd on miał te wszystkie piękne kobiety, z którymi spłodził swoje piękne córki, bo dwadzieścia z nich było ładniejszych niż w ogóle uważano za możliwe, a w odczuciu wielu ludzi nawet te mniej ładne były ładne. Żona Kawayidy też była piękną: była postawna, brązowoczarna, ponętna, a jedynym mankamentem jej urody były duże uszy. Ogólnie jednak narzekano, że córki pana Kavule mogły zostać lepiej wychowane i wykształcone. Mówiły najczęściej to, co im przyszło do głowy, a niektóre z nich były nieco lekkomyślne. Z trzydziestu za męża wyszło zaledwie dziewięć.

— Liczebność, liczebność, liczebność - mruknął Dziadek pewnego popołudnia i potrząsnął z żalem głową. - Mają szczęście, że są ładne, ale mają pecha, że tak mało wiedzą.

Ten jedyny raz usłyszałem Dziadka mówiącego coś na temat żony Kawayidy.

Przyzwyczailiśmy się już, że polityka jest chorobą, która w naszej rodzinie dotyka jedynie Dziadka. Powszechnie sądzono, że prowokował kłopoty i spadające na niego kary, by naprawić kilka pomyłek, które popełnił jako przywódca. W Dzień Niepodległości, 9 października 1962 roku, pobił się z parą prorządowych awanturników, z czego wyszedł z powierzchowną raną kłutą i złamanym zębem. W 1966 roku, gdy zniesiono konstytucję i ogłoszono stan wyjątkowy, ponownie popadł w tarapaty. Tym razem miało to miejsce w odległej wsi, gdzie żołnierze policzyli gości paru ludziom za nieprzestrzeganie godziny policyjnej. Ponieważ Dziadek się za nimi ujął, został wrzucony do gnojówki. Kilka tygodni później wieś poprosiła go, by pośredniczył między jej mieszkańcami i żołnierzami. Babcia mówiła mu, że nie powinien iść, ale poszedł. Ostrzelano go w drodze powrotnej i do końca życia pozostała mu kula w nodze.

Dlatego wydawało się, że świat wywrócił się do góry nogami, gdy polityka postanowiła dobrać się do skóry Babci. W nocy 25 stycznia 1971 roku generał Idi Amin, wspierany przez brytyjskich i izraelskich przyjaciół, sięgnął po władzę podczas wojskowego puczu. Doprowadził tym do upadku swego byłego obrońcę, premiera Miliona Obote, który uczynił kraj niezależnym, a potem zniósł konstytucję. Generał Amin przedstawił osiemnaście powodów tego zamachu, między innymi korupcję, zamykanie ludzi bez wyroku, brak wolności słowa i chaos gospodarczy.

We wsiach tańczono, śpiewano i świętowano na wszelkie inne sposoby. Nie wiedziałem, co o tym wszystkim sądzić. Z jakiegoś niejasnego powodu spałem tego wieczoru u Dziadka. Obudził nas pożar. Jaskrawa luna prędko zawiodła nas do zagrody Babci. Jej dom zamienił się w wyżłobiony kajak, wyrzucony na brzeg przez kipiące morze różowych, niebieskich i czerwonych płomieni. Kołysał się okropnie tam i z powrotem i kręcił w kółko w wysoko buchającym morzu ognia. Drzwi i okna zawały się w wirujące płomienie. Żelazne płyty wyginały się, jakby konały z bólu, i zwijały na kształt groteskowych lejków. Wreszcie belki podkopane przez płomienie załamały się i reszta dachu runęła w dół. Kobiety przypatrywały się temu z otwartymi ustami i podniesionymi rękami, a z ich spieczonych ust wymykały się strzępy jęków. Mężczyźni stali bezsilni, sparaliżowani i osłupiali. Wrzała we mnie mieszanina słów, która zatykała mi usta i skazywała na duszące, milczące cierpienie pokonanego buldoga. Babcia, po czterdziestu latach pracy w roli akuszerki, została pochłonięta przez wyjące płomienie.

Przychodziła mi na myśl tylko jedna osoba, która mogła tego dokonać: człowiek, który kiedyś próbował odrąbać Babci głowę. Zamach dostarczał idealnego alibi. Poczulem coś ciepłego spływającego mi po nogach. Po raz drugi w życiu zsikałem się do spodni.

Moje życie stanęło na głowie.

Księga druga MIASTO

Kipiący plac w kształcie nerki, służący teraz jako postój taksówek, był pierwotnie sennym wzniesieniem wulkanicznym. Podczas ostatniego czynnego okresu wulkan rozerwało, w wyniku czego powstała nieckowata kotlina, a dawne doliny zmieniły się w siedem wzgórz, stanowiących obecnie jądro miasta.

Stojąc na skraju placu i wdychając paskudne zapaszki dochodzące z targu Owino i spaliny niezliczonych pojazdów, odnosiło się wrażenie, jakby wszystkie opowieści wujka Kawa - yidy wymieszały się ze sobą, tworząc wielobarwny melanz, wypływający wulkaniczną nieckę jak żrący kwas. Asfalt wygryzany powoli przez ludzkie stopy i opony samochodowe, drżący pod wiecznym potokiem podróżnych, próżniaków, kramarzy, zaklinaczy węży i wszelkiej innej nieokreślonej hołoty, przywodził na myśl dawne bagniste czasy, zanim odprowadzono lub puszczono innym korytem wodę z niecki, wycięto bądź wypalono zarośla, a zamieszkujące je zwierzęta przegnano albo wytrzebiono.

Unoszący się w powietrzu zapach starego ognia wulkanicznego, wiszący nad placem wosk słonecznego żaru oraz zamęt pojazdów i duchów terażniejszości i przeszłości czyniły z niego tygiel zakurzonych marzeń i rozgorączkowanych ambicji, przelanej krwi i poturbowanych ciał ludzkich, co sprawiało, że było to jedno z tych miejsc w mieście, które robią największe wrażenie. Za każdym razem, gdy stałem w tym jazgotliwym kotle czarownic, moja pierś puchła, a od wielkich rzeczy, jakie tu wisiały w powietrzu, trzęsły mi się nogi. Byłem świadomy zarówno wspaniałych, jak i odrażających epizodów zaklętych w tym asfalcie, które co jakiś czas wystawiały głowy, jak borowiki szatańskie, ukazując błysk przeszłości, a nawet przyszłości. Miałem wrażenie, że mogę tu poczuć nadejście wielkich wydarzeń historycznych, jeśli będę wystarczająco długo przyglądał się temu tłumowi łupieżców, rabusiów, ulicznych domokrążców, chłopców na posyłki, uwodzicieli, żebraków i innych bezimiennych dusz. Za każdym razem wydawało mi się, że stoję tam po raz pierwszy. W każdej chwili, w każdym momencie mogło się tu nagle wydarzyć coś, czego od dawna oczekiwano. To właśnie było miejsce, w którym miało to nastąpić.

Wtedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłem prawdziwe narodziny, w metalicznym porannym powietrzu, kiedy wschodziło słońce, żeby pogrzebać świat pod nowym dniem sensacyjnego obłądu. Czulem ciężki zapach targu, gdy nagle, znikąd, pojawiła się zataczająca

się kobieta, wypchnięta z anonimowego samochodu dostawczego. Jej sukienka uniosła się na wietrze aż po pas i w mgnieniu oka ujrzałem napuchnięte, szeroko rozwarte wgłębienie, z którego wypadło jedno dziecko, a potem drugie. Miałem wrażenie, jakby wszystkie pięćdziesięcioro dzieci, które pozostawiłem we wsiach, ścigało mnie aż do tego miejsca, żeby objawić mi się w tej jednej nadzwyczajnej eksplozji narodzin i żeby mi dokuczać swymi kupami i sikami oraz zadrećczać nieuniknionością swego nadejścia. Przez chwilę kobieta krzyczała tak przejmująco, że na całą dolinę opadła niesamowita cisza. Bóle były tak silne, że jej twarz nabrała popielatoszarej barwy kogoś, kto jest o włos od utraty świadomości. Ciszę przerwało czyjeś wołanie o akuszerkę lub lekarza, albo kogoś, kto mógłby coś zrobić. Nie ruszyłem się, ponieważ nie mogłem, ale też nie chciałem. Nagły koniec mojej kariery asystenta akuszerki ciążył mi równie mocno jak moje obecne życie, które zdawało się biec jedynie w dół. W tym momencie ściana pleców i las nóg przesłoniły mi szokującą scenę narodzin pod gołym niebem. Widziałem wody płodowe zmieszane z krwią, spływającą wokół stóp i kupek piasku do dziur w jezdni, klejącą się do opon i zelówek. Minęło sporo czasu, zanim ponownie dotarły do mnie partackie architektoniczne szkielety otaczające niekę.

Wznoszące się i opadające kontury tej zapuszczonej *skyline*, ten rząd popękanych, zmurszałych relikwii z minionego wieku, przywodziły mi na myśl wyszczerbioną szczękę, w której brakowało niejednego zęba. Wypłowiałe ściany, zakurzone okna, nadzarte rdzą dachy i cała stęchła atmosfera, którą zionęły budynki, odzierały mnie ze złudzeń za każdym razem, gdy na nie patrzyłem. Z powodu bezdennej nudy i zupełnego braku jakiegokolwiek formy architektonicznej wyobraźni nie mogłem lubić tego pretensjonalnego miasta i z tęsknotą myślałem o mokradłach, wsiach i wzgórzach z moich rodzinnych stron. Architekci, którzy uraczyli to miasto i ten kraj tak obrzydliwymi dziwolągami, musieli cierpieć na jakąś nadzwyczajną demencję, a ponadto na jakąś formę duchowej malarii i tropikalnego odrętwienia.

Stadion Nakivubo, z którego relacjonowano w radiu wiele meczów piłkarskich, smażył się w pewnym oddaleniu w swej przezroczyściej jaskrawości - jego wybrudzony tyłek ze śladami szczyń i graffiti skierowany był w stronę niecki. Światła stadionu, skupione jak przysawki gigantycznej ośmiornicy, spoglądały na zanieczyszczoną rzekę Nakivubo. Jej ograniczony betonem nurt służył przede wszystkim do wrzucania do niej martwych psów i kotów.

Wysoko ponad stadionem wyrastał Meczet Rady Najwyższej na Old Kampala Hill. W jego płowiejącym, beżowym blasku zachowało się jeszcze coś z dawnej arabskiej świetności, choć był skazany na spoglądanie na rozpadającą się kryminalną dzielnicę, w której mieszkali

najubożsi Azjaci.

Na następnym wzgórzu stała katolicka katedra Lubaga przesłonięta wysokimi, smukłymi drzewami i swą bombas - tyczną historią. Jej bliźniacze wieże kokietowały przekornie kopuły w kształcie piersi, należące do protestanckiego kościoła Namirembe. Ich rywalizacja rozpoczęła się w latach 1877 - 1879, kiedy do Ugandy przybyli pierwsi protestanci i katolicy misjonarze. Rywalizacja, z powodu której na tych wzgórzach i w tych dolinach wiele razy niepotrzebnie przelano krew. Obie religie szukały od czasu do czasu zwolenników wśród pogan i muzułmanów, by mieć silniejszą pozycję w swoich wyraźnie politycznie zabarwionych konfrontacjach. Tę część miasta z jego kościołami, szpitalami i szkołami nazywano Pobożnym Zaułkiem.

Z niecki wyłaniał się Nakasero Hill i ciągnął się w kierunku północnym. Niczym grube pręgi przecinały go asfaltowe drogi, wzdłuż których stały pudełkowate zabudowania. Mieszkali tam hurtownicy i sklepikarze, ciężko walczący o utrzymanie się na powierzchni. Ich klatkowate sklepiki wyglądały jak kontenery, ocalałe z rozbitego statku: wystawione na palące słońce, wygryzione przez kwaśne deszcze, a od środka skazane na ten na wpół dobrowolny rodzaj zaniedbania, w którym dobrze czują się wyrzuceni na brzeg piraci. Na wyżej położonym terenie, wzdłuż okolonych drzewami alei spoglądających z góry na kontenery i ich mieszkańców, stał Sąd Najwyższy, parę mniej ważnych należących do niego budynków i komisariat policji. Stało tu też kilka domków oficerów, którzy pierdzieli swoimi jeepami przez otwarte okna do wnętrza budynków i do szaf archiwum Stróży porządku. Ze wzgórza zdawało się sączyć do niecki ogromne napięcie. Stojąc na jego skraju, nasłuchiwałem czasem, czy nie dochodzi mnie już stamtąd odgłos nadciągającego trzęsienia ziemi.

Ale jedynymi odgłosami, jakie do mnie dochodziły, były głupawe okrzyki chłopców na posyłki, ochryply szept bezzębnych wróżbiarzy i śpiew zaklinaczy węży. Moją uwagę przyciągał cienki jak igła głos muezina, metaliczne wycie syren oraz warkot wojskowych jeepów jadących na Nakasero Hill. Trzask pęknięcia podłoża tych wyniosłych wzgórz byłby z pewnością głośniejszy niż zamierające wycie syren. Całą siłą woli próbowałem zmusić hipotetyczną linię pęknięcia do przesunięcia się i pogrzebania wzgórz, do wywrócenia dolin na drugą stronę i wyrzucenia w przestrzeń ogromnego grzyba, wraz z którym wszystko zostałoby uniesione w powietrze. A Serenity i Kłódce z ich okropną dyktaturą, przed którą na chwilę uciekłem, by znowu zaczerpnąć powietrza i móc zemścić się w myślach - życzyłem tego samego losu co zwierzętom, które kiedyś błąkały się po tych dolinach.

We własnym mniemaniu Kłódka i Serenity odnieśli wielki sukces. Przeprowadzili się

z prowincjonalnych ciemności wsi do dużego, szpanerskiego azjatyckiego domu z otwieranymi oknami i czerwonym dachem. W oknach z przodu była zamontowana druciana siatka, bo wszyscy Azjaci śmiertelnie bali się włamywaczy. Drzwi wejściowe, z których rzadko korzystano, znajdowały się u szczytu dwunastu szerokich stopni, co nadawało budynkowi wygląd pagody.

Duży pokój był zawalony fotelami, dziecięcymi rzeczami i różnymi przedmiotami, a w powietrzu unosił się kurz, nieprzerwanie na nie opadający. Cały dom jakby się skurczył, odkąd zamieszkała w nim konserwatywna katolicka rodzina, nieustannie grożąca powiększeniem się.

Podwórko za domem stanowiło część większej całości, w której życie, historia i religia mieszkających tu ludzi zostały sprasowane w pewien specyficzny rodzaj intymności. Zawsze miałem wrażenie, że stoję na podwórzu więzienia, że znalazłem się w kraju, w którym rządzi dyktatura uznająca areszt za najwyższą formę dyscypliny i wychowania.

Dla Serenity życie w mieście oznaczało duży krok w górę na społecznej drabinie, bo w tej dzielnicy panował wcześniej apartheid. Afrykańczycy pracowali w niej jako służący lub ogrodnicy, lecz nie mieszkali tu. „MiniBombaj”, tak w tamtych czasach nazywano tę część śródmieścia Kampali. Serenity przez jakiś czas płaścił się w luksusie posiadania zaledwie trzech potomków, dzięki czemu mógł oszczędzać na samochód i rozkoszować się spokojnym życiem. Wkrótce jednak ten spokój został zburzony przez trójgłowego smoka katolicyzmu, którego po raz pierwszy spotkał w rodzinnym domu żony. Wpływ umęczonego Chrystusa wiszącego u teściów na ścianie, zabezpieczonego przed zagrożeniami przeciekającego dachu, zaczynał być coraz bardziej wyczuwalny w jego własnym domu. Oddech smoka spalił cieniutką otoczkę marzenia i Serenity był na najlepszej drodze do posiadania równie wielu dzieci, co azjatycki urzędnik mieszkający przed nim w tej pagodzie. Dzięki narodzinom bliźniaków miał ich teraz wraz ze mną sześcioro i głowa pękała mu od zmartwień. Obawiał się przyszłości i nie ufał teraźniejszości.

Aby uchronić się od uciążliwych domowych kłopotów, przekazał całą władzę w domu swemu stróżowi dyscypliny, czyli Kłódce. Chętnie załatwiał sprawy na odległość, jakby oszczędzał energię na jakieś ważniejsze zadania. Najbardziej się cieszył, gdy nie musiał wysłuchiwać, co żona robiła w celu utrzymania jego autorytetu, uważał bowiem, że wszystkie kłopoty, jakie z tym miała, były jej zasłużoną nagrodą. Sama przecież chciała tylu dzieci. Nieprzerwanie poszukiwał sposobów wybrnięcia z trudnej sytuacji, zbyt dumny, by złożyć broń i odejść. Był jednak dość rozsądny, by zauważyć, że nie zawdzięcza tego wyłącznie żonie. Próbował sobie przypomnieć, gdzie i kiedy stracił przewagę i poddał się Kłódce. A ona

od początku płynęła zdecydowanym kursem, odrzucając każdą formę kompromisu czy dyskusji. Napięcia będące wynikiem życia w mieście działały na jej korzyść. I zanim Serenity się zorientował, przegrał zarówno bitwę o środki antykoncepcyjne, jak i całą wojnę. Rezultatem tego były głębokie zmarszczki na jego czole, nadające mu szorstki i zarazem komiczny wygląd. Wygląd umęczonego tyrana.

Kłódka stała się w mieście inną kobietą. Była teraz bardziej pewna siebie i bardziej nieprzejednana, ponieważ nie musiała już oglądać się przez ramię. Drakoniczny stróż porządku w jej wnętrzu rozkwitł w pełni, a ona uświetniła ten swój nowy status nowym rytuałem. Co rano wszystkie dzieci musiały ją witać, padając na kolana. Co rano musiałem wchodzić do jej sypialni, którą dzieliła z Serenity, rzucać się na kolana i wypowiadać słowa pozdrowienia. Albo musiałem szukać jej na podwórku, gdzie najczęściej przebywała, klękać na dziurawym, szorstkim betonie i wymawiać odrażające powitanie. Na samą myśl, że musiałem nazywać tę kobietę „matką”, robiło mi się niedobrze. Najchętniej narzygałbym jej na stopy. Ponieważ codziennie byłem zmuszany do kłamstwa i codziennie musiałem nazywać ją czymś, czym dla mnie nie była, zacząłem powoli odkrywać siłę wyobraźni i magię urojonych myśli o władzy. Pogarszało to jednak tylko nasze konflikty.

Spoglądając z pogardą na płaszczące się u jej odzianych w sandały stóp stworzenie, raz reagowała na moje wymuszone powitanie, a raz nie. Jeżeli nie zareagowała, oznaczało to, że odrzucała moją ofiarę i muszę spróbować jeszcze raz i jeszcze raz - dopóki nie zrobię tego dobrze. Tymczasem ona sterczała wysoko nade mną w porannym powietrzu, z usztywnionymi włosami na głowie, wyglądającymi jak kapturek na czajnik z herbatą.

— Nie słyszę cię - syczała i patrzyła w górę, jakby błagała oboską ingerencję.

Pragnąłem jak najszybciej powstać z kolan i umknąć współczującym spojrzeniom sąsiadów, więc doprowadzało mnie to niemal do szaleństwa. Nie żeby miała coś z uszami, nie, dobrze słyszała pozdrowienie, ale ton mojego głosu nie połechtał odpowiednio jej despotycznego ego. Powinien wyrażać całkowite poddanie się jej władzy, niewolniczą wdzięczność za każdą rzecz, jaką kiedykolwiek dla ciebie zrobiła. Dopiero gdy utrafiło się we właściwy ton, również cię pozdrawiała i mogłeś wstać. Dla moich braci i siostr urodzonych w mieście niewiele to znaczyło, ale mnie, łapserdakowi ze wsi, który nigdy przed nikim nie klękał, a u stóp którego leżała niejedna wdzięczna matka, trudno się było przemóc. Założenie mi tego jarzma kosztowało Kłódkę cały las różg z guavy.

Nie znosiłem przede wszystkim składania Kłódce czci na podwórku, bo nie lubiłem, gdy trzecia, najmłodsza żona sąsiada widziała mnie klęczącego. Kiedy wiedziałem, że jej oczy są skierowane na mnie, czułem się jak bezradny ptaszek czekający z otwartym

dzióbkiem i drżącym języczkiem, aż matkaptak wrzuci do jego gardła robaka. Od samego początku widziałem w Sauya Lusanani, bo tak się nazywała moja sąsiadka, siostrę i kochankę zarazem oraz ucieleśnienie ducha miasta. Byłem przekonany, że wszystko dobrze by się ułożyło, gdyby stała po mojej stronie, że wówczas powiodłyby się moje mściwe plany. Była najmłodszą dorosłą osobą wokół mnie, z którą mógłbym znaleźć wspólny język, i koniecznie chciałem ją bliżej poznać. Zastanawiałem się jednak, czy taka okazja kiedykolwiek się nadarzy. Ona była muzułmanką i prawdopodobnie by mnie odrzuciła, ponieważ byłem katolikiem. W rozpaczy mówiłem sobie, że natychmiast bym się nawrócił na islam, gdyby była to jedyna możliwość zdobycia tej kobiety. Byłem jedynie przeciwny obrzezaniu, ale czy nie byłoby możliwe nawrócenie się bez konieczności obrzezania? Bo jak tu dać się obrzezać, gdy się wie, że można się przez to nabawić raka penisa? Czy niczego się nie nauczyłem po wystawieniu na taką próbę doktora Ssalego? Poza tym byłem przekonany, że Kłódka wydziedziczyłaby mnie i wymusiłaby na Serenity, by przestał płacić za moją dalszą naukę. Jak mógłbym wtedy zostać adwokatem?

Całymi nocami rozmyślałem o naszym sąsiedzie Hadzim Gimbi i jego trzech żonach. Zastanawiałem się, czy leży w tej chwili w łóżku z Lusanani i jak mógłbym go przepędzić. Uważałem, że nie zasługuje na tę dziewczynę. Mógł być jej ojcem albo nawet dziadkiem. Miał długą, gęstą brodę, nadającą jego ustom podły wyraz. Ciężkie powieki przesłaniały jego świńskie oczka, niemal niewidoczne w dużej, mięsistej twarzy. Ten człowiek na pewno bardziej niż ja zasługiwał na to, by Kłódka porządnie go wychłostała, bo odsyłał swoje kobiety, by móc się żenić z coraz młodszymi. Zastanawiałem się, jak wśliznąć się do jego domu i odebrać mu Lusanani. Zdawałem sobie sprawę, że kosztowałoby mnie to sporo czasu i wysiłku, ale bardzo chciałem ją mieć.

Kłódka, jak wiele innych kobiet, które w krótkim czasie urodziły wiele dzieci, nie znosiła związanych z tym sanitarnych następstw. Poza tym że nie miała ochoty na pilnowanie wypróżniania się, nienawidziła również prania gór pieluch i prześcieradeł, które dzieci brudziły. Moje przybycie było dla niej błogosławieństwem i natychmiast to wykorzystała. Nagle stałem się gównianym stróżem rodziny. Co rano mój organ węchu męczył smród lawiny odchodów, a moje oczy były częstowane gównianymi katastrofami o najróżniejszych kolorach i składzie. Na wsi czułem się wyniesiony ponad ten rodzaj ziemskich zobowiązań i często pozwalałem dzieciom gości kisić się we własnych kupach. Matkom, które były tam naszymi klientkami, nie przyszłoby nawet do głowy, że powinienem podcierać tyłki ich dzieciom. Ale tu, w mieście, odebrano mi wszystkie wcześniejsze przywileje.

Jakbym musiał nadrobić wszystkie babcine nocne czuwania, spałem w ciągu tych dni

bardzo głęboko i z trudem się budziłem. Klódka nie mogła tego znieść i stosowała różne sposoby budzenia. Łapała mnie za ramię i mocno mną potrzasała, szczełała mi do uszu, oblewała mnie zimną wodą albo stosowała swoje ulubione narzędzie: różgę z guavy. Każdego dnia stosowała inną metodę. W te dni, kiedy oblewała mnie zimną wodą, i w te, gdy mnie biła, z trudem udawało mi się wypowiedzieć poranne pozdrowienie właściwym tonem i długo klęczałem wówczas u jej stóp.

Każdego ranka moim najważniejszym zadaniem było budzenie gówniarzy i sadzanie ich w rzędzie w takim odstępnie od siebie, żeby podczas srania nie mogli się kłócić. Ich parujące kupy musiały spadać dokładnie na środek gazety, nad którą kazałem im kucać. Żeby zapach gównien nie uderzał mi w nozdrza, stawałem zawsze w pewnej odległości, z której przywoływałem do porządku każdego gówniarza, który źle celował. Pierdzenie, stękanie i plaskanie niewiele się różniło od odgłosów, jakie wydawała z siebie Klódka w dniu, w którym postanowiłem zbadać, skąd się biorą dzieci. Pod koniec tej gównianej godzinki rwałem na paski papier gazetowy: ci, którzy byli już gotowi, wołali, i wtedy wycierałem im tyłki, uważając, by nie pobrudzić przy tym ich jajeczek czy cipeczek, bo musiałbym je jeszcze myć - robota, na którą nie miałem ani czasu, ani cierpliwości.

Klódka mi nie ufała i zawsze stała gdzieś na czatach, najczęściej w strategicznym miejscu na skraju podwórka. Jej obecność była dla gówniarzy wyraźnym ostrzeżeniem, by nie zachowywać się niewłaściwie, a jej groźne spojrzenie sugerowało, co by się ze mną stało, gdybym zbyt szorstko wytarł pupy jej dzieci, próbując się zemścić. Kręciła się w pewnej odległości, dopóki się nie przekonała, że należycie wywiązałem się ze swego zadania i że moje ręce nie uległy pokusie wyrządzenia jakiegoś niecnego psikus, po czym bezgłośnie zniknęła z oczu.

Gdy wszystkie tyłki były już wytarte, gówniarze wracali do domu, pozostawiając mnie sam na sam ze swymi smrodliwymi wytworami. Jeśli gazety nie zrobiły się zbyt wilgotne, mogłem w nie szybko zawinąć kupy i siki i wyrzucić. Wyrzucałem je zawsze z pewnym ożywieniem, bo cieszyłem się, że wreszcie będę mógł pójść do szkoły. Ale w złe dni gazety były przemoczone i pękały po drodze, więc gnałem z powrotem, owijałem wszystko w nową gazetę i ponownie wynosiłem, spiesząc do kolejnego zadania.

Myłem się, myśląc o Miss Sunlight Mydło, ciotce Tiidzie, kobiecie, która cztery razy dziennie brała kąpiel, co wprawiało mnie w dobry nastrój. Najpierw ukazywał mi się jej profil, a zanim pojawiła się przede mną cała jej postać, byłem gotowy.

Do śniadania czułem zawsze wstręt. Napatrzywszy się, na - wachawszy i nasprzątawszy tych wszystkich kup, miałem wrażenie, że przemieniły się w leżące przede

mną jedzenie. Z tego samego powodu nie jadałem jajecznicy i awokado, a swoje porcje wykorzystywałem do kupowania względów gówniarzy, którzy to uwielbiali. Taktownie walczyli o to ze sobą błagalnymi, wieloznacznymi spojrzeniami. Jeżeli jeden z nich przyłapał mnie dzień wcześniej na czymś niedozwolonym, udawał, że tego nie widzi, w przekonaniu, że go za to wynagrodzę. Nie zwracałem wówczas uwagi na błagalne spojrzenia innych i w milczeniu płaciłem. Jeden lub dwóch spryciarzy zaproponowało mi, że będą wykonywać za mnie drobne prace. Szpiegowali dla mnie innych i zdawali relacje. Starłem się jak mogłem być z nimi wszystkimi na dobrej stopie, bo przecież od nich zależało moje życie, tak jak życie alpinisty zależy od wytrzymałości jego lin.

Szkoła była moim rajem: rywalizowałem tam z równymi sobie i stawałem na głowie, by być najlepszym. Było to jedyne miejsce, w którym dorośli prawili mi komplementy, a koledzy z klasy, nie cierpiący sprawdzianów w równej mierze, co ja stosów kup, które musiałem sprzątać każdego ranka, prosili mnie o pomoc. Wiedziałem, że mam przewagę nad tymi dużymi chłopakami z kropelkami potu na czole i mokrymi plackami pod pachami, więc chętnie im pomagałem. Pełną satysfakcję odczuwałem jednak dopiero wtedy, gdy ich przechrzyłem. Moje serce napełniało się wówczas zapałem, a nos słodkim zapachem zwycięstwa.

Czas w szkole szybko mijał, a kiedy rozbrzmiewał ostatni dzwonek, ogarniało mnie przygnębienie na myśl o przykrych pracach, które czekały mnie w domu. Widziałem już w wyobraźni budzące odrazę brudne pieluchy, pływające jak krokodyle pomiędzy kupami w szarobrazowej, śmierdzącej wodzie. „Co ta wiedźma robiła przez cały dzień?” - zastanawiałem się, a potem dawałem kopniaka wanience, lecz nie na tyle mocnego, żebym miał się zranić w stopę albo rozkołysać ją tak, by woda się wylała, a pieluchy znalazły się na podłodze.

Po tym jak usiłowałem w szkole pojąć prawo Archimedesesa, czułem nad sobą szalejące tajfuny Azji, galopowałem przez pampy Ameryki Południowej, wspinałem się na drapacze chmur w Nowym Jorku, podziwiałem winnice Francji i wspinałem się na ośnieżone szczyty Afryki, to podłe, plugawe zadanie było dla mnie nie do zniesienia. W moim odczuciu nie istniało nic bardziej odrażającego niż ten demoniczny wymysł - pielucha.

Wyławiałem jedną po drugiej, z odwróconą twarzą, z brudnej wody. Trzymając je kciukiem i palcem wskazującym, wytrze - pywałem resztki kup z fałd materiału. Płukaniu nie było końca, bo zbyt długo używany, zaplamiony materiał wcale nie stawał się bielszy, choćby się go płukało do utraty sił. Doprowadzało mnie to niemal do szaleństwa. Przyczyniała się do tego również Kłódka, ponieważ nierzadko nakazywała mi suche już i nakrochmalone

pieluchy moczyć na nowo i na nowo prać, jeśli nie były według niej zbyt czyste.

— Będiesz tak długo prać, aż powiem, że możesz przestać - mówiła wtedy i wracała na swój posterunek. Był to pokój przylegający do dużego pokoju, w którym stała maszyna do szycia marki Singer. Kłódka spędzała tam całe dni i tam przyjmowała klientów.

Słyszając zza balii stukot pedału i terkotanie igły, które zlewały się ze sobą tak, że nie można ich było od siebie odróżnić, wyobrażałem sobie często, że jej stopa zostaje przygnieciona, w palec wbija się szalejąca, kłująca igła, a wszelkie wołania pomoc zagłusza hałas. Im większym wstrętem napawała mnie moja robota, tym bardziej Kłódka cierpiała. Potem szedłem zobaczyć, czy gdzieś w pobliżu nie ma Amanta, aroganckiego, dwudziestoletniego przyszczatego, zawdzięczającego swą sławę temu, że był jedyną osobą w mieście, z której Kłódka potrafiła spontanicznie się śmiać. Przychodził regularnie w południe, chełpiąc się jak bohater morski, wsadzał swój nos do środka wkraczał na posterunek Kłódki, by obserwować ją przy pracy. Czasem przynosił ze sobą rzeczy do naprawy, czasem przychodził tylko coś odebrać albo trochę pogadać. Kiedy był w pobliżu, skradałem się do drzwi i próbowałem podsłuchiwać, czym rozmawiają. Mówili głównie o przeszłości: Kłódka opowiadała o swoim domu rodzinnym, o pobycie w klasztorze, weselu i tym podobnych rzeczach.

Amant wysłuchiwał tych okruchów historii jej życia z ironicznym uśmiechem, wbijał igły lekceważącej krytyki w to, co mu nie odpowiadało, a to, co się mu podobało, nagradzał głośnym śmiechem i potwierdzającymi uwagami. Ogólnie rzecz biorąc, brodził w jej życiu jak uprzejmy, choć raczej bezwstydnny kłusownik. Zaskakujące było to, że Kłódka tak dobrze się z nim dogadywała. Słyszałem, jak się razem śmiali - Amant swawolnie, Kłódka ostrożnie, jakby odsączała drogocenny płyn przez bawełnianą szmatkę. Początkowo nie bardzo wiedziałem, co począć z tym przyszczatym dwudziestolatkiem, traktującym Kłódkę z taką nonszalancją, z jaką ogląda się używane ubrania. Obserwowałem go, gdy wchodził na podwórko: zawsze dużymi krokami, z szeroko rozstawionymi ramionami, piersią wypiętą do przodu i oddechem jak gulgot indyka, który zobaczył przed sobą samiczkę; czułem się wtedy jak sparaliżowany. Przypominał fantastyczną, potężną broń, którą musiałem dopiero nauczyć się posługiwać i z którą musiałem obchodzić się bardzo ostrożnie.

Na początku ignorowałem go, odwracałem głowę, gdy przychodził, i odzywałem się tylko wtedy, gdy mnie o coś pytał. Jednak z upływem czasu zacząłem go traktować przychylniej grzecznie go pozdrawiałem. Odpowiadał na moje pozdrowienie wyniośle i zarozumiale jak kogut, pociągał nosem z powodu śmierdzących rzeczy w balii albo w moich rękach i sprężystymi podskokami wbiegał do domu. Wszedłszy do środka, rozmawiał z

Kłódką przez dłuższy czas. Lusanani, która zwróciła się do mnie z pytaniem, czy Kłódka jest moją prawdziwą matką, stawiała czasem na skraju podwórka, w miejscu, w którym warowała Kłódka, by nadzorować zbiorowe sranie swoich dzieci, i rozmawialiśmy sobie.

— Ona nie jest twoją prawdziwą matką, no nie? - pytała, przechylając głowę.

Początkowo irytowało mnie to, aż w końcu wymyśliłem ripostę.

— Czy Hadzi jest twoim prawdziwym mężem? - pytałem.

Rozbawiło ją to pytanie. Śmialiśmy się jak kumple, jak ludzie jadący na tym samym wózku, jak ludzie mający te same problemy. Patrząc na nią, starałem się wyobrazić sobie, jak przebiegała jej pierwsza ciąża i jak odbył się poród. Miała młode, jędrne i silne ciało. Czasem czułem nagłą chęć przyskoczenia do niej i wsadzenia ręki pod jej sukienkę, ale uświadamiałem sobie, że jestem na to zbyt młody i że nie zgodziłaby się rozebrać przy mnie, gdybym ją o to poprosił. Widziałem w wyobraźni leżącego na niej Hadziego Gimbi, dyszącego, jęczącego i pocącego się. Wtedy jej nienawidziłem, jego również i zaczynałem sobie życzyć, żeby w drodze do domu złapał gumę, spadł z motoru i gruchnął na asfalt, najlepiej dokładnie pod nadjeżdżającą ciężarówkę, tak by jego małe usteczka zamilkły na zawsze. Innym razem widziałem go wypadającego przez barierkę wysokiego budynku i rozbryzgującego się jak ojciec Lule. Gdyby nie żył, Lusanani byłaby moja i nie musiałbym nigdy więcej prać tych pieprzonych pieluch ani robić innych rzeczy, których nie znośłem.

Tymczasem gadaliśmy o mieście, o postojach taksówek, o Azjatach i ich sklepikach, o żołnierzach i ich jeepach, a także dzieciach u niej w domu. Startowaliśmy zawsze entuzjastycznie, potykając się o słowa, aż w końcu się uspokajaliśmy i nawet zaczynaliśmy się powtarzać, jak para starszków. Często zbyt późno zauważaliśmy Kłódkę. Kiedy Lusanani zniknęła z pola widzenia, Kłódka dopadała mnie ze swoją różgą z guavy, którą smagała moje łydki lub pośladki. Spoglądałem na nią szeroko rozwartymi oczami, rozczerowany, że jej stopa nie utknęła pod pedałem maszyny do szycia, a jej palca nie przytwierdziła igła że nie wykrzyczała się ochryplym głosem w pełnej tortur samotności.

Ale ona inaczej interpretowała moje spojrzenie. Widziała w nim bezczelność, a moje szeroko otwarte oczy odbierała jako sprzeciw wobec jej autorytetu.

— Wiejska hołota! Ta stara wiedźma nieźle cię rozpuściła, ale już ja cię nauczę, jak się masz zachowywać! - krzyczała.

Od smagającej różgi drżała cała moja skóra, niczym skóra bawołu odpędzającego czaple od ran na grzbiecie.

Oplakiwałem odejście Nantongo, naszej służącej, pierwszego i ostatniego pokłonu Kłódkę przed oszałamiającym światem symboli pozycji społecznej. Żadne gospodarstwo nie

było kompletne bez służącej. Kiedy była jeszcze Nantongo, miałem mniej zmartwień, bo sprzątała, gotowała, zajmowała się praniem i wszystkimi innymi rzeczami - jednym słowem prowadziła cały dom. Prała prześcieradła Kłódki wielkości boiska piłkarskiego, szorowała i wyzymała te białe, bawełniane płachty, aż się bałem, że zostanie Palce Drugim. Ze stoicyzmem godnym maszyny prała pieluchy i dziecięce ubranka. Jej szczupłe palce były zawsze w ruchu, zginały się i prostowały niczym oszalała stonoga i w każdej chwili czymś się zajmowały. Jej plecy zawsze były pochylone pod tym czy innym ciężarem. Ale jej twarz pozostawała mimo to otwarta, przyjazna, nie naznaczona zgorzknieniem, jakby ta harówka miała przejściowy charakter.

— Twoja matka jest swoim największym wrogiem - powiedziała kiedyś do mnie, jakby to wszystko tłumaczyło. Czekałem na bliższe wyjaśnienie, ale się go nie doczekałem, a żeby nie wyjść na głupca, musiałem przestać udawać, że nie wiem, o czym mówi.

Jedyną zauważalną korzyścią z odejścia Nantongo było to, że zelzały trochę obelgi Kłódki. Kiedy służąca jeszcze u nas była, Kłódka nieustannie ją krytykowała i chłodnym, irytującym i bezdusznym tonem graniczącym z lamentem szpikowała ją stekiem kaznodziejskich zniewag. Wyglądało na to, że Nantongo doprowadza ją do białej gorączki. „Nigdy nie usuwasz plam z moich prześcieradeł”. „Wypijasz mleko przeznaczone dla dzieci”. „Nosisz moje rzeczy, zanim je wypierzesz”. „Plujesz do soku w drodze z kuchni do jadalni”. „Zle traktujesz moje dzieci, zaniedbujesz je, szczypiesz i grozisz im”.

— Nie wolno mi się odezwać, jak mnie wyzywają? - pytała Nantongo.

— Nie sprzeciwiaj mi się. Słyszeliście coś takiego? Sprzeciwia się swojej pracodawczyni! Niewdzięcznica! Myślisz może, że ktoś jest zainteresowany wnętrzem twoich ust albo chce policzyć twoje zęby? Uczysz moje dzieci złych manier. Jak mam cię znosić pod moim dachem? Patrzysz na każdego, jakbyś chciała odgryźć mu głowę. Czy tam, skąd pochodzisz, nie nauczono cię okazywać szacunku swym przełożonym?

— Nauczono, proszę pani...

— Znowu pokazujesz zęby! Pokazujesz podniebienie! Wysłuchaj choć raz tego, co twoja przełożona ma do powiedzenia. Jaki mężczyzna będzie chciał się ożenić z dziewczyną, która w ogóle nie ma manier i żre jak kosiarka?

Ja, ja, ja! - chciałem zawołać. I inni też! Widziałem mężczyzn flirtujących z kobietami, które miały tylko jedną nogę albo szpotawą stopę. Widziałem mężczyzn zakochanych w kobietach z jednym okiem. Matka wujka Kawayidy miała zęby jak kozioł. A był to zaledwie wierzchołek góry lodowej.

Ale wkrótce stało się jasne, że Kłódce wcale nie chodziło o wykazanie się znajomością

mężczyzn, ale o obrzydzenie Nantongo swego domu.

— Pamiętasz jeszcze, jak przyszedł tu pierwszy raz? - pytała. - Płakałaś i byłaś na wszystko gotowa, byle tylko mieć pracę i dach nad głową. Wszystko ci dałam, a ty nie potrafisz nawet ugotować mi porządnego posiłku!

Konflikt osiągnął apogeum, gdy Nantongo upuściła filiżankę, kiedy chciała ją wstawić do szafy. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś kiedyś tak rozpaczał, jak Kłódka z powodu tej głupiej porcelanowej filiżanki z wyszczerbionym brzeżkiem, poplamionym, porysowanym dnem i wypłowiałymi kwiatuśkami barwinka na ściankach. Była to tania filiżanka, która nigdy nie stałaby się antykiem ani wartościowym przedmiotem, ale ona narobiła o nią sporo krzyku.

— Wiedziałam! Wiedziałam, że jesteś w stanie to zrobić! - wrzeszczała. - A jaki będzie twój następny krok, Nantongo? Postarasz się dla nas o botulizm albo coś gorszego? Trutkę na szczury dostaniesz w sklepie od ręki! Jedna nawet leży tu, w domu!

Jej twarz skurczyła się w afektowanej złości. Nantongo odwróciła się, spojrzała na nią wyzywająco i z uśmiechem upuściła na beton kolejną filiżankę, która rozbiła się w drobne kawałki.

— O... o... o - zawodziła Kłódka.

Uderzała dłońmi w uda, wpatrując się w skorupy na podłodze. I wtedy na jej twarzy pojawił się wyraz, wskazujący na zamiar spowodowania poważnych obrażeń cielesnych. Jednak Nantongo zwinnie jak antylopa uskokczyła w bok i syknęła:

— Pozwoliłam pani powiedzieć wszystko, co miała pani omnie do powiedzenia, ale nigdy nie dopuszczę do tego, żeby mnie pani dotknęła.

Kłódka stała zdumiona powstrzymywaną gwałtownością słów dziewczyny. Przez chwilę wahała się, czy nadal uważać się nad swymi rzeczami, czy może raczej skreślić dziewczynie kark. Aby uratować resztkę swej godności, wyrzuciła z siebie:

— Jesteś zwolniona!

Następnego dnia Nantongo odeszła. Cała porcelana została zapakowana do pudeł, a każdy z nas dostał plastikowy kubek.

Serenity przyjął w tym czasie postawę przychylnego dyktatora. Swoje cele starał się osiągać nie tyle rzeczywistą przemocą, ile raczej jej groźbą. Nigdy otwarcie nie okazywał złości nie manifestował głośno swojej władzy, wołał połowiczne, wymrukiwane ostrzeżenia. Doniesień o złym zachowaniu jednego ze swoich dzieci wysłuchiwał tak, jak drzemiący krokodyl słucha much nad swoją głową. Niebezpośrednio dawał w ten sposób do zrozumienia, że popiera występy swego stróża dyscypliny, chyba że Kłódka posunęła się zbyt

daleko. Kiedy zauważył, że służąca zniknęła, nie odezwał się ani słowem. W jego rozumieniu Nantongo była zaledwie fałdą na powierzchni rozległego bajora, więc pozwolił tej fałdzie biec do jego brzegu, gdzie niepostrzeżenie zniknie. Po odejściu Nantongo właśnie ja stałem się kolejną ofiarą Kłódki. Ale Serenity zachowywał się tak, jakby do jego uszu nigdy nic na mój temat nie docierało.

Prosty jak świeca, w wykrochmalonych spodniach i koszuli w tym samym kolorze, mijał ogrodzenie ze skórzaną teczką w jednej ręce, a drugą machał do sąsiadów jak uprzejmy generał na wakacjach. Jeżeli podwórko było czyste, bez bałaganu czy odchodów, z zadowoleniem kiwał głową i wkraczał do domu. Jeżeli starałeś się w szkole i nie dostawałeś uwag ani nie nadchodziły żadne skargi od nauczycieli, zostawiał cię w spokoju. Najczęściej wsadzał nos w swoje książki albo przebierał się szedł na stację benzynową, by porozmawiać z Hadżim Gimbi dwoma innymi przyjaciółmi, poobserwować ruch na ulicy, prześledzić bieg zdarzeń na świecie lub pograć w karty.

Zazwyczaj omawiali sytuację po Niepodległości, zniesienie pierwotnej konstytucji, stan wyjątkowy z 1966 roku, pucz z 1971 roku, przyszłość kraju, Amina, muzułmanów, katolików, protestantów i obcych. Kiedy zaczynali się nudzić, sięgali do wspomnień z młodości, do kariery, marzeń i wszystkiego, co tylko przyszło im do głowy.

Po drodze do studni z wodą przechodziłem obok stacji benzynowej Totalu z trzema dystrybutorami wyglądającymi jak bezgłowe posągi; sklep za nimi świecił neonowym światłem błyszczącymi deklami puszek oleju; kwadratowa dziura, w której ubrudzeni smarem mechanicy leżeli na plecach, sprawdzając spód samochodu, wyglądała jak masowy grób. Czwórka przyjaciół uosabiająca wszelkie męskie przywileje pozwalała się spokojnie odurzać spalinom, wzbijającemu się w powietrze kurzowi i zgrzytającemu upływowi czasu. Czasem widziałem ich z zapamiętaniem grających w karty albo słyszałem, jak opowiadają o tym, jaka jakaś kobieta jest w dotyku lub jak dziecko po raz pierwszy się uśmiechnęło. A czasem słyszałem, jak głośno śmieją się z nieprzyzwoitego żartu dorosłych.

Nastrój w pobliskich afrykańskich sklepach nieustannie się zmieniał. Powietrze falowało od muzyki z głośników na werandach. Na pierwszym planie słychać było gwałtowne dyskusje, gromki śmiech i poklepywanie w plecy, którym nagradzano dobry kawał albo dowcipną wypowiedź. Czasem słychać było okrzyki wymykającej się z rąk kłótni, podczas której tam i sam padały ostre słowa, z których z kolei chichotali włączący się beczynnie gapie, tacy byli nikczemni albo zgorzkniali. Czasem występował jakiś akrobata, człowiekważ lub muzykant rzepolący na byle jakich strunach byle jakiej gitary. Czasem powietrze świszcząco od bójki, podczas której umięśnione ciała przeciwników lśniły w napięciu, z

odgłosem rozrywanego metalu łapano powietrze i rozbrzmiewały serdeczne, radosne okrzyki zadowolonych widzów. Czasem ktoś zachwalał cudowne lekarstwo, które już po jednorazowym użyciu miało wyleczyć z wypadania włosów, brzydkiego zapachu z ust, niepłodności, niepomyślności i przedwczesnego wytrysku nasienia.

Nigdy nie przystawałem tam na długo; musiałem spieścić się do studni, by ustawić w rzędku kanistry i czekać na swoją kolej. Była to staroświecka brytyjska pompa z grubą rękojeścią szerokim otworem, niemożliwa do obsługi na czczo przeznaczona, by działać jeszcze przez następny wiek. Drewniany uchwyt pachniał tłuszczem, którym smarowano go dla ochrony przed wszechobecnymi kornikami.

Jeśli przy pompie stała ładnie zbudowana dziewczyna, na przykład Lusanani, a ty ustawieś się za nią, widziałeś, jak unoszą się jej ręce, ciało pochyla się do przodu i wygina, tworząc łuk, a jej twarz nurkuje w dole, poniżej uchwytu. Życzyłeś sobie wtedy, żeby pompowała i pompowała, bo jej rozchylone usta szeroko otwarte oczy wraz z napiętym w wysiłku ciałem rozpały w twoim umyśle ekstatyczną pożądlivość. Jej szczupła kibić, bielizna widoczna spod sukienki, mięśnie jej ud i łydek, napięte podczas pompowania, były pożywką dla mojej wyobraźni. Patrząc na pośladki Lusanani, które naprężyły się, a potem znowu rozprężyły, i na jej majtki, które się napinały, gdy pochylała się nad uchwytem, wiedziałem, że jakaś dorosła część mnie jej pożąda i że ją dostanie, pojmie jej ducha i przeniesie do następnego etapu mojej życiowej podróży. Było to moje przeznaczenie.

W drodze do domu, gdy samochody przemykały obok, zatrzymując się czasem na stacji benzynowej, postać Hadżiego Gimbi z białą jarmułką i charakterystyczną brodą wyprowadzała mnie z równowagi. Wydawało mi się, że mnie dokładnie ilustruje, że czyta w moich myślach. Uczucie to potęgowała świadomość, że wielu wróżbiarzy przepowiadających przyszłość było muzułmanami, a Koran był potężną księgą, pełną czarów, błogosławieństw i klątw. Wydawało mi się, że Hadzi Gimbi wie, w jaki sposób myślałem o jego żonie - i że życzyłem sobie, żeby zniknął, a ją pozostawił mnie. Wydawało mi się, że czeka, chcąc złapać nas na gorącym uczynku. Byłem przekonany, że czekał, ponieważ mój ojciec był jego przyjacielem, więc nie chciał działać pochopnie bez konkretnego dowodu. Kiedy się spotykaliśmy albo gdy wysyłano mnie do jego domu z jakąś wiadomością, drżałem, spodziewając się, że skonfrontuje mnie z moimi grzesznymi myślami. Nigdy to jednak nie nastąpiło. Widząc mnie, wydawał się zadziwiająco zadowolony i to zbijało mnie z tropu, choć nie zmieniało moich uczuć i myśli o Lusanani.

Przez dyktaturę, a zwłaszcza z powodu niemożności wypowiedzenia tego, co chcę, sądziłem, że jestem jedynym, który cierpi w milczeniu, lecz zdarzenie z czerwonym

atramentem udowodniło, że tak nie jest. Najlepiej jak potrafiłem dopasowałem się do ślepej uliczki, jaką był dla mnie rodzinny dom.

Nauczyłem się trzymać język za zębami, nie odzywać się, nawet gdyby u brody Serenity czy Kłódki wisiał smark mający nagle chlupnąć do filizanki z herbatą czy miseczki z zupą. Wyrobiłem w sobie odruch samoobrony, którego nie potrzebowałem na wsi, odruch, który wywołuje łaskotanie w gardle w chwili, gdy zamierza się powiedzieć coś niebezpiecznego. Wyrobiłem w sobie też zwyczaj odwracania oczu. Było to lepsze, niż gdyby zupa czy herbata, którą chciałem uchronić przed zanieczyszczeniem smarkami, miała zostać na mnie wylana. Całkowicie niejasne było dla mnie, dlaczego despoci byli przeczuleni na punkcie tak trywialnych rzeczy.

Pewnego ranka, kiedy w ramach nabożeństwa na podwórzu padałem na kolana, zauważyłem, że z zadka Kłódki coś wystaje, jakby w tyłek pod ubraniem wetknęła butelkę atramentu Quink. Wiedziałem, że nie mógł to być żart, bo jeśli Kłódka miała jakiegokolwiek poczucie humoru, było ono innego rodzaju. Cóż więc to mogło być? Wybrzuszenie za bardzo rzucało się w oczy, by go nie zauważyć. O co tu chodziło? Mile zaskoczony tą osobliwą farsą, stałem się nagle dużo mniej warkliwy i już za pierwszym razem udało mi się utrafić we właściwy ton. Kłódka, spodziewając się zwyczajowego oporu, złękła się mojej pokory. Szybko uporałem się z codziennymi obowiązkami, umyłem się przygotowałem do szkoły.

Kasę trzymała w domu Kłódka, a jako że kilka dni wcześniej poprosiłem Serenity o pieniądze na zakup zeszytów, teraz musiałem zgłosić się po nie do niej. Był to normalny bieg rzeczy, ponieważ Serenity prosił nas, żebyśmy planowali z wyprzedzeniem.

— Pieniądze nie rosną mi na plecach - powtarzał często, dając nam tym do zrozumienia, że potrzebuje nieco czasu na ich zebranie.

Znalazłem Kłódkę w pokoju gościnnym. Kiedy powiedziałem, czego chcę, nie odezwała się, lecz odwróciła i poszła do sypialni, gdzie trzymała portmonetkę. I wtedy to zobaczyłem: płamę wielkości dziecięcych ust, czerwoną jak rubin! Nie mogłem oderwać oczu od jej tyłka. Nie, że bym nigdy nie widział krwi, nie, widziałem ją wystarczająco często i wiedziałem też, jaki ma zapach. Doszedłem do wniosku, że ktoś, kto jest tak staranny i pedantyczny jak ona, musiał znaleźć się w prawdziwym niebezpieczeństwie, skoro tego nie zauważył. Otworzyłem usta, żeby zwrócić jej na tę płamę uwagę, ale ostatecznie tylko zakasłałem. Nierozsądne byłoby zwracanie dyktatorowi na coś uwagi, zanim da ci to, czego potrzebujesz: ze wstydu mogłaby odmówić przekazania mi pieniędzy. Nie mogłem sobie pozwolić na kłopoty i zepsucie dnia w szkole zrobieniem czegoś, czego konsekwencji nie byłem w stanie przewidzieć. Ale tajemnicę ciotki Tiidy też przecież zawsze trzymałem dla

siebie. Wiedziałem aż nazbyt dobrze, że milczenie jest złotem. Czyżby ta nowa tajemnica ciążyła za bardzo, by jej dotrzymać? Sądziłem, że nie.

Rozpierała mnie radość: miałem coś, czym mogłem szantażować swego wroga. W przyszłości może będę mógł tę tajemnicę wykorzystać. Być może mi się przyda, aby odwieść Kłódkę od maltretowania mnie. Ale jak miałem się do tego zabrać? To, co płynęło, było prawdziwą krwią, jej własną despotyczną krwią. Niech jeszcze trochę w tym posiedzi, podczas gdy ja obmyślę mistrzowski plan, jak skończyć ze swoją nędzną sytuacją. Jeśli o mnie chodzi, może zabrudzić tym cały dom. Jeśli mnie chodzi, może poprawić tym czerwone daty w kalendarzu. Zwróciłoby to przynajmniej każdemu uwagę na fakt, że despotci to również tylko ludzie, którzy krwawią, gdy się ich natnie.

Następnym razem przyjdzie kolej na Serenity. Ten będzie zapewne krwawić z przodu, w okolicach rozporoka. Jeśli o mnie chodzi, niech spryska krwią całe podwórko, toaletę i całą okolicę. Jeśli o mnie chodzi, niech skropi nią nawet cytrynowo - zielony motor Hadziego Gimbi i stację benzynową, a może nawet parę przejeżdżających aut.

Kiedy dawała mi pieniądze, starałem się jak mogłem, żeby się nie zdradzić wzdrygnięciem, gdy mnie dotknęła. Podejrzywałem, że jej ręce pachną krwią i że pieniądze również przesiąkły tym wywołującym mdłości zapachem. Jej palce były wilgotne zimne, co mnie trochę zaniepokoiło, ponieważ Babcia mi mówiła, że zimne ręce i stopy są wynikiem anemii. Ale nawet jeśli Kłódka ma anemię, z pewnością nie umrze z tego powodu, zanim wrócę ze szkoły. Powąchałem pieniądze: pachniały wspaniale.

W drodze do szkoły próbowałem wyobrazić sobie, co się dzieje w majtkach Kłódky. Czy krwawiła jak kogut z odciętą głową? Jeśli tak, jakże trudnym orzechem była do zgryzienia, skoro miała krwotok, a udawała, że wszystko ma pod kontrolą! Tym razem miała prawo lamentować - tak, jak to robiła, gdy była jeszcze u nas Nantongo - lecz ona nawet nie pisnęła.

Ciężarne kobiety wpadały w panikę, kiedy wystąpił krwotok, wołały o pomoc, ta kobieta zachowywała się jednak, jakby była nieczuła na ból. Myślałem o kąpiących, rzucających się w konwulsjach i wykrwawiających się kogutach. Czy ta kobieta udawała obojętność? Nie, po prostu była nieczuła na ból, taka była moja konkluzja. Z tego powodu tak łatwo chwyciła za różgę z guavy. Potem ogarnęła mnie ciekawość. Chciałem sprawdzić, czy Kłódka rzeczywiście w ogóle nie czuje bólu. Co sądziłby o tym Amant? Może dlatego tak ją lubił.

Tego dnia miałem uczucie, że moje szczęście nie ma końca. Na lekcjach wszystko poszło dobrze, a na przerwie znalazłem w trawie za klasą znajdującą się najbliżej placu zabaw

dziesięć - szylingowy banknot. Był to rzadki uśmiech losu, bo prawie nigdy niczego nie znajdowałem.

Dokładnie obejrzałem papierek, aby się upewnić, że nie został tam podłożony umyślnie przez kogoś cierpiącego na czyraki albo inną zakaźną chorobę, którą można złapać poprzez tę ofiarę, bo dziesięć szylingów na początku lat siedemdziesiątych było kupą pieniędzy. Kłódka obdarłaby mnie ze skóry, gdybym zgubił dziesięć szylingów; Serenity prawdopodobnie też.

Aby to uczcić, zawołałem dwóch kolegów i postawiłem im bułki i coś do picia. Kiedy rozkoszowaliśmy się jedzeniem, zastanawiałem się, gdzie schować resztę zdobyczy. Podzieliłbym swoje szczęście z dwoma najbardziej lojalnymi gówniarzami Kłódki, ale bałem się, że tak się tym podniecą, że mnie zdradzą. W czasach dyktatury nadmierna hojność nie jest zbyt rozsądna.

Dzień w szkole minął z szybkością chmur deszczowych mknących w orkanie. W mej szczęśliwości zapomniałem jednak zastanowić się, jak wykorzystać swoją nową wiedzę przeciwko Kłódce. A w drodze do domu nie udało mi się to. Niemniej jednak, kiedy wróciłem do domu, czułem się wspaniale. Kręciło mi się w głowie. Pławiłem się w tryumfie moich akademickich możliwości i mej małej fortuny.

Ale Kłódka, która stanęła naprzeciw mnie, gdy wchodziłem na podwórze, zgmiotła całą moją szczęśliwość jak zeschnięty liść: wyglądała jak zamek, jej fosa roiła się od piranii, a zwodzony most był podniesiony. A więc nie wykrwawiła się na śmierć! A więc nie zaplamiała wszystkiego, nawet w najcięższych momentach! Wyglądała jednak na tak rozdrażnioną, że jej fasada w każdej chwili groziła zawaleniem.

Wtedy nadeszła klientka, jakby wezwana przez zatroskanych bogów, obarczonych trudnym zadaniem roztopienia lodowatej atmosfery wiszącej w domu. Wyniosła Kłódkę z chłodnych głębin jej samotnego cierpienia. Kłódka zapytała, jak się miewa, jak się miewają jej dzieci, czy samochód dostawczy męża jest już sprawny i czy... Czułem się całkowicie zbędny.

Miejskie kobiety poruszały się we własnym świecie, nawet ciężarne lub brzydkie. Ta kobieta, której brzuch, uda i pośladki ucierpiały z powodu zbyt wielu porodów, była typem, który zanudzałby Babcie i mnie na śmierć prośbami o napoje miłosne wątpliwe amulety, jakich używały niektóre kobiety, by odzyskać ogień dawnych dni. Tu jednak uznała, że postrach klasy ubrany w krótkie spodenki, którego zeszyty obłożone starymi gazetami zdobiły czerwone podkreślenia z powodu wyśmienitych prac, nie jest wart spojrzenia.

Kłódka zasypywała swoją klientkę uprzejmościami. Potem wstała i po raz pierwszy

tego popołudnia ukazała swój tył. Była w drodze na posterunek, aby zmierzyć kobietę. Zobaczyłem plamę. Czy była nowa, czy ta sama, co dziś rano? Wydawała się większa, niebezpieczniejsza i wymagała natychmiastowego zwrócenia uwagi.

Nagle straciłem kontrolę nad słowami, które zabarykadowałem w mojej głowie. Nagle wszystkie te słowa zbuntowały się przeciw tchórzliwemu milczeniu, jakie nosiłem w sobie przez lata, i wydostały się na zewnątrz, jak zniekształcone dzieci w położeniu pośladkowym. Nagle usłyszałem siebie samego mówiącego:

— Mama umiera. Nie wie mama, że mama przez cały dzień krwawi...?

Jeszcze więcej słów groziło wydostaniem się na zewnątrz, ale je powstrzymałem, zatykając usta rękami. Kłódka zamarła, wysunęła głowę do przodu i uniosła ją do góry, jakby pociągnęła za nią jakaś niewidoczna ręka, a potem wykonała piruet z giętkością i gracją tancerzy ze swojego wesela. Jej twarz pomarszczyła się w tysiąc zmarszczek, ale się opanowała. Klientka, której oczy o mało nie wyskoczyły z orbit, kiedy usłyszała moje słowa, odetchnęła z ulgą, jakby odroczone karę śmierci, a jej oczy błysnęły filuternie, gdy sama ujrzała wysuszoną plamę. Kłódka zauważyła, że klientka patrzy na jej tyłek, i jakby ogarnął ją cały wstyd, jaki kiedykolwiek czuła jako dziecko zakonnica, w jednej chwili straciła panowanie nad sobą. Coś podobnego do rozłupanego przez piorun na dwoje drzewa uderzyło mnie z taką siłą, że zapadłem w ciemność.

Doszedłem do siebie parę godzin później, z ciężkim bólem głowy i spuchniętym okiem. Nie tracono słów na omawianie tego zdarzenia. Nauczyło mnie to, że w dyktaturze, w imię ogólnego porządku i domowej harmonii, lepiej nie dotykać bolesnych spraw z przeszłości. W dyktaturze terażniejszość przeszłość są syjamskimi siostrami, których lepiej nie rozdzielać. Każdy, kto w dyktaturze odczuwa potrzebę świadomości historycznej, musi sam ją zbudzić w podziemnej grocie, gdzie jej brzydota nie wzbudzi wstrętu hołoty.

Próbowałem wyładować się na ziemniakach, które musiałem przygotować na kolację, ale były tego dnia twarde jak kamień. Serenity nie odzywał się. Kłódka rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie, którym chciała powiedzieć, że mi nie wybaczyła i nigdy nie zapomni, co jej zrobiłem.

Przez następne tygodnie wysiłałem się jak mogłem, przyrządzając najlepsze posiłki ze swego repertuaru, bo co rano widziałem w myślach zakrwawione ubranie Kłódki. Bałem się, że jej krew znalazłaby się w jedzeniu, gdyby to ona gotowała, więc wykonywałem wszystkie prace kuchenne z fanatyzmem spóźnionego nawróconego. Ponieważ na jakiś czas zostawiła mnie w spokoju, podejrzewałem, że mój entuzjazm uznała za zmianę nastawienia, za wyrzuty sumienia.

Ale w nocy nękały mnie straszne sny i w końcu zacząłem podejrzewać, że Kłódka cielesną mękę zamieniła na tortury duchowe. Odwiedzał mnie drewniany wizerunek ukrzyżowanego Jezusa. Widziałem w moich snach niezliczonych ukrzyżowanych Jezusów w kościele, w książeczkach do nabożeństwa i na różańcu, lecz nagle czasem ni stąd, ni zowąd okazywało się, że to nie Jezus, ale Kłódka wisi na krzyżu. Całe jej ciało było poranione, a krew kapłała na kamienie utrzymujące odrażający krzyż w pionowej pozycji. Byłem jedynym świadkiem jej męki. Upiorny wyraz jej twarzy miał wywołać we mnie wieczne poczucie winy, bo to ja byłem jej rzekomym mordercą. W innej nocy pojawiała się w moich snach przebrana za Dziewicę Marię, w białej szacie przepasanej niebieską szarfą, z kulą ziemską w rękach i stopami ukrytymi w chmurach. Potem znów została ubiczowana i ukrzyżowana, i zaczęła mocno krwawić.

Choć próbowałem tłumaczyć te sny racjonalnie i nie wykluczałem możliwości, że po prostu wpadłem w sidła swojej wybujałej wyobraźni, nie mogłem pozbyć się wrażenia, że to Kłódka wywoływała te koszmary.

Podczas rannego powitania na klęczkach szukałem na jej twarzy znaków, z których wynikałoby, że przebierała się za Dziewicę Marię albo za Jezusa. Jej twarz nie zdradzała jednak żadnych emocji, Kłódka ani razu nie dała po sobie poznać, że wie coś o moich nocnych strachach. Co noc od nowa nawiedzany krwawą wizją, zastanawiałem się, co mógłbym zrobić, aby przerwać ten koszmar. Chciałem dać Kłódce do zrozumienia, że ten cały nonsens na temat winy nic mnie nie obchodzi - ale na to było zbyt późno. Chciałem też dać jej do zrozumienia, że powinniśmy raczej współpracować, jak dorośli partnerzy, niż osłabiać swe wysiłki wzajemną agresją.

W końcu zacząłem podejrzewać ją o to, że jest jedną z tych kobiet, które opętane przez duchy przodków siadały w ogniu, biegały nago, wspinały się na wysokie drzewa i rozbijały na kawałki wszystko, co w diabelskiej pasji wpadło im w ręce. A kiedy duchy je opuszczały, wszystkiemu zaprzeczały. Być może Babcia pomogłaby mi w zweryfikowaniu tych podejrzeń albo przynajmniej je odrzuciła. Postanowiłem opowiedzieć wszystkim Lusanani. Ale wkrótce koszmary zaczęły występować rzadziej, aż w końcu całkowicie ustały.

Wskutek tych snów na dobre pozbyłem się młyńskiego kamienia w postaci głębokiego snu. Spałem teraz bardzo lekko budziłem się, zanim Kłódka mogła wrzasnąć mi w uszy, chlusnąć na mnie zimną wodą czy dobrać mi się do skóry różgą z guavy. Wróciłem do mojego wiejskiego rytmu, w którym okresowy spokój przerywało jedynie nagłe wezwanie do rodzącej. Uwielbiałem leżeć w nocy i myśleć, że cały świat wokół mnie śpi głębokim snem. Dawało mi to poczucie przebywania w innej strefie czasowej, w innym świecie, na innej

półkuli, w miejscu, w którym ludzie budzili się, kiedy tu wszyscy szli spać, i w którym wkładali piżamę, gdy tutaj każdy wciskał się w szkolny mundurek.

Czasem miałem ochotę wstać z łóżka i powłóczyć się po ulicach, zajrzeć w ciemne aleje i zakraść się w ciemne, śmierdzące sikami zaułki. Pewnego razu miałem ochotę poszukać w ciemności drogi na postój taksówek, by chłonąć o północy jego pustkę. Chciałem ocenić jego rzeczywiste wymiary, przemierzyć cały plac i wypełnić go moją własną wyobraźnią. Ciemności roiły się od rabusiów. Noc dawała schronienie wszelkiego rodzaju hołocie. Miasto było pełne patrolujących je żołnierzy, poszukujących nocnej rozrywki i zakazanych przygód. Niebo pękało od dusz poległych podczas puczu, zamordowanych podczas puczu, ludzi, którzy zginęli podczas stanu wyjątkowego lub zmarli w wieczór przed Niepodległością, gdy polityka nosiła tymczasem najpotworniejsze maski i stawała się coraz krwawsza. Noc pełna była duchów, które pachniały jeszcze ziemią poszukiwały następnego świata, duchów, które szybowwały w powietrzu, by spojrzeć jeszcze jeden jedyny, ostatni raz na swoją ukochaną, i duchów, które tratowały swe ukochane nietoperzowatymi szponami. Jednym z tych duchów była Babcia. Wiedziałem, że powinienem spędzać noc w jednym miejscu, żeby mogła mnie wyczuć, gdyby mnie szukała - na wypadek, gdyby zechciała mi się tej nocy objawić.

Leżąc na plecach w łóżku, myślałem najpierw o niej, a potem o moich domowych despotach, z ich obezwładniającą jednością, brakiem radości i emocji. Byłem przyzwyczajony do namiętych popołudniowych dyskusji Dziadka i Babci i miałem wrażenie, że istotne jest każde słowo, i nudna jednomyślność dyktatorów wydawała mi się odrażająco prymitywna. Zdawali się mieć telepatyczny dostęp do swych myśli i wysysać konieczne informacje bez potrzeby korzystania ze słów. A to, że pozostawiali wszystkich w niepewności na temat swoich sądów i myśli, wyglądało na mądrą sztuczkę pozwalającą na zachowanie władzy dla siebie. Czy tych dwoje rzeczywiście mogło tak całkowicie się z sobą zgadzać? Możliwe, ale mogło być i tak, że istniało coś, o czym nie wiedziałem, coś, co rozgrywało się tuż pod moim nosem, lecz było dla mnie niewidoczne z powodu mojego niedoświadczenia czy zaślepienia.

Ta ostatnia możliwość stała się niemal moją obsesją. Moje nocne rozważania na ten temat sięgały takich wyżyn, iż myślałem, że śnię, kiedy usłyszałem przenikliwe, klójące się głosy. Przez moment wydawało mi się, że jestem świadkiem bójk przy afrykańskich sklepach. A może stałem na piaszczystym terenie za szkolnym placem, gdzie ćwiczone skoki w dal i gdzie szkolni piniacze prowadzili dramatyczne bijatyki, by dowieść swej wszechwładzy?

Gdy słowa klótni świszczały w powietrzu, drząc od długo tłumionej i sfrustrowanej

wrogości, pojąłem, że przypadkowo stałem się świadkiem czegoś zupełnie innego. Pospiesznie wstałem z łóżka. Gówniarze, zanurzeni w dziecięcym boskim śnie, puszczały niegłośnie bąki, cichutko chrapali i niewinnie postękiwali, jakby z żalu, że moje odkrycie ich ominęło. Wśliznąłem się do dużego pokoju, pachnącego jeszcze tilapią, którą jedliśmy wieczorem. Po chwili odważyłem się ruszyć dalej. Przeszedłem obok zielonych foteli, kącika jadalnego z czerwonego drewna, gdzie Serenity, trzymając nas na oku, jadał zawsze w samotności, i stanąłem przy drzwiach prowadzących do ogniska salw. Drzwi te były zazwyczaj uchylone, by do świętości sypialni anej komnaty Kłódki docierały krzyki gówniarzy. Teraz były otwarte nieco szerzej i słyszałem, jak rodzice skaczą sobie do gardła w przekonaniu, że wszyscy śpią. Był to ich nocny zwyczaj, jeszcze na wsi, który okazał się przeniesiony na grunt obecnych problemów małżeńskich.

Kiedy tak stałem na skraju kotłującego się wulkanu, przez moją głowę przemykały różne myśli. Czyżby jedno z nich przyniosło broń z dużego pokoju albo z kuchni i w morderczym zacierzewieniu zapomniało zamknąć za sobą drzwi? A jeśli tak, jak zachowywała się strona przeciwna? Jak długo to już trwało? Czy Serenity postanowił w końcu przywołać do porządku swego stróża dyscypliny? A może to raczej Kłódka zadawała trafne ciosy? Trzęsły mi się nogi. Ocknąłem się na dźwięk tłuczonego szkła. Po chwili usłyszałem jeszcze więcej odgłosów roztrzaskiwanych przedmiotów, jeszcze więcej dyszenia i wzdychania. Zasłona ciemności oddzielała mnie od tego, co działo się w pokoju rodziców. Ale już sama myśl, że despoci pastwili się nad sobą, że drapali się i dusili, przyprawiała mnie z podniecenia o zawroty głowy. Gdy hałas nieco ustał, usłyszałem ku memu zdumieniu, że poszło o Amanta.

Przypomniałem sobie wtedy, jak widziałem Amanta siedzącego na taborecie, z ręką na blacie stołu, po którym pędziły rzędy fiołków na materiale, podczas gdy Kłódka zszywała ze sobą dwa kawałki mające stać się sukienką. Na jego twarzy jaśniał uśmiech, a oczy Kłódki błyszczały radośnie. Zdawała się być w siódmym niebie. Poza Amantem nikomu nie udało się tego jeszcze dokonać.

Pomyślałem, że pewnie Serenity był zazdrosny i dotknięty wizytami Amanta. Widziałem już podłe pogłoski krążące w postaci ociążałych chmur nad jego głową. Ludzie z miasta nie różnili się pod tym względem od ludzi ze wsi. Również lubili plotki, tyle że ludzie na wsi rozprawiali o czymś miesiąc, a ludzie w mieście jeden dzień.

Z powodu swojego nieudanego próbnego małżeństwa z Ka - siko Serenity podejrzewał, że jego żona wyprawia z Boyem, jak nazywał Amanta, na co tylko ma ochotę, aby dać mu odczuć, jak to jest, gdy karta się odwróciła. Być może to właśnie pragnienie

zemsty i zazdrość zagnały krokodyla i bawołu do zdradliwego dołu wypełnionego piaskiem.

— Kochasz tego chłopaka, tak? - zapytał Serenity, odsłaniając swój wrażliwy krokodyli brzuch przed groźnymi rogami bawołu. Brzmiał drżąco, jakby przez jego gardło wiał lodowaty wiatr.

— Nie w sposób, jaki masz na myśli - odpowiedziała chłodno Kłódka. - Po prostu lubię, gdy przychodzi. - Przy ostatnich słowach jej głos stał się cieplejszy.

— Dlaczego nie powiesz mi prawdy o tym twoim Boyu? Przecież nie jestem głupcem.

— Mówię prawdę. Jest po prostu moim klientem, który przypadkiem mówi rzeczy, z których nie mogę się nie śmiać.

Serenity poczuł, jak jego stare uprzedzenia dotyczące sklepów i sklepikarzy znów kłują go w krtań niczym ostry szpikulec i przez moment zaczął się zastanawiać, po co, na Boga, dał żonie maszynę do szycia, ściągając w ten sposób do domu diabelską komercję i tych przeklętych klientów.

— C... c... co to za rzeczy? - zapytał, jękając się jak wtedy, gdy w dzieciństwie wysyłano go do sklepu i nie mógł znaleźć nikogo, kto chciałby pójść zamiast niego.

— Komplementy. Podziwia sposób, w jaki obchodzę się z materiałami i jak ze zwykłych kawałków bawełny potrafię zrobić piękne suknie.

Oparłem się o framugę drzwi. Nogi niemal się podę mną ugięły. I to mówiła Kłódka, kobieta, z której słownictwa już we wczesnej młodości wyklęto słowo „komplement”, zastępując je słowem „zagrożenie”. Kłódka potrzebowała komplementów! I to tak bardzo, że połykała je z jadaczki Amanta! Amanta, jedyne stworzenia wśród dwu - bądź czteronoż - nych, które było w stanie przeciwstawić się Kłódce i jej poglądom i odrzucić ją lub prawić jej komplementy! Byłem zdumiony tym, jak bardzo się co do niej pomyliłem, ale czułem, że moją pierś wypełnia zadowolenie: mimo obojętności na ból i szybkości, z jaką łapała za różgę z guavy, okazało się, że nie jest tak zupełnie nieczuła na ból. Mógłbym ją zranić!

— O! Więc ja nie mam uznania dla twojej pracy, pomimo całej wolności, jaką ci daję?

— To coś innego - odparła głosem, w którym brzmiało przesadne zniecierpliwienie. Tym, czego nie wyraziła słowami, było to, co czuła, gdy była sama z Amantem: czystość i niewinność, wolne od zwykłych napięć pomiędzy mężczyznami i kobietami. Amant chciał od niej tylko kojącej siły ich rozmów. Jego pochlebstwa wynikały z czegoś przypominającego platoniczną cielejącą miłość. Czuła się jak uwielbiana Dziewica, co dawało jej radość, której nigdy wcześniej nie zaznała.

— Co przez to rozumiesz? - zapytał Serenity z powstrzymaną złością.

— Jeżeli istnieją kobiety mogące sprawić, że będziesz się śmiał, to istnieją również młodzi mężczyźni mogący rozśmieszyć zamężną kobietę. Wiem, że wiele kobiet czeka w nadziei, że coś mi się stanie, by móc przybiec tutaj i zająć moje miejsce. Ale coś ci powiem: możesz dalej zajmować się płodzeniem bękartów, tylko wiedz, że nigdy nie będzie dla nich miejsca w tym domu.

Serenity nie podobało się, że do rozmowy została wmieszana córka Kasiko. Nie podobało mu się też to, że zawsze był zmuszony się bronić. Jakiś czas temu dał Kłódce do zrozumienia, że ma zbyt wiele zmartwień finansowych, żeby się oglądać za innymi kobietami. Dlaczego ona znowu wyciąga ten temat?

Nie powiedziała mu, że często miewa sny o weselu, w których widzi diabelskie dzieci Kasiko sięgające po kawałek weselnego tortu. Potem kawałki weselnego tortu zmieniają się w kamienie, którymi obrzucają ją te dzieci, ponieważ przepędziła ich matkę. Zaczęła teraz wątpić, czy dziecko Kasiko naprawdę jest dziewczynką. W snach otaczali ją zawsze chłopcy przysięgający, że jako pierwotni synowie Serenity są jego spadkobiercami. Bardzo chciała upewnić się, że dziecko Kasiko naprawdę jest dziewczynką, ale nie wiedziała, jak poruszyć ten temat, nie zdradzając się.

— Dlaczego znowu o tym zaczynasz? - zapytał Serenity.

Wobec tego wykształconego człowieka, o którym wiedziała, że wyśmiałby ją, gdyby mu powiedziała o snach, w których dziewczynka zmienia się w zgraję rzucających kamieniami chłopców, czuła się wprawiona w zakłopotanie. Uciekła się więc do tego, co dobrze jej szło: do szyderstw i pogrózek.

— Hadzi Gimbi na pewno cię nauczy, jak zostać poligamistą. Ale ta choroba nigdy nie skazi tego domu.

— Zostaw Hadziego w spokoju. On jest moim przyjacielem, nie twoim.

— Nigdy nie będę dzielić domu z inną kobietą.

— Te wszystkie bzdury już mi bokiem wychodzą. Jeżeli to jest sposób, w jaki wyrażasz poczucie winy z powodu tego, co wyprawiasz z tym chłopakiem, to powiedz, że tak jest, i skończ już z tym. Nie mam ochoty wysłuchiwać przez całą noc tych nonsensów. Muszę wcześniej wstać do pracy.

— Jak możesz ufać tym muzułmanom? Próbują cię nawrócić na islam czy na reżim Amina?

— Skończ wreszcie z tymi bzdurami! Hadzi jest moim przyjacielem. Idź ze swoją paranoją gdzie indziej. Wciskaj takie rzeczy Boyowi i powiedz mu, żeby je wrzucił do studni.

Już plotkują o tobie i o mnie i wyzywają mnie od rogaczy. Myślę, że on ma cię bez reszty w swej mocy, jak ospa.

— Nie chcę tego więcej słyszeć z twoich ust. Nigdy! - zaszczekała Kłódka. Sprężyny łóżka zatrzeszczały, kiedy odwracała się ze złością do Serenity.

— A ja nie chcę, żeby ludzie o mnie albo o tobie źle mówili. Jesteśmy przykładną rodziną. Reputacji budowanej przez lata nie należy niszczyć w parę chwil.

— On tylko flirtuje ze mną. Dlaczego miałabym sobie zawracać głowę brudnymi myślami innych ludzi?

— Flirtuje! W moim domu! Nad moją maszyną do szycia! To co wtedy robi, śpiewa ci piosenki? Powiedz mu, żeby z tym skończył. Niech poszuka sobie innej krawcowej. Nie chcę go tu więcej widzieć!

Wszystko to były surowe informacje, musiałem je jeszcze przetworzyć i ocenić, czy mogą mi przynieść jakiś pożytek, ale na razie zacząłem się już nudzić. Zastanawiałem się, czy nie wrócić do łóżka, bo jak na jedną noc miałem w zupełności dosyć.

— Jesteś hipokrytą. Według ciebie byłem przecież również zazdrosna, kiedy odesłałam służącą.

— Nigdy tak nie twierdziłem - odparł sennie Serenity.

— Zawsze się na ciebie gapiała.

— Chciała tylko, żebyś przestała ją wyzywać. Prawie w ogóle na nią nie patrzyłem.

— Nie mogłam jej już ufać z Mugezim - oświadczyła nagle Kłódka.

— O co między wami chodzi?

— Dzieci muszą być posłuszne, a on nie jest. Sądzi, że jest już dorosłym mężczyzną, a ty pozostawiasz go swemu losowi. Ale nie martw się, dam sobie z nim radę. Nie mam zamiaru pozwolić, by stał się jednym z tych chłopców, którzy okradają ludzi, znęcają się nad nimi i mordują. Twoja ciotka całkowicie go rozpuściła, ale tak czy owak, postaram się, żeby szkoda została naprawiona. Nigdy nie ufałam tej kobiecie.

Kolana się pode mną ugięły i o mało nie upadłem na drzwi.

— Posuwasz się za daleko. Przestań. - W głosie Serenity zabrzmiało wycie psa w czasie rui, udrećzonego nieosiągalnym zapachem seksu.

Kraść! Mordować! Znęcać się! Kto mnie codziennie okradał, znęcał się nade mną i mordował mnie? Kto codziennie dręczył mnie wyzwiskami, smrodem góvien i piekącymi razami różgi z guavy? Kto codziennie targał się na moje dobra duchowe, żeby mnie przystrugać do posłuszeństwa trybu w kole zębatym? A teraz wybuchła otwarta wojna. Nie

miałem złudzeń, że mógłbym tę wojnę okopową wygrać, ale byłem zdecydowany drogo sprzedać swoją skórę, bardzo drogo. Musiałem wykorzystać tę nową wiedzę z maksymalnym efektem. Zacząłem się trząść ze wzburzenia i oblał mnie zimny pot. Jak miałem teraz patrzeć rodzicom w oczy, pozdrawiać ich i być im posłuszny, jakbym o niczym nie wiedział?

— Musisz mi przyrzec, że nie zostawisz mnie samej z tym ciężkim zadaniem. Trzeba złamać tego chłopca. Musimy go ratować przed złem tego świata.

— Przecież już ci pomagam. Kto płaci za jego szkołę?

— Mam na myśli pomoc cielesną, środki dyscyplinarne.

— Oczywiście, będę ci pomagał. I zatroszczę się też o to, żeby Boy więcej tu nie przychodził.

— Przecież powiedziałam, że niczego między nami nie ma - warknęła Kłódka, podenerwowana, że Serenity łączy ze sobą dwie zupełnie różne rzeczy.

— Flirtowanie w moim domu nic nie znaczy?

— Ten chłopak przemierza całe miłe, żeby znaleźć mi klientów, i nic za to nie chce. Bez niego nie miałabym prawie nic do roboty. Co ja zrobię bez jego pomocy i kontaktów? Nikomu się nie przysłużysz, zabraniając mu wstępu do naszego domu.

— Jeśli ty mu tego nie zabronisz, ja to będę musiał zrobić.

— Zrozumiałam.

— To rozkaz.

W mojej głowie nie mogło się już pomieścić więcej informacji. Głosy Serenity i Kłódki zdawały się dochodzić z dalekiej groty, jak echo. Brzmiały jak samotne bzyczenie umierających pszczół. Było mi już wszystko jedno, co się stanie. Było mi wszystko jedno, czy Serenity złamie Kłódce rękę czy nogę albo czy ona zmiążdzy czy też pogłaszcze jego kolana.

Mój pobyt w mieście był więc jedną wielką wyrachowaną próbą złamania mnie, przykrojenia mojego własnego wyobrażenia o samym sobie i starcia na pył wszystkich dążeń mojej osobowości w mózdzierzu konwencji. Dostawałem zadania bez wyjaśnień. Zwracano się do mnie w poniżający sposób. Dawano mi wyraźnie odczuć lekceważenie despotów, bito mnie. Byłem dobry tylko do prania pieluch, gotowania, noszenia wody i robienia wszystkich rzeczy, na które Kłódka sama nie miała ochoty. Ława katowska kręciła się, krusząc powoli mego ducha.

Moje nocne odkrycie nauczyło mnie jednej rzeczy: muszę zacząć działać tak samo potajemnie, jak oni w swym sprzysię - żeniu działali przeciwko mnie. Muszę nauczyć się uderzać z ostrością aksamitnych łap lamparta, a przy tym zacierać ślady i trzymać w ukryciu pazury. Muszę pokonać ich ogień, starannie budując swój własny, tak by zwęgliły siebie

nawzajem, nie zajmując domu. Muszę postępować z upartym sprytem prosiaka.

Kiedy na wsi kupiło się świniaka i nie chciało, żeby uciekł w drodze do domu, wsadzało się go do jutowego worka, który mocno zawiązywano. Niektóre prosiaki i tak próbowały uciec, kiedy drzwi stajni były uchylone albo gdy nie były przywiązane sznurkiem. Uciekały nie dlatego, by wrócić tam, skąd przybyły, ale by się zemścić za to, że ktoś skazał je na nudę niewoli. Prosiaki, które uciekły, mściły się, zżerając żniwo sąsiadów. Niektóre maciorki czekały trochę dłużej: kiedy miały zostać pokryte przez knury z rodowodem, dawały potajemnie nogę i trzeba było je ścigać po całej wsi. Kiedy się je złapało i przyprowadziło z powrotem do samców, tak potrząsały zadami, że marnowała się pierwszorzędna sperma. Miałem zamiar zastosować kilka takich świńskich chwytów.

Wciąż byłem niespokojny. Nie mogłem spać, a nie miałem odwagi znowu szpiegować. Paralizujące napięcie w piersi i brzuchu odbierało mi apetyt. W drodze ze szkoły do domu przechodziłem obok postoju taksówek i patrzyłem na samochody dostawcze, na podróźnych, darmozjadów, zaklinaczy węży, przepowiadaczy przyszłości, śpiewaków i wałęsające się bez celu dusze. Napastowali mnie chłopcy w moim wieku, którzy wciskali mi baterie radiowe, bieliznę, zeszyty, szczoteczki do zębów i tym podobny towar. Ścigali mnie kieszonkowcy myślący, że mam przy sobie parę groszy lub pieniądze na zakupy. Zaczepił mnie kiedyś fałszywy wróżbita obiecujący, że przepowie mi przyszłość i pobłogosławi mnie, jeśli mam pieniądze, by skorzystać z jego usług. Widziałem szachrajów prowadzących niepiśmiennych chłopów do niewłaściwych autobusów, do niewłaściwych kupców albo do niewłaściwych miejsc. Stojąc w ukryciu, widziałem kumpli tych szachrajów, podających się za kierowców, chłopców na posyłki lub detektywów. Widziałem, jak prostoduszni i naiwni chłopcy dawali się wykiwać. Widziałem wyzywająco ubrane kobiety kręcące tyłkami, puszczające oko i dokładające wszelkich starań, by złapać spojrzenie mężczyzn. Widziałem też kobiety wyglądające na zabłąkane, ale lękające się pytać o drogę.

Doszedłem do wniosku, że w tym kraju, mimo wielu trutek i łapek, jest coraz więcej szczurów. Na wsi otwieraliśmy zawsze stare baterie i mieszałyśmy znajdujący się wewnątrz węgiel z rybą, żeby zmniejszyć smród, a potem wsadzaliśmy to do mysiej dziury albo za worki z kawą, żeby szczury to zżarły i pozdychały. Tu były różne płyny, ziarenka i proszki do zabijania szczurów. Miałem dość pieniędzy na zakup trucizny, którą mógłbym zabić tego olbrzymiego szczura zwanego Kłódką. Ale przysparzał mi zmartwień instynkt przeżycia szczurów. Często się zdarzało, że szczur nie tykał trutki. Może Kłódką, zamiast sama zjeść truciznę, dałaby ją jednemu z gówniarzy? Nie zniósłbym tego. A może moje sumienie nie zniósłoby także śmierci Kłódky? Poza tym musiałem również liczyć się z policją. Kłódką

wychodziła z domu tylko na mszę, i nie byłoby tak trudno stwierdzić, że została otruta przez kogoś z domowników.

Patrzyłem na węże, zwłaszcza na matowo błyszczące kobry, tańczące i wijące się, podnoszące karki na gwizd bezzębnych zaklinaczy lub na dźwięk ich fletów. Na widok migoczącego przepychu ich łusek i czarnych oczu aż drżałem z pokusy, by kupić jedną z nich i położyć w łóżku Kłódki. Te kobry nie miały już zębów i nie były niebezpieczne, ale mogły wywołać atak serca ze strachu. Nadal nie wiedziałem jednak, jak miałbym przez to zdobyć więcej swobody albo praw. Poszedłem więc dalej.

Zawsze dziwiło mnie, że w mieście praży znacznie bardziej niż na wsi: twarde, palący blask słońca, gęsty jak magma, opieszale pełzał po moim ciele. Wyczuwałem w powietrzu deszcz. Niebo pociemniało. Ciężkie chmury, podobne do wygłodniałych sępów i marabutów, którym cieknie ślinka, wisiały nad gnijącymi zębami *skyline*. Przesłoniły słońce, minaret i katedry na wzgórzach w oddali. Chłodny wiatr wywoływał przebiegającą przez całe ciało gęsią skórkę. Po chwili niebo spuściło ścianę deszczu. Poszarzało, a ludzie zaczęli biegać we wszystkich kierunkach.

Ze szczytu Nakasero Hill popłynął do niecki potok, w którym gotowała się wściekłość bezsilnych sądów i siła niszczenia morderczego wojska. Rzeka Nakivubo wystąpiła z brzegów i wypluła na nie, na drogi i okoliczne sklepy wszystkie swoje brudy. Wyrzuciła węże, a także żółwia, kilka psów i paru otępiełych pijaków. Ryk wody nakładał się na dudnienie wojskowych czołgów, wyrzutni raketowych i oddziałów uczestniczących w zamachu wojskowym 21 stycznia 1971 roku, pod dowództwem generała Idi Amina.

Z generałem po swojej stronie mogłem zmiażdżyć despotów jak orzechy w mózdzierzu. Widziałem jego przemoczonych żołnierzy walczących z falami, eskortujących jakiegoś oficera. Z ich statuetkowych twarzy można było wyczytać idealny fatalizm, zupełną rezygnację i całkowite oddanie bogowi wojny. Kiedy dochodziło do konfrontacji, była to głowa twoja albo ich. Powietrze drżało od potęgi ich morderczej władzy, tak jak swego czasu drżało podczas tamtych narodzin pod gołym niebem, na asfalcie.

Gdybym sam chciał osiągnąć podobny stopień oddania i odwagę Babci w momencie, gdy błysnęła panga, nie potrzebowałbym trucizny. Podszedłbym wtedy po prostu do żołnierza na wachcie i oświadczyłbym, że Kłódka i Serenity sympatyzują z Obote. Zostaliby aresztowani, wrzuceni do jeepa i wywiezieni do baraków. Tam wybito by im zęby, a ich plecy potraktowano kolbami karabinów lub biczami ze skóry nosorożca. Tam doświadczyliby rzeczy, o których nigdy nie było mowy w żadnej opowieści wujka Kawayidy. Ale gdybym zawołał żołnierzy, nie działałbym z niezauważalnością lamparta.

Gdybym chciał, mógłbym się przyłączyć do Państwowej Służby Bezpieczeństwa, organizacji, której zadaniem było przede wszystkim baczenie na wszystko i denuncjowanie wszelkich wrogów państwa, prawdziwych lub potencjalnych. Jako urzędnik Państwowej Służby Bezpieczeństwa otrzymałbym Czerwoną Kartę i wtedy nikt nie odważyłby mi się nic zrobić. Mógłbym pokazać tę kartę nauczycielom albo Serenity, albo Kłódce, albo każdemu, kto by mi stanął na drodze. Uzbrojony w nią mógłbym nastraszyć Kłódkę i dać jej poczuć, jak to jest być tyranizowanym. Mógłbym również zażądać Lusanani i odejść z nią, i ani Hadzi Gimbi, ani nikt inny nie mógłby mi w tym przeszkodzić. Jedynym, co mnie powstrzymywało, był fakt, że władza zniszczyłaby mnie, ponieważ nie było już Babci, która by mnie budziła. Władza uwiodłaby mnie karabinami, nożami i wściekłymi groźbami i z biegiem czasu uczyniłaby ze mnie śmiertelnie niebezpiecznego wariata. Również w ten sposób nie atakowałbym aksamitnymi łapami lamparta. Tak więc i tę możliwość trzymałem w rezerwie.

Nie, najbezpieczniejsze, co mogłem zrobić, to wybrać Amina na swego opiekuna. Amin był realistą. Nigdy nie wystawił nikomu drugiego policzka. Na miłość odpowiadał miłością, na nienawiść nienawiścią, na wojnę wojną. Był dumny aż po arogancję. Ale gdyby oceniać go według jego czynów - jak daleko zaszedł i ile po drodze przeżył przy wsparciu Brytyjczyków i rodaków - gdyby oceniać go według jego czynów, zasłużył na tę dumę i arogancję. Był człowiekiem, który w przeciwieństwie do wielu Afrykańczyków nie bał się wyrażać swego zdania, ponieważ, podobnie jak ja, nie bał się represji. To on był represją.

W Dzień Niepodległości zademonstrował swoją władzę. Powietrze rozdzierały dźwięki cymbałów, tub, piccolo i klarnetów. Świetność obecności Amina sprawiała, że rozstępowało się morze krwi, potu i łez, lękliwe serca zostawały pocieszone, a wątpliwe dusze uspokożone. Wypowiadał słowa mądrości i siał nasiona władzy. Wieloryby tyranii mruczały w jego wnętrzu. Kiedy grzmiał, drżeli jego wrogowie. Kiedy się śmiał, był jak powietrze przed burzą przeszywane brzytwami piorunów. Kiedy nagradzał swych popleczników, mnożył samochody, wille za miastem, najlepsze posady i pieniądze, przekraczając przy tym ilość rozmnożonych chlebów i ryb. Tak, wiedziałem: to on był tym dzieckiem, którego narodziny na asfalcie widziałem w przelocie. Był dzieckiem urodzonym po to, by rosnąć jak góra, by płynąć jak tysiące rzek i umrzeć jak tysiące zmarłych. Mój drugi anioł stróż uległ reinkarnacji.

Raźnym tempem ruszyłem do domu.

Księga trzecia

AMIN, OJCIEC CHRZESTNY

Mając siedem lat, stałem się najznamienitszym słuchaczem Dziadka. Wysłuchiwałem

jego rozpraw politycznych i zapamiętywałem najważniejsze punkty, nie rozumiejąc ich zupełnie. W zabawie w pytania i odpowiedzi musiałem bronić brytyjskiej, azjatyckiej i afrykańskiej strony określonych kwestii narodowych. Miałem zostać w przyszłości adwokatem, którym on chciał być, a prawdopodobnie również politykiem, zważywszy na to, że wielu adwokatów dawało się wciągnąć w politykę - byłem jego idealnym przyszłym zastępcą. Po latach politycznych rozważań Dziadek doszedł do wniosku, że nowoczesne państwo to prochownia mająca lada moment wybuchnąć serią potężnych eksplozji. Było domem zbudowanym na piasku - na zdradliwym piasku nierówności, walk i wyzysku. W cichości swego ducha Dziadek wyglądał dnia, w którym wszystko pochłona płomienie, bo wierzył, że dopiero wtedy z popiołów mógłby narodzić się nowy porządek.

W politycznych obserwacjach Dziadka miasto odgrywało istotną rolę. Kiedy był młodym mężczyzną, Kampala była podzielona pomiędzy Europejczyków i Azjatów. Afrykańczycy ze wsi przychodzili do miasta do pracy, najczęściej w gorszych zawodach, po czym wieczorem znowu wracali na wieś. Dzięki rządowi Brytyjczyków podział rasowy określał ich życie. Brytyjczycy najpierw sprowadzili azjatyckich żołnierzy, żeby podporządkować sobie centralną część kraju. Protestanczy *chiefs* z tych terenów przewodzili potem oddziałom, podporządkowującym Brytyjczykom resztę kraju. Do zarządzania obszarami, które pomogli zaanektować azjatyccy żołnierze, importowano azjatyckich biurokratów i handlarzy; z kolei miejscowi protestanczy *chiefs* otrzymali władzę na terenach, którymi zawładnęli. W ten sposób zostało zasiane ziarno nowoczesnej walki plemiennej.

Kiedy Dziadek zetknął się z niesprawiedliwością rasową kolonialnego systemu, gdy nie przyjęto go do Szkoły Nauk Prawnych, postanowił walczyć. Prowadził kampanie i w latach czterdziestych został podprzywódcą okręgu, a w latach pięćdziesiątych przywódcą. Z tej pozycji mógł lepiej obserwować, jak działa system i jak można zwalczać go od środka. Brytyjczycy stali bezpiecznie na szczycie, oddzieleni od Afrykańczyków Azjatami, a Azjaci rozkoszowali się swą rolą pośredników mogących zachować czyste ręce. Tymczasem Dziadek był odpowiedzialny za dwie rzeczy, którymi się brzydził: musiał pobierać podatki, dzięki którym kręciła się ta cała machina zarządzania, oraz zbierać poborowych do drugiej wojny światowej, młodych mężczyzn wysyłanych na śmierć na polach bitew, których nazwy ledwo mogli wymówić. Jego jedyny brat z tej samej matki zgłosił się na ochotnika. Cieszył się, że będzie załatwiać białych, najchętniej brytyjskich żołnierzy, ponieważ biała policja rozebrała go i wychłostała za kręcenie się po Klubie Brytyjskim. Dziadek starał się go powstrzymać i prosił, by został w domu, aby tam walczyć o konieczne zmiany, lecz na próżno.

W czasie wojny Dziadek stał po stronie Niemców, w zasadzie uważał jednak, że wojna jest sprawą europejską, która go nie dotyczy. Wyobrażał ją sobie jako osobliwy mecz piłkarski. Drużyny brytyjska i niemiecka posuwały się coraz dalej od miejsca, do którego zaszyły w roku 1918. A ponieważ był przeciwko Brytyjczykom, opowiadał się za ich największym przeciwnikiem, czyli Niemcami. Denerwująco długo to trwało, zanim dotarli do nas wieści z frontu, ale kiedy nadchodziły, były przeważnie krótkie, ponure i niepełne. Tysiące młodych mężczyzn wracało „w kopercie”, co oznaczało, że ich rodziny powiadamiano listownie o śmierci na froncie. Wielu z chłopaków, których powołał Dziadek, wróciło „w kopercie”. Czekał na kopertę swojego brata, ale wciąż nie nadchodziła. Wojna dobiegła końca, weterani wrócili do domu, jednak nadal nie było wiadomości o jego bracie. Tymczasem wspierał bojkot gospodarczy przeciwko Azjatom, który wybuchł w całym kraju. To był jego sposób na pogodzenie się za stratą brata. Uważał również, że był to winien żołnierzom, którzy wrócili „w kopercie”. Ale podczas bojkotu brat nagle się pojawił. Wszedł w Birmie na minę przeciwpiechotną i urwało mu nogę. Nie opowiedział o swych wojennych doświadczeniach, ponieważ stracił mowę. Resztę swoich dni spędził w miazmatach własnego ducha.

Największym sukcesem bojkotu było osłabienie azjatyckiej dominacji w handlu dzięki temu, że kilka palarni kawy i fabryk bawełny dostało się w ręce Afrykańczyków.

Sukcesowi deptał jednak po piętach upadek: ktoś obwiniał Dziadka o działalność antyrządową, między innymi o sabotaż działań wojennych. Postawiono go w stan oskarżenia i jego starania, by ponownie mianowano go przywódcą, zakończyły się miazdzącą porażką na korzyść protestanckiego kandydata. Nie można było tego powstrzymać; całe życie Dziadka rozsypało się mu w palcach. Zaczęło się to już pod koniec lat trzydziestych, kiedy jakiś facet odbił mu jego ukochaną żonę, która wkrótce potem zmarła. Serenity, Tiida i Nakatu zostały sierotami. A teraz, kiedy bojkot wyrócił lata pięćdziesiąte do góry nogami, jego dom uległ dalszemu rozpadowi: członkowie rodziny, kobiety i przyjaciele odeszli i gdyby nie Babcia, zmarniałby zupełnie.

Lata sześćdziesiąte nadbiegły w galopującym tempie. Wzrósł nacisk polityczny. Imperium Brytyjskie zaczęło się rozpadać od środka i na wszystkich szczeblach zapanował niepokój. Brytyjczycy zaczęli pakować manatki. Chcieli uciec z płonącego domu, który sami podpalili, co się Dziadkowi bardzo nie podobało. Wolałby widzieć ich pokutujących za to, że podzielili naród, podjudzili plemiona przeciw sobie, wyeksploatowali gospodarkę i uruchomili wszystkie katastrofy, jakie jeszcze czekały ten kraj. W polityce narodowej prym wiodli protestanci, a ludy północne opanowały wojsko, policję i więzienia. Ludy centralne i

południowe składały się głównie z chłopów i biurokratów. Pęknięć, wzdłuż których mogło dojść do wstrząsów sejsmicznych, było dlatego o wiele za dużo.

Dziadek stał się w tym czasie raczej obserwatorem niż uczestnikiem polityki - tak narodowej, jak i regionalnej. Tu i tam przemawiał jeszcze na niewielkich spotkaniach, tłumacząc przy tym, że preferuje bezpartyjność, co dziwnie brzmiało w uszach początkujących polityków, którym obiecywano pół świata za głosowanie na tę czy inną partię. Miejskowa elita natychmiast zajęła się działalnością polityczną. Azjaci trzymali się z dala, zadowolając się dziewięćdziesięcioma procentami z handlu i swą znamienitą rolą kury znoszącej złote jaja. Po sześćdziesięciu latach rządów brytyjskich, podczas których większość Afrykań - czyków stała na linii bocznej życia politycznogospodarczego, Dziadek nie widział zbyt wielu powodów do optymizmu. Widział wokół jedynie dymiące beczki prochu, które lada moment mogły wybuchnąć.

W przededniu niepodległości siły partyjnopolityczne manifestowały się w ścinaniu zarówno drzew bananowca, jak i kawowca należących do zwolenników rywalizujących ze sobą partii. Utwierdziło to Dziadka w przekonaniu, że dom zbudowany na nierówności, walce i wyzysku nieodwołalnie się zawali - i to prawdopodobnie szybciej, niż powszechnie sądzono. A kiedy został napadnięty przez grupkę fanatyków, oburzonych jego krytyką pod adresem tryumfujących protestantów i założonej przez ludzi z północy Ugandyjskiej Partii Ludowej, potraktował to jako dowód słuszności własnych teorii. Przekonanie o własnej racji przyczyniło się do jego szybkiego powrotu do zdrowia oraz umocniło go w niezłomności i stoicyzmie. Eksplozja była blisko, podobnie zresztą jak i budowa nowego domu, który miał należeć do wszystkich jego mieszkańców. Stary dom, zbudowany na brytyjskim panowaniu, azjatyckiej kolaboracji i afrykańskiej walce plemion, nie należał do nikogo. Nikt nie czuł się w nim bezpieczny. Był to dom, którego używano i który wykorzystywano do załatwiania małodusznych interesów. Był to dom, który należało zburzyć z powodu grabieżczej zgnilizny, jaka go dotknęła. Gdy Dziadek opowiadał mi o tym, myślałem, że wysłał to wszystko z palca. Tak jednak nie było.

Przez Dziadka przemawiało doświadczenie. Kiedy stracił władzę, kiedy opuściły go jego kobiety, a zgraja członków rodziny i gościepasożyty rozsypali się jak pióra na wietrze, otworzyły mu się oczy. Nie miał już wpływu politycznego, ale odetchnął, poczuł się uwolniony od duchów autorytetu i żerujących na nim pasożytów. Jego domostwo było niewielką wyspą, osaczoną przez rabusiów, szarpaną sprzecznymi interesami, nieustannymi waśniami i zazdrością. Było schronieniem pozbawionym radości. Dziadek nie bardzo wiedział, co się rozgrywało wewnątrz jego własnego domu. A było tam aż sztywno od intryg,

obludy i chciwości. Kiedy wkraczał do zagrody, wyczuwał napięcie nawet na gałęziach drzew i w zapachu ziemi w *shamba* kawy. Dochód z własnych zbiorów kawy stał się jego obsesją już choćby dlatego, że szpony chciwych gościpasożytów rozszarpywały go natychmiast na kawałki.

Kiedy Dziadek był u szczytu władzy i zalewali go wielbiciele, nie znalazł nikogo, komu mógłby powiedzieć prawdę. Gdy tylko wchodził do domu, czuł, że każdy zakłada maskę. Każde wymówione słowo było jak drogocenna strzała lub kula, która się nie mogła zmarnować - musiała zostać starannie wycelowana w indywidualnej lub kolektywnej walce o jego łaski, opieniądze czy status. Dziadek nie sądził, że kraj upadnie w ten sam nagły sposób, w jaki upadło jego domostwo. Był przekonany, że będzie to wymagało czasu.

W 1966 roku, cztery lata po odzyskaniu niepodległości, konstytucja została czasowo zniesiona, a w centralnej Ugandzie ogłoszono stan wyjątkowy. Po raz pierwszy w historii kraju wieś odwiedziła uzbrojeni żołnierze. Dziadek uznał, że oto nadszedł czas, gdy narodowy budynek stanie w płomieniach, i zaczął podsycać zarzewie olejem swej elokwencji, kąśliwymi porównaniami pokazując politycznym głupcom beznadziejność ich sytuacji.

Kiedy nikczemnicy wrzucili go do dołu kloaczego, myślał, że jego koniec jest bliski i że jego śmierć roznieci ogień, który buchnie wysoko w górę, aż po belki stropowe. Gdy nikczemnicy go puścili, odniósł wrażenie, że stracił wielką historyczną szansę. A kiedy mieszkańcy wsi zwrócili się do niego z prośbą, by pomógł im uporać się z polityczną przemocą, uznał to za wspaniałą okazję do spełnienia swej misji. W drodze do domu po burzliwym spotkaniu został ostrzelany i modlił się, żeby dosięgła go śmierć, ale dostał zaledwie jedną kulę w nogę. Czekał na salwę, która uczyniłaby z niego narodowego męczennika, lecz na próżno. Kiedy otworzył oczy, leżał w szpitalnym łóżku w Ndere Hospital, niestrzeżony przez żołnierzy, i zrobiło mu się smutno. Dzień narodowego rozliczenia najwidoczniej jeszcze nie nadszedł. Dziadek obawiał się, że dzień ten być może przejdzie mu koło nosa.

Zamach stanu generała Idi Amina spadł na niego jak grom z jasnego nieba. Albo się mylił, albo było to zrządzenie losu. Spodziewał się, że ówczesny prezydent Milton Obote powiedzie kraj w stronę komunizmu lub socjalizmu. Spodziewał się, że azjatyckie przedsiębiorstwa zostaną znacjonalizowane. I spodziewał się również, że do kraju wkroczy wówczas armia brytyjska, by bronić interesów brytyjskiego kapitału. Według jego przewidywań przy wsparciu Rosjan albo Chińczyków Obote miał się zbuntować i w imię antykomunizmu zostać odsunięty od władzy. Ale zanim sprawy zaszły tak daleko, Amin przejął władzę, a Babcia w podejrzanym okolicznościach zginęła w czasie pożaru.

Dziadek, ogłuszony zgryzotą i niepewnością, a bez swojego ulubionego doradcy i antagonisty zarazem zdany wyłącznie na siebie, odłożył swe polityczne rozpamiętywania i monologi do lamusa. Gdzieś w głowie coraz bardziej regularnie kołatała mu myśl, że to właśnie Amin może być tym człowiekiem, na którego każdy czekał, człowiekiem, który spowoduje następne eksplozje albo nawet szereg eksplozji. Brytyjscy grabieżcy ustąpili pola miejscowym bandytom i z pomocą swych azjatyckich marionetek próbowali na odległość wywierać wpływ na gospodarkę. Czy Amin rzeczywiście był człowiekiem, który całą tę skorumpowaną budowlę miał rozbić w drobny mak?

Wiadomość, że wszyscy Azjaci w ciągu dziewięćdziesięciu dni mają opuścić kraj, wyrwała Dziadka z głębin jego zmartwienia.

„Teraz się zacznie - powiedział do siebie. - Jeszcze parę eksplozji, a dom legnie w gruzach i będzie można zacząć odbudowę”.

Tym razem pozwalał się kasać robakom optymizmu. Wierzył, że Amin spełni swoje obietnice i po zaprowadzeniu porządku wróci do baraków. Zaczął chodzić na kielicha. Atmosfera była zbyt naładowana, by siedzieć w domu i narzekać na przeszłość, gdy przyszłość jaśnieje na horyzoncie. Ludzie bardzo wychwalali Amina. Dziadek widział ciężkie kłódki na azjatyckich zakładach, co otwierało Afrykańczykom drogę do bastionów władzy ekonomicznej. Nieliczne bojaźliwe głosy zagłuszał zgiełk świętujących. Nikt nie chciał psuć tej całej euforii swoimi wątpliwościami. Tak długo na to czekano, że każdy chciał to wchłonąć w czystej formie. Ale Dziadek ignorował rozmowy o gospodarczym znęcaniu się nad azjatyckimi przedsiębiorcami. Jego umysł był już o szczebel wyżej, o eksplozję dalej. Uważał, że jeśli coś się zaczęło, należy to doprowadzić do logicznego (bądź nielogicznego) końca. Amin miał jaja, to było pewne. Nasuwało się tylko pytanie, jak z nich następnym razem skorzysta.

Listopad 1972. Azjaci zaczęli wyjeżdżać. Dziadek nie odczuł ich braku, bo nie miał wśród nich przyjaciół. Duże zakupy robił w jednym i tym samym sklepie, gdzie uprzejmie go obsługiwano. Ale na tym ten związek się kończył, przypieczętowany dźwięczeniem pieniędzy. Widział, jak azjatyckie sklepy były zakładane, rozwijały się i kwitły. Widział też, jak parę z nich zamknięto, ale to było sprawą Azjatów.

Teraz azjatyckie świątynie pozostawiono niepokieszone i bez wiernych. Teraz drzwi azjatyckich szkół zostaną otwarte na oścież i przyjmą każdego. Teraz do azjatyckich klubów i obiektów sportowych wtargną nowe twarze i przejmą je. Azjaci byli przedtem zbyt wpływowi, by z nimi sympatyzować, ale Dziadek nie mógł nic poradzić na to, że musiał myśleć o starcach. Co ci mężczyźni i kobiety z trzeszczącymi kośćmi i potrójnymi

podbródkami mieli pocać? Co on sam, na Boga, zrobiłby, gdyby był w ich skórze? Co zrobiłaby Babcia? Co by czuła i powiedziała? Nie mógł sobie w ogóle wyobrazić, jak ci starzy ludzie mieli sobie poradzić w Anglii, w kraju, do którego nigdy nie chciał pojechać, bo skoro Brytyjczycy tutaj zatruli mu życie, co czekałoby go w ich własnym kraju, gdzie mieli jeszcze więcej władzy, jeszcze więcej autorytetu i jeszcze więcej pola do popisu?

Widział azjatycką społeczność, rozpryskującą się niczym owoc chlebowca upuszczony na beton. Wśród nich byli bogaci i biedni, wykształceni i niewykształceni, niebieskokrwiści i nietykalni, Hindusi i Goańczycy. Ale jak nietykalnym, zdradzonym i dyskryminowanym przez własny naród miało wieść się w Anglii, gdzie wielu z nich wyglądało na czarniejszych od Afrykańczyków? Gdyby Dziadek był na miejscu Amina, pozostawiłby starszym ludziom wybór: odejść czy zostać. Byłoby to właściwe postępowanie. Już wcześniej coś takiego miało miejsce. Kiedy przywódcy ze środkowej Ugandy zostali wygnani z terenów, na które udali się w celu służenia pomocą brytyjskiemu rządowi w osiedlaniu się, ci, którzy chcieli, odeszli z Brytyjczykami, a inni zostali.

Teraz jednak wyjeżdżali wszyscy Azjaci. Szerzyły się już plotki osamobójstwach: o ludziach, którzy się podpalali, zażywali truciznę lub się topili. Dziadek cieszył się, że tym razem Brytyjczycy nie mogą uciec. Amin wysłał przeciwko nim tysiące Azjatów, w tym wielu takich, którym wcześniej za pomocą kontyngentu imigracyjnego z powodzeniem odmówiono wstępu do Anglii. Ironią całej sytuacji było to, że oficerowie brytyjscy poparli Amina i że Anglia splamiła sobie ręce jego zamachem, a on im teraz w ten sposób odpłacił. Brytyjczycy nie wzięli zapewne pod uwagę wielu zasłużonych afrykańskich oficerów, gdy podjudzali tego smoka, a teraz było już za późno na odrąbanie mu jego licznych głów. To, co przyleciało na skrzydłach rasizmu i chciwości, odlatywało teraz z powrotem jak bumerang.

Ze strachu przed przyszłością Dziadek skwapliwie korzystał z wyprzedazy w sklepach za Mpande Hill. Kupił pięćdziesięcio - kilowy worek cukru, dziesięciolitrową puszkę oleju jadalnego, dwunastolitrową puszkę nafty oraz cement, żeby naprawić popękane groby w rodzinnym miejscu pochówku, w pobliżu mojego ulubionego drzewa. Widział, że Amin był baronem rabusiów, bossem mafii, człowiekiem, który w innych okolicznościach zbudowałby sobie imperium finansowe równie wielkie jak Barclay's Bank, ponieważ miał odwagę, szczęście i bezlitosny zapał łajdaka odnoszącego sukces. Dziadka gnębiło jednak to, że Amin miał zbyt wielką władzę i był zbyt nieobliczalny. Zdawało się, że nikt nie mógł ocenić, do czego był zdolny. Dlatego przyszłość była chmurna.

Dziadek przypominał sobie, że Serenity przeraził się sytuacją w mieście, kiedy przeprowadził się tam po Niepodległości. Podział rasowy osiągnął apogeum, a slumsy

niepokojąco się rozrastały. Życie toczyło się w ściśle oddzielonych rewirach, ze szklanymi ścianami pomiędzy wszystkimi rasami, wszystkimi klasami i wszystkimi plemionami. Serenity był zdumiony agresywną atmosferą panującą w mieście po Niepodległości.

Biali wycofali się do swoich marmurowych twierdz, do swoich przywilejów i elitarnej, kolektywnej potęgi. We własnym kraju ochraniały ich rakiety jądrowe w podziemnych silosach, a tutaj rakiety ze statków wojennych na Oceanie Indyjskim. Byli złotymi rybkami w przenośnych akwariach i gapiono się na nich, gdy jechali przez miasto w drodze do swoich szkół, klubów czy wysokich stanowisk. Serenity czuł, jak zawiść łaskocze jego ciało.

Azjaci w „MiniBombaju” mieli własne kamienice, szkoły, szpitale i dla Afrykańczyków pozostawali tajemnicą, a dla byłego wiejskiego nauczyciela, który z gliną na butach wałęsał się po mieście, również byli zagadką. Azjata, którego wciąż jeszcze znał najlepiej, był kierownik jego wydziału, człowiek, który rozkazy, nakazy i polecenia wydawał przenikliwym, wysokim głosem. O jego życiu prywatnym Serenity wiedział jedynie to, że człowiek ten miał dziesięcioro dzieci i że jego rodzice przyjechali z Gudżaratu, w którym on sam nigdy nie był.

Wciąż szokowała go ohyda podziału plemiennego. Wszyscy żołnierze, jakich widział, byli wysokimi, ciemnymi mieszkańcami północnej Ugandy. Policja składała się z mieszkańców Północy i Wschodu. Szczególną wrogość żywiono do ludzi z terenów centralnych, z których on sam pochodził, i kiedy spotykał uzbrojonych żołnierzy, czuł, że stopy zapadają mu się w błoto, a w piersi i żołądku chrobocze szarańcza. Patrzyli na niego z zawiścią, ponieważ był urzędnikiem, miał lepszą pracę, lepsze zarobki i więcej pewności siebie. Czuł się wówczas potencjalną ofiarą uzbrojonej frustracji, chciwości i nienawiści plemiennej. Wychowany w wiejskiej obyczajności, nie mógł przyzwyczaić się do nienawiści na większą skalę. Rozpaczliwa arogancja, z jaką jego współplemieńcy próbowali bronić się przed oskarżeniami o kolonialną kolaborację, napawała go strachem, bo on sam nie znał arogancji. Zawsze wychodził z wszystkiego cało, ponieważ nie rzucał się w oczy. Unikał konfliktów, wyrażał powściągliwe opinie i uciekał przed światłem reflektorów. Teraz wydawało mu się jednak, jakby nieustannie znajdował się na scenie, był obserwowany przez wrogą publiczność i musiał grać role, które go nigdy nie interesowały. Wydawało się, że każdy musi stać na scenie i grać rolę przyznaną mu przez los albo przez obcych. Serenity czuł, że grozi mu niebezpieczeństwo.

Afrykańczycy stali na samym dole, luźno połączeni wspólną niechęcią do Azjatów i Europejczyków oraz przeszłością, gdy budowali zamki i spadali z rusztowań kamienic, w

których nigdy nie mieszkali. Rasa oznaczała klasę, a klasa wciąż jeszcze była określana przez rasę. Afrykańczycy chcieli z mułu na dnie stawu wydostać się na górę, na zdrowe powietrze. Większość z nich wierzyła, że czas im sprzyja, co w pewnym sensie było prawdą. Rachunki za to, co się stało, gromadziły się, ale Serenity nie chciał dłużej czekać. Chciał spokojnej przyszłości, lepszej pracy i pielgrzymki do kraju, do którego co roku odlatywały czarne ptaki. Chwiał się i wahał w wirze rywalizacji, nienawiści i niepewności. Jak zarobić dosyć pieniędzy, żeby dać swoim dzieciom najlepsze wykształcenie i zachować jeszcze coś dla siebie?

Polityczna elita z czasów po Niepodległości posiadała to, co on chciał posiadać, ale napięcia, na jakie była wystawiona, krew i szlam, w którym musiała brodzić, by osiągnąć to, co teraz miała, napawały go lękiem. Tak postępowali tylko przebiegli łajdacy. Jego sąsiad i przyjaciel Hadzi Gimbi często twierdził, że zmiana jest blisko, tylko co on z niej będzie miał? Zmiany na dobre były dla tych, którzy szli po trupach, a on nie był skłonny posunąć się aż tak daleko.

Serenity odnosił się zawsze do wszelkich autorytetów podejrzliwie i bojaźliwie, a Amin napędzał mu stracha w szczególny sposób. Człowiek, który doszedł do władzy za pomocą puczu, któremu podlegały tysiące żołnierzy i który nie bał się śmierci - takiego człowieka należało się obawiać. Zaostrzył kontrast między prawem jako kodeks, prawem jako zjawisko socjalne, a prawem jako broń. Jak na razie prawo było bronią, samowolne aresztowania i więzienie ludzi były na porządku dziennym i to wszystko bardzo niepokoiło Serenity. Jego największą pociechą było to, że Hadzi Gimbi miał kontakty, ponieważ był muzułmaninem i przyjaźnił się z ludźmi znaczącymi i wpływowymi. Hadzi Gimbi obiecał mu pomoc, gdyby miał kłopoty z wojskiem albo z policją.

Serenity zaniemówił, gdy wydano Azjatów. Rosło w nim coś w rodzaju euforii. Wyczuwał w powietrzu nadzieję, podczas gdy horyzont drżał od zmian i nowych możliwości. Świadomość, że jego dziecięce marzenie się ziściło, wstrząsnęła nim. Handlarze, którzy swoim spiskiem zniszczyli mu młodość, mieli się wreszcie wynieść! Ich marzenie minęło, niepowetowana szkoda! Wiedział, że będą się bronić rękami i nogami, zanim odjadą: kury znoszące złote jaja dziobią, biją skrzydłami i niszczą jaja. Ale nagle wszystko zaczęło wyglądać inaczej. Nagle wszelkie nadużycia i posądzenia, cała nienawiść, cały strach, wszystkie pozycje władzy i monopolu popłynęły po niebie, niczym pozorne chmury jadu. Nagle nic już nie mogło Azjatów uratować.

Serenity dziwił się, że Brytyjczycy nie chcieli Azjatów po tym wszystkim, co tamci dla nich zrobili, po tych pieniądzach, jakie dla nich zarobili, po tych setkach lat, w ciągu

których Anglia mogła czerpać profity z Indii. Po raz pierwszy w życiu Serenity przekonał się, jak drogocenna jest własna nacja, jak ważne jest mieć ojczyznę, miejsce, do którego zawsze można wrócić. Przypomniawszy sobie, jak Kłódka została wypędzona z klasztoru, lecz to było o wiele cięższą próbą dla tych, których spotkał ten sam los. Kiedy patrzył na ich łzy, strach i ból, uświadamiał sobie, że mocno przecenił charakter i zakres azjatyckiej władzy.

Krażyło wiele pogłosek o Azjatach, którzy odbierali sobie życie, sprzedawali wszystko, co mieli, wsypywali piasek do silników samochodów lub wszystko rozdawali. Wszędzie urządzano pchle targi, a przed ambasadą brytyjską stała długa kolejka zdenerwowanych ludzi, mających nadzieję na otrzymanie dokumentów podróży. Serenity, widząc te niekończące się kolejki bezradnych i zmieszanych Azjatów w palącym słońcu, stawał się jeszcze bardziej nieufny wobec pojęcia władzy.

Pewnego wieczoru przyszedł do domu z beżowym, plastikowym, czarnobiałym telewizorem marki Toshiba, który miał ten swoisty zwyczaj, że po godzinie zaczynał śmierdzieć spaloną skórą i zepsutymi rybami. Kiedy telewizor się wyłączyło, smród ustępował, ale kiedy się go ponownie włączyło, po kwadransie było to samo. Ten zapach budził moją ciekawość, bo nie wolno mi było oglądać telewizji. Kłódka i Serenity uważali, że może ona wyrządzić niepowetowane szkody w moim i tak już skłonny do grzechu umyśle oraz że może stymulować bunt. Gówniarze mieli za zadanie donosić na mnie, gdybym oglądał telewizję pod nieobecność despotów.

Wskutek zakazu oglądania o wszystkim, co się działo, dowiadywałem się z drugiej ręki. Gówniarze streszczali mi krótko, co robili bohaterowie kreskówek, bokserzy, gwiazdy filmowe i koreańscy artyści na trapezach, a ja sam dopowiadałem sobie szczegóły. Słyszając chichotanie gówniarzy i walki na łokcie ozdoby miejsca blisko telewizora, starałem się wyobrazić sobie, co rozgrywa się na ekranie. Czasem z anonimowego tyłka umykał potajemnie śmierdzący zapaszek, co wywoływało wzajemne oskarżenia. Uśmiechałem się do siebie, słysząc wówczas ryk, groźby i przekleństwa Kłódki pod adresem winnego.

Najbardziej złościło mnie, że nie mogłem patrzeć, jak w naszym kraju pisze się historię. Nie mogłem widzieć dekretów toczących się z ust Amina, na co miałem nadzieję, gdy dowiedziałem się, że do naszej pagody wtargnęła technologia. Pragnąłem zobaczyć twarz Amina, jego postawę, jego nastrój w chwili, gdy proklamacje, mające wpływ na życie milionów, opuszczały jego ciało jak magiczne zaklęcia. Miałem wtedy wizję zdenerwowanego Mojżesza, uderzającego laską w fale, by utorować drogę dzieciom Izraela. W czym Amin różnił się od tej biblijnej postaci?

Od czasu do czasu wchodziłem do dużego pokoju, niby żeby coś zabrać, ale

ukradkiem rzucałem okiem na ekran. W całości wypełniała go twarz Amina, który nawet jeśli odczuwał strach, miał choćby najmniejsze pojęcie o wadze swych postanowień, to nie okazywał tego. Wyglądał jak władca, jak czarodziej bez zastrzeżeń ufający swej wszechmocnej magicznej różdżce.

Po telewizorze Serenity postanowił kupić sobie zamek na piasku: nabył kompletną bibliotekę zrozpaczonego Azjaty, którego nie przyjęli Brytyjczycy, Kanadyjczycy i Amerykanie, więc teraz przygotowywał się do wyjazdu do Pakistanu. Owa biblioteka miała własną brutalną historię: połowa zbiorów należała do człowieka, który kilka tygodni wcześniej zażył truczkę na szczury, a potem podciął sobie żyły i wykrwawił się wśród książek - dlatego były między nimi zabrudzone krwią egzemplarze, które trzeba było spalić. Nowy zakup Serenity przybył zółą jak wymiociny ciężarówką pocztową, z której korzystał już, przeprowadzając się do miasta. Kierowca miał bokobrody w stylu Elvisa, a kiedy narzekał, że skrzynie są ciężkie, jego głos dudnił głucho, jakby krzyczał przez gruby gliniany garnek.

Serenity poznał Olivera Twista, Madame Defarge i wiele innych postaci z dickensowskiej dżungli, ale jego serce skłaniało się w stronę amerykańskiej dżungli. Amerykańscy pisarze, zafascynowani wychodźcami, ogarnięci obsesją pieniądza, sukcesu i władzy, wciągali go do krainy marzeń, w której ujmującym łajdakom wszystko udawało się załatwić. Skryci w swoich apartamentach na szczytach drapaczy chmur zawierali intratne transakcje, siorbali szampana i uczestniczyli w orgiach z kształtnie zbudowanymi nimfomankami i wyżywali się do szaleństwa. Uprawiali hazard, rozbijali się sportowymi samochodami, latali prywatnymi samolotami i pływali po Morzu Karaibskim wycieczkowymi statkami, ociekającymi rozpustą. Serenity spijał to wszystko, pozwalał temu szumieć w swojej głowie i złościł się, że nie jest przeznaczone dla niego.

Odkrycie, że charakter nie jest niewzruszonym blokiem skalnym, w pełni uformowanym, gdy człowiek zbliża się do trzydziestki, ma żonę i dzieci, a przyjaciele, rodzina, koledzy z pracy, znajomi i obcy nie spuszczaają go z oczu, wstrząsnęło Serenity. Czuł, że znajduje się właśnie na katarakcie, i był świadom niezaspokojonych napięć seksualnych w swoim ciele. Uwolniona przez tumult niedawnych wydarzeń pokusa błąkała się po jego ciele niczym malaria mająca wybuchnąć ciężkim atakiem gorączki. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni leżał w łóżku z kobietą, która go podniecała swą siłą i elegancją; nie mógł sobie przypomnieć żadnego ciała, które było piękne i ładnie pachniało, a przy dotknięciu przyprawiało ozawrót głowy zmysłowym zaspokojeniem.

A co miał myśleć o Amancie? Czy był on reinkarnacją mężczyzny, który uwiódł i doprowadził ku śmierci jego matkę? A jeśli nie, to co uosabiał ten chłopak? Młodość,

wolność, niewinny flirt? Czy też miłość bez zobowiązań? Serenity pomyślał o swoich własnych kawalerskich dniach, kiedy biegał po licznych zagrodach w poszukiwaniu seksualnie niezaspokojonych kobiet. Mógł przyjść i odejść, kiedy chciał, nie miał jeszcze żadnych zobowiązań, mógł dawać i brać, co chciał, i ani przez moment nie musiał myśleć o przyszłości. Postanowił sobie dobrze pilnować Boya. Myślał także o ciotce żony, którą poznał na weselu: z zarozumiałą gracją znudzonej bogini wyrastała przed nim z sarkofagów niewykorzystanych możliwości.

Zbliżający się wyjazd Azjatów w wielu biurach wywołał ostre dyskusje. Jeden z dokuczliwych kolegów Serenity zwabił go do pułapki:

— Wierzysz, że wszyscy Azjaci wyjadą? - zapytał kąśliwie.

— Tak.

— Według mnie jako katolik nie będziesz miał odwagi założyć się o pieniądze, że masz rację. Niektórzy z nas sądzą, że zachowujesz się jakby nigdy nic, ale jak przyjdzie co do czego, ulotnisz się.

— Azjaci po prostu muszą odejść. Amin nie żartuje.

— Amin nie może tego zrobić, nie może narażać się na embargo. Gospodarka się załamie. Anglia zbombarduje go z powietrza. Poza tym Amin boi się Ameryki: niedaleko stąd, na Oceanie Indyjskim, stoją amerykańskie statki wojenne. Założę się, że w ciągu miesiąca cofnie swój rozkaz. Pewnie chce tych ludzi tylko przestraszyć, żeby pokazać, kto tu rządzi. Prawdopodobnie spróbuje wyciągnąć więcej pieniędzy od Anglików i Amerykanów.

Dlaczego Anglii i Stanom Zjednoczonym miałyby się nie udać powstrzymać Amina? Dlaczego Amin miałby zrezygnować? Serenity nie miał na to zadowalającej odpowiedzi, mógł jedynie kierować się przecuciem. Zimna wojna i walka z komunizmem wciąż trwały - czy mógł zaufać swemu przecuciu? Postanowił zaryzykować.

— Anglia i Ameryka na pewno nie będą się w to mieszać - powiedział odważnie.

— Będą na niego skakać, aż go podduszą i zmięknie.

— Nie sądzę.

— Amin zostanie tak szybko zaatakowany, że zawróci nawet tych paru Azjatów, którzy już wyjechali.

— Nie sądzę - powtórzył Serenity z naciskiem.

— Dostaniesz ode mnie pięćset dolarów, jeśli będziesz miał rację, a ja pięćset dolarów od ciebie, jeśli przegrasz. - Mężczyzna polizał wskazujący palec, przesunął nim po gardle ruchem odcinania głowy, po czym uniósł go do góry w geście zaklinania.

Uwaga wszystkich skupiła się na Serenity. Pięćset dolarów było dla urzędnika masą

pieniędzy: jeżeli Serenity przegra, całymi miesiącami będzie tkwić w kłopotach. Będzie musiał sprzedać swoje książki i telewizor. Dlaczego ugiął się przed tym mądrą? Z respektu? Żeby podnieść sobie poziom adrenaliny, poruszając się po krawędzi przepaści? Żeby robić to, co robili ludzie w książkach, nie ponosząc za to kary? Jego głowa kołysała się jak łeb cielęcia uwięzionego w bagnie. Uderzył kilkakrotnie w stół: raz na znak, że przyjmuje wyzwanie, dwa razy, by wyrazić swoją odrazę, trzy razy, aby przypodobać się fortunie. Wtedy ku jego zdumieniu mądra wyciągnął z kieszeni umowę wydrukowaną na żółtym papierze. To była ukartowana robota. Serenity podpisał dokument, a strona neutralna wzięła go na przechowanie.

Bojąc się, że przegra zakład, bo Amin zmieni zdanie, Serenity zaczął robić Kłódce wykłady na temat polityki międzynarodowej, globalnych stosunków, gospodarki światowej oraz mocnych i słabych stron zachodniego kapitalizmu. Były to tematy, które wywoływały u niej niemal odruchy wymiotne i tylko dlatego wysłuchiwała tego potoku słów, że postanowili, iż w obecności dzieci nigdy nie złamią świętego kodu despotycznej harmonii. Być może Serenity miał nadzieję, iż podczas jego mętnej politycznej paplaniny los przejmie się drzeniem jego głosu, strachem w klatce piersiowej i palącym uczuciem w jelitach i stanie po jego stronie.

Kłódka irytujące gadanie męża najchętniej ukróciłaby solidnym uderzeniem różgą z guavy, nie mogła jednak, więc nadal mówił, zakłócając despotyczną ciszę. Popelniał nawet niewybaczalny grzech, wpadając w słowa spikerowi i przerywając wieczorne modlitwy, czym zburzył jej duchowy spokój, podobnie jak tancerze na jej weselu swoimi diabelskimi ruchami bioder.

Bezwzględny, opętańczy słowotok Serenity na jej samopoczucie przypominał jej o innej niezwykle istotnej kwestii: o świętym obowiązku złamania mnie. Stawiała już dekorację do swego pierwszego ważnego zwycięstwa. Sporządziła listę moich wykroczeń, które za każdym razem w całości wyliczała, gdy nie podobało jej się moje zachowanie, a jej głos nabierał przy tym kłótliwego, jęklowego tonu, charakterystycznego dla nadciągającej katastrofy. Jednak wiele z moich grzechów pozostało w tym czasie nieukaranych. Wprawdzie Kłódka regularnie zdawała Serenity relację z moich przewinień, ale on na jej nieszczęście tak był pochłonięty swoim zakładem, że nie dotrzymywał umowy natychmiastowego wymierzania kar cielesnych. A im bardziej ją pod tym względem rozczarowywał, tym bardziej zdecydowanie starała się przyspieszyć dzień mojego upadku. Zaczęła co wieczór zdawać Serenity relację, zawsze o tej samej porze, tuż przed ważnymi wiadomościami o ósmej, kiedy śmierzące wybryki telewizora przerywały na chwilę jego polityczne monologi.

Pewnego popołudnia, gdy większość Azjatów wyjechała, a mądrała z biura zapłacił Serenity sto dolarów - pozostałych czterystu nigdy nie oddał - znowu zajechał żółty jak wymiociny samochód dostawczy Poczty Ugandyjskiej. Tym razem ukazała się lodówka, piekarnik, ogromna sprężyna z łóżka, pudełko czarnych kapturków do herbaty, które okazały się wspaniałymi staromodnymi perukami afro, i jeszcze kilka rzeczy, plus coś, co mnie ogromnie zafascynowało. Miało dwie nogi, jak tablica reklamowa, trójkątną powierzchnię i było tak błyszczące i gładkie, że można było się w tym przeglądać. Obserwowałem owłosione ręce szofera, by zobaczyć, czy jego dłonie nie staną się mokre, gdy dotknie błyszczącej powierzchni. Wstrzymując oddech, czekałem, aż wytrze ręce w kombinezon koloru khaki, nie zrobił tego jednak. Stałem blisko samochodu w nadziei, że będę mógł dotknąć dziwnego przedmiotu i zaspokoić ciekawość, ale Serenity burknął tylko jedną ze swych zwykłych niedokończonych gróźb: „Jeżeli dotkniesz tego swoimi łapami...”.

Widząc szacunek, z jakim traktowano nowy nabytek, pojąłem, że musi to być rzecz bardzo kosztowna, znacznie kosztowniejsza niż śmierdzący telewizor marki Toshiba czy nowe welu - rowe buty Serenity. Ledwo mogłem ukryć swoje zainteresowanie błyszczącym przedmiotem, który zainstalowano w obszernej przestrzeni sypialni despotów.

Od odjazdu ciężarówki i Serenity upłynęła godzina. Gapiłem się na chmury, niewyraźne, pieniaące się konie, które, płynąc w powietrzu, wsadzały sobie nawzajem łby do zadów. Czy będzie padać?

Kłódki nie było na jej posterunku ani w ubikacji, więc doszedłem do wniosku, że poszła do sklepu po bawełnę, sznyfon i inne materiały do szycia. Amant nie przyszedł i było już zbyt późno, by się go jeszcze spodziewać. Gówniarze byli zajęci jakimiś drobnymi pracami albo pochłonięci zabawą. To był najlepszy moment do sforsowania twierdzy despotów i postawienia stopy na gruncie, na którym prawie codziennie musiałem klękać. Mogłem wkroczyć tu jak pirat, który obejmuje w posiadanie wyspę i przywłaszcza sobie ukryte na niej skarby. Tym razem nie było nikogo, kto mógłby skarcić mnie za moje zachowanie, mój ton, moją postawę. Podporządkuję sobie wreszcie ten pokój despotycznych zarządzeń, snów, miłości, płodzenia, nocnych dyskusji i skrywanych konfliktów. Był to mój zamach stanu, moja odpowiedź dla oprawców. Zamierzałem pootwierać ich szuflady, przeszukać ich pudła, ubrania i biżuterię i zobaczyć, czy nie mają małych, świńskich książeczek z nieprzyzwoitymi tajemnicami. Katalizatorem tego puczu był tajemniczy, lśniący przedmiot. To pozwoliło mi pokonać strach, dało odwagę do popełnienia tego czynu. Przez chwilę znowu czułem się prawie tak potężny jak wtedy, gdy byłem jeszcze maskotką położnic.

Przebiegłem obok toshiby, kokietującej mnie swoją spłowiałą obudową. Pod podeszwami moich stóp uginały się sztywne od brudu włosy dywanu, których szczotkowanie wymagało niemal tyle wysiłku, co przemieszczanie bloków skalnych. „Będziesz szczotkował tak długo, aż powiem, że możesz przestać”, słyszałem warczenie mojej prześladowczyni.

Kłódka nigdy nie wybaczyła Babci, że umarła, zanim Serenity kupił odkurzacz, ponieważ przeznaczone na niego oszczędności poszły na pokrycie kosztów pogrzebu. Potem Serenity stale odmawiał kupna odkurzacza.

Pchnąłem drzwi, o które opierałem się z drzeniem, podsłuchując Kłódkę, kiedy układała plan złamania mnie. Jej sypialnia w połowie tonęła w mroku, jakby ściany pękały od straszliwych tajemnic. Ze starego łóżka zdjęto pościel, a samo łóżko zupełnie rozebrano na części, sprężyny jak puste kręgle wskazywały na sufit. Kiedy usiadłem na nich, dał się słyszeć metaliczny chrzęst. To łóżko przypominało stare łóżko Serenity - - zdobywcy. Sprężyny i obudowa wrzynały mi się w tyłek, więc wstałem i zacząłem oglądać nowe łóżko. Gruby, włochaty koc z czerwonymi i brązowymi plamami przypominał skórę węża. Dotknąłem go, a wtedy dał się słyszeć trzask statycznej elektryczności. Wypukła, podobna w dotyku do jedwabiu poduszka przypominała mi skórę maciory w okresie parzenia się, na moment przedtem, zanim trysnęło na nią niewłaściwie skierowane nasienie. Na tej poduszce leżały wypełnione lubieżnymi fantazjami głowy despotów, kiedy robili to ze sobą - a wcześniej Azjatów, którzy sprzedali ją despotom. W powietrzu wisiał stęchły, drewnopodobny zapach, który w połączeniu z tymi wyuzdanymi fantazjami jeszcze bardziej zwiększał moje podniecenie.

Kłódka miała godną uwagi lampkę do czytania: abażur był żółtym stożkiem w czarne groszki, a stojak białą kobietą o bezczelnym uśmiechu na pełnych ustach; jej plisowana sukienka unosiła się w górę, jakby dmuchał w nią wentylator. Weteranka ekranu, której pozbyli się Azjaci i którą przejęli despoci. Dotknąłem figurki kobiety i pogłaskałem jej zadek, zdziwiony niedorzeczną obscenicznością jej obecności w tym pokoju. Zanim przystąpiłem do kontynuowania swojej odkrywczej wyprawy, jeszcze raz szybko uszczypnąłem ją w tyłek.

Przysunąłem nos jak najbliżej błyszczącego przedmiotu, ustawionego za głową nowego łóżka, i stwierdziłem, że pachnie pastą do butów - był to ostry, oleisty zapach. Nie mogłem oprzeć się pokusie i dotknąłem lśniącej tafli. Była sucha i gładka - tak wyobrażałem sobie plecy Lusanani. Zamknąłem oczy i badałem chłodną, gładką powierzchnię, moje palce coraz bardziej zagłębiały się w wymaginowanych otworach, moje oczy widziały w myślach lśniące, rozchylone usta. Położyłem się na plecach na grubej poduszce, wyciągniętą ręką sięgając końca przedmiotu, tuż przy ścianie. Wydawało mi się, że pływam w ciemnym

bagnie, ciepłym i zawiesistym jak świńska sperma. Miałem uczucie, jakby KobietaLampa, Nantongo i Lusanani leżały na moim brzuchu i wyciskały z moich lędźwi gęsty płyn. Kiedy przekręciłem się na brzuch, zobaczyłem pudło z perukami. Jedna z nich leżała na wierzchu jak kwoka na jajach i przywodziła mi na myśl włosy łonowe ciotki Tiidy. Z bliska jednak bardziej przypominała monstualną stonogę, zszytą z niezliczonych czarnych gąsienic. Odwróciłem się z powrotem w stronę błyszczącej deski i rozkoszowałem podnieceniem w okolicach mego łona. Co było pod tą błyszczącą wspaniałością, pod tą gładką, suchą powierzchnią?

Zacząłem paznokciem drapać brzeg deski. Pracowałem powoli, rytmicznie, jednak gładka powierzchnia nie dawała się usunąć. Potrzebowałem narzędzi. Mogłem wziąć gwóźdź albo nóż, ale nie chciałem zrobić rys. Musiałem korzystać jedynie ze swoich paznokci, lecz w inny sposób. Wcisnąłem je w warstwę kleju pomiędzy fornirem a listwą i kawałek forniru wielkości paznokcia kciuka ułamał się nagle. Pod fornirem było tylko drewno. Matowobrazowe, z długimi włóknami. Pot spłynął mi po plecach - co z odłamanym kawałkiem? Odczuwałem również wielkie rozczarowanie, które przytłumiło na chwilę moją panikę.

Polizałem fornir od strony pokrytej klejem i próbowałem umieścić go z powrotem na miejscu. Czy nie mieliśmy w domu jakiegoś porządnego kleju? Była tubka butaprenu, której używaliśmy do łatania dętek rowerowych. Poczulem ulgę: mógłbym tym klejem naprawić uszkodzenie i anulować swoje odkrycie, że pod błyszczącą powierzchnią jest tylko banalna matowość. Trząśłem się cały, tak jak wtedy, kiedy myślałem, że dziecko Kłódki wpadnie do dziury wychodka. Ale znowu okazałem się od niej sprytniejszy.

Uniosło mnie mgliste, szemrzące doznanie. Leciałem przez ciepłe warstwy powietrza, grube jak poranna mgła, naprzeciw niebezpieczeństwu. W tym momencie wzburzona dłoń uderzyła wzburzonym powietrzem w moją twarz, a dwa paznokcie zatopiły się w mojej dolnej wardze, poza zasięgiem zębów. Było to coś nowego, bo Kłódka zawsze ciągnęła mnie za uszy. Może była tak wściekła, że nie potrafiła już zastosować swoich normalnych metod katowania?

— Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co zrobiłeś? - krzyknęła płaczliwym głosem.

Ta kobieta wiedziała dokładnie, jak doprowadzić mnie do wściekłości: właśnie tym biednym, dziewczęcym lamentem w stylu *countryandwestern*, którego nauczyła się od pewnej białej zakonnicy podczas pobytu w klasztorze - od niej też nauczyła się tremolanda, które co wieczór pobożnie rozsypywała podczas ostatniego psalmu. Jeżeli już ktoś miał mnie maltretować, wołałem silny, męski albo nawet i kobiecy chwyt, zamiast tych dziecinnych

metod, które sprawiały, że czułem się tak, jakby napluł na mnie pięcioletni smarkacz.

— Mmmmooya wargę - jęknąłem, próbując stłumić strach.

— Myślisz, że dalej jesteś na wsi, gdzie wszystko robi się bez zastanowienia?

— Nnnnnie - odpowiedziałem, bo nie przyszło mi do głowy nic lepszego, zły, że okazałem ból. Na wsi w ogóle niczego nie robiono bez zastanowienia, wręcz przeciwnie, dopasowywano się do norm. To właśnie ludzie w mieście mnóstwo rzeczy robili bezmyślnie, ale byli zbyt zarozumiali, by to przyznać i pewnie za bardzo się wstydziło, aby spojrzeć prawdzie w oczy. Na wsi Dziadek i Babcia po prostu by mi powiedzieli, że ta błyszcząca rzecz w głowach łóżka to półka z fornirowanego drewna, koniec kropka. Tu, w miejskiej dżungli pretensji i despotyzmu, dorośli zachowywali się śmiesznie, niczego nie wyjaśniali, a jednocześnie sądzili, że doskonale wszystko rozwiązują. Tymczasem Kłódka ponownie wykręciła mi wargę i wymierzyła cios.

— Wiesz, ile to łóżko kosztowało?

Milczałem. Moja wargę tkwiła w jej palcach jak w imadle. Po brodzie ciekła mi pomieszana z łzami i zabarwiona krwią ślina.

— Zakonotuj to sobie: nie jestem twoją babką i nie będę cię rozpieszcać tak jak ona. Nauczę cię trochę obyczajności. Będę ci to wbijać do głowy do upadłego.

— Tak, tak, babciu... mam.

— Mam dosyć twojego chamskiego zachowania. Mam dosyć twoich łajdackich manier. Mam dosyć tego, że zawsze muszę się za ciebie wstydzić, słyszysz? - Po każdym zdaniu coraz bardziej wykręcała moją wargę, a jej oczy plęły czarnym, żółtym i czerwonym ogniem. - I przestań w końcu jeść jak wół. Masz przestać jeść tak, jakbyś jutro nie miał niczego dostać, słyszysz? Przestań, przestań, przestań!

Trudno to było znieść: poniżenie przez porównanie do żarłocznego wołu było skrajną obrazą. Patrzyłem, jak zwykli jadać ludzie w mieście, którzy brak żywności często zasłaniali zgryźliwą obyczajnością. Na wsi jadło się dopóty, dopóki nie miało się dość, a czasem trzeba było nawet zjeść więcej, nie mówiąc już o łydych trzciny cukrowej, owocach chlebowca i papajach, które jadło się między posiłkami. Tu jednak oczekiwano od ciebie, że będziesz pracował jak koń i cierpiał głód albo jadł jak najmniej i jeszcze się tym szczycił! A jeśli miało się ochotę na łydę trzciny cukrowej albo papaję, trzeba je było sobie kupić. Z braku pieniędzy wielu ludzi nie było na to stać, ale zachowywali się tak, jakby niejedzenie owoców należało do dobrego tonu. Jeśli miastowi chcieli się upajać swym masochizmem, to już ich sprawa, ale jeśli oczekiwali, że dla mnie te skąpe posiłki będą jak sakrament i że będę ich pragnąć jak Świętej Hostii, to do diabła z nimi, bo byłem przyzwyczajony do czegoś

lepszego. Jeżeli despoci mieli trudności z wyżywieniem swojego potomstwa, to już ich problem. Może lepiej było nie przeprowadzać się do miasta. Albo zrobić coś w celu regulacji urodzin. Ale oczekiwanie, że grzecznie zgodzę się na głodowe racje, było obrażą mojej inteligencji - przede wszystkim dlatego, że ciężko pracowałem, żeby oni nie musieli paprać się gównem. Nigdy nie mogłem wybaczyć Kłódce jej ostrego jak brzytwa języka, jadowitej przesady i despotycznej krótkowzroczności, z jaką oceniała wszystko wyłącznie z własnego punktu widzenia.

Podczas gdy coraz więcej nitek zakrwawionej śliny kapało jej przez ręce na przód mojej koszuli, słowa Amina kapały przez filtry umysłu i wsączały się w moją świadomość. Amin zachęcał wszystkich obywateli, by nosili głowę wysoko, by byli dumni i nie dopuszczali, by deptano ich prawa, honor czy poczucie własnej wartości. Prosił każdego, by był silny i wyróżniał się na własnym terenie. Mówił, że walkę bokerską zawsze powinno kończyć się nokautem, żeby wykluczyć stronniczość sędziego bądź wątpliwości co do zwycięzcy. Wzywał wszystkich, żeby wszelkimi sposobami usuwali z drogi wszelkie przeszkody i żeby tryumfowali i zawsze byli górą. Przypominał nam, że oś władzy stale się przesuwają i że ostatecznie nic nie pozostaje takim, jakim było, szczególnie dla tych, którzy ciężko pracują, by urzeczywistnić swoje ambicje. Mówił, że głównym powodem tego, że niektórzy ludzie nie stali się tym, czym chcieli, była ich zbyt duża bojaźliwość, zbyt szybko zaczynali naśladować innych, okazywali za mało inicjatywy i zbyt rzadko podejmowali ryzyko. Mówił, że jego rząd nie jest rządem słów, lecz czynów, rządem rewolucyjnym, który wywoła wilka z lasu i pociągnie wszystkich za sobą. Prosił każdego o pomoc. Prosił uczniów odokuczanie złym nauczycielom, aż odejdą, a robotników usuwanie tyrańskich pracodawców, prosił żony o rozwodzenie się ze złymi mężami, dzieci o zatruwanie życia złym rodzicom, prosił ofiary o buntowanie się i przejmowanie władzy, a biednych o korzystanie z okazji do zarobienia pieniędzy i cieszenie się z owoców, które wydaje ta ziemia. Powtarzał, że Uganda jest krajem wolnym, dla wolnych ludzi, w którym każdy może robić to, na co ma ochotę.

Ale ja byłem skuty i co miałem robić? Krwawiłem, płakałem, błagałem o litość i nic nie robiłem, by rozprawić się z niesprawiedliwością.

Gdybym chciał, mógłbym uderzyć Kłódkę głową w brodę złamać jej szczękę. Gdybym się odważył, mógłbym wybić jej oko, złamać nos albo kopniakiem zmiażdżyć jej rzepekę w kolanie. Gdybym miał odwagę, mógłbym zrobić mnóstwo rzeczy, które położyłyby kres mojej drodze krzyżowej. Ale podobnie jak słabeusze, o których mówił Amin, nie podejmowałem żadnej akcji. Bałem się Serenity, który prawdopodobnie zamordowałby mnie, gdybym zranił jego żonę. Jak miałem nawoływanie Amina do męstwa, wolności i siły

połączyć z niebezpieczeństwem możliwych represji? Święty Aminie, pomóż mi. Święty Aminie, módl się za mną. Święty Aminie, nie miej mi za złe mojej tchórzliwości. Święty Aminie, uwolnij mnie od mych obaw.

Kiedy myślałem o Aminie, mój ból malał. Zacząłem czuć się dumny, że go nie wyrzesczałem i że nie zsikałem się w spodnie. Na swój sposób utrzymałem się na nogach.

Amin powiedział: „Jeśli przegrasz niesprawiedliwie, powinieneś pójść do domu, pozbierać się, trenować więcej niż kiedykolwiek i wrócić na ring, żeby wymierzyć najsilniejszy nokaut, jaki kiedykolwiek został wymierzony”. Mówił, że niektórzy muszą próbować trzy lub cztery razy, zanim im się uda, ale nigdy nie należy rezygnować. Byłem bardzo spokojny, widocznie nieczuły na karę. Postanowiłem poczekać na swoją szansę.

Tymczasem Klódkę tak rozzłościł mój brak zainteresowania jej słowami i torturami, że w końcu mnie puściła. Byłem zakrwawiony jak jej spódnica nie tak dawno temu, ale pełen niezłomności i dumy. Moja warga spuchła i straciłem w niej czucie, wisiała jak sutek maciory, ale niosłem ją jak flagę. Amin mógł się mną szczycić. Byłem jednak dość bystry, by wiedzieć, że prawdziwa kara dopiero mnie spotka. Starłem krew z podłogi i opuściłem raj KobietyLampy z jej podwianą spódnicą, ale strach tykał w mojej głowie jak mały mechanizm zapłonowy.

Serenity, jak zwykle z teczką w ręce, wrócił z pracy do domu. Jego wykrochmalone spodnie szeleściły, miał nieobecny wyraz twarzy. Przebrał się i poszedł na stację benzynową, a w moich piersiach wciąż jeszcze huczał gong strachu. Serenity wrócił z zadowoleniem w oczach, zainstalował się przed telewizorem i rozpoczął jeden ze swoich politycznych monologów. Klódkę zawzięcie szydełkowała, produkując ażurowe paski, z których robiła obrusy.

Czy słyszał już ostatnią wiadomość? Czy też bawił się ze mną, przadł swoją pajęczynę i czekał na właściwy moment, aby mnie dorwać? Z jego twarzy nie można było niczego wywnioskować. Szeleszczącym chodem szarańczy błąkałem się po dużym pokoju tam i sam, a w uszach szumiało mi od zniekształconego głosu Amina, rozbrzmiewającego z głośnika telewizora. Dom pachniał wiszącą w powietrzu katastrofą. Nie dysponowałem telepatycznymi zdolnościami, nie potrafiłem przeniknąć nie - przejrzystości despotycznego sprzysiężenia, schroniłem się więc w kuchni i próbowałem uspokoić pyrkającymi dźwiękami jedzenia bulgoczącego na ogniu. Nadaremnie jednak. Teraz nawet Amin nie mógł mi pomóc. Życzyłem sobie, by głęboko pod pagodą nastąpiło trzęsienie ziemi, które by nas wszystkich pochłonęło. Prędko jednak doszedłem do wniosku, że trzęsienia ziemi, podobnie jak wszystkie inne katastrofy, dotykały jedynie miejsc, w których ich nie oczekiwano, i nigdy nie

dawały się przywołać na życzenie ani rozkaz.

Dwuosobowy trybunał ferował swoje wyroki zawsze po wieczornej modlitwie, kiedy pod sufitem wisiało jeszcze echo zakonnych tremoli Kłódki, a my mieliśmy właśnie zabrać się do jedzenia. Oznaczało to, że większość skazanych zostanie podwójnie ukarana: mieli na plecach pręgi od różgi z guavy i pójdą do łóżka z brzuchem burczącym z głodu. Czasem tę ostatnią karę darowywano i wolno było zjeść kolację, ale gdy dopiero co, wrzeszcząc jak popędliwa suka, obejrzało się wszystkie kąty pokoju, jedzenie najczęściej już tak nie smakowało.

Kiedy trybunał bez pośpiechu wypytywał mnie, czy zdaję sobie sprawę, ile kosztuje zniszczony przeze mnie mebel, a potem zaczynał podnosić emocjonalną wartość nowego nabytku do ogromnych rozmiarów i naradzać się nad wyrokiem, opanowało mnie uczucie, że stałem się wybraną ofiarą wszystkich złorzeczeń, którymi Azjaci obciążyli wszystkie rzeczy, których z konieczności musieli się pozbyć. Może to łóżko z magiczną półką u wezglowia należało do rodziny, która z czystej rozpaczki utopiła się w Jeziorze Wiktorii albo zażyła truciznę, albo rzuciła się pod ciężarówkę? Możliwe też, że czerwone plamy, jakie zauważyłem na jednej z jego nóg, były bryzgami krwi plującej przekleństwami Azjatki, zgwałconej przez sfrustrowanych żołnierzy. Wiedziałem na pewno, że Serenity, ze swą wyuczoną arogancją, nie złożył w ofierze żadnego dużego koguta ani kozy, aby zmyć krew i złorzeczenia poprzednich właścicieli. Bez wątpienia odrzucił tego rodzaju środki ostrożności w celu udobruchania ducha poprzednich właścicieli jako przesądne hokuspokus. Może to ja byłem teraz przypadkową bestią mającą służyć za ofiarę i może wyjaśniałoby to w jakiś sposób moją chorobliwą fascynację tą banalną, fornirowaną półką u wezglowia łóżka.

Uświadamiałem sobie jednak, że despota nie potrzebował żadnych złorzeczeń wywłaszczonych Azjatów, by oddać się nadzwyczajnej przemocy. Robił to, co robił, ponieważ uważał, że nadszedł na to czas, i dawał się wywabić z leniwie gotującego się gniewu.

Uderzył z pazurzastą zaciekłością lamparta po długim pościgu za antylopą. Nie byłem jedynym, który czuł, że to nastąpi. Gówniarze przypatrywali się temu chciwie, zastanawiając się, czy konfrontacja spełni ich oczekiwania. Serenity potraktował mnie jednym ze swoich welurowych butów. Przez chwilę byłem zbyt oszołomiony, by móc bronić się przed tymi palącymi razami. Uderzenia padały z dołu i z góry, z lewej i z prawej, a Serenity z zaciśniętymi ustami syczał: „Sam tego chciałeś”.

Przez chwilę pomyślałem, że umieram. Nie bałem się śmierci, bo przecież po drugiej stronie czekała na mnie Babcia. Właściwie bardziej się bałem, że nie umrę i zostanę kaleką z

nieuleczalnie złamaną ręką albo że coś mi puści w głowie jak staremu Santo, albo że będę miał uszkodzony kręgosłup, jak katecheta, który spadł z ambony. W naszej wsi był człowiek, który nie mógł siedzieć ani chodzić. Byk wziął go na rogi i wtedy coś poszło nie tak. Mną również rzucano teraz w powietrze, nie interesowało mnie jednak spędzenie reszty życia w roli inwalidy załatwiającego się do podsuwanej mu kaczki. Równie dobrze mogłem umrzeć.

Mimowolnie zacząłem się bronić. Walnąłem głową w piszczele i kolana Serenity i spróbowałem dosięgnąć jego krocza. Ale on zaczął bić coraz mocniej, a publiczność przestała chichotać. Serenity najwyraźniej stracił panowanie nad sobą i zaczął mnie tak strasznie okładać, że jego stróż dyscypliny nie musiał już wątpić w jego despotyczne cechy. To było demonstracyjne łojenie. A ja chciałem, żeby bił mnie dalej. Z każdym uderzeniem czynił mnie czystszym, jakby strącał ze mnie plewy. To był kamień milowy, historyczny moment w moim życiu, i chciałem, żeby blizny po tym biciu długo jeszcze podsycaly ogień w piecu mojej zemsty. Spadałem i spadałem, i spadałem, jak woda sącząca się przez szmatkę do szklanki, a szmer pozostawał na szmatce. Kolejny cios przeniósł mnie na stoki Mpande Hill, gdzie kiedyś o mały włos nie straciłem stopy między szprychami oszalałego roweru. Ale tym razem nie siedziałem z tyłu, lecz sam musiałem utrzymać kurs, z dala od przepaści. I nagle znów byłem na dole, w mokradle, w którym roiło się od moich rówieśników: unosiłem się w nim i opadałem, unosiłem się i opadałem, i łapiąc oddech, łykałem zieloną wodę. Koledzy wołali mnie. Wszedłem na wał. Minęło.

Posiniaczony obudziłem się w swoim łóżku, a kiedy, zgrzytając zębami, poruszyłem członkami, przeszył mnie ból. Ale moralne wsparcie generała Amina było maścią łagodzącą moją klęskę i zapobiegającą tworzeniu się gangrenowych wrzodów rozpaczki. Przegrałem, teraz jednak musiałem się pozbierać, ostro trenować i na nowo podjąć walkę z despotami w czasie, który ja wyznaczę, w miejscu, które ja wybiorę. Wojna została oficjalnie wypowiedziana, a możliwości mającej nastąpić walki bardzo mnie podniecały. Kłódka nigdy nie trzymała swojej broni w ukryciu. Serenity również pokazał swoją. Teraz nadeszła kolej, bym i ja pokazał swoją.

Przez całe trzy dni byłem zbyt chory, żeby pójść do szkoły, choć bardzo brzydziłem się własną słabością. Moje kości były w porządku, tylko całe ciało mnie bolało. Więc dlaczego nie byłem w szkole? Dlaczego siedziałem w domu, słuchając irytującego, piskliwego narzekania Kłódki? Dlaczego pozwalałem, by złościły mnie tryumfujące tony w jej głosie? To była jej gloria, potwierdzenie jej władzy, a ja ją uprawomocniałem. Kręciła się po domu, nucąc i wypełniając go swoim dobrym humorem, wyszczekiwała rozkazy albo siedziała przy maszynie do szycia.

Serenity bał się mnie, ale był zbyt zahamowany, zbyt zardzewiał w swym despotyzmie, żeby przyjść do mnie i poprosić o rozgrzeszenie. Byłem gotów udzielić mu go nawet za cenę marnego gestu, bo wiedziałem, jak trudno despotcie przepraszać. Ale nie miałem zamiaru mu w tym pomagać. Musiałby sam przyjść i jak mężczyzna poprosić o przebaczenie mężczyznę, który swój bunt przeciw niesprawiedliwości opłacił krwią, łzami siniakami. Jako zwolennik boksu powinien wiedzieć, że zawodnicy po zakończonej walce zawsze się obejmują, bez względu na to, jak ostra czy krwawa by ta walka była - nie dlatego, żeby się lubili, lecz by wyrazić uznanie dla przeciwnika. Byłem gotów uznać go za zwycięzcę i wybaczyć mu, że stracił panowanie nad sobą, nie trzymał się reguł i dał się tak ponieść emocjom. Ale on nie pojawił się przy moim łóżku. Zaczął późno wracać z pracy do domu. Nie patrzył mi w oczy. Jadał swoje posiłki poza moim polem widzenia oraz poza polem widzenia swojego stróża dyscypliny i gówniarzy, skryty za książką Becketta w wyblakłej czerwonej oprawie. Schował się i czekał na Godota. Zapomniał, że rolę Godota to właśnie ja sobie przypisałem.

Preferował takich pisarzy jak Beckett i Dickens, pisarzy, którzy mieli problemy ze swoimi matkami, choć niejasne dla mnie było, czego w swej dzisiejszej drażliwej pozycji od nich oczekiwał. Spoza swego papierowego fortu, skurczony od despotycznej sztywności, wyglądał na równie poranego jak sam Beckett w późnym wieku. Zdawał się bronić przed przekleństwem języka Klódkki, tego samego, który podczas ich nocnych konfrontacji wprowadził do jego domu ideę mordu. Zdawał się chwiać pod ciężarem świadomości, że nie popełnił jeszcze morderstwa. Zdawał się pytać, jak i kiedy oprzytomniał, bo podczas jego nieokielznania nikt, łącznie z Klódkką, nie wydał z siebie ani jednego krzyku protestu.

W czasie mego aresztu domowego rozważałem możliwość powrotu na wieś, żeby pomagać Dziadkowi, który zmagał się z wiekiem i przepukliną, ale wiedziałem, że nie pochwaliliby tego i odesłaliby mnie z powrotem. Czy nauczyłem się czegoś z jego doświadczenia i kazań? Czy na darmo został obity i wrzucony do krowiego łajna? Dziadek chciał adwokata w rodzinie, a jako że Serenity go rozczarował, stało się to moim zadaniem. Czy nie nauczyłem się więc, że nigdy nie należy się poddawać i trzeba lizać swe rany, by następnie z gracją się odrodzić? Wstydzilem się za siebie. Uświadomiłem sobie również, że nie istnieje już wieś, na którą można by wrócić. Ale nosiłem tę wieś w sobie i będę ją nosił do końca mojego życia z tego prostego powodu, że lata z Babcią na dobre odeszły w przeszłość.

Mając jeszcze świeżo w pamięci lanie, które dostałem, gówniarze wykonywali wszystkie polecenia z precyzją i posłuszeństwem tych, którzy przeżyli, a którzy nad wyraz dobrze uświadamiają sobie, co ich mogło spotkać. Starali się nie prowokować losu ani nie

budzić śpiących bogów. Parę razy przyłapałem ich, jak o mnie rozmawiali, ale puściłem to mimo uszu. Trzymali się ode mnie z daleka, jakbym był zarażony jakąś groźną chorobą przypominającą trąd, która kojarzyła się im z despotami. Nie mogłem brać im za złe tego, że tak trudno im było znaleźć drogę przez zdradliwe mokradła despotycznej nieobliczalności.

Kłódka natomiast zachowywała się tak, jakby nic się nie stało. Uważała, że dostałem to, na co zasługiwałem. Kiedyś skazałbym ją na śmierć, a ona również chętnie pokazałaby mi fragment ziejącej przepaści, w której, jak sądzono, mieszka śmierć. Interesowało ją tylko to, czy się opamiętałem. Kiedy próbowałem zagrać na jej poczuciu winy, zachowując się tak, jakbym był zbyt chory, by dopilnować moich gównianych obowiązków, powiedziała:

— Daruj sobie te zabawy, chłopcze. Powinieneś pamiętać, że nie jesteś u swojej babki.

Od tej pory wykonywałem wszystkie swoje zadania z chłodną celowością czujnego żołnierza.

Lusanani unikałem jak ognia. Liścik, który w drodze do studni wsunęła mi do kieszeni, ociekał współczuciem, którego teraz wcale nie potrzebowałem. Złościło mnie to równie mocno jak jej sutki prześwitujące przez mokrą bluzkę. Powinna mi raczej pogratulować, że przetrwałem próbę i wyszedłem z niej żywy.

Zakradłem się do biblioteki Serenity i rozważałem zwinięcie mu Becketta. Ostatecznie zabrałem „Wyspę skarbów”, najpopularniejszą książkę w domu. Trzymałem ją schowaną przez wiele dni, w nadziei, że zostanie zapomniana. Zamierzałem dać ją dziewczynie, która wzbudzała moje zainteresowanie. Była młodsza ode mnie i chodziła do niższej klasy, nie wiedziałem jednak, czy lubi piratów, statki i przygody. Serenity zachowywał się tak, jakby nie zauważył, że książka zniknęła, ale Kłódka rozpoczęła wściekłe polowanie. Uspokoila się dopiero wtedy, gdy uświadomiła sobie, że żaden idiota się nie zgłosi i nie przyzna do „kradzieży”. Od czasu do czasu mówiła:

— Wiem, kto jest złodziejem. Wkrótce Bóg wystawi go na pośmiewisko. To, co robi się w najmroczniejszej ciemności, będzie wykrzyczane z dachu.

Z doświadczenia wiedziałem, że Kłódka nie z pobożności odwoływała się do boskiej interwencji i Pisma Świętego, lecz dlatego, że czuła groźną jej porażkę. Trzymałem książkę spokojnie u siebie i czekałem na okazję, by dać ją w prezencie. W międzyczasie zainteresował się nią pewien kolega, ale kiedy mu ją pożyczyłem, zabrała mu ją jakaś koleżanka, zapalona czytelniczka, a mój kolega, który od dawna już czekał na okazję, żeby tę dziewczynę przelecieć, nie upomniał się o książkę.

W szkole zarabiałem kieszonkowe pisaniem listów miłosnych dla starszych

chłopaków do upatrzonych przez nich dziewczyn. Było to moim ulubionym zajęciem, bo dawało mi okazję obserwowania, jak mogą burzyć się hormony i jak daleko posuwają się chłopcy, by je uciszyć. Oprócz tego zacząłem eksperymentować w dziedzinie szantażu, oszustwa i korupcji, czego apogeum był list miłosny do Klódki.

Zwykły bieg rzeczy był taki, że przychodził do mnie jeden ze starszych chłopaków, najczęściej z polecenia osób trzecich, i zaczynał rozmowę, często krążąc dookoła, zwłaszcza gdy onieśmiały go moje możliwości intelektualne. Wysłuchiwałem go, a on pytał, czy znam wiadomą dziewczynę. Potem obaj szliśmy za nią, on ją chwalał, nawet wtedy, gdy na to nie zasługiwała, a ja zapamiętywałem, co mu się w niej tak podoba. Następnie pisałem na swoim biurku list, w którym podkreślałem walory dziewczyny. Jeżeli nie była zbyt ładna, improwizowałem i wymyślałem cechy, od których zakręci się jej w głowie, ale pilnowałem się, żeby zbytnio nie przesadzać. To często działało. Jeśli list miał być adresowany do dziewczyny inteligentnej, radziłem się tomów poezji Serenity, wypisywałem kilka odpowiednich linijek i głaskałem jej serce słowami nieżyjącego poety. Jednak moją największą inspiracją był Stary Testament, którego większość uczniów nie czytała, więc moje cytaty wywierały tym większe wrażenie.

Niektórzy chłopcy tak głupieli, że kupowali drukowane chusteczki do nosa, bieliznę, *petticoats*, puder, perfumy i słodycze dla dziewczyn, dla których nic nie znaczyli. Czasem nie ukrywały one nawet swego lekceważenia, choć równocześnie nie mogły się oprzeć urokowi prezentów. Kiedy to obserwowałem, doszedłem do wniosku, że miłość to choroba, którą należy zignorować lub cierpliwie znosić albo z której należy się wyleczyć.

Kiedy już przekazaliśmy listy, a dziewczyny przez jakiś czas nie odpowiadały, chłopcy często pytali mnie, dlaczego to tak długo trwa, jakbym ja miał to wiedzieć i odmawiał współpracy.

— Idź z nią porozmawiać, błagaj ją, żeby odpowiedziała - prosili. - Powiedz jej, że nie mogę spać ani niczego robić, nie myśląc o niej. Powiedz jej, że może ode mnie dostać wszystko, co tylko zechce...

Ponieważ chciałem zadowolić klientów, oszukiwałem trochę z tymi błaganiami i odpowiedziami. Kiedy dziewczyna mówiła, że chłopakowi jedzie z gęby albo że brzydko pachnie, albo że raczej powinien się utopić, by żeńskiej płci oszczędzić kary przebywania w swoim towarzystwie, mówiłem chłopakowi, że rodzice dziewczyny grozili jej laniem, jeżeli przed ukończeniem szkoły zacznie chodzić z chłopakiem, i że kazali ją szpiegować, by mieć pewność, że trzyma się od chłopców z daleka. Inną dobrą wymówką było to, iż rodzice dziewczyny poprzysięgli, że jeśli zajdzie w ciążę, każą jej łykać smaltę, żeby poroniła, a

chłopaka potraktują różgą. Na koniec mówiłem, że dziewczyna jest zakochana, lecz na razie nie widzi możliwości spotkania. Większość klientów dawała się naciągać na te kłamstwa, przynajmniej przez jakiś czas.

Gdy dwóch chłopaków walczyło o jedną dziewczynę, inkasowałem pieniądze od obydwu i sam decydowałem, którego jej polecić. Kiedy chodziło o dziewczynę, której nie lubiłem, umawiałem z nią jednego z nich, po czym powiadamiałem o ich rendezvous drugiego kandydata.

Dla tych, co mi dokuczali, miałem własną karę: przywłaszczałem sobie pieniądze lub prezenty przeznaczone dla ich dziewczyn i dawałem je Lusanani, po czym wywodziłem ich w pole, mówiąc, że dziewczyna nie jest jeszcze do końca przekonana i trzeba poczekać na odpowiedź. Jeżeli dręczyciel mi groził, mówiłem Lusanani, by napisała do niego list, w którym dziewczyna go obraża i prosi, aby zostawił ją w spokoju.

Wszystkie te techniki manipulacji miały mi się jeszcze przydać w przyszłości, gdy wkroczę do świata interesów. Teraz jednak czyniły ze szkoły najbardziej fascynujące miejsce na ziemi, może poza postojem taksówek w niecce. Oprócz listów miłosnych, oszustw, obietnic, sukcesów i szantażu był sport: piłka nożna dla chłopaków, koszykówka dla dziewczyn i gimnastyka dla obu płci. Kiedy rozpoczynał się sezon piłkarski, zawierano zakłady i pomiędzy pokonanymi, odmawiającymi zapłaty, a wściekłymi zwycięzcami wybuchały bójki. Często proszono starszych chłopaków o interwencję i zmuszenie pokonanych do zapłaty. Jeśli wrogość posunęła się nieznośnie daleko, proponowano rozwiązanie sporu bijatyką albo partyjką zapasów na piaszczystej nawierzchni, na której skoczkowie w dal wykonywali swe zwinne skoki. Uzgadniano godzinę spotkania i po lekcjach entuzjastyczni widzowie przemykali za budynkami szkolnymi, by wziąć udział w spektaklu.

Pewnego dnia, kiedy w imieniu jednego z moich hormonalnie niestabilnych starszych kolegów ciężko pracowałem nad listem do pewnej hospitantki, wpadł mi do głowy świetny pomysł. Mógłbym dopaść despotów, pisząc do Kłódki list miłosny, pochodzący rzekomo od Amanta. Ten plan był tak zuchwały, że całymi dniami byłem z tego powodu bardzo niespokojny. Kiedy w nocy nie mogłem zasnąć, stawałem przy drzwiach przejściowych i nadśluchiwałem, czy wciąż jeszcze sprzeczą się o Amanta. Nie chciałem wpaść w sidła własnych kłamstw. Zamierzałem uderzyć we właściwym momencie w nadziei, że harmonia między despotami zostanie poważnie zakłócona. Nie bardzo wiedziałem, jak się sprawy miały naprawdę, bo wyglądało to tak, jakby despotci czuli, że ich podsłuchiwałem, i załatwili swoje konflikty dużo wcześniej lub dużo później. Jedyнным stałym czynnikiem dramatu było to, że

Amant nadal przychodził, choć rzadziej niż kiedyś. Przypuszczam, że Kłódka powiedziała mu, że ma się grzecznie zachowywać, aby zapewnić Serenity fałszywe poczucie bezpieczeństwa - a potem, jak wcześniej, mogli nadal robić swoje. Prawdopodobnie Serenity nie cieszył się za bardzo z nieustępliwości swej żony, ale ponieważ coś w tej sytuacji zmieniła, zmniejszył nieco nacisk i ignorował nieregularne wizyty Amanta w oczekiwaniu okazji do ponownego zdecydowanego wystąpienia.

Radziłem się „Księgi listów” i „Jak listy nie powinny być pisane”. Najwięcej pożytku miałem z tej drugiej pozycji, ponieważ zawierała przykłady tego rodzaju błędów gramatycznych i niewłaściwego doboru słownictwa, jakie popełniłby ktoś pokroju Amanta, z jego przedwcześnie zakończoną edukacją. Dwa miesiące zajęło mi napisanie i przepisanie listu, przy czym starałem się, by nie był zbyt podobny do mojej pierwszej literackiej epistoły. Kilka dni zajęło mi potem przekonanie kolegi od „Wyspy skarbów”, żeby poprosił swoją siostrę, która umiała pisać na maszynie, aby wystukała na niej mój list i wysłała.

Serenity wystarczył jeden rzut oka na jasnobrunatną kopertę zaadresowaną do żony, by wiedzieć, że coś jest nie tak. Po pierwsze tak długo, jak długo się znali, jego żona jeszcze nigdy nie otrzymała listu pisanego na maszynie, a poza tym nie powiadomiła go, że się takiego listu spodziewa. Po drugie, na kopercie nie było stempla „Państwowa Służba Ugandy” ani „Arcybiskupstwo Kampali”. Po trzecie, bardzo podejrzany był sam sposób wydrukowania tego listu: litery były w połowie czerwone, a w połowie czarne. Co to za półgłówki, że nawet nie chciało mu się kupić nowej taśmy do maszyny? - pomyślał i postanowił natychmiast otworzyć list.

Jego podejrzliwość okazała się uzasadniona - gdy tylko przeczytał pierwszą linię, stwierdził, że ten chodzący czyrak przeszedł do ataku! Serenity cały czas przypuszczał, że Boy jakby nigdy nie nadal flirtuje z jego żoną. Fakt, że Kłódka z takim zapalem przyjęła ofiarowane jej peruki afro, wskazywał na to, że padła ofiarą rozpusty. Ale przyjęcie przez nią lampy z Monroe zaczęło mu się nagle jawić w innym świetle. Z drżącymi rękami, ściśniętym gardłem, topiącymi się pachami i śwędzącym tyłkiem odczytywał list wciąż na nowo.

Jak pachnie dla Pani kosmos podczas tych statycznych dni? Jestem bardzo zaszczycony, że mogę Pani przesłać tę przepiękną epistolę. Błagam, by przypomniwała sobie Pani to wspaniałe szczęście, które dzieliliśmy, zanim w naszym kosmosie zadomowiła się ta wysoce wadząca kometa i przeszkodziła w jego błogim dawkowaniu.

Proszę mi pozwolić na wyrażenie przypuszczenia, iż tłumiąc swą bardzo wulkaniczną miłość, wytrąca Pani z równowagi cały kosmos. Uważam, że to okropne widzieć Panią w takim stanie. Nieuznawanie już przez Panią naszej miłości i silnego poziomego uderzenia,

jakie się z tym wiąże, może w naszym sercu wywołać tylko negatywne dźwięki. Błagam, by pomyślała Pani o naszej własnej „Pieśni nad Pieśniami”:

*Pani dobroczynny kark jest jak czarująca wieża ze złota,
Pani fantastyczny nos jest jak fonetyczny monument,
Pani słodkie jak miód oczy są niczym gramatyczne stawy srebra,
Pani wspaniałe piersi są jak balony miłości,
Pani wylewne ciało jest jak wulkan gorących soków.*

Miss Singer, błagam, niech Pani pamięta, że jestem Jej najlepszym przyjacielem. Pewien mędrzec powiedział kiedyś: „Postaraj się mieć wielu przyjaciół, ale ufaj tylko paru”. Mędrzec ten powiedział także, że wielu jest w związku małżeńskim, lecz niewielu jest szczęśliwych. Zapamiętaj to, Pani.

Miss Singer, jest Pani Królową mego Serca, a ja chcę, by okrzyknęła mnie Pani swoim Prezydentem i Wodzem Naczelnym.

Zanim, błagając, pożegnam się z Panią, niech Pani wie, że jestem pełen miłości, zadziwiający, niebezpieczny i piorunujący - i zawsze Pani.

Mbaziira Wielki

Serenity znał to uczucie. Już na odległość mili wyczuwał późnomłodzieńczą rozwlekłość z całą jej napuszonnością, tępą pustotą i niedojrzałością. W jego czasach taki list byłby ozdo-

biony czerwonymi i różowymi serduszkami, a w kopercie znajdowałby się puder.

Imię „Miss Singer” było dla niego odrażające. Jeśli wskazywało na jakąś dziecinną cechę jego tak dojrzałej żony, wolałby raczej poznać tę cechę w inny sposób. Słyszał o starszych mężczyznach i starszych kobietach uprawiających seks z młodszymi partnerami oraz o tym, jak poniżali i kompromitowali swą osobowość i status małżeński tylko po to, by stanąć na tym samym poziomie, co młodszy kochanek czy kochanka. Często ci młodszy mieli w nosie status czy wiek swych partnerów i nadawali im dziecinne albo śmieszne imionka, żeby w pewnym stopniu zdobyć nad nimi władzę. Ale teraz ten wirus wcisnął się do jego własnego domu. Czyż nie nakazał żonie trzymać się z dala od tego chłopca? Kto zgodził się wziąć pieniądze za napisanie dla Boya tych bzdur?

Trawiła go złość zdradzonego męża. Nie trwała jednak długo, wkrótce ustąpiła miejsca smutkowi - bolesnemu uczuciu, że to jego własna wina, że został oszukany. Dlaczego nie dobrał się Boyowi od razu do skóry? Dlaczego tak koniecznie musiał odgrywać dżentelmena?

Był coraz bardziej zmartwiony, gdy myślał o „balonach miłości”, „wulkanie gorących

soków” i „wylewnym ciele”.

Przypuszczał, że w przypadku kogoś tak pruderyjnego jak jego żona wyrażenia tego rodzaju mogły zostać użyte jedynie wtedy, jeśli ona celowo do ich użycia zachęciła. Najprawdopodobniej próbowała w ten sposób zachować strzępy wyblakłej młodości albo łachmany okresu dojrzewania, przesłonięte rodzicielską karą i klasztorным regulaminem.

Patetyzm tego wszystkiego polegał na tym, że Klódka niezliczonymi dniami seksualnej abstynencji tak okroiła małżeńską pasję, że ich życie miłosne wydawało się równie starannie zaplanowane, jak jej wizyty u kosmetyczki.

Serenity opłakiwał rolę, jaką przyszło mu zagrać w tym dramacie. Mógłby zdać relację z jej zachowania Mbalemu, ich weselnemu pośrednikowi. Wielokrotnie to rozważał, lecz nie znajdował odpowiednich słów, właściwego początku: „Hm, *muko*, słuchaj no... moje życie seksualne jest...” - albo: „moja żona odmawia w te i te dni zaspokajania moich potrzeb...” - albo: „nie udaje mi się przekonać żony...”. Mbale straciłby cały respekt wobec mężczyzny, któremu nie udaje się wymusić swoich praw na kobiecie, z którą zaszczytnie się ożenił. Serenity wiedział także, że Mbale ze swym wiejskim pochodzeniem nigdy by nie zrozumiał, że jakiś mężczyzna tak długo może czuć wolę Bożą, a mimo to potrafi być na tyle przyzwoity, by nie domagać się swoich praw. Na wsi prawo ustalał mężczyzna, nie kobieta, każdy o tym wiedział. Serenity nie mógł się również wyzalić Hadziemmu Gimbi, bo bał się, że popsuje to ich przyjaźń.

Teraz czuł się podwójnie zmartwiony i zły, ponieważ żona wpadła w pułapkę, którą sama zastawiła, bo jasne było, że chciała więcej seksu, ale nie bardzo wiedziała, jak pokonać własne ograniczenia, nie robiąc z siebie idiotki i nie tracąc władzy w innych dziedzinach. Serenity był zdania, że jej aktualna obsesja na punkcie poligamii Hadziego Gimbi i jego własnych domniemanych przygód była jedynie zasłoną dymną, mającą skrywać jej własne brudne tajemnice.

Pośrodku jego zmartwienia tkwił fakt, że jego matka odeszła, z czego płynęło poczucie, że pozostawiono go na lodzie. Przypomnił sobie wszystkie duże kobiety, do których podbiegał, by powitać je w domu. I tkwiący gdzieś w podświadomości strach, że być może rzeczywiście były to duchy przebrane za duże kobiety. Przypomnił sobie łaskawy sposób, w jaki głaskały go po głowie, zanim dały mu znać, że jego fantazja znowu wystrychnęła go na dudka. Skąd mu się to wzięło, że jego matka była dużą kobietą? Kiedy miał trzy lata, większość kobiet musiała mu się wydawać duża. Przypomnił sobie tę dużą kobietę, która położyła kres jego obsesji, gdy miał siedem lat, i ogromnie się rozżłościł. Dlaczego ojciec niczego nie zrobił? Wiedział o poczynaniach rywala, ale postanowił

wszystko negocować. Czy wyniosłość była cechą rodzinną? - zastanawiał się. Nagle zachciało się mu robić mnóstwo rzeczy naraz. Chciał udowodnić, że potrafi wystąpić radykalnie i skończyć z całą tą sytuacją. Nie chciał stracić żony i zostać z tymi wszystkimi dziećmi, które musiałby samotnie wychowywać. Nie chciał także, by jego dzieci były wychowywane przez jakąś inną kobietę. W końcu jednak uświadomił sobie, że żonaty rogiacz z dziećmi nie może sobie pozwolić na zemstę w sposób, który zniszczyłby rodzinę; każda forma zemsty musiałaby być krótkotrwała.

Rozważał możliwość zniknięcia na tydzień. Mógłby zamieszkać w jakimś dobrym hotelu, żeby się odprężyć i przetrwać złość i smutek. Mógłby złożyć wizytę rodzinie: dawno już nie widział się z siostrami i byłaby to dobra okazja, by dowiedzieć się, co się z nimi dzieje.

Nagle trzasnęło w niego jak w drzewo, które błyskawica rozłupała na dwoje: Nakibuka, ciotka żony! Czy ta kobieta nie zrobiła, co w jej mocy, by wciągnąć go w swoje życie? Czyż nie pragnął jej w najgłębszej głębi swego serca? Czy mógł kiedykolwiek zapomnieć jej słoneczne usposobienie, poczucie humoru i jej pewną siebie, bujną kobiecość? Niepewne korzenie tradycyjnej obyczajności powstrzymywały go ostrzeżeniem, że nie przystoi pożądać członka rodziny żony, lecz grzyby tłumionych żądź znalazły słabe miejsce w warstwach obłudnej przyzwoitości. Tłamszone podniecenie Serenity i jego ograniczany popęd seksualny znowu rozkwitły na myśl o piersiach kobiety, która, dotykając go, uzdrowiła jego męskość podczas nocy poślubnej. Pot lał mu się po plecach, serce waliło w gardle, a w lędźwiach buchał ogień.

Popołudnie przeszło skwarnie w wieczór. Czas było udać się na zebranie wydziału, na cotygodniowy przegląd stanu spraw. Do dyrekcyjnego pokoju Serenity przyszedł jako pierwszy. Wypił szklankę wody i jeszcze jedną, a potem wyjrzał przez okno. Gdzie się wszyscy podziewali? Chciał to pieprzone zebranie mieć już za sobą, by móc sobie pójść. Nie wiedział dokładnie, gdzie mieszka Nakibuka, i męczyło go to. Nieszczęśliwy, samotny i zły opuścił salę i pobiegł do swego biura, by zajrzeć do notesu. Miał nadzieję, że ma jej adres. A jeśli się przeprowadziła? W perwersyjny sposób wyobrażał sobie, że Boy robił to samo i snuł plany, zastanawiał się, zwlekał. A jeśli Boy był już na posterunku i rozśmieszał Kłódkę, sławiąc jej balony miłości i gramatyczne stawy srebra? Napady złości walczyły w Serenity z napadami smutku. Zastanawiał się, czy nie pójść jednak do domu, żeby zaskoczyć Boya i dać mu nauczkę. Zrezygnował z tego jednak, bo nie mógł się zdecydować, co miałby mu zrobić w przypadku, gdyby go tam faktycznie zastał. Obawiał się, że wyszedłby z siebie, tak jak wtedy, gdy ukarał swego syna. W imię dyscypliny o mało nie pobił go na śmierć, co nie było

najprzyjemniejszym doświadczeniem. Przyrzekł sobie, że już nigdy nie posunie się tak daleko.

A teraz zamierzał pojechać do Nakibuki - nawet gdyby się przeprowadziła, nawet gdyby jej mąż był w domu, nawet gdyby nie mógł spędzić u niej nocy. Znalazł adres i zaśmiał się na wpół złośliwie, na wpół smutno. Poligamię Hadżiego Gimbi uważał teraz za rzecz bardzo niepraktyczną: co za sens miało umieszczanie wszystkich żon w jednym domu? Każda z nich powinna mieć własny, bo to stwarzało wiele możliwości odprężenia się i umknięcia od trosk, nastrojów i charakterów pozostałych żon.

Wrócił do pokoju dyrekcyjnego. Zebranie już się zaczęło, ale wszystko spływało po nim jak woda po skale. Nic już nie mogło go zainteresować ani zirytować.

Tymczasem ja miotałem się pomiędzy zachwytem a przygnębieniem: zachwytem, że byłem dość bystry i opanowany, żeby pokonać przeciwników większych i podlejszych ode mnie; przygnębieniem - z powodu irracjonalnego strachu, że Serenity odkrył, że to ja stałem za listem i że robi mi coś strasznego.

Tłucząc orzechy w drewnianym moździerzcu, który z biegiem lat nabrał czerwonego blasku, próbowałem sobie wyobrazić, jak by to było znaleźć się w skórze Serenity. Co bym wtedy zrobił? Ogień można zwalczać ogniem, wsadzając sobie na przykład kobiecą bieliznę do kieszeni albo biorąc kochankę czy nie płacąc przez jakiś czas rachunków.

Kłódka nie wyglądała mi na kobietę, która by szybko odeszła; takie krowy rozrodcze jak ona robiły to rzadko. Dołożyłaby wszelkich starań, by dojść do tego, co się dzieje. I mimo mojego udziału w tym dramacie i odrazy do tej kobiety, tak naprawdę wcale nie chciałem, żeby odeszła. W bardzo surowy sposób reprezentowała stabilność, dostarczała mi celu do ataków i była oselką służącą do ostrzenia mego rozsądku.

Jako najstarsze dziecko w rodzinie wiedziałem, że moja pozycja niewiele się zmieni, nawet gdyby Kłódka odeszła, a jej miejsce zajęła inna kobieta. Prawdopodobnie musiałbym nadal wykonywać gówniane prace, musiałbym prać, sprzątać, gotować i nosić wodę. Ale na pewno bym nie dopuścił, żeby inna kobieta mnie biła albo zmuszała, bym przed nią klękał. Czy Kłódka odejdzie? Czy kiedykolwiek się nad tym zastanawiała? Czy też tylko to sobie wmawiam?

W swej niewiedzy Kłódka była podobna do otwartych drzwi, wiszących za ledwie na jednym zawiasie. Była niespokojna i drażliwa, jak bawół z pszczołą w uchu. Sądziła jednak, że Serenity po prostu raz postąpił wbrew rutynie i poszedł prosto do przyjaciół, nie meldując się najpierw w domu. Ale na stacji benzynowej go nie było.

Udawałem, że niczego nie zauważyłem, i rozkoszowałem się paniką w jej oczach,

kiedy jej powiedziałem, że Serenity nie ma jeszcze w domu. Panikę tę można było łatwo zrozumieć: gdy przyzwoity mąż, na którym można polegać, nie wraca do domu albo późno przychodzi z pracy, coś jest nie tak: albo zmarł szacowny członek jego rodziny, z wszelkimi łączącymi się z tym finansowymi katastrofami, albo zdarzył się wypadek, albo niesłusznie go aresztowano. Serenity zawsze informował żonę swoich planach i nigdy nie pozostawałby dłużej poza domem, nie wysyłając jej wcześniej wiadomości.

Pod wieczór Klódka wyglądała jak rozdrażniony, smutny nosorożec. Ostro walczyłem z nieszczęśliwą chęcią współczucia tej kobiecie, bo chodziło o to, że chciałem widzieć ją cierpiącą, zwijającą się i jęczącą jak suka w czasie rui.

Drugiego wieczoru Klódka była bardzo przygnębiona. Opalowa skorupka na jej twarzy ustąpiła miejsca popękanemu, skwaszonemu wyrazowi i wyglądała jak odurzona nieodwzajemnioną miłością nastolatka. Rzuciła mi potajemne, niby - - spiskowe spojrzenia, jakby zbierała odwagę na wypaplanie jakiejś wstrętnej tajemnicy. Kiedy kręciła się jak przyszpilony karaluch w czasie lekcji biologii w zakurzonej klasie, wzbudzała we mnie coś w rodzaju współczucia, którego wcale nie zamierzałem żywić. Zdziwiony odniesionym sukcesem, słyszałem brzące w mych uszach wyrażenia typu „wulkaniczna miłość”

0 „słodkie jak miód oczy”: w szkole zmiękczały serca nastolatków, a ja zarabiałem na tym pieniądze - teraz jednak wywracały do góry nogami despotyczny system, a samowładcy tańczyli na rozpalonych węglach. Obawiałem się, czy zbyt nie przesadziłem, ale Klódka za bardzo była pochłonięta parzącą burzą piaskową swego nocnego koszmaru, by być wartą tych obaw. Pisząc ten list, myślałem wyłącznie o Lusanani i o dziewczynie, której chciałem dać „Wyspę skarbów”.

Kiedy ujrzałem Serenity idącego podwórzem z teczką w ręce, ciarki przebiegły mi po plecach. Wyglądał spokojnie, jakby niczym się nie martwił. Nie wiedziałem, czy wyciągnął dla siebie wnioski, czy też przyjął wszystko bez zastrzeżeń. Na moje powitanie zareagował neutralnie i wkroczył do biblioteki. Czekałem ze wstrzymanym oddechem. Tymczasem zauważyłem, że opadnięte ramiona Klódki nagle się wyprostowały, na jej twarz powrócił jad, a chód zaczął zdradzać rozdrażnienie.

Uznałem, że dobrze załatwiłem tę sprawę: ta kobieta nigdy się nie zmieni. Być może był to dopiero początek mojej walki z nią.

W powietrzu wyraźnie wisiało coś złego. Drzwi przejściowe były zamknięte na klucz, a spod spodu wystawały kłębki szmat, coś w rodzaju *petticoat*. Serenity przez cały wieczór nie dał po sobie niczego poznać, a podczas jedzenia skrył się zadowolony za „Godotem”. Klódka przez cały wieczór migotała ledwie skrywaną wściekłością, przez co jej wieczorne

tremola brzmiały fałszywie. Po raz pierwszy, odkąd się pobrali, upuściła talerz z zupą dla Serenity podczas podawania do stołu i przełknęła zniekształcone przekleństwo. Serenity, za papierowym murem „Godota”, nawet nie drgnął. Był zbyt zajęty dumaniem o wydarzeniach ostatnich trzech dni i dwóch nocy, by zwracać jeszcze uwagę na obsesje żony.

Opierwszej wstałem z łóżka i przyłożyłem ucho do dziurki od klucza. Słyszałem jedynie szept. Wymknąłem się na zewnątrz i stanąłem pod oknem sypialni. Komary bzycały jadownicę; ćmy trzepotały wokół żarówek; zgraja psów skomlała pożądlawie. Ja jednak na nic nie zwracałem uwagi, nawet na złodziei, duchy i polujących żołnierzy. W końcu zostałem nagrodzony, bo usłyszałem ich głosy.

— Dla twojego dobra mnie nie było - powiedział Serenity.

— Dla mojego dobra? Jak możesz mówić coś takiego?

— Najpierw miałem ochotę ukręcić ci łeb.

— Co?

— Widziałas ten list. Nie musisz obrażać mojego rozsądku tym swoim niewinnym, dziewczątkowatym zachowaniem.

— Nie mam z tym nic wspólnego.

— Chłopak nazywa cię Miss Singer, a ty nie masz z tym nic wspólnego? Czy to, że się niżasz do poziomu tego durnia, nic nie znaczy? Oszukiwanie mnie w moim własnym domu nic nie znaczy? Nic, nic, nic?

Głos Serenity stał się niebezpiecznie ostry. Kłódka, kiedy uświadomiła sobie, jak cienki jest lód, na którym stoi, użyła swej despotycznej nietykalności i dość żalnym tonem zapytała:

— Dlaczego mi nie wierzysz?

— Mogę odejść, wiesz o tym przecież. Nie jesteś jedyną kobietą na świecie.

Na tym skończył, bo nie chciał odsłaniać swojej wspaniałej tajemnicy. Ciotka Kłódki otoczyła go w swoim lśniącym domu troską doświadczonej kochanki. Czuł ulgę, że nie musi się przed nią tłumaczyć, ponieważ zawsze wiedziała, że kiedyś do niej przyjdzie. Serenity niemal słyszał siebie samego składającego podziękowania mężowi Nakibuki za to, że ją bił, i w ten sposób otworzył jej oczy na delikatniejszą formę miłości. Specjalność własną Serenity. Mąż zmuszał Nakibukę, by się kładła, po czym okładał bambusowym kijem pagórki jej pośladków i kolumny ud.

Swoją pierwszą noc Serenity i Nakibuka przegadali. Ich spontaniczne rozmowy biegingy zakolami i wracały wciąż do nich samych i życia każdego z nich. Ich spotkania nie psuły pospieszne wyznania ani wymuszona intymność. Serenity nie szturmował zamku, lecz płynął

spokojnym nurtem. Rozumieli się z Nakibuką. Do listu Amanta dotarli dopiero po dłuższym czasie i śmiali się z niego do łez. Złość i zmartwienie Serenity rozplynęły się w zrozumieniu ze strony ciotki żony. Mityczne, słodkie jak miód spojrzenie i wylewne ciało z czerwono-czarnego drukowanego tekstu projektował na tryskającą Nakibukę. Kiedy zaczęli badać wulkaniczny krater świętych soków, obojgu kręciło się już w głowie od namiętności.

— Ktoś zamierza mnie zniszczyć - powiedziała Kłódka, przerywając słodkie rozmyślanie Serenity.

— Czyżbyś aż tylu ludzi zraziła do siebie? A może to dawna dziewczyna Mbaziira Wielkiego wypędza z zagrody swoją rywalkę?

— Nie lubię twojego ostrego języka.

— Nie ma też niczego delikatnego w starej kobiecie, która pragnie młodej krwi.

Usłyszałem szelest papieru i ospałe skrzypienie przeciążonych sprężyn łóżka.

— Co robisz? - odezwał się zaniepokojony Serenity. - Natychmiast oddaj list! Nie powinnaś zjadać dowodu!

Kłódka miała szczęście, że jej mąż nie znosił przemocy, inaczej wyniosłaby z tego złamaną szczękę. Serenity pohamował swoją wściekłość i skupił się na myślach o Nakibuce. Zdjął wreszcie z siebie pozbawiony radości krzyż monogamicznego związku seksualnego; jego pragnienie nie będzie więcej gaszone kwaśną jak ocet gąbką kochania się z własną żoną. Mając do wyboru płodność i urodę, jego żona wybrała to pierwsze, ciotka drugie.

Po dwójce dzieci ciało Nakibuki wciąż jeszcze było sprężyste i giętkie i nie szpeciła go obwisła skóra. Pragnął jej teraz bardziej niż kiedykolwiek. Była najlepszym, co mu się od dawna przytrafiło.

Stojąc na swej cichej wachcie, byłem tak terroryzowany przez komary, że rozważałem, czy się nie wycofać, ale Kłódka krzyknęła nagle przenikliwie:

— Gdzie byłeś przez ostatnie dwie noce?

Cisza.

— Opowiedz, gdzie spędziłeś ostatnie dni.

Cisza.

— Chcę wiedzieć, gdzie byłeś przez ostatnie dwie noce.

Namiętny skowyt parzących się psów zbliżył się. Dwa domy dalej słyhać było szuranie psich łap, któremu towarzyszyło ciężkie sapanie i postękiwanie. Gdzieś obok w ciemności było ze dwadzieścia parzących się psów, oddających się łasce swych hormonów. To były niebezpieczne psy. Zaledwie parę dni temu jakiś pijaczyna, zbyt chwiejący się na nogach, by uciec, został napadnięty przez parę takich sfrustrowanych czworonogów. Nie

czekałem na dalsze ostrzeżenia i wróciłem do domu. Wiele długich minut później, kiedy starałem się zapaść w sen, rozbrzmiały strzały, dało się słyszeć obłąkańcze jęczenie, prawie takie, jakby ktoś szczytował, a potem zapadła cisza.

Kłódka, musiałem jej to przyznać, miała intuicję, ale brakowało jej stylu. Kilka dni później zawołała mnie do siebie na posterunek i nie patrząc na mnie, zapytała, czy znam kogoś, kto ma maszynę do pisania. Podobno jakaś przyjaciółka chciała dać do przepisania parę ważnych dokumentów. Udałem zdziwienie, że mieszano mnie do tego typu dorosłych spraw, i odpowiedziałem, że nie znam nikogo, kto byłby tak bogaty, by mieć maszynę do pisania. Zasugerowałem, że może Serenity zna jakąś maszynistkę albo wie, gdzie zdobyć maszynę. Pokonana Kłódka uczepliła się ostatnich desek, by przykryć nimi dach swego zmieszania, a wtedy do środka wszedł klient. Dałem nogę.

Po kilku dniach spostrzegłem, że ktoś stale grzebie w moim pudełku na cyrkle, przegląda zeszyty i przeszukuje ubrania. Równocześnie myślałem o tym, że Amant już od dłuższego czasu nie pojawił się na naszym podwórku.

Czternaście dni później odkryłem, że zakres poszukiwań został rozszerzony na moje łóżko i że materac ściągnięto ze swego miejsca. Na pudełku na cyrkle, na łóżku i w rogach teczki zacząłem zostawiać resztki kleju i gumy do żucia.

Są dwie zasady, w które despoci z reguły wpadają: dzielą ludzi na stereotypy i wszędzie szukają kozła ofiarnego. Kłódka nie stanowiła pod tym względem wyjątku. Kiedy jej dzieci zamiast sikać do łóżka zaczęły podkraść pieniądze i rzeczy, natychmiast dała do zrozumienia, że dobrze wie, kto jest przestępcą, innymi słowy, że to ja nim jestem.

Jeśli kiedykolwiek czułem do czegoś odrazę, była to właśnie kradzież, zwłaszcza kradzież rzeczy rodziców i innych członków rodziny. Ale Kłódka o tym nie wiedziała i nadal podejrzewała mnie i przypisywała mi winę. Oczywiście ukradłem „Wyspę skarbów”, jednak nie po to, żeby się na niej wzbogacić. Wkrótce zaczęło ginąć coraz więcej książek, a im częściej się to zdarzało, tym gruntowniej przeszukiwane były moje rzeczy. Gówniarze nieustannie narzekali, że znikają ich długopisy, ołówki i zeszyty. Prawdopodobnie, jak wiele dzieci, gubili swoje rzeczy w szkole, ale ponieważ bali się surowej kary, następującej zwykle po takiej utracie, wykorzystywali mnie jako kozła ofiarnego.

Wychowany w tradycji krwawych ofiar, postanowiłem, z wdzięczności dla bogów, którzy uchronili moje imię przed skandalem z Miss Singer, złożyć w ofierze samego siebie. W mojej podświadomości tkwiło uczucie, że Serenity wprawdzie mnie podejrzewała, ale postanowił dać mi spokój, ponieważ umożliwiłem mu zdobycie kobiety, której pragnął. Swoją ofiarą chciałem podziękować także bogom Kłódki za ich rolę w moim zwycięstwie.

Ale ponad wszystko chciałem odzyskać swoje byłe zaplecze, gówniarzy, którzy wciąż jeszcze uważali mnie za skrzyżowanie przestępcy i kogoś w rodzaju wygnańca. Chciałem zostać ich bohaterem i w ten sposób osłabić władzę matki nad nimi.

Kiedy dwa razy zasugerowałem, że ukradłem długopis, Kłódka, ucieszona, że przestępca dzięki łasce Boga został ujawniony, wymierzyła mi dwadzieścia batów różgą z guavy. Każde uderzenie niesło ze sobą wściekłość, frustrację i podejrzenia z przeszłości i gdyby nie umacniała mnie myśl o mojej misji, doznałbym poważnego uszczerbku. Dzięki temu byłem jednak twardy jak stal. Ani razu nie krzyknąłem i nie uroniłem ani jednej łzy. Kłódka starała się trafiać w moje czułe miejsca, a ja, żeby nie myśleć o bólu, koncentrowałem się na mojej bohaterskiej roli. Widziałem podziw na twarzach gówniarzy, a moja własna twarz była chłodna i nieruchoma jak kamień, utwardzona beztroską arogancją bohatera. Czułem, że jestem ich bohaterem, było to bardzo przyjemne uczucie. Znowu objąłem prowadzenie. Kłódka puściła mnie, widząc, że nie uronię ani jednej łzy, choćby wybiła mi oko. Zatoczyłem się jak policjant, który dopiero co schwycił uciążliwego przestępcę. Zatoczyłem się jak Amin po wspaniałym zwycięstwie przez nokaut. Kłódka nie mogła tego przeboleć. Zawołała mnie z powrotem i wymierzyła mi jeszcze trzy pałace razy w prawą łydkę. Może trochę mocniej się wtedy zatoczyłem. W końcu Kłódka się poddała.

Złodziej, kryty przez heroicznego bohatera, mógł działać z tym większą łatwością. Mój udział w tej zabawie coraz bardziej mi się podobał. Parę razy splądrowano portmonetkę Kłódki. Wycucie przez złodzieja odpowiedniego momentu było doskonałe. Kiedy Kłódka zastawiała pułapkę, upokarzał ją, ignorując zasadzkę. Musiał polować na zdobycz, musiał zapracować na swój łup. Musiał zdecydowanie wiedzieć, że tylko bogowie spodziewali się ofiar i przyjmowali je. Gdy Kłódka schowała się pod łóżkiem, żeby przyłapać go na gorącym uczynku, w ogóle się nie pojawił. I jakby jeszcze bardziej chciał rozszerzyć swoją prześladowczynię, rozszerzył teren działania na „pieniądze za zęby”, zwane też „szczurzymi pieniędzmi”.

Kiedy po nieodłącznych groźbach i brutalnym ryciu palce Kłódki wyrwały któremuś z gówniarzy mleczny ząb, kładło się go, zakrwawiony, za szafą, dla „szczura”, który na jego miejsce kładł monetę. Właśnie na tych pieniądzach szczególnie zależało złodziejowi. Dla Kłódki było to szczególnie nieprzyjemne, ponieważ dwa razy tak bezwzględnie użyła jedwabnej nitki, by wyrwać chwiejący się ząb, że ofiara mocno krwawiła i wszyscy się obawiali, że ma uszkodzoną szczękę. Z krwawą zbrodnią w myślach popadła w szaleństwo, odkrywszy, że „szczurze pieniądze” zostały dwukrotnie skradzione. Z szacunku dla tradycji musiała je w obu przypadkach uzupełnić. Do tego doszedł fakt, że zauważyła, iż oba

przypadki miały miejsce, kiedy nie było mnie w domu. Ktoś próbował obrazić jej inteligencję! Natychmiast więc zostały przeszukane rzeczy gówniarzy.

W dniu sądu zostały jak zwykle zmówione modlitwy wieczorne, a cały dom wypełniły tremola psalmów. Za kilka minut miało rozpocząć się jedzenie, ale tym razem dwóch gówniarzy nie dostało zupy arachidowej, wspaniale wypełnionej po brzegi sztokfiszem. Wszędzie unosił się aromat pobudzający u każdego apetyt. Kłódka, przebiegła sadystka, postarała się i kupiła pierwszej jakości rybę i pierwszej jakości orzeszki ziemne, a dla spotęgowania smaku udusiła je w pierwszej jakości liściach bananowych. Wyskrobaliśmy nasze talerze do czysta, siedząc w odległości nie większej niż szerokość dłoni od ukaranych gówniarzy, których czoła perliły się od potu winy, a oczy nabiegły krwią ze strachu. Umyliśmy brudne ręce w wodzie podanej przez dwóch przestępców w małych, podobnych do bidetów naczyniach, na które po latach miałem natknąć się w jednym z zachodnich burdeli i które zawsze będą mi się kojarzyły z brudem, mydłem, rybą i zepsutymi posiłkami. Serenity, wyprostowany na swoim krześle jak Poncjusz Piłat, umył ręce z nieobecny wyrazem twarzy, nie patrząc na podaną mu kostkę niebieskiego mydła ani na drżącego gówniarza, który ją podał. „Godot” w obszarpanej czerwonej oprawie był jedyną rzeczą, jaka dla niego istniała. I oczywiście Nakibuka, zawsze pogodna ciotka żony, wychowującej to szatańskie plemię.

Zdecydowany złożyć protest i dokonać sabotażu systemu sprawiedliwości Kłódki, wstałem od stołu. Przeniknął mnie głębinowy prąd odrazy do wyrachowanego sadyzmu oficjalnego trybunału. Może miałem zbyt dużo współczucia dla przestępców. W każdym bądź razie przyczyniłem się do tego dramatu i rozkoszowałem się figlami tej dwójki. Dręczyło mnie stale powracające pytanie, czy nie powinienem stanąć w ich obronie, ale Kłódka przywołała mnie do porządku.

Wsadziła rękę pod zieloną kanapę i wyciągnęła spod niej trzy grube na palec różgi z guavy, po czym wyjaśniła dość pompatycznie, że przyłapała złodziei, którzy terroryzowali dom. Dwójka gówniarzy musiała położyć się na podłodze obok siebie. Serenity, który do tej pory się nie odzywał i który w imię zachowania despotycznej harmonii odezwać się nie mógł, skrył się za swoim czerwonym „Godotem”. Kłódka rzuciła się na gówniarzy, jak wygłodniały orzeł na parę kurczaków. W nędznej próbie odwołania się do Wielkiego Brata, który ich wcześniej ratował, dwójka nieszczęśników zwróciła na mnie swe szklane oczy, ich dziurki w nosie obłąkanie niuchały. Ale moja rola była dla nich zbyt heroiczna, by mogli ją powtórzyć, a ja, będąc w ich wieku, również nie dokonałem moich odważnych cudów. Orgia skomlących, śliniących się i podrygujących psów przerwała granice nocnego parzenia się i przeniknęła do

wnętrza domu, towarzysząc błaganiom gówniarzy o łaskę, przyrzeczeniom, że nigdy więcej nie będą grzeszyć, i modlitwom do świętego Judy Tadeusza, patrona zrozpaczonych. Jeden z winowajców posunął się nawet tak daleko, że wzywał pomocy potężnego Serenity, prawdopodobnie w imieniu Godota, ale został jeszcze mocniej zbity przez Kłódkę, która wyraźnie dała do zrozumienia, że nie będzie żadnej despotycznej ani niedes - potycznej interwencji.

Generał Idi Amin zachęcał nas, byśmy nieustępliwie walczyli oddawali za każdym razem, gdy zostaniemy powaleni na ziemię. A wzrost jego władzy wskazywał na to, że większość narodu potrzebowała zbawiciela, kogoś, kto wzięłby ludzi w opiekę przed nimi samymi i ich obawami, zanim nabiorą siły do walki. Musieli istnieć bohaterowie tacy jak ja, by bronić bezradnych. Zauważyłem, jak łatwo jest się tylko przyglądać, bezradnie wyrzucając ręce w powietrze. Wszyscy wyrzucali ręce w powietrze w dniu, w którym Serenity mnie sprął, może dlatego, że nie słuchali Amina w ten sam sposób co ja. Może dlatego, że nigdy nie pili ze źródła bohaterstwa i poświęcenia, które pokazał mi Dziadek. Może dlatego, że nigdy nie obudzono ich w środku nocy, by pięć kilometrów dalej pomogli przyjsć na świat dziecku. Chciałem wyrosnąć ponad nich i inkasować ciosy. Zastanawiałem się, co Amin zrobiłby w tych okolicznościach. Prawdopodobnie chciałby wybawić gówniarzy, a w każdym razie na pewno odwróciłby uwagę Kłódkę, by pozwolić ofiarom odetchnąć.

Jeszcze chętniej nawet generał Amin wysyłał swoim wrogom wiadomości i ostrzeżenia. Ostrzegał imperialistów, kolonistów, rasistów, syjonistów i ich zwolenników, że ich czas minął. Nadeszła pora, by ktoś wysłał Kłódcę wiadomość, że *overkill* nie jest synonimem kary cielesnej. Poza tym uświadomiłem sobie nagle, po raz pierwszy odkąd przybyłem do miasta, że tak naprawdę to ja byłem dla gówniarzy rodzicem. Wiedziałem otych dzieciach więcej niż sami despoci. Myjąc je i pomagając im w odrabianiu lekcji, szykanując i szantażując, byłem z nimi na intymnej stopie i w końcu zacząłem je nawet lubić.

Ale czy nie było wiadomo, że byłem współrodzicem i tworzyłem w tej dyktaturze trzecią armię? Czy nie było wiadomo, że traktowałem Serenity jak starszego brata, a Kłódkę jak jego fałszywą żonę, którą należało dręczyć i przekląć, ponieważ była zbyt perfidna, żeby się zmienić?

— To ja dałem im pieniądze - odezwałem się nagle.

— Co? - zadyszał Serenity podjudzony.

— To ja dałem im pieniądze - powtórzyłem.

— Oni przyznali się do winy - oświadczyła Kłódka, wymierzywszy dwójce przestępców jeszcze parę ciężkich klapsów.

Zaskoczyło mnie to całkowicie. Zapomniałem, w czym każdy despota jest najlepszy: w wymuszaniu zeznań.

— Twierdzisz, że to ty ukradłeś pieniądze i dałeś je im? - zapytała rozwścieczona Kłódka.

Bohater potknął się o poły własnego płaszcza.

— Nie.

Gówniarz z najmniejszym serduszkciem spojrział na mnie przerażony. Kłódka wyczuła sabotaż i chciała zademonstrować, że bohaterstwo jest synonimem blizn i urażonego ego. Wymierzyła mi cios w plecy. Jeden z niewinnych gówniarzy upadł, gdy odwróciła się niezdarnie, jak bawół z dzidą w tyłku.

Uskoczyłem i z powrotem usiadłem. Zostałem uderzony jeszcze cztery razy. Bolało, ale nie wolno mi było krzyczeć: musiałem utrzymać swój image. Zainkasowałem jeszcze cztery ciosy, tym razem w nogi. Zagryzłem zęby, powstrzymując skowyt. Przez chwilę bałem się, że narobiłem w portki, ale na szczęście tak nie było. Uśmiechnąłem się. Znowu sprawiłem, że moja dręczycielka nie zatryumfowała. Rozjuszona niezadowolającym świstem bicia, podniosła rękę, by sprać mnie solidnie po plecach, ale nagle z góry posypało się szkło. Trafiała niechcący w lampę. Serenity był wściekły: nie znosił, gdy ktoś przeszkadzał mu w lekturze.

— Dość tego - zaszczekał, nie podnosząc głowy. - Dosyć, Nakibuka, dosyć.

— Kto taki...? - Kłódka odwróciła się do Serenity z podniesioną jeszcze różgą.

— Co? - wymamrotał Serenity. Sam się zdradził. Słyszałem to, jego żona również.

Kłódka wypuściła różgę z ręki. Wszystkie bachory mogły poświadczyć, że zdarzył się cud świętego Judy Tadeusza. Na dom opadła chmura ciszy. Kłódka wysłała wszystkich do łóżka nawet nie poprosiła gówniarzy, by podziękowali jej za powzięte środki bezpieczeństwa.

Tej nocy spałem jak zabity. Zyskałem dwóch wiernych zwolenników.

Bardzo tęskniłem do wujka Kawayidy. Nigdy nie przychodził do nas w gości. Czasem odwiedzał Serenity w biurze, po czym znowu wracał do swojego domu w Masace, sto kilometrów od nas. Podczas azjatyckiego exodusu kupił samochód dostawczy z otwartą skrzynią ładunkową i hodował indyki. Wiedziałem, że do naszego domu mógłby go zwabić jedynie mecz bokserski Muhammada Alego. Ale Ali już od dłuższego czasu nie walczył z nikim sławnym i jeszcze nigdy nie pojawił się w naszej śmierdzącej toshibie. Nie byłem fanem Alego, ponieważ był o wiele bardziej arogancki, niż ja chciałem być, i otwarcie przesadzał, opowiadając o swoich zwycięstwach. Ja wołałem, żeby to inni mnie wychwalali.

Ale wybaczyłbym mu wszystko, gdyby swym meczem sprawił, żeby przyjechał do nas wujek Kawayida. Fakt, że nie przychodził do naszego domu, świadczył o tym, że rywalizacja pomiędzy jego żoną a Kłódką wciąż jeszcze trwa. Martwiłem się o niego i jego rodzinę. Miasteczko, w którym mieszkał, leżało na drodze do Tanzanii. Na terenie granicznym Tanzanii i Ugandy aktywne były oddziały partyzanckie, walczące przeciw Aminowi pod przywództwem byłego dyktatora Obote. Aminowi udało się odeprzeć ich atak i w rezultacie poległo wielu napastników, ale nie wiadomo było, co jeszcze nastąpi. A jeśli partyzanci przekroczą granicę i siłą zajmą wujkową okolicę?

Kiedy się nad tym zastanawiałem, byłem pod wrażeniem idei walki partyzanckiej. Pociągało mnie ryzyko i śmiałość tej walki. Wiedziałem, że to, co sam wyprawiałem z Kłódką, było właśnie wojną partyzancką. Nie był to terroryzm, który od czasu spędzonego na wsi kojarzyłem z martwymi psami i nawróconymi na islam mężczyznami, obawiającymi się zapadnięcia na nieuleczalną chorobę fiuta. Partyzantka brzmiała lepiej.

Postanowiłem zakraść się na posterunek Kłódky i dokonać sabotażu jej maszyny do szycia. Po pierwsze, nie miałem z niej zbyt wielkiego pożytku: na moje ubrania zawsze przychodziła kolej na końcu, nawet jeśli jako pierwszy prosiłem o ich naprawę. Chciałem też dotknąć Serenity - według mnie zbyt łatwo się wywijał. Gdyby moja akcja się powiodła, musiałby kupić nowe części do Singera. Wiedziałem również, że przedstawiciel Singera wrócił do Nairobi, Bombaju czy Londynu, co oznaczało, że części trzeba byłoby sprowadzić. W ten sposób mógłbym się zemścić, a także zdobyć pieniądze ze sprzedaży tych części, ale chodziło mi przede wszystkim o to, by uświadomić Kłódcę, że brutalna przemoc ma swoje granice. A poza tym nie mogłem znieść, że despoci ciągle narzekają na Amina: na jego rządy, plutony egzekucyjne, rosnące ceny, niestabilną gospodarkę i okrucieństwo żołnierzy.

Potem miały miejsce wydarzenia, które połączyły mnie z kobietą, w której domu miałem zamieszkać w późniejszym okresie, przez której dziurkę od klucza miałem podglądać, którą miałem błagać, żeby uciszyła moje oszalałe hormony, i której pozbawione ojca dzieci miałem próbować wychowywać. Ale kiedy wdarłem się na posterunek Kłódky, oddziały Amina wdarły się do domu tej kobiety i zabrały ją ze sobą w nieznanym kierunku.

W ciemności kopnąłem puszkę i ruszyłem dalej. Posterunek pachniał bawełną, olejem do smarowania singera, drewnem nocnym ciepłem. W ciemnościach maszyna do szycia wyglądała jak średniowieczne narzędzie tortur, na którym sadystyczni duchowni karali grzeszników w imię jakiegoś świętego celu. Moja pierś kipiała perwersyjną radością, która kompensowała strach.

— Kłódka nie jest twoją prawdziwą matką - szeptała w ciemności Lusanani, a jej

oddech łaskotał mnie w ucho.

Co ona teraz może robić? Czy będę kiedyś razem z nią w ciemności? Byłoby wspaniale właśnie tu, w najświętszym przybytku Kłódki, rozplątać tajemnicę jej *petticoat*.

Wszedłem do pokoju. Zerknąłem na rzeczy w koszu - były to głównie damskie ubrania: sukienki, bluzki i biustonosze, które uszyła Kłódka. Cylindryczny kosz wiklinowy z przykryciem przypominającym kapsel stał pod stołem do krojenia materiału, kilka centymetrów od podbrzusza singera. Wsadziłem palce w niewielkie zagłębienie, śliskie od oleju do smarowania. Wypolerowana stal była nienaturalnie gładka w dotyku. Wyjąłem bębenek, który sprawiał wrażenie cytrynki. Pozwoliłem mu toczyć się po mojej dłoni tam i z powrotem.

Tego ranka, gdy Kłódka przygotowywała się do wkroczenia na swój posterunek, dotarła do nas wiadomość, że ciotka Lwandeka, jej młodsza siostra, miała kłopoty z Wewnętrzną Służbą Bezpieczeństwa. Nie wiadomo było, gdzie teraz jest. Kłódka, obawiająca się najgorszego, natychmiast wyruszyła w drogę. Przez cztery dni w domu panowała przyjemna, lekka atmosfera, a wśród pobliskich drzew śpiewały ptaki.

Nagle wszyscy odetchnęli czystym powietrzem, jakby odświeżająca bryza wywiała zapach rozkładających się zwłok. Gówniarze ścigali się po całym domu, obrzucali zabawkami, brudzili ubrania, krzyczeli, wyzywali się nawzajem i byli rozbawieni jak myszy, gdy kota nie ma w domu. Rozkoszowałem się swoją rolą pobłażliwej opiekunki i pozwalałem im robić to, na co mieli ochotę, pod warunkiem, że nie będą mi przeszkadzać ani sprawiać kłopotów. Na godzinę przed spodziewanym powrotem Serenity do domu zabawa osiągnęła punkt szczytowy. Potem gówniarze zaczęli sprzątać, żeby wszystko było na swoim miejscu, gdy wróci despotaodludek. Serenity był znacznie bardziej odprężony niż zwykle, jakby właśnie rozstał się z ukochaną. Sieć wywołanych troskami zmarszczek na jego twarzy nie była tak głęboka jak zwykle i wydawało się, że chce sprawić, by każdy czuł się dobrze. Zakomunikował nam, że jeśli utrzymany zostanie porządek, domowe sprawy będą załatwione wszyscy będą chodzić do szkoły, każdy może robić to, na co ma ochotę.

Byłem podkomendantem. Cieszyłem się ze swojej pozycji okazji postawienia na swoim. Przewodziłem własnej rewolucji. Pokazując gówniarzom, że można inaczej, słowami, nie różgą, podburzałem ich przeciw Kłódce i sposobowi życia, do którego byli przyzwyczajeni. Najbardziej bojaźliwy gówniarz, który laził teraz za mną jak piesek, dobrowolnie zajmował się szpiegostwem, zdawał relacje z wykroczeń innych, a ja zachowywałem się tak, jakbym je notował, aby nie zabić jego inicjatywy. Pilnował także garnków, słuchał odgłosów parkotania i uważał, by było w nich dosyć wody, nie za dużo,

żeby nie zrobiła się zupa, i nie za mało, żeby jedzenie się nie przypaliło. W razie konieczności miał mnie wołać.

Wziąłem sobie wolne, żeby prowadzić długie rozmowy z Lu - sanani. Weszła na parę minut, ale wyszła, zanim zdążyłem ją oprowadzić po posterunku Kłódki. Byłem rozczarowany. Sądziłem, że cudowna moc moich marzeń zatrzymają na chwilę w najświętszym przybytku Kłódki, a być może i dobrowolnie skłoni do zdradzenia paru tajemnic jej szeleszczącego *petticoat*. Spoglądając za nią, zastanawiałem się, czy Dziadkowi udało się w międzyczasie znaleźć kobietę, która by się o niego troszczyła. Obowiązywał oficjalny zakaz przekazywania wiadomości, którego nie byłem w stanie obejść, aby sprawdzić, jak mu się wiedzie.

Cztery dni poza własnym królestwem wydawały się Kłódce wiecznością. Cztery dni pod czymś dachem, cztery dni liczenia się z czymś podziałem dnia, jedzenia czyichś posiłków, spania w zaimprovizowanych warunkach - to jakby cztery wieczności zmarnowane w piekle. Rozmowy członków rodziny szokowały ją swoją lekkością i przypadkowością. Wydawało się, że czerpali przyjemność z wydmuchiwania w powietrze pierza, by je potem łapać. Kłódka siedziała wyizolowana na swej wyspie powagi próbowała chłodno analizować tragedię, podczas gdy wszyscy wokół niej zdawali się podchodzić do całej tej sprawy bardzo bez troski. Bracia i siostry wyruszyli na wyprawę rozbójniczą na pustynie i mokrądlą młodości, przeszłości, którą ona wołała zostawić taką, jaką była. Po wspominkach o bezzębnych starych kobietach i mężczyznach, starych ubraniach, mszach niedzielnych, ciężkich daniach bożonarodzeniowych i młodzieńczych wybrykach przechodzili wreszcie do jedynego tematu, jaki ją interesował: „Pierwsze dzieci rosną jak należy, późniejsze nie - czy to wina rodziców?”

— Lwandeka była typowym późnym dzieckiem - powiedział w końcu Mbale. - Czerpała korzyści z nasilającej się demencji mamy i taty i zawsze sądziła, że cały świat kręci się wokół niej.

— Mówiono nam, że została aresztowana z powodu korespondencji z niemieckimi sabotażystami. Dlaczego to robiła? Nie wiedziała, że Amin mówi serio? Nie wiedziała, że pisanie listów do Niemców jest niebezpieczne? - zapytał ktoś.

i Tym z nas, którzy otrzymali dobre wychowanie, dobrze się wiedzie - oświadczyła Kłódka. - Ci, którym było łatwo, muszą teraz zapłacić za wolność, jaką kiedyś mieli - dodała spojrzawszy na swoją drugą siostrę, Kasawo.

Według Kłódki obie siostry były dziwkami. Lwandece nie udało się znaleźć nikogo, kto by się zechciał z nią ożenić, przyniosła rodzinie wstyd, rodząc nieślubne dzieci. Kasawo,

najstarsza i najtłuszczej z nich wszystkich, była niewiele lepsza. Miała dziki okres dojrzewania, buntowała się przeciw rodzicom w końcu uciekła z łajdakiem, który pił i bił ją, a raz nawet mało jej nie zamordował. Również i ją ominęło małżeństwo stała teraz na targu, będąc czymś w rodzaju ekskluzywnej dziwki i wiecznej metresy.

Kłódka zarzucała rodzicom, że zaniedbali się w obowiązkach, nie poddając swoich wyrodných córek karze, i uważała, że wszelkie upokorzenia, jakie ich w życiu spotkały, były ich zasłużoną nagrodą. W szczytowym punkcie buntowniczego okresu obie dziewczyny postępowały wbrew woli rodziców, wracały do domu, kiedy chciały, i odmawiały pomocy w pracach domowych. Teraz tarzały się w grzechu, jak świnie w gównie, popełniały te same błędy, co psy pożerające własne rzygowiny. Kłódka była zdania, że zamknięcie w więzieniu było być może najlepszą rzeczą, jaka mogła spotkać jej młodszą siostrę Lwan - dekę, o ile nie została zgwałcona. Areszt uleczyłby ją ze skłonności do korespondencji z rozpieszczonymi Niemkami, dziwkami prawdopodobnie, nie bojącymi się Boga i podjudzającymi kobiety do buntu.

Kłódka ponownie dokonała przeglądu swojej młodości. Jak bardzo namordowała się dla tych ludzi: prała im, gotowała pracowała na polu. Jak bardzo bolały ją plecy po pracach, których wykonania inni odmawiali! Jak bardzo pokaleczona była jej skóra, gdy wracała z lasu, gdzie zbierała drewno na opał dla całej rodziny! Jak bardzo bolał ją kark od noszenia tych wszystkich dzbanków i garnków z wodą na głowie! A rodzice zawsze stawali po stronie młodszych dzieci i właśnie jej przypisywali winę za błędy popełnione przez innych! Jakże lali ją za drobne pomyłki! Pozostawili ją swemu losowi, gdy dokuczano jej w szkole, mówiąc, że niby ją to zahartuje! Mało tego, byli łagodni wobec młodszych dzieci!

Uświadomiła sobie, że jej rola miała być rolą finansisty i że znaczna część jej oszczędności miała zostać wpłacona jako okup za Lwandeke. Dwóch ludzi mających odpowiednie znajomości, wysłanych prawdopodobnie przez tych, którzy wprowadzili Lwandeke, już jej szukało. Zachowywali się tak, jakby zadali sobie wiele trudu, a teraz oczekiwali procentu od okupu i wdzięczności członków rodziny. Kłódka, połączona z powodu finansowej władzy, nie wyrażała otwarcie swych najradykał - niejszych poglądów na temat załamania się autorytetu rodziców. Dlatego też nie połknęła haczyka, gdy Kasawo próbowała ją sprowokować, mówiąc:

— Żadnej z nas nie było łatwo. Ale my miałyśmy odwagę się zbuntować i buntowałyśmy się nadal. W tym cię pokonałyśmy, bo ty bojaźliwie trzymałaś się zasad taty i mamy. Najpiękniejsze w tym wszystkim jest to, że teraz wszystkie same mamy dzieci.

0 Wydziedziczyłaś swoje pierwsze dziecko, bo jego ojciec mało cię nie

zamordował, więc nie masz prawa głosu - wtrącił Mbale, trzeci pod względem wieku.

— Czy twoja żona nigdy cię nie zaatakowała? Poczekaj, aż rzuci się na ciebie z pangą, wtedy będziesz inaczej śpiewał - odpowiedziała dosyć chłodno Kasawo.

— Wszyscy straciliśmy głowę - stwierdziła taktownie Kłódka. - Czy nie moglibyśmy raczej porozmawiać o wiarygodności ludzi, którym mamy dać okup?

Przytłumiło to panujące w rodzinie napięcie. Słowa Kłódki miały największy autorytet. Ale ona sama nie słuchała paplaniny członków rodziny o kobietach, kuzynkach, kuzynach, ciotkach i wujkach. Myślami była znowu w swoim domu zastanawiała się, czy dach jeszcze się nie zapadł. Musiała dalej szyć sukienki i wychowywać swoje dzieci.

Jednak rozmowy wciąż schodziły na jej młodość. Kasawo, urażona niedawnymi uwagami Mbalego, stanęła po stronie najmłodszego brata i oskarżała Kłódkę i Mbalego, że się nad nią znęcali. Napomykała o szczypaniu, wymyślaniu i celowych uciezkach, gdy musiała wieczorem pójść do źródła albo do lasu po drzewo. Kłódkę swędziały ręce, żeby ją trzepnąć, a tym dwóm kazać zmówić różaniec. Ona i Mbale zachowywali się powściągliwie podczas tego ataku, i złość Kasawo szybko opadła. Ponownie zaproponowano jakiś lżejszy temat do rozmowy. Śmiano się i cały dom trząsł się od ciężaru rodzinnej historii, wydobytej z zarośniętych moczarów pamięci.

Kłódkę okropnie złościło wygrzebywanie przeszłości jak grud mokrej gliny, ugniatanie jej w najdziwniejsze formy, nadawanie jej fałszywego blasku i wychwalanie pod niebiosa, niczym jakiegoś Złotego Wieku rodziny. Dla tych wszystkich ludzi jedzenie miało kiedyś lepszy smak, woda była czystsza, roman - tyczność bardziej romantyczna. Plastyczność przeszłości i sposób, w jaki ci ludzie nadawali jej kształt podczas rozmów, napawały ją odrazą, ale w imię rodzinnej harmonii nie sprzeciwiała się tym wersjom przeszłości. Ubolewała nad tym, że można nie zgadzać się z nimi, ale nie można odebrać im ich fantazji. Dziwiło ją tylko, jak powierzchowna jest ich złość, bo nawet jeśli mówili o złych wspomnieniach, sprawiali wrażenie pogodzonych z nimi, ponieważ wszystko to mieli już za sobą. Nie dostrzegali korzyści w awanturach o burze piaskowe, które już dawno ucichły, ani w stawianiu na szali ich obecnego stosunku do tych spraw.

Trzeciego dnia Kłódka zawarła ze swoją rodziną pewnego rodzaju kompromis: tolerowała ich gadaninę tak długo, jak długo nie oczekiwali od niej, by z zapalem brała w niej udział. Widok tych wszystkich szaraczków, taplających się w błocie własnej pamięci, dawał jej poczucie wyższości. Czekano na wiadomości o aresztowanej, które wciąż nie nadchodziły. Cierpliwość Kłódki zaczęła powoli pękać, a potem opadła z niej jak kurz, co spowodowało pojawienie się jedynej osoby, której wolałaby nie widzieć - ciotki Nakibuki. Zawrzała w niej

gwałtowna złość, nienawiść i bezsilne obrzydzenie wgrzyły się w nią głęboko i musiała ostro walczyć nad stłumieniem potężnego wzburzenia w swym wnętrzu. W końcu jednak w jakiś sposób udało się jej przykryć emocje warstewką uprzejmości.

Zazwyczaj bratanice miały dobre kontakty z ciotkami, które towarzyszyły im podczas nocy poślubnej, podczas pierwszego publicznego świętowania ich seksualności. Uwielbiały te ciotki, ponieważ były one świadkami ich przemiany w kobiety oraz symbolem macierzyństwa, a również dlatego, że udzielały im rad, jak mają trzymać mężczyznę w ryzach, jak nim manipulować tak, żeby on sam tego nie zauważył. Ciotki brały na siebie rolę ich adwokata, doradcy i sędziego. Bratanice często mówiły: „nasz mąż zrobił to i to” albo „nasz mąż zagroził, że się z nami rozwiedzie”, albo „nasz mąż nas zdradza...”. Małżeństwo bratanicy było również małżeństwem wybranej ciotki, bo obie miały nadzieję, że będzie udane.

Ale Kłódka nie była pierwszą lepszą bratanicą: zakonnica, która w niej wciąż tkwiła, nigdy nie umrze. Od czasu do czasu wymykała się ze swego płytkiego grobu, aby terroryzować swoje odbicie. Zakonnica w Kłodce brzydziła się tego, co się działo podczas nocy weselnej, i buntowała się przeciw fallusowi. Zakonnica szeptała jej, że co innego zostać przez ciotkę nasmarowaną roztopionym masłem, a zupełnie co innego pozwolić jej być świadkiem pozbawienia dziewictwa.

Kłódka nigdy nie czuła się dobrze przy Nakibuce. Ta kobieta widziała ją nago, co w klasztorze było uważane za zdrożne. W tych czasach w ogóle na siebie nie patrzono, nawet podczas mycia czy wrywania diabelskich włosów. Ciało należało do Chrystusa i tylko do Chrystusa. Nakibuka wiedziała również zbyt dużo o Serenity: czyż to nie ona była tą, która wywołała u niego erekcję? Czy to nie ona była świadkiem jego impotencji i widziała go wystraszonego i pokonanego? Czy to nie ona go umyła, gdy na weselu zaczął się nieprzyzwoicie zachowywać i poszedł hulać z tymi nikczemnymi pijusami i grzesznikami, którzy zapaskudzili jego ubranie wymiocinami?

Ale najgorsze ze wszystkiego było to, że ta kobieta przekazała Serenity rodzinne tajemnice. Tego jej Kłódka nigdy nie wybaczy. Czyż nie opowiedziała Serenity wszystkiego ojej młodości, przezwiskach, o pobycie w klasztorze, o jej rozpaczach po wypędzeniu z niego i o tym, jak zabiła Mbalego? Były to rzeczy, o których nikt nie powinien wiedzieć. Jak śmiała w ten sposób zdradzić rodzinę? Ludzie, którzy mają długi język, dostają zasłużoną nauczkę, i Kłódka była pewna, że Nakibukę również kiedyś to spotka. Była też przekonana, że Nakibuka zawarła pakt z diabłem i chce zniszczyć jej małżeństwo i rodzinę.

Dużo czasu minęło, zanim Nakibuka się zorientowała, że między nią i bratanicą nie

układa się najlepiej. Według własnej oceny dobrze wykonała swoje zadanie, przygotowując bardzo sfrustrowaną byłą zakonnicę do (w oczach rodziny) ważnego małżeństwa. Kosztowało ją to mnóstwo cierpliwości i pochlebstw i oczekiwała w zamian pewnej wdzięczności i serdeczności. Ale widocznie oczekiwała zbyt wiele. Zaproszenia dla Kłódki, by przyszła do niej z wizytą, pozostawały bez odpowiedzi. Podczas każdych odwiedzin u bratanicy na wsi przyjmowana była coraz chłodniej. Jej próby nawiązania rozmowy natrafiały na niewidzialny mur. Wybór Kłódki na matkę chrzestną jej córki okazał się katastrofą. Dopiero wówczas Nakibuka pojęła, że coś jest nie tak, i wycofała się. Pocieszała się myślą, że małżeństwo bratanicy ma solidne podstawy i że jej rada i wsparcie są zbędne.

Mijały lata, a obie kobiety nadal się nie odwiedzały. Małżeństwo Nakibuki zaczęło się psuć: jej mąż chciał więcej dzieci, ona nie - nie widziała korzyści w złym związku i do tego z gromadką dzieci. Zaczął ją okładać kijem. Powiedziała wtedy z naciskiem, że skoro koniecznie musi ją bić, preferuje „własność państwową”, jak w szkole nazywano pośladki. Było to jedyne miejsce, w które nauczyciele mogli bić dzieci, a choć małżonek Nakibuki nie był nauczycielem ani ona uczennicą, wołała takie rozwiązanie. Nie wyobrażała sobie, że miałyby chodźć z podbitym okiem, rozerwaną wargą albo złamanym nosem.

Wraz ze skojarzeniami ze szkolnych czasów, ciągi wymierzane we „własność państwową” ponownie pobudziły do życia uspiętego ducha cielejącej miłości oraz mgliste wspomnienie jej plato - nicznego zakończenia. Z jednego zrodziło się drugie: z popiołu platonicznej miłości wyrosła postać męża bratanicy - Serenity. Coś, co zaczęło się od ociekających ślinką spojrzeń w rodzicielskim domu bratanicy, a wraz z dotknięciem ramienia podczas nocy poślubnej osiągnęło apogeum, wywoływało u Serenity radość i chęć sprawienia Nakibuce przyjemności, kiedy przychodziła z wizytą lub kiedy spotykali się z okazji rodzinnych uroczystości, na które Kłódka nigdy nie chodziła. Podczas jednej z takich okazji, na pogrzebie, rozmawiali ze sobą prawie przez godzinę, gorączkowo i spontanicznie. Zaprosiła go wtedy, by odwiedził ją i męża, w nadziei, że mąż zarazi się jego dobrymi manierami. Serenity jednak do nich nigdy nie przyszedł.

W przeciwieństwie do czasów szkolnych, kiedy w napadzie młodzieńczej niesforności pisała co drugi dzień do nauczyciela, w którym się podkochiwała, a nawet groziła samobójstwem, tym razem była opanowana. Do czasu, gdy w jej snach zaczęły powracać wydarzenia tamtej nocy poślubnej. Do czasu, gdy zaczęła drzeć na myśl o lśniącym męskim członku w upale tamtej małżeńskiej sypialni. Do czasu, gdy serce zaczynało walić jej w gardle, kiedy widziała na ulicy kogoś podobnego do Serenity, a jej mięśnie ogarniał chwilowy paraliż. Do czasu, gdy spocona postać Serenity zaczęła pojawiać się przed nią, kiedy się

kładła, żeby przyjąć uderzenia kijem we „własność państwową”. Wrzeszczała wtedy i błagała, a jej fałszywe, wymuszone bólem miłosne okrzyki sprawiały, że ego męża pęczniało, choć roztaczającą się tajemniczą wilgotność w całej swej fałszywości odzwierciedlała jedynie wilgoć na jej twarzy. Mimo to mąż, z głową rozpaloną uludą, dawał się na to nabrać. Mijały miesiące, a ona czekała, aż Serenity podejmie jakieś kroki. Uczestniczyła we wszystkich spotkaniach rodzinnych, we wszystkich weselach, pogrzebach i zebraniach klanu w nadziei, że zaspokoi swe zmysły jego głosem, jego spojrzeniem i jego zapachem. On jednak wyraźnie jej unikał.

W dniu, w którym pojawił się pod jej drzwiami, w ubraniu przesiąkniętym powietrzem z zewnątrz, w zakurzonych butach, ze skowyczącymi psami w tle, ledwo mogła ukryć podniecenie: pora jego przyjscia wydawała się zbyt dobra, by mogło to być przypadkowe. Na chwilę schowała się w sypialni, żeby się uspokoić i przygotować na odrzucenie oraz płaczliwe sprawozdania o Kłódce i błagania, by pomogła ratować jego małżeństwo. Godnie zniesie odrzucenie, była na to przygotowana. Jednak kiedy wróciła do Serenity, rozmowa zaczęła się jak najbardziej naturalnie, a nabrała niemal zawrotnego tempa, kiedy spostrzegła, że nie przyszedł wcale prosić ją o pomoc, ale właśnie po jej delikatne pieszczoty, jej błogosławieństwo. Nie poszukiwała nowego męża, a on tym bardziej nie poszukiwał nowej żony. Szukała kochanki, a on kochanki. Ponieważ jej mąż był nieobecny, byli sami, a skowyt parzących się psów był zwiastunem tego, co miało nastąpić. Nie mieli odwrotu. Ani ona nie zrezygnuje z Serenity, ani on z niej.

Niespodziewany prąd głębinowy słodkiego poczucia winy sprawił, że głos Nakibuki lekko drżał, udało jej się jednak patrzeć bratanicy prosto w oczy; dzielenie mężczyzny nie stanowiło już tabu, ale mogła się spodziewać napięcia i oporu, jakie czytała teraz w twarzy bratanicy. Wujek, którego bratanek obrabowałby z żony, również popadłby we frustrację i żałowałby, że od dawna nie stanowi to już tabu. Nakibuka była przekonana, że lepiej wygląda i ma więcej pewności siebie od bratanicy, więc może sobie pozwolić na uprzejmość i serdeczność wobec niej. Młodszą kobietę o nędznym wyglądzie starego buta prześladowały przedmałżeńskie, poklasztorne burze, które sprawiły, że wyglądała tak, jakby nosiła na ramionach wszystkie tragedie świata. Jeżeli nie będzie uważała, myślała Nakibuka, w jej włosach niedługo zagnieżdżą się ptaki, jej brzuch będą obwąchiwać dziecihipopo - tamy, a hieny będą wpychać jej pyski pod pachy.

Doszła do wniosku, że Kłódka stanowczo za dużo się martwi, że jest w swoim żywiole, gdy wokół panuje ucisk i nędza, i że jest już zbyt późno, by ją zmienić. Nie wyciągnęła żadnych wniosków ze swoich błędów i zbyt otwarcie czyniła mężowi wymówki,

nic więc dziwnego, że się od niej odwrócił. Nakibuka cieszyła się jednak, że wszystko pozostało w rodzinie. Jeżeli bratanica nie chce dzielić z nią Serenity, niech idzie do diabła.

Kłódka niewiele się odzywała; wołała skrywać swoje uczucia i kazać Nakibuce je odgadywać. Serenity ją zdradził i Nakibuka również ją zdradziła. Nie zmyła jednak głowy Serenity, nie widziała też sensu w sprzecznaniu się z ciotką. Kolejnych dwadzieścia godzin przypominało jej dawne, przyprawiające omdłości uczucie, jakie towarzyszyło jej, gdy siostra Jan Chryzostom wydalila ją z klasztoru. Miała ochotę skrócić Nakibuce kark, ale nie mogła aż tak bardzo się poniżyć. Złożyła swoje doświadczenia u stóp Jezusa, myśląc o Judaszu Iskariocie. Z powodu bliskości puszczańskiej ciotki godziny mijaly jej w rozpacz i samotności pośród tej grupy śmiejących się, romantyzujących, odgrzebujących wspomnienia członków rodziny. Każda minuta raniła ją jak szpony orła. Walczyła z czasem jedyną bronią, jaką miała do dyspozycji: myślą o domu, owłasnym domu, w którym była hegemonem. Cała reszta - rodzina, rozmowy, jedzenie, odgłosy w oddali - niknęła w nieskończonej mgle.

Wieczorem długo rozmyślała w ciemności i spoglądała na gwiazdy. Nagle pomyślała o Mbaziirze i liście do Miss Singer. Czyżby to Nakibuka spletała jej tego figla? Ale skąd mogła coś wiedzieć o Mbaziirze? Niemożliwe.

Kiedy Kłódka jechała autobusem do domu, nie zwracała na nikogo uwagi. Nie zwracała też uwagi, kiedy rodzina żegnała ją lasem machających rąk, błyskiem uśmiechających się zębów i kakofonią wesołej paplaniny. Po drodze naprzykrzali jej się handlarze wciskający swój towar, ale ona niczego nie widziała.

Wchodząc do pagody, drżała z podniecenia, jakby akurat uciekła śliniącym się diabłom. Dom pachniał lekko rybą i mydłem, ale nie zmieniało to postaci rzeczy: zapachy, podobnie jak plagi, zawsze można było zwalczyć. Skontrolowała pokoje, aby się upewnić, że nic nie zniknęło. Wszystko było na swoim miejscu: nie było najgorzej. Nie spodziewała się, że Serenity zostawi taki porządek - zawsze siedział z nosem w książce, a myślami był przy swoich kumplach na stacji benzynowej. To właśnie jest władza, pomyślała. System, który działa nawet wtedy, gdy szefa nie ma w domu. Uciekła z łazienki z powodu smrodu pieluch; jej nos zdecydowanie wołał delikatniejszy zapach oleju do maszyny do szycia. W głowie słyszała już jej przyjemne furczenie. Dźwięk ten przywoływał jej namysł pociąg poruszający się stabilnie po szynach, nie do powstrzymania, niezłomny w swym dążeniu do osiągnięcia celu. Ona sama czuła się jak pociąg. Wyzwała Nakibukę, żeby zablokowała tory. W wyobraźni widziała ją już przejechaną, jak zasługiwała na to każda dziwka, która weszła jej w drogę.

Teraz, gdy jej nerwy całkowicie się uspokoily dzięki swoim dźwiękom i zapachom

własnego domu, poczuła się gotowa do następnego zajęcia: musi uszyć sukienkę dla dziewczynki, która za dwa dni miała zostać ochrzczona. Powinna również uszyć sukienkę dla kobiety, która za tydzień miała iść na wesele. Poza tym czekały na nią najróżniejsze rzeczy do reperacji. Jej życie znowu biegło znajomym torem. Dziewczynka miała pierwszeństwo, bo może zostanie zakonnica, pomyślała Kłódka. Życie zakonne i uroczyste przysięgi wciąż przemawiały do jej wyobraźni. Kiedy zostaje się zakonnica, powiedziała do ścian, zostaje się kobietą kobiet, kapłanką, boginią, królową nieba.

Gdyby Kłódka różniła się od innych dyktatorów i nie cierpiała na zwykłe dyktatorskie choroby w rodzaju wiary we własną nieomylność czy wiary w to, że wszyscy muszą poddać się jej woli, nie poczułaby się tak okropnie, kiedy zauważyła zniknięcie bębena w maszynie. Singer nie robił tego, co chciała, i pozostawał obojętny na jej pochlebstwa. Była zdumiona, kiedy uświadomiła sobie, że nie zrobi niczego bez tego małego elementu, skradzionego przez jakiegoś czorta.

Jak na Boga było to możliwe, że bębenek zniknął? Tylko bębenek, a nie drogocenny uchwyt na igłę albo ubrania czy nożyczki! Co za bezwzględna, wyrachowana kradzież! I co za diabelskie wycucie czasu! W głowie szumiało jej od zdumienia i braku zdolności pojmowania. Wciąż wtykała palec w miejsce po bębenu, które ziało pustką jak splądrowana grotka. Parę razy o mało nie skaleczyła palca wskazującego, bo z roztargnienia nacisnęła pedał. Miejsce po bębenu pozostawało jednak nadal puste.

Przewróciła do góry nogami wszystkie kartony, wszystkie 192 pudełka, przetrzepała wszystkie kawałki materiału i przesunęła każdy mebel, lecz skrajna obraza, skrajny antycud nadal lodowato wpatrywał się jej w twarz.

Gdyby do domu wmaszerował oddział pijanych żołnierzy albo uzbrojonych złodziei, którzy rozkazaliby jej zejść z tronu, odebrali pieniądze i zmusili do wyjęcia uchwytu na igłę, wsadzenia go do torby i wręczenia im z unizonym „dziękuję za kradzież, panowie”, zrozumiałaby to. Rozumiała brutalną przemoc i grubiańską władzę oraz ich skutki, lecz nie podstępą przebiegłość, zwłaszcza że jej postereunek nadal emanował nietykalnością. Zniknięcie serca maszyny i towarzysząca temu obraza wywołały w niej żądzę mordu.

Gdyby była kobietą słowa, wybiłaby przekleństwami dziury w dachu, a pokój nasączyła jadowitą śliną swoich mocnych słów, ale taka nie była. Usiadła na zhańbionym tronie i pozwoliła kotłować się w sobie całej złości, całemu zmartwieniu i wszystkim frustracjom, nie starając się nawet zetrzeć z twarzy spływającej wraz z łzami niepohamowanej rozpacz. Miała ochotę zrobić coś strasznego, coś wyzwalającego, żeby splukać paraliżujące uczucie słabości.

Co za bestia, ludzka czy piekielna, mogła to zrobić w tydzień po tym, jak wychłostała z dwóch młodocianych przestępców siki, gówna i krew? Jaki rodzaj larw załagał się w zgniłym łbie tego złodzieja? Czy kryła się za tym obojętność na ból, czy też pragnienie bólu? Zadrzała na myśl, że ten potwór mógł przybyć na tę planetę z jej brzucha, po dziewięciu miesiącach noszenia, i że był karmiony jej piersią.

Ale ten kierunek badania był zbyt bolesny, by się go trzymać, założyła więc na razie, że przestępca pochodzi spoza rodziny i po prostu wykorzystał jej nieobecność.

Godzinami poddawała nas przesłuchaniu. Najistotniejsze pytanie brzmiało:

— Kto tu przychodził, kiedy mnie nie było?

Kłua nas tym pytaniem, sformułowanym za każdym razem w inny sposób i powykręcany na wszelkie możliwe strony.

Nie wiedziała, w co ma wierzyć, kiedy zaczęły padać odpowiedzi. Po raz pierwszy od początku małżeństwa zauważyła, że jej dzieci się zmieniły: po setkach uderzeń różgą gówniarze stali się bojaźliwi i tchórzliwi i ze strachu przyznawali się do wszystkiego, o co ich podejrzewała. Bardzo utrudniało jej to badanie.

W kulminacyjnym punkcie całej tej sprawy, gdy w głowie szumiało jej od sprzecznych wersji, pomyślała, że winnym jest być może Mbaziira alias Amant. Czy nie nakazała mu szorstko, by trzymał się od niej z daleka? A czy on nie zarzekał się, że nie ma z tym fatalnym listem miłosnym nic wspólnego, co wskazywałoby na jego winę? Czy nie nazwał jej oskarżeń bezpodstawnymi i nie powątpiewał w jej zdrowie psychiczne? I choć nie zagroził podjęciem żadnych kroków, wymknął się w końcu cichaczem. Miał motyw i potrafił wejść do domu. I doskonale wiedział, jak się mają sprawy na Posterunku. A mimo to dzieci twierdziły, że go nie było. Czyżby przyszedł, kiedy nikogo nie było w domu?

W całym tym zamieszaniu z mętnych wód umysłu Kłódki wyrosła jak lewiatan Lusanani. Kobieta, która zadawała się z młodymi chłopcami, musiała mieć perwersyjną naturę, zwłaszcza kobieta, która wyszła za mąż za mężczyznę na tyle starego, że mógłby być jej ojcem, a nawet dziadkiem. W pojęciu Kłódki takie nieumiarkowanie wynikało z występnych niezrównoważonych skłonności. Czy Lusanani nie była niedawno uwikłana swymi rogami w rogi innej kobiety, która ją napadła, ponieważ Lusanani odmawiała spłaty dwuletniego długu? Sporo jadu uwolniło się tego dnia i splamiło niewinne dusze. Ostatecznie tamta kobieta oskarżyła Lusanani o to, że poszła do łóżka z jej mężem.

Dla Kłódki było jasne, że Lusanani jest nieczułą złodziejką, która z premedytacją usidliła jej syna, aby uzyskać dostęp do bębenka, do dziewictwa jej syna i Bóg wie czego jeszcze. A jej mąż udzielił jej *carte blanche* na grzeszenie, oświadczając:

— Moje żony nigdy nie pożyczają pieniędzy ani niczego innego. Zabroniłem im.

Kłódka nie mogła uwierzyć własnym uszom; słowa Hadziego niczym potężna zasłona dymna skryły mroczne postęпки młodej złodziejki. Nabrała jeszcze większej odrazy do tej brodatej postaci; jeszcze mniej mu ufała. Wierzyła, że bez wątpienia miał coś wspólnego z tym, co było między Serenity a Nakibuką, bo przecież zarazasz się od tego, z kim się zadajesz. Każdy, kto siedział przy stole z tym zatwardziałym poligamistą, nabierał na widelec jego poligamicznych manier. Złorzeczyła temu człowiekowi i życzyła mu, żeby trafił razem ze swoimi czterema żonami do jakiegoś dołu z piachem albo do kryminalnej dzielnicy, najlepiej do jakiejś ponurej dziury, położonej z dala od kogokolwiek i czegokolwiek, gdzie zginąłby z powodu swoich pogańskich manier.

W połowie śledztwa zaczęła ożywać we mnie nadzieja: tak, Kłódka się zmieniła albo właśnie się zmienia. Okazała duże opanowanie: nikogo nie uraziła i po raz pierwszy, jak sięgała moja pamięć, zdawała się szanować nasze ciała, mimo okropnej boleści, jaką odczuwała. Mogła ustawić nas w rządku i bić na oślep, aż z naszej skóry pozostałyby strzępy, ale wydawało się, że tym razem w jej głowie zapaliła się inna lampka. Zastanawiałem się, czy nie istniała jakaś możliwość potajemnego wsadzenia bębenka z powrotem do singera, żeby nie musiała dłużej cierpieć. Miałem nadzieję, że w najbliższych dniach znajdę sposób, by go oddać, na przykład podkładając w jakieś miejsce, w którym znajdzie go jeden z gówniarzy.

Śledztwo przerwała dobra wiadomość, że Lwandeka po krótkiej rozprawie została zwolniona. Ale Kłódka, zamiast wydobyć się ze swej zapaści, zdawała się jeszcze głębiej w niej pogrążyć. Widocznie według niej siostra znowu zbyt łatwo wyszła z kłopotów, niczego się nie nauczywszy. Zamiast radości, że ktoś uniknął drogi krzyżowej, w domu nadal wisiał urażony trupi zapach.

Kłódka w podlejszym nastroju podjęła na nowo śledztwo. Jej opanowanie z poprzednich dni zniknęło. W jej głowie dźwięczał łoskot pociągu, który się właśnie wykoleił i rozbił.

— Czy wstępowała tu Lusanani? - zapytała.

— Tak - odpowiedziałem.

— Po co?

— Żeby porozmawiać - odparłem cicho.

— Ile razy ci mówiłam, że masz się od tej kobiety trzymać z daleka? Czy to ona ukradła mój bębenek?

— Lusanani niczego nie ukradła.

— Może ty to zrobiłeś? Któż by inny? To w końcu ty byłeś w domu, czyż nie? A

może zlecił jej tę brudną robotę?

Omało nie spadła z krzesła, jej mięśnie były napięte jak mięśnie konia przymierzającego się do skoku przez wysoką przeszkodę.

— Kto był odpowiedzialny za dom? Odpowiedz!

— Tata - odparłem nieśmiało, żeby się nieco pohamowała i żeby podzielić winę na bardziej poręczne kawałki, największy dla jej współdespoty.

Nagle wyrosła wysoko nade mną, zasłaniając mi wszystko swoją pofałdowaną, powiewającą spódnicą.

— Ty, ty, ty, ty - zadyszała gorącym oddechem w moje czoło. - Ty, ty, ty, ty i tylko ty!

Przy każdym słowie uderzała mnie mocno w głowę kostkami zwiniętej w pięść dłoni. Jakby ptak mnie dziobał. Z trudem powstrzymałem się, żeby nie zacząć krzyżeć. Zmieniło to wszystkie moje plany. Nie zwrócę bębenka. Nigdy mnie nie złamie tak jak gówniarzy. Może się wściekać i wrzeszczeć, może nawet złamać mi nos czy rękę, ale drogocenny bębenek, który stał się jeszcze bardziej drogocenny z powodu niedoboru artykułów na rynku, wykreowanego przez mego ojca chrzestnego, Idi Amina, pozostanie w ukryciu. Był teraz mój. Zasłużyłem na niego. Jeżeli nie uda mi się znaleźć na niego kupca, będę zadowolony, gdy zniknie w gównie i wśród larw wychodka.

— Tak, miałem zajmować się domem - powiedziałem, żeby się trochę uspokoiła.

Cieszyłem się, że Azjaci wyjechali, a wraz z nimi ostatni przedstawiciel Singera. Miałem nadzieję, że w pobliżu nie mieszka ani jeden właściciel takiej samej maszyny dysponujący zapasowym bębenkiem. Miałem nadzieję, że singera Kłódki pokryje kurz i stanie się wylęgarnią pajaków.

Cieszyłem się, że wciągnąłem w to Serenity: będzie musiał poszukać nowego bębenka albo zapytać Hadziego Gimbi, czy zna kogoś, kto mógłby sprowadzić go z Londynu lub jakiegoś innego miasta. Będzie to kosztowało trochę czasu. Byłem zadowolony.

Kłódka na moich oczach rozpadnie się z niecierpliwości. Będzie musiała poszukać innego zajęcia, mniej związanego z jednym miejscem, jak na przykład sprzedawanie ryb na brudnym targu Owino, gdzie będzie musiała wdychać smród rozkładających się wnętrzności, zepsutych ryb, zgniłej kapusty i odpadków, a poza tym będzie musiała znosić poniżenie w postaci konieczności konkurowania z innymi przekupkami czczącymi diabła i innymi handlarzami służącymi mamonie. W porze deszczowej, kiedy targ zalewało, a zapaszki gnijących towarów unosiły się w powietrzu jak śmierdzące wodne potwory, łapiące oddech, mogła nawet, jeśli o mnie chodzi, przewrócić się w zdradliwych kałużach błota i potoczyć

pod nogi wiarołomnych kupców.

Serenity grał swą zwykłą opieszalą grę i zastanawiał się, dlaczego ktoś ze wszystkiego, co było do ukradzenia, musiał ukraść akurat bębenek. Obiecał poprosić Hadżiego Gimbi pomoc w poszukiwaniu nowego bębenka. „Hadzi, Hadzi, Hadzi...” - parskała Kłódka z rozszerzonymi dziurkami nosa kroplami potu na twarzy.

Jad niepewności drażył coraz głębiej jej świadomość: kto napisał ten list do Miss Singer? Kto buchnął drogocenny bębenek? Czy Serenity naprawdę poszedł do łóżka z jej ciotką? Czy naprawdę komuś zależało na tym, żeby jej życie się wykoleiło i żeby ją zniszczyć?

Wciąż zamartwiała się i wypełniała cały dom swoim jadem, więc wszyscy byli zdenerwowani. Siedziała na swoim tronie, z włóczką do szydełkowania na blacie singera, ze stopami na wpół na pedale, na wpół na podłodze, i z lodowatą wściekłością osoby knującej mroczny plan wkłuwała w robótkę gruby, metalowy haczyk. Posterunek był po brzegi wypełniony mroczną ciszą cmentarza, na którym straszy. Kłódka stała się niebezpieczna: moje rzeczy były codziennie bezlitośnie przeszukiwane. Czatowała na Lusanani na skraju podwórza. Ale ostrzegłem Lusanani, żeby się spokojnie zachowywała, i spotykaliśmy się wyłącznie w drodze do studni.

Pewnego popołudnia, kiedy szorowałem dywan, wsadziłem rękę pod zieloną kanapę i znalazłem tam elegancki pęk pięciu wysuszonych różeg z guavy, świeżo przyciętych z obu stron! Biada złodziejowi, który trafi do niegościnnego krajobrazu ducha Kłódki! Z pewnością zginie, rozbijając się na bezlitosnych skałach tego krajobrazu. Co za szczęście, że byłem prawdziwym złodziejem. Takie możliwe do przewidzenia plany zemsty nie robiły już na mnie najmniejszego wrażenia.

Jasne było, że tym razem Kłódka nie będzie czekać do wieczora i zacznie działać wcześniej rano, kiedy Serenity uda się do pracy. Złodziej będzie musiał zostać w domu, nie pójdzie do szkoły. Drzwi zostaną zamknięte, klucz zniknie w kieszeni Kłódki, a potem pójdzie w ruch różga, w piekielnej wściekłości i orgiastycznym pędzie. Uśmiechnąłem się arogancko, pogłaskałem pęczek różeg jak wiernego psa i wróciłem do czyszczenia dywanu. Jedyną rzeczą, która mnie martwiła, było to, że Kłódka w swojej frustracji wymyśli jakiś powód, powiedzmy złą ocenę z pytania, aby sprawić lanie jednemu z bezbronnych gówniarzy. Czy ten pęk różeg wskazywał na przewidywalność posunięć Kłódki, na rodzicielską zawziętość czy despotyczną bezwzględność? A może na wszystko razem?

Kłódka co wieczór, po modlitwie, czytała teraz fragmenty Starego Testamentu. Zaczęła wzywać Boga, by ujawnił imię złodzieja. Kiedy nie uczynił tego, wezwała Go, by

swą potężną moc, której użył do wyzwolenia Izraela z Egiptu, zaangażował do odnalezienia jej bębenka. Pod odurzającym wpływem wiary każdego ranka, każdego popołudnia i każdego wieczoru zaczynała szukać w najdziwaczniejszych miejscach, jakby Wszechmocny ze względu na jej powagę miał spuścić bębenek z nieba niczym metalową mannę, żeby zaspokoić jej głód cudu.

Im intensywniejsze stawały się te poszukiwania, tym bardziej byłem zdumiony jej ślepą wytrzymałością. W pewnej chwili wpadłem prawie w panikę. Czyżby jak moi biblijni bohaterowie miała sen, w którym zostało jej w przybliżeniu ujawnione otoczenie i położenie miejsca, w którym ukryłem bębenek? Przypomniała mi się ślepa wiara, jaką jeszcze nie tak dawno temu darzyły mnie jako maskotkę położnice i jak niektóre z nich zostały nagrodzone synami. A jeśli wiara Kłódki również zostanie teraz nagrodzona?

Zacząłem śnić koszmary, w których moja dręczycielka pochyła się nade mną z bębenkiem w jednej, a młotkiem w drugiej ręce.

Kłódka zaostrzyła swoją kampanię terroru, czytając nam przejmujące nas strachem fragmenty ze Starego Testamentu i modląc się, by złodziej zaraził się trądem lub jakąś inną okropną chorobą. Widziałem, co trąd zrobił Palcom: jego dłonie były okaleczone, a na kikutach palców miał obrzydliwe czerwone blizny. A jeśli łądygi trzciny cukrowej, które dostawałem od niego, wydzielaly bakterie, które mogły zostać uaktywnione wyłącznie przez zlorzeczenia i modlitwy Kłódki?

Tymczasem ona bombardowała nas Księgą Wyjścia 32, mówiła o Izraelitach, którzy zgrzeszyli stworzeniem Złotego Cielca, trzech tysiącach ludzi, którzy umarli, gdy Bóg uciszył swój gniew, i o chorobie, którą dodatkowo zaraził jeszcze tych, co przeżyli.

Kiedy przyzwyczaiłem się już do tego ognia zaporowego, dała nam po głowie Jozuą 7 na temat chciwości Akana. Wersy 19 - 22 przeczytała bardzo powoli:

— „Synu mój, daj chwałę Panu, Bogu Izraela, i złóż przed Nim wyznanie. Powiedz mi: Coś uczynił? Nic nie ukrywaj przede mną!«. Odpowiedział Akan Jozuemu: »Istotnie zgrzeszyłem przeciw Panu... ujrzałem między łupem piękny płaszcz z Szinear, dwieście syklów srebra i pręt złoty wagi pięćdziesięciu syklów. Zapragnąłem ich i zabrałem je. Są one zakopane w ziemi na środku mego namiotu...«,,

Może powinienem się przyznać, powiedział wewnętrzny głos. Ale co się stało z biednym Akanem? Został pojmany i uprowadzony do doliny Akor (Niedola) wraz ze swoimi synami i córkami, swoim bydłem, osłami, kozami i kurami, z namiotem wszystkim, co do niego należało, łącznie ze skradzionymi rzeczami. Tam został ukamienowany i spalony i wtedy gniew Pana ustąpił. Tłumacząc to na współczesny język, potrzeba by skóry z twoich

pleców, nóg i pośladków oraz pięciu zniszczonych od bicia różeg z guavy, aby zaspokoić gniew Kłódki. Jeszcze nie upadłem na głowę. Właściwie Kłódka, czytając takie obrzydliwe teksty, strzelała we własną stopę, ponieważ złodziej stawał się tym bardziej nieugięty. Generał Idi Amin, mój ojciec chrzestny, nigdy nie mówił o męczennikach. Mówił jedynie o ocaleniu samego siebie. Nigdy ponownie go nie rozczaruję, dając się sprać tej kobiecie za nic albo za coś, co potrafię utrzymać w tajemnicy. Była to wyraźnie wojna psychologiczna, a ja byłem mądrzejszy niż mój zacięty wróg.

Serenity prowadził własną wojnę psychologiczną. Kiedy żona zaczęła szpikować rodzinę odrażającymi scenami plag, jego własna plaga potajemnej miłości jeszcze bardziej się w nim utwierdziła. Kiedy Kłódka czytała o Akanie i jego chciwości, Serenity sam stał się Akanem, oglądał skarby, które Bóg nakazał zniszczyć, i nie mogąc opanować pokusy, zabrał coś dla siebie. Rozkoszował się opowieściami o osobistych potyczkach, bo rozpoznawał w nich siebie samego, a one rozjaśniały jego trudną sytuację. Kiedy szedł do Nakibuki, omawiali razem te przerażające biblijne fragmenty, śmiali się do późna w nocy i ostatecznie kończyli gwałtowną grą miłosną. Grzeszenie jeszcze nigdy nie było dla Serenity tak słodkie, jeszcze nigdy nie wyzwalało w nim takiego słodkiego zaspokojenia. Dawał się zupełnie ponieść, łącznie ze stękanem, które zdawało się wydobywać z głębi krtani i końca jego kręgosłupa. Wychowanie, które otrzymał, nauczyło go czuć respekt wobec władzy, przeceniać ją i nie dowierzać jej, ale teraz czuł się uwolniony od łańcuchów młodości i ziejących przepaści młodzieńczych lat. Nakibuka nie potrzebowała go, nie opierała się na nim, nie wywierała na niego żadnego nacisku: pragnęła jedynie tego, bez czego mógł się obejść, a o im mniej prosiła, tym bardziej gorączkowa była jego wola dawania.

Kłódka nie była głupia: doskonale wiedziała, że człowiek przyzwyczaja się do wszelkich potworności, jeżeli zbyt długo jest na nie narażony. Natychmiast skończyła z przerażającymi historiami i zanurzyła się w galaretowatych wodach psalmów. Wyławiała z nich linijki portretujące ją jako dobre, cierpiące indywiduum. Miała nadzieję, że subtelność, współczucie dla samej siebie i porcja staromodnej sentymentalności zadziałają tam, gdzie zawiodło łamiące kości okrucieństwo. Wyobrażając sobie, że widok potężnego despoty na kolanach wystarczy do roztopienia serc i przenoszenia gór, oddawała się namaszczonej psalmom z delikatną, dziewczęcą maską na twarzy.

Patetyczne grubiaństwo tego wszystkiego było dla mnie śmieszne. Po bezlitosnym bombardowaniu teraz te zaślinione pocałunki! A wszystko po to, by wydobyć ze mnie samobójcze przyznanie się do kradzieży, które zostanie nagrodzone bezlitosną karą! Od tej wyrafinowanej dwoistości robiło mi się niedobrze i żałowałem, że nie ukradłem jeszcze

czegoś, wartego więcej niż dziesięć bębenków.

Do Ciebie, Panie, wołam, Skąło moja, nie bądź wobec mnie głuchy, bym wobec twego milczenia nie stał się jak ci, którzy zstępują do grobu.

Usłysz głos mego błagania, gdy wołam do Ciebie, gdy wznoszę ręce do świętego przybytku Twego.

Nie gub mnie z występnyimi i z tymi, co czynią nieprawość, co rozmawiają przyjaźnie z bliźnimi, a w duszy żywią zły zamiar.

Odpłać im według ich czynów i według złości ich postępów!

Ta podstępna suka!

Aby przypomnieć złodziejowi, że jej zaślinione błagania o Bożą pomoc wcale nie zmieniły jej nastawienia do przestępstwa, Kłódka wyjechała ze słynnym „wężycielem”, świętym Judą Tadeuszem, patronem detektywów oraz stróżem i wybawcą desperatów. Cieszył się on opinią świętego pomagającego zarówno martwym, jak i żywym. Pobożni katolicy nazywali go pieszczotliwie „karabinem maszynowym”. Wystarczyła jedynie wiara i nowenna, a czarodziej sklejał złe małżeństwa, odnajdywał dryfujące w rzekach ciała, troszczył się o to, by biedni stali się bogaci, leczył oziębłość, impotencję, rzeżączkę i syfilis, a zrozpaczone bezpłodne kobiety obdarowywał pomarszczonymi małpkami i tłustymi prosiaczkami, o jakich marzyły.

Ujęła mnie ta sztuczka: drżałem z napięcia. Kiedyś na własne oczy widziałem, jak kuglarze chowali w dłoniach monety, a potem zbierali je z czyjegoś karku. A jeśli ten facet był o wiele potężniejszy od naszego sztukmistrza z postaju taksówek? Dobrze pamiętałem, ile Mojżesz musiał znieść ze strony egipskich kuglarzy, którzy robili wszystkie sztuczki, jakie on już znał. Wystarczyło, by święty Juda Tadeusz zesłał Kłódce proroczy sen albo udzielił jej wskazówki, żeby przekopała ogród, i bębenek znowu będzie jej. A jej zemsta słodka. Natychmiast postanowiłem wykopać bębenek i schować go w inne miejsce. Kiedy wstawałem rano, byłem skąpany w zimnym pocie. Gdy w nocy coś zaczynało mnie swędzieć, podrywałem się gwałtownie i biegłem do światła, żeby zobaczyć, czy święty nie zesłał na mnie trądu. Kiedy zaciałem się żyłką podczas obcinania paznokci czy temperowania ołówka, bałem się, że nie przestanę krwawić, aż zrobi się z tego cała rzeka, a ze mnie wyłudzone zostanie wyznanie.

Na ratunek przyszedł mi mój przyjaciel od „Wyspy skarbów”. On także był katolikiem. Miał ciotkę, która swego czasu była fanatyczną wielbicielką świętego Judy Tadeusza. Odbywała nieustanne pielgrzymki do jego ołtarza i codziennie gorąco się do niego modliła. Wydawała mnóstwo pieniędzy na biednych. Zapraszała do domu kulawych. Modliła

się na kolanach, aż skóra na nich zrogowaciała. Ale już dziesiąty rok z rzędu była nieplodna i gorzko rozczarowana. Była okropnie zła na świętego wężyciela. Miała wrażenie, że ją wykorzystał. Potrafiłem to zrozumieć.

Po pierwszej nowennie nic się nie wydarzyło. Psalmiczny sentymentalizm Klódki pogłębił się jeszcze i zarządziła kolejne dziewięć dni modlitw do świętego Judy Tadeusza. Przestała rano, w południe i wieczorem szukać swojego zaginionego skarbu. Stalowa manna, o której myślała, że spadnie z nieba, leżała bezpiecznie zakopana w ogrodzie, w miejscu, przez które codziennie przechodziła. Za trzecią nowennę trzeba by umrzeć ze wstydu. Psalm wreszcie się wyczerpały. Klódka wyglądała na załamana. Serenity był tym dramatem ubawiony. Na początku tych codziennych modłów rzucał żonie obojętne spojrzenie, jakby chciał zapytać: czym ty się przejmujesz? - po czym znowu spoglądał w bok.

W głębokim przekonaniu, że nawet Bóg Wszechmocny nie może przywrócić bębenka, kupił w końcu dolary na czarnym rynku i poprosił jednego ze swoich przyjaciół o sprowadzenie bębenka z sąsiedniej Kenii. Dziewięćdziesiąt dni po zniknięciu starego bębenka przybył nowy. Klódka szalała z radości pomimo zakłopotania, w jakie wprawiły ją bezowocne modlitwy.

Kilka kobiet, których zlecenia nie zostały wykonane na czas, porządnie ją zwymyślało, obwiniając o celowe działanie. Przyrzekły nigdy więcej do niej nie przychodzić, ale parę z nich się wyłamało, a Klódka przyjęła ich zlecenia, nie wypominając im ostrych słów. Monotonny szum maszyny wymasował jej z głowy wszystkie wariactwa i ponownie ją uspokoił. Jej pociąg znowu stał na właściwych torach, a ona wyglądała pogodnie, ustały jej budzące niepokój ataki depresji. Ja jednak wiedziałem, że wciąż jeszcze jest niebezpieczna: czekała, aż złodziej się zdradzi i wpadnie w jej zabójcze ręce. Byle nie ja. Bębenek pozostał tam, gdzie był, jak złoto czekające na przybycie pirackiego statku.

Zbliżał się czas, gdy miałem pójść do innej szkoły. Nie chciałem iść do szkoły katolickiej. Chciałem spróbować się dowiedzieć, jakie plany miał wobec mnie Serenity, despota decydujący o wykształceniu. Ale nie mogłem zapytać go o to wprost, bo despotycznych tajemnic nie wyjawia się wprost. Jedyne, co mogłem zrobić, to szpiegować go. Zleciłem moim wiernym gówniarzom, by go śledzili, słuchali, co mówi podczas oglądania telewizji, i poruszyli niebo i ziemię dla zdobycia potrzebnych mi informacji. Czekałem cierpliwie i co drugi dzień pytałem, co podsłuchali. Nie ma o czym meldować, mówili. Aż pewnego dnia, tuż przed wiadomościami, Serenity zaczął o szkołach, ale spiker wpadł mu w słowa. Znowu minęło kilka tygodni. W końcu jednemu z najlojalniejszych gówniarzy udało się. Któregoś popołudnia podsłuchał despotów rozmawiających na Posterunku.

— Sprowadzi go to na prostą drogę - mówiła Klódka.

— Oferują dobre nauczanie. A nie masz pojęcia, jakie złe stały się szkoły państwowe. Są uczniowie, którzy przynoszą do szkoły nóż, niektórzy nawet pistolet, grożą nimi nauczycielom i rektorom. Dzieci żołnierzy zepsuły nasze szkoły. Mugezi potrzebuje spokojniejszego otoczenia.

— Moi rodzice byliby szczęśliwi, mając wnuka, który zostanie księdzem. Mógłby zostać księdzem parafialnym albo kierownikiem seminarium, a może nawet biskupem.

— Kościół jest niesamowicie bogaty - przyznał Serenity. - Mądry ksiądz może nieźle zarobić.

— Myślisz tylko o pieniądzach - powiedziała Klódka karcąco.

— Nie chcę, żeby moim dzieciom było kiedyś ciężko. Powinny móc jeździć dużymi samochodami, mieszkać w dużych domach i dostać to, czego ja im nie mogę dać.

— Najpierw musi im się udać przeżyć te trudne czasy.

Wciąż byłem niespokojny. Przez tydzień codziennie chodziłem do niecki, by w burzliwych falach tłumu zatracić siebie samego, swego bluesa i swą bezsilną złość. Marzyłem o trzęsieniu ziemi, które przyniosłoby kres wszystkiemu. Nasłuchiwałem, czy ziemia już nie drży, przygotowując się do następnego apokaliptycznego wybuchu. Ale niestety, moja głowa wypełniała się jedynie nieustannym warczeniem pojazdów, wiecznymi krzykami domokrażców, zaklinaczy węży i handlarzy na stoiskach.

Co za pożytek z księdza? - myślałem. I te obrzydliwe szaty! Celibat też był zdecydowanie nie dla mnie. Już dawno temu postanowiłem mieć w przyszłości trzy żony. I wiedziałem na pewno, że z zarobkami adwokata będę mógł zapewnić im wygodne życie. Moim zdaniem kościół potrzebował ludzi bez jaj, takich jak gówniarze, a nie mnie, gotowego pójść za wezwaniem generała Amina do samoobrony. Generał nie był orędownikiem Kościoła i obwiniał duchownych o mieszanie się w politykę, co wynikało z przeszłości, podczas gdy w ogóle nie zajmowała ich korupcja wewnątrz kościelnej struktury.

Nie zamierzałem zamieniać jednej dyktatury na drugą. Jako adwokat z pewnością również spotykałbym dyktatorów, ale wówczas miałbym możliwość walki z nimi, możliwość wymierzania im ciosów i mszczenia się na nich. Jeśli nauczyłem się czegoś w ciągu lat spędzonych u despotów, to tego, że dobrze jest drogo sprzedawać swą skórę, co zresztą cały czas robiłem, ale że jeszcze lepiej jest samemu być sędzią i katem.

Despotyczna decyzja posłania mnie do seminarium została wsparta wiadomością, że król Fajsal z Arabii Saudyjskiej złoży wkrótce wizytę państwową w Ugandzie. Klódka zaczęła narzekać, że Uganda stanie się krajem muzułmańskim, wszystkie kościoły zostaną

zamknięte, księża i zakonnice pojmami lub wymordowani albo zmuszeni do nawrócenia się na islam, a poligamia będzie na porządku dziennym. Pogłoska o islamizacji była równie mroczna jak głoszony w latach pięćdziesiątych antykomunizm, kiedy obawiano się, że komuniści przejmą władzę, pozamykają kościoły, wymordują kler, będą się żenić z zakonnicami oraz wprowadzą wymianę partnerów i wspólną własność.

— Najpierw wyrzucił misjonarzy, potem Brytyjczyków, Izraelitów, Azjatów, a teraz zamierza sprowadzić Arabów, tych starych handlarzy niewolników, którzy nas nazywają niewiernymi - jęczała Kłódka. - Kadafi będzie tu spędzać weekendy i pilnować przymusowego nawracania. A Fajsal przyjeżdża po to, żeby się upewnić, że Amin się nie ociąga.

Według niej wszyscy Arabowie byli handlarzami niewolników, natomiast wszyscy Izraelici należeli do narodu, którego losy śledziła w Biblii. Białe ludy, pobłogosławione przez Księgę, stały na tym samym poziomie co Izraelici. W jej oczach biali nie mogli zaszkodzić nikomu tak długo, jak długo czynili to, co nakazał im Bóg: podbijali świat i ratowali go przed niebezpieczeństwem islamu. Natomiast czarne rasy miały za zadanie ofiarować swoją siłę i pomoc. Z tego samego powodu Kłódka uważała również, że nie ma niczego niewłaściwego w starej misjonarskiej taktyce osłodzonej inwazji, wojnach religijnych i politycznej interwencji.

Serenity miał bardziej inteligentne podejście do całej tej sytuacji. Po pierwsze, nie mieszał ze sobą dzisiejszych Arabów i wschodnioafrykańskich handlarzy niewolników ani nie mylił współczesnych Izraelitów z biblijnym narodem, który i tak nie robił na nim zbyt wielkiego wrażenia. Jeśli chodzi o białe rasy, podziwiał ich technologie i życzył sobie mieć równie dużo władzy, ale nie widział w nich wybrańców Boga. Ideę narodu wybranego uważał za dosyć absurdalną. Aż nazbyt dobrze wiedział, co się działo podczas dwóch wojen światowych. Głupkowate rzezie w okopach w czasie pierwszej wojny światowej przypominały mu kolonialne pola bitew w Trzecim Świecie. Przeprowadzane z zimną krwią ludobójstwo podczas drugiej wojny światowej ugruntowało w nim jeszcze bardziej sceptyczny pogląd na temat białych. Na płaszczyźnie osobistej nigdy do końca nie uporał się z szokiem wywołanym utratą przez wujka nogi w czasie drugiej wojny światowej w Birmie, z powodu miny przeciwpiechotnej. Wujek odwiedzał ich dwa razy w roku, i wtedy to właśnie on musiał myć i opatrywać mu kikuta. Potem przez kilka dni nie jadł mięsa. Nie mógł wybić sobie z głowy miękkości tego, co pozostało z nogi wujka. W dodatku wujek przestał mówić, co napawało Serenity lękiem. Co się błąkało po głowie tego człowieka? Dlaczego przestał mówić? Co widział przed sobą pod koniec dnia, kiedy te wszystkie rozmowy bzycały mu w głowie? Z powodu okaleczonego wujka Serenity nabrał odrazy do przemocy. Za każdym

razem, gdy ogarniało go uczucie, że zaraz wybuchnie ze złości, myślał owujku i powstrzymywał wybuch. Kiedy dorósł, jego strach przed białą rasą jeszcze się zwiększył. Wierzył, że biali mogą z łatwością wysadzić w powietrze cały afrykański kontynent, gdy będzie im to odpowiadało. Próbował kiedyś zmodyfikować nieco poglądy żony na temat białych, ale zrezygnował. Podobnie jak Bóg, Kłódka była nieosiągalna w sensie politycznym.

— Nikogo się nie zmusza do przechodzenia na islam - powiedział Serenity po chwili, która wydała mu się wiecznością.

— Przekupują ich - odparła Kłódka, myśląc o doktorze Ssalim, szwagrze męża. - Dostają samochody, posady, awanse, wszystko po to, żeby przeszli na islam.

— Ludzie sami wybierają, co dla nich najlepsze - stwierdził Serenity.

Rozczarowana Kłódka rzuciła się do szpiegowania dzieci, które łąpczywie jadły albo dmuchały na jedzenie, żeby szybciej ostygło, zamiast cierpliwie czekać, jak robili to przyzwoici ludzie, albo zjadały najpierw mięso czy rybę, albo mlaskały i siorbały, albo rozchlapwały zupę po stole. Dzięki Bogu znowu wszystko toczyło się normalnym trybem.

Doszedłem do wniosku, że Kłódka zaostrzyła kampanię antyislamską, żeby odpędzić mnie od Lusanani - przedsięwzięcie szlachetne, lecz daremne. Lusanani była moją współwinowajczynią. Dała mi do zrozumienia, że robi dla mnie praktycznie wszystko, czego zdecydowanie nie mogłem powiedzieć o Kłódce. Zacząłem już układać sobie mglisty plan, co zrobić, żeby nie pójść do seminarium, a choć nie wiedziałem jeszcze, jaką rolę odegra w nim Lusanani, postanowiłem postarać się, żeby ostatecznie w nim wystąpiła.

Tymczasem byłem zaaferowany zbliżającą się wizytą króla Fajsala. Wciąż wzrastał mój podziw dla mojego ojca chrzestnego. Wyrzucił z kraju wszystkich obcokrajowców plus jeszcze paru nieroztropnych misjonarzy, a po sponsoring zwrócił się do świata arabskiego. Mądrze pomyślane. Widziałem w telewizji fragmenty jego wizyt u arabskich przywódców. Pięknie to wyglądało. Cieszyłem się z przyjazdu króla Fajsala.

W szkole zmieniono plan lekcji. Co rano mieliśmy gimnastykę, atletykę, śpiewaliśmy hymn narodowy, recytowaliśmy wiersze, uczyliśmy się tańców i ćwiczyliśmy pochód ze szkolnym zespołem.

Miasto drżało oczarowane wizytą państwową dostojnego gościa: sklepy obwieszono papierowymi flagami Ugandy i Arabii Saudyjskiej. Na innych budynkach powiewały prawdziwe flagi. Wszystkie sklepy przeszły operację plastyczną, a niektóre ulice na nowo wybrukowano. W telewizji codziennie pojawiał się generał Amin; wygłaszał przemówienia, sprawował nadzór nad pracami na drogach, otwierał nowe szkoły i szpitale oraz powoływał różnych funkcjonariuszy. Dawał znak startu podczas Rajdu Safari i sam brał w nim udział

swym citroenem maserati. Był nieposkromiony, niezmordowany i niezbędny jak powietrze.

Żołnierze dostali nowe mundury, nowe buty z cholewami i nową broń. Spotykaliśmy ich na ulicy w drodze do szkoły i ze szkoły, nieugiętych jak drzewa, oddanych jak oddziały samobójcze. Kiedy przechodziłem obok nich, czułem się dumny. Byli tam dla mojego dobra i dla dobra kraju. Wystarczyło, bym kiwnął palcem, a rzuciliby mi się na pomoc, radośnie skowycząc jak wierne buldogi. Zrobiłem się ustępliwy i szczodry wobec despotów, bo wiedziałem, że gdybym dał znak żołnierzom, wpadliby w niezłe tarapaty.

W dniu, w którym miał przybyć król Fajsał, staliśmy wzdłuż drogi z dwiema chorągiewkami w rękach: zieloną Arabii Saudyjskiej i czarnożółtoczerwoną Ugandy. Niedźwiedź Amin wystawał jak dźwig ponad królem, który podczas jazdy stał niepewnie na nogach, chwiejąc się tam i z powrotem w metalicznym powietrzu poranka. Świeciło słabowite słońce, a lekka parność powietrza przenosiła nas tysiące lat wstecz, do wizji biblijnego Eliasza: z naszego asfaltu wzniósł się w niebo ognisty rydwan. Kiedy przejeżdżał obok zgromadzonego tłumu, każdy zdawał się wołać: „Ojcze, ojcze, nie opuszczaj mnie!”.

W zamian otrzymaliśmy uczniowski grymas Amina i nieruchomą rękę króla, zastygłą w geście pozdrowienia. Twarz króla również była nieruchoma, a jeśli nawet tak nie było, każdy grymas ginął wśród licznych zmarszczek. Ten chudy, stary człowiek przypominał mi Abrahama. Patrzył na świat z wysublimowaną godnością kogoś, kto bardzo spokojnie podchodzi do życia i śmierci. Wyglądał jak ktoś, w kim życie i śmierć zlewają się z sobą.

Nie przystanął przy naszej szkole - najwyraźniej nie byliśmy na tyle ważni, by zatrzymać życie i śmierć na kołach. Osobiście nie byłem rozczarowany. Doznałem wrażenia, że dotknęła mnie jego szata. Nie bałem się już śmierci, bo wydało mi się nagle, że król zdobył nade mną władzę i zabrał wszystkie moje obawy. Jeżeli ten człowiek chciał zislamityzować Ugandę, to z mojej strony nie było przeszkód. Kadafi nie zrobiłby tego, prawdopodobnie dlatego, że był zbyt niespokojny - jak ktoś, kto chce zbyt wiele udowodnić, kto podrzucił naraz zbyt wiele piłeczek. A ten człowiek patrzył obcymi oczami wieczności, nie musiał niczego udowadniać, w każdym wypowiedzianym przez niego słowie pobrzmiewały echem wieki oraz siły nieba i ziemi. Uległem jego urokowi, ponieważ bardzo tego chciałem. To była władza, jakiej w swym życiu poszukiwałem. Chciałem uwolnić kilku ludzi ze szcęk śmierci, a innych skazać na wnętrzności piekieł. Tygodniami śniłem o królu Fajsału. Ale były to niewinne sny, w których niewiele się działo.

Serenity i jego koledzy ze stacji benzynowej uważnie śledzili zmiany w kraju. Rozmawiali o tym godzinami, poszukując najlepszego sposobu wkroczenia w przyszłość.

0 Otwieram sklep dla moich kobiet - oświadczył Ha - dzi. - Wy też tak zróbcie.

Mój bank to sfinansuje. Pomyślano wszystkim, by pomagać przedsiębiorcom. Trzeba tylko przedłożyć wykonalny plan, a wtedy bank pożyczycy pieniądze. Złączmy nasze siły, zanim będzie za późno.

— Nie jestem biznesmenem - mruknął Serenity. - Już na sam widok wystawy z towarami dostaję gęziej skórki.

Jego dawne uprzedzenia wciąż jeszcze w nim tkwiły. Nadal nie mógł pozbyć się swego irracjonalnego strachu wobec sklepów i sprzedawców.

1 Problem z wami, katolikami, jest taki, że potraficie być tylko naśladowcami - powiedział Hadzi, gdy patrzyli na popołudniowy ruch uliczny, w którym od czasu do czasu przejeżdżało auto z nalepką Arabii Saudyjskiej. - Zawsze szukacie kogoś, za kim moglibyście podążyć, słuchać go, pracować dla niego. Jesteście wychowani w szacunku do autorytetu władzy i nie umiecie ryzykować. My, muzułmanie, jesteśmy z natury szachrajami stale poszukującymi swojej szansy, szparki, przez którą moglibyśmy się precyzyjnie. A teraz nastąpi rząd ludzi czynu, ci, którzy się ociągają, zostaną w płonącym domu.

Perły przed świnię; na Serenity nie robiło to żadnego wrażenia.

— Ludzie nie zmieniają się w ciągu jednego dnia - zauważył.

— Po raz pierwszy w historii tego kraju władzę zdobyli muzułmanie i muzułmanin zwraca się do swego brata katolika, aby podali sobie nawzajem ręce i wyszli naprzeciw pomyślności - powiedział Hadzi.

— Chcę walczyć na własnym terenie. Zdecydowałem się na Związek Zawodowy Urzędników Poczty. Chcę zostać członkiem zarządu, skarbnikiem albo kimś w tym rodzaju. To jest moją ambicją - wyznał Serenity.

— Szepnąć za tobą słówko? - zapytał Hadzi z uśmiechem spiskowca.

— Jeśliby to było możliwe, byłbym ci wdzięczny - odparł Serenity powściągliwie. - Człowiekowi z wieloma gębami do wyżywienia może się przydać każda pomoc.

— Znam ludzi, którzy mogą łokciem uderzyć we właściwe żebra. Nie zapominaj, że Amin nadal jest u władzy. Ci, którzy myślą, że jutro zniknie, odpokutują za to.

Wewnętrzna szarańcza znów zaatakowała jelita i pierś Serenity. W uszach rozbrzmiało mu paranoidalne białolenie żony. Czego zażądają jego dobroczyńcy w zamian za pomoc? Nawrócenia się na islam czy wstąpienia do Służby Bezpieczeństwa? Organy bezpieczeństwa zaczęły już infiltrować urzędy, ale Serenity nie zamierzał maczać w tym palców. Chciał wypytać Hadziego o owych dobroczyńców, jednak nie udało mu się znaleźć słów, które by nie sugerowały, że jego przyjaciel zadaje się z niewłaściwymi ludźmi.

— Dam ci znać, kiedy nadejdzie na to czas - powiedział w końcu, pozostawiając w ten sposób szparkę w drzwiach i do niczego się nie zobowiązując.

— Nie będą chcieć od ciebie niczego niebezpiecznego. Pomagam ci tylko dlatego, że jesteś moim przyjacielem i sąsiadem, człowiekiem, któremu mogę powierzyć nawet swoje życie.

Serenity nie udało się wywieść go w pole; Hadzi wyczuł jego przezorność.

— Jestem ci bardzo wdzięczny za twoją propozycję - odparł Serenity. - Kiedy będzie głosowanie, dam ci znać.

— Zastanów się spokojnie, ale nie czekaj zbyt długo.

Wciąż miałem na głowie jeden palący problem: jak wymigać się od seminarium. Przy dwóch różnych okazjach prosiłem Serenity o pozwolenie odwiedzenia Dziadka na wsi. Miałem nadzieję, że Dziadek zgniecie w zarodku ten idiotyczny pomysł. Jednak Serenity za każdym razem odsyłał mnie do Kłódki, która kazała mi klęczeć przez dziesięć minut, po czym odrzucała moją prośbę. Byłem wściekły. Miałem pieniądze za skradziony bębenek, ale nie mogłem ujawnić mojej finansowej sytuacji. Moje kuglarskie pudełko było puste: Łodyga, sobowtór Głupiego A, poradził mi, żebym nigdy dwa razy nie stosował tej samej sztuczki. Ale co w takim razie miałem zrobić? Postanowiłem poprosić go o pomoc.

Mój związek z Łodygą miał swój początek w czasach pisania przeze mnie listów. Pomogłem mu w stworzeniu paru epistoł do dziewczyn, na które miał oko. Dwie z nich złapał w swoje sieci, ale nigdy mi nie zapłacił. Obiecał jedynie, że odwzajemni się usługą. Był duży i ciemny, miał urok pochlebcy i siłę przekonywania, choć przez cały czas w niego wątpiono. Wszyscy chłopcy z naszej klasy podziwiali Łodygę i bali się go, ponieważ pochodził z północy, urodził się na surowych równinach północnej Ugandy. Gdy był dzieckiem, odszedł od nich ojciec, żołnierz, i matka wychowywała go sama. Przemierzyła z nim długą asfaltową drogę na południe, do Kampali. Podobnie jak matka Kawayidy, sprzedawała naleśniki, żywność i co się tylko dało, by utrzymać siebie i syna przy życiu. A jaki dziarski młodzieniec z niego wyrósł! Był przepelniony wściekłą pewnością siebie, wywodzącą się z nienawiści i zbyt dobrej znajomości społecznego podbrzusza. Prawie o wszystkim miał własne zdanie. Do nas, przybyszów ze środkowej części kraju, mówił często: „To nie Brytyjczycy zepsuli ten kraj - to wasi liżący im stopy przodkowie i wasi cheiwi przywódcy, i wasz król, który na koniec sprzedał kraj Obote”. Z powodu naszej lojalności byliśmy w większości zdumieni, że publicznie odcina się od Obote, swojego krajana z północy. „Sprzedawanie kraju Obote sprowadza się do tego samego, co sprzedawanie go Aminowi - dodawał. - Nie narzekajcie więc, jeśli to wszystko źle się skończy, i poddajcie się karze jak prawdziwi mężczyźni”.

Ponieważ nie mogliśmy w żaden sposób dojść do tego, po czyjej jest stronie, nie zabieraliśmy głosu.

Przez dłuższy czas Łodyga starał się, by polityczne zapatrywania Dziadka zostały w mojej głowie dokładnie wymieszane. To, że nauczyłem się ich na pamięć, w rzeczywistości ich nie rozumiejąc, było problemem drugorzędym. Nie mogłem ich zanalizować. Gdy tylko próbowałem je rozgryźć, rozpadały się w proch jak zbutwiały papier. Powoli jednak zacząłem zadawać sobie właściwe pytania: czy Łodyga miał rację, twierdząc, że gdyby nasi przywódcy nie oscylowali pomiędzy protestantyzmem, katolicyzmem, islamem i pogaństwem, może mogliby powstrzymać szerzenie się brytyjskiej władzy kolonialnej i imperializmu? Czy nasze oddziały na początku wieku były silniejsze od oddziałów brytyjskich we wschodniej Afryce? A jak to w takim razie było z karabinem Maxima kapitana Lugarda? Nie, Łodyga się mylił - Brytyjczycy i tak by przyszli. W dramacie mojego kraju jego przywódcy odegrali podrzędną rolę.

Chętnie przedstawiłbym Dziadkowi poglądy Łodygi i stanąłbym po stronie Łodygi tylko po to, by trochę dokuczyć staruszkowi, ale nie dostałem pozwolenia, by do niego pojechać.

W dziedzinie seksualnej Łodyga również nas wychowywał. Wprowadził nas w świat pism porno. Miał wujka w wojsku, które szmuglowało je z Kenii. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem, jak wyglądają pod habitem białe zakonnice. Niektóre modelki były tak podobne do zakonnice z parafii w Ndere, że w pierwszej chwili pomyślałem, że to ich siostry albo one same. Większość modelek nie była biała, ale złotobrazowa, jak ciasto biszkoptowe. Parę z nich przypominało Mulatki albo potomstwo ze związków azjatyckoafrykańskich. Mieliśmy do Łodygi mnóstwo pytań. Skąd wydawcy tych pism brali takie piękności? Nie było wśród nich żadnej otyłej czy brzydkiej, wszystkie były bardzo atrakcyjne. I jak udało im się je przekonać, żeby pozowały nago, z tyłkami w powietrzu jak szarańcza, z lśniącymi, zapraszającymi, różowymi wargami i gapiącymi się brązowymi słoneczkami? Może to nie były prawdziwe kobiety, ale lalki? Jaka szkoda, że Dziadek był już taki stary: gdyby tylko mógł to zobaczyć!

Byłem na tyle uprzywilejowany, że mogłem te pisma studiować tak długo, jak chciałem. Inni, mniej szczęśliwi podglądacze, musieli płacić - pieniędzmi lub w naturze. Łodyga podrzucał nam też książki - takie jak „Wszystko, co należy wiedzieć seksie” czy „Kompletny podręcznik seksu”. Uwielbiał patrzeć na nas, kiedy odczytywałem na głos fragmenty z tych książek, otoczony grupką podnieconych twarzy. Były w nich intrygujące słowa, jak penis, sperma, nasienie, srom, pochwa. Łodyga kazał nam powtarzać je głośno, ale

nie wyjaśniał nam, co oznaczają. Nie był też zbyt dobry w udzielaniu odpowiedzi na pytania. Każdy chciał znać różnicę między sromem i pochwą, spermą nasieniem, on jednak odmawiał wyjaśnień.

Łodyga wyjaśnił mi również, dlaczego Kłódka zbiła mnie na kwaśne jabłko w dniu plamy czerwonego atramentu.

— Matki zawsze zachowują się tak, jakby nie krwawiły, oszustki - powiedział, śmiejąc się.

Byłem zbyt rozzłoszczony, żeby się śmiać.

— Szkoda, że nie słyszałeś tych dziecinnych, płaczliwych odgłosów, jakie wydają, gdy się je pieprzy.

Zaryczał ze śmiechu i dał mi w ramię mocnego kuksańca.

Kiedy dołączyliśmy do grupy, powiedział:

— Wasze matki są wszystkie co noc pieprzone, chyba że krwawią. Wasi ojcowie wsadzają swoje... w... waszych matek.

Musieliśmy uzupełniać brakujące słowa. Ktoś chciał dokładnie wiedzieć, jak ojcowie wlewali swoje... w ich matek... Ktoś inny zasugerował, że używali do tego może łyżki albo lejka. Łodyga o mało się na niego nie rzucił; nie mógł uwierzyć, że tak mało wiedzieliśmy.

Nasz wspaniały kolega nie bał się nauczycieli, a szczególne upodobania przejawiał w dręczeniu damskich członków grona pedagogicznego. Właśnie w ten sposób dorobił się przydomka „Łodyga”, ponieważ prowokował nauczycielki, mówiąc: „Błagam, dolej mi łydęgą trzciny, suko”. Pierwsza sprowokowana w ten sposób nauczycielka biła go, aż cała oblała się potem, a pod pachami i między piersiami wystąpiły jej mokre plamy. W końcu poddała się. Łodyga chętnie kładł się do bicia na ziemi, a kiedy potem wstawał, miał ogromną erekcję. Stał wówczas podparty pod boki, z penisem wydymającym rozporek niczym wielki, niecierpliwý szczer. Nauczycielki po pierwszym takim doświadczeniu zaczęły wysyłać go do kierownika szkoły albo do kolegi nauczyciela.

Kiedy spotkałem Łodygę w drodze do szkoły, wyłożyłem mu swój problem z seminarium. Klepnął mnie w plecy i powiedział, że to bez znaczenia. W klasie wyrwał drogocenną stronę z jednego z pism pornograficznych, na którym dziewczyna ze złotymi włosami i niebieskimi oczami siedziała okrakiem na krześle. Potem wyrwał czystą stronę z zeszytu, zgiął ją i naszkicował na niej głowę nauczycielki biologii, przerysowując celowo jej fryzurę, nos i wargi. Przykleił szkic na głowie nagiej dziewczyny, a potem powiesił swoje dzieło na tablicy.

Nauczycielka zastała w klasie pikantny zgiełk, który zamarł, gdy tylko weszła.

Postawiła teczkę na krześle, spojrzała na tablicę i doznała ciężkiego załamania nerwowego.

- Ktorkto?!
- Ja - odezwał się Łodyga swym kontrabasowym głosem z końca sali.
- Dlaczego?
- Nie podoba się to pani?
- Zdejm to świństwo z tablicy i wyjdź z klasy. I wróc dopiero za miesiąc.
- Wolę dostać łodygą - odparł Łodyga spokojnie.

Omało nie wybuchnęliśmy śmiechem; nasz bohater zaraz na pewno pokaże jej rasową erekcję, naszą erekcję, naszą ripostę. O, co za odwaga!

- Wyjdź, powiedziałam.
- Proszę, niech mnie pani zbije, niech mnie pani zbije, błagam...
- Wyjdź, wyjdź, wyjdź! - wrzeszczała nauczycielka.
- Dolej mi łodygą, suko.

Zaczęliśmy wyć, a z podniecenia uderzaliśmy w ławki. Z kącików oczu spływały nam łzy. Łodyga był naszym mścicielem. Ale się rozkoszowaliśmy poniżeniem tego babsztyla z dyndającymi cyckami! Zazwyczaj nie zastanawiała się dwa razy, kiedy sięgała po różgę i kazała nam przynieść dziesięć wiader wody, które musieliśmy wylać na trawę przed klasą. Ale Łodyga był nietykalny.

Najspokojniej w świecie podszedł do tablicy, zmierzył nauczycielkę wzrokiem, zdjął swoje dzieło i zniknął z klasy. Co za dramatyczny efekt! We mnie jednak narastały wątpliwości: czy Kłódkę miałem również potraktować w ten sposób?

Na przerwie w południe Łodygę otoczyli wielbiciele, ale ignorował ich. Kiwnął na mnie i mojego kolegę od „Wyspy skarbów”, którego każdy nazywał „Wyspa”. Plac zabaw rozbrzmiewał hałasem, a słońce wisiało nad nami jak kula ognia i siarki, gdy szliśmy przez boisko. Dwa tarasy niżej leżał „ring”, dół z piaskiem, gdzie ćwiczyli skoczkowie w dal, a nasi klasowi piniacze wyżywali się w konfrontacjach, w których dozwolone były wszelkie chwyt. Potem połknęły nas zarośla manioku i taro. Smagane suchym wiatrem zarośla trzeszczały i szumiały, a ostre liście łaskotały i kłuły nasze gołe nogi. W dolinie strzelały w niebo olbrzymie drzewa, z wierzchołkami przypominającymi papirusy na mokradłach u stóp Mpande Hill.

W pewnej odległości od drzew i zarośniętej ścieżki leżał martwy mężczyzna w czarnej koszuli i niebieskich spodniach, z twarzą do ziemi i rozłożonymi rękami, jakby czołgał się w stronę drzew.

- Chciałem wam coś pokazać - powiedział Łodyga.

Gdzie siedziały te osławione muchy? Dlaczego się nie bałem?

Wyspa natomiast narobił do spodni i zaczął niezłe się trząść. Prawdopodobnie od śmierci Babci takie rzeczy już mnie nie ruszały.

Zaraz potem zobaczyliśmy ciało kobiety. Leżała na plecach, z prawą ręką na twarzy, jakby osłaniała oczy przed słońcem.

Spała? Jak to możliwe, że nie było żadnego śladu śmiertelnej walki?

— Kto ich zamordował? - zapytałem.

— Może właśnie nasz przyjaciel - powiedział Łodyga i wskazał na Wyspę.

— Nnnie, nie ja.

— To kto? - spytał Łodyga. - Ja?

Przypuszczałem, że po tym, jak nauczycielka biologii go wyrzuciła, poszedł się włóczyć po okolicy, znalazł zwłoki i pomyślał, że może nas tym przestraszyć.

Łodyga spojrzał na mnie i podszedł do ciała kobiety. Podniósł stopą jej spódnicę.

— Chcecie zobaczyć jej...

Popatrzył na Wyspę i zmusił go do uzupełnienia brakującego słowa. Wydawało się, że ten zaraz ulegnie napięciu. Łodyga złapał go za kark i pchnął jego głowę w dół. Żółty strumień, niczym płynne złoto, posączył się w trawę.

— Tchórz - powiedział Łodyga, puszczając chłopaka. - Ci ludzie są martwi, a mimo to boicie się ich. Dlaczego? Gdybyście nie byli moimi przyjaciółmi, zmusiłbym was, żebyście ich rozebrali i z powrotem ubrali. Lekcja się zaczyna, chłopcy - oświadczył.

Czy odpowiedział na moje pytanie? Oczywiście nie. Zawsze wolałem ludzi mówiących jasnym językiem, a to sprowadzało się do pustych fraz i także teraz byłem, jak tyle razy, zdumiony. Nie rozumiałem nawet, po co pokazał nam te ciała. Mogłem jedynie wyobrazić sobie, że chciał nam w ten sposób udowodnić, że niczego się nie boi. Czy spodziewał się, że będę traktować swoich wrogów w ten sam nieustraszony sposób? Czy to się za tym kryło?

Lusanani połknęła moje dziewictwo między ścianami rozpadającego się domu, w którym dokonaliśmy również transakcji z bębenkiem. Zamiast liczyć i dzielić pieniądze, skwapliwie badaliśmy nawzajem nasze ciała, czerpiąc z tego tyle przyjemności, ile się dało. Pokonywałem wreszcie ostatnią przeszkodę w drodze do dorosłości. Dręczył mnie jednak żal: wciąż myślałem, że powinienem był poprosić ją o to dużo wcześniej. Aby nadgonić stracony czas, starałem się jak najwięcej nią rozkoszować.

Znowu byłem na moim ukochanym drzewie, przesiąknięty zapachem dojrzałych owoców chlebowca, moje gruczoły wydzielały ślinę, a przez ciało przeszła fala zadowolenia.

Lusanani wzdychała jak dziesięć krzaków podczas wichury, a ja starałem się odkryć w jej jękach podobieństwo do stękania rodzących kobiet ze wsi i okropnego głosu kobiety na postoju taksówek. Moim największym osiągnięciem tego wieczoru była okazja poznawania jej i zawiadanie jej tajemniczymi, mglistymi, bagnistymi terenami na tak długo, jak chciałem. Wybrudziłem się jej sokami i wróciłem do domu, pachnąc jak przejrzały owoc chlebowca. Było już bardzo późno. Kłódka wychodziła z siebie. Zapytała, gdzie się podziewałem. Odpowiedziałem, że byłem przy studni, z oczami migoczącymi z dumy po mojej seksualnej wyprawie. Spodziewałem się, że będzie komentować moje nowe „perfumy”, ale nie zwróciła na nie uwagi. Byłem dumny, że nie jestem już prawiczkim, i dawałem to po sobie poznać. Z pewnością teraz Kłódka porzuci plany związane z seminarium, bo nie nadaje się już do celibatu. Niemal zaśmiałem się jej w twarz.

Rozkoszowałem się nowym uczuciem niebezpieczeństwa i chodziłem z piersią wysuniętą do przodu. Nie obawiałem się już Hadziego Gimbi, bo to, co on potrafił, potrafiłem również i ja. Teraz chciałem, żeby Kłódka nas przyłapała, ale czy Lusanani się na to zgodzi? Narazi tym swoje małżeństwo, choć wątpiłem, czy to tak prędko nastąpi. Była najmłodszą żoną i miała po swojej stronie moc pożądliwości. Wiedziałem, że może sobie na wiele pozwolić.

Za pierwszym razem, kiedy poinformowałem ją o swym planie, odmówiła wzięcia w nim udziału. Uważała, że lepiej byłoby wysłać do mnie list miłosny. Ale Łodyga ostrzegał mnie, żeby nigdy dwa razy nie stosować tej samej sztuczki. A ja chciałem spowodować natychmiastową reakcję. W końcu zgodziła się, a ja ponownie wróciłem do domu mocno pachnący. Kłódka krzyczała i darła się na mnie, ale nie podjęła żadnej bezpośredniej akcji. Wyglądało na to, że mam nad nią przewagę.

Wyznaczonego dnia wykąpałem wszystkich gówniarzy, poza jednym. Noc szybko zapadła. Poleciałem nieumytemu gówniarzowi, by został w łazience, i udałem się na skraj podwórza. Lusanani trochę kazała na siebie czekać, ale w końcu przyszła. Kiedy wszyscy członkowie rodziny weszli do środka, przemknęliśmy do pagody; przed nami były stopnie schodów i mrugające w oddali miasto. Stałem odwrócony plecami w stronę, z której miała nadejść Kłódka. Udawaliśmy, że się pieprzymy. Hadzi wyjechał na parę dni. Serenity był na stacji benzynowej. Wszystko przebiegało według planu. Rozmawialiśmy o szkołach, do których chodziliśmy. Marzyłem o uniwersytecie i tytule prawnika.

— Do tego czasu zupełnie o mnie zapomnisz - szepnęła Lusanani.

— Nigdy - odparłem szczerze. - Przyrzekam ci.

Staliśmy w przejściu między dwoma pagodami. Nagle Lusanani krzyknęła:

— *Allah akbar!*

Dostała w głowę końcem kija. Kłódka rzuciła się za nią, ale Lusanani uciekła, więc skupiła się na mnie. Miała w rękach gruby kij i biła mnie po ramionach, po plecach i po nogach. Mogłem ochraniać jedynie głowę. Nie miałem ochoty stracić oka. Jednak moje ręce szybko zdrętwiały od ciężkich ciosów. Próbowałem kopnąć Kłódkę w brzuch, ale uderzyła mnie w tył głowy. Tego dnia to ona wyszła z walki zwycięsko.

Przez tydzień nie miałem czucia w lewej ręce. Bałem się, że uschnie. Modliłem się do wszystkich bogów, żeby tak się nie stało, bo nie chciałem być zmuszony do brutalnych aktów zemsty. Na szczęście po dziesięciu dniach czucie zaczęło stopniowo wracać. Zanim upłynął miesiąc, mogłem dźwigać.

Mój czas pobytu u despotów zaczął się od krwi - krwi Babci - i zakończył się również niemal we krwi - mojej własnej. Serenity powstrzymał Kłódkę przed zgłębianiem udziału Lusanani w tej aferze. Powiedziałem mu, że to wszystko jest moją winą. Powiedziałem mu też, dlaczego to zrobiłem. On tymczasem był już mniej więcej przekonany, że to ja stałem za listem do Miss Singer oraz kradzieżą bębenka, i oboje z Kłódką chcieli się mnie pozbyć. Serenity zaproponował, żeby wysłać mnie do Kasawo, ale Kłódka uznała, że to zły pomysł. Seminarium miało się zacząć za czterdzieści dni. W końcu jednak wysłano mnie do ciotki Lwandeki. To była ulga.

Byłem wyczerpany konfliktami. Czuję się jak zdarty i popękany stary but. Nie było czasu do stracenia. Seminarium, które chciałem jak najszybciej mieć za sobą, stanowiło okrężną drogę do zdobycia wykształcenia, które pozwoli mi zostać adwokatem. Choć tego okresu z pewnością nie można było porównać z eksplozją, dał mi on przedsmak tego, co Dziadek miał na myśli, twierdząc, że nowoczesne państwo jest prochownią, którą rozsadzi seria wybuchów. Moim skrytym życzeniem było nie mieć z tymi wszystkimi morzami ognia nic wspólnego.

Księga czwarta SEMINARIUM

W sercu autokracji, w języku ludu znanym lepiej jako seminarium, gnieździł się wąż z trzema jadowitymi głowami: pranie mózgu, rozszczepienie świadomości i stara, dobra dyktatura. Głowy te współpracowały ze sobą niczym Diabelska Trójca; wbijanie nowych idei miało na celu zerwanie wszelkich związków pomiędzy myślami, uczuciami i czynami uczniów, czego rezultatem miały być podatne na ugniatanie istoty, które duchowieństwo, stojące na czele systemu, mogło potem dobrze wykorzystać.

Seminarzyści byli w teorii sierotami lub bastardami, pozbieranymi przez ojców w brudnym, grzesznym świecie i poddawany drylowi, aby pewnego dnia, gdy Bóg tego

zechce, mogli zacząć pomagać w świętym kapłaństwie. Dlatego zadaniem seminarzysty było podobać się, być posłusznym, uległym i niezawodnym. Seminarzysta musiał zrezygnować ze swojej osobowości i seksualizmu i dobrowolnie stać się eunuchem. Musiał całkowicie poświęcić się powołaniu, za co w dniu święceń zostaną mu powierzone skarby Królestwa Bożego. Seminarzysta najbardziej jeszcze przypominał uczniadziwkę świątynną: powierzał siebie samego i swoje prawa Kościołowi, który mógł z nim zrobić i pozwolić innym zrobić, co się mu żywnie podobało, łącznie z odrzuceniem. Jeśli się nie poddał i pokonał wszelkie trudności, czekała go nagroda: wszystko, czego wyrzekł się na ziemi, miało mu być zrekompensovane w zaświatach.

Podobnie jak domowa dyktatura, którą miałem za sobą, seminarium było szkołą aktorstwa, ponieważ i tutaj przeżycie oznaczało uczenie się coraz to nowych ról i granie ich w jak najlepszy sposób. Należało zgadywać myśli zwierzchników, mówić to, co chcieli usłyszeć, pokazywać im taką twarz, jaką chcieli zobaczyć, i suflerować im - bo i oni grali jakąś rolę. Im szybciej nauczyłeś się dobrze grać, tym dłuższe twoje życie seminaryjne i tym większa szansa, że przetrwasz do otrzymania święceń i do czasu, gdy wierni będą wic się u twych stóp, abyś ich pobłogosławił i żeby zostali wybawieni od zła i własnych grzechów.

Seminarium było podobne do każdej innej umiarkowanie surowej szkoły w latach siedemdziesiątych i z pewnością nie było świętym ogrodem pełnym posłusznych, anielskich dzieci, które między lekcjami przyglądały się motylkom i zbierały kwiatki. Wprawdzie uczniowie nie nosili w teczkach broni, ale wobec nowicjuszy z powodzeniem stosowali mniej śmiertcionośną metodę: przez wiele długich nocy prawie w ogóle nie dawano nam spać. Całe bandy dręczycieli z drugich klas, którzy sami jeszcze cierpieli z powodu ran zadanych im podczas pierwszego roku, napadały nas, kiedy robiło się ciemno, najczęściej po zgaszeniu świateł, i wyrządzały spore szkody.

Ataki te nie nadchodziły niespodziewanie - już od pierwszego dnia wiedzieliśmy, że coś tu śmierdzi. Na początek starsi chłopcy wypróbowywali swoją świeżo zdobytą władzę, wymyślając przezwiska dla nowicjuszy albo przekazując im własne stare przezwiska. Kopali nowych, wygwizdywali ich i nazywali buszmenami. Ale to była zaledwie gra wstępna.

Pierwszej nocy ci odważniejsi chłopcy, uzbrojeni w kije, młoty kowalskie, kable elektryczne i co tylko mogli znaleźć, przyszli nas zbudzić (jeżeli zasnęliśmy) i na nowo podejmowali motyw dnia. Tych, którzy udawali, że śpią, przed wyciągnięciem z łóżek oblewano zimną wodą. Potem podzielono nas na małe grupki poprowadzono do najdalej z tyłu położonej części sali, w której spaliśmy. Znajdowała się tam platforma przypominająca wydłużone podium (pomieszczenie to było kiedyś salą rekreacyjną). Musieliśmy uklęknąć na

podłódze i z podniesionymi do góry rękami recytować Psalm 23: „Pan jest moim pasterzem... Stół dla mnie zastawia...”. Był to stół, który nasi mistrzowie przygotowywali dla nas przez cały rok. Zostaliśmy zmuszeni do zmówienia „Ojcze nasz”, zdrowaśki i jeszcze paru innych modlitw, stojąc, siedząc, klęcząc, pochylając się, z rękami do góry lub obracając nimi tam i z powrotem. Tych, którzy nie dość szybko to robili, kopano albo poganiano kijami. Ktoś przytaszczył ogromne wiadro zimnej wody i duży dzbanek. Zapowiedziano rozpoczęcie ceremonii chrztu. Staliśmy na jednym końcu podium, a na drugim ustawiono krzesło. Usiadł na nim chłopak w habitcie, z papierową mitrą na głowie, a obok niego stanął chłopak z wiadrem. Chłopak w zakonnych szatach był arcykapłanem mającym przewodzić ceremonii. Pojawił się jeszcze jeden chłopak w habitcie, który trzymał w ręce kartkę papieru i dawał nam, jednemu po drugim, znak, byśmy na kolanach podchodzili do stóp arcykapłana. Chłopak w habitcie oświetlał kartkę latarką, czytał nazwisko i szeptał arcykapłanowi do ucha nowe imię kandydata. Potem arcykapłanowi wręczano dzbanek i oblewał kandydata wodą, wymawiając następujące słowa:

— Chrzczę cię w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Od tej pory nosisz imię Nosorożec - albo inne, wymyślone przez nich. - Niech cię Bóg błogosławi, mój synu, odejdz w pokoju.

Przed chłopakiem w habitcie trzeba było powtórzyć swoje przezwisko, podziękować arcykapłanowi, a potem przejść na kolanach na drugi koniec podium.

Cztery sale sypialne nosiły oficjalnie nazwy będące imionami ich patronów, ale na dzień był to Watykan, Mekka, Przylądek Dobrej Nadziei oraz SingSing. Ja byłem w SingSing, najbardziej osławionej ze wszystkich sal, miejscu pobytu wagarowiczów i zbirów, zaniedbanym i stęchłym, w którym nieustannie wymierzano kary. We wszystkich czterech salach odbywała się ta sama ceremonia chrztu, choć w naszej sali przebiegała ona nieco inaczej niż w innych. SingSing wyróżniał się z powodu swego specyficznego położenia - znajdował się na samym końcu terenu szkoły, blisko toalet, akacji i ogrodzenia. Starsi chłopcy w SingSing zachowywali się w taki sposób, że każdy buszmen zastanawiał się, dlaczego ojcowie na to zezwalają, bo na pewno wiedzieli o uroczystości wtajemniczenia.

O godzinie drugiej tej pierwszej nocy, gdy dopiero co znowu zasnąłem, a rosa cienkimi, krętymi strumyczkami ściekała po cynowym dachu, nastąpiło kolejne zamieszanie: hałas wyrwał nas ze snu. Musieliśmy w piżamach stanąć między dwoma rzędami łóżek. Po sprawdzeniu, czy jesteśmy w komplecie, wysłano nas do toalety, dziesięć metrów dalej. Porę wybrano celowo: było bardzo zimno i wiało, po niebie pędziły gęste chmury i zapowiadało się na deszcz. Staliśmy pod akacjami, na dywanie z martwych liści, trzęsąc się i szcękając

zębami. Rosa kapłała z gałęzi nad naszymi głowami, zmywając nam z oczu ostatnie resztki snu i całe zmęczenie.

Dręczyciele z kijami w rękach ustawili się przed nami i za nami, a ich szef wydawał rozkazy: musieliśmy robić pompki, kłaść się, siadać z rękami na karku i skakać w kółko jak żaby. Dawano nam przy tym do zrozumienia, że jesteśmy wydani na pastwę tych chłopaków, a więc im bardziej skorzy będziemy do współpracy, tym lepiej dla nas. Czuję, że kryje się za tym coś w rodzaju szantażu, ale zachowywałem się spokojnie i postanowiłem przyjąć postawę wyczekującą, zanim zdecyduję, jak się odgryźć. Słabych i ospałych, których łapał skurcz albo już nie wytrzymywali, kopano, dźgano kijami i okładano pięściami po głowie. Trwało to bardzo długo, bo nie byliśmy przyzwyczajeni do takiej bezwzględności, a nasi dręczyciele mieli sadystyczną cierpliwość i spokojnie czekali, aż zmiękniemy.

Potem z liśćmi i brudem na ubraniach i we włosach ustawiono nas w rzędzie i nakazano rozpiąć rozporki.

— Grać na flecie, buszmeni. Grać, safanduly! Po wytrysku możecie iść do łóżek.

Ale jak w tych warunkach można było uzyskać choćby najmarniejszą erekcję? Nasze penisy wyglądały jak pomarszczone dżdżownice, sflaczały grzyby albo zwinięte stonogi.

Już następnego ranka dwóch buszmenów dało za wygraną; jeden powiedział, że przyjechał, żeby zostać księdzem, a nie przestępcą, ale ojcowie niezbyt się tym przejęli. Wielu zostaje wezwanych, lecz niewielu wybranych. A ten, kto bardziej kocha siebie niż Boga, nie jest wart powołania. Czyż plew nie oddziela się od zboża? A czy martwi nie grzebią samych siebie? Nauczyliśmy się, że statki, które nie przetrwają pierwszego sztormu, nie nadają się do pływania.

Czwartej nocy nieokiełznanie osiągnęło apogeum. Ktoś tak mocno pociągnął mnie za lewą rękę, że ramię wyskoczyło mi ze stawu. Zacząłem wrzeszczeć. Dręczyciele wpadli w panikę uciekli. W końcu wezwano bratasanitariusza, który mnie opatrzył. Bałem się jednak, że moja ręka pozostanie sparaliżowana, że uschnie i nie będę mógł jej używać. Przeprowadziłem się ze swoimi rzeczami do sali chorych. Przesadzałem z tym niedomaganiem i cieszyłem się z czasowego immunitetu, jaki dzięki temu zdobyłem. To był mój ratunek przed okropnościami SingSing. Tutaj, skryty za gołymi, jasnyniebieskimi ścianami, z widokiem na las, byłem bezpieczny. Nikt mi nie przeszkadzał. Nikt mnie nie dręczył ani do niczego nie zmuszał. Spałem, ile tylko chciałem. Unikałem mszy oraz wszelkich innych zajęć, na które nie miałem ochoty. Po raz pierwszy od przyjazdu miałem czas na myślenie.

Nie interesowało mnie, kto pociągnął za moją rękę. W takich okolicznościach mógł to

być każdy. Chłopcy robili swoje, a kierownictwo patrzyło na to przez palce. W moim odczuciu mieli za dużo swobody, ale co mogłem na to poradzić? Jak mogłem dotrzeć do zwierzchników? W tej chwili musiałem się jedynie mocno trzymać i czekać na okazję, by oddać cios.

Doszedłem do wniosku, że muszę mieć ochroniarza, kogoś takiego jak Głupi A albo Łodyga. Już wcześniej upatrzyłem sobie niechlujnego, hałaśliwego osiłka zwanego Lwendo. Mściwie atakował nowicjuszy, sprawiał im lanie, wyzywał, zabierał im rzeczy, zmuszał ich do noszenia dla niego wody do mycia, żarł ich jedzenie i żądał, by podczas weekendu prali jego ubrania. Doszedłem do wniosku, że zachowywał się tak, by zwrócić na siebie uwagę, udowodnić, że jest odważny. Postanowiłem poprosić Lwendo o ochronę.

Pewnego popołudnia podszedłem do niego i zaproponowałem, że będę wykonywać dla niego wszystkie te prace, które on jako drugoklasista uważał za czynności poniżej swej godności. Obiecałem zamiatać pod jego łóżkiem, czyścić mu buty, prać prasować jego ubrania oraz przynosić mu wodę.

— Zwariowałeś, buszmenie - powiedział z szyderyczym uśmiechem. - Jesteś inwalidą. Własnego tyłka nie możesz sobie wytrzeć, a chcesz pracować dla mnie? Jak masz to zamiar robić?

— Moje ramię goi się szybciej, niż myślisz. Mogę już ruszać palcami. Za jakiś tydzień lub dwa będę do twoich usług.

— Idź pracować dla Jezusa w zamian za cud - mruknął Lwendo.

Zapadła cisza. Przebrzmiał pierwszy dzwonek; za pięć minut będzie następny, a wtedy każdy musi siedzieć w klasie. Obok przebiegli już inni uczniowie w czarnych spodniach i białych koszulkach, w uwierających, trzeszczących butach.

— Przejrzałem cię - powiedział Lwendo po chwili. - Jesteś szpiegiem, buszmenie. Kto cię przysłał? Rektor czy jeden z tych pieprzonych księży? Myślisz, że jestem debilem?

— Nie jestem szpiegiem. Do głowy by mi to nie przyszło. Przysięgam na moje chore ramię.

— Okej, buszmenie, przyjmuję twoją propozycję, ale ostrzegam: jeżeli robisz ze mnie wariata, usmażę cię na rozpalonych węglach, zrozumiałeś? No a co za to chcesz?

— Chcę, żeby twoi kolesie zostawili mnie w spokoju. Jeden z nich wyrwał mi ramię ze stawu i nawet nie był na tyle przyzwoity, żeby mnie przeprosić. Nie spodziewałem się zresztą tego po nim. Ale chcę, żeby trzymali się ode mnie z daleka.

— Zobaczą, co się da zrobić, buszmenie - odparł Lwendo.

Za jego plecami, na których widniała duża plama potu, powiedziałem: „Pewnego dnia

przestaniesz nazywać mnie busz - menem”.

Gdy tylko Lwendo zgodził się tłuc moje muchy, zacząłem pracować nad wyzwoleniem się. Nie zamierzałem przez cały rok być jego lokajem. We krwi miałem szantaż; nie potrwa długo, a Lwendo wpadnie w moją pułapkę. Poza tym nie lubiłem go i nie ceniłem sobie jego towarzystwa. Był zbyt hałaśliwy, prostacki i nietaktowny jak na mój gust. Mój plan zakładał wykorzystanie go, a potem porzucenie w rynsztoku, do którego należał.

Podczas lat spędzonych u despotów nabrałem nieodwracalnej odrazy do prac fizycznych, moim następnym krokiem w seminarium było więc zapewnienie sobie jakiegoś zajęcia biurowego - na przykład w bibliotece, zakrystii, na sali chorych albo w laboratorium. Musiałem znaleźć jakiegoś księdza, któremu mógłbym zaimponować swoim fałszywym zapalem, żeby mnie zarekomendował w jednym z miejsc, na których mi zależało.

Ksiądz kierujący zakrystią sam był zbyt dobrym aktorem, by dać się nabrać na podstępny amatora. Nie zachęcał też do bliższych kontaktów. Jego nalana twarz z oczami jak paciorki zawsze sprawiała wrażenie, jakby stale czegoś szukał - być może wina mszalnego lub jaj ze stali, jak mówili chłopcy. Był niepoprawnym malkontentem uważającym, że jest nam stanowczo zbyt łatwo, i często mówił, że dzisiejsze seminaria są marnymi imitacjami seminariów z dawnych czasów, kiedy księża byli jeszcze twardzielami. Podobnie jak wielu innych chłopaków, nie lubiłem tego faceta ze skwaszoną miną i trzymałem się od niego z daleka. Żartowano sobie, że wyszczał stal ze swoich jąder, ponieważ nie wytrzymałyby gorąca jego napadów zrzędzenia.

Do moich celów najbardziej nadawał się ojciec Kaanders, emerytowany holenderski misjonarz, który zarządzał biblioteką. Ten przybytek nie cieszył się zbyt wielką popularnością: większość chłopaków wolała umrzeć, niż dać się nakryć z książką, nie będącą podręcznikiem. Wierzyłem, że jeśli się postaram, staruszek ulegnie w końcu memu urokowi.

Rzuciłem się więc na bibliotekę, jakby zależało od tego moje życie. Zawsze byłem tam pierwszy, a wychodziłem ostatni. Przechodziłem powoli wzdłuż półek, zatrzymując się od czasu do czasu, aby przejrzeć którąś z książek. Ścierałem z niej kurz, otwierałem i udawałem, że całkowicie mnie pochłania. Przewracałem ilustrowane strony, pozwalałem błędzić myślom miałem nadzieję, że Kaanders mnie widzi. Kiedy dochodziłem do wniosku, że mogę książkę odłożyć na półkę, wsuwałem ją ostrożnie na miejsce między innymi tomami. Potem szedłem do innej półki i powtarzałem to wszystko jeszcze raz. Po rundzie wokół półek wyjmowałem dwa lub trzy tomy, kładłem je na pulpicie i zaczynałem czytać wybraną książkę. Czasem udawałem też, że sprawdzam coś w grubych księgach bibliotecznych.

Innym razem zabierałem ze sobą notatnik i podczas czytania zachowywałem się tak,

jakbym robił notatki albo przerysowywał schematy. Starłem się sprawiać wrażenie, że z każdej książki czerpię maksimum wiedzy. Za każdym razem, gdy chciałem umknąć dokuczającym mi chłopakom, porozmyślać albo uciąć sobie drzemkę, szedłem do biblioteki. Kiedy rozbrzmiewał dzwonek, udawałem, że go nie słyszę. Siedziałem dopóty, dopóki ojciec Kaanders nie podszedł do mnie, nie postukał mnie w ramię i nie wskazał palcem na zegarek; podskakiwałem wtedy przestraszony, jakbym zobaczył ducha. Uśmiechałem się do niego, przeproszałem, pospiesznie odkładałem książki na półkę, zgarniałem swoje rzeczy i wybiegałem z budynku.

Wiedziałem, że aby zdobyć miejsce w bibliotece, muszę mieć więcej wsparcia. Celowałem w nauczyciela literatury. Dla wielu seminarzystów literatura nie była niczym innym jak nieco bardziej rozbudowaną lekcją gramatyki i pisania. Ja sam również nic o niej nie wiedziałem i długo nie znałem nawet znaczenia tego słowa. Poszukałem go, nauczyłem się na pamięć definicji i znowu zapomniałem. Wiedziałem, że oszukaństwem niewiele tu osiągnę. Nauczyciel literatury był najbardziej powściągliwym księdzem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Był zarazem najlepiej wykształcony, a ksiądz ze stopniem świeckiego uniwersytetu należał jeszcze w tych czasach do rzadkości. Niektórzy jego koledzy odnosili się do niego podejrzliwie, bo dlaczego ktoś, kto skończył studia i miał dyplom, został księdzem, zamiast przyjąć dobrą posadę w mieście? Ten chudy, ascetyczny człowiek miał zwyczaj przesywania ludzi wzrokiem, co sprawiało wrażenie, że wszystko o tobie wie i kłamanie nie ma sensu. Z tego powodu niewielu chłopaków wybierało go na spowiednika czy swojego duchowego doradcę. Nikt z nas nie lubił księży, których nie można było wywieść w pole.

Ponieważ wiedziałem, że nie będę mógł wodzić go za nos, postanowiłem rozwinąć w sobie szczerze zainteresowanie jego przedmiotem. Stawiałem pytania i próbowałem przekonać go, żeby wyjawiał nam tajemnicę literatury. Czytałem wszystkie lektury, jakie nam zadawał, i naprawdę starałem się je zrozumieć. Gruntowna analiza nie była moją najmocniejszą stroną, ale starałem się jak mogłem i dużo korzystałem z mojego słownika Longmana. Wkrótce dostałem przezwisko Longman Laska, ponieważ ktoś stwierdził, że więcej zajmuję się słownikiem niż własnym kutasem.

Zacząłem wkrótce rzucać się w oczy z powodu dobrych ocen w jednym z przedmiotów, choć nie zadawałem sobie szczególnego trudu, by zwrócić na siebie uwagę nauczyciela. Woląłem, żeby to on zrobił pierwszy krok. Często moje zadania były gotowe, zanim trzeba je było oddać, ale czekałem z ich oddaniem do dnia, w którym były zbierane. Z czasem strategia ta miała zaowocować. Chociaż bardzo mnie to cieszyło, starałem się nie

dawać tego po sobie poznać.

Pewnego popołudnia, po dwóch miesiącach mojej literackiej kampanii, ojciec Kaanders podszedł do mnie i powiedział:

— Chłopcze, ty uwielbiasz książki, prawda?

— W domu mamy dużą bibliotekę - odparłem. - Jedynymi zabawkami, jakie mamy, są książki.

— Tutaj książki nie są zbyt popularne, chłopcze - powiedział ojciec Kaanders i przesunął wzrokiem po zimnych, surowych półkach. - Chciałbyś mi tu pomagać, chłopcze?

— Tak, ojcie - odpowiedziałem, starając się nie okazać podniecenia.

— Dobrze, chłopcze. Bardzo dobrze, chłopcze.

Jego najbardziej irytującą cechą było to, że do każdego zwracał się „chłopcze”. Zwłaszcza księża brali mu to za złe. Nawet do rektora mówił: „Chłopcze... jak już powiedziałem, chłopcze...”. W biurze skarbnika pytał: „Kiedy nadejdą zamówione przez nas książki, chłopcze?”. Przy stole pochylał się do księdza kierującego zakrystią i mówił: „W bocznej kaplicy, w której odprawiam moją prywatną mszę, nie było wina, chłopcze”. Albo: „Mógłbyś podać mi sól, chłopcze?”. Młodzi księża, których ego było wielkie jak dom, nie mogli się przyzwycząić, że zwracano się do nich per „chłopcze”. Za każdym razem, gdy wymawiał to słowo, zwłaszcza gdy w pobliżu byli uczniowie, spoglądali na starego, jakby chcieli mu policzyć kości. Niewinny wyraz naznaczonej przez życie twarzy Kaan - dersa wprawiał ich w zakłopotanie i złość. Nie zamierzał wcale tym słowem nikogo rozzłościć, nie mówiąc już o urażeniu. Ale dlaczego było jego obsesją? Jeden z młodych księży próbował poprawiać starszaka, tłumacząc, że nie jest już chłopcem, ale następne zdanie wypowiedziane potem przez Kaandersa zaczęło się od razu od słowa „chłopcze”. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, ksiądz się poddał, a przez uczniów był odtąd, aż do momentu przeniesienia, nazywany „Chłopcem”. Na niewielkim oddziale pełnym nisz, graniczącym z kuchnią, mieszkało również kilka zakonnic, do których ojciec Kaanders, ku ogólnej uciechy, także zwracał się „chłopcze”.

Starcze ciało Kaandersa nosiło blizny długiej walki z poli - gamistami z biskupstwa Jinja. W najgorętszym momencie walki z pogaństwem, poligamią i ciemnotą na wschodnim brzegu Jeziora Wiktorii, gdzie plągały muchy tsetse, zachorował na śpiączkę. Zarówno choroba, jak i załamanie nerwowe, które po niej nastąpiło, zostały wyleczone i uznano go za zdrowego, ale na starość mucha tsetse przypominała o jadzie pozostawionym w jego krwi. Obecnie zapadał w półsen podczas mszy, w klasie, w toalecie, w bibliotece, wszędzie. W środku lekcji francuskiego tracił przytomność. Przyglądaliśmy się temu z uciechą: spał z

brodą na piersi, z niebezpiecznie kołyszącą się głową, ze śliną ściekającą z otwartych ust i rękami na udach. Budził się równie nagle, jak zapadał w drzemkę, i mówił wtedy: „Chłopcy, chłopcy, ta mucha... Na czym to stanęliśmy?”.

Podczas mszy, zwłaszcza jeśli niedzielne kazanie zbyt długo trwało, często odlatywał na jawie na skrzydłach muchy. Kiedy kazanie się kończyło i wszyscy wstawali, siedział dalej z brodą na piersi i plamą śliny na łonie. Gdy ktoś próbował nim potrząsnąć, żeby go obudzić, natychmiast zaczynał coś mamrotać. Był bardzo słaby w zapamiętywaniu nazwisk, poza nazwiskami wielkich pisarzy. Ledwo pamiętał nazwiska swoich współpracowników, dobrze jednak znał nazwisko chłopaka sprzątającego jego biuro.

Z powodu złej pamięci ojciec Kaanders był najpopularniejszym księdzem wśród uczniów, szczególnie wśród wagarowiczów i innych chronicznych przestępców. Za każdym razem, gdy kogoś przyłapał, pytał o nazwisko, skrzętnie je zapisywał przekazywał rektorowi z informacją: „Chłopcze, ten chłopiec złamał zasady”. Rektor udawał, że traktuje to serio, próbując opanować wybuch śmiechu, bo żadne z podanych nazwisk nie było mu znane. Czasem podawano mu nazwiska oficerów, słynnych piosenkarzy i innych osobistości, które przychodziły chłopcom na myśl, gdy zostali schwytani. Jeśli rektor był w nastroju, przedrzeźniał Kaandersa: „Chłopcze, chłopcze, widziałem za ogrodzeniem kapitana Jonasa, ojca Adrigę i siostrę Spodnie... o, chłopcy!” - i śmiał się do rozpuku, uderzając pięściami w biurko i tupiąc nogami.

W złe dni Kaanders cierpiał na tak poważną utratę pamięci, że zapominał, że już jadł śniadanie. Wracał do jadalni i pytał obecnych tam księży: „Kto pił z mojej filiżanki, chłopcze? O, chłopcze, nikt już dzisiaj nie czuje przed nikim respektu. Moja filiżanka! Używam jej od dwudziestu lat, a teraz ktoś z niej pił zapomniał umyć i odstawić na miejsce. O, chłopcy, chłopcy!”. Większość księży tylko na niego spoglądała, wzruszała z rezygnacją ramionami i pozwalała mu się gotować w jego własnych dziwnych sokach. Plątał się po sali tam i z powrotem, od ściany do lodówki, mówiąc: „O, chłopcy, ktoś również zjadł mój ser! O, chłopcy”.

Jedynym, czego Kaanders nigdy nie zapominał ani w czym się nie mylił, były nasze oceny z francuskiego. Wyglądało to tak, jakby jego mózg przewyższał w tym siebie samego. Odkrywał każdy błąd, podkreślał go na czerwono i odejmował za to pół punktu. Nauczył nas siedmiu przymiotników w formie piosenki, która zarazem stała się jego przezwiskiem: ***Bon mauvais méchant bon/grand petit joli gros.***

Kiedy chłopcy mieli ochotę na tę piosenkę, wszystko szło dobrze, lecz jeśli nie, co nieraz zdarzało się przed przerwą, celowo mieszała kolejność przymiotników, a Kaanders

robił się czerwony ze złości i z frustracji tupał nogami.

Co drugi dzień, kiedy otwierano lub zamykano bibliotekę, pytał mnie o nazwisko i przez kilka minut utrwał je sobie w pamięci, przy czym każdą sylabę rozciągał w niemożliwy sposób, próbując ją opanować. Ale w durszlaku jego mózgu było tyle dziurek, że następnym razem znowu musiał pytać mnie o nazwisko. Moją twarz pamiętał. Nie było to zbyt trudne, zważywszy na to, że co drugi dzień, kiedy wypadała moja kolej pracy, szedłem do biblioteki, żeby zamiatać, odstawiać na półki zwrócone książki, sporządzać listę brakujących książek i wyszukiwać egzemplarze, które należało na nowo oprawić.

Gdy inni chłopcy harowali na polu, kosili trawę, szorowali podłogę w refektarzu, polowali w spiżarni na karaluchy, zabijali szczury w spiżarni i wykonywali tysiące innych prac, ja rozpieszczałem książki w bibliotece.

Początkowo nudziłem się trochę. Osiągnąłem swój cel, ale nie przepadałem zbyt za książkami. Kurz działał mi na nerwy, stale przez niego kichałem. Nie cierpiałem, gdy Kaanders zabierał się do oprawiania na nowo zużytej książki: całe to mierzenie, cięcie, klejenie i prasowanie odświeżanych tomów pochłaniało tyle czasu i energii, że dostawałem od tego pomieszania z poplątaniem. Ale oczy Kaandersa stawały się wilgotne ze wzruszenia, gdy kontemlował efekt swojej pracy. W uszkodzony przedmiot tchnął nowe życie. Anonimowemu poszukiwaczowi skarbów dawał okazję zanurkowania między połatanymi tomami. Z wielkiej radości, jaką z tego czerpał, zaczynał gwizdać i głaskać książki, jakby były pieskami pokojowymi.

Tymczasem układałem plan uwolnienia się od Lwendo. Aby raz a dobrze złapać go za kołnierz, zamierzałem go szantażować. Zamierzałem też nabić w butelkę kilku szczególnie nieprzyjemnych członków grona nauczycielskiego, na razie jednak ich ignorowałem, ponieważ najpierw chciałem doprowadzić do porządku własne sprawy. Byłem przekonany, że nie mogę poświęcić się niczemu innemu, dopóki rządzi mną ten obrzydły szczur Lwendo.

Jeszcze zanim poproszono mnie, bym pomagał w bibliotece, Lwendo był już odpowiedzialny za zapas węgla drzewnego. Stał się dzięki temu osobą wpływową, bo w sobotnie popołudnie wszyscy go potrzebowaliśmy, aby móc wyprasować nasze niedzielne i codzienne ubrania. Zbieraliśmy się w budyneczku z wypłowiałej czerwonej cegły, który służył za kuchnię w czasach, kiedy seminaria były jeszcze seminariami, a księża mieli stalowe jaja. Lwendo musiał napełniać nasze żelazka gorącymi węglami. Popyt był jednak z reguły większy niż podaż, a konkurencja i dyskryminacja przeżywały rozkwit. Uczniowie wyższych klas byli zawsze pierwsi w kolejce, a potem ci, których polecali. Buszmeni, którzy nie mieli nikogo, kto by się za nimi wstawił, dostawali ostatnie resztki na wpeł wystudzonych węgli,

często więcej popiołu niż węgla.

Kiedy Lwendo był w złym nastroju, zwłaszcza w deszczowe dni, gdy trudno było zebrać odpowiednią ilość chrustu, aby dla każdego wystarczyło węgla, wycofywał się po obsłudze drugich klas i pozwalał buszmenom walczyć o resztki. Ze spoconą twarzą i szufelką w ręce stawał na zewnątrz w podeptanej trawie i przyglądał się walce, a po policzkach spływały mu łzy. „Buszmeni mordują się za parę węgielków, cha, cha, cha...” - śmiał się złośliwie przy aplauzie kilku drugoklasistów, których żelazkowe potrzeby zaspokoili już nowicjusze, w zamian za ochronę. Lwendo miał szczęście, że nikt nigdy nie doznał poważnych poparzeń i że chłopcy, którzy wpadli w rozżarzony popiół, nie donieśli na niego.

Z tytułu swojej funkcji Lwendo cieszył się większą swobodą miał kontakt z zakonnicami, które gotowały dla nas i dla księży. W godzinach pracy można go było zastać w kuchni, plotkującego z zakonnicami i udającego, że przygotowuje się do swojej sobotniej pracy. Pomiedzy wizytami w kuchni zbierał drewno na opał, rąbał stare meble i wszystko to, co mu było potrzebne, albo udawał, że mu jest potrzebne do rozpalenia sobotniego ognia. Dużo czasu spędzał również z bandą chłopaków z chlewu, którzy musieli strzec świń i zabijać je na posiłki dla księży. Przywódcy bandy odkładali część mięsa i szmug - lowali je w wiadrach do budynku Lwendo, gdzie je później smażyono na ruszcie i pożerano. Wszystko to działo się wbrew regułom i mogło zostać ukarane natychmiastowym zawieszeniem albo wygnaniem, nikt jednak nie kwapił się do meldowania otych przestępstwach.

Wszyscy starsi uczniowie byli mistrzami w rozsiewaniu pogłosek. Jeśli chciałeś dowiedzieć się czegoś na jakiś temat, wystarczyło posłuchać, co mówili plotkarze. Jedną z takich pogłosek kojarzyła Lwendo z siostrą Bizon - małą czarną zakonnicą z mocnymi nogami, bardzo grubymi rękami i nadzwyczaj obszernym siedzeniem, na którym według fantastów mogła stać, nie spadając, nawet najgrubsza biblia. Tę samą zakonnicę kojarzono również z czcigodnym ojcem Mindi, odpowiedzialnym za przestrzeganie dyscypliny. Moje zainteresowania skupiały się na pierwszym związku. Zacząłem wieczorami śledzić Lwendo, w nadziei przyłapania go na zrywaniu zakazanego owocu. Gdy nie przyniosło to żadnego skutku, postanowiłem przyłapać go w jakiejś innej kompromitującej sytuacji. Nie udało mi się jednak. Wiedziałem, że za każdym razem, gdy nasze jedzenie było tak wstrętne, że nie dawało się go zjeść, co często się zdarzało, szedł do kuchni i zjadał resztki ze stołu ojców. Ale kiedy gotowanie przypadało siostrom, których nie lubił, chodził do kuchni znacznie rzadziej. Miałem dwie możliwości: przyłapać go na kradzieży i smażeniu wieprzowiny w jego budynku, co oznaczało, że musiałbym jakoś włączyć do tego któregoś z księży - albo przyłapać go na pieprzeniu siostry Bizon czy jakiejś innej zakonnicy.

Osiem tygodni trwało, zanim go dorwałem. Śledziłem go co wieczór podczas godziny przeznaczonej na naukę, zaczynającej się o dziewiątej. Wiadomego wieczoru nie było go w klasie ani w budyńeczku, ani w bibliotece, mógł więc być jeszcze tylko w biurze któregoś z ojców albo w kuchni. Około wpół do dziesiątej poszedłem do kuchni. Była pusta, a z brudnych okien spozierały na mnie jedynie smutno zaparowane bojłery. Stałem przez chwilę na zewnątrz, głęboko się zastanawiając. Spizarnia, wąskie, zimne pomieszczenie, w którym przechowywano worki ziaren kukurydzy, mąki kukurydzianej i zgniłego grochu, znajdowała się na prawo ode mnie. Z reguły na ciężkich, drewnianych drzwiach wisiały dwie kłódki w kształcie pięści. Rzuciłem okiem na drzwi. Były zamknięte, ale nie wisiały na nich kłódki. Postanowiłem spróbować szczęścia i wszedłem do środka. Spizarnia była zakazanym terenem, dostępnym jedynie dla tych, którzy mieli specjalne zezwolenie. Ale ja byłem bibliotekarzem i zawsze mogłem powiedzieć, że szukam ojca Kaan - dersa albo skarbnika, który rządził w tej obrzydłej norze, żeby zapytać, czy nadeszła już pewna książka.

Ciężki smród wołka zbożowego zanieczyszczał i tak już stęchłe powietrze. Wypchane jutowe worki na drewnianych stelażach przypominały mi Dziadkowe worki z kawą, przygotowane do przewozu do palarni na wzgórzach Mpande Hill. Podobnie jak łóżka w SingSing, stały jeden na drugim, oparte ścianę, a między nimi prowadził szeroki betonowy korytarz, sprawiający wrażenie długiego, ciemnego górskiego tunelu. Stałem, nasłuchując i tłumiąc nagły atak kichania. Nie zamierzałem pozwolić, żeby mnie tu odkryto. Było bardzo cicho. Z drzewa ocieniającego klasztor na dach z blachy falistej spadła martwa gałąź, wywołując nieprzyjemny, drapiący dźwięk. Wzdrygnąłem się, jakby ktoś nagle szturchnął mnie w bok.

Wydawało mi się, że słyszę także inne dźwięki, dochodzące z tyłu, z ciemnego tunelu. Przypominały piszczenie szczurów. Może wcale nie byłem tu sam? Zdawało mi się, że usłyszałem wężącego psa. Był to dźwięk przenikający do szpiku kości, jak ostre igły albo ogniste języki. Nagle ujrzałem przed sobą Lusa - nani, jej bluzka była przemoczona i widziałem jej twarde sutki. Była obecna tu, w ciemności, choć śpiewała zupełnie inaczej. Jej pieśń miłosna była teraz znacznie delikatniejsza, upiększona okrzykami staccato i kwiecistymi, podniecającymi słówkami. Ten powstrzymywany dźwięk był niefałszowany, czysty, nagły podniecający. Przemknąłem na palcach w kierunku wężącego psa, a mój narząd płciowy przyjemnie mi przeszkadzał, kołysząc się jak dzwon na wieży kościelnej.

Lwendo posuwał zakonnicę silnymi, celnymi, pełnymi pchnięciami. Przez zatkany wentylator na jej czerwone majtki, zwinięte na umięśnionych łydkach, padał bezczelny promień światła. Zakonnica ujrzała mnie pierwsza, a jej rozdzierające ciemności gwałtowne

westchnienie uderzyło w moje krocze z gryzącą siłą kwasu siarkowego. Lwendo, który natychmiast zdał sobie sprawę, że został rozpoznany, nie pozwolił odebrać sobie przyjemności i robił swoje dalej, aż osiągnął orgazm z bezwstydną - cię zadowolonego z siebie rozplodowego ogiera. Kiedy zobaczył, że to nie ksiądz go nakrył, lecz tylko ja, jego sługa, zaśmiał się i łaskawie uściskał mi rękę.

Kupiłem sobie wolność i przyjaźń Lwendo, a poza tym resztki po posiłkach ojców w ciągu tych tygodni, gdy dyżur miała wdzięczna zakonnica.

Przypomniał mi się wujek Kawayida, czarodziej i uwodziciel opowiadający niezwykle historie, jak ta o mężczyźnie z trzema siostrami. Chętnie opowiedziałbym mu o swoim zamachu na Kłódkę i o życiu w seminarium, ale od mojego wyjazdu ze wsi prawie wcale nie mieliśmy z sobą kontaktu. Czy czytał książki? Nie, był za bardzo zajęty swoimi sprawami, swoją hodowlą indyków i brojlerów. Czyżby zapomniał o starych, dobrych czasach? Sądziłem, że nie.

Byłem teraz wolnym człowiekiem. Zastanawiałem się, czy nie załatwić paru naszych dręczycieli, ale dokuczanie nagle zelżało. Postanowiłem zająć się ludźmi stojącymi znacznie wyżej ode mnie, naszymi szefami. Wciąż jeszcze nie sprawiało mi zadowolenia pokonywanie ludzi z mojego własnego poziomu. Cieszyły mnie wyzwania i ważniejsze zwycięstwa, nawet gdyby miało to oznaczać więcej siniaków. Moją uwagę zwrócił ojciec Mindi, stróż dyscypliny i jak na razie prawdopodobnie jedyny, który posuwał siostrę Bizon. Nie tylko wymierzał chłopcom baty, ale również śledził ich, chowając się za krzakami i budynkami, wysokimi murami i płotami, wszędzie gdzie mógł przyłapać ich na przekraczaniu głupich reguł, na przykład na rozmawianiu w porze ciszy albo jedzeniu między posiłkami. Znał wszystkie boczne dróżki, z których korzystali wagarowicze, często chował się także za akacjami koło SingSing w nadziei, że ujrzy głodnych chłopaków z bananami, kolbami kukurydzy, naleśnikami, lodygami trzciny cukrowej albo czymkolwiek, czym uciszali głód. Niektórzy wagarowicze mieli żyłkę do interesów: zbierali zamówienia i dostarczali żywność, zarabiając na tym. Ojciec Mindi ścigał tych „handlarzy w świątyni” z misjonarskim zapałem i o najdziwniejszych porach wizytował ich salę sypialną, żeby sprawdzić, czy nie schowali w szafkach kontrabandy lub pieniędzy.

Oficjalnie zarządzał też kieszonkowym każdego z nas, ale wielu chłopaków chowało przed nim swoje pieniądze i kiedy były im potrzebne, nie musieli mu wyjaśniać, na co im potrzebne. SingSing najbardziej cierpiał z powodu policyjnych poszukiwań ojca Mindi.

Kuci na cztery nogi starsi uczniowie rozsiewali mylące plotki, tak że ojciec Mindi trafiał na niewłaściwy ślad. Kiedy kilka razy wpadł w taką pułapkę, w końcu dotarło do

niego, że chłopcy wyśmiewają się z jego naiwności. Złapał kilku żartownisiów i srogo ich ukarał. Ale informacje o jego „policyjnym śledztwie” nadal wyciekały i w te dni, gdy miał nadzieję przyłapać przestępców, zastawał tylko puste szafki i walizki.

Autorytet stróża dyscypliny zależał od opinii, jaką mieli o nim chłopcy. W przypadku ojca Mindi była ona fatalna, co czyniło go jeszcze bardziej porywczym.

Często się zastanawiałem, dlaczego ten wykształcony człowiek nie dostrzega śmieszności swojej sytuacji. Chłopcy, którzy dostawali do jedzenia *posho* złej jakości i zepsutej groch, nie najadali się do syta i musieli jakoś uzupełniać swoją niewystarczającą dietę. Czy on sam tak nie robił? Czy nie dostrzegał, że wprowadza nierealne zasady? Czy nie dostrzegał, że jest faryzeuszem, który nawołuje do świętowania w szabas, a sam próbuje ratować w tym dniu swego osła, który wpadł do rowu? Łatwo mu było mówić, że nie wolno jeść między posiłkami, kiedy jego własny brzuch był pełen wieprzowiny, ryb, ziemniaków, warzyw i innych smakołyków, które podawano księżom.

Nie podobał mi się także brak opanowania, który ten kaznodzieja przejawiał, gdy kogoś z nas przyłapał. Jeżeli naprawdę pilnował przestrzegania bezstronnych reguł ustalonych w Rzymie i importowanych przez biskupów do naszego kraju, powinien był sam okazywać nieco bezstronności. Prawda była inna: wymierzanie kar sprawiało mu zadowolenie, zwłaszcza gdy zadawał przestępcom ból. Chociaż niektórzy winowajcy mu uciekali, każdy schwytyany musiał zapłacić wysoką cenę. Było to dla niego spełnieniem ambicji oraz zapewnieniem sobie widoków na przyszłość i władzy.

Krótko mówiąc, ojciec Mindi był najbardziej zniechęconym człowiekiem w seminarium. Nazywano go „Przerażającym Kosiarzem” i wszyscy się modlili, żeby uległ wypadkowi samochodowemu i resztę życia musiał spędzić na wózku inwalidzkim. Modlili się też, żeby oślepl, dostał raka i został zarażony wszelkimi ropiejącymi chorobami, jakie tylko istnieją. Panowało ogólne przekonanie, że wszystko się zmieni na lepsze, gdy już go nie będzie, bo każdy wierzył, że celowo wszystko niszczył. Nikt nie rozumiał, dlaczego dostajemy takie niedobre pożywienie, skoro była ziemia, a prawdopodobnie również i pieniądze na jej uprawę. Sądziliśmy, że wyznawał pogląd, że dobrym seminarzystą i dobrym księdzem można zostać tylko wtedy, gdy dostaje się zepsute jedzenie.

— Musi zginąć - mówili często chłopcy, gdy widzieli go dryblującego piłką na boisku. Był niesamowicie szybki. Patronował sali „Watykan”, która dzięki niemu najczęściej wygrywała coroczne zawody. Jeśli wygrali, ojciec Mindi dawał im dwa prosiaki i mnóstwo jedzenia na weekend.

i Nie, nie, nie - odpowiadali inni - niech żyje nadal wiecznie cierpi.

— Jak się do niego zabierzemy? - pytali chłopcy.

W końcu jednak zgadzano się, że należy zostawić go na łasce bogów, którzy z pewnością zatroszczą się o to, żeby złamał nogę, miał wypadek albo został ostrzelany.

Ojciec Mindi często gościł w moich myślach. Widziałem w nim brata czarownicy z zatwardzeniem, czyli Kłódki. Oboje mieli religijne powołanie. Oboje poszli za jego głosem. Pierwsze z nich zrezygnowało z niego, aby zostać prawdziwym rodzicem, drugie wytrwało i było teraz rodzicem symbolicznym. Oboje wierzyli, że im twardszą ręką, im podlej i bardziej podstępnie traktuje się dzieci, tym lepsze się stają.

Wkrótce zauważyłem jednak, jak ograniczony był ojciec Mindi. Kłódka ze swoimi zakonnymi kompleksami wiejskiej dziewczyny była podobna do rannego bawołu, któremu ledwo udawało się odganiać od swego ropiejącego grzbietu tysiące owadów i czaple. Mindi natomiast był napuchnięty teologią, filozofią, łaciną, włoszczyzną, historią Kościoła i wszelkimi formami duchowej i nieduchowej uczoneści, zdobytej w krajowych i zagranicznych seminariach. Cztery lata spędzone na Uniwersytecie Urbana w Rzymie wyostrzyły jego konserwatyzm, wzmocniły podlejsze skłonności i przytępiły zdolność współczucia i analizy samego siebie. To był człowiek, do którego musieliśmy mówić „ojcze” którego musieliśmy czcić i stawiać na piedestale. Jeśli stypendium na zagranicznym uniwersytecie i całe to studiowanie prowadziło jedynie do tych bezpłodnych teatralnych przedstawień i tego przeżuwania wciąż na nowo, jaki był z niego pożytek? Ojciec Mindi był tak zaprogramowany, by być posłusznym i by inni byli mu posłuszni. Był człowiekiem, który kiedyś cierpiał, a teraz kazał cierpieć innym, tak by oni z kolei kazali cierpieć następnym. To była jego wersja stuprocentowego księżego wynagrodzenia na ziemi i stuprocentowej nagrody w niebie. Dobra materialne ojca Mindi, zwłaszcza samochód, stanowiły część tej milczącej umowy, były kompensacją życia rodzinnego, z którego zrezygnował ze względu na powołanie. Przesadzał, traktując nas tak okrutnie, ale roił sobie, że w ten sposób uczy nas wytrwałości. Jego marzenie nie różniło się w gruncie rzeczy od mojego marzenia, żeby zostać adwokatem - biorąc pod uwagę władzę, jaką się cieszył, oraz plotki, krążące o nim i siostrze Bizon. Tym, co mi przeszkadzało, był olej świętości i przeznaczenia, którym wszystko polewał. Zamierzałem zetrzeć ten błysk i odsłonić matowe, surowe jądro.

Znowu dopadła mnie bezsenność. Trochę się bałem, ale miało to również swą fascynującą stronę: napływ adrenaliny, jaki muszą czuć również grabieżcy, sprawiał, że rzecz stawała się warta zachodu. Około drugiej w nocy opuściłem SingSing. Dorobo, nowy stróż, robił obchód albo spał. Był bardzo wysoki, bardzo silny, czarny jak smoła i śmiertelnie niebezpieczny ze swym olbrzymim łukiem. Obraz tego potężnego łuku wrył mi się w pamięć

jak diamentowy półksiężyc i prześladował mnie, gdy na kolanach czołgałem się od cienia do cienia. Dziękowałem Bogu za to, że my, Afrykańczycy, nie czcimy psów: Dorobo byłby naprawdę groźny, gdyby miał przy boku owczarka niemieckiego. Ale w kampusie nie było ani jednego psa.

Seminarium znajdowało się na szczycie wzgórza, a zbudowane było wokół centralnej kaplicy, dostępnej ze wszystkich stron. Z SingSing, położonego na dalekim końcu kampusu, łatwo było przejść niezauważenie do kaplicy, ponieważ przez cały czas chroniły cię drzewa i iglasty żywopłot. Znalazłem Dorobo za kaplicą, zaszytego w kąci i głośno chrapiącego podczas nielegalnej drzemki. Mój cel leżał na lewo od kaplicy, dziesięć metrów dalej. Był nim podłużny budynek ze spadzistym dachem, używany częściowo jako skład narzędzi, a częściowo jako garaż samochodów ojców.

Przekroczyłem zwirową ścieżkę i dotarłem do pomieszczenia na narzędzia. Kluczem, którego używał uczeń doglądający porządku, otworzyłem boczne drzwi. Wszedłem do długiego budynku ze stertami sekatorów, motyk, pang, grabi, zepsutych kosiarek i pił łańcuchowych, pachnących kurzem, olejem i zaniedbaniem. Wziąłem jeden z noży i zważyłem w dłoni, wracając myślami do maniaka, który groził Babci, że obetnie jej głowę. Potem odłożyłem go, starając się nie robić hałasu przesuwaniem innych rzeczy. Podeszedłem do drzwi przejściowych.

Zawiasy głośno skrzypiały i bałem się, że Dorobo to usłyszy. Przedostałem się do garażu i od razu poczułem zapach samochodów: oleju, stali i gumy. Stał tam niebieski peugeot Min - diego, biały Volkswagen Kaandersa, beżowe renault rektora stare, szare auto pozostawione przez kogoś z jego znajomych. W odległym kącie opierał się o ścianę grubobrzuchy motor na podpórce, a pod nim widniała plama oleju.

Parę dobrych minut trwało moje grzebanie i gmeranie, zanim ze spoconymi rękami usiadłem w samochodzie. Pomyślałem ciotce Tiidzie, jak wystrojona przyglądała się, gdy doktor Ssali ze skrywanym podnieceniem próbował uruchomić ich peugeota, a zza firanki przyglądali się temu sąsiedzi.

Stęchły zapach papierosów przywołał mnie do rzeczywistości. Siedziałem w samochodzie nałogowego palacza. Mogłem wsypać soli do silnika samochodu Mindiego i byłby na dobre załatwiony, ale uznałem, że nie jest to konieczne. Nie byłem tu po to, żeby niszczyć, lecz żeby złożyć wizytę grzecznościową. Byłem tu przede wszystkim po to, żeby temu wielkiemu człowiekowi przekazać skromne przesłanie, skromniejsze niż przesłanie przeciętnego, żadnego zemsty seminarzysty. Zjadłem wcześniej kilka papai kupionych od jakiegoś wagarowicza i w połączeniu z naszym zepsutym grochem smród, jaki wydzielały

moje odchody, był porażający. Zatkąłem nos podczas otwierania plastikowego worka. Zdecydowałem się na broń piłkarskiego wandalę z opowiadań wujka Kawayidy: gówno. Z pomocą kielni wysmarowałem fotele, dach, podłogę, kierownicę, drążek skrzyni biegów, tablicę rozdzielczą dywaniki. Zamknąłem ten smród w samochodzie i zabrałem się do klamek. Zostawiłem też na masce silnika odrażającą reklamówkę.

W całym garażu śmierdziało jak w chlewie. Pospiesznie uciekłem od tego ohydny zapachu, najciszej jak potrafiłem zamknąłem za sobą drzwi i obszedłem na palcach sterty kosiarek, motyk i innych narzędzi. Zdawałem sobie sprawę z draż - liwości mej sytuacji: czuć mnie było na kilometr. Poszedłem do toalet i w drodze powrotnej natarłem się jeszcze zerwanym z krzaków pachnącym igliwem.

Ta nocna akcja uświadomiła mi, że zaczynam wariować. Ogarnęło mnie uczucie, że marnuję tu czas, że rozpocząłem bezsensowną drogę do zawodu, który zupełnie do mnie nie pasuje. Czuję potrzebę czegoś, co utrzymałoby mnie przy ziemi, a przynajmniej umożliwiło skoncentrowanie się na akademickiej stronie wszystkiego. Większość lekcji była na poziomie, a księża poważnie podchodzili do zadawanych zadań domowych. Ale nasze życie było za bardzo reglamentowane wszelkie inicjatywy z naszej strony zduszano w zarodku. Byliśmy jak brojlery wujka Kawayidy: zamknięci w kurniku, żywieni, szczepieni i pędzeni przez szkolne życie wśród modlitw nudnych zajęć pozalekcyjnych.

Wyobrażałem sobie, że następstwa mojej garażowej akcji będą bardziej skomplikowane, ale nasi wychowawcy mówili ozamachu w sposób raczej mglisty. „Ktoś zniszczył samochód ojca Mindi”. „Ktoś wyrządził straszliwą szkodę własności pewnego członka personelu”. „Ktoś nie miał za grosz szacunku wobec naszego skarbnika” - mówiono. Jednak szczegóły zostały w końcu wyjawione przez chłopców, którzy musieli posprzątać garaż. Ojciec Mindi przyłapał kilku uczniów na rozmowie podczas obowiązującej ciszy i zlecił im koszarne zadanie wyszorowania, splukania i wytarcia do sucha sprofanowanego symbolu jego statusu.

Na koniec ojciec Mindi sam nam o tym oficjalnie powiedział. Ubrawszy swą złość w groźby i przekleństwa, powiedział, że temu, kto to zrobił, stanie się coś złego, jeśli nie przyzna się w ciągu trzech dni. Znowu byłem na znanym sobie terenie: nie mogłem się nadziwić, jak podobne były do siebie dyktatorskie metody. Ten człowiek, którego ego było rozdęte jak wątroba alkoholika, myślał, że winny załamię się od jego świętych gróźb. Jeżeli to miał być rezultat tego całego konserwatyzmu Uniwersytetu Urbana, nie zazdrościłem mu tych wszystkich *lasagna* pożartych we Włoszech. Doświadczenia z wagarowiczami powinny go już dawno nauczyć, że nie wszyscy łamiący reguły winowajcy są pod wrażeniem jego

złorzeczeń skąpanych w sosie *bolognese*.

Kiedy ojciec Mindi odwiedził nas po raz trzeci, tym razem w refektarzu, zapytał:

— Co to za seminarzysta, którzy wyprawia takie rzeczy? Dlaczego tu przybył? Czy chce zostać księdzem? Jak się tu dostał? W waszym własnym interesie jest donieść na niego. Wiem z pewnością, że coś komuś powiedział, przestępcy zawsze to robią. Proszę dać mi o tym znać. Jeżeli zachowanie tego typu nie zostanie ukarane, wszyscy będziemy w niebezpieczeństwie. Ta osoba może być skłonna wszystko podpalić.

Nie wywarło to na mnie wrażenia; na większości chłopaków, którzy uważali, że ojciec Mindi na to zasłużył, również nie.

Następnego dnia rektor, ponury jak sędzia dręczony hemoroidami, kazał nam ujawnić sprawcę. Podobnie jak Mindi był przekonany, że ktoś coś słyszał, widział albo czuł. Stwierdził, że pewnie ktoś żywił wobec skarbnika chęć zemsty, ale sposób, w jaki tej zemsty dokonał, nie przystoi osobie przeznaczonej do ołtarza. W końcu powiedział:

— Przychodźcie z nami porozmawiać, jeśli macie problem. Zawsze jesteśmy gotowi wam pomóc. Bez was nie byłoby nas tutaj. Jesteśmy jedną wielką rodziną, a jeśli któremuś z członków rodziny jest ciężko, to wszystkim nam jest ciężko. Jedna zgnięta pomarańcza może zarazić cały kosz, pamiętajcie o tym. Jeśli coś wiecie, powiedzcie to waszemu duchowemu doradcy albo wsuńcie karteczkę pod moje drzwi. Zapewniam was: nikt nie zostanie ukarany za przekazywanie informacji. A jeżeli ktoś będzie wam grozić, jeżeli zasznurowują wam usta, natychmiast przyjdźcie do mnie, a poweźmę odpowiednie kroki.

Słyszałem już to wszystko w swoim poprzednim istnieniu. Nie robiło to na mnie wrażenia.

Cztery dni po zamachu ojciec Mindi oświadczył tryumfalnie, że znalazł sprawców. Personel był podzielony. Mindi chciał łobuzów natychmiast zawiesić. Inni członkowie ciała pedagogicznego proponowali nałożyć na winowajców kary, lecz dać im szansę kontynuowania nauki. Niektórzy ojcowie byli sceptycznie nastawieni do wyników śledztwa, bo było zbyt oszukańcze: żadnych dowodów, podaje się tylko nazwiska i głowy zaczynają spadać.

Lwendo i jego koledzy zbuntowali się i rozpowiedzieli, że to buszmeni oskarżyli ich przed personelem. Przysięgali, że odpłacą im za to tak, że będą wyć z bólu. Ale tylko jednego z nich odesłano ze szkoły. Pozostałych zawieszono na dwa tygodnie zamieszanie ucichło.

Tak właśnie wyglądała sprawiedliwość. Na razie nie doszedłem jeszcze do tego, który mądrała ukarał nicponiów, obarczając ich winą za moje przestępstwo, ale było mi to obojętne. Mój sąsiad z sali sypialnej mówił, że często śmiałem się przez sen.

Ponownie rzuciłem się na książki. Nie pozostało mi nic innego. Nasze życie było uporządkowane i nudne. Sport był męczący, a ciekawy jedynie podczas corocznych zawodów.

Codzienne kościelne i liturgiczne zajęcia były, ogólnie rzecz biorąc, mordercze. Kiedy inni seminarzyści oddawali się nudzie lub od czasu do czasu mieli napady brawury, ja zatraciałem się w książkach. Tajemnicze uniwersum ukryte pod zakurzonymi okładkami intrygowało, a ekscytujące okruchy, które można było wydobyć z najbardziej nieprawdopodobnych tomów, fascynowały mnie. Pod najnudniej wyglądającymi okładkami kryły się wielkie wojny, spektakularne przygody, mordy, afery miłosne i intrygujące postacie - cała *terra incognita* do odkrycia.

Pośrodku świata pozorów i strachu, że wszędzie kręcą się donosiciele, zapamiętujący każde wypowiedziane przez siebie słowo, książki stanowiły drogę ucieczki do bezpiecznej, spokojnej rzeczywistości fantazji i idei. Ale wiele z nich na zawsze zapadało w pamięć i przekształcało się w prawdziwe demony, które mogły cię prześladować przez całe życie.

Jak w większości dyktatur, liberalne książki nie były w seminarium popularne - uważano je za wywrotowe. Wzorowi seminarzyści odnosili się nieufnie do takich lektur, ponieważ były przepełnione szatanem i przez nie człowiek zaczynał wątpić w swoje powołanie, w dobrych ojców i Kościół, stawał się butny, arogancki i wiarołomny. Zawierały obietnice własnego nieba, stymulujące myśli, i prowokowały niewłaściwe pytania.

Rozmyślałem o drugiej wojnie światowej i mężczyznach, których Dziadek zmobilizował. Całymi dniami drobiazgowo badałem opowieści wojenne, aby zobaczyć, czy jest w nich coś o Ugandzie. Ale dowiedziałem się tylko tego, że w czasie wojny poległy setki tysięcy Afrykańczyków. Nie mogłem znaleźć niczego, co w jakiś szczególny sposób wiązałoby się z Ugandą. Wybicie dziesiątków milionów Europejczyków niecałe dziewiętnaście lat po pierwszej wojnie światowej, plus dwadzieścia milionów, które po wojnie padło ofiarą hiszpańskiej grypy, rzuciło zupełnie inne światło na idealną, nowoczesną cywilizację, jaką nam serwowano. Obraz tej cywilizacji był równie mdły jak święty sos, którym Kościół oblewał masowe mordy popełniane przez krzyżowców i wszystkie inne wojny religijne, łącznie z naszą z przełomu wieków.

Powoli zaczynałem rozumieć ojca Kaandersa. Większą część swoich młodych lat poświęcił zwalczaniu poligamii i wprowadzaniu zasad moralnych, o których sądził, że są uniwersalne, wyszedł z tego półżywy z wyczerpania i śpiączki. Dopiero w obliczu śmierci dotarło do niego, że jego próby były bezowocne, jego poświęcenie głupie, a życzenie przesunięcia czasu o tysiące godzin do przodu - nierealne. Był na tyle rozsądny, że postanowił

zatrzymać maszynię zegara, usunąć piasek z klepsydry i pozwolić czasowi płynąć swoim tempem. Ja też tak zrobię. Wezmę śmierć w ramiona, spojrzę jej w twarz i zrobię z niej swojego poplecznika. Byłem zachwycony. Całymi dniami rozmyślałem o swym odkryciu.

Jednego z takich zapomnianych przez Boga i ludzi dni ojciec Mindi przyłapał mnie na czytaniu w porze przeznaczanej na modlitwę. Właśnie rozległ się dźwięk dzwonu i chłopcy od - maszerowali do kaplicy. Nie wstałem odpowiednio szybko ani nie dałem zbyt wyraźnie do zrozumienia, że zamierzam to zrobić. Jeśli o niego chodziło, incydent z kupami uznał za zamknięty rozdział i ze wznowioną gwałtownością zaczął się oddawać szpiegowaniu i skradaniu, jakby chciał dać do zrozumienia, że nie da się kilku smarkaczom wyprowadzić z równowagi. Stał teraz groźnie przede mną w swym czarnym habicie, w którym wydawał się większy, niż był w rzeczywistości.

Pod koniec poranka zgłosiłem się do niego, żeby otrzymać karę. Z drugiego końca jego przytulnego pokoju dobiegała muzyka pop, szepcząca jak motyle za oknem. Pomyślałem osiostrze Bizon i zastanawiałem się, czy puszczał jej tę muzykę, kiedy wydawała z siebie te swoje podniecające odgłosiki. Wszystkie meble były przykryte pokrowcami w obawie przed poplamieniem. Musiałem się położyć. Włochaty dywan łaskotał mnie i przypominał tamten cholerny dywan z rodzinnej pagody.

Dostałem trzy palące uderzenia we „własność państwową”, ale znieczuliła mnie świadomość, że ten człowiek niczego się nie nauczył. Był samą wiedzą, a więc był nienauczalny. Podziękowałem mu za karę z wyrazem posłuszeństwa i skruchy na twarzy. Jego oczy błysnęły triumfalnie.

— Dobrze, chłopcze - powiedział. - Jesteś bardzo cichy, bardzo pokorny i nigdy nie sprawiasz kłopotów. Wiem, że pewnego dnia będzie z ciebie bardzo dobry ksiądz.

Nie mogłem niemal uwierzyć w to, co usłyszałem, odparłem jednak uprzejmie:

— Dziękuję, ojcze.

Główny temat rozmowy wciąż jeszcze stanowiło jedzenie: było coraz gorsze. Na wpół surowe albo po prostu zepsute w smaku *posho* przyrządzano z robaczywą mąką kukurydzianą, kupowaną w dużych ilościach i zbyt długo przechowywaną. Groch był nadżarty przez larwy i prawie w ogóle nie dawał się ugotować. Nawet po paru godzinach pozostawał twardy i niestrawny, a my robiliśmy kupy jak hipopotamy. Personel klasztoru nieustannie narzekał na nieprzyzwoitych seminarzystów, puszczających bąki w kościele, w klasie i na korytarzach. Ale należało im się. Coraz więcej wagarowano, a nielegalne ceny papai, trzciny cukrowej i naleśników skakały w górę.

Nastała susza, trawa zmieniła kolor z zielonego na brązowy, nasz zapas wody był w

niebezpieczeństwie, ale szmuglowanie żywności stało się poniekąd łatwiejsze. Chodząc z wiadrami, miskami i kanistrami do oddalonej o kilometr seminaryjnej studni, seminarzyści nurkowali w zarośla, gdzie spotykali się z czekającymi tam na nich sprzedawcami. Kontrabandę szmug - lowali do środka w naczyniach na wodę. Inni ukrywali ją wracali po nią w nocy albo wieczorem, w porze jedzenia lub wieczornej nauki. Ale ci, którym szczęście nie dopisało, często wpadali w zasadzki ojca Mindi.

Dwóch z nich wydalono ze szkoły, jeden był z SingSing, a drugi z Mekki. Towarzyszył temu stek złorzeczeń pod adresem ojca Mindi, który miał zostać pobity, a garaż spalony w celu ukarania całego personelu. Ale pomimo naszego niekłamanego przeświadczenia, że ojciec Mindi, skarbnik seminarium, defraudant i oprawca, odpowiadał za nasze cierpienie, żadne ze złorzeczeń się nie sprawdziło.

Ponieważ nie miałem najmniejszego pojęcia o finansowej stronie całej tej sprawy, skupiłem się na zniechęcaniu ojca Mindi do szpiegowania i prześladowania tych, którzy rządzą czarnym rynkiem żywności. Gdyby trzymał się od nas z daleka, my również moglibyśmy mu pozwolić robić swoje. Ale ten człowiek był diabłem, którym kierował ślepy pęd psychopaty. I jedynym sposobem dobrania się mu do skóry było odplacenie mu pięknym za nadobne.

Śledzenie ojca Mindi było dla mnie bardzo łatwe. Biblioteka leżała na końcu bloku biurowego. Zawsze mogłem przejść wzdłuż biur, żeby zobaczyć, który ksiądz jest obecny, a którego nie ma. Miałem też swobodny dostęp do pokoi ojców, nawet tych położonych za biurami, bo zawsze mogłem powiedzieć, że szukam ojca Kaandersa. Wiedziałem z pewnością, że ulubioną godziną przespiegów Mindiego była dziewiąta do dziesiątej wieczorem, gdy wszyscy seminarzyści powinni znajdować się w sali, w której odbywała się wieczorna nauka. Była to najbezpieczniejsza pora na podłożenie mu nogi, z najmniejszą szansą na to, że wydarzy się coś niespodziewanego.

Sieć ścieżek prowadzących z boiska za SingSing biegła w stronę zarośniętej chaszczami wiejskiej posiadłości, a potem przez dolinę do lasu, do drogi i okolicznych wsi. Droga leżała jakiś kilometr dalej i w jedną stronę prowadziła do biskupstwa Jinja, miejsca dawnych zmagañ Kaandersa, a idąc w drugą stronę, dochodziło się do arcybiskupstwa Kampali, do którego należało nasze seminarium. Ojciec Mindi przez sześć lat pracował w tym arcybiskupstwie, zanim go przeniesiono. Z arcybis - kupamipoligamistami miał mniej kłopotów, ponieważ, w przeciwieństwie do swoich zaciekłych przeciwników z biskupstwa Jinja, milczeli na temat swoich drugich lub trzecich żon. Sprawiały mu kłopot przede wszystkim aroganckie i pewne siebie kobiety, które, zachęczone jego męską urodą i

zręcznością na boisku, otwarcie ubiegały się o jego względy.

Teraz, w suchej porze, Mindi zawsze był na zewnątrz i czyhając na ofiarę, rozkoszował się chłodnym wieczornym powietrzem. Te nocne wędrówki przypominały mu pracę w parafii, kiedy musiał wstawać w środku nocy, by udzielić umierającym ostatniego sakramentu. Był dumny jak paw ze swego powołania święcie wierzył, że robi najbardziej szlachetne rzeczy, jakie istnieją. Zaplanował już nawet następne dziesięć lat swej kariery. Wyobrażał sobie, że zostanie w seminarium jeszcze przez cztery lata, po czym wróci do kościelnej gminy, będzie hodować kukurydzę i groch na sprzedaż i w ten sposób zarobi tyle, by móc prowadzić wygodne życie, niezależne od parafialnych dotacji. W wolnych chwilach będzie trenerem parafialnej drużyny i postara się, by z czasem została mistrzem międzyparafialnego futbolu. Wciąż fantazjował o uprawie kawy oraz o zbiorach kukurydzy grochu, śnił o obfitych plonach i bogatym wynagrodzeniu.

Nagle jego rozmyślenia brutalnie przerwały odgłosy dochodzące zza żywopłotu, w odległości rzutu kamieniem od akacji. Usłyszał, jak coś zasyczało, i przez chwilę zastanawiał się, czy to nie wąż. Jednak za drugim razem syczenie zabrzmiało jakoś bardziej ludzko, prowokująco. To było coś nowego: wagarowicze zawsze przed nim uciekali i nigdy nie zwracali na siebie jego uwagi. Kto to mógł być? Nocny stróż, którego skrzyczał, ponieważ pozwolił na zdewastowanie jego samochodu? Nawet groził mu zwolnieniem, jeżeli nie skończy ze spaniem w czasie swojego dyżuru. Następnym odgłosem był gwizd. Ktoś gwizdał na niego, jakby był psem! Nie był niczym psem. Nie tutaj, a nawet we Włoszech nie. Pomyślał, czy nie zaskoczyć tego dupka, przesadzając płot, ale ku jego zdumieniu gwizdzący potrząsnął gałęzią drzewa, aby wskazać miejsce swego ukrycia. Ojciec Mindi spojrział przez płot, żeby zobaczyć, co się dzieje, a potem skoczył. Zbyt późno zwrócił uwagę na obrzydliwy smród.

i O Boże! - wrzasnął, gdy na twarzy rozprysnął mu się worek z dwudniowymi odchodami. Jego drugi krzyk został zduszony przez kolejne plaśnięcie. Twarz ojca Mindi pokryła się nieczystościami spływającymi po szyi, koszuli i spodniach. Instynktownie przesunął ręką po twarzy, która natychmiast została jeszcze bardziej zabrudzona. Złapał garść igliwia i zaczął wycierać nim twarz i ubranie, a potem dzikimi skokami pobiegł za kaplicę, do refektarza. Ale aluminiowe pojemniki na wodę były puste. Pognał ze wzgórze do chlewu i zaczął myć się wodą z koryt. Smród jednak nie ustępował. Dostał torsji, ale z jego żołądka wydobywały się jedynie strużki żółci. Wrócił na wzgórze przez tylne drzwi wśliznął się do swojej sypialni. Natychmiast wypełniła się smrodem. Spryskał siebie samego i cały pokój sprayem i zaczął wszystko gruntownie czyścić.

Ojciec Mindi nie był pierwszym dyktatorem, którego oślepiło poczucie własnej nietykalności, a tym samym błędnie oceniał ryzykowne sytuacje. Nie mógł przebić się przez błonę despotycznego zdumienia, aby dotrzeć do sedna problemu. Był przekonany, że nasz atak wypływał z nienawiści, co nie było prawdą. To była lekcja panowania nad sobą. Napad został zaplanowany i wykonany z zimną krwią - tak jak należało wykonywać kary. Ale Mindiego oślepiły władza i upór. Jego zdolność widzenia zmąciła księżowska krótkowzroczność i stał się przez to paranoikiem. Sądził, że jakiś umysłowo chory seminarzysta próbuje go zabić. Ze strachem pomyślał o swoim otrutym ojcu. Jego ciało stało się czarne jak sadza, gdy umierał. Widział, jak szybuje mu przed oczami. Pomyślał, że śmierć przez otrucie jest urokiem rzuconym na jego rodzinę przez jakiegoś nieznanego i teraz przyszła kolej na niego. Wytrąciło go to zupełnie z równowagi. Nie zamierzał umrzeć tak marną śmiercią. Poczł nagle, że jest narażony na zranienie i znalazł się w niebezpieczeństwie. Przyniosło to ze sobą okropny atak depresji, odrazy i podejrzliwości. W jego otoczeniu był ktoś, kto nie tylko go wyśmiewał, ale i igrał z nim, jak kot ze skazaną myszą. Jak długo będzie jeszcze mógł pokazywać publicznie swą twarz? Czy przestępca zaczął się już przechwalać swoimi wyczynami? A do tego te odchody! Po raz pierwszy od powrotu z Rzymu miał wrażenie, że ponosi porażkę. Jak miał zaatakować tego niewidocznego wroga? Jak miał powiedzieć swoim współpracownikom, co mu się przydarzyło? I co oni by na to powiedzieli? Czy zajmowali się wychowywaniem psychopatów, czy księży?

Wziął kilka dni zwolnienia, a w potem opuścił kampus na cały tydzień. Krążyły pogłoski, że ma wrzód żołądka. Według późniejszych pogłosek poprosił o przeniesienie.

Po powrocie bardzo kiepsko wyglądał i prawie w ogóle nie potrafił zdobyć się na arogancję, która pomogłaby mu przebić się przez naładowaną wrogością atmosferę. Nienawidził swoich uczniów. Nienawidził seminarium. Nienawidził swojego tajemniczego gnębiiciela. Chłopcy zauważyli, że przestał zakradać się i szpiegować. Krążyła plotka, że kupił trzy duże psy. Najciekawsze było to, że zaczął zaniedbywać swoje obowiązki. Był to tak nieoczekiwany zwrot, że nikt nie śmiał tego publicznie świętować. Podejrzewano, że jego utemperowanie się było sztuczką, podstępem w celu sprowokowania winowajców. Ale dlaczego ojciec Mindi zaczął nagle tak często wyjeżdżać? I dlaczego, gdy był w seminarium, prawie nieustannie przebywał w swoim biurze? Dlaczego nie uczestniczył już we wspólnych mszach? Chłopcy czuli pismo nosem.

Cenzura była uświęconą regułą. Nasze listy zawsze otwierano i czytano, zanim je nam wręczono. A kiedy my pisaliśmy listy, musieliśmy dawać je w niezaklejonej kopercie rektorowi, który je czytał i dopiero potem wysyłał. Tylko podczas weekendów wolno nam

było pisać listy, ale nie wolno nam było samym ich wysyłać.

Pewnego popołudnia powiadomiono mnie, że rektor chce ze mną rozmawiać. Serce podeszło mi do gardła. Czyżby przyłapano mnie na kłamstwie? Może ktoś widział mnie podczas drugiego zamachu? Miałem w nosie seminarium, ale nie chciałem zostać odesłany do domu w połowie roku szkolnego. Zamierzałem odejść dopiero z końcem roku, po zdaniu państwowych egzaminów. A mogła do mnie napisać Lusanani. Jeśli tak było, to co mam powiedzieć rektorowi? Jakim sprytnym kłamstwem się wywinąć? Zacząłem drzeć.

— Wyglądasz na wystraszonego - powiedział rektor, zanim otworzyłem usta. - Czy zrobiłeś może coś zakazanego?

— Nie, ojcze, ale...

— Co ale?

Gadał dziś bez ustanku, mimo stert papierów rozłożonych na jego biurku. Leżała tam również kupka otwartych listów i zastanawiałem się, dlaczego ten człowiek kontroluje naszą korespondencję. Czy naprawdę był zdania, że dla chłopaków w naszym wieku zadawanie się z dziewczynami jest niewskazane? Czy naprawdę sądził, że najlepsi księża to wyświęcone prawiczki? Co się działo w głowach tych ludzi w Rzymie, gdy ustanawiali tego rodzaju reguły? A czy nasi rodzimi duchowni wiedzieli, co powodują, ślepo stosując te reguły? Rektor był sympatycznym mężczyzną w średnim wieku, z dość dużym poczuciem humoru, ale przeglądał naszą pocztę jak świntuch, który tanim kosztem chce sobie dogodzić. Opowiadał nam zawsze śmieszne historyjki i dlatego go lubiliśmy. Teraz jednak zacząłem się zastanawiać, czy nasza korespondencja nie dostarczała mu pomysłów.

— Masz coś na wątrobie? - zapytał, marszcząc brwi.

— Przecież wszyscy mamy - odparłem odważnie. - Okłamałem wczoraj kogoś. Wziąłem nowy ołówek z pulpitu kolegi i używałem go, nic mu o tym nie mówiąc. Pytał, kto ukradł jego ołówek, a ja odparłem, że nie wiem. Wieczorem odłożyłem go na miejsce, ale nie mogłem mu tego powiedzieć, bo szybko wpada w złość.

Wszystko to było zmyślane, miało jednak ręce i nogi. Był to ten rodzaj kłamstw, jakie wymyślaliśmy, idąc do spowiedzi. Najczęściej umawialiśmy się między sobą, z czego będziemy się spowiadać: z oszustw, przekleństw, drobnych kradzieży... Zastanawiałem się, jak zacząć, by udawaną szczerością zwabić rektora w pułapkę.

— Co sądzisz o pracy w bibliotece? - zapytał.

Odetchnąłem z ulgą, świadomy jednak, że i on zastanawiał się, jak zacząć, i powiedziałem:

— Podoba mi się. I odkąd ją wykonuję, mam coraz lepsze oceny.

— Czy pojawiają się czasem jakieś kłopoty?
— Czasem nie możemy dojść, kto kradnie nasze książki.
— Czy próbowałeś zapobiec kradzieży?
— To nie zawsze możliwe, bo niektórzy chłopcy kradną książki pożyczone przez innych.

— Zapewne wiele się nasłuchasz w bibliotece...
— Czasem.
— Słyszałeś, co się zdarzyło ojcu Mindi?
— Tak, zdemolowanie jego samochodu to wstyd dla tych wszystkich z nas, którzy chcą zostać księżmi.

— Nie to mam na myśli. Mam na myśli to, co mu się ostatnio przytrafiło.
— Nie. Słyszałem tylko, że ma wrzód żołądka.
— Nie słyszałeś nic o ataku?
— Nie, ojcze. O jakim ataku?
— Nie słyszałeś, żeby ktoś coś mówił na ten temat?
— Wszyscy mówią tylko o wrzodzie żołądka i o tym, że ojciec Mindi zbyt ciężko pracuje.

— Nie chodzi mi o wrzód żołądka, mówię o innym rodzaju cielesnego ataku.
— Nie, ojcze. O niczym takim nie słyszałem. Przecież to poniżej ojców godności.
— Wcześniej wszyscy przestępcy zawsze się przechwalali swoimi wyczynami i tym się zdradzali. Czy na pewno nie słyszałeś, żeby ktoś się odgrażał, że da nauczkę ojcu Mindi? Dobrze wiem, że niektórzy chłopcy nie przepadają za nim.

— Naprawdę niczego nie słyszałem, ojcze. Ale wiem, że sprawcy z pewnością zostaną ujęci, tak jak poprzednim razem.

Najwidoczniej rektor uznał moje odpowiedzi za zbyt gładkie. Doskonale wiedział, że ja wiem, że on nie wie, kto się dopuścił napadu, i złościło go, że nie może ze mnie ani z nikogo innego wydobyć żadnych zeznań.

— Jeżeli coś usłyszysz, masz mi natychmiast dać znać - powiedział. - Nie mogę tolerować tak skandalicznego zachowania. Seminarium nie może popaść w anarchię, jak to się dzieje z niektórymi świeckimi szkołami. Leży to również w twoim interesie. Jeżeli dochodzi do napadów na księży, wkrótce zaczną również dochodzić do napadów na innych seminarzystów. A jeśli sprawcy nie zostaną ukarani, jakimi księżmi staną się w przyszłości? Kto będzie chciał służyć z nimi w jednej parafii?

Chciałem powiedzieć, że wszyscy nowicjusze przez rok byli ofiarami duchowych i

cielesnych ataków i że co noc zmuszano ich do walenia kapucyna, podczas gdy księża leżeli w swoich łóżkach i mieli polucje. Chciałem powiedzieć, że napady na księży oznaczały może, że wreszcie otrzymali zasłużoną karę. Ale wiedziałem, że nie mogę powiedzieć czegoś takiego, nie narażając się na wyrzucenie ze szkoły. Współczułem temu człowiekowi, ponieważ mnie nie doceniał. Nie byłem donosicielem.

— O, i jeszcze coś - powiedział rektor, pokazując mi list, który napisałem do ciotki Lwandeki. - Dlaczego zakleiłeś kopertę? Czy to nieprzyzwoity list?

— Nie, ojcze, po prostu zapomniałem. Pewnie byłem roztargniony. To list do ciotki ze strony mamy. Nie ma w nim niczego złego ani nieprzyzwoitego.

— Zapomniałeś? Czy często zapominasz wysłać listy w przyjęty sposób?

— Nie, ojcze.

— Co w nim napisałeś?

— Ciotka została kiedyś złapana przez żołnierzy Amina i ma koszmary z tego powodu. Napisałem jej, żeby zmówiła nowennę do świętego Judy Tadeusza.

— Mogę go otworzyć?

— Proszę - powiedziałem spokojnie. Nie było tam ani słowa osłynnym świętym, ale zaryzykowałem.

— Dobrze, możesz odejść. Ale gdybyś coś usłyszał, nie wahaj się przyjść i powiedzieć mi o tym. Liczę na ciebie, mój synu.

— Postaram się, ojcze - odparłem, próbując dać mu do zrozumienia, żeby darował sobie to pieprzenie.

Kamień spadł mi z serca. Dzięki Bogu nie chodziło o list od Lusanani. Jak w tym superkatolickim miejscu miałbym wytłumaczyć swoje kontakty z muzułmanami?

Chłopcy, spragnieni wiadomości o tym, co się dzieje z naszym skarbnikiemstróżem dyscypliny, zaczęli brać na spytki poszczególnych nauczycieli. Podczas lekcji zadawali sugestywne pytania. Czarni księża, weterani w zakresie tego rodzaju sztuczek, pozostawiali nas w niepewności. Interpretowałem to jako znak solidarności wobec kolegi w kłopotach. Był to również zarazem pewien rodzaj zemsty wobec nas, bo oczywiście wszyscy wiedzieli, że ten, kto ukarał ojca Mindi, znajdował się w naszych szeregach.

Z pomocą przyszedł nam ojciec Kaanders. Gdy jak zwykle odśpiewaliśmy to jego nonsensowne *bon/mauvais/mechant*, a z jego umysłu ulotniła się mgła, paru chłopaków zarzuciło go pytaniami. Przejechawszy kilkakrotnie ręką po nielicznych pasemkach włosów na swej krągłej głowie, ojciec Kaanders powiedział:

— Chłopcy, chłopcy... ojciec Mijndij odchodzi, chłopcy.

Naturalnie zaraz zaczęto się dopytywać, dokąd odchodzi. Po całej serii „O, chłopcy, chłopcy” Kaanders powiedział nam, że ojciec Mindi został przeniesiony. Rzuciło mi się w oczy, że starzec wydawał się zaniepokojony tą kwestią. Zastanawiałem się, czy wie o worku z odchodami i będzie próbował dojść, kto z nas dopuścił się tego przestępstwa. Nie dawaliśmy mu spokoju i wciąż pytaliśmy, kto zastąpi skarbnika, czyli ojca Mijndij, jak go nazywał, ale nie chciał nam tego powiedzieć.

Wkrótce całe seminarium zalały pogłoski o zbliżającym się odejściu ojca Mindi. Staraliśmy dowiedzieć się czegoś od czarnych księży na temat jego następcy, lecz i oni nie chcieli niczego zdradzić ani nawet potwierdzić pogłosek.

Tydzień później niespodziewanie złożył nam wizytę dziekan. Był to wysoki gruby człowiek z obwisłym brzuchem i potężnymi pośladkami, kroczący niezdarnie na szeroko rozstawionych nogach. Mówił bardzo szybko, aby w ten sposób ukryć swoje seplenienie i jąkanie się, i dlatego trudno go było zrozumieć. Mimo ułomnego sposobu mówienia, lubił słuchać własnego głosu. Zaserwował nam pięćdziesięciminutowe kazanie. Wysłuchaliśmy go w bezruchu, a ojciec Kaanders je przespał. Dziekan przygniótł nas gładzeniem o naszym powołaniu i o tym, co to znaczy być księdzem, i że jesteśmy wybrańcami, że powinniśmy wysoko cenić swą godność i jeszcze więcej takich bredni. Niemal wszyscy byliśmy zgodni co do tego, że plecie koszałkiopałki, i wkurzeni, bo śniadanie znowu nie nadawało się do żarcia: była to wodnista papka pełna larw, z suchym chlebem, gdy tymczasem kierownictwo dogadzało sobie przysmakami, których najwspanialsze zapachy wypełniały korytarze. Ważność gościa mierzyło się tym, co trafiało na stół. Jeżeli z wizytą przybywał biskup, skarbnik podawał nam rzeczy najlepsze z najlepszych, ponieważ dostojny zwierzchnik najczęściej przychodził też zobaczyć, co mamy na talerzach. Często zastanawialiśmy się, czy naprawdę jest tak głupi, by sądzić, że zawsze jemy to, co nam podają z okazji jego wizyty, czy też po prostu chce zobaczyć, czy jesteśmy wdzięczni, że choć raz nie podano nam tego świńskiego jedzenia co zwykle. Ale on nie wysiłał się, żeby zobaczyć, jakie jedzenie stawiano na stole, i dlatego większość z nas miała gdzieś jego mądre, sepleniące i jękające się słowa. Cała kaplica ożywiła się, gdy bezskutecznie zmagał się ze słowem „zwierzchnik” i bełkotliwie wyjaśniał:

— Jeźzius jest zwwieśńnikiem, to znaczy zwwwierznikiem, ullium, zwwieśchnikiem tego instytttututu.

Potem przemawiał wolniej, ale zanim msza się skończyła, wszyscy byliśmy rozbawieni.

Przy tego rodzaju okazjach księży również starali się jak mogli, nie spieszyli się

podczas mszy, wszędzie nosili habity, nie palili publicznie i zachowywali się, jakby byli najposłuszniej - szymi i najbardziej przykładnymi księżmi w całym biskupstwie. W kwatery głównej biskupstwa prowadzono akta każdego z nich - chcieli, by pozostały nieskalane, bo im czystsze były akta, tym większą mieli szansę na otrzymanie posady w najlepszych parafiach.

Gdy dziekan zniknął po mszy i odjechał incognito. Ostatecznie dowiedzieliśmy się, że ojciec Mindi ma zostać przeniesiony. Zwołano personel, żeby oznajmić nazwisko nowego skarbnika. Ponieważ był to krok dosyć kontrowersyjny, musiał zostać zamaskowany, dowiedzieliśmy się więc jedynie, że miejsce ojca Mindi zajmie biały misjonarz.

Kiedy rozpoczęły się uroczystości kościelne, chłopcy po raz pierwszy byli spokojni i pogodni. Nie szpiegowano ich, nie było już żadnych kontroli policyjnych, nie musieli się obawiać czających się donosicieli. Wagarowicze przeżywali teraz swoje wielkie dni. Ich łącznicy przynosili kontrabandę aż do boisk za SingSing, gdzie handlowano papają, trzciną cukrową i czym się tylko dało. To właśnie chciałem osiągnąć i cieszyłem się, że mi się udało. Wyrzucano teraz mnóstwo jedzenia, a euforia z powodu wspaniałych posiłków ożywiała nawet najospalszych.

Przypatrywałem się temu wszystkiemu z pewnej odległości, zastanawiając się, dlaczego stróż nocny i księża na tak wiele spraw patrzyli przez palce. Pewnego gorącego popołudnia byłem świadkiem perwersyjnego zdarzenia - szczytu nowego rozpasania. Jakimś cudem udało się komuś zdobyć powiększone zdjęcie ojca Mindi, przykleił je na szarym papierze i przybił do drzewa. Grupa chłopaków, przeklinając, zaczęła bić w nie kijami. Odszedłem, gdy z twarzy ojca Mindi pozostały jedynie strzępy. Zdarzenie to obudziło we mnie rezerwuar wątpliwości i trwożliwe przeczucia. Co się stanie z tymi wszystkimi emocjami, jeżeli nowy skarbnik nie sprost oczekiwaniom? Nie chciałem jednak za bardzo uprzedzać spraw. Na razie mieliśmy jeszcze do czynienia z nikiem twarzą byłego skarbnika, który zdawał się spać w ciągu dnia, a w nocy pakował walizki.

Następcą ojca Mindi był Gilles Lageau, francuskokanadyjski misjonarz z Quebecu. Ojciec Lageau w niczym nie przypominał stereotypu brodatego, obłudnego misjonarza. Był przystojnym mężczyzną o prostym nosie i niebieskich oczach, które podkreślały jego dumę wyrazistym przeświadczeniem o własnym wyglądzie, władzy, wpływach i bezpiecznej misji. Miał wspaniałą opaleniznę, która doskonale pasowała do jego rudawych włosów i złotawego puchu na mięsistych ramionach. W jego chodzie wyczuwało się coś z płynnego chodu amerykańskich gwiazd filmowych. Łagodne, zręczne ruchy jego dobrze utrzymanego ciała oznaczały siłę i opanowanie, które napęliły nas optymizmem. Gdyby przyjechał jakiś smutny mizerak, z którego twarzy kapąby lata, rozczarowałby wszystkich seminarzystów.

Ale ponieważ ojciec Lageau łączył w sobie amerykańską władzę i francuską arogancję, każdy widział w nim ucieleśnienie anty - marazmowej kuracji, jakiej z nadzieją oczekiwano. Jego reputacja wyprzedziła jego przybycie. Zanim do nas dotarł, wiedzieliśmy, że jest geniuszem w dziedzinie finansów, który w jednym palcu ma wiedzę na temat tego, jak wyciągnąć nas ze ślepej uliczki biedy, gnuśności, niedożywienia oraz oportunistycznego zniechęcenia wywołanego przez zacofanie. Stał się dzięki temu bohaterem, a na jego przybycie czekano w podnieceniu, jakby był tryumfującym Mesjaszem.

Człowiek ten zasługiwał na szczególną uwagę, podobnie jak okoliczności, w których się pojawił. Epoka białych misjonarzy przeminęła. Niemal przed stu laty, przelewając wiele krwi, założyli Kościół w Ugandzie. Zanim zniknęli, prawie we wszystkich biskupstwach wybudowali lokalne kościoły i wychowali lokalne duchowieństwo, z wyjątkiem biskupstwa Jinja, gdzie utrzymała się kultura poligamistyczna, nie wysyłająca swoich potomków do surowego świata klasztorów. Rodzimy Kościół, założony przez białych, szybko się rozprzestrzenił. Gdy większość białych misjonarzy odjechała lub umarła, miał już rodzimego arcybiskupa, a później kardynała. Cała rzesza biskupów i zarządzająca Kościołem kadra administracyjna wywodziły się obecnie z rodzimych kręgów. Element misyjny powoli zanikał, przeredzony zgonami i wyziewaniem ducha przez Kościół europejski. Jeśli organizacja czegoś się obawiała, to umocnienia się czarnej rasy wewnątrz misji, składającej się pierwotnie w całości z białych. Wśród konserwatywnych misjonarzy panowała obawa, że pewnego dnia kolorowi przejmą władzę, Afryka była bowiem ich największym terenem działania - w Europie nie pozostało w tym zakresie już nic do zrobienia.

Niektóre organizacje misyjne miały własne seminaria. Wszystkie seminaria biskupie prowadzone były przez rodzimych księży, wspieranych czasem przez białych misjonarzy. Kiedy biały misjonarz odchodził, najczęściej nikt go nie zastępował, bo brakowało księży, którzy mogliby się tego podjąć. A już zupełnie nietypowe było, by rodzimego księdza zastępował biały misjonarz. Ale Lageau sam był nietypowy.

To, że Lageau natychmiast został okrzyknięty bohaterem, wynikało z faktu, że my - seminarzyści, zdeptani - wierzyliśmy, że ten nowy, energiczny biały będzie wyzwaniem dla czarnych księży i z wielkim animuszem pchnie ich w kierunku totalnej rewizji systemu administracyjnego, finansowego i liturgicznego. Jak miałoby to miejsce w przypadku każdego bohatera, zawzięcie spekulowano na temat przyczyn przybycia Lageau do naszego seminarium. Niektórzy przypuszczali, że został wysłany tu za karę za jakąś poważną omyłkę, bo przecież nikt dobrowolnie nie zechciałby zamienić wspaniałych równin Que - becu na nasze wzgórza. Inni natomiast twierdzili, że Lageau sam poprosił o przeniesienie, ponieważ

szukał wyzwania. Jako reformator szukał zakładu, który mógłby przekształcić we wzbijającego się w powietrze orła, aby polechtać swoje ego. Według trzeciej teorii był ombudsmanem przysłanym przez Rzym i innych sponsorów dla przeprowadzenia badania korupcji w biskupstwie i seminarium, zanim nakaże się przeprowadzenie koniecznych zmian. Byli i tacy, którzy mówili, że jest kowbojem poszukującym przygód i że odejdzie, gdy tylko mu się tutaj znudzi. Wiedzieliśmy o nim niewiele - że pracował wcześniej w różnych rejonach Azji i Ameryki Łacińskiej, a teraz znajdował się w Afryce. Tak czy owak, pojawił się na scenie w sposób dramatyczny i miał przemożny wpływ na nasz mały światek.

W końcu z oficjalnych kanałów dowiedzieliśmy się, że ojciec Lageau przyjechał, aby przejąć finansowe sprawy seminarium. Wszędzie tańczono i śpiewano, zwłaszcza między rzędami łóżek w salach sypialnych. Wszędzie, na myśl o bajecznych posiłkach, widać było pachy lepkie z młodzieńczego podniecenia. Nie będzie już zepsutego grochu. Nie będzie już kukurydzy nadgryzionej przez larwy. Nie będzie już w niedzielę na wpół surowego ryżu. Witaj *matooke* i mięso. Witajcie słodkie ziemniaki i ryby. Witajcie dni pełne wspaniałego jedzenia. Jakże wiele ów bogacz z Ameryki Północnej mógł dokonać w naszym seminarium!

W naszym niewielkim odosobnionym świecie jedzenie było sprawą najważniejszą. Jedliśmy, aby utrzymać się przy życiu i aby oczyszczać swój organizm ze zbędnych żądź. Kładliśmy się spać, myśląc o jedzeniu, i jedzenie było pierwszą rzeczą, jakiej myśleliśmy po obudzeniu się. Jakże zazdrościliśmy księżom ich codziennych smakołyków i uroczystych niedzielnych posiłków! Zakonnice gotowały dla nich duszą i sercem wszystkimi tłumionymi popędami. Rozpieszczały księży jak rozpieszczałyby superkochanka, kogoś, kogo chciałyby powieść na nowe wyżyny erotycznego szaleństwa, pobudzając go ostrymi kąskami, drażniącymi wszystkie zakątki jego ciała. W tych dniach kapłaństwo było synonimem wybornego jedzenia. Był to cel godny walki. To właśnie przy stole uświadamialiśmy sobie, jak daleko słowa stoją od rzeczywistości: prawiono nam wiele kazań na temat równości, ale były to tylko słodkie słówka, które zapadały się w śmierdzącej karmie dla świń. Mnie samemu nie wiodło się najgorzej po tym, jak z pomocą szantażu zapewniłem sobie dostęp do resztek z księzego stołu. Mimo to kontrast był przerażający, szczególnie w dni, gdy nic dla mnie nie zostawało.

Były okresy, gdy żyłem między okładkami jakiejś książki. Ale nie byłem samolubem. Mogłem zachować się powściągliwie i pozwolić Mindiemu robić swoje, a samemu z zadowoleniem pałaszować swoje porcje, zrobiłem jednak, co mogłem, jakbym był jednym z tych, którzy najbardziej cierpieli z powodu niedostatku żywności. Nic dziwnego, że ogarniało mnie poczucie, iż całe seminarium ma u mnie dług: to w końcu worki z moimi odchodami

przyczyniły się w dużej mierze do przyjazdu fran - cuskokanadyjskiego milionera, mającego wywołać rewolucję. Miałem wrażenie, że dobre rzeczy zawsze znajdują się w tajemniczym opako'waniu.

Ojciec Kaanders był bardzo podekscytowany przyjazdem ojca Lageau. Jego macho zaczęło przezierać przez starą, pokrytą plamami wątrobianymi skórę, a matowe oczy znów zaczęły błyszczeć. Chodził teraz zważszym krokiem i podciągał spodnie aż po pępek, niemal w sposób zwracający uwagę. Wydawało się, że powrócił do czasów, gdy pracował w biskupstwie Jinja, w ogromnej parafii nad brzegami Jeziora Wiktorii. Choć okoliczni mieszkańcy byli nieczuli na błogosławieństwa ewangelii, wybrał właśnie to biskupstwo. Katolicyzm trafił tam w ślepą uliczkę, ponieważ obstawał przy stosunku jedenmężczyznana - - jednąkobietę. Składając wizyty domowe, ojciec Kaanders aż nazbyt często widział, jak pięćdziesięcio, sześćdziesięcio - lub siedemdziesięcioletni mężczyzna otaczał się kobietami, z których najstarsza była po pięćdziesiątce, a najmłodsza mogła być jego wnuczką. Kaanders przebierał nogami, aby rozpocząć czołowe starcie. Uważał poligamię za jeden ze skutków zacofania panującego w biskupstwie. W poligamicznych rodzinach płożono dużo dzieci. Nie miały wysokiego standardu życia, a ich szanse ograniczały choroby i brak wykształcenia. Pozostawały w zamkniętym kole większej liczby kobiet, większej liczby dzieci i większej niewiedzy. Nie mógł w ogóle zrozumieć, jak tych paru katolików, jacy tam jeszcze byli, mogło usprawiedliwiać poligamię, uznając Martę i Marię Magdalenę za żony Jezusa, i odmawiał poparcia tym, którzy Abrahama, Józefa, a nawet króla Salomona podawali jako przykład pierwszej klasy poli - gamistów. Odrzucał te wszystkie wykręty i z całej siły przeciwstawiał się w swoich kazaniach poligamii. Wskazywał, że biskupstwo Jinja jest jedynym biskupstwem w całym kraju, w którym prawie w ogóle nie ma rodzimych księży, ponieważ ludzie nie chcą się tu zmienić. Wskazywał też na to, że seminarzyści odrzuceni przez innych biskupów szukają schronienia w Jinja i tam wyświęca się ich na księży. Czy ludzie w jego biskupstwie nie mają szacunku dla samych siebie? Nie chciał przyznać, że poligamia jest sprawą naturalną i że do zarządzania domem potrzeba pewnej liczby kobiet. Odrzucał teorię, że płożą tak dużo dzieci z powodu ich dużej umieralności. Nie zgadzał się z poglądami, że poligamia przeciwdziała prostytucji, dając każdej kobiecie szansę wyjścia za mąż. Głosił kazania i oświecał, i jeździł, aż padł z wyczerpania. Przydzielono mu parafię o powierzchni dwudziestu kilometrów kwadratowych, z fatalnymi drogami, ogromnymi mokradłami i złymi połączeniami. Przemierzał ją całą wzdłuż i wszerz na swoim motorze, stawiał czoło tropikalnym burzom, nieprzejezdnym mostom rozwalonym przez ulewne deszcze i odwiedzał nękanie chorobami miejsca, w których żaden biały nie postawił przed nim

stopy. Był postacią znaną i machano mu, gdy przejeżdżał, a niektórzy wołali za nim w miejscowym dialekcie: „Skaczące ziarno grochu!”. Ziarno grochu było synonimem jądra. Ci, którzy nie lubili ojca Kaandersa, twierdzili, że ma tylko jedno jądro, bo tylko mężczyzna z jednym jądrem może się tak uparcie przeciwstawiać poligamii, samemu nie będąc żonatym. Przyjmowano go uprzejmie, czasem nawet dostawał kozę albo kurę, każdy jednak zatrzymywał wszystkie swoje żony, mimo ostrzeżeń, że trafi do piekła. Ważniejsze były dla nich szkoły i szpitale niż jego błogosławieństwa. Chcieli mieć motor taki jak on i rower, i samochód, by móc przewozić na targ swe towary. W końcu poszedł na kompromis, obiecując, że będzie chrzczyć także nieślubne dzieci, inaczej przez cały rok nie mógłby odprawić ani jednej ceremonii chrztu. Tym, którzy nadal grzeszyli, odmawiał komunii świętej i innych sakramentów, niewielu jednak się tym przejmowało.

Stale był przepracowany i słał się ze zmęczenia. Ból w dole kręgosłupa nie dawał mu wieczorami zasnąć. Mówiono, że jest taki niespokojny, ponieważ nigdy go porządnie nie przeleciano. Zaczęto podsyłać mu piętnasto, szesnastoletnie dziewczęta, które mu mówiły, że mają diabła w kroczu. W zmieszaniu nie od razu pojął, o co im chodziło. Myślał o rzeżączce i syfilisie i zastanawiał się, jak wcześniej te dziewczęta zaczynają współzycie. Ale gdy zaczęło pojawiać się coraz więcej skarg na diabła w pachwinach, zaczął coś podejrzewać. Najbardziej dokuczliwym złoł skórę biczem ze skóry hipopotama, którego używał również na złodziei. Przychodziły jednak nadal, wszystkie z diabłem w swoich nastoletnich pachwinach. I miały nieskończoną cierpliwość. Niektóre czekały na powrót ojca od wczesnego ranka do późnego wieczoru. Jeżeli się nie pojawił, wracały do domu oddalonego o wiele kilometrów. Było to w okresie, gdy mucha tsetse zwała ojca Kaandersa z nóg. Połączenie wycieńczenia i śpiączki skłoniło go do namysłu. Był chory przez wiele miesięcy. Przepełniało go uczucie, że już od piętnastu lat niczego nie osiągnął poza zbudowaniem kilku marnych szkółek, które w czasie deszczów natychmiast się rozpadały. Doznał załamania nerwowego, a gdy wyzdrowiał, złożył wniosek o przeniesienie do seminarium. Od tej pory jego miłość do książek i uporządkowanego życia seminaryjnego zakłócały jedynie coraz częstsze momenty utraty pamięci.

Przyjazd ojca Lageau ożywił go. Pomyślał, że znów będzie mógł podjąć walkę z prastarymi problemami. Z młodym białym człowiekiem u swego boku nie będzie już samotny. Będzie miał kogoś, z kim można wypić lampkę wina i pogadać o innej stronie świata.

Ojciec Gilles Lageau wyglądał jak Roger Moore w roli Jamesa Bonda. Kaanders wydawał się włóczęgą zebrzącym oparę groszy u dumnego kalifornijskiego windsurfera. Ze

swymi rzadkimi włosami, artretyzmem, zwiotczalymi zwieraczami i zepsutymi zębami raczej nie mógł się mierzyć z nadzianym Kanadyjczykiem. Od początku było jasne, że jeśli między tymi dwoma powstanie jakiś związek, to właśnie Kaanders będzie zabiegał o jego utrzymanie. Spoglądaliśmy na obu białych niemal jak antropolodzy. Byliśmy zafascynowani przeciwieństwami zachodniego świata.

Narcyzm księży i seminarzystów znajdował zwykle ujście w żywym zainteresowaniu sprawami materialnymi. Rzeczą normalną było, że samochody, ubrania i meble księży drobiazgowo analizowano pod względem jakości, marki, ceny i trwałości. Lageau stymulował to, przechwalając się swoim złotym zegarkiem Rado („czempionem wśród chronometrów”), twierdząc, że podaje czas z dokładnością do jednej sekundy w ciągu roku. Cóż za zachodnia niezawodność! Cóż za zachodnia precyzja! Niektórzy próbowali obliczyć, jakie góry produktów żywnościowych można by za sam ten zegarek kupić dla dwustu chłopców z kampusu. Inni koniecznie chcieli się dowiedzieć, gdzie Lageau kupuje swoje pastelowe koszule i pasujące do nich spodnie. Jeden z chłopaków, pracujący u niego w biurze, zdradził w końcu, że Lageau nosi wyłącznie ubrania francuskie. Drogie paski, skarpetki w kratkę i sandały z prawdziwej skóry, jakie nosił u nas w klasie, wywoływały wiele wrzawy. Robiono zakłady, czy ma habit, czy nie, bo ani on, ani Kaanders nigdy nie wkładali tych niekształtnych szat, nawet wtedy, gdy przyjechał do nas z wizytą biskup.

Nagłe pojawienie się tego płomiennego człowieka wśród nękanych biedą dusz było tryumfem bogaczy w ogóle. Istniało delikatne uwielbienie bogatych ludzi. W ich żyły wstrzyknięto celowo dawkę hojności, a ich braki świadomie wygładzano lub pomijano. Niewielu ludzi dziwiło się, dlaczego czterdziesto - paroletni mężczyzna otwarcie przechwala się zegarkiem, skoro pochodzi ze stron, gdzie takie zegarki nie są niczym szczególnym. Panowało przekonanie, że takie drobne błędy są jak pchły na grzbiecie rasowego psa.

Wielu miało w tym również własny interes: nie gryzie się ręki, która karmi albo która być może będzie karmić, często więc nadstawiano drugi policzek i okazywano dużo cierpliwości w nadziei na dobre zakończenie. Czyż rzeki nie płyną drogą najmniejszego oporu? Ta zachodnia rzeka, która płynie między nami, będzie bardziej skłonna ulżyć naszym ciężarom, gdy będziemy spokojnie leżeć na jej brzegach.

Niewiedza również nie pozwalała nam właściwie ocenić sytuacji. Mało wiedzieliśmy o tym, jak na Zachodzie każdy odrąbuje dla siebie kawałek bogactwa. Prawie nikt z nas nie wiedział, jak działa magiczna zachodnia, ekonomiczna maszyna, którą ucieleśniała postać ojca Lageau. Mieliśmy tendencję do wychwalania nieznanego, więc ludzie Zachodu, w tym wypadku Lageau, byli tak wychwalani, że aż robiło się od tego niedobrze. Większość z nas

wierzyła, że był wyznaczonym przez Boga pośrednikiem pomiędzy nami a zachodnimi dobroczyńcami. Ileż drzwi mógł przed nami otworzyć! Ileż osobistych marzeń mógł spełnić! Wyobrażaliśmy sobie, że spadną na nas przeróżne dobrodziejstwa: od kieszonkowego do wielu artykułów konsumpcyjnych dobrej jakości, przede wszystkim dobrego jedzenia. Wiedzieliśmy z doświadczenia, że księża, którzy mieli protektora, cieszyli się lepszym standardem życia niż ci, którzy go nie mieli. Jeździli porządnymi autami, mieli gotówkę w kieszeni i ładne ubrania. Raz na jakiś czas wyjeżdżali także na wakacje za granicę. Dlatego kiedy pojawił się Lageau ze swymi niebieskimi oczami, magiczny system stuprocentowej rekompensaty za opuszczenie rodziny na rzecz Jezusa zaczął migać.

Dość długo jeszcze snuto domysły, kiedy wpływ Lageau stanie się zauważalny. Księża byli ostrożni, ale my byliśmy optymistyczni. Czyż cierpliwość nie jest piękną rzeczą? Od odrobiny więcej cierpliwości przecież nie pomrzemy. Nie, nie umarliśmy, ale nie spadły nam z nieba spodziewane owoce.

Aż nazbyt prędko Lageau ukazał nam swoją prawdziwą arystokratyczną twarz: był niewrażliwy na opinie, wszystko jedno czyje. Łzy żalu kapąły na skorupy naszych pełnych nadziei marzeń. Nie chcieliśmy jednak z nich zrezygnować, zrewidować naszej postawy i ograniczonej wiedzy o Zachodzie. Nikt nie chciał przyznać, że dokonał niewłaściwej oceny i żywił zbyt wielkie oczekiwania, bo co mogło być zbyt wielkiego dla kogoś takiego jak Lageau, obracającego się w zaczarowanym kręgu pieniędzy i władzy? Należało jednak spojrzeć rzeczywistości w oczy. Lageau powiedział: „Są ludzie, którzy myślą, że w Europie znajdują się kopalnie złota”. Towarzyszące tej wypowiedzi mrugnięcie okiem w niejednym z nas wywołało drżenie z powodu nieznośnego bólu. Jeżeli w Europie nie ma kopalń złota, to gdzie one do cholery są? Może tutaj? Może na Syberii? Albo w niebie? Czy nie mógł powiedzieć, że to nie pieniądze są problemem, ale sposób ich wydawania? To mrugnięcie okiem, jak szybko odkryliśmy, miało uczynić z nas quasitowarzyszy broni i quasipowierników. Udzielił bliższego wyjaśnienia: „Wciąż przychodzą do mnie księża zebrzący o samochód, instalację stereo, pieniądze i sponsorów” - powiedział jakby mimochodem. W rzeczywistości była to przyprawa, jakiej dodawał do cierpkiego matematycznego dania, które nam serwował. Prowadził lekcje matematyki. Jeżeli nie śmiano się z jego słów, puszczał oko, wykonywał palcem ruch śrubowy w kierunku swej głowy i czekał na ogólne rozbawienie. Śmialiśmy się z tych naiwnych, chciwych, materialistycznych księży, lecz nasza wesołość była nieprawdziwa i bolesna, bo każdy zdawał sobie sprawę, że nie jesteśmy z Lageau równymi sobie towarzyszami broni i że być może wyśmiewamy samych siebie.

Ogarnęło mnie głuche, ciężkie uczucie, niewiele różniące się od puszczenia wiatrów po porcji zepsutego grochu, które groziło skróceniem o głowę mojego żywego zainteresowania tym człowiekiem. Wszystkie moje czułki stanęły dęba, byłem gotów wchłonąć wszystko jak gąbka. Po raz pierwszy spotkałem kogoś, kto miał wszystko, i zamierzałem wyciągnąć z tego tyle nauki, ile tylko było możliwe. Czułem, że wyprzedziłem Serenity i pierwszy dotarłem do mety: stałem oto naprzeciw jednego z tych milionerów, których on spotykał tylko w książkach. Był to pierwszy człowiek, dzięki któremu zacząłem wątpić w ideę władzy. W chwilach kryzysu zawsze słyszałem płaczące noworodki, przypominające mi, jak szczególnym człowiekiem byłem. W seminarium stale miałem wrażenie, że przebywam w niewłaściwym towarzystwie - między dzieciakami, którym razem z Babcią pomogliśmy przyjść na świat. Miałem uczucie, że wiem coś, czego nie wiedzą księża: wiedziałem, co należało zrobić w chwili, gdy dziecko przychodziło na świat. Lageau był pierwszym człowiekiem, który mi uświadomił inny rodzaj władzy - władzy, która decydowała o życiu milionów na odległość. Władzę, którą sam kiedyś miałem, dawała mi krew, wody płodowe i zapach narodzin. Jego władza miała jaskrawy blask srebra i żar złota. Napawała mnie strachem, a jej blask oślepił mnie.

Moja wiara w niego szybko jednak osłabła: nie jestem człowiekiem silnej wiary. Mijały tygodnie, a jedzenie było równie obrzydliwe jak przedtem. Byłem przekonany, że każdy przywódca, który jest coś wart, natychmiast wprowadza w życie reformy, troszczy się o zmiany, choćby natury kosmetycznej, przeciągając w ten sposób ludzi na swoją stronę. Wychodziłem z założenia, że każdy dyktator jest prawie tak samo zły lub tak samo dobry, jak jego następcą. Ale Lageau nie wyglądał na człowieka, który wprowadzi zmiany na lepsze, co wydało mi się dziwne i zniechęcające. Gdzie pieniądze? Czy przyjechał z pustymi rękoma? Jeśli tak, jaka była różnica pomiędzy nim a Mindim?

Gdy zapanowało ogólne niezadowolenie, Lageau, jakby zdając się rozumieć sytuację, zniżył się do zapytania nas, co sądzimy o seminarium. Zawstydziliśmy się, że powątpiewałem w demokratyczne intencje tego człowieka. Ale mnie, wychowanemu w tyranii, można było wybaczyć przekonanie, że wszelkie formy autorytetu zawierają ziarna tyranii. Zauważyłem jednak, że moi koledzy nie kwapią się do otworzenia ust. Podniosłem rękę, dumny ze swej odwagi.

0 *Mens sana in corpore sano* - zacytowałem nauczyciela łaciny. - Sądzę, że ojciec wie o podłym jedzeniu, jakie codziennie jest nam podawane. Groch jest zepsuty, bez smaku i daleki od pożywnego. Larwy w mące kukurydzianej bardzo przytyły, a na naszym chlebie wyglądają na jeszcze grubsze. Chcielibyśmy dostawać lepsze i zdrowsze posiłki.

Chcielibyśmy, żeby nasza dieta była bardziej zróżnicowana. Chcielibyśmy, żeby zakonnice bardziej się starały, przygotowując nasze jedzenie, zwłaszcza w niedzielę, bo wtedy ryż jest najczęściej na wpuł surowy z kamykami. Chcielibyśmy również prosić ojca skarbnika o podarowanie seminarium pompy wodnej, żeby w czasie suszy można było pompować wodę na wzgórze.

Lageau, wystrojony w jasnoniebieski garnitur, spojrział na mnie, mrużąc lewe oko aż do szparki. Czułem się trochę skrę - powany. Potem podniósł brwi, jak James Bond tuż przed zdetonowaniem na odległość bomby za pomocą zegarka. Uderzenie pioruna nastąpiło bezpośrednio po tym.

— Czy ty myślisz, że w Europie pieniądze rosną na drzewach albo pływają w rynsztoku? Pozwól, że ci coś wyjaśnię: wasze czesne stanowi zaledwie osiem procent rocznego budżetu. Pokrywamy lwią część kosztów waszej nauki. Cieszcie się, że nie wprowadzono jeszcze ograniczeń. Przyjechałem tu, żeby znaleźć kompromis pomiędzy seminarium a jego finansistami i postarać się, żeby nie trzeba go było zamknąć z przyczyn finansowych. Dzięki moim europejskim źródłom mogę powiedzieć, że nie nastąpi to przed ukończeniem przez was nauki.

Drżałem. Kolana miałem jak z gumy, a pod pachami placki potu. Gdyby nie wychowano mnie wśród uderzeń pięścią i różeg z guavy, ponieważ sprzeciwiałem się panującej władzy, zapytałbym go może jeszcze, dlaczego do cholery stroił się w tak ostentacyjny sposób. Europa wraz z jego wpływowymi przyjaciółmi i jego bogactwo gówno dla nas znaczyły, póki dostawaliśmy do jedzenia świńską karmę. Dać nam dobrze zjeść to najmniejsza rzecz, jaką mógł dla nas zrobić. Wodę mogliśmy zawsze nosić sami, większość z nas musiała to robić przez całe życie. Ale jedzenie? Czułem, że moi koledzy zaczynają odwracać się od Lageau.

Więść o moim wystąpieniu rozniosła się lotem błyskawicy. Na jego próby wywołania reakcji odpowiedziano w innych klasach obojętnością. Był w tym element mądrości: do ludzi, którzy mówili, co im ślina na język przyniesie, nie odnoszono się z szacunkiem, zwłaszcza jeśli część ich repertuaru stanowiły przechwałki. Widziano teraz w Lageau blagiera, który nie ma nawet na tyle przyzwoitości, żeby urzeczywistnić swe przechwałki, zapewniając nam dobre posiłki. Popularność skarbnika spadła, a Kaanders, w dawnej glorii, odzyskał naszą dawną sympatię.

Efektem naszych odkryć dotyczących osoby Lageau było to, że jeszcze głębiej zaszyłem się wśród bibliotecznych książek. Na co mi tacy krętacze? Stwierdziłem, że najgorszym aspektem zależności jest blażeńskie towarzystwo, jakie trzeba znosić. Nagle

niczym lewiatan pojawił się generał Amin, którego już od jakiegoś czasu zaniedbywałem. Wciąż jeszcze wzywał do wzbogacenia samego siebie. Uświadomiłem sobie potrzebę zarabiania na swój własny chleb. Cieszyłem się, że zupełnie pokrywało się to z życzeniem Dziadka, żebym został adwokatem. Ale może nie zostanę adwokatem i będę hodował indyki i kurczaki jak wujek Kawayida albo pędził wódkę, jak ciotka Lwandeka. Postanowiłem, że nie spędzę całego życia jako ksiądz. Zdecydowałem, że pokonam zależność i wszelkie idące z nią w parze upokorzenia.

Szczerze mówiąc, nadal byłem jednym z niewielu, którzy pogardzali Lageau. Mimo jego bezużyteczności, wielu chłopców jeszcze go podziwiała. Czuli do niego pewien niechętny respekt; był w każdym razie bogatszy niż nasz kler. Zachowywał się jak gwiazda. Z powodu jego arogancji i przywilejów wielu seminarzystów nakazywało w swych snach cierpieć gorszym wierzącym, których po wyświęceniu mieli wybawiać od grzechów.

— Spójrz na naszych księży - powiedział do mnie pewnego razu Lwendo. - Co za żaloszny widok, prawda? Proszę Lageau osamochód, o bogatych sponsorów. Przecież tak jest?

— No...

— Przecież na pewno zazdroszczą mu władzy, jaką posiada. Poza tym naprawił kosiarki, które stały w szopie. Seminarium nie musi już zatrudniać elektryków.

— Wszystko mi jedno, ile seminarium musi wydawać: tak długo, jak długo jedzenie będzie wstrętne, będą to wyrzucone pieniądze.

— Ale cały system elektryczny będzie znowu jak nowy.

— Czy może podziwiasz również sposób, w jaki on się do każdego odzywa, jakby wszyscy byli głusi? A może to on sam jest głuchy. Czasem w odległości kilometra słyhać, jak każe sobie podać młotek.

— Jesteśmy ospali i często nie reagujemy dość szybko, kiedy czegoś potrzebuje. Powinniśmy zdać sobie z tego sprawę.

— Nie podobają mi się jego maniery, a jeszcze bardziej jego bogactwo - oświadczyłem z naciskiem.

— Problem z tobą jest taki, że jesteś prawie taki sam okropny jak on: obaj macie stanowczo zbyt wielkie ego - stwierdził Lwendo.

— To nie kwestia mojego ego. To kwestia zachowywania się niektórych ludzi tutaj. Nie zauważyłeś, jak cicho zachowują się czarni księża, gdy Lageau jest w pobliżu? Jakby bali się popełnić jakiś błąd. Postępują niemal jak kobiety, które dają się szykanować swoim mężom, a potem to samo robią ze swoimi dziećmi.

Lageau zastąpił Mindiego również jako opiekun sali „Watykan”. Potrafił wspaniale

grać w siatkówkę i Lwendo zwrócił mi na to uwagę.

— Zobacz, jak tchnął w siatkówkę nowe życie. Była zupełnie martwa. A teraz jest drugą dziedziną sportu pod względem popularności!

Bardzo lubiłem patrzeć na spektakularne mecze siatkówki, ale dobre jedzenie znaczyło dla mnie więcej.

— Słuchaj, on nikogo nie prześladowuje, możemy łamać tyle reguł, ile chcemy - przekonywał mnie Lwendo.

— Cha, cha, cha - zaśmiałem się w odpowiedzi.

— Zastanawiam się czasem, co się stało z Mindim. Zbyt szybko się załamał. Ludzie nie zmieniają się tak szybko.

— On... - Szybko ugryzłem się w język. - Może ktoś przyłożył mu nóż do gardła i tak się wystraszył, że narobił w portki. Lageau może spotkać to samo, jeżeli nie skończy z tymi swoimi czczymi przechwałkami, jakoby cała Europa była jego.

— Bzdury, nikt go nie tknie. Nie znajdą jego słabego miejsca. Sądzę, że potajemnie mierzysz dwoma miarkami. Biały chwalipięta nadepnął ci na odcisk. A mogę spytać, gdzie byłeś, kiedy Mindi się panoszył? - zapytał Lwendo i roześmiał się.

— Schowałem się za ogrodzeniem i... - O mało się nie wygadałem.

— Schowałeś się? To przecież nic szczególnego. Zdaje się, że to jedyna rzecz, jaką wciąż robimy.

Poniechałem dalszej rozmowy.

Moje myśli błądziły w stronę domu. Jeden z wiernych gówniarzy informował mnie stale, co się tam działo. Pisał mi o nowej fascynacji Serenity: Muhammadzie Alim. Uwagę Serenity przykuwał *comeback* tego bohatera. W Zairze odbyło się *The Rumble in the Jungle*. Ali znowu był mistrzem świata, a Serenity nie przestawał go wychwalać.

Gdy Muhammad Ali miał walkę, Serenity prawie nie mógł spać. Budził się po północy, siadał w dużym pokoju i do czwartej, o której zaczynała się walka, oglądał jej zapowiedzi i wywiady z mistrzem. Zachwycała go hojność i szczerłość Alego, ale martwił się o jego zdrowie. Kłódka nie cierpiała codziennej gadaniny Serenity o boksie.

Staralem się nie myśleć o Serenity i Kłódce, ale wciąż jednoczyły nas wydarzenia w świecie katolicyzmu. Kiedy Lageau został jednym z głównych aktorów na naszej scenie, pewnego niedzielnego poranka rektor przekazał nam wiadomość, która wszystkich katolików w kraju wprawiła w stan wielkiego podniecenia. Niewzruszonym seminarzystom, z których większość myślała jedynie o świńskiej karmie, jaką podadzą nam na lunch, powiedział, że Ojciec Święty ogłosił rok 1975 Świętym Rokiem i zachęca wszystkich katolików do odbycia

pielgrzymki do Rzymu i Ziemi Świętej. Znalazł już sponsora, który będzie reprezentować seminarium, i wyjaśnił, że Święty Rok jest ogłaszany co dwadzieścia pięć lat. Obiecał zmówić za nas podczas pielgrzymki specjalne modlitwy. Jakby właśnie na tym najbardziej nam zależało. We wszystkich gminach rozpoczęto już zapisy potencjalnych pielgrzymów, a rektor zwrócił się do nas z prośbą, żebyśmy się modlili za arcybiskupa i każdego, kto zajmuje się organizacją pielgrzymki, żeby wszystko dobrze poszło.

Aby wyeliminować dyskryminację, przekupstwo i złą wolę, w każdej parafii ustanowiono normy liczbowe. Bogaci ludzie z biednych gmin mieli większe szanse, ponieważ większość chłopów i urzędników nie była w stanie zapłacić za podróż i nie zapisywała się na pielgrzymkę. Serenity się zapisał. Kłódka też bardzo chciała, ale natrafiła na problemy, ponieważ w jednej gminie nie mogło zapisać się dwóch członków rodziny. Mbale, jej młodszy brat, zapisał się w swojej rodzinnej miejscowości. Kłódka nie mogła się także zapisać w Ndere Hill, bo stamtąd nie pochodziła. Jej kłopoty pogorszył fakt, że nawet gdyby dostała zezwolenie na pielgrzymkę, Serenity nie mógłby zapłacić za jej podróż, nie bankrutując.

Marzyła o tym, by jako pierwsza w rodzinie ucałować dłoń papieża, znaleźć się na zdjęciu z Ojcem Świętym, dotknąć Ziemi Świętej, powąchać jej i stąpać po niej, po ziemi Abrahama, Józefa, Matki Marii i Jezusa Chrystusa. Chciała jako pierwsza w rodzinie odetchnąć powietrzem, które inspirowało pisarzy Świętej Księgi. Znowu jednak zdawało się, że Mbale sabotuje jej plany i niszczy jej marzenia.

Nastroje Kłódki wyrażały się w jej coraz większej zgryźliwości. Knuła jakieś intrygi i wypełniała dom nieprzyjemną aurą swej melancholii. Czuła się jak bębenek wsadzony w swoją szczelinę, zmuszony czekać, aż ktoś postanowi go wyjąć. Ze zdenerwowania dostawała ataków duszności. Bała się, że pęknie na kawałki. Przypomniały jej się gorzkie modlitwy, które słała do nieba, i ofiary, które złożyła w pokoju Mbalego po tym, jak klasztor ją wypuścił. Rzuciła się na podłogę i drapała ją paznokciami, aż tryskała spod nich krew. Nie mogła w odosobnieniu odprawić nowenny, bo miała rodzinę, o którą musiała dbać. Krzyżowała więc ręce na piersiach i zawierzała swe problemy Bogu, w międzyczasie siekąc różgą z guavy na prawo i lewo, gdy gówniarze popełnili choćby najmniejsze wykroczenie, a Serenity siedział jak na szpilkach.

Serenity stanął przed życiowym dylematem. Z jednej strony chciał dać szansę matce swoich dzieci, ponieważ rozumiał, że pielgrzymka wiele dla niej znaczy. Z drugiej - chciał zrobić niespodziankę ciotce żony i ofiarować jej to, czego nigdy wcześniej od nikogo nie dostała. Chciał polecieć z nią do Rzymu i Jerozolimy i na zawsze wytatuować swoje imię w

jej sercu. W końcu dostał ataków bezsenności. Wiercił się w łóżku, nasłuchiwał odgłosów nocy i był wściekły na psy, które hałasowały wokół domu, parząc się. Dręczyła go jego finansowa niemoc i niemożność sprawienia przyjemności zarówno żonie, jak i jej ciotce. W końcu poszedł zasięgnąć rady w swojej bibliotece. Przeczytał na nowo historię Estragona, Włodzimierza i innych swoich ulubionych postaci, zastanawiając się, co uczyniliby w takich okolicznościach. Był zły, że Muhammad Ali ma tak dużo pieniędzy, podczas gdy on, jego wierny fan, leży na katowskim łożu biedy i nie może skorzystać ze wspaniałej okazji. Tygodniami trwał zatopiony w zadumie, między swymi wabiącymi marzeniami z jednej strony, a wzbudzającą odrazę rzeczywistością z drugiej.

Tiida i Nakatu, siostry Serenity, wywołały tymczasem burzę we wsi. Jako żony muzułmanów, były raczej obojętne na katolicyzm, nie miały ambicji, żeby udać się na pielgrzymkę, ale próbując wyprzedzić wszystkie rodziny we wsi, w szczególności rodzinę Stefano, postanowiły wysłać do Rzymu Dziadka. Obie żony muzułmanów obiecały przekazać pewne kwoty na fundusz pielgrzymkowy, podobnie jak wujek Kawayida, który dobrze zarabiał na swoich indykach i brojlerach. Szansa, że Dziadek będzie mógł wziąć udział w pielgrzymce, była duża, bo wieś zamieszkiwali w większości biedni ludzie i po pierwszych zapisach były jeszcze wolne miejsca.

Mniej więcej rok wcześniej Tiida i doktor Ssali wygrali walkę z Radą do spraw Nawracania. Zostali nagrodzeni lśniącem białym peugeotem, który codziennie był myty i rozpieszczany. Tiida bardzo lubiła być wożona na ważne zebrania samochodem, ponieważ był nowy i elegancki, a także dlatego, że skóropodobny zapach zimnej szarej tapicerki dawał jej oszałamiające uczucie, iż sama jest wytrzymała jak skóra. Podczas przerwy na lunch mąż zawiózł ją do domu Serenity. Wysiadła z samochodu, przepełniona zapachem skóry i uczuciem, że jej przeciwnik już prawie w ogóle nie ma szans. Jej zadaniem było wywarcie nacisku na Serenity, aby dołożył się do funduszu pielgrzymkowego Dziadka. Mogła odwiedzić go w biurze, ale zdecydowała, że jej osobiste pojawienie się w pagodzie przyniesie w tych okolicznościach lepszy rezultat.

Patrząc na pagodę, z chaotycznymi obrazami exodusu Azjatów w podświadomości, Tiida czuła dumę, że jej rodzinie dobrze się powodzi. Tu mieszkał Serenity - Mpanama, jak go nazywała, kiedy biegał jeszcze w krótkich spodenkach i czepiał się wszystkich dużych kobiet - w domu zbudowanym przez Azjatów, domu, który był czymś zupełnie innym niż jego mroczne kawalerskie mieszkanie. Mieszkał tutaj, w środku miasta, dotrzymując kroku postępowi, pełen ambicji. Jego wstąpienie do związku zawodowego było znakomitym posunięciem, musiała to przyznać. W pewnym momencie, podczas dorastania brata, martwiła

się, że Serenity jest zbyt opieszala, aby coś w życiu osiągnąć. Bała się, że pozostanie biedny, że będzie chodził w pocerowanych spodniach i tkwił po uszy w długach, bo nie wyglądał na dość mądrego, by się dorobić. Ale teraz, po tych wszystkich latach i po przeróżnych zmianach w losach rodziny, uważała, że zaszedł dalej niż rodzina Stefano. Ojciec i syn zamierzali udać się do Rzymu, Kawayida i ona mieli samochody, a Serenity był poza tym w zarządzie związku zawodowego. Stefano pozostali daleko w tyle. Stary Stefano walczył z następstwami wylewu mózgu, który spowodował paraliż lewej połowy jego ciała, a gwiazda potomków jego rodziny już dawno przestała świecić.

Tiida zdawała sobie sprawę, że Serenity nie interesuje się rywalizacjami rodzinnymi, była jednak gotowa zagrać na jego poczuciu winy i dać mu do zrozumienia, że powinien wyświadczyć ojcu tę ostatnią przysługę, aby mu pokazać, że jest wdzięczny za wszystko, co dla niego zrobił. Pomoże mu przypomnieć sobie ten kawałek ziemi, który Dziadek mu podarował, żeby mógł zbudować sobie swoje kawalerskie mieszkanie, i rolę, jaką stary człowiek odegrał przy organizacji jego wesela. Była przekonana, że ma Mpanamę w ręku. Niczego nie pozostawiła przypadkowi. Powodem, dla którego tu przyjechała, było też wykluczenie jego żony z tej sprawy i zapędzenie jej do kąta w jej własnej pagodzie. Ta wiejska dziewczyna, której rodziców jej brat ustrzegł przed okropnymi następstwami zawalenia się dachu, nie mogła się z nią mierzyć. Niebawem ją usadzi. Na samym dole, tam, gdzie jej miejsce.

Jak wielu ludzi, którzy niedawno zdobyli nowy symbol statusu, Tiida myślała, że nowy peugeot daje jej przewagę nad innymi. I z pewnością prawdą było, że wiejska dziewczyna, z którą ożenił się jej brat, nie posiadała niczego, co mogło się równać z francuskim pojazdem. Jak na razie nie wydawało się zbyt prawdopodobne, że Serenity kiedykolwiek kupi samochód. Nie przy tylu dzieciach, nie przy takiej odpowiedzialności. Wszystko to dawało Tiidzie poczucie wyższości.

Nie wiedziała jednak, że Kłódka przez te wszystkie lata ani na jotę się nie zmieniła, wciąż jeszcze miała w sobie ten smoczy jad, który czynił ją obojętną na sprawy materialne. Wciąż jeszcze żywiła wielką pogardę dla rzeczy zdobytych w haniebny sposób - a ktoś, kto swój napletek i wyznanie zamienił na kawałek pomalowanego lakierem metalu, był w jej oczach nikczemny. Według niej peugeot został nabyty w nieczny sposób, więc jego właściciele nie zasługiwali na żaden szacunek i od niej się go nie doczekają. Z pewnością nie w jej własnym domu.

Przyjęła Tiidę z obraźliwą oficjalnością, jakby bratowa była wariatką, którą trzeba traktować z wielką ostrożnością, bo w przeciwnym razie dostanie psychotycznego ataku.

Odgrywała więc rolę zastraszonej wiejskiej dziewczyny w obecności gościa królewskiej krwi. Blokowała wszelkie zwroty w rozmowie, udzielając krótkich, przesadnie uprzejmych odpowiedzi. Chowiała się za wizerunkiem niedostępnej, dobrze wychowanej panny młodej. Tiida utknęła w tym miejscu i musiała się bardzo starać, by przebrnąć przez te wszystkie zapory.

Ona sama nie była zastraszona, rzadko do tego dopuszczała, ale teraz czuła się osaczona i zmieszana, nie była w stanie funkcjonować w takich okolicznościach. Szlauch, którym zwykle dopływała jej władza, charyzma i zdolność oszłamiania, zatkał się nagle, choć Klódką nie była kobietą w rodzaju tych, które wyprowadzały ją z równowagi. Były to raczej bogate, eleganckie, dużo młodsze i lepiej wykształcone kobiety. Wywoływały u niej szybsze bicie serca, ale nawet wówczas nieprędko to okazywała. Ogarnęło ją nagle dziwne uczucie, że zrobiła w przeszłości coś niewłaściwego, za co teraz przyszło jej pokutować. Ale mimo najlepszych chęci nie mogła przypomnieć sobie, jak kiedykolwiek oszukała żonę brata. Właściwie była w rodzinie jedyną osobą, która czasem wstawiała się za Klódką, najczęściej w związku z jej płodnością.

Z największą troską i w zupełnym milczeniu, które przytłaczało cały dom, podano łakocie. Tiida wpatrywała się w swoją szklankę i widziała pływające w niej maleńkie kawałki wyciśniętej pomarańczy. Doszła do wniosku, że sama również znajduje się w podobnym stanie i nie potrafi przeprowadzić żadnego planu - ani ataku, ani obrony. Zauważyła także, że Klódką nie zapytała o jej dzieci. Czy to dlatego, że bratowa mieszkała teraz w mieście, gdzie nie obowiązywały już wiejskie uprzejmości i gdzie gospodynie domowe zachowywały się jak małe królowe w swoich małych, zakurzonych królestwach? Czy też dlatego, że ona, Tiida, była żoną muzułmanina, a jej synowie byli obrzezani, czego bratowakatoliczka nie pochwalala? Po raz pierwszy została potraktowana w ten sposób i doprowadzało ją to do szału. Przypomniała sobie pielęgniarkę ze szpitala męża, która próbowała podważyć jej pozycję, prawdopodobnie dlatego, że marzyła o odbiciu jej męża, doktora Ssalego. Tiida tylko raz zagadnęła ją na ten temat i wkrótce potem dowiedziała się, że kobieta poprosiła o przeniesienie. Powiedziała jej jedynie, że ma trzymać łapy z dala od pana doktora, jeśli zależy jej na tym, by pozostały całe. Co ta kobieta sobie pomyślała? Że odrąbie jej ręce? No ale cóż, poskutkowało. Teraz jednak nie udało się, a wzrastająca w niej złość zdawała się obracać przeciw niej samej.

Widok elegancko ubranej, lecz zbitej z tropu Tiidy umocnił Klódkę w jej decyzji wyjazdu do Rzymu. Pokaże tej kobiecie, że biedę można zwalczyć skrzętną pracą i że religia katolicka ciągle jeszcze jest dominującą religią w tym społeczeństwie. Chciała pokazać, że

potrafi walczyć o swoje prawa. Chciała, żeby Tiida rozliczyła się ze swojej przeszłości i odcięła od nienawistnych słów żony Kawayidy. Chciała dać jej odczuć, że nie wstawiła się za nią, jak przystało przyzwoitej bratowej. Aż nazbyt dobrze pamiętała słowa żony Kawayidy. Kiedy Tiida z mężem przyjechali do tamtej z wizytą dopiero co otrzymanym peugeotem, żona Kawayidy powiedziała: „To grzech, że Nak - kazi nie ma dość rozumu, żeby szyć sukienki z kurzych piór. Według mnie byłby to jedyny sposób, w jaki mogliby kiedyś dorobić się samochodu”. Narzekała również, że bracia Kłódki nie są na tyle mądrzy, aby indycze odchody wykorzystywać do wyrobu cegieł i kafli, i zbudować rodzicom porządną kuchnię. Kłódka oczekiwała teraz wyznania Tiidy, że źle postąpiła, ale ona zdecydowanie nie miała ochoty na osłabianie swojej pozycji przez płaszczenie się przed żoną brata. Miała swoją dumę, i to więcej niż potrzeba. Chylić się przed chłopką - tego było jej za wiele.

Kłódka wyraźnie określiła swoje nastawienie do bratowej, wychodząc z pokoju tyłem po podaniu łakoci. Kiedy dzieci wróciły ze szkoły, nakazała im siedzieć cicho jak mysz pod miotłą i pod żadnym pozorem nie przeszkadzać gościowi, inaczej obedrze je ze skóry. Wycofała się na swój posterunek i jej maszyna do szycia zaczęła terkotać. Gdy igła przebijała materiał, singer wypełniał dom monotonnymi dźwiękami swojej podróży w jednym miejscu. Domostwo przepelnione było radosną zemstą pani domu. Co jakiś czas Kłódka wchodziła do pokoju, żeby mieć gościa na oku, jak nie spuszcza się z oczu jadowitego węża, który zwinął się w pięknej, porcelanowej wazie. Rzuciła wówczas parę szyderczouprzejmych słów i pozwalała Tiidzie smażyć się w gorączce frustracji.

Zanim Serenity wrócił z pracy, Tiida zaczęła już żałować, że na niego czekała. Jej zwykle jasne oczy nabiegły krwią, a czoło i grzbiet nosa były mokre od potu. Miała ochotę zacząć wycić i zwymyślać bratową za wszystko, co jej przyszło do głowy. piątej, kiedy w telewizji rozpoczęły się programy narodowe, Kłódka zniżyła się do złagodzenia jej samotności, włączając śmierdzącą toshibę. Tiidę denerwowały amerykańskie kreskówki z ich nosowym bełkotem, co brzmiało w jej uszach jak głupie gaworzenie dziecka, ponieważ nie mogła z tego zrozumieć ani słowa. Wszystko latało w czarnobiałych kolorach tam z powrotem i znowu wpadało na siebie, uderzało w siebie i przejeżdżało się nawzajem autami i jeszcze więcej takich nonsensów, które tylko dla idioty albo dziecka mogły coś znaczyć. Aby złagodzić nieco swoją gorzką wściekłość, Tiida myślała o doktorze Ssalim. Bardzo chciała, żeby po nią przyjechał. Chciała, żeby ich peugeot rozjechał żonę brata niczym walec. Życzyła sobie, żeby Serenity był tak bogaty, by sam mógł sfinansować podróż Dziadka, a tym samym oszczędził jej poniżeń ze strony chamskiej bratowej. Kiedy brat w końcu wrócił, była tak zła, że ledwo mogła wydobyć z siebie jakieś słowo, nie mówiąc o poukładaniu myśli.

Serenity zabrał siostrę na wieczorny spacer. Było już prawie ciemno. W oddali opadała rzadka mgła, wisząca ponad budynkami i szczytami gór. Nie poszli w stronę stacji benzynowej, bo brat nie chciał przedstawiać jej przyjaciółom. Tłumaczył się, że jest ogromnie zmęczony, ponieważ bierze udział w trwającej właśnie kampanii o posadę skarbnika związku zawodowego urzędników pocztowych. Opowiadał o długich zebraniach, akcjach zbierania głosów i domowych wizytach u współpracowników. Mówił, że przez tę kampanię zupełnie stracił poczucie rzeczywistości. Narzekał na bezsenność. Miał wielką ochotę wygrać, bo wtedy otrzymałby dostęp do dodatkowych środków. Był zły, że ktoś odebrał mu funkcję przewodniczącego. Ale właściwie nie powinien narzekać, bo chodzili koło tego znajomkowie Hadżiego Gimbi, wygryźli właśnie jakiegoś muzułmanina i popierali jego kandydaturę na skarbnika.

Nie przestawał mówić i traktował siostrę z góry, jak nigdy dotąd. Tiida grała drugie skrzypce i dziwiła się elokwencji młodszego brata. Była zdumiona, jak w ogóle udało mu się zdobyć uznanie, ale teraz mogła go sobie wyobrazić jako przedstawiciela innych ludzi, nieco drażliwego, lecz zręcznego. Zanim zdołała wyjaśnić, po co przyjechała, oświadczył, że nie ma ani grosza. Jedzie do Rzymu, aby podbudować swój image przywódcy, powiedział. Tiida zgadzała się ze wszystkim, co mówił, i ze smutkiem zastanawiała się na tym, czy tego ranka w jego domu miała do czynienia z kobietą, czy z psem. Był to zbyt duży pech, aby mógł być przypadkowy.

— Czy twoja żona jedzie z tobą? - zapytała, gotując się od powstrzymanej złości.

— Chce, ale nie ma pieniędzy ani parafii, w której mogłaby się zapisać.

— Finanse nigdy nie były silną stroną jej rodziny - stwierdziła kąśliwie Tiida.

— Ale jej młodszy brat, mój szwagier, jest zapisany - odparł Serenity z dumą.

— Skąd wziął pieniądze?

— Polecą na jednym ze swoich prosiaków - zaśmiał się Serenity, mając na myśli dowcip o latającej świni, ale siostra tego nie zrozumiała. Skrzywiła się, bo wedle religii jej męża świni były zwierzętami nieczystymi. Członkowie rodziny żony brata też byli dla niej świniami: nie chciała mieć z nimi nic do czynienia.

Wrażenie przegranej, które spadło na Tiidę, przypominało prawie to, co czuła, kiedy mieli tę plagę much i te psie łby, a sąsiedzi twierdzili, że nawrócenie się jej męża na islam było przekleństwem. Żałowała, że tu przyjechała. Czuła, że ugina się pod wielkim ciężarem złej wiadomości, pod balastem nieprawdziwej władzy negocjatorskiej i urażonym urokiem osobistym, który musiała poświęcić. Kiedy Serenity ponownie zapytał, jak im się udało

zdobyć peugeota, poczuła, że wzbiera w niej złość. Ale on pytał ją o to tylko dlatego, żeby nieco złagodzić jej porażkę.

— To efekt polityki wewnątrz Komitetu Nawracania. Musiało spaść kilka głów, a nowy członek po prostu nadrobił zaległości - powiedziała Tiida, myśląc o Nakatu. Jej siostra prawdopodobnie widziała już wcześniej wiszącą w powietrzu burzę i dlatego nie zgodziła się z nią pojechać.

W rezultacie odwiedzin siostry Serenity jeszcze wyraźniej uświadomił sobie swoją trudną sytuację finansową. Skąd miał wziąć pieniądze? Myślał skrycie o tym, że być może Hadzi Gimbi mógłby mu pomóc, ale nie mógł go przecież o to prosić po tym wszystkim, co Hadzi już dla niego zrobił. Serenity czuł się jak żmija, która upatrzyła sobie smacznego królika: aby go połknąć, musiałby wywichniąć sobie szczęki, znieść ból związany z trawieniem zwierzęcia, a potem znowu nastawić szczęki. Czy był gotów na podjęcie takiego ryzyka? Sądził, że tak, ale było więcej trudności, nad którymi należało się zastanowić: a co, jeżeli przyjaciele Hadziego Gimbi nagle zażądają od niego, w ramach odwzajemnienia się, czegoś potwornego, na przykład przelania dużych sum związkowych pieniędzy na tajne konto? Tygodniami się tym zagryzał.

Kiedy przyłączał się do swoich kumpli na stacji benzynowej, był zgaszony, milczał i nie reagował na żarty; ogólnie rzecz biorąc, był roztargniony, co zaczynało złościć jego kompanów.

— Nie wiedziałem, że skarbnicy śpią w ciągu dnia, a w nocy liczą pieniądze - dokuczał mu Mariko, przyjaciel protestant, który sam mało się odzywał, ale zawsze wygrywał w karty.

Wszyscy się zaśmiali, Serenity również.

Hadzi Gimbi zaczął opowiadać o swojej pielgrzymce do Mekki i Medyny, pięć lat temu. W czasie mówienia bardzo się zapalił, jakby każde zdanie przybliżało go do odkrycia istoty pielgrzymek i ich znaczenia.

— Ludzie byli jak ziarenka piasku na ogromnej równinie - powiedział.

— I wszyscy ubrani na białą - dodał Serenity. Po raz pierwszy od tygodni trochę się ożywił. Miał przed oczami anioły latające nad niebiańską równiną.

— Opowiedz nam, jak wygląda Rzym - poprosił Hadzi Gimbi.

— Żebym to ja wiedział... - mruknął Serenity.

— Opowiedz nam o tych wszystkich kobietach w krótkich spódniczkach, które z utęsknieniem czekają na papieża - zażądał Hadzi z filuternym uśmiechem.

— Ach...

— Dlaczego tam nie pojedziesz? Będziesz mógł zdać nam relację naocznego świadka. Kup aparat i zrób dla przyjaciół parę ładnych, kolorowych zdjęć - zasugerował Hadzi, a pozostali przyklasnęli mu.

— Pieniądze - powiedział Serenity ostrożnie.

— Zawsze jest jakaś przeszkoda, pieniądze albo coś innego. Ale słuchaj, ta pielgrzymka jest raz na...

— Dwadzieścia pięć lat - dopowiedział Serenity.

— Dwadzieścia pięć lat, tak. Ta nasza jest co roku. Co powiesz wnukom? Że nie mogłeś pojechać, bo nie miałeś pieniędzy? Pieniądze są zawsze, a taka szansa jest tylko raz na dwadzieścia pięć lat.

Co do tego wszyscy byli zgodni.

— Mam pomysł - oświadczył po chwili Hadzi Gimbi z błyskiem w oku.

— Tak...? - Serenity przybliżył głowę do jego głowy. Było jasne, że chciałby zachować to między sobą i Hadzim, ale Hadzi nie uznawał tajemnic. Nie mam nic do ukrycia, mówił zawsze.

— Zamów tysiąc bali materiału na związek zawodowy w państwowej fabryce w Jinja. Sprzedaj je na czarnym rynku, a za zysk poleć „Hadjati” do Rzymu - powiedział, mając na myśli Kłódkę.

Wszyscy się zaśmiali.

— Pieniądze... - wymamrotał Serenity.

— Pieniądze! - burknął ironicznie Hadzi.

— Pieniądze - powtórzyli równocześnie pozostali dwaj przyjaciele.

— Dla pewności powinieneś zamówić pięć tysięcy bali. Wtedy nie będziesz miał żadnych zmartwień finansowych. Sprzedaj tylko list przewozowy handlarzom na czarnym rynku, a zatroszczą się o resztę.

— Służba Bezpieczeństwa... - powiedział Serenity, na wpół żartem, na wpół ze strachem.

— Służba Bezpieczeństwa? - zapytał Hadzi, jakby jeszcze nigdy o niej nie słyszał.

— Służba Bezpieczeństwa? - przedrzeźniali go pozostali.

— Jesteś prawdziwym przywódcą, z prawdziwą manią wielkości - powiedział Hadzi do Serenity. - Ci chłopcy mają ważniejsze rzeczy na głowie.

Dobry mąż i rozsądny człowiek, jakim był Serenity, nie zwierzał się żonie ze swoich kłopotów. Kłódką, rozdrażniona jego widoczną obojętnością, naciskała, żeby coś zrobił w jej sprawie, zanim będzie za późno.

— Nawet nie jesteś jeszcze zapisana - odpowiedział, zastanawiając się w głębi ducha, czy chłopcy ze Służby Bezpieczeństwa nie wywloką go następnego ranka z biura, nie wepchną do bagażnika samochodu i nie wywiozą do jakiegoś lasu, nie wrzucą do rzeki albo nie zamkną w brudnej celi.

— To zrób coś.

— Zobaczymy - mruknął.

— „Zobaczymy” nie wystarczy, sam o tym wiesz.

— Zobaczymy - powtórzył. - Powiedziałem: zobaczymy.

Generał Amin dobrze rozegrał swoją partię. Wiedział, że straciłby znaczący kapitał polityczny, gdyby dał katolikom wolną rękę w rozporządzaniu dolarami z subsydiów Banku Ugandy. Raz na zawsze chciał ich przekonać, jak istotną rolę odgrywa w ich życiu, zwłaszcza w tej pielgrzymce. Przejął angielski system selekcji i zarządził zorganizowanie trzech tur. W pierwszej miało wziąć udział pięć tysięcy ludzi. Wszyscy otrzymali dokumenty podróży i dolary i usłyszeli, że będą oficjalnie reprezentować kraj. Potem ogłoszono, że są dodatkowe miejsca dla tych, którzy sami mogą zdobyć obcą walutę. To była druga tura, składająca się z elity, ludzi z pieniędzmi i kontaktami. Ale członkowie rządu ostrzegali, że jeżeli ktoś będzie sprzedawał państwowe dolary na czarnym rynku, będzie aresztowany, a jego paszport zostanie podarty na strzępy. Katolicy poczuli się urażeni, że Amin myślał, iż zrobią coś takiego.

Serenity był zachwycony, a Klódka przygnębiona. Pięć tysięcy wybranych mogło pojechać, nie musząc spłukiwać się do ostatniej nitki, żeby zdobyć obcą walutę! Ponieważ Serenity był jednym z tych pięciu tysięcy wybranych, był w siódmym niebie.

Udało mu się: sprzedał list przewozowy, zapewnił sobie gotówkę, a kupcy nie wycelowali w niego pistoletu ani nie wepchnęli go do bagażnika samochodu. To był cud. Z wdzięczności kupił Hadziem Gimbi kozę z ogromnymi wymionami, które niemal wlokły się po ziemi. Spędził też cały weekend z Nakibuką. Kupił ubrania dla niej i jej dzieci, nie wspomniał jednak, jak zdobył pieniądze.

Późnym popołudniem Serenity, wraz z 349 innymi pasażerami, wsiadł na pokład jumbo jęta Alitalii. Jak sobie potem przypominał, największe wrażenie wywarł na nim widok Jeziora Wiktorii z lotu ptaka: wyglądało jak kałuża żywego srebra w kształcie elipsy. Następnego ranka był w Rzymie, nowo narodzony, z przetransformowanym życiem. Miasto kipiało, wzdychało i stękało pod ciężarem pielgrzymów z całego świata, wszechobecnych turystów i własnych mieszkańców.

Serenity bardzo interesowały starożytności, Koloseum, domy rzymskie, muzea i

wszystkie inne rzeczy wskrzeszające historyczne postacie, które przypominał sobie z lekcji historii w młodości. Renesans, Reformacja, początki chrześcijaństwa, Cesarstwo Rzymskie, wszystko ożyło, ponieważ mógł teraz połączyć to z autentycznym miejscem, które było pomostem między przeszłością a teraźniejszością.

Pełen podziwu, stał w tłumie na placu Świętego Piotra. Dostał kawałek świętego chleba od papieżastaruszka i zachwyił go jego orli nos i blichtr, mimo których jego mgliste rysy twarzy pozostały bez zmian. Trudno mu było uwierzyć, że ta krucha postać stoi na czele tak monstrualnego, olbrzymiego ciała jak Kościół katolicki. Co ten człowiek o nim wiedział? Co wiedział okatolikach w Ugandzie, którzy go tak poważnie traktowali? Co dla nich kiedykolwiek zrobił, poza żywieniem ich dogmatami? A mimo to wpływał na ich życie, jakby znał ich osobiście!

Według Serenity przypominał pancernika zarządzającego z podziemia potężną organizacją, od czasu do czasu wychodzącego na powierzchnię w pancerzu dogmatów, żeby wszyscy na własne oczy mogli zobaczyć, iż wciąż jeszcze trzyma sznurki w swoich rękach. Wydawało się, że ten monstrualny pancernik, obwieszony warstwami wspaniałych szat i kosztownymi klejnotami, wylazł wreszcie ze swej nory. Święty pancernik przemawiał z wyrachowanym lenistwem osoby pewnej nieustannego pokłasku, a jego imponujący pancerz lśnił, jakby został skąpany we krwi. Poruszał się z artretyczną gracją. Jego ciało wdychało powietrze wszechwładnej obojętności i ociekało sprzecznościami: głosił sadystyczne wyrzeczenie się doczesnych bogactw, podczas gdy sam obwieszony był złotem. Przebywał w pozbawionym emocji otoczeniu świętych dyktatorów, tyranów, nie muszących się martwić o dzień jutrzejszy imperialnych despotów, w których rękach spoczywał los setek milionów ludzi.

Na przełomie wieków wysłannicy tego świętego pancernika przybyli do Ugandy, nastawali na wysłanników innych religii, uwikłali się w krwawe wojny i skazili politykę, kiedy on spokojnie spał w swym łożu. Teraz potomkowie Ugandyjczyków, którzy polegli w tych wojnach, pchali się, aby ucałować jego i jego pierścień, aby zostać przez niego pobłogosławionymi i znaleźć się z nim na zdjęciu. Wszystko mu wybaczone i zapomniano. Serenity pomyślał o żonie. Nie podobało mu się, że ten człowiek, którego zasady i dogmaty naznaczyły jej życie i uczyniły z niej kobietę nieustępliwą i zimną, niczego nie wiedział ani o niej, ani o kłopotach, jakie Serenity jako mąż miał z nią i jej zawziętymi poglądami.

Nocami rozmyślał w swoim pokoju hotelowym o tym, co przeżył w ciągu dnia. Bogaci pielgrzymi chodzili na dziwki. Jednego z nich okradziono. Inny zgubił drogę i błądził przez całą noc. Pielgrzymujące kobiety miały własny hotel, do którego ich partnerzy

przychodzili na kolacje suto zakrapiane winem. Na niektóre kobiety nastawali dziwacy z miasta, podający się za fotografów.

Ze swojego okna Serenity widział wabiące klientów dziwki, zachwalające swój towar, zaczepiające mężczyzn, negocjujące, wsiadające i wysiadające z samochodów ze znużonymi twarzami. Dziwił się, że są tak drogie. Nie potrafił się nimi zachwycić. Ani mu się śniło marnować części swych kosztownych czarnorynkowych pieniędzy na jakąś nędzną dziwkę. Pragnął Nakibuki, która mogłaby mu tu dostarczyć kilku niecodziennych i smacznych momentów. Jadł tylko jeden raz dziennie, żeby zaoszczędzić pieniądze, ale czuł się syty. Zdawało się, że żywi się marzeniami. Jezus na pustyni. Pokus pod dostatkiem, ale on, Serenity, nigdy im nie ulegnie.

Kupił jednak parę pamiątek. Szczególnie zachwycił go medalion z brązu, przedstawiający legendę o Romulusie i Remusie. Nieświadomie właśnie tego szukał; to było to, co czarne ptaki trzymały w swych dziobach. Pośrodku medalionu była przedstawiona wilczyca, wielka, dominująca, z pyskiem wyszczerzonym złowieszczo na niewidzialnych intruzów. Jej nabrzmiące sutki wyglądały jak dziwnego kształtu owoce. Jej oczy zamglone były macierzyńską radością. Bliźniaki, nagie i miękkie jak prosiaczki, ssaly wilcze mleko, a przybrana matka osłaniała je swoim ciałem.

Za dużo było tego wszystkiego dla wiejskiego chłopaka opuszczonego przez matkę, wystawionego na pastwę złych humorów kobiet zgromadzonych wokół ojca. Kurczowo złapał medalion, jakby w każdej chwili mógł mu zostać wyrwany z rąk. Sprzedawca, starszy człowiek z grubym wąsem i szarymi oczami, zainteresował się nim. Serenity był jego pierwszym klientem tego dnia i jakże dziwnie się zachowywał!

Szarańcza zaczęła na całego chrobetać w piersi i brzuchu Serenity. Prawie zapomniał, że znajduje się w tłocznej, małej uliczce z turystami w szortach i spódniczkach mini, mijającymi go jak papierowe duchy. Zdawało się, jakby błotna rzeka tych ludzi, całe ich miasto i ich towary porywały go ze sobą, niosąc obok wież parafii w Ndere i mokradeł u stóp Mpande Hill, z powrotem do serca jego wsi.

Sprzedawca zaproponował mu sporą zniżkę, jeśli kupi trzy takie medaliony. Nagle Serenity jakby się obudził. Ten człowiek przypominał mu Skrzypka i piersi między jego nogami. Na końcu uliczki grała katarynka. Serenity przypomniał sobie, że chciał nauczyć się grać na skrzypcach. Kupiec powtórzył swoją ofertę, spojrzał mu prosto w oczy, a narastające w nim uczucie zakłopotania ukrył za szerokim, przyklejonym do ust uśmiechem. Ale przesłanie medalionu było zbyt osobiste, by mogli je zrozumieć Hadzi Gimbi albo Nakibuka. Nie, chciał tylko jeden, dla siebie.

Reszta jego pobytu w Rzymie minęła bardzo szybko i jakby za mgłą. Czas wił się powoli pomiędzy jasnymi momentami euforycznej świadomości i na w pół świadomym unoszeniem na wodzie. Wycieczki autobusem, monumenty, msze święte. Lourdes - wszystko to miało w sobie coś surrealistycznego.

Serenity kupił długi różaniec z drewnianymi koralami wielkimi jak pomidory. Uważał, że jest okropny, podobnie jak stukający odgłos, jaki wydawał podczas przesuwania paciorków. Różańce te były jednak bardzo popularne: wszyscy pielgrzymi je nosili, żeby pokazać, że są pielgrzymami, a nie zwykłymi turystami. Serenity był zdania, że wyglądają jak chodząca reklama kościelnego handlu.

W Izraelu Serenity znowu doszedł do siebie. Było tam upalnie i sucho, a w powietrzu wisiała piaskowoszara mgielka. Kiedy zwiedzał ufortyfikowaną Jerozolimę, z dawien dawna ofiarę przemocy, wyobrażał sobie jej zniszczenie i odbudowę, rozwój i upadek na przestrzeni stuleci, na ciągłej huśtawce między wojną i pokojem, aż po czasy współczesne. Zastanawiał się, jak udało się miastu wytrzymać nacisk całych wieków historii.

Ze Starego Testamentu pamiętał wojny, wewnętrzne walki i przywództwo Mojżesza oraz wszystkie próby, na jakie ten przywódca został wystawiony. Sam będąc przywódcą, choć wiele mniejszego formatu, dobrze rozumiał trudną sytuację Mojżesza, wtłoczonego między wolę Boga a życzenia Izraelitów. Przypomniawszy sobie opowieść o złotym cielcu i o węzłach i zastanawiając się, dlaczego Bóg zdecydował się działać w takim klimacie przemocy. Dzięki temu bardziej doceniał buntowniczy charakter Jezusa. Opowieści o biednych, wygnanych, o ofiarach rzymskiego kolonializmu i ambicji zawsze robiły na nim wrażenie. W czasach Jezusa ludzie potrzebowali charyzmatycznego przywódcy, żeby móc walczyć z uciskiem i biedą. Serenity uważał, że sam jest trochę podobny do Jezusa, i również chciał zostać zmitologizowany. Chciał, żeby chłopcy w Ugandzie mogli z pokolenia na pokolenie przekazywać sobie opowieści o nim jego rodzinie. Doszedł do wniosku, że jego dziecięce marzenie zostania skrzypkiem także zawierało w sobie element mitologii. Chciał zostać kimś, kto przetrwa poza swój czas. Jezusopo - dobnym duchem, który będzie rozpryskiwał jego imię po piaszczystej równinie czasu. Wolnym duchem, który będzie inspirował obcych uniwersalnym nasieniem, pochodzącym z ich własnych rodzimych owoców. Co jednak miał do zaoferowania chłopom we wsi i mieszkańcom kryminalnych dzielnic miasta w zamian za wieczność? Swoje osiągnięcia jako skarbnik związku zawodowego? Czyny swego ojca jako przywódcy? Pracę zmarłej ciotkiznachorki? Jakie uniwersalne nasiona mogły tkwić w owocu chlebowca zwanym Serenity? - zastanawiał się.

Niektórzy pielgrzymi płakali, kiedy znaleźli się na Ziemi Świętej. Dla wiejskiego

ludu, który orząc pole, uprawiając kawę, karmiąc kozy i świnie, nigdy by nie pomyślał, że kiedykolwiek tu trafi, było to wielkie przeżycie. Przebywali tu wszyscy możni tego świata, a teraz byli tu również i oni! Zdumiewała ich nowoczesna technologia, pozwalająca Izraelitom na uprawę ziemi na pustyni. Wyglądało to jak cud z jednej z biblijnych opowieści ich młodości. Serenity także zaimponował poziom technologii. Spostrzegł jednak, że jej użytkownicy zatracili już uczucie zdziwienia. Dla nich wszystko to było równie oczywiste, jak znalezienie grochu w strączku. Uważał, że to smutne.

Noce były chłodne i spokojne, zupełnie inne niż gorące noce w Ugandzie, do jakich był przyzwyczajony i do których już tęsknił. Pozwalało mu to odnaleźć się w sobie i znaleźć spokój. Już trzy tygodnie minęły od chwili, gdy po raz ostatni dotykał Nakibuki. Czuł, jak płonie cud ognia ich namiętności i do samego końca wystawia go na próbę.

Przybycie Serenity na Entebbe Airport było antyklimaksem. Ze wstrętym różańcem metrowej długości na szyi, którego korale stuknęły o siebie, a żelazne połączenia dzwoniły jak psi łańcuch, wysiadł z samolotu razem z innymi powracającymi pielgrzymami i udał się do hali przylotów. Na pierwszym piętrze, z którego rozciągał się widok na pas startowy i srebrzystoszare jezioro w oddali, stali podnieceni członkowie rodziny i przyjaciele, machając i wołając radośnie - mieszanina zawodzenia, żarliwego śpiewu i przenikliwego wywoływania imion. Serenity odmachał im, nieco zaskoczony tym hałaśliwym powitaniem. W domu, znowu był w domu. Kłódka, Kawayida, Nakatu i Hadzi Gimbi byli wśród otaczających go ludzi i oblewali go olejem swej radości i ulgi. Ponury nastrój, który towarzyszył mu przez całą noc w samolocie, rozwiął się i zniknął jak poranna mgła.

Ale pragmatyczna pięść Idi Amina już czternaście dni była zaciśnięta i teraz uderzyła Serenity prosto w twarz. Podczas jego nieobecności Amin udostępnił jeszcze cztery tysiące miejsc pielgrzymkowych, z korzystnym kursem i innymi udogodnieniami. Kłódka już przez pięć nocy prawie nie spała: Mbale zarezerwował dla niej miejsce w ich gminie! Wszystko potoczyło się tak szybko i nagle, że śmiertelnie się bała, że coś nie wyjdzie, że ta nieoczekiwana okazja zostanie odwołana. Bała się też, że Serenity nie wróci. Samoloty w dzisiejszych czasach były regularnie porywane albo zderzały się z górami. Ale on znowu tu był! Cały i zdrowy! Tylko skąd miał wziąć pieniądze na jej podróż? „Zobaczmy, zobaczmy” - powiedział. Kłódka była milcząca i trochę opryskliwa pośród krzyków radości - był to skutek niecierpliwości w kościach i strachu w sercu przed rozczarowaniem. Tylko ślepa wiara trzymała ją na nogach, zanim Amin zmienił decyzję, i teraz też ślepo wierzyła, że jej się uda. Dalej w przyszłość nie śmiała patrzeć: bagno analizy i spekulacji było zbyt głębokie, żeby w nim zanurkować. Widok Serenity nappełniał ją dumą - jej Serenity, który

wyglądał tak dystygowanie. Próbowala się cieszyć i okazywać, że się cieszy, w nadziei, że jej radość zostanie nagrodzona. Czy naprawdę był w Rzymie? I w Lourdes? I w Ziemi Świętej?

Droga do domu była gorzkosłodkim dopustem. Wszyscy mówili jeden przez drugiego. Spośród ogólnego gwaru wybijał się głos Hadżiego Gimbi, a Kłódka z zadowoleniem myślała, że nawet poganie chwalą teraz Boga: to tak, jakby kamienie zaczęły krzyczeć. Nie czuła już nienawiści do tego brodatego człowieka ani do Kawayidy i jego żony, ani do Nakatu, która nadal pozostała dla niej nieciekawą zagadką.

W domu panowało wesołe pandemonium. Przyszła wieloosobowa delegacja związku zawodowego urzędników pocztowych, katolicy, protestanci, muzułmanie i poganie. Skorzystali z okazji i wzięli na siebie organizację uroczystości. Wyglądało zupełnie tak, jakby pagoda była ich własnością. Wyszczekiwali rozkazy i hojną ręką serwowali napoje i przekąski. Od czasu do czasu rozbrzmiewał głośny śpiew. Kłódka chciała, żeby to był spokojny wieczór, lecz ci faceci nie mieli respektu dla *jetlagu* ani tym podobnych luksusowych problemów. Przyszli tu jeść, pić, tańczyć i okazać swoje oddanie nowemu liderowi. Kiedy zadudniły bębny, Serenity i Kłódce przypomniało się ich wesele wiele lat temu. Uroczystości szybko osiągnęły apogeum i gdy zapadł zmierzch, pijacy ryczeli, przeklinali i doszło nawet do walk na pięści, których Serenity nie śmiał przerywać w obawie, by nie rozgniewać swoich wyborców. Wkrótce sam również oddał się radosnemu rozgardiaszowi.

Po północy Kłódka wyłożyła swoją prośbę. Serenity oburzyła chwila, jaką na to wybrała, tak jak oburzały go prośby Kasiko po stosunkach. Nie pozostawiła mu najmniejszej przestrzeni do manewrowania, nie dała mu szansy pominięcia jej i stworzenia okazji dla Nakibuko, której ogromie pragnął. Powiedział jednak, że zapłaci za jej podróż - przede wszystkim dlatego, że były to dolary rządowe. Ale aby wystawić ją na próbę, powiedział, że pożyczyci pieniądze od Hadżiego Gimbi. Kłódka nie sprzeciwiła się. W rozpaczliwych chwilach, kiedy bała się, że samolot Serenity rozbije się lub zostanie uprowadzony, sama rozważała taką możliwość. Teraz miała to już za sobą. Jechała!

Wszystko wróciło do dawnego porządku. Kłódka wyruszyła kilka dni wcześniej niż Mbale, który musiał jeszcze załatwić parę spraw. Odebrała go z lotniska w Rzymie, pokazała nowo odkryte miejsca i ostrzegła przed oszustami, fałszywymi fotografiami i fałszywymi przewodnikami, naprzykrzającymi się turystom i okradającymi ich.

Wysoko w powietrzu, w drodze do Ziemi Obiecanej, z widokiem na chmury spiętrzone jedna na drugiej jak kłębki waty wysypane na puste pole, czuła się niemal jak

Dziewica Maria. Widziała samą siebie stojącą w chmurach z waty, z kulą ziemską w ręce i oczami zwróconymi do nieba, balansującą między tym, co przemijające, a tym, co wieczne, między niebem a ziemią, życiem i śmiercią. Miała miejsce przy oknie i cichutko płakała, ale sąsiad nie zauważył łez spływających po jej policzkach. Chciała, żeby dalej spływały, żeby wryły w jej skórze ślady i nasyciły płynące za oknem chmury z waty. Odepchnęła nieprzyjemne wspomnienia związane z młodością i skierowała swe myśli na pogodę ducha, pokój i cnotę. Lecąc przez niebiańską równinę chmur, wyczuła obecność małej, starej kobiety. To była Babcia. Pomyślała o wezwaniach Jezusa, aby nie wszczynać sporów, dopóki nie złoży się ofiary, i posłała swój gniew do atmosfery. Miała nadzieję, że Babcia również jej wybaczyła.

Hermetycznie zamknięta w tym sarkofagu, lecącym z prędkością tysiąca kilometrów na godzinę, odkryła, że łatwo jej przychodzi wybaczenie ziemskich krzywd. Przypomniała sobie, że we śnie Babci stała oko w oko z bawołem w jeziorze piasku. Teraz to zrozumiała. Pisakiem były chmury, a ona sama była potężnym bawołem. Gdyby wiedziała, że ta stara kobieta mruczała tylko przepowiednie! Gdyby wiedziała wtedy, że ta stara kobieta była zwiastunem największego tryumfu w jej życiu! Gdyby o tym wiedziała! Ale wszystko to należało już do przeszłości. Teraz kierowała się w przyszłość.

Kiedy lądowali w Izraelu, zobaczyła piasek i wyobraziła sobie, że jest potężnym bawołem, przybyłym z pokornej wioski, aby spełniło się jej biblijne przeznaczenie. Była dziewczicą wyrosłą z błota i zarośli nieważnej wsi, na cześć narodzin Boskiego Syna i ku zbawieniu wszystkich. Była Dziewicą z Nazaretu, miejsca, po którym nikt nie spodziewał się niczego dobrego, a w którym żył człowiek, którego nauki zaważyły na losach całego świata. Czowała, że wielka siła biblijnej historii sięga zenitu przy bramach Jerozolimy. Wkraczając na teren miasta, czuła się spuchnięta od wszystkich obietnic, wszystkich cudów i prób, na jakie zostali wystawieni Izraelici, i wszystkich ich zwycięstw, ponieważ była nową Izraelitką z obrzezanym sercem, ucieleśnieniem chleba życia przybyłego z Nazaretu. Chciała udać się do wszystkich małych wiosek, do których zawitał Jezus, i porozmawiać z ludźmi, spróbować wina, jeść chleb, dotykać palm i szukać esencji zjawiska, które wzięło stąd swój początek i przeniknęło do całego świata. Chciała udać się do źródła, przy którym Jezus rozmawiał z Samarytanką. Chciała widzieć, jak ludzie przychodzą tam po wodę i niosą ją na głowach, jak w Ugandzie. Chciała spać w namiocie i słuchać muzyki tego kraju. Chciała zgłębić swoją wiarę aż do dna. Chciała wspinać się na Golgotę i na górę czaszek, i pocić się tak, jak pocił się Jezus. Chciała modlić się w miejscu ukrzyżowania. Chciała modlić się w miejscu wniebowstąpienia Jezusa. Przypomniała jej się kobieta cierpiąca latami na krwotoki i poczuła

w sobie uzdrawiającą moc Jezusa.

Po powrocie brat i siostra urządzili w rodzinnej wsi wspólną ceremonię dziękczynną. Mbale, katecheta i lepszy mówca spośród nich dwojga, zdał sprawozdanie z pielgrzymki, ze swoich wrażeń ze spotkania z Ojcem Świętym i pobytu w Watykanie. Próbował też wyjaśnić, co się czuje, stojąc w tłumie w Lourdes oraz oglądając góry i budowle Jerozolimy. Dzień zakończył się graniem bębnów, tańcami i śpiewem.

Ale wszystkie te rzeczy nie były w stanie zepchnąć na dalszy plan trosk Mbalego. Zapłacił za podróż pożyczonymi pieniędzmi, zaliczką na zbliżające się zbiory. Jego żywym, oddychającym zastawem było rozległe pole zdrowych pomidorów. Podczas jego nieobecności żona i dzieci spryskiwały roślinki, odpędzały ciekawskie małpki i wygłodniałe ptaki. Mieli za sobą trzy wspaniałe zbiory, a tegoroczne zapowiadały się jeszcze lepiej. Mbale widział w tym Boży dar, rodzaj nagrody za swoją pracę. Nikt temu nie przeczył, nawet wrogowie. Wszyscy byli zgodni co do tego, że Mbale pracował najciężej ze wszystkich w okolicy. Cała rodzina wstawała przed szóstą, odmawiała modlitwy, jadła śniadanie i przedarłszy się przez rosę i mgłę, zabierała się do pracy. Słońce czy deszcz, pracowali przez cały dzień, robiąc jedynie krótkie przerwy na posiłki albo żeby ugasić pragnienie czy posać trzcinę cukrową. Reżim ten obowiązywał zarówno mężczyzn, jak i kobiety. Rodzina Mbalego pracowała naprawdę ciężko i wszyscy uważali, że w pełni zasługiwała na każdy wydojony z ziemi grosz. We wsi mówiono, że ich trzcina cukrowa pachnie potem.

Do tego Mbale był katechetą wiejskiej gminy, głosił Dobrą Nowinę, udzielał rad świeżo poślubionym, przygotowywał do małżeństwa i innych sakramentów. Jego wiara była twarda jak skała i czuł się głęboko dotknięty, gdy ktoś mówił, że Dziewica Maria miała menstruacje albo że święty Józef był impotentem. Sceptycyzm wobec Biblii Mbale uważał za zdrożność i można było nawet oberwać, gdy wypił za dużo piwa bananowego.

Żaden pielgrzym nie byłby dumniejszy ze swej pielgrzymki niż mój wujek Mbale. Opowiadał wszystko z tysiąc razy. Metrowy różaniec stał się jego znakiem rozpoznawczym. Wszyscy mogli zauważyć, że nie jest zwykłym chłopem, który się zaharowuje na polu w prażącym słońcu, lecz kimś, kto pokonał przestrzeń i był w Watykanie, Lourdes, Jerozolimie i wielu miejscach wymienionych w Biblii. Legendarne też były jego niedzielne kazania. Jeżeli Jezus w ewangelii udawał się do Kany, Kafarnaum czy Jerycho, Mbale mówił do swoich słuchaczy: „Kiedy byłem w Kanie... czułem, jak moc Pana płonie we mnie. Wtedy Bóg polecił mi udać się do domu i przemawiać do was, mojego ludu...”. Kiedy mówił o papieżu, często powtarzał: „Ojciec Święty polecił mi powiedzieć wam, że was kocha. Chce, żebyście pokutowali, bo koniec jest blisko...”. Dwa miesiące po jego powrocie przez wieś i większą

część pól przeszła gwałtowna wichura.

Gdy wiatry zaczęły świszczeć po górach, na początku brzmiało to jak klekotanie wielu różańcowych koralików, stukających o siebie. Mbale słuchał w piwiarni piosenki, skomponowanej na jego cześć przez kilka kobiet ze wsi, ponieważ swoją pielgrzymką rozślawił wieś. Wiatry, wyjąc, osuwały się z gór coraz niżej, aż do wsi. Zerwały dach piwiarni, zgmiotły go w wielką kulę i rzuciły dwa boiska piłkarskie dalej. Obcięły korony drzewom i rozproszyły dookoła ich szczątki. Potem wycelowały niżej i powyrywały z korzeniami lub rozszczepiły na dwoje bądź na troje bananowce i kawowce. Terroryzowały chybotałe domki, wydmuchiwały dziury w ścianach, wrywały drzwi z zawiasów i unosiły je w nieznanym kierunku. Kościół parafialny był solidnym budynkiem i przeciwstawił się z całą siłą. Wiatry atakowały go ze wszystkich stron, zarzuciły jego dach kawowcami wyrwanymi z ziemi wiele metrów dalej, a w drzwiach grzmociły latającymi palmami bananowymi. Zanurkowały pod dach z nieczym zamiarem podwiania go nieprzyzwoicie w górę, niczym spódnicę lampy z Monroe, ale udało im się oderwać tylko kawałki zmurszałej dachówki. Huczały na anemiczną szkołę połączoną z kościołem, miażdżyły starsze budynki, przemieliły latryny na płynne błoto i zalały plac zabaw odchodami szkoły niedzielnej. Woda dopełniła zniszczenia, zmywając zbiory, drogi, psy, szczury, potargane prześcieradła i wszystko, co znalazło się na otwartej przestrzeni. Resztki krzaków pomidorów Mbalego znaleziono w wiejskiej studni, którą zatkały.

Nikt nie był tym bardziej zakłopotany od pielgrzyma, który powinien przecież jakoś temu zaradzić. Ale ku swej wielkiej rozpaczycy Mbale zgubił różaniec.

— Bóg wystawia na próbę tych, których kocha - powiedział filozoficznie, zastanawiając się, jak ma spłacić dług zaciągnięty na podróż.

Kłódka, kobieta, która wkrótce miała rozstać się z życiem w pobliskim lesie, wróciła do wsi, aby ocenić szkody i zobaczyć, co da się jeszcze uratować.

Katastrofy przyrodnicze, które miały prześladować rodzinę oraz rodziny żon i mężów, dały właśnie znać o swych zamiarach. W przeciwieństwie do szarańczy, która dokonała spustoszeń w latach trzydziestych i o której mieszkańcy wsi już prawie zapomnieli, nowe nieszczęścia miały spowodować znacznie trwalsze blizny.

Na początek mieszkańcy wsi podjęli walkę, odbudowując wieś. Mbale harował przez siedem lat, aby móc spłacić swój dług.

W tym okresie w całym kraju odprawiano tysiące mszy świętych i gdyby wszystkie modlitwy zostały wysłuchane, kraju nie dotknęłaby nigdy żadna z katastrof, które miały jeszcze nastąpić. Nam w seminarium wydawało się, że uczestniczymy w jednej, ciągnącej się w nieskończoność mszy. Poranne światło wciąż walczyło z okiennymi witrażami kaplicy, a

my wszyscy byliśmy uwięzieni w powtarzającej się wciąż sztuce teatralnej. Seminarzyści, z głowami wciśniętymi w ramiona i z mamroczącymi w półśnie ustami, przypominali małe ptaszki czekające na nakarmienie. Rektor, bez metrowego różańca, wciąż na nowo opowiadał historię swojej pielgrzymki, co zdawało się trwać całą wieczność. Watykan, Jerozolima, Lourdes, a może plac Świętego Piotra, Jerozolima, Lourdes, a może jeszcze inna trasa? Kiedy przyłapywał teraz kogoś na wykroczeniu, wzywał go do swojego biura i beznamytnie ogłaszał wyrok. „Podaj mi jeden dobry powód...” - mówił, co stało się jego motywem przewodnim i przezwiskiem. Niektórzy jego koledzy uważali, że nie jest wystarczająco ostry, i otwarcie się zastanawiali, jak długo jeszcze będzie nas w ten maniackalny sposób nawracać na swoją drogę do Damaszku.

Popularność Lageau zbladła tymczasem i w końcu znaleźliśmy dla niego przezwisko: „Czerwonoskóry”. Był rudy, ale jego przezwisko oznaczało, że mimo swego pochodzenia i pozornego bogactwa przypominał nam czerwonoskórego z rezerwatu Indian. Najczęściej nazywaliśmy go „Czerwony”.

W kulminacyjnym punkcie tej burzy w szklance wody wyszła kwestia „Agathy”, z powodu której przez cały rok trzęśliśmy się ze strachu. Wyglądało to tak, jakby Lageau na koniec dał nam jeszcze kopniaka.

Seminarium zbudowano na wzgórzu, w odległości trzech kilometrów od Jeziora Wiktorii, tego samego, które Serenity widział podczas swego pierwszego lotu i na którego wschodnich brzegach Kaanders wypowiedział walkę poligamii oraz nabawił się śpiączki. Można w nim było łowić ryby i pływać. Miejscowa ludność przeczesywała wodę sieciami zarzucanymi z łódek i wylawiała większe i mniejsze ryby, nikt jednak nie pływał. Raz w miesiącu wolno było nam, seminarzystom, iść sobie popływać, ale myśl, że trzeba przejść trzy kilometry, żeby się zanurzyć, zgłodnieć jak wilk, a potem znowu musieć wracać z widokiem na nędzny posiłek, nie stanowiła dla wielu specjalnej atrakcji. Z przywileju tego korzystali jedynie sprytni wagarowicze, którzy przy tej okazji umawiali się ze znajomymi, a czasem z dziewczynami.

Stopniowo Lageau stał się ucieleśnieniem rekreacyjnych luksusów - zarówno pływania, jak i żeglowania. Kiedy nie miał ochoty na siatkówkę, wsiadał w samochód i jechał sobie popływać. W weekendy kilku dobrych pływaków dostawało pozwolenie pojechania razem z nim nad jezioro. To właśnie tej grupce wybrańców wyjawiał mające niebawem nastąpić przybycie „Agathy”.

Nowina rozeszła się jak płonąca benzyna w drewnianej szopie. Seminarzyści wysławiali Lageau pod niebiosa. Prawie nie mogli się doczekać, kiedy zobaczą „Agathę”.

Ktoś zdobył zdjęcie łodzi, które przechodziło z rąk do rąk szybciej niż pismo pornograficzne w koszarach. Nasze oczy pochłaniały łabędzi statek z podziwem, szacunkiem i gorzką zazdrością. Czerwono - skóry chciał w ten sposób pokazać każdemu, łącznie z rektorem i jego opowiadaniem o Watykanie, Jerozolimie i Lourdes, jego miejsce. Ta łódź, stojąca jeszcze setki kilometrów od nas, była czymś w rodzaju Świętego Graala, remedium na każdą narodową plagę. Wielu chłopców było przekonanych, że nasze posiłki lada moment się poprawią.

— Te wszystkie duże ryby, które będzie łowił... na pewno dostanie się nam po kawałku - mówili.

— Nareszcie Bóg znowu o nas pomyślał - mówili optymiści.

Lageau rozkoszował się swą sławą, ale jej nie podsyczał. Przyjął nietypową dla siebie powściągliwą postawę, a brudną robotę pozostawił chłopcom i paru niedyskretnym księżom. Trzymałem się z daleka od tej całej sprawy. W tym czasie byliśmy z Kaandersem bardzo zajęci reperowaniem starych księzek: rozcinaliśmy je, sklejaliśmy, kładliśmy pod prasę, przycinaliśmy i zaczynaliśmy dostawać halucynacji od kleju rybnego. Ręce Kaandersa zwykle drżały, jakby przechodził przez nie prąd elektryczny, ale w introligatorni, między stertami papierysk, obrzydliwą gilotyną do papieru i obdartymi książkami były pewne jak ręce chirurga. Potrafił pracować bardzo długo bez przerwy, rezygnował z posiłków i wyglądał w swym zapale prawie jak obłąkany. Zawsze miał w swojej szufladzie kawałek sera, który podgryzał jak szczur kawałek mydła, zanim znowu zabrał się do pracy. Nic nie mogło zakłócić jego koncentracji. Pracowaliśmy przez cały tydzień, również w trakcie gimnastyki. Wciąż powtarzał: „O, chłopcze, musimy to skończyć, chłopcze”.

Gdy „Agatha” w końcu przybyła - potężny łabędź, który ozmroku wyrósł na tle odległych wzgórz niczym biała błyskawica w ponurym wieczornym powietrzu - stanowiła już wspólną własność, dostała się na języki podczas wspólnych spekulacji: lśniący żaglowiec długi na dwanaście stóp, na przyczepie, skąpany we fluorescencyjnym świetle i migoczący jak alabastrowa dziewczica. Podczas gdy aparaty błyskały w mroku, Lageau stał i patrzył, zafascynowany jak wynalazca, któremu udziela się pomocy w pokonywaniu ostatniej przeszkody. Szczerzył zęby i promieniał, jakby chciał powiedzieć, że kapłaństwo jest najlepszym zawodem na świecie, bo każdy ksiądz, który zostaje wyświęcony, otrzymuje statek. Długo musiał czekać na „Agathę”, a teraz, kiedy już tu była, niecierpliwił się jak mały chłopczyk.

Nastąpiły tygodnie oczekiwania. Mieliśmy oczy i uszy otwarte. Afrykański ksiądz, znany ze swego lizusostwa, przewiózł „Agathę” swoim samochodem nad jezioro,

zainstalował silnik i czekał, aż Lageau tam przyjedzie swoim samochodem. Czasem Lageau zabierał ze sobą kilku chłopców, aby pomogli przy łodzi. Ubrany w białe, krótkie spodnie, białe tenisówki i biały Tshirt, wyglądał jak beztroski tenisista. Początkowo łowił wędką, potem przerzucił się na sieci. Najpierw łapał tilapie, później ogromne okonie nilowe - ważące od trzydziestu do siedemdziesięciu kilo. Zamrażarki ojców wypełnione były po brzegi. Ale nasza dieta nadal składała się z zepsutego grochu i tylko raz w miesiącu dostawaliśmy kawałek okonia.

Rozważałem, czy nie zapytać Lageau wprost, dlaczego nie daje nam trochę więcej ryby. Powstrzymałem się jednak. Wolałem, żeby zrobił to ktoś inny. Nie chciałem sprawiać wrażenia, że myślę wyłącznie o jedzeniu. I nie musiałem zbyt długo czekać.

Regularnie zaczęły następować zakłócenia w dostawie prądu. Najpierw sądziliśmy, że jest to problem regionalny albo narodowy i że winę za to ponosi elektrownia. Szybko jednak stało się jasne, że seminarium cierpiało z tego powodu o wiele bardziej niż inni użytkownicy. Lageau coraz bardziej się denerwował, ponieważ zmuszony był do korzystania z latarni, a poza tym musiał poświęcać czas na szukanie przyczyny problemu.

Początkowo sabotażysta rozłączał jedynie kable lub wykręcał bezpieczniki. Mruczając pod nosem przekleństwa, ojciec Lageau szybko znowu je montował. Jednak wkrótce sabotażysta postanowił zintensyfikować swoje działania i zdemontował część systemu, a Lageau niemal oszalał z frustracji. Bywały wieczory, kiedy oddział ojców spowijały zupełne ciemności, podczas gdy nasz kąpał się w świetle jarzeniówek. Tydzień później ciemności ogarnęły całą szkołę. Ojciec Lageau obudował transformatory szafkami, a kluczyki do nich przechowywał w swoim biurze. Tym razem uprzedziłem skurwysyna, powiedział. Skurwysyn musiał to słyszeć i nie spodobało mu się to zbyt. Odczekał tydzień i ponownie uderzył. Te wyłączenia prądu zakłócały naszą wieczorną naukę, ich zaletą było jednak to, że mogliśmy wcześniej kłaść się spać. Dlatego niewielu seminarzystów złościło się na Lageau, a wszelka złość pod adresem tego człowieka rozpuszczała się wraz z zamrażarką. Po każdym udanym ataku sabotażysty Lageau nakazywał opróżnienie lodówki, a my pałaszowaliśmy ryby. Nasz nieznany dobroczyńca czekał, aż zamrażarki znowu będą pełne, wywoływał zakłócenia, czym znowu zmuszał Lageau do podania nam ryb. W międzyczasie dokładano wszelkich starań, aby ująć szkodnika. Fascynowała mnie ta tajemnicza postać. Chciałem wiedzieć, kto to jest. W swoim sposobie działania tak bardzo był do mnie podobny. Serenity też by go polubił, ponieważ przypominał wiele postaci z jego ulubionych książek.

Kiedy prąd wysiadł po raz szósty, byliśmy go w sumie pozbawieni przez dwadzieścia dni. Przy każdej okazji rektor przemawiał do nas i upominał sabotażystę, aby skończył ze

swymi pomysłami. Ciekawe było to, że nie groził boską interwencją lub czymś takim. Musiał wiedzieć, że człowiek ten jest raczej niewrażliwy na sprawy niebieskie. Spodziewałem się, że rektor wezwie mnie do siebie, żeby zapytać, czy wiem, kto jest sabotażystą, ale nie zrobił tego.

Po szóstym ataku coś zaczęło się zmieniać: dostawaliśmy teraz rybę trzy razy w miesiącu. Więcej wyłączeń prądu nie było.

Mój brak zainteresowania „Agathą” nie trwał długo. Pewnego ranka ojciec Lageau odkrył rysę na drugim zebrze łodzi. Ponieważ w ciągu ostatnich dwóch dni nie był nad jeziorem, mógł dojść tylko do jednego odrażającego wniosku. Czerwony jak burak, ze sterczącym do góry lokiem w stylu Elvisa, Lageau oznajmił, że ktoś zmalretował „Agathę”, naruszył jej dumę zszargał jej dobre imię. Kto ważył się podnieść na nią rękę? Kto ją napiętnował? Po wszystkim, co uczyniła dla tych nędznych chłopców i tych nędznych księży! Jaki ostatni cham to zrobił? Co chciał przez to osiągnąć albo udowodnić? Lageau nie przyszło na myśl, że może była to pomyłka, wypadek. Po tym, co przeżył z powodu sabotażu, był przekonany, że wszystko, co tu się zdarza, musi być złym zamiarem. Ale jeśli chodzi o „Agathę”, miarka się przebrała. W podświadomości Lageau sądził, że pięknych łodzi, podobnie jak pięknych kobiet, nigdy nie hańbi się przez przypadek. Dokonano tego z premedytacją. Nigdy nie targnięto się na jego samochód, na jego kwiaty ani na jego osobę. Dlaczego musiała to być właśnie „Agatha”? Czy to możliwe, że złoczyńca nie uświadamiał sobie, że imię Agatha nosiła jego matka, jego dziewczyna i jego idealna kobieta? Kto nie wiedział, że „Agatha” wywoływała w nim wszelkie instynkty opiekuńcze?

Jak wszyscy ludzie zamknięci w mydlanej bańce nietykalności, czuł się zraniony i urażony. Trawił go dotkliwy ból i choć wiedział, że to bezsensowne, obawiał się, że dostanie ataku serca. Czuł nasilającą się niszczycielską migrenę - największą dolegliwość matki. Żył w nieustannym strachu, że ją po niej odziedziczył. Zbyt wściekły, by móc wyrazić swe emocje, pospieszył do swojego pokoju i zamknął się w nim. Wypił łyk whisky. Z ulgą poczuł przechodzący go, znany mu ogień, prędko gaszący zwątpienie. O Boże, właśnie była jego kolej odprawienia mszy! Szybko się przebrał i pobiegł do zakrystii.

Wnętrze kaplicy zalewało złote światło. Chłopcy szeptali modlitwy poprzedzające Anioł Pański i mszę. Złote światło mogło równie dobrze być ogniście czerwoną błyskawicą. Jedynym, co Lageau widział przed sobą, kiedy tamtego ranka prosił rektora o pozwolenie na odprawienie wieczornej mszy, były płomienie.

- W tym tygodniu jest moja kolej - zaprotestował słabo pielgrzym.
- Ale ja mam dla chłopców specjalną nowinę.

— Czy nie może zostać przekazana po mszy? Czy ojciec nie może przemówić do nich w refektarzu?

— Nie, proszę o wyrozumiałość dla tej szczególnej sytuacji.

— Sprawy duchowe? - zapytał rektor, zastanawiając się, czy skarbnik miał widzenie, czy też było to doświadczenie - - drogi Damaszku. Był taki czerwony!

Mimo że Lageau odmówił odpowiedzi na pytanie, czy chodziło o rzecz natury duchowej, świeckiej czy też o żadną z nich, rektor skapitulował. Jakże żarzą się jego uszy! - pomyślał ze zdziwieniem.

Po dwóch minutach zrozumiał, że tamten nie żartuje.

— Zwierzęta! - zawołał Lageau.

Wszyscy księża i wszyscy chłopcy spojrzeli na niego ze zdziwieniem. Co za osobliwy sposób rozpoczynania przemowy! Nie byliśmy raczej publicznością nadającą się do wysłuchiwania kazań o prawach zwierząt: biliśmy nasze krowy albo pozwalaliśmy to robić pasterzom, kiedy odłączały się od stada; tłukliśmy świnię kijami lub podcinaliśmy im gardła, żeby przygotować je do garnka; ścigaliśmy wiewiórki, bo zjadały nasze orzeszki ziemne; wybijaliśmy szczury za pomocą trucizn i pułapek; z małpami łączyła nas zarówno miłość, jak i nienawiść, a kiedy umykały śmierci po splądrowaniu naszych upraw, zawdzięczały to wyłącznie własnemu sprytowi. Bestie były dla nas bestiami. O czym więc na miłość boską mówił Lageau? Czyżby stał się nagle obrońcą praw zwierząt po tym, jak złowił, zabił i zjadł te wszystkie ryby?

i Małpy. Czarne małpy. Małpy bez szacunku wobec piękna własności. Jak ktoś mógł zhańbić „Agathę”? Co ten klejnot komu uczynił? Dlaczego ktoś musiał porysować jej zebro? Wiecie dlaczego? Dlatego, że wszyscy jesteście małpami. Módlcie się razem ze mną podczas tej mszy, żeby małpy nabrały respektu dla rzeczy należących do innych.

Księża, w swych nienagannych sutannach sprawiający wrażenie wyższych niż latarnie uliczne, stali wokół ołtarza za Lageau jak zakamuflowana straż przyboczna, z niezgłębionym wyrazem błyszczących, czarnych twarzy. Czy w swoim wnętrzu byli równie powściągliwi, jak kazał to przypuszczać ich wygląd zewnętrzny? Kto wie. Zdawali się stać ponad słowami Lageau. Oczywiście ich kolega aż nazbyt dobrze wiedział, jak materialis - tyczna była większość z nich, i był świadomy tego, że nigdy więcej nie tkną „Agathy”. Wszyscy mieli twarze prawie tak nieruchome jak Dziewica Maria i byli równie milczący.

Większość seminarzystów, w każdym bądź razie ci, którzy nie spali i słyszeli ten wzbudzający sensację wstęp, była zbyt osłupiała, aby zareagować. Dotarł do mnie jedynie odgłos rozszoszczonego szurania stóp i syków paru osób. Może ja też nie miałem jeszcze zbyt

jasnego umysłu, bo dopiero dzień wcześniej skończyłem klejenie książek. Wiedziałem jednak z całą pewnością, że to usłyszałem. Wiedziałem też, że większość z nas odpieszała słowa Lageau tarczą ospałości i głębokiego szacunku dla władzy. Czyż każdy nie reagował w klasyczny sposób, nadstawiając drugi policzek i pozwalając pryskać ślinie, aż plującemu zabraknie jej i odejdzie? Czyż nie był to największy sprawdzian naszego opanowania?

Szeptano kiedyś, że z powodu urody „Agathy” ktoś z pewnością zginie. Co się właściwie stało? Czy ktoś podpatrzył mnie wysmarował ją czymś, czy może zarysował ją tylko nożem, żeby zobaczyć, z czego jest wykonana - z drewna, plastiku czy z włókna węglowego? Ileż dzieci kłuło nożem kanapy rodziców, żeby zobaczyć, co sprawia, że są takie miękkie? Czyż ja sam nie odłamałem drzazgi u zagłowia łóżka despotów? Ile dzieci wrywało ręce swym lalkom, żeby sprawdzić, co w nich tak piszczy? A może to sabotażysta przeprowadził nową kampanię i poniżył „Agathę”? Miałem ochotę się uśmiechnąć. Ten facet miał jaja ze stali. Rozumiałem jednak frustrację Lageau: sabotażysta, który nabił go w butelkę jako elektryka, wciąż jeszcze był na wolności. A teraz ktoś, prawdopodobnie ten sam psubrat, wyczyniał coś z jego „Agathą”? Dałem Lageau jeszcze jedną szansę, ponieważ byłem zdania, że ktoś naciął na żaglówce te podłe karby, żeby naszego biednego Czerwonoskórego doprowadzić do szaleństwa.

Wyglądało to tak, jakby cała msza była odprawiana w łodzi podwodnej, z dala od stałego lądu i rzeczywistości. Zazwyczaj podczas porannego nabożeństwa chłopcy aż do komunii nie byli świadomi tego, co się wokół nich dzieje. Wszystkim sterował automatyczny pilot, ponieważ msza zawsze wyglądała dokładnie tak samo. Tym razem jednak seminarzyści byli obudzeni na dobre, jakby informacje dotarły do nich za pomocą maleńkich nadajniczków ukrytych w ołtarzu. Wszystkich zdumiała odwaga i zarozumiałość Lageau. Żaden zwykły biały nie był na tyle bezczelny, by dwustu czarnych chłopców nazwać prosto w twarz małpami, nie trzymając w kieszeni pistoletu. Przeciętny kolonialista dwa razy by się zastanowił, zanim posunąłby się tak daleko, nie będąc ubezpieczonym przez oddział strzelców wyborowych. A ten nieuzbrojony, gładko ogolony mężczyzna bezkarnie wetknął nam nosy w gówno! My też chcieliśmy być tacy odważni: z niemal równie gładkimi policzkami, równie spokojnym głosem, przeciętnym wyglądem i jajami ze stali. Miałem ochotę zgotować mu owację. Ten facet wymierzył policzek księżom, którym ja sam chciałem dać w twarz. Tak, tak, to było wspaniałe! Czulem ogarniające mnie podniecenie.

Lageau przypominał Jezusa przeklinającego faryzeuszy, na - 292 zywającego ich chodzącymi grobami przystrojonymi gnijącym mięsem i smrodem, i z pewnością był tą czy inną reinkarnacją Jezusa, bo wyglądał, jakby przeszedł transformację. Miękkie, złote światło

padało na złotą oprawkę jego okularów i rozpryskiwało się na wiele złotych gwiazdeczek, mnożących się podczas ruchów głową. W tym momencie był prawdziwym ucieleśnieniem potęgi i glorii. Gdy jego ręka przecinała powietrze, jego zegarek marki Rado rozpryskiwał się w płynnych ruchach, dryfujących na bezbarwnych falach jak zwinni pływacy na deskach surfingowych. Kiedy światło wpadało mu do ust, każdy złoty ząb migotał niczym daleka gwiazda. To było wspaniałe przedstawienie. Słuchałem go z zapartym tchem. Czułem, że nogi robią mi się jak z waty, ponieważ uświadamiałem sobie, że znajduję się w pobliżu kogoś bardzo wyjątkowego. Pociągała mnie demonstracja siły tego człowieka i jego osobowość.

Widziałem w nim siłę Katolickiego Imperium, sunącą naprzód, zwyciężającą, podbijającą, manipulującą, rozkazującą panującą. Miałem okazję doświadczyć respektu, jaki czują pokorni wierni wobec bogów Imperium. Sam również miałem ochotę uklęknąć, przycisnąć brodę do ziemi i służyć Imperium tego człowieka i jego przywódcom. Ten człowiek nosił znamiona hegemonii Banku Światowego i Unii Monetarnej i uosabiał żelazne reguły wykuwane w złotych pokojach, uwieczniane w księgach złotymi linijkami, naniesionymi grubymi, złotymi piórami w odległych złotych miastach. Cechowała go surowa, despotyczna postawa wybaczenia ofierze po usidleniu jej. Ten człowiek, otoczony złotem, górował ponad wodzącymi się za łby, smarkatymi republikami, rozkazywał, intrygował i wykorzystywał je do bólu. Zdejmował złoty ciężar ze swego ubranego w pierścienie palca, rozkazywał łapać go i czyścić. Kilkoma pociągnięciami złotego pióra w złotym pokoju, na stronie ze złotymi linijkami mógł podwoić czyjeś cierpienie, potroić bądź pomnożyć przez cztery albo, jeśli z jakiegokolwiek powodu postanowił nagrodzić podwładnego, zmniejszyć jego cierpienie o połowę. Oto była prawdziwa władza, o jakiej marzyłem. Oto była prawdziwa władza, jaką chciałem posiadać. Oto była prawdziwa władza, która chroniła przed spojrzeciami umierających noworodków, wycieńczonych ludzi i śmierzących starców. Oto była prawdziwa władza, ponieważ wieczorem, przed położeniem się do łóżka, można było czuć zapach róż, a rano budzić się bez potrzeby patrzenia na rzeczy, których się nie lubi.

Kłęczałem. Byłem pewny, że większość chłopców myślała, że się modliłem. Bynajmniej. Wielbiłem władzę w jej najbardziej imponującej postaci, siłę szalejącą po górach jak wiatry, które zniszczyły wieś Mbalego. Chciałem tu zostać - do końca kwartału, do końca roku, może nawet do końca życia.

Ocknąłem się, gdy śpiewano ostatni psalm. A może dopiero wówczas, gdy zobaczyłem, że chłopcy wychodzą z kaplicy? Wszystko wydawało się stać na głowie. Zauważyłem, że w rozmarzeniu odłączyłem się od reszty stada. Smarki łaskotały mnie w nosie. Otwarte usta wyschły. Powoli doszedłem do siebie. Demony władzy wycofały się,

przepędzone przez powracającą świadomość. Zacząłem samemu sobie zadawać pytania.

Czy powodem mojej nienawiści do Kłódki nie było to, że sprawowała władzę nad ludźmi, którzy byli słabi? Czy Lageau nie robił tego samego? Jeśli tak, dlaczego byłem tak zahipnotyzowany? Czy nie było to preferowanie określonego koloru skóry lub jakiś inny pozór, którego nie odgadłem? Co ten człowiek kiedykolwiek osiągnął, oczywiście jeśli nie liczyć władzy, którą zawdzięczał swojemu pochodzeniu? Czy kiedykolwiek wrył swe imię w diament, pisząc wspaniałą książkę? Czy spowodował, że ktoś stracił poczucie czasu, słysząc skomponowaną przez niego piosenkę? Czy kiedykolwiek wynalazł jakąś pożyteczną maszynę albo wymyślił formułę matematyczną, dzięki której wiedza ludzka posunęła się naprzód lub która pomogła zaradzić cierpieniu czy marnotrawstwu? O ile mi wiadomo - nie. To była jedna wielka maskarada.

Tak jak Kłódka nie wynalazła macicy, tak Lageau nie wynalazł pieniędzy ani wiedzy, ani nawet władzy. Jak większość z nas, był gałganiarzem, użytkownikiem rzeczy, które zbywają innym. Jego nieumiarkowany popis arogancji był oszustwem spadkobiercy naładowanym winą. Może miał pieniądze, może mógł wykupić całą wioskę, może nawet mógłby kupić pół Ugandy. To już do diaskajego sprawa. Ale był tylko szprychą koła fortuny, trybikiem maszynerii władzy. A jeśli chodzi o jego kolor skóry oraz przywileje ochraniające rakietami jądrowymi: co zrobił, żeby rozwiązać prastary problem rasowy? Nic. Jak wielu inteligentnych ludzi, wpadł w pułapkę bronienia swojego lichego stanowiska, a nawet przechwalania się nim, zlokalizował słabe miejsca innych, ale sam nie odkrył żadnego nowego sposobu myślenia. Innymi słowy, wymiotował jedynie setkami lat filozoficznych, socjalnych i politycznych pseudoprawd.

Czułem się ogromnie rozczarowany i zmęczony. Lageau stracił na atrakcyjności, jak tylu innych ludzi, którzy nie mogli mnie niczego więcej nauczyć. Pewnego pięknego dnia będę większy niż on, większy niż Serenity i jego Kłódka oraz inni pośledni despoci. Było mi mdło, jakby moje ciało jednym ostrym skurczem zamierzało wypluć z siebie cały klej rybny, którego nawdychałem się w poprzednim tygodniu. Mimo swego posłannictwa Lageau przegapił jeden rozdział antropologii kulturowej. Małpa była u nas symbolem mądrości, ciekawości tego rodzaju inteligencji, z której był tak dumny - symbolizowała jego własne stanowisko. Wśród pięćdziesięciu dwóch klanów totemowych małpa odgrywała ważną rolę. Dziewczęta z małpiego klanu słynęły ze zręczności, odwagi, mądrości i oddania. Do tego klanu należała również Lusanani, kobieta, która połknęła moje dziewictwo. Ostentacyjna pogarda dla małp, która rozpoczęła się w kolonialnym okresie misyjnym, była godna pożałowania. Był to pusty krzyk ludzi wyrwanych z ziemi ojczystej, tańczących w rytm

obcych melodii i łamiących sobie nogi. Biali często sądzili, że wyzywając kogoś od małp, zyskują punkt, lecz tak nie było: sami z siebie robili małpy.

Ten człowiek, który w kościele wystawiał na pokaz swoją własną niewiedzę, również się zbłądził. Małpie żarty. Ten człowiek, który wybrał ołtarz, aby objawić nam swoją władzę oryginalność, nie posiadał ani krzty oryginalności. Małpował, imitował swych przodków, przedstawicieli świętego pancernika, którzy prowadzili wojny i zatruli naszą politykę swą wiarą. Czyż generał Amin nie oskarżał, wciąż na nowo, Kościoła katolickiego o to, że jest zbudowany na mordzie, terrorze, bezsensownych wojnach, ludobójstwie, kradzieży i innym nie - umiarkowaniu? Rzeź niewinnych i nietakzupelnieniewinnych była starym zwyczajem i tylko półgłówki spośród nas były pod jej wrażeniem. A dla Kościoła, propagującego ból i cierpienie, trzymającego krzyż jak sztandar, było to bez znaczenia. Jeżeli Lageau, podobnie jak ojciec Mindi, sądził, że daje nam wzór do naśladowania, mylił się bardzo. Nie potrafił osiągnąć poziomu psychicznych zaburzeń Kościoła katolickiego. Co więc z jego innowacjami? To wszystko tchnęło staroświeckim zapachem zasady, którą wyznawał Lageau, nazywając nas małpami. Nie stanowiły dla mnie źródła inspiracji, ale źródło irytacji.

Jeszcze nie tak dawno temu Serenity pobił mnie prawie na śmierć, kilka godzin po torturach Kłódki, ponieważ ze zwykłego, używanego łóżka, wyrzuconego i przeklętego przez wyjeżdżających Azjatów, odłamałem drzazgę wielkości paznokcia. Od tego momentu nie czuję respektu dla własności innych. Nie miałem już szacunku dla „Agathy”. Moje serce nie biło już szybciej na widok jej wspaniałych wypukłości. Ze stratosfery idealizacji spadła do statusu zwykłego artykułu konsumpcyjnego masowej produkcji, ledwie odratowanego przed zniszczeniem dzięki starannemu odrestaurowaniu. Jakaś hojna dusza w Kanadzie zapłaciła za łódź, nie po to jednak, by uczynić z niej kozę ofiarną seminarzystów, między którymi się znalazła. Może było kilku chłopców wierzących, że „Agatha” jest nowiutka i że Lageau kupił ją za własne pieniądze, ale ona była starym butem, szelmowską dziwką, która swoją przeszłość ukryła pod warstwą błyszczącego makijażu.

Co to wszystko mówiło o nas, seminarzystach, i o księżach, którym mieliśmy starać się dorównać? Czy naprawdę byliśmy tylko zakalcami ze szklanymi jajami? Czy ci księża ze swymi woskowymi mordami istotnie byli zakalcami, mającymi szacunek jedynie do pieniędzy? Oto siedzieli tam lub stali, podczas gdy gruba, niebieskozielona mucha wycierała nogi o ich naiwne twarze, zakreślając na nich krzywe linie jak łyżwiarz na lodzie, składała jajeczka w ich ustach, którymi za kilka chwil będą pochłaniać swoje pożywne śniadanie, gdy my dostaniemy wodnistą papkę z robakami. Czy to dlatego zachowywali się tak cicho? Dla większości z nich nie potrafiłem już żywić respektu.

Oco, pomijając ich kolor skóry, wzbogacili kapłaństwo? Co wynaleźli? Czy poszerzyli jakoś wizję życia duchowieństwa? Czy sprzeciwiali się cierpieniom albo w ten czy inny sposób wnieśli coś do ludzkiej wiedzy? O ile mi wiadomo - nie. Kiedy otwierali usta, odbijało się im jedynie zgniłymi regułami kościelnymi, robaczywymi dogmatami i obślinionymi stereotypami, sfabrykowanymi przez świętego pancernika w Rzymie. Kontynuowali zaledwie stary, śmierdzący porządek: biali, uprzywilejowani z powodu rakiet jądrowych księża ponad czarnymi, trzęsącymi portkami wiejskimi księżmi, stojącymi z kolei ponad liżącymi im tyłki wiejskimi zakonnicami, które rządziły korzącymi się wiejskimi wiernymi: mężczyznami, kobietami i dziećmi. Oto nędzny rezultat stu lat katolickiej dyktatury, z czego dziewięćdziesiąt pięć z własnego gruntu! Co za strata czasu!

Byłem urażony reakcją Lwendo na tę sprawę. Spotkałem go przy zbiorniku z wodą. Nabierał wodę do swojej żółtej plastikowej miseczki, na dnie której leżała stara gąbka z luffy wysuszony, brudny kawałek mydła Sunlight. Ach, mydło Sunlight! Moje oczy zabłyśły, kiedy pomyślałem o czasach, gdy musiałem dla niego chodzić po wodę i zanosić ją do jego pokoju.

— Pełno tu skurwieli nie mających szacunku dla własności innych - powiedział. - Czy zdajesz sobie sprawę, ile ta łódź kosztowała?

— Jakby Czerwony zapłacił za nią z własnych pieniędzy! Wiesz, jakim rodzajem wymówek się posłużył, żeby przekonać swoich dobroczyńców? Przecież przywiozła ją tu organizacja misjonarska. Ale on się zachowuje tak, jakby sam za wszystko zapłacił. To tylko zwykła łódź, żaden jacht.

— Nieważne, co to jest, łódka czy statek wielorybiczny, należy mieć do niej szacunek. Ksiądz powinien chronić rzeczy należące do jego parafii. Dobroczynność zaczyna się w seminarium.

— Cóż za odkrywczą myśl!

— Nie musieli jej uszkadzać.

— Jakiś ty wrażliwy! A jaki wrażliwy jest Czerwony, jak kręci swoją małpią dupą! W przyszłym roku nie będzie miał na czym siedzieć.

— To co miał zrobić? Ogłosić nas świętymi?

— Miał wysledzić sprawcę i nałożyć na niego karę. A obarczanie nas kolektywnym poczuciem winy było niesprawiedliwe.

— Ale zgadzasz się przecież, że miał prawo się rozzłościć?

— Oczywiście, tak samo jak ma prawo przeklinać sabotażys - tę od prądu, który wciąż jest na wolności - odparłem ze śmiechem.

— To brzmi tak, jakbyś był po stronie tego skurwiela.

Ponownie wybuchnąłem śmiechem.

— Cóż, dzięki niemu i nam od czasu do czasu coś się dostało.

— A może to ty jesteś sabotażystą - powiedział Lwendo, szczerząc zęby. - Może powinienem powiedzieć Lageau, że złapałem jego człowieczka.

— Możesz spróbować. Chętnie usłyszę, jak będzie kłął.

— Ten śmierdziel zostanie kiedyś jeszcze złapany i wtedy pożałuje - oświadczył Lwendo.

W pewien sposób konwencjonalność Lwendo przekraczała mój rozum. Był to przecież ten sam facet, który odbierał innym rzeczy i używał ich bez pozwolenia. Ten sam gość, którego przyłapałem na pieprzeniu siostry Bizon. A teraz bronił własności ojca Lageau. Czyżby miał abonament na „władzę i siłę”? Czy może było to jedynie pewną formą konformizmu? Jego reakcja nasunęła mi przypuszczenie, że może byłem tu jedyną osobą z pełnym frustracji dzieciństwem, która czuła zagrożenie tam, gdzie nic się nie działo. Może na początku zbyt dużo spodziewałem się po ojcu Lageau i teraz odreagowywałem swoją frustrację?

Wycofałem się do biblioteki. Chciałem prześwietlić Lageau jego ego i zmiażdżyć je. Ale jakie słowo mogłem wyostrzyć choćby tak, jak strzały Dorobo? Przekleństwa się do tego celu nie nadawały - potwierdziłyby jedynie opinię Lageau o nas. W końcu doszedłem do wniosku, że do pływania po wirujących falach frustracji i gniewu najlepsza będzie ironia.

Ze sterty ministranckich ubiorów wykradłem szatę przypominającą habit, schowałem ją za kaplicą, a potem zabrałem do magazynu, w którym przechowywaliśmy stare książki. Nikt nie zauważył kradzieży. Podczas nocnych wypadów habit był najważniejszą rzeczą: było się wówczas pewnym, że Dorobo nie zacznie strzelać, nie wydamy z siebie przedtem trzech ostrzegawczych wrzasków. Wagarowicze mieli własne habity i często im się udawało, ponieważ napotkani po drodze księża brali ich za innych księży. Większość księży nie naprzykrzała się w nocy nikomu w habicie także dlatego, że kilka razy wagarowicze sypnęli im w oczy pieprzem tureckim, aby móc uciec. Ojciec Mindi trzy razy padł ofiarą tej sztuczki, choć nie oduczyło go to szpiegowania.

Zrobiłem kilka prób i uderzyłem pewnego ranka o trzeciej. „Agatha” stała w niebezpiecznym miejscu, była oświetlona ze wszystkich stron. Szansa, że zostaną przyłapani przez jakiegoś cierpiącego na bezsenność księdza lub przez stróża, była niemała. Najtrudniejszy do pokonania był odcinek korytarza wzdłuż biur położonych dwadzieścia metrów od kaplicy, siedemdziesiąt od klas, dziesięć od refektarza i trzysta od SingSing.

Noc była bardzo ciemna. Zacząłem od łazienek, przeszedłem przez budynek

Lwendo i dotarłem na tyły kaplicy, jedyne miejsce, gdzie wewnątrz migotało światelko. Ponieważ w kampusie nie było psów, szedłem dalej bez obawy, że zostanę nagle napadnięty. Gdy przeszedłem odważnie od kaplicy do korytarza, otworzyłem drzwi do oświetlonej hali i stanąwszy wewnątrz, wstrzymałem oddech. Na wprost mnie stała „Agatha” o alabastrowej skórze, która w neonowym świetle wydawała się bardzo gładka. Gdyby przyłapano mnie na pieszczotach, zostałbym natychmiast wyrzucony ze szkoły, ale nie myślałem o tym. Ocenilem szkodę: słaba, nieśmiała, pełna wahania rysa, nie żaden podły żart, jakiego się spodziewałem. Był to prawdopodobnie wyraz ciekawości - gdyby krył się za tym zły zamiar, rana byłaby o wiele głębsza i bardziej krzykliwa.

Wyciągnąłem spod habitu długi gwóźdź, wybrałem miejsce w pobliżu środka kadłuba i zabrałem się za brzuch „Agathy”, cztery zebra od góry. Dźgałem głęboko i wiele razy. Wyrycie pięciu liter i wykrzyknika zdawało się trwać całą wieczność. W rzeczywistości uporałem się z tym dość szybko. Na brzuchu „Agathy” widniało: O BOŻE! Zrobiłem kilka kroków do tyłu przez chwilę nasłuchiwałem pod drzwiami. Na odcinku korytarza do kaplicy byłem bardzo ostrożny. Wróciłem tą samą drogą, którą przyszedłem, i pospieszyłem do łazienek.

Tamtego ranka ojciec Lageau dostał swojego pierwszego ataku migreny. Czuł bezwład w części twarzy, karku i boku. Był zbyt uwikłany w pajęczynę własnej złości, by móc jeszcze myśleć. Zamknął się w swoim pokoju, żebyśmy nie mogli widzieć jego poniżenia. To była straszliwa migrena. Zbierało mu się na wymioty, a dupa piekła go od biegunki. Oczy bolały go od światła, więc położył się w ciemności. „O Boże!” - jęknął. Co za ironia! Ksiądz, który zawsze przywoził „Agathę” nad jezioro, zawiózł go do szpitala.

Lageau był wytracony z równowagi, ale nie w ciemną bity. Kilka dni później zabrał do szopy Lwendo worek używanych rzeczy, które podarowano biednym seminarzystom, oblał je naftą i przystawił do nich zapalnik. Ognisko przyciągnęło publiczność - paru chłopców i kilka zakonnice przyszło zobaczyć, co się dzieje. Lageau stał przed szopą, w miejscu, w którym stawał Lwendo, kiedy przypatrywał się, jak chłopcy walczyli węglem, i spoglądał bez słowa w ogień. Gdy zakonnice zobaczyły, co się pali, zatkały rękami usta, lecz milczały. Chłopcy stali w pełnej szacunku odległości, szepcząc coś między sobą.

Tego samego wieczoru Lageau pojawił się w refektarzu ogłosił, że złapie sprawcę, choćby ten ukrył się na Marsie.

Kiedy to powiedział, stał dwa metry od mojego stołu. Wszyscy wiedzieli, że spalił te ubrania z zemsty, i niejeden zastanawiał się, dlaczego kontynuował jeszcze ten temat, skoro wyraził już swoją złość. Nie byłem jedynym, który w swej fantazji chciał go ukamienować

kawałkami *posho*, które musieliśmy jeść.

Nauczyciel literatury, który nie uczestniczył w przełomowej Małpiej Mszy, jak ją nazwaliśmy, robił niejasne aluzje do tego zdarzenia, wykrzykując co chwila w czasie lekcji: „O Boże!”. Próbowaliśmy wyciągnąć z niego, co o tym sądzi, ale powtarzał tylko dość ironicznie: „Powstrzymuję się od komentarza. Mowa jest srebrem, a milczenie złotem. Wolę pozostać przy złocie”.

Seminarium szumiało od domysłów, kto dopiekł Lageau, robiąc te prowokujące rysy. Trzymałem się z dala od tego. Lwendo próbował porozmawiać ze mną o tym, ale nie okazałem najmniejszego zainteresowania.

Kierunek, w którym poszło badanie Lageau, napędził mi strachu. Zebrał od wszystkich wzory podpisów, mówiąc, że wprowadzi je do komputera. Poszukałem prędko w bibliotece informacji, jak wygląda komputer i jakie są jego możliwości. Staralem się dowiedzieć, jak działają różne komputery, ale niewiele mi to dało. Kaanders zauważył moje nagłe zainteresowanie komputerami i powiedział:

— O, chłopcze, chłopcze, ojciec Lageau dorwie tego nicponia.

— To skandal, co zrobili z „Agathą”, ojczy.

— O, chłopcze, chłopcze.

— Mam nadzieję, że sprawca zostanie złapany - powiedziałem, żeby go sprawdzić. - To zapewne ta sama osoba, która kradnie książki z biblioteki.

— Tak, chłopcze, pewnie tak.

Zapytałem Kaandersa, w jaki sposób można wykorzystać komputer, żeby złapać sprawcę, a on odpowiedział, że komputer potrafi wykryć podobieństwo między sposobem pisania liter. Pomyślałem, że powinienem teraz zatrzeć swoje ślady, udaremniając śledztwo Lageau.

Jak to bywa w przypadku większości dyktatur, seminarium było uwikłane w pajęczynę pogłosek i tajemnic. Kilka dni później Lwendo przyszedł mi powiedzieć, że Lageau złapał sprawcę.

— Księża mieli wczoraj zebranie, ale nie są zgodni co do tego, co zrobić ze złapanym.

— Jak go znaleźli?

— Ktoś wsunął pod jego drzwi kartkę papieru... no i prawdopodobnie pomógł komputer. Mówią, że kilka dni wcześniej widziano tego faceta w sali sypialnej. Był w habicie.

Teraz wiedziałem, że nie ja jeden nienawidziłem Lageau. Pachniało to „Rybakiem”,

jak nazywaliśmy tajemniczego osobnika wyłączającego prąd. Intrygował mnie on coraz bardziej. Podejrzywałem, że jest podobny do Łodygi, zawsze skorego do prowokowania władzy. Czy Rybak mnie widział i cieszył się teraz, mogąc dłużej podkładać Lageau świnię? Ale jeśli tak, dlaczego donosił na pewne osoby?

— Wygląda na to, że ktoś kabluje tylko pyskatech chłopaków - powiedziałem z udawaną obojętnością.

— Z Lageau jest inaczej niż z Mindim. Ale to chyba ci sami, którzy załatwili się z poprzednim skarbnikiem.

Uznałem, że szybko muszę coś zrobić. Być może oskarżony oporysowanie łodzi chłopak nie zostanie wydalony ze szkoły, na razie Lageau miał inne rzeczy na głowie.

Jednak następnego dnia odesłano tego chłopca do domu. Powiedział swoim kolegom, że zostanie z powrotem przyjęty, ponieważ jest niewinny. Nie było to zbyt prawdopodobne, bo prawie nigdy nie odwoływano wydalenia, chyba że pochodziło się z bardzo wpływowej rodziny, z powiązaniem na szczęblu biskupim, o czym w tym wypadku nie było mowy. Byłem zdecydowany wetknąć kij w mrowisko.

Tym razem skontrolowałem stróża nocnego. Spał. Zbliżyłem się do hali od strony refektarza. Podniecał mnie zapach „Agathy”. „Agatha”... Przywoływała różne obrazy, jak czarodziejka czyszcząca swoją szklaną kulę. Widziałem ją przed sobą na jeziorze i słyszałem jęczący wokół niej wiatr, zagłuszający monotonne brzęczenie silnika. Dźwięk ten zdawał się pęcznić do crescendo, wypełniać cały korytarz i wprawiać w drżenie podłogę.

Ukląknęłam jedną nogą na podłodze, gotów każdemu, kto by mnie szpiegował, zadać cios w okolice żołądka. Wyrzyłem słowo „Czerwonoskóry” pod „O Boże!”, które wciąż widniało na kadłubie łodzi. Po plecach i pod pachami spłynął mi zimny pot. Nagle podskoczyłem na równe nogi, myśląc, że ktoś klepnął mnie w ramię. Ale był to fałszywy alarm.

Kiedy się uspokoiłem, wszedłem w korytarz, pozostawiając na miejscu zardzewiały gwóźdź. Po raz drugi mi się udało! Tym razem przeszedłem przez refektarz z tyłu, za klasami. Schludne pulpity miały w sobie niemal coś boskiego. Reprezentowały własny świat, z własnymi regułami, nagrodami i karami. W oddali widziałem drzewa akacji. Byłem prawie na miejscu. Drzewa, brzęczenie owadów, las w oddali - wszystko to przypominało mi moją wieś i mokradła, góry, szkołę podstawową w Ndere, wieżę kościelną, zakonnice i wiejskiego idiotę Santo.

Nagle wyłoniły się przede mną łazienki i w tej chwili przyszły mi na myśl trzy dystrybutory na stacji benzynowej, przy których Serenity spotykał się z kumplami. Skręciłem

za rogiem ostatniego budynku i prawie wpadłem na Dorobo. Sądzę, że się uśmiechnął, bo zobaczyłem biały pasek na czarnej jak smoła kuli jego głowy. Zamarłem.

- Dzień dobry, ojce - wymamrotał.
- Dździeń dobry.

Nie mogłem sobie przypomnieć jego imienia. Chciałem go zwabić, ale jedyne, co przychodziło mi do głowy, to „Dorobo”, nazwa kenijskiego plemienia - imię, które nadali mu chłopcy dlatego, że był taki czarny. Jakież on był wysoki! Przypominał mi amerykańskich zapaśników z walk w klatkach. Czułem się, jakbym sam siedział w stalowej klatce i pośliznął się na macie poplamionej potem i krwią, i musiał starać się uciec przeciwnikowi. Jedyne, co mogłem teraz zrobić, to czekać, co ma do powiedzenia, i być może błagać go o litość. Co mógłbym zaoferować mu w zamian za łaskę? Ale Dorobo zaskoczył mnie próbką swego humoru:

- Ojcec nie spać?
- Eee, już śpię...

Korciło mnie, żeby do odpowiedzi dodać paternalistyczne „mój synu”, jednak nie odważyłem się. Mógł mnie ukarać za wagarowanie, kradzież habitu, zgwałcenie „Agathy”...

Pomyślałem o Łodydze i tamtych zwłokach: jaki on musiał czuć się ważny, kiedy pokazywał nam te ciała, jakby to były lalki! Jaki musiał czuć się potężny, kiedy pchnął głowę Wyspy w stronę brzucha tej kobiety! Może w jakiś sposób podniecało go to seksualnie. Czy nie dlatego podniósł stopą spódnicę kobiety? Cieszyłem się, że nie zobaczyłem, co było pod spodem.

- Ojcec nie spać, co? - zapytał Dorobo, śmiejąc się.

Chciałem się śmiać razem z nim, ale nie wiedziałem, co knuje.

- Tak, zbyt wiele trosk z powodu egzaminów.

Czekał mnie wielki szok, bo Dorobo powiedział po chwili:

- Dzenkuje za stucka z Agaatha, chi, chi, chiii.
- Ach...

— Dzenkuje tes za dokucenie Mindi, chi, chi, chiii - i strażnik zatrząsł się ze śmiechu.

Teraz już wiedziałem na pewno, że odplaci mi pięknym za nadobne: szantażem. Ale skoro przez cały czas o wszystkim wiedział, dlaczego czekał z tym tak długo? Żeby zebrać odpowiednią ilość dowodów, by móc wyrzucić na mnie presję? Wiedziałem już. Chciał, żebym sfalszował i ostemplował dla niego dokumenty. Prawdopodobnie chodziło mu o list polecający na papierze firmowym seminarium, podbity i podpisany przez rektora. Mogłem się

o to wystarać, choć oczywiście kosztowałyby mnie to trochę zachodu. Przypuszczałem, że znalazł lepszą pracę, ale nie chciał powiadamiać jeszcze o tym kierownictwa.

— Ty mi dziękujesz? - zapytałem, czekając na wybuch bomby.

— Tak, tak, i to bardzo. Ojciec Mindi zły. Ojciec Lago zły. Ty? Cha, cha, chaaa, ty silny. Inni chłopcy tchórz, ale ty nie.

Ponownie roześmiał się głośno, wprawiając mnie w zakłopotanie.

— Ojciec Lago pyta mnie o łódź, a ja mówię: sukam złodzieja, nie pisarza, cha, cha...

Zataczał się z uciechy, uderzał w uda i śmiał się na całe gardło.

Zacząłem się bać, że usłyszy nas jakiś cierpiący na bezsenność ksiądz i lada moment mnie dorwie.

— Jak to mądrze z twojej strony, że szukasz złodziei, a nie pisarzy! - oświadczyłem.

Nie potrafiłem się śmiać razem z nim.

— Ja tes pisarz - powiedział, wskazując na swoją potężną klatkę piersiową z wiszącym na niej kołczanem pełnym strzał. - To ja robić papier z nazwiskiem do biura Mindi

i Lago, chi, chi, chiii... - zaśmiał się znowu.

— Ty?

— Tak, do gry Dorobo.

Teraz i ja się roześmiałem, bo wreszcie pojąłem, w czym rzecz. Wśród seminarzystów była grupka chłopaków, która dokuczała temu człowiekowi, udając, że grają w grę gramatyczną.

— Wczoraj spotkałem wojownika Dorobo - mówił jeden z nich.

— Wiedziałeś, że matka ojca Mindi była Dorobo? - pytał drugi.

— Co za przypadek! Wujek biskupa też był wojownikiem Dorobo!

Właśnie tym chłopcom przypisano winę za szkodę wyrządzoną w samochodzie ojca Mindi. Żaden z nich nie wiedział, kto na nich doniósł. Okazało się, że nocny stróż wywiódł nas wszystkich w pole! Zarówno ojciec Mindi, jak i ojciec Lageau chcieli go zwolnić, ale rektor wciąż to udaremniał.

— Teraz późno, ojciec. Spać, spać - powiedział Dorobo, zaczął wydawać odgłosy chrapania i rozpląnął się w ciemnościach.

Od tego momentu przypuszczałem, że to on był Rybakiem, sabotażystą wyłączającym prąd. Rybakiem łowiącym ludzi. Pobiegłem sprintem do łazienek. Zęby dzwoniły mi jeszcze, gdy już leżałem w łóżku.

Kiedy poranek wyjawiał, że „Agathę” ponownie oszepeciono, zapanował ogólny zamęt. Rektor pokazał nam gwóźdź pozostawiony przez wandala i publicznie potępił jego czyn. Ojciec Lageau znowu dostał ataku migreny, łykał tabletki i przez cały dzień pozostał w łóżku. Padały pogroźki ze strony personelu stojącego po jego stronie, a obawiającego się, że ich samochody inne dobra również zostaną zniszczone.

„Agathę” pokryto nową warstwą farby i zaopatrzone w su - peralarm niemieckiej produkcji. Krążyły pogłoski, że Lageau zamówił do jej pilnowania psa policyjnego. Ale ja nie byłem na tyle pomyłony, żeby jeszcze raz dobierać się do „Agathy”. Pies przybył po moim wyjeździe z seminarium. Kilka lat później żołnierze rządowi poszukujący partyzantów pokroili go na kawałki i usmażyli na ruszcie.

— Alarm „Agathy” kosztuje was rok jedzenia - miał powiedzieć później Lageau.

Mogliśmy z tym żyć, bo nie spodziewaliśmy się po nim niczego innego, a nasza nadzieja na poprawę rozwiała się jak mgła. Wszyscy seminarzyści stroili sobie teraz żarty z „Agathy” psa.

— Co słyhać u „Agathy”? - zapytał ktoś przy śniadaniu.

— O, miewa się świetnie - odpowiedział inny seminarzysta.

— Kto to jest „Agatha”? - zapytał ktoś trzeci.

— Kanadyjska dziwka z żółtymi włosami - odpowiedział pierwszy.

— Gdzie spędziła noc?

— Oszukała swojego alfonsa, a ten z zemsty potraktował ją nożem.

— Co na to jej chłopak?

— Kupił jej psa policyjnego.

Mniej więcej w tym samym czasie Kłódka straciła rodziców. W chwili gdy stałem oko w oko z nocnym stróżem, gruby, ekscentrycznie naznaczony wąż afrykański został zaatakowany przepędzony przez mrówki safari, przeniósł więc swoją kwaterę na zaniebane poletko słodkich ziemniaków i zakopał się pod ziemią i rzadkim listowiem, pozostałym po upalnym lecie pierwszych zniwach. Kilka godzin później matka Kłódki obudziła męża na poranną modlitwę, różaniec i psalm, aby powitać nowy Boży dzień. To był ich chleb powszedni: robili tak już od czterdziestu lat. Uważali, że to wspaniale kierować modlitwy do Boga, który dwoje z ich dzieci wysłał do Rzymu

i Ziemi Świętej, a potem zatroszczył się, by bezpiecznie dotarły do domu. Staruszka przygotowała na ogniu w kuchni dzbanek herbaty i szybko wypila filiżankę. Męża pozostawiła w dużym pokoju, pod czujnym okiem ukrzyżowanego Jezusa i reszty Świętej Rodziny, i poszła do ogrodu. Zapowiadał się upalny dzień. Powietrze było przejrzyste i mogła

wyraźnie widzieć las w oddali. Część tego lasu wciąż jeszcze nosiła blizny niedawnej wichury. Bezbożni ludzie przypisywali winę za wichurę Mbale - mu, ale ona uważała, że to śmieszne i godne pożałowania. Ci ludzie potrzebowali fundamentu: Boga. Wichura szalała, jednak jej domowi i ogrodowi nie wyrządziła zbyt wielkich szkód. Nie wierzyła, że stało się to dzięki osłaniającemu je pagórkowi, przypisywała tę zasługę Bogu. Dla Mbalego był to wielki cios, miał z tego powodu mnóstwo długów, ale to tylko dobrze, bo musiał teraz jeszcze ciężiej pracować i jeszcze więcej się modlić. Nie było rzeczy, której Bóg nie zechciałby wykonać, jeśli tylko szczerze się Go o to poprosiło.

Pochyliła się, żeby zgrabić pozostałe na polu liście ziemniaczane, wiszące na cienkich, wężowatych łądygach. W dolnej partii pleców poczuła ostry ból. Dokuczał jej już od lat. Powierzyła go Dziewicy Marii. Przeszła przez zwiędłe krzaczki ziemniaków, zbierała liście i rzucała je na kupkę z tyłu ogrodu. Przesuwała oczyma po gołych grzędach, które przeżyły wiatr, deszcz i pierwsze wykopki, podczas których ziemniaki wygrzebywano jeszcze za pomocą kijów. Wzięła do ręki motykę, żeby przewrócić grządki, wykopać ostatnie ziemniaki i przygotować działkę pod następne zbiory. Ponownie przeszył ją ból. Biła się z myślami, czy nie poprosić jednego z wnuków, może jedno z dzieci Mbalego, żeby zamieszkało tu i pomogło jej w kilku pracach. Podniosła motykę i zaczęła kopać w ziemi kurzącej jej stopy, wybierając ziemniaki jeden po drugim. Ostatnie zbiory były przeciętne, a i te nie stanowiły wyjątku: ziemniaki były małe i włókniste.

Nagle poczuła jakieś ukłucie w prawą stopę. Nie zwróciła na nie uwagi. To na pewno jedna z czerwonych mrówek safari, które widziała w pobliżu wychodka. Kopiąc ziemię, dziękowała Bogu za dary, które rozdzielił pomiędzy członków jej rodziny: za dzieci, które wróciły do domu z błogosławieństwem papieża i ze zdjęciami, na których były uwiecznione z Ojcem Świętym - to było więcej, niż odważyła się pomyśleć. Cała ciężka praca, jaką włożyła w ich wychowanie, wzbijała się do bram niebieskich niczym obłok kadzidła. Jej własne dzieci! Dzieci, które musiały chodzić do szkoły na bosaka, którym dokuczano, bo były biedne, i których życie nie oszczędzało. Jej dzieci poleciały samolotem do Ziemi Świętej! Błogosławieństwa, jakie przywiozła Nakkazi, były znakiem, że Bóg wybaczył jej siostrze, że żyły w grzechu, buntowały się przeciw Jego woli i przynosiły wszystkim wstyd, rodząc w grzechu dzieci i wzgardzając sakramentem małżeństwa.

Drugiego ukłucia już nie poczuła: jej myśli zagłuszył ból. Przypomniała sobie wesele Nakkazi. Roilo się na nim od ludzi: członków rodziny, przyjaciół i obcych. Słyszała jeszcze stukot młotka, gdy usuwano stary dach, zastępując go nowym. Widziała pannę młodą lśniąca w słońcu, natartą masłem, które coraz głębiej wnikało w jej skórę. Pamiętała, że czuła się

trochę popędzana przez rodzinę pana młodego, i nalegała, by odrzucić oferowany przez nią transport. A w dzień wesela zepsuły się ich pojazdy i większość zaproszonych gości musiała pozostać w domu! Przypomniała sobie również, jak się martwiła, że Nakibuka będzie miał niezgodę: sposób, w jaki patrzyła na pana młodego, był niezdrowy. Ale dzięki Bogu nic się nie wydarzyło, a Nakkazi już od lat była szczęśliwą żoną i nigdy nie wyraziła ani słowa krytyki pod adresem swojej ciotki. Teraz jeden z synów Nakkazi miał zostać księdzem - co za zaszczyt! Staruszka czuła, że jej misja na ziemi została spełniona.

Trzecie ukłucie wyrwało ją z tych rozpamiętywań: było ostre, jakby spowodowane długim kolcem albo dużą igłą. Ponieważ nie chciała przerywać toku myśli, zrobiła to, co w takich okolicznościach było najbardziej naturalne: podniosła lewą stopę i nie patrząc, potarła piętą o prawą, żeby strącić czerwoną mrówkę. Ale jej stopa trafiła na coś grubego i miękkiego, coś jak zgniły ziemniak. Podskoczyła i ujrzała ogon węża wijący się jak kawałek brudnego sznurka. Postrzał stopy powiększał się pod wpływem strachu do rozmiarów dyni. Jezu, Józefie, Mario: co tu się dzieje? - pomyślała. Zaczęła krzyczeć i wybiegła z ogrodu. Wąż wciąż jeszcze był uczepiony u jej stopy. Czuła, jak jad przenika do jej krwi. Cała noga była ciężka. Kiedy znowu przyszła do siebie, zatrzymała się i wróciła po motykę. Zamachnęła się na węża i o mało nie straciła dużego palca u nogi. Widziała męża i zbliżających się sąsiadów. Kto zajmie się jej małżonkiem, gdy jej już nie będzie? Musi żyć. Sąsiedzi dotarli do niej pierwsi. Oderwali węża od jej stopy, uspokoili ją i pomagali jak mogli, ale niewiele to dało.

W drodze do szpitala, przy akompaniamencie dzikiego, wyjącego wiatru uległa jadowi.

Mąż nawet nie uczestniczył w pogrzebie. Śmierć żony obudziła zarazki malarii, które znów ruszyły do ataku, plądrując jego organizm. Po dwóch dniach syn podał mu święte sakramenty. Namaściwszy go świętym olejem, wrócił do domu, by załatwić pogrzeb matki. Kiedy oddalili się pierwsi żałobnicy, nadeszła wieść, że staruszek zmarł.

Nie uczestniczyłem w żadnym z tych pogrzebów - z powodu egzaminów pozwoliłem zmarłemu samemu się pogrzebać. Poza tym musiałem pomóc ojcu Kaandersowi przy odbieraniu seminaryjnych książek od niecierpliwych chłopców. To był gorączkowy tydzień, w ciągu którego dokuczali nam zarówno wagarowicze, jak i głód. Niektórzy ochotnicy oferowali swą pomoc, ale postępy były niewielkie. Oglądaliśmy każdą książkę, zwracając uwagę na pieczętkę seminarium i numer seryjny. Brakowało całej masy tomów, lecz niewiele mogłem na to poradzić. Kaanders nadal zapadał w sen nad książkami. Podczas nielicznych wolnych chwil, jakie miałem, sporządziłem fałszywą przepustkę, podpisałem ją i

zaopatrzyłem w pieczęć biblioteki. Polecałem siebie samego najlepszym szkołom, jakie znałem.

Lwendo zupełnie nie rozumiał, dlaczego rzucam seminarium. Następnym razem miałem go spotkać jako podporucznika w wojsku. Szalała wojna partyzancka i zwyciężyła, a jednostka, do której się zaciągnął po tym, jak go wyrzucono ze szkoły, stała się armią narodową.

Księga piąta ROK 1979

W latach siedemdziesiątych na pierwszy plan wysunęli się mężczyźni, którzy mimo swego nie najlepszego pochodzenia wzniesli się na zawrotne wyżyny władzy, zanim ich rydwany stoczyły się w przepaść. Myślę o Richardzie Nixonie, o Mao, cesarzu Bokassie i Elvisie Presleyu. Przypominali mi żółte mole, nadlatujące z ciemności i tańczące wokół dziadkowej latarni sztormowej. Oczarowane światłem krążyły dookoła szkła, nie dotykając go, i unikały śmiertelnych otworów wentylacyjnych ponad nim. Ale najodważniejsze spośród nich nie mogły oprzeć się pokusie. Były wsysane w otwory wentylacyjne i miażdżone na śmierć. Inne spalały się, zbliżywszy się za bardzo do gorącego szkła, albo padały z wycieńczenia. Całymi latami łamałem sobie głowę nad osobliwym związkiem między światłem i śmiercią.

Również moja młodość w jakiś sposób obumierała: byłem w fazie wyczołgiwania się ze swojej dawnej, lekkomyślnej i zbyt wczesnie dojrzałej skóry na nowe światło dorosłości. Poruszałem się teraz w nowym kierunku, zdążałem do nowej przejrzystości. Moje oczy zaczęły rejestrować świat i odkrywać prześwity, na które do tej pory nie reagowałem. Moje krótkotrwałe zainteresowanie Idi Aminem minęło, zduszone w zarodku rozwojem sytuacji w kraju. Miałem także wrażenie, że w mniejszym lub większym stopniu wyrosłem ze zmagania z Serenity i Kłódką. Uświadomiłem sobie, że przez cały ten czas powstrzymywałem obrzydzenie do polityki, do sposobu, w jaki załatwiano sprawy państwowe, po prostu po to, żeby bronić własnego maleńkiego terytorium. Zdzieranie starej skóry sprawiało mi ból. Byłem drażliwy, czułem się zagubiony i ograniczony. Perspektywy na przyszłość wydawały się przygnębiające. Na zmianę następowały po sobie uczucia radości i rozpacz. Drżałem na myśl, że muszę zdefiniować na nowo siebie samego. Drżałem, myśląc o konieczności konfrontacji mojego własnego światka z wielkim światem zewnętrznym. Przez długi czas myślałem, że pędzę za fatamorganą.

Podczas wakacji zawsze miałem wrażenie, że przebywając w seminarium, byliśmy zamknięci w zaklętym kręgu albo w ogrodzonym kraalu. Świat zewnętrzny był cierpkim, bezkształtnym, skomplikowanym chaosem, w którym utrzymać się mogli jedynie najsilniejsi.

Reguły, według których wszystko się kręciło, należało sobie przyswoić, posługując się inteligentną obserwacją i intuicją - czyli właśnie tym, czego w seminarium nie rozwijano. Po miesiącach wyobcowania i ślepego wykonywania poleceń człowiek z uczuciem mdłości wracał od wyobcowania i niemocy do świata bezlitosnych twardzieli. Ojcowie nazywali ten świat, jaskinią lwa” i dla większości rzeczywiście nią był, ale oprócz niebezpieczeństw oferował również prawdziwie podniecające możliwości poznawcze. Było to miejsce, w którym można było zgłębiać swoje własne uczucia i myśli ile dusza zapragnie, ponieważ odgrywało się w nim zupełnie inną rolę niż w przeżutej zawczasu sztuce teatralnej w seminarium. Świat zewnętrzny był twardą jak kamień szkołą, ale pod stertami plew leżały bezcenne ziarna, niezbędne do pieczenia chleba życia.

Szkolne wakacje spędzałem zawsze u ciotki Lwandeki. Despoci wypędzili mnie do jej domu po odegranym przeze mnie incydencie seksualnym z Lusanani. Podobnie jak wszyscy inni seminarzyści, zawsze z utęsknieniem wyczekiwałem wakacji. Ale pod koniec każdego semestru musiałem zbierać wszystkie książki biblioteczne i przyjeżdżałem zawsze śmiertelnie zmęczony. Przez pierwszych kilka dni wakacji trwałem w błogim wyobcowaniu; starałem się znowu mocno stanąć stopami na ziemi i wrócić do sił. Byłem jak turysta przybywający w środku sezonu i odjeżdżający natychmiast po zaspokojeniu wszystkich swoich zachcianek. Rozkoszowałem się anonimowością życia w kurczącym się przemysłowym miasteczku z długą przeszłością i niepewną przyszłością. Rozkoszowałem się obserwacją ludzi, tak innych od tych, z którymi stykałem się w seminarium. Ich opowieści fascynowały mnie. Czerpałem wielką przyjemność z uczucia, że chwilowo stanowią część tej potępionej grupy i razem z nią smakuję Sodomy i Gomory, nie narażając się na ryzyko wspólnej zagłady. Przypominałem sobie opisy życia w mieście, jakich dostarczał nam wujek Kawayida. Uzupełniałem je nowinami o ostatnich dokonaniach Amina: huśtawce cen, korupcji, mordach, pokazach siły militarnej, gwałtach, zdradzie, odwadze, miłości... i starałem się uformować z tego jakąś całość. Opychałem się nimi jak niedźwiedź przygotowujący się do zimy.

Zacząłem też sobie uświadamiać, jak silne było działanie jadu, który przeniknął do serca seminaryjnego systemu. Praca, którą ojcowie wykonywali w seminarium, ich zapewnienia, że nasze powołanie jest czymś niezwykłym i że jesteśmy zupełnie inni niż mieszkańcy pozostałej części świata, przynosiły teraz rezultaty. Nie było łatwo uczestniczyć w tym, co się wokół rozgrywało. Otaczająca nas rzeczywistość była otwartą puszką Pandory. Wybryki Amina przywodziły na myśl film rysunkowy. Martwi, znaleźieni w puszczy ludzie byli bohaterami grającymi jedynie martwych. Niedobór podstawowych środków do życia i ogólny niedostatek były przejściowymi zjawiskami i miały zniknąć wraz z końcem filmu.

Rezygnacja nabrała heroicznego blasku, a narastająca groza apokaliptycznego wydzwiewku. Były to ostatnie krople potrzebne do tego, żeby przebrała się miara przed przyjściem zbawiciela. Choć to spaczone spojrzenie na świat było wynikiem samoobrony, wiele wymagało od tych, którzy tak właśnie to widzieli. Ale nie byłem pierwszym ani ostatnim seminarzystą uginającym się pod zbyt dużym ciężarem.

Traktowałem ciotkę Lwandekę jak puzzle, jak osobę, która rozsypała się na części i którą musiałem z powrotem poskładać na planszy naszych surrealistycznych czasów, w których wiele rzeczy nie było tym, czym się wydawało. Nie podano mi żadnych szczegółów na temat jej uprowadzenia, uwięzienia ani uwolnienia. Od czasu do czasu wspominała, że wepchnięto ją do samochodu, a potem przesłuchiowano, grozono jej i w końcu pozwano przed sąd. W rozmowach ze mną nie wychodziła poza ten ogólny zarys. Ciotce Kasawo, Kłódce i innym doros - tym opowiedziała o wszystkich szczegółach. Ja również chciałem należeć do tego ekskluzywnego klubu. Skoro nie mogłem zaspokoić ciekawości informacjami z pierwszej ręki, musiałem poszukać innych źródeł. Ułożenie kawałków puzzli na swoim miejscu zajęło mi prawie dwa lata szkolne.

Na początku wakacji zawsze miałem nadzieję, że znajdę jakiś nowy dowód, niejasną pogłoskę albo historyjkę, która wniesie coś nowego. Moim najważniejszym znaleziskiem był zapisek, sporządzony przez ciotkę Lwandekę grubymi, dziewczęcymi literami na kartce wyrwanej z zeszytu jednego z jej trojga dzieci. Znalazłem go w maleńkiej Biblii na dnie kufra. Było tam napisane:

7j3j73 aleszt. balak. przesłuch, kobla. duży czł. nóż. kaplał. wolność.

Kiedy zobaczyłam tę notatkę po raz pierwszy, wybuchnąłem śmiechem. Jeszcze nigdy nie widziałem tak dziecinnego pisma. Moja klasa miałaby z tego ubaw przez kilka dni, a Łodyga z pewnością zwyzywałby autorkę od najgorszych. Była to jednak moja ciotka ze strony matki, wiejska dziewczyna, która sprzeciwiła się surowym, katolickim rodzicom i odmówiła ukończenia szkoły. Jakże wspaniale byłoby, gdyby prowadziła dziennik, opisując wszystkie soczyste szczegóły! Ale ona, podobnie jak inne wiejskie dziewczęta, nie prowadziła kroniki swego życia. Zrobiła tę notatkę, żeby pomóc swojej pamięci, a ja miałem świadomość, że już samo podjęcie tej decyzji musiało nastreczyć jej wielu kłopotów. Jej infantylna pisanina obudziła we mnie nagle wobec niej opiekuńcze uczucia. Poczuliśmy się z nią mocno związani, ponieważ znałem jej tajemnicę, jej czułe miejsce. Miałem także wrażenie, że jestem w stanie ją uratować.

Do ogólnego zarysu, jaki już miałem, dodałem nowe fakty. Wiedziałem teraz, że została aresztowana 7 marca i że zabrano ją do baraku, w którym była przesłuchiwana przez

dużego człowieka z nożem. Duży człowiek odesłał ją potem do swego zwierzchnika, który zdecydował o dalszym przebiegu zdarzeń. Musiała stawić się przed sądem, jednak ostatecznie została zwolniona. Ale kim był Kobla? Czy „kobla” to anagram? Jeśli tak, czy był to obcy, czy też ktoś znajomy? Czy był „dużym człowiekiem”, czyjego zwierzchnikiem? A może nie był żadnym z nich, tylko Niemką, która napisała do ciotki ten nieszczęsny list, przyczynę wszystkich kłopotów. Pokusa, by mimochodem wymienić imię „Kobla” i zobaczyć reakcję ciotki, była wielka.

Opanowałem się jednak. Nie chciałem stawiać siebie samego w złym świetle.

Kiedy wreszcie dotarło do mnie, że „kobla” nie jest osobą, ale gadem, byłem zły, że ciotka nie opowiedziała mi o tym, co przeżyła. Wiedziałem, że śmiertelnie bała się węży, chciałem jednak wiedzieć dlaczego. Czy ten łajdak zmuszał ją dojedzenia surowego mięsa kobry? Albo do pieprzenia się z kobrą? Co to wszystko oznaczało? Czułem, że ciotka skrywała przede mną tajemnicę najwyższej wagi.

Po uwolnieniu ciotka Lwandeka zajęła się polityką. Coś się w niej zmieniło w ciągu tych paru tygodni, gdy stała oko w oko ze śmiercią. Można by powiedzieć, że jad węża uderzył jej do głowy. Jej pismo pozostało może dziecinne, jednak dziewczęcy okres jej życia minął. Przed aresztowaniem jej zaangażowanie w politykę było minimalne, ale w połowie lat siedemdziesiątych, kiedy działalność partyzantki z Tanzanii nasiliła się, przeżyło pełny rozkwit. Stopniowo mi o tym opowiadała. Została członkiem Narodowego Ruchu Reform, NRR. Była to mała organizacja, stanowiąca część ruchu partyzanckiego w Tanzanii. Zadaniem NRR było przeprowadzanie niewielkich operacji antyrządowych, takich jak niszczenie węzłów elektrycznych, wysadzanie mostów, napadanie na barykady wojskowe i sabotowanie rządowych planów.

Z tej odrobiny wiadomości, jaką z niej wycisnąłem, wywnioskowałem, że jej rola polegała na przekazywaniu informacji o manewrach miejscowych oddziałów, blokadach dróg i miejscach pobytu kluczowych figur. Należała również do grupy udzielającej schronienia partyzantom z NRR, zaopatrującej ich w dokumenty podróży, zwolnienia od podatku, karty identyfikacyjne i tym podobne. Oczywiście było to igranie z ogniem. Gdyby ponownie wpadła w ręce ludzi Amina, już by jej nie wypuścili: tym razem z pewnością zgwałciliby ją, torturowali, a być może zamordowali lub posunęli się tak daleko, że sama błagałaby, by ukrócili jej męki. Ja w każdym razie wiedziałem na pewno, że ten poprzedni raz, gdy o trzeciej w nocy wepchnięto ją do bagażnika, będzie się zdawał wybrykiem urwisów w porównaniu z tym, co może ją spotkać teraz. Już od dawna nie było żadną tajemnicą, że Biuro Bezpieczeństwa Państwowego, wojskowa służba bezpieczeństwa oraz inne tajne służby

śmiertelnie obawiały się tego, co wykluwało się w Tanzanii. Ciotka wiedziała, do czego są zdolni żołnierze Amina, ale drwiła sobie z nich. Pokonała już ostatni most: strach przed śmiercią. Z tego powodu nie zawsze czułem się bezpiecznie. W seminarium uczyliśmy się, że wszelka władza pochodzi od Boga: nie wierzyłem w to, ale równocześnie myślałem, że coś z tego jest jednak prawdą. Puzzle, które układałem, wydawały się mieć czasem diabelskie kształty. Wcale mi się to nie podobało.

Za pierwszym razem, kiedy ciotka popadła w kłopoty i Kłódka na całe cztery dni musiała opuścić dom, a mnie przyszło opiekować się gówniarzami i znalazłem się wreszcie w posiadaniu bębena, było to następstwem listu pewnej Niemki. Doktor Wagner przyjechała do Ugandy z zamiarem otwarcia własnej praktyki. Aby się zaaklimatyzować, pracowała na początku w katolickim szpitalu i w tym czasie spotkała ciotkę, która zaczęła pomagać jej w pracach domowych. Wkrótce doktor Wagner, pod wrażeniem zapału ciotki do nauki, postanowiła posłać ją z powrotem do szkoły, żeby poprawiła swój angielski i mogła kształcić się dalej. Ciotka była bardzo entuzjastycznie nastawiona do tego planu, a przebywanie z uczoną osobą jeszcze bardziej ją motywowało. Podziwiała doktor Wagner i łatwo się z nią dogadywała, ponieważ Niemka wyraźnie dawała jej do zrozumienia, co wolno, a co nie, i ponieważ wszystko następowało o ustalonej porze i w ustalonym porządku.

Doktor Wagner nie przejęła się za bardzo puczem z 1971 roku: wiedziała, że lekarze zawsze są potrzebni, bez względu na panujące rządy. Była zaniepokojona exodusem Azjatów, ale nie zbiło jej to z tropu, przeciwnie, umocniło ją jeszcze w jej zdecydowaniu: jej teren pracy znacznie się powiększył, bo wszyscy pacjenci, których wcześniej leczyli lekarze azjatyccy, trafili teraz pod jej opiekę. Próby reformowania gospodarki jeszcze bardziej ją osłabiły, ale szpital misyjny, w którym doktor Wagner wciąż jeszcze pracowała, istniał od początku wieku, nie obawiała się więc o swą pracę, choć zaczęła wątpić w możliwość założenia własnej praktyki. Wtedy miecz Amina spadł na Brytyjczyków, Amerykanów i Niemców. Doktor Wagner pozwolono pozostać, lecz sytuacja pogarszała się z dnia na dzień. Skradziono dwie szpitalne karetki. Członkowie personelu znikali i nie chcieli mówić, gdzie byli. Niemiecka lekarka uważała, że ktoś w rządzie znęca się nad katolickim szpitalem, ponieważ arcybiskup wypowiedział się krytycznie o reżimie Amina. Szpital podjął pewne kroki i zatrudnił ochronę; poza tym doradzono personelowi nie wychodzić wieczorem, a po zapadnięciu godziny policyjnej nie otwierać nikomu drzwi. Doktor Wagner sądziła, że ma jeszcze szansę. Nie zamierzała jeszcze wracać do Niemiec. Jej matka niedawno zmarła na raka, a ona sama była z tego powodu zbyt rozbita, by wracać. Wtedy powiadomiono ją, że musi co miesiąc przedłużać pozwolenie na pracę. Poczula pismo nosem. Zaczęła zastanawiać

się nad wyjazdem do sąsiedniej Kenii, ale podczas tych kilku razy, gdy była tam na wakacjach, nie przypadł jej do gustu panujący tam klimat rasowy. Kiedy zupełnie niespodziewanie przekazano jej, że w ciągu dwudziestu czterech godzin ma opuścić Ugandę, oburzona odleciała do Niemiec.

Kilkakrotnie przepisywała list, który zamierzała wysłać do swojej byłej gospodyni, aby rozcieńczyć zawarty w nim jad, nie zamierzała jednak wykreślać pewnych fragmentów: „Żołnierze na lotnisku ukradli mi pieniądze. Chcieli mi również zabrać zegarek, ale go im nie dałam. Powiedziałam, żeby poprosili generała Amina o podwyższenie im żołdu, jeżeli uważają, że nie zarabiają wystarczająco dużo terroryzowaniem ludzi. Jeden z nich próbował uderzyć mnie kolbą karabinu, ale jego kolega udaremnił mu to. Zastanawiam się, jak możesz wytrzymać w takim otoczeniu. Zostałaś z tym teraz zupełnie sama. Pracuj wytrwale nad swoim wykształceniem i postaraj się zdobyć dyplom. Informuj mnie o tym, co robisz i co się dzieje w kraju; jeśli to będzie coś ważnego, roześlę twoje listy wśród znajomych i zainteresowanych. Dbaj o siebie i zapamiętaj: ugandyjscy żołnierze są bardzo niebezpieczni...”.

Otwieranie zagranicznej korespondencji było na porządku dziennym i urzędnicy pocztowi, chcąc się wkraść w łaski swoich zwierzchników, rzucili się na list doktor Wagner jak stado wygłodniałych lwic na potężnego bawołu. W ciągu jednego dnia dopadli ciotkę. Była w szpitalu Nsambya, pod adresem, pod który wysłano list. Wtargnęli do pomieszczenia pracowników niższej rangi, wywlekli ją z łóżka, wepchnęli do bagażnika samochodu i odjechali do położonych dwa kilometry dalej baraków w Makindye, gdzie ich zakwaterowano.

Ciotka Lwandeka przeżywała wszystkie pogroźki, tak jak je podawano. Była świadoma tego, że jest ważnym przypadkiem i że najprawdopodobniej postawią ją przed sądem jako przykład niemieckiej infiltracji, szpiegostwa i kampanii oszczerstw. Miało to potwierdzać opinię, że misjonarze, lekarze i inni ludzie w służbie Kościoła szpiegowali dla zagranicznych rządów. Ci, którzy pojмали ciotkę, chcieli wymusić na niej zeznanie, nie pozostawiając widocznych śladów na jej ciele z uwagi na to, że miała się stawić przed sądem. Żadnego zeznania jednak nie wymusili. Nastrój zrobił się nad wyraz zapalny. Z kobietami szło im zwykle szybko, ale ciotka nie puszczała pary z ust. Przeżywała ich wyzwiska i groźby ze spokojnym, niemal nieobecnyim spojrzeniem. „Duży człowiek” kazał swoim ludziom przywiązać ją do stołu, wyciągnął nóż i groził jej nim. Bez powodzenia. Potem wyciągnął z blaszanej puszką plującą kobrę. Przystawił ją do jej stóp i gad pokąsał ją kilkakrotnie. Zupełnie wytrąciło ją to z równowagi. Zachowała przytomność tylko dzięki sile woli,

uczepiwszy się wiary, że jadowite zęby kobry zostały spiłowane, a jad wyciśnięty. Zaczęła krzyczeć ze strachu, a mężczyźni śmiali się i głaskali ją arogancko po twarzy. Wąż kąsał ją wciąż na nowo, ale ciotka zebrała się w sobie i wytrzymała. Wtedy rozwścieczony „duży człowiek” złapał gada i przez dekolt wsadził jej pod ubranie. Zaczęła wrzeszczeć i szarpać za sznury, lecz mężczyźni tylko się śmiali i poklepywali nawzajem po plecach. Kręcąc się w kółko, wołali: „Amin, ojee, o jeee! Amin ju, juuu!”. W pewnym momencie ciotka pomyślała, że zemdleje. Gad wił się i miała wrażenie, jakby przenikał do samej głębi jej ciała, żeby swym jadem uśmiercić ją i jej przyszłe dzieci. Ale wszystkie okropności mają swój koniec i brutalnie też o tym wiedzieli. Mężczyzna wreszcie uwolnił ją od węża. Przedtem jednak jeszcze raz pchnął go jej w twarz, mówiąc, że ma odpowiedzieć na następujące pytania: jak nazywa się organizacja szpiegowska, dla której pracuje doktor Wagner? Jakich szpiegów rekrutuje? Jaki rodzaj militarnego ataku przygotowuje jej grupa? Czy miała coś wspólnego z nieudaną akcją partyzancką z 1972 roku? Jakiego rodzaju tajne informacje przesyłała tej Niemce? Kto jeszcze z pracowników szpitala szpiegował? I jak długo istnieje już ta szpiegowska grupa?

Ciotka odmawiała odpowiedzi. Przystawili jej nóż blisko twarzy, ale zacisnęła mocno szczęki. Wiedziała, że nie będą się nad nią więcej znęcać, i zaczęła się zastanawiać, kiedy ich zaskoczyć. Gdy wyczuła, że chwila jest odpowiednia, powiedziała, że chce porozmawiać z brygadierem, i to natychmiast.

Co ona sobie do cholery wyobrażała, że kim jest? Sądziła, że kogo do cholery ma przed sobą? Myślała, że kim do cholery jest brygadier?

Ale ona wciąż powtarzała, że pracowała dla brygadiera. Że zwabiła w pułapkę dysydentów i zagranicznych szpiegów.

Dlaczego, na Boga, nie powiedziała tego wcześniej? Badający ją mężczyźni poczuli zakłopotanie, ogarnęły ich wątpliwości. Jeżeli chciało się pozostać w tajnych służbach, o czym bardzo dobrze wiedział „duży człowiek” i jego kamraci, nie wolno było deptać po palcach wysoko postawionym figurom. Choćby nie wiadomo jak bardzo ów człowiek chciał dać mojej ciotce nauczkę, wiedział, że posuwając się dalej, wykopie własny grób, jeśli prawdą było to, co mówiła. Właśnie to stało się ratunkiem ciotki Lwandeki. Nawet gdyby podjęcie akcji zajęło brygadierowi trochę czasu, wiedziała, że jej prześladowcy na razie zostawią ją w spokoju.

Brygadier wydał rozkaz doprowadzenia jej przed sąd, gdzie pojawiła się w szerokiej, długiej sukience w kwiatki, zakrywającej ślady po ukąszeniach. Sprawa została jednak zamknięta i zatuszowana. List doktor Wagner również zniknął. Sędzia był zły, ponieważ zmarnowano jego czas. Kiedy po czternastu dniach ogłoszono oddalenie sprawy, z pomocą

pieniędzy Klódki bracia i siostry ciotki zapłacili okup łajdakom, którzy ją pojмали, żeby nie kontynuowali „badania”. Tydzień później ciotkę wypuszczono. Natomiast brygadier uciekł do Tanzanii, gdzie przyłączył się do zbiegów i rebeliantów.

Klódka i Kasawo wciąż wykorzystywały ten incydent, próbując przekonać Lwandekę, że nie powinna zajmować się polityką ani dysydentami. Sama będąc ofiarą zamachu, Kasawo była zdania, że jest wiarygodnym ekspertem od znoszenia trudnych chwil, i oczekiwała od młodszej siostry, że weźmie sobie do serca jej upomnienia i dobre rady. Kasawo była poza tym przekonana, że mieszanie się Lwandeki w politykę miało jej rekompensować fakt, że nigdy nie znalazła odpowiedniego mężczyzny, za którego mogłaby wyjść za mąż i założyć rodzinę.

Jako posłuszna młodsza siostra, która dopiero co umknęła śmierci, ciotka Lwandeka nie broniła swej pozycji i okazała szacunek, jakiego oczekiwały od niej starsze siostry. Pozwoliła im gadać, ile chciały.

— Tak bardzo się o ciebie niepokoiłyśmy. Tak bardzo się bałyśmy, że stanie się coś okropnego - zrzędziła Klódka. - Czy ty nie masz serca? Bo chyba inaczej nie przyszłoby ci do głowy ciągać nas teraz przez pokrzywy, mówiąc, że nie możesz zostawić polityki.

— Poszukaj mężczyzny, wyjdź za niego i załóż rodzinę - mówiła z uśmiechem Kasawo. - A jeśli mało ci będzie własnych dzieci, zawsze możesz się zatroszczyć o sieroty.

— Nie powinnaś więcej pisać listów do zagranicznych szpiegów, siostró - oświadczyła ze złością Klódka. - Co ta Niemka może teraz dla ciebie zrobić? Przez cały czas, kiedy tu była, wykorzystywała cię: zmuszała cię do prania swoich majtek i ręczników. Mało ci tego było? Teraz wróciła do swojego kraju, a ty możesz uschnąć. Ona nawet nie wie, co przeżyłaś. I nic jej to nie obchodzi. Nie pojmujesz tego?

— Słuchaj słów starszej siostry - powiedziała Kasawo, która całą swą uwagę skupiła na ciotce Lwandece.

— Wiem, że jesteś mądra, ale jesteś też naiwna. Odkąd zrezygnowałaś z wiary i przestałaś się modlić, coraz gorzej ci się powodzi - perorowała coraz głośniejszą Klódka, lecz na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Przypominała mówiący posąg.

— Pierwszy wykształcony człowiek, jaki pojawił się na scenie, zażartował sobie z nas, a ciebie zostawił na lodzie, żeby ożenić się z kobietą bardziej wykształconą. Co zrobił od tej pory dla ciebie i swojego syna? Co inni mężczyźni zrobili dla ciebie i twoich dzieci? Namordowałaś się dla nich, jakby to były sieroty. A teraz romansujesz z politykami, którzy cię zostawią, jak tylko zrobisz to, czego chcą. Przestań ufać ludziom, zainwestuj swoje zaufanie w tego, kto nigdy cię nie opuści: w Boga.

Ciotka w milczeniu przyjęła reprimendę. Spoglądała na siostry bojaźliwie, ale gdy tylko się ich pozbyła, nadal robiła swoje. Nie było dla niej odwrotu. Zastanawiała się nad wyjazdem do Tanzanii i przyłączeniem się do rebeliantów z NRR. Trójkę dzieci mogła zostawić ich ojcom. Kilka razy kontaktowała się w tej kwestii z brygadierem. Chciał, żeby przyjechała do Tanzanii, bo potrzebna im była wszelka pomoc, jaką mogli otrzymać. Pewien bliski znajomy wziął ją któregoś dnia na stronę i ostrzegł, by nie stawiała wszystkiego na jedną kartę. Zapytał ją, co wie o walce partyzanckiej. Pytał, czy wie, jak długo te walki jeszcze potrwać i czy jest pewna, że NRR będzie mieć duży udział we władzy, kiedy się skończą. Pytał, czy jest pewna, że po zakończeniu walk dostanie dobrą pracę. Pytał, czy wierzy, że wszystkie frakcje partyzanckie, zjednoczone w luźny sposób w walce przeciw Aminowi, nadal pozostaną zjednoczone po zrzuceniu go z tronu. Pytał, czy na pewno chce narażać swoje życie, jakby istniała inna alternatywa. Na koniec poprosił, by sporządziła testament i przekazała mu go.

To otrzeźwiło ciotkę Lwandekę. Zrozumiała, że lepiej jest dalej walczyć od wewnątrz, przekazywać informacje NRR i udzielać schronienia ich członkom do czasu wypełnienia przez nich zadania. Okazało się to o wiele bardziej zadowalającym rozwiązaniem. Jej życie nie zostało postawione na głowie. Nie musiała opuszczać dzieci. Dawało jej to szansę trzymania we własnych rękach sznurków swego życia.

Po nieobecnych twarzach despotów ulgą było przebywanie w pobliżu kogoś z twarzą pełną życia. Ciotka Lwandeka miała bardzo ekspresywne oblicze i można z niego było wyczytać wszystkie emocje. Potrafiła się uśmiechać, wybuchać śmiechem i płakać. Jej twarz potrafiła także w wymowny sposób wyrażać powagę, nieustępliwość i złość. Szokiem dla mnie było odkrycie, że kobieta wywodząca się z tej samej katolickiej, chłopskiej rodziny co Kłódka mogła być tak odmienna. Zagadywała ciepłym głosem, kiedy się rano wstawało, rozmawiała z tobą w ciągu dnia, a wieczorem pytała, jak ci minął dzień. Bawiła się z dziećmi i interesowały ją ich problemy. Opowiadała im zwariowane historyjki i śpiewała wesołe piosenki. Troszczyła się, żeby były zadowolone, ale wymagała również pewnej dyscypliny.

Sama kąpała wszystkie swoje dzieci, szorowała im plecy i starannie badała stopy. Trzymała je w swoich ramionach i pozwalała im na siebie wymiotować i robić kupy, kiedy były chore. Gdy miały odrę i szczypały je oczy albo gdy odmawiały jedzenia i płakały bez ustanku, próbowała je uspokoić słodkimi słówkami i pocieszała drobnymi prezencikami. Okazywała dzieciom dużo cierpliwości, nawet kiedy sama była zmęczona.

Obciążony dziedzictwem Kłódki, podjąłem walkę, by uchronić dzieci ciotki przed tym, co w moich oczach uchodziło za niewłaściwe. Pilnowałem, żeby odrabiały zadania.

Wbijalem im do glowy tabliczke mnozenia. Zadawalem im cwiczenia ortograficzne. Kazalem im zmywac i spieszyc sie, gdy musiały pójsć za potrzeba. Doradzałem ciotce, żeby była dla nich surowa, mając przy tym na myśli, że mając bić i nie dopuścić do tego, by były wobec niej aroganckie. Mówiłem, że powinna oduczyć je wymyślenia wymówek, kiedy coś zbroją. Chciałem, żeby stały się uległe, posłuszne i żeby można było na nich polegać. Chciałem, żeby przestały grać w piłkę, żeby nie rzucały rzeczami, nie targały papieru i nie biegały. Wydawało mi się, że zabawa prowadzi do niedbałości, na którą nie było miejsca na liście cnót.

Wziąłem na siebie zadanie ojcowania tym pozbawionym prawdziwych ojców bastardom, które miały tylko wspólną matkę. Gdzie się podziewali ich biologiczni ojcowie? I czy ciotka nie była czymś w rodzaju dziwki? Czy biblijni Żydzi nie ukamienowaliby jej? Słowo „dziwka” podniecało mnie. Dziwka! Przypomniało mi gołe zdjęcia Łodygi, zdjęcia kobiet z rozdziawionymi wargami sromowymi i wyzywającymi spojrzeniami. Ciotka robi to z wieloma mężczyznami, pomyślałem. Ta myśl podnieciła mnie w przyjemny sposób, ale i rozżłościła. Odczuwałem wstręt, widząc ją rozmawiającą z jakimś mężczyzną. Robiło mi się niedobrze, kiedy rozmawiała z przyjacielem i gdy widziałem, jak na niego reagowała. Jako „mężczyzna w domu”, „tatuś” dzieciom i szef numer dwa, czułem się urażony i odsunięty w cień.

Nie byłoby to takie straszne, gdyby ciotka była brzydka, gruba i podła. Ale ona była bardzo ładna, elegancka i miła. Bardzo przypominała mi Lusanani. Kiedy się uśmiechała, jej wargi nie odsłaniały w okrutny sposób dziąseł, zatrzymywały się dokładnie przy górnej krawędzi zębów w sposób opanowany, niemal świadomy. Chciałem widzieć ją wiecznie uśmiechniętą. Jej uśmiech był tym, co w jej twarzy najbardziej lubiłem, o czym stale myślałem, kiedy fala odwracała się przeciw niej, wybijając dziury w jej starych marzeniach.

Wściekałem się, widząc ją z jej przyjacielem. Chciałem, żeby przejechał go samochód. Ten człowiek miał własny dom, w sporej odległości od domu ciotki. Kiedy przychodził, zawsze przynosił coś smacznego i bardzo starał się być dla niej miły, ale ja nie chciałem mieć z nim nic do czynienia. Życzyłem mu, żeby został impotentem, bo wiedziałem, że ugłaskawszy ciotkę prezentami, kładł się na niej, wsadzał w nią swego kutasa i wydobywał z niej głupie odgłosiki. Widziałem w myślach, jak zapuszcza palce we wszystkie jej otwory i popycha z całej siły. Ogarniała mnie bezsilna złość, przez którą cierpią uczciwi ludzie, znalazłszy się w kompromitującej sytuacji.

Z powodu jego obecności czułem się zagrożony i ponizony. Ten mężczyzna mógłby ojcować ojcom trzech małych bastardzi - ków. Męczyło mnie, że musiałem powstrzymywać swoją agresję, gdy był w pobliżu. Chciałem, żeby to on był tym, który powinien się

powstrzymywać, który by czuł się niepewnie, i wątpił w poczucie własnej wartości. Chciałem, żeby spadł ze swego postumentu i połamał sobie gnaty, a jeśli nie, to chętnie bym go z niego zepchnął. Aby przyłapać go ze spuszczoneymi spodniami, zacząłem podglądać ich przez dziurkę od klucza. Był to czas, gdy te okruczności informacji, jakie zdobyłem w bibliotece, zaczynały ożywać. Przykładałem ucho do dziurki, mając nadzieję wyłapać roznamiętione szepty, dyszące westchnienia i ostre postękiwania. Chciałem porównać proste, suche, skuteczne odgłosy wydawane przez siostrę Bizon i śpiewne pienia Lusanani z nieznanym repertuarem ciotki. Popadłem w poważne zakłopotanie, zostawszy nagrodzonym tym czy innym dźwiękiem. Mój celibat był zagrożony. Jeśli to właśnie był sposób, w jaki seminarzysta zdobywał życiowe doświadczenia, nie grzesząc i nie łamiąc zasad celibatu, to chyba znajdowałem się na tonącym statku. Czułem, jak łąpię powietrze i tonę. W końcu przestałem podsluchiwać, zadowolony, że nigdy mnie nie nakryli.

Kiedy przyjaciel ciotki zostawał na noc, Lwandeka zawsze promieniała i była w swej serdeczności niemal przeprasająca. Fantazjowałem na temat dnia, w którym Jezus spał w łodzi, gdy zerwał się sztorm. Po tym całym nocnym waleniu, pompowaniu i stękanii sztorm zdawał się ustawać. Sam Sztormstoper wyglądał zawsze nonszalancko, jakby zaledwie zatłukł muchę. Ciotka dużo starań poświęcała wtedy przygotowaniu śniadania, jakby chciała się wszystkim przypodobać. Na posiłek padał cień dziwnego zażenowania. Jakby nastąpiło coś dziwnego, a każdy wiedział, kto jest sprawcą, ale z powodu sprzeczności interesów nie mógł o tym mówić. Ciotka wyglądała jak ktoś, kto żongluje różnymi czapkami. Po posiłku zmieniała się z kochanki i matki w funkcjonariuszkę NRR, nadzorczynię na targu, gorzelnika i kościelną wolontariuszkę. Nie posiadałem się z radości, gdy pan Sztormstoper wychodził.

Byłem w stanie akceptować wszystkie czapki, jakie ciotka zakładała, poza czapką kościelnej wolontariuszki. Jej nagłe pojednanie z Kościołem wydawało się dość dziwne na tle stawianego w młodości oporu oraz jej niezależnego życia jako dorosłej kobiety. Wyglądało to na wyrachowaną decyzję, mającą na celu fuzję fragmentów jej przeszłości z obecnym życiem. Co niedziela chodziła do kościoła i była członkiem katolickiego stowarzyszenia kobiet. Nie przyszło mi w tym czasie do głowy, że kręciła się po kościele, żeby zbierać informacje dla partyzantów, ponieważ duża część katolików stała po ich stronie.

W ciągu tygodnia wiele czasu pochłaniała jej praca nadzorczym na targu. Rozwiązując konflikty, rozpatrując podania stragany, pobierając opłaty za miejsca i utrzymując kontakty z miejscowymi urzędnikami rządowymi, wykonywała także polecenia NRR. Przekazywała informacje innym łącznikom, partyzantom przebranych za klientów, potencjalnych odbiorców osoby szukające wsparcia. Poza tym raz w miesiącu pędziła wódkę

w domu swojego znajomego w podmiejskiej dzielnicy. Było to ryzykowne przedsięwzięcie i bardzo przeszkadzała mi jego przyziemność. Porównywałem je z intrologatorią ojca Kaandersa i budziło to we mnie odrazę. Dlaczego ciotka podejmowała takie ryzyko? Czy nie знаła innego sposobu na uzupełnianie swoich dochodów? Mogłem pogodzić się z tym dopiero owiele później, po zderzeniu z żołnierską Diabelską Trójcą.

Tymczasem wszystko szło w miarę dobrze. Cieszyłem się wakacjami i tylko od czasu do czasu niepokoiłem się, gdy ciotka późno wracała do domu. Wtedy przez głowę przebiegały mi różne myśli. Czy miała pecha? Czy złapała ją służba bezpieczeństwa? Ale Lwandeka za każdym razem wracała i przepraszała, że kazała mi na siebie zbyt długo czekać.

Jednak moje życzenie spełniło się. Podczas szkolnych wakacji jej przyjaciel przestał przychodzić do niej na noc. Zepchnąłem go z jego postumentu. Było mi wszystko jedno, jak często ciotka chodzi do niego, jeśli tylko on trzymał się ode mnie z daleka.

W czasie drugich wakacji zobaczyłem zdjęcie słynnego brygadiera. Tkwiło w tej samej maleńkiej Biblii, w której znalazłem notatkę ciotki. Najwidoczniej chowała tam rzeczy sobie bliskie. Jeden raz widziałem brygadiera w telewizji i trzy razy w gazecie. Zacząłem podejrzewać, że łączy ich coś więcej niż tylko sprawy partyzantki. Wojskowy nigdy nie dawał zdjęcia cywilowi, jeśli nie wchodziły w grę powody osobiste. Komplikacja ta była dla mnie czymś podniecającym, choć zarazem i niepokojącym. A więc moja ciotka ze strony matki pozwalała się pieprzyć jednemu z przywódców kraju! Co za odwaga! Zdjęcie zostało wykonane polaroidem, urządzeniem bardzo poręcznym dla kogoś, kto nie ma odwagi na wizytę u fotografa. Ale dlaczego ciotka przechowywała tę fotkę w domu? Czy nie była to dziewczęca egzaltacja? Pomyślałem o dziecinnym piśmie Lwandeki. Czy moja rodzina była skazana na zadawanie się z żołnierzami? Dużo bym dał, by się dowiedzieć, jakim człowiekiem był ten mężczyzna. Jakie to uczucie mieć pozycję w rządzie i równocześnie konszachty z partyzantami?

Ponieważ pan Sztormstoper nie odwiedzał już ciotki w domu, czułem się tu bezpiecznie. Nie było już powodu, żebym był srogi dla jej dzieci. Zacząłem je nawet lubić. Przypominały mi moich gówniarzy, których już bardzo długo nie widziałem.

Na początku 1976 roku po raz pierwszy od lat pojechałem z powrotem na wieś. Wzgórza, mokradła i lasy wciąż jeszcze robiły na mnie równie wielkie wrażenie jak kiedyś. Ale wieś skurczyła się, przypominając bezludną wyspę, którą najpierw nękały sztormy, huragany i wybuchy wulkaniczne, a teraz pustoszyli ją piraci. Stara część wioski padła łupem daleko idącej beznadziejności, podczas gdy nowa emanowała wątpliwym dobrobytem. W najbardziej nieprawdopodobnych miejscach natykałem się na spelunki. Z mrocznego kąta, w

którym swego czasu stał dom Palców, trędowatego, dochodziła teraz głośna muzyka taneczna. Wybudowano tam nowy dom, z nowym dachem z blachy falistej, który lśnił w słońcu, a na jego werandzie stała potężna kolumna głośnikowa. Obok mnie przechodziła obca młodzież w spodniach dzwonach i wielkich, brzydkich butach na koturnach, w perukach afro i krzykliwych ozdobach, zataczając się od importowanych trunków. Rzucali świńskie uwagi, które wcześniej nie były znane w tych okolicach. Skąd się tu wzięli?

Z werand kilku nowych domów z czerwonej cegły zwisały krzykliwe reklamy: Supermarket, Hotel, Restauracja, Casino. Przed drzwiami tych „supermarketów”, „restauracji” i „kasyn”, przy kolorowych stoliczkach siedzieli młodzi hazardziści, grający sfatygowanymi kartami wśród ogólnego wrzasku otaczających ich osób. Z doświadczonych nosów wydobywały się równoległe obłoczki nikotyny. Lał się alkohol. Od tego wszystkiego mózg zapalał się do walki, a sztywne fiuty napierały na pachwiny. Byłem świadkiem małej kłótni podczas jakiejś gry w karty, która wymknęła się z rąk. Karty poleciały w powietrze, stół stracił nogi. Wśród pisków podpitych dziewczyn z grubymi dupskami ktoś butem na koturnie nadepnął na gryzącą kurz twarz. W pobliżu trzech chłopców wypróbowywało mały motorower marki Honda i przy wysokiej liczbie obrotów pompowało niebieski dym w oczy nadmiernie wesołych dziewczyn. Ktoś chodził z dużym kapeluszem, zbierając pieniądze na jakiś zakład. Głowa pękała mi od hałasu, jakbym sam brał udział w walce. Kawalek dalej na zakręcie wyprzedziły mnie motorowery. Zostałem ochlapany błotem, a oni wyrwali na drugi koniec wsi, ścigani przez hondę civic pełną hałaśliwych chłopaków, bębniących po oknach, siedzeniach i dachu.

Pospiesznie ruszyłem do starej wsi. Jej starzy mieszkańcy siedzieli przed swoimi domami skuleni, przyćmieni smutkiem. Zdawało się, jakby przepowiedziane przez Dziadka eksplozje już się zaczęły, a wieś została wessana przez huragany gwałtownych zmian i nieodwołalnie podzielona na kawałki. Tęsknota, która Dziadkowymi i Babcinymi opowieściami o dawnych czasach napiętnowała moje wczesne lata we wsi, uleciała, wymazana agresywną energią młodych przemytników i ich popleczników. W powietrzu wisiał teraz ślad strachu.

Dom Serenity chylił się ku upadkowi. Okna zostały zaplombowane od środka przez termity, drzwi były wyważone z zawiasów. Dach się złuszczył i zardzewiał od nieustających deszczów i słonecznego żaru. Serenity nie przejawiał już widocznie żadnego zainteresowania tym domem ani wsią i gotów był dopuścić do doszczętnego upadku przeszłości. Wszedłem do środka, tak jak robiłem to dawniej, kiedy znikąd pojawiał się jakiś gość. Powitał mnie stęchły obłok gorącego powietrza, kurz i nietoperze. Ostrożnie obchodziłem się z oknami i drzwiami

w obawie, że wypadną z zawiasów. Nie dotykałem śladów termitów. Nie pozamiatalem też, bo jaki to miało sens? Patrzyłem, jak wiatr unosi ze sobą kurz do gałęzi drzew. W dużym pokoju, w kącie, w którym Kłódka przechowywała kiedyś swoją matę, znajdowało się teraz metrowej wysokości mrowisko. W sypialni Serenity, pod łóżkiem wspomnień, jakiś duży wąż zrzucił skórę. Łóżko było zakurzone, lecz wciąż jeszcze stało na nogach dzięki powłoczce środka owadobójczego. Prędko wyszedłem na zewnątrz, do ogrodu. Był zarośnięty chwastami, które wtargnęły nawet do wychodka i na palenisko, na którym zawsze gotowałem wodę na kąpiele ciotki Tiidy. Gdzieś tutaj po raz pierwszy przetrzepano mi skórę różgą, gdzieś tam stała Babcia, zastanawiając się, jak mnie ratować. Wychodek, w którym podglądałem narządy płciowe Kłódki, skurczył się jak puszka konserwy w pięści olbrzyma.

Dom Babci nosił jeszcze ślady pożaru. Nędzny szałas, wybudowany tuż obok starego domu przez któregoś z członków rodziny, był opuszczony. Ogród zdziczał i pełen był liści opadłych ze starego drzewa, pod którym Dziadek i Babcia przekomarzali się zawsze po obiedzie. Stałem w miejscu, w którym zgromadził się tłum w wieczór pożaru, i poczułem, jak kurczy mi się pęcherz. Na szczęście był pusty. Zdawało się, jakby odpadło dno moich wnętrzności. Nie czułem się tu już jak w domu. Przytłoczony ciężarem przeszłości i okrucieństwa tych wszystkich zmian poszedłem dalej.

Dom Dziadka nadal był duży i robił wrażenie, ale przypominał teraz raczej podupadający monument. *Shamba* kawy walczyła z chwastami, żywopłot z jemiolą, tarasy z erozją.

Dziadek również bardzo się zestarzał. Wszystkie te pobicia i postrzały, pchnięcia nożem i zawirowania w jego politycznym i osobistym życiu zażądały wysokiej ceny. Jeśli szukało się jego dawnego, żadnego walki ja, odnajdywało się je jedynie w jego oczach: wciąż jeszcze miał to szczere, otwarte spojrzenie. Pogorszył mu się słuch, zwłaszcza w uchu, w które uderzono go w 1966 roku. Teraz trzeba było trochę krzyczeć, jeśli się chciało, żeby coś zrozumiał. Głowę trzymał przechyloną, dobrym uchem w moją stronę. Cieszyliśmy się, że znowu się widzimy. Zdziwił się, że tak urosłem. Zapytał mnie znowu, kiedy skończę studia prawnicze, a ja mu tłumaczyłem, że mam jeszcze do przejścia długą drogę.

Poszliśmy na grób Babci. Stojący za mną Dziadek przypatrywał się moim nadaremny próbom oczyszczenia grobu z chwastów, ustawienia na swoim miejscu popodważanych kamieni i wyprostowania krzyża przechylonego przez wiatr. W naszych głowach kołatało to samo niewypowiedziane pytanie: kto zamordował tę kobietę? Kto stał za jej osądzeniem, wyrokiem i egzekucją? Myślałem o tych wszystkich dzieciach, którym pomogłem wraz z nią przyjść na świat, i o wszystkich ziołach, które zbieraliśmy w lesie i na

mokradłach. Znow miałem uczucie, że prawie sikam do spodni - było to dziwne uczucie po tych wszystkich latach. Miałem nadzieję, że jej duch wzniesie się nade mną i zaszumi liśćmi mojego ulubionego drzewa. Spodziewałem się jakiegoś cudu. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Poleciała mi ukończyć zadanie, które rozpoczęła. Miałem zamienić wody płodowe i śluz na adwokacki atrament i elokwencję.

Opuściliśmy miejsce pochówku i wróciliśmy do domu. *Sham - ba* kawy mogła być w lepszym stanie. Wiele krzewów należało przyciąć. Dziadek był zależny od robotników dniówkowych, którzy usuwali chwasty. *Shamba* wciąż jeszcze przynosiła dość pieniędzy na życie, choć palarnie od miesięcy zalegały z opłatami, przypisując winę za zaległości rządowi. Wydawało się, że marzenie Serenity wreszcie się ziściło: gospodarstwo Dziadka nie było już tak dochodowe jak kiedyś. Ale Dziadkowi to nie przeszkadzało. Nie chciał też pojechać do Rzymu. Rzadko w tych dniach wyjeżdżał, jedynie na pogrzeby, ważne wesela albo duże zebrania klanu. Zarządzanie terenami klanu przeszło w inne ręce. Dziadek był teraz wolny, więc siedział i czekał, przypatrując się zmianom politycznego klimatu.

Zapytał, czy nie zechciałbym go ogolić. Trochę to potrwało, zanim znalazłem nożyki. Rozsiadł się w swoim fotelu, z wyciągniętymi przed siebie nogami, z podniesioną do góry, pooraną głębokimi zmarszczkami twarzą Becketta. Nożyk drapał, gdy przeciągałem go po brzdach i występach policzków Dziadka. W najwyższym łamaczu wiatru, mutubie z szarym łykiem, ćwierkały podniecone ptaki. Przeskakiwały z gałęzi na gałąź, tam i z powrotem.

— Wężę - powiedział nagle Dziadek ze złością. Zaciąłem go w brodę. - W drzewie siedzi czarna mamba. Roi się tu od czarnych węży.

— Od zielonych też - dodał po chwili, gdy ścierałem pianę i krew z jego twarzy. - W tych wszystkich chaszczach - oświadczył, robiąc szeroki ruch ręką - jest pełno węży.

— Czy Dziadek nadal boi się węży?

— Oczywiście, że boję się węży. Najbardziej się boję, że mi jakiś wejdzie do łóżka, że na nim usiądę i zostanę ugryziony.

Przypomniała mi się matka Klódki i żmija afrykańska, która ją zabiła. Nie śmiałem się.

— Wszystkich mieszkańców, którzy opuścili wioskę, zastąpiły wężę - kontynuował Dziadek.

— Kim są ci nowi ludzie? - spytałem. - Prawie nikogo we wsi już nie poznaję!

— Mówiłem ci już, wieś jest pełna węży - odparł Dziadek. - To obłęd przemytu kawy za tym stoi.

— Kiedy przemytnicy przejęli tę okolicę?

— W kilka lat po twoim wyjeździe. Całe szczęście, że to się stało, kiedy ciebie już tu nie było.

— Jak do tego doszło?

— W latach sześćdziesiątych twoi rodzice wyjechali do miasta, żeby znaleźć pracę i prowadzić lepsze życie. Teraz młodzi ludzie opuszczają miasto, żeby przyłączyć się do band przemytników kawy i dać się zastrzelić antyprzemycnym patrolom.

— Opowiedz o tym coś więcej, Dziadku - poprosiłem, prawie śliniąc się z podniecenia.

— Ci młodzi ludzie odkryli sposób szybkiego zarabiania pieniędzy bez konieczności uczenia się. Szmuglują kawę na drugą stronę jeziora, do Kenii, i dostają za nią amerykańskie dolary. Wracają stamtąd obładowani luksusowymi rzeczami: džinsami, radiami, zegarkami Orisa, perukami i innym badziewiem, i zachowują się jak szaleńcy. Odkryli, że nasza wieś to dobre miejsce, żeby się ukryć i wyszaleć, nie ściągając na siebie uwagi władz. Najbliższa jednostka stacjonuje piętnaście kilometrów stąd, nie muszą się więc obawiać wojska. Czasem kilku żołnierzy przychodzi tu na weekend, upić się i zabawić, ale z tymi przemytnicy żyją w zgodzie. *Chiefs* stracili autorytet i pozwalają młodym robić swoje. Ale czasem chłopcy organizują w starej wsi wyścigi na motorach i napędzają stracha dzieciom i kobietom. Ci wszyscy młodzi ludzie to hazardziści. Wielu z nich zostało zastrzelonych przez patrole antyprzemycnicze. Inni strzelają do własnych kolegów, gdy się zorientują, ile pieniędzy jest w obiegu. A ci, którzy przeżyli, stają się coraz bardziej lekkomyślni. Wracają, wydają pieniądze jak idioci, spłukują się doszczętnie i znowu wyruszają. Najczęściej udaje się to zaledwie kilka razy, zanim zostaną zabici. Z chłopców, którzy wcześniej wozili mi kawę do palarni, większość nie żyje. Potem słyszy się, że syn lub wnuk tego czy tamtego „utopił się”. Nie mają nawet odwagi nazwania rzeczy po imieniu!

— Co za marnotrawstwo!

— Pozostań lepiej z nosem w książkach, mój chłopcze.

— Nic innego nie robię, Dziadku.

— Kiedy dawniej opowiadałem ci o eksplozjach, spoglądałeś na mnie z niedowierzaniem. Byłeś wtedy jeszcze za mały. Ale teraz zobaczysz, że miałem rację. Rzeczy nie pozostają takimi, jakimi są.

— Ale jak to się skończy?

— To ty się tego musisz dowiedzieć. Przecież to ty jesteś adwokatem.

Uśmiechnąłem się i odparłem:

— Tak, Dziadku.

— Nie potrzebuję już tej kawy ani ziemi. Jest dla ciebie i twoich braci. Ale czuję, że ty nie wrócisz, żeby pracować w polu. Idź w świat i znajdź jakieś dobre miejsce dla siebie. Ważny adwokat nie powinien wiązać się z małą wioską, zwłaszcza jeśli pełno w niej niewłaściwych ludzi.

— Dziękuję, Dziadku.

Przyszło mi do głowy zapytać go, czy zakwestionuje pogląd Łodygi, że to nasi *chiefs* ściągnęli Brytyjczyków i pozwolili zniszczyć to, co jeszcze zostało z kraju. Wyglądał jednak na zatopionego w myślach, jakby porozumiewał się z ludźmi, których nie mogłem zobaczyć. Dostałem już jego błogosławieństwo, czego jeszcze chciałem?

Niechlujna młoda dziewczyna, jakiś członek dalszej rodziny, rządziła w gospodarstwie Dziadka; wszędzie zostawiała po sobie rzeczy: czajniki na schodach, garnki w ogrodzie, nóż kuchenny na stole. Gotowała, zamiatała i prała, a od czasu do czasu pracowała w *shamba*. Przez weekend zastępowała ją matka wujka Kawayidy. Również i to uznałem za interesującą zmianę, ale znowu nie zapytałem, co to ma znaczyć. Współczułem trochę tej kobiecie. Musiała harować jak wół, żeby uprzątnąć bałagan po dziewczynie. Dziewczyna była półanalfabatką, ale była miła i bardzo gościnna. Kiedy przyniosła nam herbatę, na mojej filiżance widniały ślady pospiesznie startego brudu, a filiżanka Dziadka nie wyglądała na czystsza. Zastanawiałem się, czy ją obrazić, pytając, czy mogłaby jeszcze raz umyć filiżanki w misce wody z płynem, czy też przymknąć oczy na brud. Filiżanka pachniała rybą. Udałem, że prawie upuściłem ją przez nieuwagę, bo po nodze wspinał mi się robak. Rozlałem zawartość na podłogę i podziękowałem, gdy chciała mi dolać. Zacząłem podejrzewać, że węch Dziadka również nie był tym, czym dawniej: kiedyś nawet szczypcami nie tknąłby brudnych przedmiotów.

Dziadek przypominał mi króla Fajsala z Arabii Saudyjskiej. Choć nie wyglądał na kogoś posiadającego władzę absolutną, pozostającą w pełnej harmonii ze śmiercią, osiągnął takie właśnie stadium wysuszenia ze starości. Jego laska wyglądała jak przedłużenie jego ręki. Dawniej często mnie nią szturchał, kiedy mu dokuczałem, a potem próbowałem uciec. Zaproponował, żebyśmy się przeszli po wsi. Była wspaniała pogoda: świeciło delikatne słoneczko, w którego blasku wyparowywał deszcz z poprzedniego dnia. Niebo było intensywnie niebieskie, jak zwykle, z chmurkami tu i tam. Rośliny uprawne lśniły od wilgoci, a powietrze nasycone było zapachami ziemi zmieszanyymi z aromatem roślin. Było bardzo spokojnie.

Dziadek włożył białą tunikę, szary trencz i miękkie pantofle i wziął do ręki laskę. Szedł się mną pochwalić, byłem jego bykiemmedalistą. Byłem dumny. Miałem być

pierwszym adwokatem pochodzącym z tej wsi. Szliśmy ścieżką półkolem obiegającą wieś.

Poszliśmy do zagrody rodziny Stefano. Było to całe obozowisko, dawniej gęsto zaludnione synami, córkami i ich rodzinami, mieszkającymi w małych domkach wokół dużego domu. Zawsze bałem się tam chodzić: mieli ogromne podwórko, które onieśmiało mnie przez te wszystkie zwrócone na nie oczy. Teraz wyglądało jak boisko piłkarskie opuszczone po meczu, z paroma ludźmi tu i tam, szukającymi trofeów. Pan Stefano, duży, gruby mężczyzna, był sparaliżowany po wylewie krwi do mózgu. Jego choroba uczyniła z tego miejsca dom, w którym straszy. Panowała tam grobowa atmosfera.

— Mój jedyny konkurent - powiedział Dziadek. - Co za smutny koniec!

Musiałem pomyśleć o Tiidzie i jej próbach wysłania Dziadka do Rzymu. Jak to wszystko widziane z perspektywy czasu zabawnie wyglądało!

Bardzo chciałem zobaczyć kilkoro z tych dzieci, którym Babcia pomogła przyjść na świat. Chciałem pójść do garbarza, którego podwórko śmierdziało suszonymi krowimi skórąmi, rozciągniętymi za pomocą kawałka sznurka na drewnianych stojakach. Był to wysoki, chudy człowiek, który zawsze przypominał mi biblijnego Abrahama. Miał mnóstwo drzew chlebowca, mango i awokado, ale żadne dziecko nie chciało jeść jego owoców - z powodu zapachu na podwórku. Mieszkał ze swoją żonąstaruszką, którą zawsze nazywaliśmy Sarą. Zapytałem Dziadka o niego. Odpowiedział, że jeszcze żyje i nadal wyprawia skóry.

Chciałem także zobaczyć pierwszego kochanka Tiidy, który odebrał jej dziewictwo, ale nie chciał się z nią ożenić. Miał osobliwą córkę, która przesiadywała na werandzie z podciągniętymi kolanami, bez bielizny, z twarzą skierowaną do drogi. Nie zapytałem jednak Dziadka o niego, bo go nie lubił.

Ścieżka była szeroka, lecz wyboista, z głębokimi dziurami i dużymi kamieniami. Dziadek nastąpił na dziurę, której nie zauważył, i przełknął krzyk bólu. Uraził się w postrzeloną nogę. Zaproponowałem, żeby na chwilę usiadł, ale nie chciał. Pochylił się i złapał za nogę. Jego twarz była kupką ściągniętych zmarszczek. Słyszałem głośną muzykę dobiegającą ze skraju wsi. Była to piosenka BoneyM, a zebrani wtórowali zespołowi. Po kilku minutach, gdy piosenka się skończyła i zaczęła następna, Dziadek wyprostował się, złapał mnie mocno za rękę i poszliśmy do domu. Koniec wycieczki.

Miałem czasu w nadmiarze. Wspiąłem się na moje ulubione drzewo chlebowca i wpatrywałem w Mpande Hill. Zdawał się szybować na wietrze obok wiszących nieruchomo chmur, prowadząc za sobą całe bagno papirusowych łądyg, wyglądających jak jasnozielone parasole. Ta góra była naszą Golgotą. Na jej zboczach zginęło dwóch lub trzech rowerzystów. Przypomniały mi się zapierające dech w piersi wyścigi chłopaków z okolicy w dół pagórka,

dwieście metrów od najbardziej spadzistego zbocza, jakie kiedykolwiek istniało. Kiedy jedyny raz wziąłem udział w wyścigu, siedząc na bagażniku czyjegoś roweru, brało w nim udział jeszcze pięciu innych. Staliśmy na górze, przednie koła w rzędzie, twarze rowerzystów jak sztywne maski koncentracji, dolina pod nami jak żółtozielona masa, publiczność - jak karły na olbrzymiej równinie. Siedziałem na złożonym jutowym worku, ale mimo to miałem obtarte uda. Trzymałem się gołej, śliskiej talii rowerzysty, oczy miałem nieruchomo skierowane na jego plecy. Wciąż się zastanawiałem, jak może hamować gołymi piętami, bo rowery wyścigowe nie miały hamulców. Popędziliśmy w dół z oślepiającą prędkością, kamyki staczały się w przepaść, a stok przewracał się na bok. Drzewa i papirusy leciały nam na spotkanie. Wiatr przeraźliwie świszczął, smagał i ciął moją skórę. Niczym para duchów przemknęło obok nas dwóch innych zawodników. Popędziliśmy jeszcze szybciej. Co za przeżycie! Przednie koło potknęło się przy zetknięciu z blokiem skalnym, a kurz i kamienie złotymi strumykami spadały drogą w dół. Prowadzący rower chłopak pochylił się do przodu, aby użyć całej swej siły, i wiatr z całej mocy uderzył w moją twarz. Łzy, ślina i smarki spłynęły po niej do tyłu cienkimi strużkami. Do ust dostało mi się parę insektów, więc splunąłem pod wiatr. Przednie koło poślizgnęło się, a mnie zasypała lawina złamanych kości, wyrwanych wnętrzności, niekończących się dni w szpitalu, niezliczonych zastrzyków, przepełnionych basenów i zakrwawionego bandaża. Znalazłem się w powietrzu, bagażnik zniknął, rękami trzymałem się mokrych spodni jadącego, a z mojego bolącego gardła wydobywał się urywany wrzask. Chłopak wyczerpał wszystkie siły, aby uniknąć nieszczęścia, przemoczony do nitki, a wszystkie mięśnie miał napięte. Jechaliśmy, wisząc w poprzek drogi, jakbyśmy szybowali. W karkołomnym manewrze przejechał obok nas jeden z naszych rywali. Kiedy zrównał się z nami, poczułem mocne kopnięcie w nogę. Mojemu rowerzyscie udało się jakoś ustawić koło we właściwej pozycji. Dotarliśmy do mety jako ostatni. Plecy mojego towarzysza ociekały moimi wymiocinami, ale nie skarżył się. Niektórzy chłopcy reagowali jeszcze gorzej: sikali i srali w spodnie. Jego lewa pięta krwawiła i była rozdarta; prawa była czerwona jak burak. Utykał.

— Możesz mi podziękować, że uratowałem ci stopę - odezwał się chłopak, który mnie kopnął. - Była prawie między szprychami, a myślę, że wtedy nie dałoby się jej już uratować. Jego Dziadek zamordowałby cię - powiedział do mojego rowerzysty, zajmującego się swoimi piętami.

— Przecież nie czekałbym na to - odparł, szczerząc zęby. - Natychmiast zawiózłbym go do szpitala i uciekłbym.

Wszyscy się śmiali. Ja nie. Wciąż jeszcze miałem uczucie, że moje nogi nie są

przymocowane do mojego ciała.

Nigdy nie opowiedziałem Dziadkowi o tej jeździe. Dlaczego ci młodzi przemytnicy nie organizują takich wyścigów? Irytowanie mieszkańców wsi nie wydawało mi się aż takim wyzwaniem.

W Ugandzie panował stan wojenny, wił się po ziemi jak umierająca sowa. W pogotowiu trzymano trąby klęski, aby ich podmuchem obalić mury. Serce naszego kraju było jak granat, z którego zerwano już zawleczkę. Na północy, w Sudanie, arabski rząd w Chartumie był zajęty walką z chrześcijańsko - - animistycznymi rebeliantami z Dżuby; wojna, w której na razie niewiele zapowiadało możliwość wstrzymania ognia. Kraj pustoszyły bomby i karabinowe serie, a dziewczęce sromy okaleczano nożykiem do obrzezywania. Sudańscy uciekinierzy rozbijali obozowiska przy naszej granicy. Wydawało się, że nadszedł czas odkupienia win. Na północnym wschodzie, w Rogu bez Łechtaczek i Warg Sromowych, przylądku, który sam przypominał sterczącą łechtaczkę, szalała wojna w Ogadenie. Gwałtownymi wiatrami wiała po surowych pustynnych okolicach i przypiekała walczących i niewalczących, z których wielu uciekło do sąsiednich krajów, między innymi do Ugandy. Na wschodzie, w Kenii, towary z Ugandy tworzyły w portach niebosiężne sterty. Operujące tam organizacje przemytników kawy, mające na celu obalenie reżimu Amina poprzez sparaliżowanie opierającej się na kawie gospodarki, kwitły jak nigdy dotąd. Na południu, w Tanzanii, gromadziły się szumowiny z czasów rządów poprzednika generała Amina, Miliona Obote. Antyaminowscy rebelianci ćwiczyli przed wielkim starciem i od czasu do czasu urządzali w Ugandzie odważne małe najazdy. Ich przywódcy wzywali przez radio naród ugandyjski do przepędzenia Amina.

Na początku 1976 roku spotkania na stacji benzynowej stały się bardziej nerwowe. Dla Serenity, Hadżiego i Mariko, ich protestanckiego przyjaciela, było jasne, że kraj wkracza w burzliwe czasy. Państwowa Służba Bezpieczeństwa i inne instytucje tego typu stały się wszechmocne i aresztowały, kogo chciały, kiedy chciały i gdzie chciały. W dodatku wypędzony dyktator Obote robił zza granicy dużo hałasu, obiecując, że doprowadzi do upadku tego, kto go obalił. Exodus Ugandyjczyków, uciekających za granicę, który zaczął się po cichu od *brain drain*, osiągnął teraz apogeum, bo służby bezpieczeństwa ogarniała coraz większa paranoja i zatrzymywały coraz więcej ludzi podejrzanych o wspieranie wypędzonych partyzantów. Znalazłszy się po drugiej stronie granicy, niektórzy uciekinierzy opowiadali o przerażającej sytuacji w Ugandzie. Nie bardzo podobało się to Aminowi. Przyjaciele Hadżiego Gimbi z tajnej służby mówili mu, że boją się, iż Uganda zostanie napadnięta - ten strach okazał się usprawiedliwiony, kiedy Izraelici przybyli ratować swoich ziomków

przetrzymany przez palestyńskich bojowników i przewiezionych do Ugandy ze względu na sympatię, jaką Amin żywił do Palestyny. Ten strach przed napaścią stał się obsesją, którą łajdacy z armii i służb bezpieczeństwa wykorzystywali do swoich celów.

W tych dniach trójka kompanów szybko się rozchodziła do domów, ponieważ pewnego wieczoru, gdy zapadł już zmrok, przy stacji zatrzymał się wojskowy jeep, z którego wyskoczyli żołnierze w cywilu. Serenity i jego przyjaciele musieli położyć się na ziemi, gdzie kilkakrotnie ich kopano, oskarżając o znowę przeciw rządowi, a potem żołnierze opróżnili kasę i zażądali utargu z całego dnia. Gdyby Hadzi Gimbi nie rzucił nazwiskiem pewnej wpływowej figury, z pewnością skończyłoby się to gorzej, bo w kasie było niewiele. Tym razem jednak napastnicy zadowolili się zegarkami całej trójki.

Po tym zdarzeniu Hadzi Gimbi kupił pięćdziesiąt kilometrów za miastem kawałek ziemi, na którym rozpoczął budowę domu. Serenity uważał, że przyjaciel wpadł w panikę i że nie musi wyjeżdżać tak daleko, ale Hadzi powiedział:

— Dobre czasy minęły. Miasto stało się jaskinią morderców. Nadszedł czas, by wrócić na wieś.

— Jak to? - zdziwił się Serenity.

— Upadek Amina nie nastąpi zbyt szybko. Na razie sytuacja będzie się pogarszać. Coraz częściej dochodzi do napadów zbrojnych, żołnierze są coraz bardziej zrozpaczeni, przyszłość wygląda ponuro.

— Przecież już od dwóch lat tak jest - powiedział Serenity dość głupawo.

Hadzi zniecierpliwiał się, prawie się rozzłościł.

— Mam na myśli, że biada tym, którzy podczas ostatnich dni Amina dostaną się w ogień krzyżowy. Biada rodzinom, które nie będą wtedy mieć żadnego miejsca, w którym mogłyby się schronić.

Serenity uświadamiał sobie, że gdyby w tym momencie wybuchła wojna, jego rodzina nie miałaby żadnego bezpiecznego miejsca. Poza walącym się kawalerskim domkiem na wsi, należąca do państwa pagoda była jedynym schronieniem, jakie mieli. Serenity wstydził się swojej krótkowzroczności. Nie lubił wsi, nie lubił pracy w polu i dlatego miał jednostronne spojrzenie na przyszłość. Należał do mniejszości, dla której myśl o zostaniu właścicielem ziemskim nie była w ogóle atrakcyjna. Kojarzyła mu się z darmozjadami, którzy z powodu posiadłości klanowych wdzierali się kiedyś do ich domu, i z bezsilnością ojca, nie potrafiącego nad nimi zapanować. W skrytości obawiał się, że jego dom, gdy tylko zdobyłby kawałek ziemi, zalaliby przeróżni ludzie, na przykład rodzina żony. Aż nazbyt dobrze przypominał sobie także, co się wydarzyło jego siostrze Tiidzie, kiedy z powodu jakiegoś

starego konfliktu o parcelę ktoś zaczął podkładać jelita i psie łby, do których zlatywały się muchy. Zdecydowanie prawdą było, że właściciele ziemscy często byli nieuczciwi i chciwi i nie mogli oprzeć się pokusie odsprzedawania gruntu, gdy mogli uzyskać za niego dobrą cenę. A wzrastająca liczba broni palnej powodowała, że takie właśnie często fatalnie lub prawie fatalnie się kończyły. W najczarniejszym scenariuszu najemni żołnierze zastrzeliliby jego dzieci jedynie po to, by przepędzić go z jego ziemi. Do tej pory myślał, że zawsze jeszcze może przeprowadzić się do innej dzielnicy, gdyby grunt zaczął mu się palić pod nogami, ale teraz dotarło do niego, że powinien znaleźć spokojne miejsce z dala od miasta, gdzie można by się ukryć, gdyby wybuchła długotrwała kampania terroru, a może nawet wojna.

Miasto było siedzibą rządu, centrum władzy, a jeśli to oznaczało, że trzeba by go bronić do końca albo że miałyby zostać zbombardowane, ci, którzy by w nim zostali, z pewnością zginęliby. Po Serenity, który nie przejął się za bardzo napadem na stacji benzynowej, przebiegł teraz dreszcz. Równocześnie był wdzięczny Hadziemmu Gimbi, że go namówił do przeprowadzki na wieś. Coraz częściej widział w nim starszego brata, którego nigdy nie miał. To, że przez przypadek zostali najpierw sąsiadami, a potem przyjaciółmi, wydawało mu się darem niebios.

Serenity był świadom tego, że wraz z upadkiem Amina może stracić swoją pozycję w związku zawodowym, a może nawet pracę. Wiedział, że musi zacząć poważnie myśleć o przyszłości.

Mariko obserwował snujących plany przyjaciół: jego rodzina posiadała duże obszary ziemi w różnych okolicach, a także w mieście. Zaoferował Serenity darmowe schronienie na wypadek, gdyby wybuchła wojna, zanim znalazłby coś innego, ale on posłał mu tylko złośliwy uśmiech.

Serenity skontaktował się z człowiekiem, który wyszukał Hadziemmu ładny kawałek ziemi, i poprosił, by i dla niego znalazł coś takiego. Epoka magicznych listów przewozowych minęła: zarząd nad państwowymi fabrykami przejęli wojskowi i większość z nich musiała zostać zamknięta z powodu złej gospodarki i korupcji. Serenity, nie znający najmniejszego pędu do samozniszczenia, szybko dostosował się do obecnych czasów i znalazł bezpieczniejszy sposób na dorabianie: oszczędzał na wydatkach związku i ubierał w ten sposób małą fortunę. Pomogła mu w tym nieporadność nowego szefa, ale przywłaszczał sobie tylko to, z czego potrafił się wytłumaczyć, nie był zbyt pazerny. Zdobywszy kawałek ziemi, złożył wniosek o pozwolenie na budowę, przekupił kogoś w urzędzie, żeby szybko wydano pozwolenie, i w ciągu dwóch miesięcy robotnicy rozpoczęli budowę domu. Kiedy osiągnięto poziom okien, Serenity uświadomił sobie, jak wspaniale jest mieć własny dach nad głową.

Rok dobiegł szczęśliwego końca, a nowy rozpoczął się spokojnie. Nie wydarzyło się nic szczególnego i trzej przyjaciele mieli nadzieję, że będzie lepszy od poprzedniego. Ale Hadzi przyniósł bardzo niepokojące wieści.

— Jeden z wielkich przywódców chrześcijańskich ma kłopoty - powiedział pewnego popołudnia.

— Chodzi o arcybiskupa? - zapytał Serenity.

Niedługo po miesiącu miodowym puczu Amina katolicki książe stał się jego najbardziej szczerym wrogiem. Krytykował zabijanie księży, zamordowanie redaktora katolickiej gazety, a także wydalanie misjonarzy, gwałcenie zakonnic, mordowanie ludzi w ogóle oraz zanik porządku publicznego i nadużywanie władzy przez wojsko i służby bezpieczeństwa. Krążyły pogłoski, że planowano zamach na jego życie, przeszukano jego dom, a jego samego prześladowano, ale on nie dał sobie zasnuwać ust.

— Nie jestem pewien - przyznał Hadzi.

— Przecież to nie może być ten anglikański arcybiskup - powiedział Mariko bojaźliwie.

Kościół anglikański płynął kursem środka i nie wypowiadał się otwarcie o sposobie rządzenia Amina. Chociaż zniknęli również prominentni protestanci, nie skończyło się to tak źle, wzięwszy pod uwagę okoliczności. Protestanci zawsze byli dość pragmatyczni i dlatego ich partia, Ugandyjska Partia Ludowa, zdobyła władzę i niezależność. Duża część wygnańców w Tanzanii była protestancka i w ten sposób związana z UPL, ponieważ dwie najważniejsze partie miały religijny rodowód (UPL - protestancki, Partia Demokratyczna - katolicki), nie istniał jednak bezpośredni przełącznik pomiędzy wygnańcami a protestanckimi księżętami kościelnymi.

— Ostatnio dochodzi z Tanzanii wiele głosów mogących świadczyć o tym, że wygnańcy pod kierownictwem Obote i protestanckiej grupy nacisku coś knują - wyjaśnił Hadzi.

— Przecież wygnańcy zawsze coś knują - westchnął Mariko w rozpaczliwej nadziei, że zostanie pocieszony.

0 Mówię o infiltracji. Szepta się, że partyzanci już wtargnęli do kraju. Niektórzy z ich przywódców potajemnie przekraczają granicę, tam i z powrotem, i opowiadają w Radiu Tanzania swoich eskapadach. Oznacza to, że istnieją kolaboranci, których do tej pory jeszcze nie wytropiliśmy.

— Wolę o tym nie myśleć - mruknął Mariko ze złością.

— Nikt nie chce o tym myśleć - odparł Serenity.

Polityka i religia były jak dwie ręce na jednym brzuchu: teoretycznie każdy muzułmanin stał za Aminem, każdy katolik za wypędzoną Partią Demokratyczną, a każdy protestant za trwającą w zimowym śnie Ugandyjską Partią Ludową. Religijni przywódcy byli niczym półbogowie i panowali nad sercem duszą ludu. To z kolei oznaczało, że jeśli jakiemuś religijnemu przywódcy rzucano kłody pod nogi, kończyło się to gniewem jego zwolenników.

— Anglikański arcybiskup jest nietykalny. Jest nie tylko arcybiskupem Ugandy, ale i Ruandy, Burundi i BogaZairu. Jest postacią międzynarodową, Amin nie odważy się go tknąć.

— Jest również Acholi i Langi, ale nie są zbyt popularni, ponieważ z powodu powiązań plemiennych są kojarzeni z Obote - powiedział Serenity, który teraz również zaskoczył.

— Uważam, że to wszystko jest bardzo smutne - powiedział Mariko.

— Tym razem nie chodzi o wiarę - stwierdził Hadzi. - Chodzi o politykę. Wielu chrześcijan myśli, że muzułmanie są odporni na interwencję Amina i przez to bezpieczni, ale to nieprawda. Nikt nie jest bezpieczny. Amin powołał Muzułmańską Radę Najwyższą do zarządzania sprawami muzułmanów, ale nie zawahał się usuwać członków rady, kiedy mu to było na rękę. Niektórzy nawet przypłacili to życiem. Więc, jeżeli zamierza mieszać się do spraw chrześcijan, robi to dlatego, że widzi w tym jedyne rozwiązanie swoich politycznych problemów. Pomyślcie, prawie sto lat temu wprowadzono w tym kraju chrześcijaństwo. W tym roku Kościół protestancki świętuje to wydarzenie. Amin i jego oprawcy będą się bardzo martwić o następstwa, jakie to ze sobą przyniesie, zarówno w kraju, jak i za granicą.

— Wygnańcy i inne grupy, które wykorzystają szansę, żeby zdestabilizować kraj, co? - podsunął Serenity.

— Tak - odpowiedział Hadzi ponuro, machając brodą.

— To już ich sprawa. Ręce naszych przywódców religijnych są czyste - oświadczył urażony Mariko, niemal krzycząc na przyjaciół.

— Pamiętacie jeszcze chyba pogłoski o islamizacji? - zapytał Hadzi.

— Tak. Twierdzono wtedy, że Amin ogłosi Ugandę krajem muzułmańskim - odparł Mariko, spoglądając podejrzliwie na przyjaciela muzułmanina, jakby Hadzi był szpiegiem rządowym próbującym zwabić go w pułapkę.

— Ta pogłoska wywołała niespodziewane reakcje. Zapędziła rzesze chrześcijan do świątyń, a ponieważ w tym roku protestanci obchodzą setną rocznicę, kościoły będą pękać w szwach. Za dwa lata katolicy będą obchodzić swoją setną rocznicę. Te narastające emocje wywołują na wysokich stanowiskach bezsenne noce.

Wkrótce trójka przyjaciół dowiedziała się, że w mieszkaniu anglikańskiego arcybiskupa dokonano rewizji w poszukiwaniu broni. Napięcie w kraju wzmagало się, szczególnie wśród protestantów. Państwowa rozgłośnia radiowa podała oficjalnie, że mieszkanie arcybiskupa zostało przeszukane. Później podano też, że Kościół anglikański oddał cios, wystosowując jadowity list do Amina, w którym umywał ręce od działalności antyrządowej i ubolewał nad wzrastającym brakiem bezpieczeństwa.

Kiedy cała sprawa przycichła, oznajmiono, że anglikański arcybiskup, wraz z dwoma ministrami z rodzinnych stron Obote, został aresztowany za gromadzenie zapasów amunicji z zamiarem pozbawienia życia prezydenta Amina i wywołania w kraju zamieszek.

— Sprawdziły się moje najgorsze przypuszczenia - oświadczył Hadzi Gimbi. - Pogorszą się przez to stosunki muzułmanów z chrześcijanami. Wszyscy muzułmanie będą mierzeni tą samą miarką. Nie ufam ludziom, którzy kierują tą sprawą.

— Ale co Amin chce przez to osiągnąć? - zapytał Mariko ze złością. Był umiarkowanym protestantem chodzącym regularnie do kościoła, szanującym prawo, wspierającym potrzebujących pomocy i mającym nadzieję, że dobre uczynki zagwarantują mu bezpieczeństwo.

— Pewnie chce zastraszyć Kościół i sprawić, żeby ludzie siedzieli jak na szpilkach - zasugerował Serenity.

— Jeśli w twoim domu są węże, to je wykurzasz. Być może twoja rodzina musi wtedy godzinami czekać na zewnątrz, ale robisz to, co zrobić należy - powiedział Hadzi Gimbi z rękami w powietrzu. - Obawiam się, że nasi przywódcy też tak się na to zapatrują.

Trójka przyjaciół ujrzała w śmierzdzącej toshibie Serenity trzech więźniów. Ekran roił się od żołnierzy. Pokazywali starannie ułożoną na kupce broń, którą zamierzali wykorzystać spiskowcy. Program był nadawany z trawnika sprzed pewnego hotelu, o którym niektórzy mówili, że torturuje się w nim ludzi. Prezentowaną broń znaleziono w pobliżu domu arcybiskupa. Aresztowano jeszcze innych kolaborantów, ale ci trzej mężczyźni byli głównymi podejrzanymi. Odczytano list Obote, wskazujący na ich winę. Pod koniec wywiadu żołnierze powiedzieli, że zamierzają zabić trzech oskarżonych. I istotnie spotkała ich śmierć - w wypadku samochodowym, kiedy próbowali obezwładnić kierowcę wojskowego samochodu. Z czterech siedzących w aucie mężczyzn przeżył jedynie kierowca: odniósł zaledwie lekkie obrażenia.

Podobniejak ogromna większość mieszkańców Ugandy, trzej przyjaciele czytali między wierszami i było im bardzo smutno. Tu, na oczach ludzi pisana była historia. Było to straszne doświadczenie. Były to jedne z najsmutniejszych dni w historii kraju, nie dlatego, że

wcześniej nie działały się rzeczy gorsze, ale dlatego, że właśnie mniej ważne wydarzenia pokazywały, iż wszystko jest w stanie rozkładu.

Ciotka Lwandeka przez kilka dni była kompletnie wytrącona z równowagi. Nie z powodu pozbawienia kraju politycznego dziewictwa - bo to stało się już dawno temu - lecz dlatego, że stał on nad brzegiem grobu i wydawało się, że wszyscy zdają sobie sprawę, jak to się skończy. Wnioski, jakie należało z tego wyciągnąć, były oczywiste: jeśli mogło się to przytrafić grubym rybom, to równie dobrze może się przytrafić płotkom.

Trzej przyjaciele nie mieli zbyt wiele do powiedzenia na temat tego incydentu. Po prostu grali dalej w karty albo rozmawiali o innych rzeczach. Hadzi i Serenity bardziej zawzięcie niż wcześniej naciskali na robotników na swoich budowach. Kiedy ich domy zostały ukończone, wyjechali wraz z rodzinami daleko od szalejącej burzy.

Kiedy despoti przeprowadzili się z miasta znowu na wieś, urzeczywistniło się marzenie Kłódki. Od samego początku nie znosiła miasta z jego hałasem, przeklinaniem i nieporządkiem, a z pagodą łączyło ją jednocześnie uczucie nienawiści i miłości. Podobnie jak w przypadku kawalerskiego łóżka Serenity, miała wrażenie, że pagoda była skażona, ale tym razem przez pogańskiego ducha Azjatów, którzy mieszkali w niej przed nią. Latami tęskniła do czegoś czystego, czegoś dziewiczego, czegoś, co mogłaby wypełnić własnym duchem. Przemoc w mieście, uprowadzenia, gwałty i niepewność podkopywały jej wiejskie poczucie sprawiedliwości, ponieważ przestępcy prawie nigdy nie byli karani. Wina niemal zawsze była dla niej synonimem kary, tu jednak grzech pozostawał bezkarny.

Całymi latami żyła w strachu, że zostanie zgwałcona. Miała przeczucie, że zrobią to pewnego dnia żołnierze. Z tego powodu zawsze była bardzo spięta na widok takiej przechodzącej lub przejeżdżającej dużej, ciemnej postaci. Dostawała mdłości, kiedy zatrzymywali pojazd, którym jechała. Prawie się wtedy dusiła. Raz o mało nie wyskoczyła z taksówki, gdy żołnierz wsadził głowę przez okienko, by móc lepiej przyjrzeć się pasażerom. Przypadkiem siedziała przy drzwiach. Ale mężczyzna nawet jej nie zauważył i nie zapytał o dokumenty. Skupił się na innych pasażerach. Mimo to śmiertelnie się wtedy wystraszyła. Oblał ją pot, jej oczy nabiegły krwią, a płuca z trudem łąpały powietrze. Po pielgrzymce uczucie zagrożenia jeszcze się nasiliło. Sądziła, że jej świętość lada moment zostanie unieważniona. Sądziła, że jej imię w każdej chwili może zostać wymazane z księgi świętych. Obawiała się, że wkrótce jacyś żołnierze zrobią z nią coś okropnego, a potem obetną jej głowę i powloką sprofanowane ciało ulicami miasta. Co się wtedy stanie z jej dziećmi? W szczytowym punkcie tego strachu zaczęła wątpić. Znowu poczuła się jak po syndromie spadającego orła: oczyszczona - co wywołało w niej obawę, że Diabeł zwycięży. Strach ten,

bez towarzyszącego mu oczyszczenia, zaprowadził ją na sam skraj przepaści. Kiedy żołnierze nadal nie zwracali na nią uwagi, zaczęła się zastanawiać, czy nie stoi losowi na przeszkodzie. Kiedy zdawali się ją zauważać, drżała i modliła się, by ten kielich ją ominął.

Przez cały czas rozpaczliwie tęskniła do wsi, do dziewiczego miejsca, którym mogłaby zawładnąć jej wola, w którym spokojnie mogłaby się modlić i medytować. Uważała się za roślinę pustynną, za kaktusa stawiającego czoła rozpaczliwości swej sytuacji. Kiedy już wprowadziła się do nowego domu, poczuła, że jej korzenie wnikają głęboko w ziemię i rozwidlają się w niej. Cnota będzie tryumfować nad upadkiem, kaktus będzie się bujnie rozwijać w pustynnym piasku, nawet gdyby musiał ssać wodę z punktu oddalonego o wiele kilometrów. Miejscowy ksiądz był zajęty i nie mógł przyjść pobłogosławić domu. Wysłał w zastępstwie katechetę, który pokropił dom i parcelę wodą przywiezioną przez Kłódkę z Lourdes w plastikowej buteleczce w kształcie Dziewicy Marii. Metrowej długości różaniec wiszący w dużym pokoju był jej talizmanem przeciw złu, oprawiona w skórę Biblia - jej mieczem i tarczą na wroga. Czowała, że nareszcie wprowadziła się do domu przeznaczonego jej od urodzenia.

Wielkość wsi również bardzo jej odpowiadała. Miejscowość była mała, miała zaledwie jedną ulicę, jeden punkt pomocy medycznej i jedno targowisko. Nikt nie rzucał się w oczy. Jeżeli to się jednak zdarzało, nie miało większego znaczenia. Dzieci poszły do dobrej szkoły, cztery kilometry dalej. Nauczyciele nie spuszczaali oczu z uczniów i natychmiast reagowali, jeśli zdarzyło się coś niedozwolonego. Kłódka nie mogła sobie życzyć niczego lepszego. W odległości jednego kilometra był kościół katolicki, a ksiądz raz w miesiącu przyjeżdżał tam wysłuchać spowiedzi i odprawić mszę świętą. Katecheta, ciężko pracujący mężczyzna rodem z Ruandy, traktował jej rodzinę z szacunkiem i chrześcijańską miłością. Kłódka bardzo go lubiła i była hojna wobec jego sześciorga dzieci. Z resztek materiałów szyła dla nich sukienki i koszule. Kiedy przyjeżdżał ksiądz, zawsze siadała tuż przed ołtarzem, co dawało jej poczucie, że ksiądz przemawia wyłącznie do niej. Bacznie obserwowała wszystko, co robił. Z uwagą słuchała każdej pieśni śpiewanej przez chór. To był jej show. Pomagała też w przyrządzaniu uroczystego posiłku przygotowywanego przy takich okazjach dla księdza. Cieszyła się, że katecheta ją do tego angażował. Była zadowolona ze swojego nowego statusu. Nareszcie znalazła swoje miejsce i nie zamierzała z niego rezygnować.

Serenity natomiast pozostał człowiekiem miasta. Zamienił pagodę na mniejszy dom miejski z jedną sypialnią, jednym dużym pokojem, jedną kuchnią i jedną łazienką, połączony z dwoma innymi domami tego samego typu, otoczony wspólnym ogrodzeniem. Jego sąsiedzi byli ludźmi po czterdziestce i pięćdziesiątce, szukającymi spokoju w miejskim

zgiełku. Ze swej pozycji w centrum mógł cieszyć się anonimowością miasta. Wieczorami czytał książki i słuchał radia, najczęściej BBC albo Głosu Ameryki. W ciągu dnia załatwiał sprawy związku zawodowego w swoim biurze lub na zebraniach w mieście. Nigdy nie zapraszał kolegów z pracy do domu. Dom oznaczał strefę prywatną. Najczęściej jadał w małej restauracji, a wróciwszy do domu, nastawiał herbatę. Kilka razy w tygodniu Nakibuka przynosiła mu starannie przygotowane posiłki, jakby okazywała mu względy. Był zawieszony pomiędzy światem mężczyzny żonatego i nieżonatego i potykał się w niemal monotonnym tam i sam pomiędzy żoną a kochanką. W czasie weekendu wsiadał w autobus, by odwiedzić Kłódkę i dzieci i zawieźć im potrzebne rzeczy. Ze skutecznością obciążoną poczuciem winy wypełniał obowiązek żywiciela rodziny.

W ostatnim kwartale 1978 roku trójkąt, diabelski wynalazek matematyczny, po raz pierwszy objawił się w naszej historii. Kilka lat później miał się na nowo pojawić, zaopatrzone w odpowiednią ilość ognia i siarki, by podpalić cały kraj. Pierwszym śmiertelnym trójkątem był Trójkąt Kagera, kawałek terytorium tanzańskiego o powierzchni siedmiuset kilometrów kwadratowych przy granicy z Ugandą. W ciągu kilku godzin został zdobyty przez żołnierzy Amina. Metodą Blitzkriegu, jak lawa strzelająca z krateru wulkanicznego, czołgi, samoloty bojowe Mig i piechota zaatakowały tanzańską straż graniczną i zaskoczonych obywateli, zajmując Trójkąt przy gwałtownym wybuchu mordów, plądrowań i podpaleń. Ci, którzy mieli szybkie nogi i potrafili szybko myśleć, rzucili się do ucieczki, umykając twardym jak kamień rogom tych bawołów; ci, którzy się wahali - zginęli. Po latach Bawoły Agresji twierdziły, że szukały w Trójkącie Kagera elementów antyrządowych, które kryły się w lasach, krzakach, na wzgórzach i wzdłuż rzek. Rozgłoszania partyzancka potępiała napaść i aneksję wśród pisków i szumów za szafą, gdzie chowaliśmy się, słuchając radia.

Czułem podniecenie narastające jak gorączka, budzące wszystkie mary z przeszłości, na które natknąłem się na zakurzonych półkach seminaryjnej biblioteki. Słyszałem trzaskanie płomieni pochłaniających domy, płacz ludzi błagających o życie, dudnienie kopyt bydła pędzonego do wojskowych samochodów oraz szczęk aluminiowych i srebrnych sztućców i naczyń wrzucanych do wojskowych worków.

Biegunka słów, tego samego rodzaju co audycje nadawane podczas miodowego miesiąca Amina, zagłuszyła następstwa aneksji tanimi, mętnymi historyjkami, mającymi na celu sianie zamętu. Były to oczywiste kłamstwa, lecz uspokajały spragnionych pocieszenia ludzi. Niełatwo było potępić tę fanfaronadę, bo była tym, na czym Amin przede wszystkim jechał w ciągu minionych ośmiu lat.

Ale sytuacja pogarszała się. Ceny rosły, a spekulacja i przemysł przeżywały rozkwit. Artykuły importowane gniły w portach Kenii, gdzie leżały skonfiskowane całe miesiące, a czasem nawet lata. Odrobina benzyny, jaka jeszcze była, szła dla wojska, więc komunikacja w kraju załamała się. Nie było już transportu żywności ze wsi do miast i ciotka Lwandeka podawała nam zniechęczone *posho*, wprawdzie lepszej jakości niż to w seminarium, ale było to *posho*. Ponieważ ludzie nie mogli pracować, wiele rodzin pogrążyło się w biedzie. Duże rodziny nękał głód, częstokroć musiały się ograniczać do zaledwie jednego skąpego posiłku dziennie. Wielu ludzi zastrzelono podczas kradzieży żywności ze sklepów lub magazynów. Sytuacja była bardzo poważna: wojna osłabiła energię, ale obudziła żądzę zemsty i hodowała kozły ofiarne oraz kolektywne poczucie winy.

Kiedy w ludzkich głowach kłębiło się od trosk, sapiące ciężarówki, załadowane rzeczami zrabowanymi w Trójkacie, brudne i przeciążone, jechały na północ. Oficerowie noszący się z myślą o rebelii zaspokajali teraz głód przeklętą zdobyczą, zapowiadającą hekatombę.

Mijały tygodnie i liczba samochodów ciężarowych udających się w kierunku północnym zmniejszała się. Rozgłoszła partyzancka poinformowała nas, że Bawoły Agresji rzuciły się do ucieczki, sprowadziwszy prastarego potwora wojny na terytorium Ugandy. Grabieżców z Trójkąta rozszarpywano na strzępy. Kakofonia krwiożerczych słów, wymienianych przez przywódców obu krajów, zwiększała poczucie zagrożenia. Narodowa tragedia, która rozpoczęła się przed ośmiu laty pod przywództwem reżysera - mistrza Idi Amina, zbliżała się ku końcowi.

Wujek Kawayida przesłał nam wiadomość bożonarodzeniową w formie pospiesznie napisanej notatki: na granicy wybuchła wojna i tanzańskie siły zbrojne oraz ugandyjska partyzantka wtargnęły daleko w głąb kraju. Zapewniał nas jednak, że na „wyzwolonych” terenach obywateli dobrze traktowano i że jedyne niebezpieczeństwo stanowili uciekający żołnierze Amina.

Zamknięto szkoły, a nauczyciele obcokrajowcy opuścili kraj, łącznie z ojcem Gillesem Lageau, który pozostawił seminarium swojego wielkiego psa. W obłoku strachu, rozpacz i kurzu żołnierze i ich rodziny rzuciły się do ucieczki w kierunku północnym, samochodami załadowanymi wybrudzonymi meblami, płochliwymi kozami, przyduszonymi kurami, ogłupiałymi kobietami, smutnymi dziećmi i sennymi starcami. Co się stało z Łodygą? Czy był teraz w wojsku? Może też uciekł? Czy zabrał ze sobą swoje zdjęcia pornograficzne? Wszystko to przypominało mi azjatycki exodus z 1972 roku. Podczas tamtych dni małe dzieci stały wzdłuż drogi, śpiewając pieśni wychwalające generała Amina i potępiające przestępstwa

azjatyckiej społeczności, zwłaszcza monopolizację gospodarki. Tym razem nie śpiewano i słyhać było jedynie zgrzytanie przeładowanych samochodów, przesłanie było jednak zrozumiałe.

25 stycznia 1971 roku cały mój świat stanął na głowie: obrabowano mnie z Babci, a moja młodość poszła w kierunku, który można było przewidzieć. Osiem lat później z cynicznym rozbawieniem przypatrywałem się obchodom tej rocznicy. 25 stycznia 1979 roku był tak fałszywym dniem, tak ponurym i groźnym jak pysk rasowego buldoga. Każdy, obywatel czy żołnierz, był zdenerwowany, jakby przygnieciony trąbami porażki. Obserwowałem twarze żołnierzy, mężczyzn, na których punkcie tak kiedyś szalałem, bo dawali mi poczucie bezpieczeństwa w dniu, w którym Amin podzielił na dwie części Jezioro Alberta. Wyglądali na wyczerpanych i wyniszczonych, jakby przez miesiąc jedli zatrutą żywność. Wiedziałem, że byli wśród nich mężczyźni, którzy popełnili najstraszniejsze przestępstwa, którzy torturowali, okaleczali i zabijali ludzi. Jak oddzielić ziarno od plew?

Amin jawił mi się teraz jako demoniczne widmo, które przybyło, żeby zdestabilizować ludzi i zanieczyścićację, kładąc nacisk na zło od wewnątrz. Moje przecucie mówiło mi, że posiane ziarenka puszczają pędy i że najgorsze dopiero nastąpi. Optymiści twierdzili coś zupełnie przeciwnego. Ale jedynym, czego ludzie pragnęli, była głowa Amina na tacy.

Pomyślałem o epidemii hiszpańskiej grypy, na którą w 1918 roku, kiedy wojna już się skończyła, zmarło prawie dwadzieścia milionów Europejczyków. Wyobrażałem sobie, że żołnierzy Amina również dotknie jakaś epidemia, cholery albo czegoś podobnego. Ciotka miała inne zdanie. Była wielką optymistką. Dla niej upadek Amina zdawał się oznaczać wszystko, koniec wszelkich naszych kłopotów. Zacząłem podejrzewać, że brygadier obiecał jej różową przyszłość.

Jako zapowiedź rzeczy, które miały nastąpić, koledzyrebe - lianci ciotki zniszczyli połączenia elektryczne i miasto wraz z okolicą spowiły ciemności. Przypomniał mi się sabotażysta z seminarium. Brak wody był coraz dotkliwszy i sprawiał, że miasto nie nadawało się do zamieszkania. Domy stawały się śmiertelnymi pułapkami, w których ludzie dusili się od obrzydliwego smrodu z toalet. Walczono przy pompach wodnych, studniach i wszędzie, gdzie tylko można było znaleźć wodę.

Pewnego wieczoru naszym miasteczkiem wstrząsnęła seria wybuchów. Tego samego dnia około dwudziestej pierwszej do naszych drzwi zaczęli walić żołnierze. Wsadziłem właśnie dzieci do łóżek i zamierzałem posłuchać radia. Kiedy ostre żołnierskie głosy rozkazały mi otworzyć drzwi, natychmiast to uczyniłem. Dwóch żołnierzy wpadło do domu.

Jeden z nich pobiegł do sypialni. Dom wypełnił zapach potu, smród brudnych skarpet i odór nieświeżych oddechów. Pytali, gdzie jest mój ojciec. Odparłem, że nie żyje, i pokazałem im dokument identyfikacyjny. Serce biło mi w gardle, gdy pomyślałem o zdjęciu brygadiera w Biblii pod materacem ciotki. Wstrzymałem oddech, kiedy jeden z żołnierzy ściągnął prześcieradło z jej łóżka. Poszturczał w materac, ale zamiast podnieść go od strony głowy, odwrócił się w stronę nóg. Niczego nie znalazł. Odniosłem wrażenie, że swoją charyzmą zapobiegłem katastrofie. Inni nie mieli takiego szczęścia. Słyszałem krzyki ludzi, których bito i którym zabierano pieniądze, jakie mieli w domu. Kilka domów dalej aresztowano dwóch mężczyzn. Nie mieli dokumentów identyfikacyjnych, więc potraktowano ich kolbami karabinów i wepchnięto do jeepa. Operacja Partyzancka Kryjówka posuwała się naprzód z chrzęstem wojskowych butów, kopnięciami otwierała drzwi i głośno wyszcze kiwała rozkazy.

Ale gdzie właściwie podziewała się ciotka? Byłem wściekły. Dlaczego wciąż jeszcze ryzykowała życie dla tych rebeliantów? Co by się stało, gdyby znaleźli to głupie zdjęcie brygadiera?

Lwandeka musiała wyczuć moją wściekłość, jeszcze zanim weszła do domu, bo rzuciła mi swój dziewczęcy uśmiech, przeprosiła i uspokoiła burzę. W całym mieście roilo się od rebeliantów z NRR, ale ani jednego nie złapano, ponieważ wszyscy mieli właściwe dokumenty.

Kiedy rozgłośnią partyzancka zamilkła, nasze noce zmieniły się. Jakże te audycje były dla nas ważne! Później szpikowano je bombastycznym belkotem i wkrótce zaczęły ustawać. O sytuacji w kraju dowiadaliśmy się teraz jedynie z luźnych, nie powiązanych ze sobą pogłosek. Nie przyjmowałem opowieści ciotki za dobrą monetę, ponieważ przypuszczałem, że stosowała wobec mnie coś w rodzaju terapii uspokajającej. Wiadomości docierały do mnie poprzez kierowców licznych ciężarówek, wyładowanych brudnymi żołnierzami. Oficerowie zasuwali w jeepach z długimi antenami i włócznieami przymocowanymi do chłodnicy, jakby celowali we wroga na niebie. Pewnego razu wydało mi się, że w ogonie konwoju pojazdów pełnych żołnierzy rozpoznaję peugeota doktora Ssalego i ciotki Tiidy. W tym czasie każdy, kto tylko miał samochód, odkręcał koła i ukrywał je gdzieś. Ale w moim odczuciu ciotka Tiida nie była osobą, która podjęłaby takie kroki. Według mnie nie zgodziłaby się zbyt szybko na profanację ich gabloty. Może się jednak myliłem? Czyż podczas najtrudniejszych dni męża nie stanęła przy nim? Miss Sunlight Mydło również miała swoje nieprzewidziane strony. W takich okolicznościach Kłódka natychmiast zdjęłaby koła. I jak skakałaby z radości, gdyby samochód Tiidy został zarekwirowany!

Stawiano coraz więcej blokad na drogach, ale żołnierze Amina zachowywali się

spokojnie. Wielu podróżnych musiało się rozbierać, by pokazać, czy na ich ramionach nie znajdują się pręgi od pasów karabinów. Reszta musiała znosić łotrostwo pokonanego wojska: okup. Niczym w wyniku cudu, blokady dróg wciąż się przemieszczały: były rano, w południe znikwały, a wieczorem znowu się pojawiały. Wyglądało to na zabawę i od czasu do czasu naprawdę miałem wrażenie, że obserwuję jakąś grę.

Ruch pojazdów na północ powoli ustawał. W ciągu czternastu dni droga stała się pusta i samotna jak opuszczony grób. Pomyślałem o Dziadku i eksplozjach, które przewidział. Chciałem pojechać do niego, ale próżnia między nami z godziny na godzinę stawała się coraz większa i rozbrzmiewała odgłosem bomb. Podczas tego, co wydawało się punktem kulminacyjnym, przez dwa tygodnie, dwa dni i dwie koszmarne noce walczone bez przerwy. Miasto drżało i trzęsło się w posadach, wybuchały bomby i burczały puste żołądki. Przypuszczono szturm na centrum Kampali, na narodowe radio i budynek parlamentu. Rząd Amina upadł. Był 11 kwietnia 1979 roku.

W naszym miasteczku rozbrzmiewały sporadyczne strzały, kiedy żołnierze Amina brali nogi za pas. Linia frontu rozplynęła się w oddali, w bezkształcie przykrego snu. „Wyzwoliciele” pojawiali się i znikali, przepędzając wrogów coraz dalej na północ i wschód. Puskę Pandory pełną starych konfliktów pozostawili za sobą. Wojna rozpoczęła się w mózgu i na stronach bibliotecznych książek. Zakończyła się w tej samej surrealistycznej atmosferze. To jej następstwa uświadomiły mi, czym są realia wojny.

Amin, człowiek, który nadszedł otoczony tajemnicą, zniknął za niewiadomą granicą, pozostawiając za sobą opary wojny, pieniąc się i przeklinając, choć nie stał się ani odrobinę mądrzejszy, jeśli chodzi o jego własną przyszłość. Ale jego dziedzictwo dopiero teraz zaczęło zapuszczać korzenie i rozkwitać.

Nasza wieś, zamknięta między Mpande Hill i Ndere Hill, została wzięta na rogi i skopana, kiedy pognały przez nią Bawoły Agresji w drodze do swojej ostoji na północy. Żołnierze z pobliskich baraków wciąż nawiedzali nową część wsi, jakby mieli ochotę kontynuować swe stare hulanki. Łapali i uprowadzali kobiety w dzinsach, które napłynęły wraz z fałszywą falą dobrobytu, samochodami marki Honda i terenowymi motorami. Resztę ludzi w dzinsach pochłonęły mokradła i las, gdzie dołączano do mieszkańców starej wsi, którzy postanowili nie ryzykować. W czasie odwrotu żołnierze na chybił trafił ostrzelali x opuszczone domy. W parafii Ndere tłum wieśniaków szukał schronienia pod krzyżem. Żołnierze Amina poszli na rabunek do domu księży, zabrali pieniądze i kosztowności, ukradli busa i uprowadzili kilka dziewcząt. Zażądali też okupu od uchodźców, łamiąc przy okazji komuś rękę. Żądali coraz większych kwot. Księża negocjowali z nimi w imieniu

mieszkańców wsi i jakoś udało im się ich ugadać. Wyjeżdżając, jak zwykle strzelali w górę. Zauważyli wtedy Santo, wiejskiego wariata. Wyglądało, jakby pisał palcem w powietrzu i nie był niczego świadomy.

Chodził tam i z powrotem między dwoma budynkami szkolnymi. Krzyknęli, że ma się zatrzymać, ale nie usłyszał ich albo jeśli nawet usłyszał, zachowywał się tak, jakby nic do niego nie dotarło. Jeden z żołnierzy wystrzelił i roześmiał się. Santo nie został trafiony, zniknął za szkołą i czekał na swoją ulubioną porę, żeby napisać na tablicy „Kyrie elejson, Chryste elejson”. Obecnie pisał własne słowa i sam je też zmazywał.

Zmianie rządu towarzyszyła muzyka wojskowa. Obiecywano ludziom pokój i bezpieczeństwo. Naród obudził się i z energią potężnego byka wychodził naprzeciw nowemu. Płakano i krzyczano z radości. Tłumiony optymizm wyrażano oślepiającym kalejdoskopem emocji. Powietrze przecinały okrzyki typu: „Nigdy już, nigdy nie pozwolimy, by rządziły nami karabiny” oraz: „Zapłaciliśmy najwyższą cenę i teraz będziemy wiecznie żyć w pokoju”.

Nasi wyzwoliciele, tanzańscy żołnierze i ugandyjscy wygnańcy, spokojnie obserwowali tłum. Rozdawali ten rodzaj wyższej uprzejmości, który z reguły zarezerwowany jest dla degeneratów. Mimo to ludzie gromadzili się wokół nich. W jakże bezwstydnym, prawie służalczym sposobie nasi mężczyźni i kobiety zwracali się do nich! Pomyślałem, że miałem szczęście, ponieważ w ciągu minionych ośmiu lat najgorsze zostało mi oszczędzone i mogłem sobie pozwolić na przyglądanie się temu wszystkiemu z boku. Wyzwoliciele, mówiących gładkim, wypolerowanym, śpiewnym suahili, obejmowano, całowano, noszono na rękach obsypywano bezmierną wdzięcznością. W rojących się od ludzi ulicach i śmierdzących moczem zaułkach tańczono i śpiewano. Był to najczystszy wyraz radości, jaki kiedykolwiek widziałem, wolny od religii i polityki - radości króla Dawida tańczącego przed Arką Przymierza. Przez naród powiała euforia, jak silny, odurzający wiatr, również niżej podpisany został przez nią do pewnego stopnia uniesiony. Odurzały nowe możliwości, nowe szanse i nowa pewność i tak przenoszono się na najbardziej kolorowe strony najbardziej tajemniczych opowiadań fantastycznych. Ludzie nie mogli złapać tchu, bo było to coś, co nie zdarzyło się im w ciągu ostatnich ośmiu lat.

Po morzu radosnych okrzyków pływały ciche wysepki powstrzymanego strachu: były to ciemne, czasem naznaczone bliznami plemiennymi twarze mieszkańców północy kraju.

Starali się wyglądać radośnie w nadziei, że nie będą przypominać swoim południowym współziomkom ich oprawców i morderców, którzy rzucili się do ucieczki. Było

widać, że modlą się, by nie zetknąć się z lśniącymi pangami zemsty. Każda radująca się ręka mogła kogoś okaleczyć. Każde otwarte usta mogły skazać kogoś na śmierć. Ale w tej chwili radość tłumu była zbyt intensywna, by skaląły ją niskie emocje, a zemsta siedziała bezpiecznie pod wielobarwną pokrywą euforii.

Słaniałem się na nogach, a ciotka skakała z radości. Trzymałem ją blisko siebie i czułem jej ciało drżące z gorączkowej radości. Po jej policzkach spływały łzy szczęścia. Wydawało się, jakby siła napędowa tłumu unosiła mnie w górę. Naraz stanowałem część potwora i byłem unoszony i pchany do przodu krzykami, odurzony radosnymi wrzaskami, łzami i śmiechem. Teraz wiedziałem już na pewno, że wojna zniknęła ze wzgórz usianych bronią i sprzętem militarnym, z dolin rojących się od żołnierzy, wraz z powietrzem zanieczyszczonym materiałami wybuchowymi, i szalała w nas wszystkich. Nie wiadomo kiedy puściłem ciotkę. Pamiętam, że grupka mężczyzn rozdawała napoje i usilnie nakłaniała mnie, żebym pił, pił, pił. Był to rodzaj zawodów. Grzmiały bębny, śpiewano nieprzyzwoite piosenki. Byłem pijany od świateł. Zaczęło mi się kręcić w głowie, przewróciłem się i zwymiotowałem na ścianę. Handlarka, która sprzedawała pędzony przez ciotkę alkohol, zaprosiła mnie do swojego mieszkania. Wiedziałem, że mnie lubi, ale nie była już podlotkiem. Wytarła mi do czysta twarz, ubranie i buty. Miała wspaniałe kolana, które lśniły jak wypolerowane i powleczone werniksem drewno. Spojrzałem na jej ręce. Ciotka twierdziła, że wiek kobiety można odczytać z jej rąk. Nie potrafiłem. Myślałem, że ciotka tak mówiła, bo sama miała wspaniałe, gładkie dłonie. Kiedy handlarka prowadziła mnie w kierunku sof, obezwładniły mnie jej piękne kolana. Złapałem ją z całej siły i spuściłem się / do spodni. Ostatnim, co słyszałem, były jej przekleństwa.

Minęły dwa dni. Czułem się bardzo chory. Nie mogłem spać z powodu hałasu i wystrzałów. Kiedy przyjechał wujek Kawa - yida, ucieszyłem się, że znów mogę go zobaczyć, ale on był dziwnie powściągliwy. Miał na sobie brudne ubranie i zabłocone buty. Nie widziałem go wiele lat, uważałem jednak, że nie zmienił się za bardzo. Nadal był cienki, wysoki i miał się na baczności, a jego owalna twarz z tymi dużymi oczami nadawała mu przebiegły, ujmujący wyraz. Przerwał długą formułkę powitalną, którą zacząłem wypowiadać. To wskazywało na duże trudności. Czy jedna z jego żon została zgwałcona przez grupę żołnierzy? Czy członkowie rodziny jego żony zginęli w pożarze, podczas rzezi albo w wypadku? Pan Kavule, jego zmarły teść, pozostawił na świecie czterdzieścioro dzieci - trzydzieści dziewczynek i dziesięciu chłopców. Czy coś im się stało?

Ale niebezpieczeństwo czało się bliżej: zaginał Dziadek!

Tydzień przed upadkiem Amina Dziadek opuścił wieś, aby spotkać się ze starszyzną

klanową. Mimo że przepowiedział narodową eksplozję, sądził, że jeszcze nie nadszedł na to czas. We wsi, z dala od głównej sceny, na której rozgrywała się wojna, wszystko było jeszcze spokojne. Dziadek myślał, że wróci przed upadkiem miasta. Spotkał się w mieście ze starszyzną, omówił kilka ważnych spraw klanowych i wyruszył z miasta na trzy dni przed jego upadkiem. Po raz ostatni widziano go w kabinie przeciążonej ciężarówką z platformą, która miała go zawieźć prosto do domu.

Byłem chory ze zmartwienia. Zapytałem wujka Kawayidę, co o tym sądzi, ale nie chciał rozmawiać na ten temat. Czekał, aż przyjedzie Serenity, aby ułożyć plan szczegółowych poszukiwań. W międzyczasie zapytał mnie, co chcę robić w przyszłości. Chciał wiedzieć, jak stoję finansowo. Opowiedziałem mu o wakacyjnej gorzelnianej działalności ciotki. Przez chwilę robił obliczenia, rysując palcem wskazującym po dłoni, a potem pokiwał głową i oświadczył, że to dobry biznes. Co bym powiedział na wzięcie w tym udziału? - zapytał. Odparłem, że to niebezpieczne. Odpowiedział na to, że właśnie niebezpieczne sprawy przynoszą dużo pieniędzy. Ale ja uznałem tę sugestię za odpychającą. Jak ja, były bibliotekarz seminarium, który przepędził ojca Mindi, pognął ojca Lageau, przysły adwokat, mógłbym zajmować się czymś tak przyziemnym jak pędzenie alkoholu w beczkach po oleju nad ogniskiem? Byłem przeznaczony do oficjalnego zawodu urzędniczego, w którym zarabiałbym oficjalną pensję. Powiedziałem, że zamierzam pracować na pół etatu jako nauczyciel. Kawayida z rezerwą ściągnął usta w ciup. Z tego nie ma pieniędzy, dawał mi do zrozumienia. Jak długo jeszcze będę żył na koszt ciotki? Zapomniałem języka w gębie i poczułem się niezrozumiany. Zapytałem o jego hodowlę indyków i brojlerów.

Mówił, że zarobił mnóstwo pieniędzy, bo inaczej się do tego zabrał: kiedy inni w pośpiechu rzucili się na handel detaliczny, on pozostał przy własnej firmie. Chciałem poprosić go o radę w sprawach miłosnych. Chciałem usłyszeć coś więcej o jego eskapadach z siostrami żony. Chciałem dowiedzieć się, co myśli o poligamii. Szukałem właściwych słów, żeby wyrazić zarówno podniecenie, jak i swój głód wiedzy, ale nie udało mi się ich znaleźć. Mimo to była to dla mnie dobra rozrywka. Szukając sposobu postawienia mu pytań o seks, zapytałem o jego matkę. Powiedział, że bardzo troszczyła się o Dziadka. Ale gdzie Dziadek teraz przebywał?

Wkrótce przyjechał Serenity; widać było, że obawia się najgorszego, jakby ze stron jego ulubionej książki wyskoczył potwór i dręczył go, uprowadzając mu ojca, po którym miała przyjść kolej na żonę i dzieci. Nie widziałem go bardzo długo, ale wydawało się, jakby to było wczoraj. Obaj mężczyźni prawie natychmiast wyruszyli na poszukiwania na motorze pożyczonym przez wujka Kawayidę od kolegi. Kawayida wciąż jeszcze nie miał odwagi

używać swojego samochodu dostawczego, z obawy, że wyzwolители zarekwirują go na cele militarne.

Tymczasem straciłem swobodę ruchu. Czułem się jak kamień na dnie rzeki: wokół mnie jak wiry kłębiły się wydarzenia. Musiałem pilnować dzieci, bo ciotka była zajęta zebraniemi NRR i prawdopodobnie również brygadierem. Koalicja wygnańców zamierzała utworzyć przed wyborami prowizoryczny rząd. Ciotka optymistycznie twierdziła, że NRR odegra w koalicji dużą rolę. Zapytałem ją, czy nadal chce się zajmować polityką. Odpowiedziała mi, że szuka pomocy finansowej ze strony NRR, żeby móc otworzyć własną firmę. Było jasne, że wciąż jeszcze jest przywiązana do własnej niezależności. Szerzyły się jednak pogłoski, że koalicja jest tylko przykrywką powrotu byłego dyktatora Obote, który lata rządów Amina spędził / w Tanzanii. Ciotka oświadczyła, że te pogłoski są fałszywe: że Obote nigdy nie wróci. Zaprzepaścił swoją szansę i nie pozwolono by mu na powrót. Niezupełnie byłem o tym przekonany, ale ciotka nie miała ochoty wdawać się w obiektywną analizę sytuacji. Najwidoczniej wierzyła, że Tanzańcy przyszli wyłącznie po to, żeby pomóc Ugandyjczykom w obaleniu Amina. Ale kto ma zapłacić za wojnę? Uganda oczywiście. Kto ma się zająć rozrachunkiem? Pomyślałem o Traktacie Wersalskim z 1919 roku, zawartym w celu zagwarantowania zapłaty przez

Niemcy odszkodowań. Czy Uganda zawrze traktat z Tanzanią, czy też gwarancją zapłaty będzie powrót Obote? Ciotka nie pozwalała ukrócić swojego optymizmu tego typu bezdusznymi spekulacjami. Czułem, że złościły ją teorie kogoś, kto nie brał udziału w walce, kogoś, komu nigdy nie groziły tortury ani śmierć. Ufała NRR i brygadierowi, którego zdjęcie wciąż jeszcze spoczywało ukryte pod materacem. Czy powinienem podważać to zaufanie? A jeśli tym razem wiedziała coś, czego ja nie wiedziałem? Milczałem. Może nękałem ją tymi sprawami tylko po to, żeby zapomnieć o zniknięciu Dziadka?

Mniej więcej w tym samym czasie nadeszła wiadomość, że ciotka Kasawo, która lata temu przeżyła pościg na śmierć życie, została napadnięta przez mężczyzn w mundurach - jak eufemistycznie określano oprawców Amina. Przypadek ten na chwilę odwrócił moją uwagę od poszukiwań Dziadka. Napad miał miejsce na krótko przed upadkiem Kampali, co oznaczało, że ludzie Amina opuścili już wtedy jej okolice. Miałem przeczucie, że to nasi wyzwolители napadli ciotkę. Gdyby stał za tym Amin, rozumowałem, to powiedzieliby o tym, ponieważ Amina już nie było i panowała wolność słowa. Eufemizm ten wskazywał na odrazę publiczności, która nie chciała uwierzyć, że wyzwolители również są w stanie robić takie rzeczy, zwłaszcza teraz, gdy euforia wciąż przeżywała apogeum. Tym razem wiedziałem jednak, że prędko dowiem się prawdy. Moja teoria była już uformowana, czekała tylko na

potwierdzenie. Słyszałem już pogłoski o wyzwolicielach, którzy „błagali” kobiety, by ich uszczęśliwiły, a czasem nawet zmuszali je do tego.

Trzy tysiące dziesięć dni ucisku, mordów, tajemniczych zniknięć, uprowadzeń i wybryków w salach tortur musiały wybuchnąć z piwnic pamięci na zalane słońcem ulice. Euforia, podobnie jak wszystkie inne narkotyki, przestała działać i ludzie, z objawami narkotycznego głodu w postaci rozszalałych potrzeb zemsty, zaczęli szukać kozłów ofiarnych. Deficyt żywności nie wpływał na poprawę sytuacji, a w pełnych frazesów informacjach radiowych wyraźnie słychać było fałsz.

Niewiarygodna nieobecność tyrana i wykalkulowana niechęć naszych wyzwolicieli do narzucania swojego autorytetu w obawie, że zostaną skojarzeni z ludźmi, których wysadzili z siodła, sprawiła, że w kraju powstała próżnia władzy. Nagle każdy, kto miał choć odrobinę odwagi, mógł zostać inkwizytorem, sędzią i oprawcą. Daleko we wsiach domy ludzi z północy domy niektórych muzułmanów padły już pastwą ognia. Grupa ludzi przypuściła również szturm na dom ciotki Nakatu i jej męża Hadżiego Ali. Oskarżano ich o popieranie Amina. Napastnicy wywołali mieszkańców z domu, grożąc, że inaczej go podpalą, a kawowce wytną w pień. Hadżi Ali wyszedł na zewnątrz i zapytał, dlaczego zwracają się przeciw niemu. Na szczęście zwyciężył w końcu głos rozsądku. Starsi z grupy przekonali rozjątrzonych napaleńców, że powinni okazać współczucie. Hadżi Ali podarował im dwie kozy. Inni mieli mniej szczęścia. Ich domy zostały spalone, kozy i kury wybite. Młodzi ludzie ze wsi, którzy kiedyś zajmowali się przemytem, włamali się do baraków wojska i doszczętnie je splądrowali.

Kiedy znalazłem się bliżej domu, pomyślałem, że śnię. Na szerokiej, zachłannej drodze, która połączyła uciekających ludzi z północy i oprawców Amina, kłębili się ludzie dźwigający na plecach lodówki, łóżka, części silników, nowe i używane opony, zardzewiałe i lśniące nowością płyty blachy falistej, okna i witraże, kanapy, bele materiałów, pudła lekarstw, pojemniki wypełnione laboratoryjną rtęcią, maszyny do pisania, worki ryżu, cukru, soli, puszki oleju do gotowania i do ogrzewania i wiele innych rzeczy. Rozebrani do połowy mężczyźni pchali auta, samochody dostawcze i motory, niektóre z przebitymi oponami, trzeszczące pod stertami załadowanych na nie przedmiotów. Plądrowano na wielką skalę: pierwsza faza czystki.

Gdzieniegdzie wzdłuż drogi leżeli ludzie, którzy załamali się pod ciężarem bezprawnie zdobytych rzeczy. Sapali, pocili się, 7 puszczały bąki i błagali o wodę. Wokół wystrojony szachraj z nabrzmiałymi na szyi żyłami uprawiał handel z potencjalnymi kupcami. Zależało im, żeby szybko sprzedać towar, wrócić do miasta i jeszcze raz obrócić,

zanim wyzwoliciele udaremnią tę okazję. Przy rozgrzebanych barykadach wyzwoliciele, w grupkach lub rozproszeni, przyglądali się z cynicznym uśmieszkiem, jak na ich oczach znika własność byłego rządu. Za plądrowaniem kryła się perwersyjna logika: ponieważ grabieżcy byli zwolennikami dzisiejszej władzy, brali tylko to, co się im należało, własność, której wcześniej używano do ich ciemnienia. Tak długo, jak długo byli zajęci, nie przysparzali wyzwolicielom kłopotu; gdy pozwoliło się im plądrować, można było, gdy przyszło do zdradzania ostatnich oprawców Amina, liczyć nawet na najbardziej podejrzane typy, które, jak obawiali się wyzwoliciele, mogłyby im jeszcze zadać cios w plecy.

Wydawało się, że szabrownicy doskonale wiedzą, że to ostatni raz, gdy uzbrojeni żołnierze patrzą przez palce, jak opróżniają sklepy i biura byłego rządu. Nie zamierzali zmarnować tej szansy.

Przez miasto przepływały fale szoku wywołanego wyzwoleniem. Ludzie maszerowali ulicami z trzepoczącymi na wietrze deklaracjami popierającymi mający dopiero powstać rząd koalicyjny. Szydzili z Idi Amina, żądali artykułów żywnościowych, środków pierwszej potrzeby, pokoju i demokracji. Z brzuchami burczącymi z głodu albo od zepsutej zagrabionej żywności, żądali kapitalizmu, darmowego szkolnictwa, lepszych mieszkań egzekucji Amina. W kakofonii nadziei, marzeń i żądań studenci z zaciśniętymi pięściami otoczyli miasto długimi, wielokolorowymi kordonami. Złodzieje i rabusie skwapliwie korzystali z ogólnego zamieszania. Sklepikarze z zaczerwienionymi oczami ochryłym głosem domagali się natychmiastowego wstrzymania grabieży lub rekompensaty od rządu.

Budynki, które ostrzelano, stały, tłąc się ponuro, wydzielając do atmosfery gęste, trujące chmury. Fasady sklepów, wybite samochodami ciężarowymi i traktorami, ziały czarną pustką niczym zbezczeszczone groby. Bruk zalegały odłamki szkła, przypominające rozbryzgi niebieskozielonej wody, płynącej z kanalizacji. Trasę większych grabieżców znaczyły ślady soli, cukru, sztucznego nawozu i oleju. Upiorny wiatr wiejący od strony martwych i umierających sprawiał, że powietrze roiło się od latających wokół papierów, tak że zdawało się, jakby napominano obserwatorów, przekazując im informacje zarówno tajne, jak i jawne.

To tu, to tam stare i świeże zwłoki wydzielają w rynsztokach, zaułkach i otwartych drzwiach czerwonożółtą ciecz, z nieruchomymi twarzami i ustami zasznurowanymi niewyjawionymi tajemnicami. Widziałem rany zadane ostrym narzędziem; widziałem członki oderwane od ciał przez bomby, ciężkie przedmioty i kule; widziałem kawałki mięsa, fragmenty kości i plamy krwi w kształcie oceanów i kontynentów.

W niemilosiernym upale i fetorze rozkładających się ciał, śmieci i emocji udało mi się

dotrzeć do postojów taksówek, dziury, z której z apokaliptycznym okrucieństwem zdawały się brać początek wszelkie rozruchy. Wokół niczym popcorn latały kule wyzwolicieli, którzy starali się, strzelając w powietrze, zaradzić jakoś chaosowi, nie szkodząc własnemu image ani nie podważając zaufania narodu. Od czasu do czasu wyłapywałem strzępy śpiewnego suahili, w którym przemawiali do tłumu.

Stałem na skraju niecki. Byłem oszołomiony i obawiałem się o własne bezpieczeństwo. Niecka zdawała się drżeć ze wszystkich stron z powodu trzęsienia ziemi, o którym marzyłem tuż po przyjeździe do miasta, oraz od narodowych eksplozji, które przepowiedział Dziadek. Od strony targu Owino dochodził straszliwy smród, pełen zgnilizny, trucizny i obłąkańczych idei, zarówno z przeszłości, jak i teraźniejszości, smród, który wywoływał jeszcze większy obłęd i zamieszanie. Architektoniczne gąfy, tworzące gnijącą szczękę *skyline*, zdawały się zapadać na boki i przewracać do przodu jak obscenicznie obnoszące się ze swymi zakrwawionymi korzeniami i dziurami zęby. Brudne okna, poplamione rdzą dachy, pokryte kurzem ściany domów na wzgórzach zdawały się stapiać w jedną ohydłą ropiejącą ranę. Rzeka Nakivubo wyglądała jak potok nieczystości tryskający z meczetu, katolickich i protestanckich katedr, sądu najwyższego i mieszkań zdetronizowanych generałów.

Przechodnie zepchnęli mnie ze schodów prowadzących do środka niecki, gdzie nie stał prawie żaden samochód. Odbywało się tam publiczne posiedzenie. Dwóch bardzo wysokich, czarnych jak smoła mężczyzn z Państwowej Służby Bezpieczeństwa, w koturnach, dzwonach i lustrzanych okularach przeciwsłonecznych, gapiło się na jury zza swych srebrnych kłapek na oczy. Ktoś zerwał okulary z jednej z tych twarzy i nakazał szacunek dla sądu.

— Znam cię. Byłeś w tajnej służbie. Aresztowałeś mojego ojca. Razem z kolegami rozbiłeś mu głowę i zostawiłeś w lesie Namanve. Pewnie jeszcze pamiętasz? - zawołała duża kobieta.

— Śmierć, śmierć, śmierć! - zaryczał zajadle tłum.

— Amin odszedł. Teraz ty i twoi kumple musicie za niego zapłacić! - wrzasnął ktoś.

— Zapłacić, zapłaacić! - wołano.

Wyrok był jednogłośny. Tajna służba, z długą listą mordów tortur na swym koncie, nie wzbudzała w nikim współczucia. Na dwóch „uznanych za winnych” koturniaków spadły ciężkie przedmioty, a wraz z nimi mściwa siła trzech tysięcy dziesięciu dni udręki. Kiedy upadli na ziemię, byli już tylko na wpół przytomni. Krąg wokół nich zamknął się i obaj

zostali zatluczeni.

— Te świny nawet nie błagały o litość - powiedział ktoś przechodzący obok mnie. Kiedy napięcie się ulotniło, przecisnąłem się w inne miejsce.

Na ulicach leżały podeptane portrety Amina, podarte, lecz jeszcze rozpoznawalne. Mające go przedstawiać kukły z powyrywaniem członkami tliły się w gryzących ogniskach podsycanych benzyną. W pobliżu miejsca, w którym uczestniczyłem w pierwszym porodzie, stało parę osób, patrząc na kłęby dymu wzbijające się z płonących opon. Widziałem zamazane kontury czterech mężczyzn, pomarszczone i powykęcane od śmierci. Przyłapano ich, gdy próbowali uciec samochodem dostawczym. Zaprzeczali, jakoby byli stronnikami Amina, ale podczas dokładniejszego badania okazało się, że mieli na ramionach pręgi od pasków karabinów. Niemal natychmiast naciągnięto na nich opony samochodowe i podpalono.

Moją uwagę oraz uwagę prawie każdego w niecce przyciągał ryczący megafon. Za niosącym go człowiekiem postępowała grupka wycieńczonych i obdartych mężczyzn i kobiet w ekstazie, dopiero co uwolnionych z sal tortur na Nakasero Hill, tuż za Sądem. Szkielety tańczyły, wymachując gałęziami, a z ich oczu spływały cienkie strużki łez. Wszyscy wokół bili im brawo. Kupcy, szczęśliwi, że umknęli śmierci, rozdawali ocalonym bułki, napoje i co tylko mieli, nie żądając w zamian pieniędzy. Niektórzy dawali im pieniądze na powrót do domu. Większa część wycieńczonej grupki znajdowała się w stanie otępienia, nieszczęśnicy spoglądali przed siebie nieruchomym, szklanym wzrokiem, jakby nie mogli uwierzyć w swoje uwolnienie. Poruszali się, jakby wciąż jeszcze byli zakuci w łańcuchy i odurzeni smrodem wymiocin i krwi, gówna i przemocy sal tortur i cel. Teraz chodzili z całym ciężarem wolności na ramionach i dla niektórych było tego zbyt wiele.

Pomyślałem o Dziadku. Gdzie był? Czy leżał ranny w jakimś dole, budynku albo lesie, czekając, aż ktoś usłyszy jego wołanie o pomoc? Do tej pory jego synom nie udało się go jeszcze wyśledzić ani znaleźć nikogo, kto wiedziałby, gdzie mógł przebywać. Szukali w kostnicach, szpitalach, tymczasowych azylach dla uchodźców, barakach wojskowych i u członków rodziny, lecz nadaremnie. W ciągu minionych tygodni prawie wcale nie spali i nie wiedzieli już, co robić. Ciotka Lwandeka poprosiła także kolegów z NRR o pomoc w szukaniu Dziadka, ale jeszcze się nie odezwali.

Z ostrym zapachem palącej się gumy w nozdrzach, szaleńczą ciekawością w głowie oraz strzałami karabinów i okrzykami radości w uszach przeciskałem się przez tłum. Szedłem obok zwęglonych szczątków i okaleczonych wizerunków w kierunku katedr. Szedłem poszukać Dziadka w katolickiej katedrze Lu - бага, a jeżeli to konieczne, również w

protestanckim kościele Namirembe. Było bardzo wilgotno i upał kleił się do mojej skóry jak warstewka maści.

Na skraju niecki zasiadał inny trybunał. Wydawano wyrok śmierci na ludzi z bliznami plemiennymi na twarzy w kształcie rombów, pionowych nacięć, poziomych karbów i napuchnię - tych guzków na czole, skroniach lub policzkach, zdradzających pochodzenie. Każda osoba z takimi znakami była podejrzana. W ławie oskarżonych stały trzy kobiety z pionowymi bliznami na policzku, a osądzało je kilku obdartych chłopaków, dość młodych, by być ich synami. Otaczający ich ludzie napawali się tą delegacją sędziowskiej władzy wobec wyrzutków społeczeństwa. Mieli niewzruszoną postawę przywódcy mafii przypatrującego się, jak podwładni dokonują zemsty.

Chłopcy, którym dokuczały wszy na głowie, plamy w kroku, klej w mózgu, których oczy błyszczały od tej rzadkiej władzy absolutnej, z jaką ma się do czynienia jedynie podczas wojny, krzyczeli:

— Czarownice, czarownice!

— Czarownice... spalcie je, czarownice... usmażcie je, czarownice... pieprzcie je...

Oskarżone schlebiały swoim oprawcom i próbowały odwołać się do ich uczuć. Wytrzeszczone oczy kobiet nabiegły krwią, nozdrza były rozdęte, a twarze wykrzywione ze śmiertelnego wstydu - straszne wahanie między pokorą a pogardą, błaganiem a wyniosłością.

Na rozkaz swego przywódcy chłopcy zapędzili trzy kobiety do rogu. Zdarli z nich przemoczone szmaty i zaczęli obrabiać brzytwą blizny po cesarskim cięciu i rozstępy po ciążach, obracając w perzynę wszystko, na co natrafiły ich ręce. Widać było błysk metalu, dawał się słyszeć trzask kości i zwierzęce wycie okaleczanych. Nie czekałem na koniec.

W katolickiej katedrze, wysoko na wzgórzu pokrytym jak Golgota czaszkami i piszczelami, roiło się od ludzi liczących zarówno na zbawienie, jak i na artykuły żywnościowe. Wielu przybyło z daleka, czasem z odległości pięćdziesięciu kilometrów, uciekając przed nadeciągającymi siłami zbrojnymi z Tanzanii i sfrustrowanymi oddziałami Amina. Dla tych ludzi arcybiskup był bohaterem, a grzechy kleru zaledwie pchłami na zwykłe grzesznym psie. Ci, którzy przeżyli, nie mieli ani fanatycznego spojrzenia krzyżowców, ani wyzywającego wyrazu twarzy męczenników: byli wystraszeni, niepewni, nieśmiali - jakby sądzili, że nastąpiła jedynie przerwa w wojnie i że na nowo się rozszaleje, gdy tylko wrócą do domu. Przemierzałem cały teren w poszukiwaniu Dziadka i przejrzałem nawet listy w biurze administracji, ale bez rezultatu. Opuściłem katedrę z jej fallicznymi wieżami, ogniskami, na których gotowano jedzenie, płaczącymi dziećmi i zagubionymi dorosłymi, i ruszyłem w kierunku kościoła protestanckiego. Było to szukanie igły w stogu siana. Na niczym nie

mogłem się już skoncentrować. Zdawało mi się, że jestem równie otępiały jak wycieńczone ofiary tortur, które widziałem w niecce, i równie osowiały jak mysz pod wpływem narkotyków. Kiedy ponownie wyszedłem na zewnątrz, nadepnąłem na czyjeś ubrania suszące się na trawie podniosły się za mną rozzłoszczone głosy.

W głównym biurze Najwyższej Rady Islamskiej, która kojarzyła mi się z nawróceniem doktora Ssalego, tłoczyli się muzułmańscy uchodźcy. Każdy, kto obawiał się odwetu, próbował skryć się za potężną tarczą wielkiej budowli. Wydawało mi się, że wśród kobiet z odsłoniętymi twarzami dostrzegłem Lusanani. Podszedłem bliżej i zagwizdałem, przekonany, że to ona. Była to jednak obca kobieta, która odwróciła się wystraszona. Przeprosiłem ją. Powinienem był się domyślić, że Hadzi Gimbi zabrał swoją rodzinę na wieś, na której mało kto go znał i gdzie prawdopodobnie nie będzie miał kłopotów. Widziałem tu mnóstwo niespokojnych twarzy. Ci wszyscy ludzie naprawdę obawiali się represji. Widzieli, co się stało z niektórymi współwyznawcami, oskarżonymi o solidaryzowanie z Aminem. Ale od ich przywódców biło przekonanie, że nikt nie odważy się zaatakować ich w meczecie. Wychodząc, miałem poczucie, że zawiodłem: nie potrafiłem odnaleźć Dziadka.

Zaczął zapadać zmierzch. Słońce szybko zaszło i po zgiełku dnia stopniowo powracał porządek.

Miasto wyglądało na opuszczone, ponieważ większość ludzi pospiesznie wróciła do domów z powodu godziny policyjnej oraz żeby uniknąć blokad dróg i rzezimieszków, którzy pod osłoną ciemności szukali ofiar. Każdy wiedział, że pierwsze tygodnie po wojnie są bardziej niebezpieczne niż ostatnie dni wojny.

Byłem zmęczony i skołowany niepowodzeniami tego dnia. Chciałem, żeby to wszystko okazało się snem, żebym mógł na nowo tchnąć życie w martwe ciała i żeby Dziadek usłyszał moje wołanie. Ale podobnie jak w przypadku Babci, rzeczywistość rządziła się własnymi niewzruszonymi zasadami. Byłem tak wygłodniały, że miałem wrażenie, jakbym czuł głód wszystkich zmarłych oraz ludzi daleko stąd, którym w czasie wojny nie udały się zbiory. Ale wiedziałem, że nie potrafię udźwignąć cierpienia trzech tysięcy dziesięciu dni rządów Amina. Z trudem przyszło mi sporządzenie bilansu: Babcia nie żyje, Dziadek zniknął, ciotce Lwandece grożono i torturowano ją, ciotka Kasawo została zgwałcona przez żołnierzy... Obawiałem się, że na tym się nie skończy.

Dotarłem na skrępowany brzeg rzeki Nakivubo, której brudna woda w transie wywołanym głodem i pragnieniem wydawała mi się kryształowo czysta. Poszedłem dalej, w kierunku targu Owino, myśląc o moich fantazjach na temat Kłódki, na temat mojej pracy pomiędzy bluźnierstwem, obłędem i brudem. Widziałem sępy i marabuty na wysypiskach

śmieciami, nasycone, jakby zamierzały opuścić swe biuro po udanym dniu. Targowisko było podzielone na dwa oddziały: jeden miał stałe betonowe stoiska, drugi zaimprovizowane kramiki, gdzie towary wykładano na ziemi. To było jak spacer po obsypanym sadzami mieściewidmie. Jedną z bocznych ulic, biegnącą ze wzgórza, na którym stały świątynie, w dół, przecinała slumsy targ. Wszedłem w nią. Mijający mnie ludzie wyglądali jak spieszące się gdzieś duchy. Zobaczyłem kobietę, która się odwróciła i zacisnęła nos, ale nie splunęła. Wiedziałem, że w pobliżu musi leżeć trup, bo na zmarłych nigdy nie pluto.

W cieniu niewielkiego budynku biura targu rzeczywiście leżały cztery ciała. Kiedy obok nich przechodziłem, myślałem, że intensywność zapachu śmierci oderwie mi nos. Dwa z tych ciał leżały na plecach, jedno na brzuchu, a czwarte pozbawione było głowy. Byłem jedynym obserwatorem, ponieważ inni szybko przechodzili dalej. Kobieta zaciskająca nos również zniknęła. Nie rozpoznałem ciał. Zamierzałem właśnie wrócić na postój taksówek, gdy mój wzrok padł na but jednego z trupów. Wielokrotnie czyściłem ten but i polerowałem go białą szmatką. Dokładnie wiedziałem, w którym miejscu pękł i został naprawiony. Gdy pochyliłem się, żeby lepiej się przyjrzeć, odór omal mnie nie przewrócił. Mężczyznę leżącym z twarzą do ziemi był Dziadek! Mój pęcherz opróżnił się, ale było w nim tylko parę kropel. Nagle przestałem odczuwać głód i pragnienie. Zaniemówiłem i zakręciło mi się w głowie, jak wtedy, gdy Klódka po incydencie z plamą czerwonego atramentu uderzyła mnie tak, że upadłem. Dlaczego Serenity i Kawayida tu nie szukali? Czy też może szukali i nie rozpoznali ojca?

Ogłupiały powlokłem się do domu ciotki Lwandeki. Ciotka pobiegła do kolegów z NRR, sprowadziła jeepa i zawiozła ciało do kostnicy do zbadania. Potem pojechała do podmiejskiej dzielnicy, w której mieszkał Serenity. Obaj bracia odpoczywali po kolejnym dniu bezskutecznego przeczesywania miasta. Odetchnęli z ulgą, że nadszedł kres poszukiwań, jednak Serenity był zły, że nie znaleźli Dziadka wcześniej.

Klan zebrał się w domu Dziadka. Ostatnie takie masowe spotkanie miało miejsce z okazji wesela Serenity. Ciotka Nakatu postarzała się i przytyła, ale niedawne przeżycia nie pozostawiły na niej żadnych widocznych śladów. Hadzi Ali wyglądał bardzo dystyngowanie w swojej białej tunice i muzułmańskiej jarmulce ze złotym brzeżkiem. Sulajman, jedyne dziecko z ich małżeńskiego związku, chodził już do szkoły podstawowej. Ciotka Tiida i doktor Ssali nie mogli pogodzić się ze stratą ukochanego peugeota. Mimo protestów ciotki Tiidy i tłumaczeń, że są rodziną muzułmańską i powinni przez to zostać zwolnieni z agresji, samochód został skonfiskowany przez oficerów Amina. Zepsuł się sto pięćdziesiąt kilometrów od miasta. Mechanik doktora Ssalego natknął się na niego w rowie przy drodze,

poszedł w nim silnik. Ciotka Tiida wciąż na nowo opowiadała swą smutną historię. Po raz pierwszy od lat ponownie ujrzałem żonę Kawayidy. Była duża i majestatyczna i emanowała dobroczynną energią. Gdyby jej dolna szczęka nie była tak grubo ciosana, a jej stopy tak duże, byłaby najładniejszą z obecnych na spotkaniu kobiet. Przyjechała ich wozem dostawczym i była dumna, że może przysłużyć się żałobnikom swoim pojazdem. Wujek Kawayida był teraz jedynym w rodzinie, który jeździł samochodem, ale z jakiegoś powodu to jego żona przechowywała kluczyki, które stale się gdzieś zapodziały. W pewnej chwili wszyscy zdawali się szukać tych kluczyków. Dla żony wujka Kawayidy była to pierwszorzędną zabawą. Stale była tą, która je znajdowała, i udawała wówczas zdziwienie.

Zwłoki Dziadka, z powodu intensywnej pracy, jaką trzeba było przy nich wykonać, przybyły dwa dni po tym, jak wszyscy się zebrali. Pomijając mój smutek, byłem z Dziadka bardzo dumny. Był jedynym człowiekiem, jakiego znałem, żyjącym według własnych przekonań. Byłem dumny, ponieważ pobito go i pokłuto i przestrelono mu nogę. Żył na wybranym przez siebie polu walki i na nim też poległ. To z nim kojarzyłem Dzień Niepodległości, stan wyjątkowy z 1966 roku i upadek Amina. Był dla mnie encyklopedią naszej politycznej historii, a bez jego przemów i moich prób zrozumienia ich byłbym zupełnym ignorantem w dziedzinie polityki. Zawsze dążył do realizacji swoich politycznych ambicji i zapłacił za to rozpadem własnej rodziny. Przewidział narodowe eksplozje i zginął podczas jednej z nich. Wiódł życie rebelianta i odważnie wypowiadał swoje zdanie, choć został za to wepchnięty do szamba, pokłuty, zbity na kwaśne jabłko i wzięty pod ostrzał. Był wyspą szczerości na morzu konformizmu. Nie obchodziło mnie, co o nim mówili inni.

Ceremonia golenia głów podkreśliła ponury dramat jego śmierci. Ciotka Tiida, pierwsza we wsi, która zaczęła jeść kurczaki i jaja, zrobiła z tego banalnego rytuału spektakl. Według tradycji głowy wszystkich sierot musiały zostać ogolone na łyso, jak piłeczka bilardowa. Kiedy Tiida zobaczyła włosy braci i sióstr opadające do stóp cyrulika, postanowiła się zbuntować. Gdy przyszła na nią kolej i starzec z brzytwą kiwnął, żeby podeszła, oświadczyła:

— Nie zamierzam dać się ogolić.

— Co?!

— Dobrze pan usłyszał - powiedziała z naciskiem. - Nie będę opłakiwać ojca z łyśną głową. Jeśli już trzeba, przykryję czymś włosy albo wetrę w nie brud, ale nie chcę zostać ogolona. Tata w ogóle nie dbał o takie rzeczy.

— Kobieto, powstrzymujesz ceremonię. Podejź no tu, zaraz będzie po wszystkim - nakazał starzec, otoczony przez gromadkę zwolenników.

Serenity i Kawayida mieli oczy czerwone ze zmartwienia wyglądali, jakby lada moment mieli wybuchnąć. Spojrzeli na siostrę w oczekiwaniu, że się rozmyśli. Podniosły się zagniewane głosy. Doktor Saif Ssali, który wiedział, że nawet coś tak zwyczajnego jak usunięcie napletka może doprowadzić do nieszczęścia, wystąpił naprzód, aby zapobiec awanturze. Wyprowadził ciotkę Tiidę z kręgu oplakujących zmarłego członków rodziny i porozmawiał z nią przez chwilę. Wróciła speszona poddała swoją głowę brzytwie.

Wiadomość o tym incydencie szybko się rozniosła, stanowiąc pożywkę dla wygłodzonej plotkarskiej maszyny, która kręciła się bez ustanku ku oświeceniu nastroju tragedii i przygnębienia. Popularnym tematem rozmów były grabieże dla sportu. Opowiadano o młodocianych mieszkańcach wsi, którzy włamali się do wojskowych baraków i przywłaszczyli sobie łóżka piętrowe, namioty, buty z cholewami, ciastka, *cornedbeef*, lodówki, wylęgarki i amunicję. Od czasu do czasu słyszeliśmy eksplozje z tamtej części wsi. To nudząca się młodzież kładła ostre naboje na żarzące się węgle i cieszyła się, gdy wybuchały.

Serenity popatrzył na mnie z mieszaniną zazdrości i wstydu, kiedy usłyszał, że to ja znalazłem zwłoki jego ojca. Ponownie podważyłem jego pozycję syna pierworodnego. Czuł się tym bardziej zawstydzony, że razem z Kawayidą trzykrotnie przechodzili przez targ w drodze do świątyni. Nie pojmował, jak mogli przeoczyć te ciała, bo leżały tuż przy drodze. Jego problemy były mi obojętne, ale bardzo byłem ciekaw jego pierwszego dziecka, córki starszej ode mnie o rok. Wyobrażałem sobie, że jest ładną dziewczyną, obdarzoną gracją ciotki Tiidy, spokojnym temperamentem matki i ambicją Dziadka. Moja nadzieja zobaczenia jej spełzła na niczym, kiedy ciotka Nakatu oświadczyła, że dziewczyna nie przyjedzie na pogrzeb. Nie brała udziału w spotkaniach, na których obecny był Serenity. Wyglądało na to, że niewiele miała z Serenity jako ojca. Przypuszczałem, że od czasu do czasu wspierał ją finansowo, na przykład gdy była chora, jednak nic poza tym. Sądzę, że nie czuł do niej niechęci, ale po prostu nie wiedział, co może jej zaoferować. Jako mężczyzna wychowany przez wilczyce musiał zakładać, że wszystkie kobiety same potrafią troszczyć się o siebie - a utwierdzała go w tym przekonaniu niezależność Kłódki i wiara Nakibuki we własne siły.

Kasiko, matkę dziewczyny, już kiedyś spotkałem. Była o wiele ładniejsza niż Kłódka. W odróżnieniu od Kłódki dobrze znosiła upływ czasu i wyglądała młodo jak na swój wiek. Lubilem ją. Nie odnosiła się do mnie jak do wroga, podczas gdy Kłódka tak właśnie potraktowałaby potomka kobiety, która ją przepędziła. Chciałem ją bliżej poznać i spotkać jej córkę, ale nie wiedziałem, jak to zrobić. Nasza rodzina była w niewoli schyłku, łączące nas tkanki zwiotczały przez brak kontaktu i wybryki niestrawnego katolicyzmu. Gdyby Serenity

nie odsunął się od tej kobiety, może mogłaby wnieść coś do mojego życia. Miała w sobie coś wrażliwego, coś miłego i delikatnego, swoją porażkę zносиła z godnością i posiadała wewnętrzną, ciepłą siłę, którą chciałem bliżej zbadać.

Sposób, w jaki Kłódka i Kasiko nawzajem się unikały, był w pewnym sensie wstrętny. Siedziały w milowej odległości od siebie, nie spuszczając się nawzajem z oczu, jak drapieżne ptaki. Gdyby Kasiko wpadła do dołu, była zakonnica z pewnością nie pomogłaby jej się z niego wydostać. Gdyby Kasiko zobaczyła Kłódkę w dole, wyciągnęłaby ją z niego, choćby tylko po to, żeby mieć tę satysfakcję, że ją uratowała. Dla mnie te dwie kobiety stanowiły dwie strony tego samego medalu: Kłódka stosowała surowe zasady, lecz sama nie dawała dobrego przykładu i wiele mogłaby się nauczyć od kogoś takiego jak Kasiko. Kasiko przydałoby się zapewne trochę niezależności Kłódki. Serenity dobrze o tym wiedział, było już jednak za późno. Wiedział też, że dzieci Hadziego Gimbi miały lepsze wzorce, ponieważ mogły wybierać spośród różnych kobiet, podczas gdy gówniarze mieli do czynienia tylko z zamkniętą w sobie Kłódką. Usłyszałem kiedyś, jak Serenity powiedział do Nakibuki: „Ona po prostu jest matką moich dzieci”.

Nakibuka również była obecna. Czy Serenity kiedykolwiek czuł się taki samotny otoczony tyloma kobietami? Siedział w bolesnym milczeniu i wyglądał jak człowiek cierpiący na ostrą biegunkę. Kasiko, Kłódka i Nakibuka były jak trzy kamyki w jego bucie. Hadzi Gimbi trzymałby te trzy kobiety razem, bez względu na to, czy miałyby na to ochotę czy nie. Ale Serenity znajdował się na równoważni i starał się tę trójcę omijać, jakby w ten sposób miał nadzieję ukreślić łeb plotkom na temat tego, że ciotka żony była jego kochanką.

Byłem pod wrażeniem charyzmy i osobowości Nakibuki. Zachowywała się tak, jakby w trójcy Serenity zajmowała pierwsze miejsce. Nie zwracała uwagi na oszczerców i swobodnie poruszała się wśród żałobników. Zwołała brygadę do gotowania, dzieci wysłała po wodę i pilnowała, żeby nikt nie jadł więcej niż inni. Znowu odgrywała rolę ciotki weselnej, troszczącej się nie tylko o zdenerwowaną pannę młodą, ale i o spiętego pana młodego, witała członków rodziny i gości i upewniała się, że wszystko idzie jak z płatka. Osiemnaście lat temu po raz pierwszy przyjechała do tej wsi. Teraz wróciła tu jako zwyciężczyni; kiedy czegoś potrzebowała, zwracała się bezpośrednio do Serenity, pomagała ciotce Tiidzie, gdy było to konieczne, poruszała się z idealną lekkością ryby w wodzie.

Nie mogłem się na tę kobietę napatrzeć. Oczarowała mnie. Widziałem, co zrobiło z niej samolubstwo: na każdego, przyjaciela czy wroga, spoglądała tak, jakby zaraz miała mu zdradzić jakiś sekret albo zadeklamować wiersz miłosny. Do żałobników odnosiła się z uprzejmością, gotowa na przyjęcie błędzącego obcego, pocieszenie wątpiących, uspokojenie

uśmiechem smutnych i strwożonych. Była tak piękna, że irytowało to nawet ciotkę Tiidę, która oprócz swego peugeota utraciła teraz także włosy. Co ona sobie wyobraża? - usłyszałem ją mówiącą do ciotki Nakatu. Nakibuka górowała ponad ogarniętymi smutkiem żałobnikami, ale górowałaby również w grupie rozradowanych świętujących. Miała w sobie coś kokieteryjnego i właśnie dlatego mąż ją bił. Mężczyzna ten zawsze drżał przez nią z niepewności. Za bardzo przypominała mu też o jego własnych niedoskonałościach, pozwalając światu szemrać o kobieciarzach. W Serenity Nakibuka nie wzbudzała poczucia niepewności ani dyskomfortu, ale nie potrafiła mu też pomóc się ich pozbyć, dlatego zachowywał się jak koza z osą w uchu.

Robiłem, co mogłem, żeby trzymać się od niej z daleka, ponieważ nie chciałem zostać wykorzystany jako chłopiec na posyłki pomiędzy nią i Kłódką czy Serenity albo kimkolwiek innym. Również od Kłódkki trzymałem się z daleka. Jej nadąsana twarz zgorzkniałej zakonnicy sprawiała przykre wrażenie. Wymykałem się, gdy tylko mogłem, i pojawiałem się jedynie na posiłkach.

Zastanawiano się, kto gdzie ma spać. Wujek Kawayida zaproponował, żeby „kobiety” Serenity nocowały w jego kawalerskim domu. Nakibuka i Kasiko rozgościły się tam, a potem dołączyła do nich ciotka Lwandeka. Kłódkka, oficjalna żona i matka dwanaściorga dzieci Serenity, odmówiła przekroczenia progu tego domu, póki będą tam Nakibuka i Kasiko. Przy wsparciu Tiidy Kawayida wszczął z nią negocjacje, lecz spełzły one na niczym. Serenity taktownie trzymał się z daleka. Kłódkka wygrała i spała w łóżku, w którym została pozbawiona dziewictwa. Nakibuka i Kasiko, niczym alianci w czasie wojny w okopach, spędzili noc na zewnątrz, jakby z nastaniem świtu zamierzały zaatakować dom.

Ja spałem pod drzewem, pod którym Dziadek i Babcia urządzali swoje popołudniowe posiedzenia. Nasłuchiwałem ujadania parzących się psów, chrapania śpiących ludzi i nawoływań skradających się zwierząt. Myślałem o nocy, podczas której natknąłem się na Dorobo, nocnego stróża w seminarium i sabotażystę. Znowu widziałem go przed sobą, wysokiego jak drzewo, szerokiego jak mur. Ojciec Gilles Lageau wyjechał z kraju. Ojciec Kaanders zmarł i został pochowany na seminaryjnym cmentarzu. Lwendo szedł jeszcze za głosem powołania, by zostać księdzem. Ale gdzie podziewał się Łodyga? Pamiętałem te dwa bezwonne, czyste ciała, które pokazał nam dawno temu. Znowu pomyślałem o Dziadku, leżącym w cieniu budynku biura targu, i o fetorze. Oślizły palec mdłości przeszył mi żołądek na myśl o kulach, które go zabiły, i zrobiło mi się niedobrze. Nie mogłem już zasnąć. Następnego dnia miał się odbyć pogrzeb. Grób był już wykopany, ostatni gwóźdź leżał przygotowany do wbicia w trumnę i zamknięcia przeszłości. Ogarnął mnie niepokój.

Wybrałem się na spacer po nowej części wioski. „Restaurację”, „hotel” i „kasyno” spowijały mroczne ciemności. Chłopcy wrzucający do ognia ostrą amunicję spali. Przemyt kawy umarł śmiercią naturalną po upadku Amina. Miejsce, w którym kiedyś urządzano wyścigi na skradzionych samochodach, partyjki kart i libacje, usiane było plastikowymi i styropianowymi opakowaniami, w których były nowe materace, nowe radia, nowe koszule i inne dobra zagrabione z baraków. Nie plądrowano już. Ludzi ogarnęła bierność. Zdawali się czekać na wyrocznię o przyszłości Ugandy po Aminie.

Pogrzeb odbył się następnego dnia przed południem. Pojawiły się dwa żółte jak wymiociny pocztowe samochody dostawcze, w których siedzieli ludzie ze związku zawodowego Serenity. Był Hadzi Gimbi i mnóstwo osób, których nie znałem. Jedyne, co mi zapadło w pamięć, to przyjazdy i odjazdy tych samochodów dostawczych. Reszta przypominała wywołujący mdłości film, na który składały się zacierające się obrazy. Zastanawiałem się, czy wyjęli w końcu z nogi Dziadka kulę, którą nosił w sobie przez trzynaście lat. Chciałem zachować ją na pamiątkę. Przypomniał mi się sen Babci o bawole i krokodylu. Zastanawiałem się, jakie miejsce sam zajmowałem w przeszłości i przyszłości.

Sytuacja polityczna powoli zaczynała się klarować. Za sznurki pociągał teraz siwowłosy przywódca Tanzanii, prezydent Nyerere. Do władzy doszedł rząd koalicyjny, w którym zasiadły zarówno stare, jak i nieokreślone nowe ugrupowania polityczne. Z powodu zakulisowej walki o władzę oraz interwencji Tanzanii nic się nie wydarzyło. Ciotka była niezadowolona z nikłych szans swoich kolegów. NRR był bardzo mały i słaby w porównaniu z innymi ugrupowaniami. Brygadier dostał mało znaczącą posadę: przydzielono go do jednego z zespołów odpowiedzialnych za naprawę szkód w wojskowych barakach i rekrutację żołnierzy. Napomykano już o nowych wyborach. Staremu przyjacielowi Nyerere, Obote, również pozwolono na zgłoszenie swojej kandydatury. Tanzania najwyraźniej chciała się go pozbyć jako wygnańca i wykorzystwała go, aby odzyskać część kosztów wojennych. W kraju narastało rozczarowanie. Okazało się, że demokracja wcale nie jest ogrodem różanym, poza tym szerzyły się już pogłoski o nadciągającej wojnie domowej. Historie, które ciotka słyszała od swoich kolegów, wskazywały na mroczną przyszłość, zważywszy na to, że potajemna walka o władzę wewnątrz rządu stawała się coraz bardziej zażarta. Ludzie tłumili swoje obawy wobec przyszłości, próbując ulepszać teraźniejszość. Wszędzie zakładano Stowarzyszenia Rodziców i Nauczycieli, mające postawić szkoły na nogi. Okazało się teraz, że usunięcie tyrana to jedna sprawa, a uporządkowanie wszystkich spraw - druga. Moje rozważania nad polityką odsunęła na bok seria tragedii, które dotknęły rodzinę.

Wyzwoliciele płci żeńskiej, sprawujący obecnie nadzór nad większością blokad dróg,

wywołali sensację. Widziałem już te kobiety: z tyłkami w obcisłych spodniach wojskowych, piersiami w zielonych wojskowych biustonoszach i włosami wysuwającymi się spod ciasnych czapek z daszkiem. Stanowiły bezpośrednią odpowiedź na mnożące się skargi na molestowanie przy blokadach obstawionych ich kolegami odmiennej płci. Miesiąc miodowy wyzwolicieli minął. Codziennie nalegano na usunięcie blokad, ponieważ również wyzwoliciiele ulegali pokusie wymuszania okupu. Tanzańczycy mieli być wkrótce odesłani do domu, jednak tak długo, jak długo tu byli, starali się gromadzić jak najwięcej rzeczy niedostępnych w komunistycznej Tanzanii. Blokady dróg pozostały, ponieważ wciąż jeszcze wszędzie kręcili się ludzie z karabinami, które wykorzystywano niekiedy do napadów rabunkowych, a najczęściej konfiskowano.

Dla niektórych zatrudnienie kobiet przy blokadach nadeszło zbyt późno. Jedną z tych osób była ciotka Kasawo. Mieszkała w niewielkim miasteczku położonym w strategicznym punkcie między Masaką i Kampalą. Po ostrej walce miasteczko zostało zajęte przez wyzwolicieli, którzy uczynili z niego bazę dla swoich oddziałów, posuwających się do Kampali. W najgorętszym momencie walki zakwaterowano tu dużą jednostkę wojskową z Tanzanii z zamiarem odesłania jej z powrotem do obozu w Masace lub wysłania na front.

Wśród żołnierzy panowała surowa dyscyplina, a kary za wykroczenia były odstrasżające. Krótco po zajęciu miasteczka zastrzelono dwóch tanzańskich żołnierzy za zgwałcenie sześćdziesięcioletniej kobiety. Mieszkańcy byli świadkami egzekucji i nie mogli uwierzyć własnym oczom. Żołnierze Amina nie kiwnęliby palcem w takiej sprawie - a gwałciciele może nawet dostaliby awans za dręczenie narodu. Od tego czasu mieszkańcy przestali się bać i pozostawiali drzwi otwarte, bo nie zdarzały się już żadne kradzieże ani napady. Przez trzy miesiące żyli w pewnego rodzaju utopii, mając nadzieję, że upadek Amina ich nie dotknie.

Zanim przyszli Tanzańczycy, miasteczko było zajęte przez żołnierzy Amina, których wszyscy się bali i dlatego wieczorami nie wychodzono z domów. Kobiety wkładały wiele warstw ubrań jedna na drugą, a mężczyźni przemykali się chyłkiem między domami, ponieważ niektórzy żołnierze byli o wiele silniejsi niż oni, poza tym byli uzbrojeni. Teraz jednak panował spokój. Rano ludzie przyglądali się wojskowym ćwiczeniom i słuchali pocących się, sapiących i śpiewających żołnierzy. W ciągu dnia rozmawiano o przyszłości i czekano na wiadomości o postępach osiągniętych przez wyzwolicieli. Wieczorem mieszkańcy miasteczka zbierali się w grupkach, słuchali rozgłośni partyzanckiej, wydawali wesołe okrzyki, gdy wyzywano Amina, śpiewali do wtóru popularnym piosenkom i dyskutowali na temat ostatnich doniesień. Niektóre programy były nadawane właśnie z tego miasteczka -

były to wywiady z mieszkańcami o życiu na terenach wyzwolonych. Wielu z nich po raz pierwszy słyszało swój głos w radiu. Wszyscy cieszyli się z pokoju i dobrych stosunków między oddziałami wyzwolenческими i ludnością. Przyjeżdżali tu także z wizytą wysocy funkcjonariusze wojskowi, więc każdy na własne oczy mógł zobaczyć, jak wyglądają ludzie, w rękach których spoczywa przyszłość kraju. Personel wojskowy prowadził łagodne kampanie polityczne, podczas których kładziono nacisk na projekty samopomocy.

Ale wkrótce żołnierze mający sprawować nadzór nad miasteczkiem zaczęli się nudzić. Nuda przyniosła z sobą refleksję. Głęboko ukryte demony znowu podniosły głowy i zaczęły łomotać w drzwi. Coraz więcej żołnierzy uważało, że od czasu do czasu nie zaszkodzi im trochę alkoholu i trochę seksu. W każdej chwili mogli przecież zostać wysłani na front, była to więc być może ostatnia okazja. A czyż nie rzucili już swego życia na szalę dla tych kobiet, produkujących alkohol, sprzedających alkohol i pijących alkohol? Walili w szklany mur dzielący ich od smakowitych kobiet z grubymi tyłkami, dla których przybyli aż z Tanzanii, żeby je wyzwolić i ochraniać, ale nie mogli się nimi cieszyć, nie narażając się na pobicie, aresztowanie czy zastrzelenie, jak to się przytrafiło ich dwóm towarzyszom.

Minęło sto pięćdziesiąt dni od czasu, gdy siedmiu braci po raz ostatni sięgnęło po łakocie. Wówczas było ich jeszcze dziesięciu - trzech w międzyczasie poległo w walce o Masakę. Wszyscy bracia czuli się mocno ze sobą związani. Byli rodziną, a rodzina była najważniejsza. Poprzysięgli na własne głowy, że jeśli jeden z nich zostanie złapany, nie zdradzi pozostałych. Początkowo podzielili się na dwie grupy po pięciu, ale po śmierci trzech braci ponownie się połączyli. Przez jakiś czas obserwowali, jak niektórzy ich koledzy uciekali z baraków, żeby się upić i uwieść kobietę, żeby ich złapano, zakuto i wrzucono do celi albo odesłano do Masaki lub Tanzanii. Z ubolewaniem przyglądali się egzekucji dwóch gwałcicieli. Szkoda chłopaków! Była to piąta egzekucja od rozpoczęcia wojny. Ale oni nie dadzą się złapać, bo nie są aż tak głupi i niezręczni.

Już przed laty doszli do wniosku, że jakość i ilość nie mają ze sobą nic wspólnego. Co roku zadowalali się małą ilością smakołyków, za to tak sycących, że w nadmiarze rekompensowały chude okresy. Kiedy inni żołnierze myśleli o wielu kobietach, oni zadowalali się jedną, jednym posiłkiem. Połknięte w pośpiechu kobiety paplały, po czym mężczyźni łapano i karano. Jedna kobieta wylizana przez siedmiu braci miała kłopoty ze wskazaniem sprawcy. Jeszcze nigdy ich nie przyłapano i wydawało się nieprawdopodobne, by miało to nastąpić w tym małym mieście.

Kiedy pewnego popołudnia ciotka Kasawo postanowiła spróbować szczęścia na czarnym rynku, wpadła w dobrze zorganizowaną pułapkę. Za szeregiem budynków, w

których kwaterowali oficerowie, zatrzymał ją młody człowiek o uprzejmym głosie, ubrany w dżinsy, czysty Tshirt i słomkowy kapelusik. Zaoferował jej dobrej jakości ryż, groch i wołowinę za cenę, jakiej nie mogła się oprzeć.

— Wołowina z Ameryki! Wspaniała wołowina, madame. Ryż z Japonii, grube ziarna i już umyte, tak że nadają się prosto do garnka! Ze zniżką, madame!

Kasawo spodobał się ten uprzejmy młodzieniec ze zdrową cerą, białymi zębami i świeżym oddechem. Sprawiało jej też przyjemność, że zwracał się do niej „madame” i po raz pierwszy w życiu brzmiało to szczerze w jej uszach. Podobał jej się jego entuzjazm. Nie miała nic przeciwko temu, by handlarze z czarnego rynku się uśmiechali i zarabiali pieniądze, tak jak i ona sama.

— Nie przyszedłam kupować powietrza, młody człowieku - powiedziała z lekką wyniosłością - pokaż mi towar.

— Do usług, madame - odparł z szelmowskim uśmiechem. Wyjął kilka próbek ze swego worka z rafii. - Proszę spróbować tego ryżu. Proszę spojrzeć na mięso! Cały byk sprasowany w jednej puszcze. Radzę ostrożnie otwierać puszkę, bo inaczej ten amerykański byk weźmie panią na rogi!

Poczucie humoru, jakość próbek i cena rzucona przez mężczyznę podobały się Kasawo. A chłopak nie posiadał się z radości na widok tego smakołyku, który stał przed nim i niemal prosił, by go schrupano. Ostrzegano braci przed arogancją ugandyjskich kobiet, byli więc zdumieni, że tak szybko udało im się jakąś złowić. Ale Kasawo nie była pierwszą kobietą, która tędy przechodziła. Mężczyzna przepuścił kilka, ponieważ ogarnęło go przy nich złe przeczucie.

— Niczego dzisiaj jeszcze nie sprzedałem, madame. Bóg panią przysłał w odpowiedzi na moje modlitwy - powiedział, ukazując lśniące, białe zęby. Kasawo była urzeczona jego różowymi dziąsłami.

Była bardzo zadowolona, że go spotkała. Mogła zrobić zakupy za niską cenę, a następnie odsprzedać towar z dużym zyskiem. Mogła też zrobić z niego swojego stałego dostawcę i omijać innych handlarzy, którzy zawsze znajdowali okazję do chomikowania i tworzenia sztucznego niedoboru.

— Pokaż no resztę towarów - odezwała się niby szorstko, ciesząc się z gratki, jaka jej się trafiła.

— Leżą tam w środku - powiedział, wskazując długim, pięknym palcem na budynek.

— Boimy się napadów wojska? - zapytała z miną kolegi - - spiskowca.

— Sama pani powiedziała, madame. Wyzwoliciele obwiniają nas o sprzedawanie ich mięsa, ale nie zastanawiają się, skąd je bierzemy - odparł, po czym głośno się roześmiał.

Po raz pierwszy od piętnastu lat Kasawo pomyślała o synu, którego wydziedziczyła po tym, jak jego ojciec próbował pozbawić ją życia. Pewnie jest już dużym chłopakiem. Ale czy jest równie ujmujący, uprzejmy i mądry jak ten młody człowiek? Właściwie miała nadzieję, że nie. Jego ojciec nie zasługiwał na takiego syna. Zasługiwał na bezczelnego karła. Stała przed budynkiem, rozglądała się, czy nikt nie nadchodzi, i czekała. Czarny rynek zbudowany był na zaufaniu. A ona temu młodzieńcowi zdecydowanie ufała! Przy zawieraniu ryzykownych umów zawsze zdawała się na swój instynkt, a on jeszcze nigdy jej nie zawiódł. Usłyszała, jak młody człowiek pyta ze środka, ile kilo sobie życzy. Pokazał jej pięciokilowy worek ryżu i karton mięsa w puszkach. Zdecydowała się wejść do budynku i przypilnować, żeby jej nie naciągnął. Jeśli dać handlarzowi z czarnego rynku jeden palec, próbuje złapać za całą rękę. Kasawo przypomniał się ksiądz z parafii z młodości, który ostrzegał swoją trzódkę przed diabłem.

Właśnie miała zamiar zaproponować młodemu człowiekowi, aby został jej stałym dostawcą, gdy nagle została obezwładniona w ciemnościach rodem z grobowca. Podcięto jej nogi, straciła równowagę, a na głowę naciągnięto jej worek. Wciąż jeszcze zwracając się do niej „madame”, chłopak poprosił, by nie krzyczała. Szarpała się, kopała i rzucała się na śpiworze, na który ją popchnięto. Wtedy przystawiono jej nóż do gardła. Poczula dwie dodatkowe pary rąk, które ją rozbierały. Zapytywała potem samą siebie, ilu mężczyzn ją zgwałciło? Dwóch, trzech, czterech czy więcej? Pomyśl, madame. Wojsko jest przeciwko wszelkim czynom agresji i ukarzymy każdego, kogo pani zdoła zidentyfikować. Czy może pani powiedzieć, co ten człowiek, którego pani widziała, miał na sobie? Nosił kapelusz, Tshirt i dżinsy... Jeszcze jakieś wskazówki? Nie.

Najpierw nastąpił jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem gwałtownych, gęstych wytrysków nasienia. Potem jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem mniej gwałtownych, mniej gęstych. I na koniec jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, siedem długotrwałych, niezbyt impulsywnych rzadkich chlupnięć. W ciągu sześćdziesięciu ośmiu minut nieprzerwanej akcji wylano pół litra nasienia. Szyjka macicy została dotknięta ponad dwa tysiące trzysta razy, sto dziewięćdziesiąt pięć razy ugnieciono jej piersi, a łechtaczki dotknięto zaledwie marne pięć razy.

Siedmiu braci jeden po drugim opuściło scenę. Wabik wyszedł pierwszy, żeby zabezpieczyć sobie alibi. Wszyscy bracia dotarli do baraków akurat przed rozpoczęciem apelu. Obrazem przelatującym im przez głowę było błyskawiczne przekroczenie granicy,

jakiego Amin dokonał kilka miesięcy wcześniej w Trójkącie Kagera.

Ironią lub perwersyjną logiką sytuacji było to, że po gwałcie Kasawo trafiła do lekarza wojskowego. Kiedy zapytał ją, czy wie, kim byli gwałciciele, odpowiedziała, że nie. Pytał, jakim językiem mówili, a ona odparła, że nie pamięta. Czy widziała jednego z nich? Przypominała sobie jedynie słomkowy kapelusz, biały Tshirt i dżinsy. Czy zabrali jej pieniądze? Nie. Odmówiła odpowiedzi na dalsze pytania. Postanowiła już, że każe wypędzić demony gwałtu i traumy znanemu znachorowi i nie będzie marnować więcej czasu na żenujące badanie. Jak tu chodzić z podniesioną głową w takim małym miasteczku, jeśli każdy będzie wiedział, że zgwałciło cię naraz siedmiu żołnierzy? Jeszcze nie upadła na głowę. Jak mówił dawniej jej ksiądz: milczenie jest złotem.

Czternaście dni po pogrzebie Dziadka ciotka Kasawo ubrała się w najlepsze rzeczy i założyła najpiękniejsze ozdoby. Przyjechał po nią żółty pocztowy samochód dostawczy, kierowany przez Serenity. Zawiózł ją najpierw do Kampali, a potem do miejscowości, w której przez ostatnie dwa lata mieszkała Kłódka. Kasawo z cierpkim uśmiechem przyglądała się tanzańskim żołnierzom. Cieszyła się, że odsyłano ich do domu, gdzie, jak miała nadzieję, będą gwałcić swoje siostry i matki. Ogromnie przeszkadzało Kasawo, że po tym, co zrobił jej ojciec jej syna, znowu wpadła w ręce złych facetów. Snęła fantazje o zemście, w których nasyłała na wyzwolicieli dawnych przyjaciół - nierzy i przypatrywała się, jak przetrącają Tanzańczykom gnaty. Zastanawiała się, gdzie podziwiali się teraz żołnierze, których znała z wojska Amina. Jeden z nich oferował jej pieniądze w zamian za dach nad głową. Inny poprosił ją o rękę. Jeszcze inny błagał ją przez całą noc, żeby przemyciła go na jedną z wysp na Jeziorze Wiktorii, by mógł się tam schronić do końca wojny. Kupowała od nich różne rzeczy, które przed wkroczeniem Tanzańczyków do miasteczka sprzedawała na czarnym rynku. Podejrzewała, że siedzą teraz ukryci gdzieś w północnej Ugandzie, Sudanie, a może nawet w Kenii. Uczucie nietykalności, jakie pozostało Kasawo po ich przyjaźni, uświadomiło jej, jak nisko upadła. Dotarło do niej, że czasy się zmieniły, a pech do mężczyzn, o którym sądziła, że go pokonała, nadal ją prześladowuje.

Była pod wrażeniem bungalowu i kawałka gruntu, który posiadała jej siostra. Sama również zawsze chciała mieć domek, który mogłaby malować i urządzać według własnego uznania. Podziwiała roztropność, jaką okazał Serenity, kupując ten kawałek ziemi i budując na nim dom, zanim było za późno. Wielu ludzi, którzy za rządów Amina dobrze zarabiali, żyło teraz w biedzie, ponieważ byli dość głupi, by wierzyć, że Amin pozostanie u władzy, i nie odłożyli ani grosza. Ona też mogła zbudować dom za pieniądze zarobione na czarnym rynku, ale odkładała to, aż Amina wypędzono. Teraz wstydziła się, że po tych wszystkich

latach wciąż jeszcze mieszka w jednym i tym samym wynajmowanym domu.

Obejrzała medalion z Romulusem i Remusem. Tutaj zdawał się nabierać większego znaczenia. Na stole stała plastikowa butelka w kształcie Świętej Dziewicy, łącznie z aureolą, sercem i chmurami. Kasawo zazdrościła siostrze lotu do Rzymu, podróży do Lourdes, Jerozolimy i tych wszystkich miejsc z Biblii. Dziewczyna, którą kiedyś nazywali Nakaza, Nakaze, Nakazi, Nakazo, Nakazu! Widać nie wyszło to jej na złe. Ciotka Kasawo uważała, że Klódka miała szczęście nie tylko do mężczyzn, ale również do dzieci i pieniędzy.

W domu panował równie surowy porządek jak w koszarach wojskowych. Podwórko było nieskazitelnie czyste, a dzieci posłuszne, nie klóciły się i dokładnie wiedziały, czego się od nich oczekuje. Jedno po drugim klękały przed ciotką ze strony matki, uprzejmie ją witając. W spokoju odrabiały zadania domowe i Kasawo zauważyła, że wszystkie mają dobre oceny, nawet najgłupsze z nich. Obserwując siostrę dzierżącą berło, przypomniała sobie rozmowę sprzed lat o potomstwie.

Mimo że Klódka była coraz starsza, jej zamięłowanie do dyscypliny nie uległo w najmniejszym stopniu osłabieniu. Jeżeli ostatnie z jej dzieci miało więcej wolności w porównaniu z pierwszym, to różnica ta była minimalna. Wciąż jeszcze chętnie używała różgi z guavy i nie wahała się wysłać winnego do łóżka bez kolacji.

Ponieważ Kasawo często wykorzystywała nieuwagę rodziców i piła alkohol w wieku, w jakim obecnie był najstarszy z gówniarzy, późno wracała do domu i odmawiała niszczenia wyprostowanych gorącymi szczypcami włosów noszeniem na głowie dzbanów z wodą, oczy wychodziły jej teraz na wierzch. Już od dawna nie widziała tak żelaznej dyscypliny i zastanawiała się, jak siostra ją utrzymuje.

Jako gość, Kasawo poza jedzeniem i spaniem nie musiała niczego robić. Była mile zaskoczona kucharskimi umiejętnościami gówniarzy i gdyby na własne oczy nie widziała, jak obierają banany, zawijają je w liście i kładą na ogień, pomyślałaby, że to siostra je przygotowała. Gówniarze byli na każde jej skinienie i grzali wodę na kąpiel, kiedy tylko zechciała. W południe chodziła na spacer. Tutaj nie było grabieży i sklepy były otwarte. Kusiło ją, żeby wejść do apteki i poprosić o szybkie zbadanie przez jednego z lekarzy. Ale rozmyśliła się, bo czuła się świetnie, a ból już dawno minął. Denerwował ją śpiewny suahili, którym mówili wyzwoliciele. Przypominało jej to chłopaka, który zwabił ją w pułapkę. Chciałaby móc wysadzić w powietrze budynek zajęty przez wyzwoliciele na główną kwaterę.

Największą zmianą w jej zachowaniu od momentu napaści było to, że przejmowała się byle czym i na wszystko narzekała. Jeżeli na przykład jedzenie było zbyt słone, mówiła o tym cały dzień i wymyślała przy tym wyszukane spiski, ukierunkowane na to, żeby zepsuć sobie

apetyt, wysuszyć się i nabawić wrzodów żołądka.

Często wracała też do sprawy gwałtu i rozważała głośno, dlaczego musiała się przytrafić, a była zakonnica chodziła od tego po ścianach. W rezultacie Kłódka traktowała siostrę coraz bardziej ozięble. Zderzyły się ze sobą dwa przeciwstawne charaktery. W dodatku Kasawo była uparta, miała słabe pojęcie o sprawiedliwości i wierzyła, że jej psychologiczne problemy może rozwiązać egzorcysta. Metoda stosowana przez Kłódkę była prosta: najpierw pozwalała siostrze przez pół godziny narzekać, a potem wpadała jej w słowo, mówiąc: „Taka widać była wola Boża”. W efekcie Kasawo miała wrażenie, że siostra jest zdania, iż dostała to, na co sobie zasłużyła. Kłódka widziała w tym gwałcie część boskiego planu, mającego na celu uratowanie duszy jej siostry. Kasawo miała uczucie, że wprowadzono ją, lecz jej nie wysłuchiwano, i że Kłódka przyjmuje postawę przemądrzałego lekarza, gotowego do zabiegu, zanim pacjent zdąży otworzyć usta. Myśl, że siostra widziała w niej potencjalną nawróconą na konserwatywny katolicyzm, złościła ją. Kłódka zwracała się do niej protekcjonalnym tonem starszej osoby, a to doprowadzało ją do szału. Teraz wiedziała już, że siostra uważa siebie za kogoś o wiele lepszego od niej.

I miała rację. Po dwunastym dziecku Kłódka poczuła, że stoi ponad tymi wszystkimi ludźmi, którzy wciąż jeszcze pozwalają się brudzić diabelskimi smarkami, i wyzbyła się nawet tej odrobiny seksu, na którą wcześniej jeszcze się zgadzała. Zamknęła się w pancerzu fanatycznego katolicyzmu i ze swego piedestału spoglądała z pogardą na każdego, kto popełniał grzech cielesny. Mocno zainstalowana na swoim purytańskim tronie, za swój obowiązek uważała wytykanie grzeszników palcami w nadziei, że uczepią się ratującej ręki jej wyroku i osobistego przykładu i wydobędą się z kloaki swojego grzesznego życia. Kiedy Kasawo opowiadała o tym, co ją spotkało, i odsłaniała szczegóły pułapki, w jaką dała się wciągnąć, kiedy opowiadała, jak wyczołgała się z piwnicy i na wpół żywa leżała potem na ulicy, Kłódka czuła, jak przepelnia ją podniosła radość. U jej stóp leżała naga grzesznica, czołgająca się z grzesznego chlewu w drodze do zbawienia.

Siostro, dlaczego nadal grzeszysz? Dlaczego nie zmusiłaś się w odpowiednim czasie do skruchy? Bóg zaczął od postawienia na twojej drodze CzłowiekaPangi, który złagodził swój ponury, złośliwy charakter, a ty pozwalałaś mu szeptać do swego naiwnego ucha słodkie słówka. Nadmuchał twoje małe ego i poprowadził na nierówną ścieżkę buntu i samozniszczenia. Buntowałaś się przeciw rodzicom. Piłaś alkohol. Stałaś się nieposłuszna. Obnosiłaś się z ubraniami, którymi CzłowiekPanga zwabiał cię w swoje sieci. Przechwalałaś się popełnianymi z nim seksualnymi grzesznościami. Oddawałaś mu się. Wielbiłaś go i coraz

bardziej się pograżałaś. Skalałaś swe ciało jego diabelskimi smarkami. Oślepił cię przemijającymi rozrywkami. Spłodził z tobą nieprawie dziecko. Zawładnął twoim ciałem i duszą. Stałaś się jego niewolnicą. Robiłaś wszystko, co ci kazał. W końcu uciekłaś z nim do miejsca, które, jak sądziłaś, będzie rajem. Obowiązkami żony i matki zdeptał kwiat twej młodości. Niszczłaś pod żelaznymi wymaganiami nowego życia. Musiałaś uginać się pod ciężarem wychowania dziecka i troszczenia się mężczyznę, który nie dałby za ciebie złamanego szeląga. Straciłaś urodę, ponieważ musiałaś go obsługiwać na każde jego skinienie, i zaczęłaś pachnieć ciężką pracą, mlekiem i wiecznymi zmartwieniami. A on nie mówił już słodkich słówek, których tak potrzebowałaś. Stałaś się częścią inwentarza, podobnie jak kozy i kury. Otwierałaś mu drzwi i pozdrawiałaś, padając na kolana, gdy wracał do domu z rosą we włosach intymnością innych kobiet na skórze. W środku nocy grzałaś mu wodę na kąpiel i dbałaś o zaspokojenie wszystkich jego potrzeb. Potulnie znosiłaś razy, które na ciebie spadały, kiedy pytałaś, gdzie był, albo gdy się mu sprzeciwiałaś. Mdląłaś ze szczęścia, gdy łaskawie cię dotknął, i wszystko mu wybaczałaś, gdy cię pieprzył. Bóg pokazał ci wyjście z tej sytuacji, czyniąc go coraz podlejszym. Ale ty odrzuciłaś Jego ofertę. Woliałaś wielbić fallusa CzłowiekaPangi niż Boski Krzyż. Woliałaś drzeć z gorzkokwaśnej hysterii chwilowej rozkoszy niż z nieskończonej radości Bożej miłości.

Mimo to Bóg cię nie opuścił. Dał ci jeszcze jedną szansę. Dotknął CzłowiekaPangę straszną chorobą. Odebrał mu czarodziejską siłę pod chmurą chloroformu. Ukazał jego słabość, nakazując wyciąć mu gnijące jelita, a potem zaszyć go jak worek z kawą. CzłowiekPanga odzyskał w szpitalu przytomność, z zamglonymi oczami i bąbelkami gazu w brzuchu. Nagle zdobyłaś władzę, ponieważ z twoim królem było tak źle, że znajdował się na granicy śmierci. Wreszcie ujrzałaś CzłowiekaPangę takiego, jakim był: jako karalucha przypiętego do ściany na lekcji biologii. Leżał bezsilny w łóżku jak zepsuty, złamany ząb bez korzenia, krwawiący, skalany bólem, jaki ci zadawał. Był bezsilny, jak robak grzebiący się w kupie. Spuchłaś od władzy, jaką nad nim miałaś. Odezwało się w tobie pragnienie zemsty, które wydobyłaś z przepaści niewolniczego posłuszeństwa i unizoności. Rozwiązał ci się język i usta ci się nie zamykały - dostałaś wtedy przezwisko Pięć Ust. W domu jedynym twoim opiekunem było samowładztwo. Życie Czło - wiekaPangi wisiało na twoim małym palcu. Słyszałaś, jak woła basen, ale z zimną obojętnością pozwalałaś mu załatwiać się do łóżka. Pozwalałaś, by dom drżał od smrodu z jego cuchnącego brzucha. W kuchni trzęsłaś się ze śmiechu, gdy robił pod siebie i konał od własnego smrodu. Pozwalałaś mu długo czekać, zanim do niego poszłaś, tak że wyglądał, pachniał przypominał w dotyku kupę gówna. Lubiłaś pociągać za jego szwy. Chciałaś, żeby popękały, żeby na resztę życia został inwalidą.

Lubiłaś z udawaną czułością podnosić jego bezwładne nogi i ścierać nieczystości z drwiącą starannością, i przywracać porządek z drwiącym oddaniem! Przesadzałaś w tym, bo Bóg troszczył się, żeby rana ropyła i dlatego bardzo długo trwało, zanim znowu poczuł się lepiej. Ponieważ jego hegemonia została złamana, jego zarozumiałość starta w proch, wodził cię za nos swymi dziecinnymi błaganiami i jękami.

Ale Bóg pomógł mu wyczołgać się z łóżka i znaleźć pangę. Bóg pomógł mu znieść piekielny ból, kiedy jego brzuch prawie wylał się do łóżka. Zagryzł zęby, by nie czuć bólu, i schował pangę w łóżku. Byłaś tak pijana od dopiero co zdobytej władzy, że nawet nie zauważyłaś, że panga zniknęła. Znowu pozwoliłaś mu robić pod siebie. Znowu grałaś w tę samą grę i pozwalałaś mu się kisić we własnym smrodzie. Ale nawet wtedy Bóg dał ci jeszcze jedną szansę: łóżko zaskrzypiało, gdy CzłowiekPanga złapał za pangę i wyciągnął rękę, żeby odrąbać ci dłoń. Chybił. Podbiegłaś do drzwi, przewracając balię z wodą, która wszystko zalała. Uciekłaś na podwórko i rozejrzałaś się wokół siebie w panicznym strachu. Bóg dał ci jeszcze jedną szansę: charczące sapanie ostrzegło cię o nadchodzącym niebezpieczeństwie. Parę metrów za sobą zobaczyłaś uwalane gównem widmo. Uciekłaś stamtąd w ślepej panice. Ale Bóg nie wypełnił jeszcze swego planu wobec ciebie: CzłowiekPanga gonił cię w pizamie z jedną ręką na brzuchu, w drugiej, wzniesionej w górę, trzymając pangę, gotów do odrąbania ci ręki.

Poprzedniego wieczoru padał deszcz, ścieżki pokryte były śliskim błotem, które przewracało ludzi, jeżeli nie szli ostrożnie. Dlaczego ty się nie pośliznęłaś i nie przewróciłaś? Dlaczego ty, z jedną stopą bosą, a drugą w pantoflu, nie pośliznęłaś się i nie przewróciłaś? Czy gdybyś się przewróciła, podniosłabyś się jeszcze? Co za sprint, na pagórek, z pagórka w dół. Ludzie, którzy wcześniej wstali, obserwowali cię zaintrygowani, z mieszanymi uczuciami, myśląc, że to jeden z twoich zwykłych melodramatów. A czy ty, biegnąc przez mgłę, widziałaś kogokolwiek? Nie, strach stępił wszystkie twoje zmysły, poza instynktem przeżycia. Ty, z grubym tyłkiem, dużymi piersiami i ciężkimi udami dostałaś nagle nóg sarny, płuc bawołu i siły słonia. Czy kiedykolwiek się nad tym zastanawiałaś? Może po prostu myślałaś, że biegniesz po olimpijskie złoto? Kto cię prowadził po zdradliwej ścieżce przez mgłę?

Potykałaś się, ślinałaś i kaleczyłaś palce stóp o kamienie na ścieżce, ale nie myślałaś wtedy, jak pokonać ten kilometr do drogi. Skąd na tej ślepej drodze pojawił się tamten samochód, który uratował ci życie? Skąd się wzięli ci uprzejmi mężczyźni? Dlaczego nie powiedzieli ci, ubranej w przepocony, nylonowy szlafrok, że powinnaś wrócić do domu? Dlaczego cię nie zostawili, kiedy ujrzeli zbliżającego się CzłowiekaPangę, kiedy prosiłaś o

pomoc? Czy nie śmiałaś się, gdy CzłowiekPanga upadł i skaleczył nogę o nóż? Czy nie czułaś radości, widząc, że krwawi? Bóg poklepał cię w ramię, ocalił cię, ale czy ty dałaś Mu szansę? Nie. Gdy tylko wszystko minęło, dalej zadawałaś się z innymi mężczyznami, w sposób tak grzeszny, jak nigdy dotąd, i zupełnie o Nim zapomniałaś. Zbudowałaś sobie nowe życie, wydziedziczyłaś syna CzłowiekaPangi, przyjęłaś nowe nazwisko. Aby mieć pewność, że CzłowiekPanga nie będzie cię prześladował, zaczęłaś nadskakiwać żołnierzom Amina i zbudowałaś wokół siebie sztuczny mur. Było to skuteczne tak długo, jak długo Bóg pozwolił temu murowi stać. Bóg pozwolił ci chodzić swobodnie między mordercami, gwałcicielami i złodziejami i czułaś się nietykalna. Bóg dał ci dostęp do towarów i pieniędzy i czułaś, że jesteś wysoka na dziesięć metrów. Widziałaś inne kobiety śmiertelnie bojące się oprawców Amina. Zastanawiałaś się, dlaczego nie były na tyle mądre, żeby nadskakiwać żołnierzom, żeby się chronić i pozwalać im ukarać każdego, kto je dotknął. Bóg dał ci jeszcze jedną szansę: oszczędził ci brudnych łap oprawców Amina, ale zepsuł ci wyzwolenie. Nasłał na ciebie siedmiu braci. Uderzył cię tym samym kijem, którym myślałaś, że nie możesz bez niego żyć. Zanurzył cię w tej samej wodzie, o której myślałaś, że jest najważniejsza na świecie. Powalił cię i pozwolił obcym mężczyznom sikać ci do gardła. Jeszcze teraz, kiedy o tym myślisz, zbiera ci się na wymioty. Dlaczego? Ponieważ ty sama nasikałaś Bogu do gardła i wytarłaś sobie dupę Jego planem wobec ciebie. Gwałt był ostatnim znakiem, ostatnim ostrzeżeniem przed śmiercią pierworodnego. Nie będzie już szarańczy, wichur ani gwałcicieli. To twoja ostatnia szansa na odprawienie pokuty i zwrócenie się do Boga.

Sfrustrowana Kasawo zapytała siostrę, co zrobiła Nakibuce.

Przez sekundę twarz Kłódki wykrzywiła się, ale po chwili znów się wygładziła. Nakibuka też jeszcze dostanie ostrzeżenie karę, na jaką zasłużyła, ponieważ skalała święte małżeństwo. Każdy był ostrzegany, Lwandeka również. Do momentu aresztowania wierzyła, że jest Babilonem: wielka, ważna i nietykalna. Bóg nasłał na nią oprawców Amina, żeby obudzić ją z grzechu lenistwa. Gdyby nie zechciała się zmienić, Bóg nie zawaha się uczynić tego ponownie. Wiedziała o tym przecież od samego początku: kobieta, która miała stosunek cielesny z więcej niż jednym mężczyzną, była dziwką, a dziwki, które w porę nie okazały skruchy, były kamienowane na śmierć. Ale ona nie trzymała się zasad i raz za razem wpadała w pułapkę. W grzechu poczęła dziecko i wciąż to jeszcze robiła. Mężczyzna, który wyciągnął ją z domu ojca, nie mógł się z nią ożenić, ponieważ był studentem, a ona tylko wiejską dziewczką. Bóg dał jej szansę zwrócenia się do Niego. Ale ona, zamiast złapać tę szansę, wciąż zadawała się z mężczyznami. Może wierzy, że praca wolontariuszki dla Kościoła ją uratuje, że dobre uczynki naprawią jej grzeszne życie? Próbuje nowe wino wlać z laski Boga w

wyświechtane worki swego grzesznego życia. Obraża Boga pędzeniem wódki, diabelskiego płynu, od którego mężczyźni zaczynają skakać sobie do oczu, chodzić na dziwki, bić zony, pluć na krzyż i stają się nieodpowiedzialni. Zapomina, że ten, kto innych nakłania do grzechu, otrzyma o wiele cięższą karę. Polityka jej nie uratuje. Pokuta - tak, ale ona jest za bardzo pozbawiona sumienia, żeby to spostrzec.

Kasawo zalała się łzami. Klódka zwąchała szansę zwycięstwa i uczepiła się jej.

Stale biadolisz o tym gwałcie, ponieważ jesteś odstępcą. Skamlesz na Amina, który robił to i tamto, nie robił tego albo tamtego, albo tego czy owego nie powinien był robić. Kraj skamlących i biadolących. Naród głupich bluźnierców, którzy jęczą, kiedy Bóg zaczyna machać Swą wielką laską, Idi Aminem, żeby wypłenić zło, nieposłuszeństwo, chciwość, egoizm i nie - moralność, w przygotowaniu na sprawiedliwość, cnotę i zbawienie. Podobnie jak ty, cały ten naród nie słuchał głosu proroków i ostrzeżeń Boga.

Biały człowiek, który myślał, że jest Bogiem, przybył i podbił kraj, ustanowił prawo, narzucił ludziom swój sposób życia i usiadł sobie, by cieszyć się owocami swej niesprawiedliwości. Miał azjatyckich asystentów, którzy pomagali mu doić kraj. Wspólnie dzielili miód i mleko, którym Bóg pobłogosławił tę ziemię. Uchwalali ustawy, żeby bronić się przed zemstą mieszkańców. Azjaci również brali w tym udział i cieszyli się, że mogą służyć białemu człowiekowi, któremu wydawało się przeznaczone wieczne trwanie, w bezbożnym partnerstwie. Biali ludzie budowali coraz większe pałace. Stawiali coraz wyższe monumenty. Gromadzili coraz bardziej śmiercionośną broń. Przesadzali na temat szczególnych cech tej nacji: jak zainwestowali w orzeszki ziemne, a jako żniwo zebrali worki złota. Obnosili się ze swoją władzą polityczną, ekonomiczną i socjalną. Aż Bóg postanowił, że dosyć tego. Dodał bodźca posłusznym dotąd ludziom. Czarnych kolaborantów uczynił wrogami białego człowieka. Postarał się, żeby druga wojna światowa była bardziej śmiercionośna niż wszystkie wcześniejsze. Wysłał czarnych mężczyzn, by zabijali białych i zatruli ich krwią zagranicznych wojen i egoistyczną dumą. Ścinał białego człowieka jego własnym mieczem. Starł na proch jego potęgę Swoją pięścią. Biali ludzie zaczęli oglądać się przez ramię, gdy jechali przez miasto, gdy wyprowadzali psy, gdy szli do swoich bezbożnych świątyń. Biały człowiek nie był już władcą absolutnym, nie był już u szczytu. Został pokonany słowami Jezusa: „Od tego, kto dużo ma, będzie się dużo oczekiwać”. Ostatecznie odwrócił się na pięcie i wymknął jak złodziej w nocy.

Azjata, uwięziony w swej chciwości, również zignorował Boskie ostrzeżenie. W 1971 Bóg podniósł nowy miecz, lśniący nową zemstą. Rok później Azjata krwawił, jęczał i tarzał się w rozpacz. Bóg odebrał mu dom, poczucie bezpieczeństwa, spokój ducha. Bóg podjudził

przeciw niemu jego byłego sojusznika, białego człowieka. Nagle nigdzie nie był już mile widziany. Kopano go z granicy na granicę, jak brudną piłkę. Czarny człowiek cieszył się: Boski wyrok był dla niego korzystny. Ale zamiast wyciągnąć wnioski i zwrócić się do Boga, czarny człowiek uznał to wszystko za oczywiste i przejął dobra pozostawione przez Azjatę. Muzułmanie i chrześcijanie zaczęli, podobnie jak wcześniej Azjaci i biali ludzie, jeść, pić i oddawać się rozpuście. Zamki budowane z piasku nigdy nie przetrwają sztormu. Domem zbudowanym na bezbożności wstrząsały wewnętrzne sztormy oraz zemsta Bożego miecza Idi Amina, i w końcu zawałił się na mieszkańców. Z gruzów ludzie wołali ratunek i Bóg ich usłyszał. W 1979 usunął Swój miecz. Ale gdy tylko miecz przestał błyszczeć, ludzie wrócili do swych dawnych grzesznych nawyków. Naród nie okazał skruchy ponownie zostanie wystawiony na próbę.

Nie płacz, Kasawo; nie płacz, narodzie. Bóg doświadcza tylko tych, których najbardziej kocha. Spójrz wstecz: święty Bartłomiej został żywcem obdarty ze skóry, święty Wawrzyn żywcem spalony, święty Jan ugotowany w oleju, świętemu Erazmowi rozcięto brzuch, a ugandyjskich męczenników zawijano w trzcinę i podpalano. Wszyscy byli bliscy Bogu, jednak nie oszczędził im cierpień. Ludzie zachowują się dzisiaj tak, jakby byli pierwszymi i ostatnimi, którzy zaznają gorzkiego kielicha Boskiego doświadczenia. Dlaczego ty, Kasawo, i ci wszyscy biadolący ludzie nie spoglądacie na Ziemię Świętą, kraj, w którym postawiłam swoją skromną stopę i którego dotknęłam swoimi skromnymi palcami? Zastałam go w płomieniach i w płomieniach go zostawiłam. W czasach Jezusa kamienie stękały i jęczały pod stopami rzymskich żołnierzy, a powietrze drżało od śmiertelnego błysku ich mieczy. Dziś drogi i dróżki Ziemi Świętej uginają się pod stalowymi podeszwami nowoczesnego wojska. Ziemia Święta na bardzo wiele sposobów była wciąż sceną walki, tak jak zawsze była nią w przeszłości. Czy Bóg doświadczył tę nację bardziej niż rodzinną miejscowość Swego własnego Syna?

Kasawo, Pan nagradza tych, którzy są mu wierni. Mnie nagroził. W katedrze Świętego Piotra objawił mi Swą glorię. Czułam, jak jej wspaniałe mury trzęsły się od świętej gorączki. Podczas konsekracji widziałam girlandy białych gołębi sfruwające ze złotego okna za ołtarzem i zbierające się wokół ołtarza. Widziałam kielich papieski i topiące się świece, spływające złotymi rzekami do stóp ołtarza. Bóg pokazał mi te wszystkie cuda, żebyś ty w nie uwierzyła, okazała skruchę i przestała wielbić Diabła. Jestem twoim ostatnim ostrzeżeniem, Kasawo. Nie będzie już żadnych wichur, gwałcicieli ani słownych ostrzeżeń.

Bóg ześle ratunek, Bóg nie zostawi żadnej modlitwy bez odpowiedzi - powiedziała na koniec Kłódka, pozostawiając siostrę w przeświadczeniu, że popadła w pewien rodzaj transu.

Kasawo odczuwała coś, co przypominało obrzydzenie i współczucie, a równocześnie niezdecydowany podziw. Siostra była tak przekonana o swojej racji, że Kasawo mimo swojego sceptycyzmu nie potrafiła odrzucić tego wszystkiego jako obłąkania lub iluzji. Zdawała się znajdować w takiej zgodności z tym, co boskie, że sprawiała wrażenie, jakby straciła kontakt z tym, co śmiertelne. Ale przecież nie przyjechała tu po to, żeby ją nawracano, a przekonanie siostry umocniło ją tylko w jej własnym przekonaniu, że znajduje się na właściwej drodze. Zawsze będzie czciła i Boga, i Diabła. Kombinacja ta działała na nią tak, jak katolicyzm na Kłódkę. Wszystkie łaskoczące piórka wątpliwości i poczucie winy zniknęły, pogrzebane u stóp fanatycznej wiary Kłódky. Nigdy nie mogłaby widzieć świata w czarnobiałych kolorach, tak jak siostra. Szare odcienie, przez które od początku się przebijała, zrobiły się wyraźniejsze niż kiedykolwiek. Zboczyła w głąbiny piekła i była teraz przekonana, że najgorsze ma za sobą.

Katolickie dogmaty były dla niej abstrakcyjne i niewystarczające, były czymś, co w rzeczywistości nie potrafiło ustać na własnych nogach. Katolicyzm nie dawał żadnych praktycznych sposobów przeciwstawiania się złu, a odrzucenie czarów zmniejszało szanse zwycięstwa. Jako kobieta interesu Kasawo nie mogła sobie na to pozwolić, ponieważ w świecie interesu, w którym roiło się od najzagorzalszych czcicieli diabła i najokrutniejszych praktykantów czarów, ogień należało zwalczać ogniem. W interesach przypadek był świętym sakramentem, którego szukano w najokazalszych katedrach i najbardziej podejrzanych domach czarownic. Mężczyzna czy kobieta interesu musieli pokazywać swoim kolegom, że są dobrze chronieni i potrafią walczyć. Była to gra psychologiczna. Kasawo radziła się znachorów, paliła tajemnicze zioła i mamrotała zaklęcia. W niedzielę chodziła do kościoła, ponieważ wymagało tego jej image, a także dlatego, że nie mogła tak zupełnie zarzucić katolicyzmu, jako opium dla ludu. Dobrze się czuła w obu światach, ponieważ głęboko wewnątrz była przekonana, że Bóg i Diabeł to dwie strony tego samego medalu, a ona nie chciała ryzykować.

Niedługo po tym, jak została zgwałcona, udała się do księdza ze swojej parafii. Chciała porozmawiać z kimś neutralnym. Ów ksiądz poradził jej pozostawić gwałcicieli Bogu. Gdy Kasawo usłyszała taką odpowiedź, postanowiła udać się do znachora, który oszacuje możliwości zemsty i oczyszczenia. Drżała z niecierpliwości, by mieć to już za sobą i nie zmagać się z tym przez lata, jak to miało miejsce po ataku Człowieka - - Pangi. Kiedy patrzyła teraz na siostrę, wiedziała z pewnością, że gdyby zdała się na nią i jej parafię, chyba zupełnie by zwariowała.

Miała uczucie, że brakuje jej powietrza, jakby dom siostry był zamkniętym

pudełkiem. Czuli potrzebę wyjścia na zewnątrz i udania się na spacer, żeby już nigdy nie wrócić. Spojrzała na zegarek. Cieszyła się, że wyjeżdża następnego dnia z samego rana.

Kiedy dwa dni po terapii oczyszczającej przyjechała z wizytą do ciotki Lwandeki, nie zrobiła na mnie wrażenia osoby zgwałconej przez siedmiu mężczyzn. Kipiała energią i wiarą we własne siły i mówiła prawie non stop. Dni współczucia dla samej siebie miała już najwyraźniej za sobą. Jej bolesne doświadczenie było po prostu kolejną pokonaną przez nią przeszkodą. Dużo mówiła o polityce i wyrażała swe wątpliwości na temat nowego rządu koalicyjnego. Powiedziała, że bardzo się cieszy, że wyzwoliciele są odsyłani z powrotem do Tanzanii.

Gdy tak rozprawiała, wciąż myślałem o tych siedmiu mężczyznach na niej i dziwiła mnie jej zdolność regeneracji w tak krótkim czasie. Pomyślałem też, że niektóre afrykańskie kobiety zasługują na olimpijski medal za ukrywanie bólu: myśl o kobietach sikających przez dwadzieścia minut, kropla po kropli, bo jako dziewczynkom zamknięto im srom, żeby zapobiec współżyciu płciowemu przed ślubem, napelniała mnie szacunkiem. Przyglądałem się ciotce Kasawo uważnie, żeby zobaczyć, czy nie odgrywa przed nami jakiejś sztuczki. Ale już pod koniec drugiego dnia jej czterodniowego pobytu nabrałem przekonania, że jest szczerą. Kanclerz Biskupi dokonał cudu.

Znałem tego człowieka. Nikt nigdy nie zwracał się do niego jego prawdziwym imieniem. Dostał przydomek Kanclerz Biskupi, ponieważ był jednym z nielicznych katolickich znachorów - najczęściej znachorami byli muzułmanie. Poznałem go, gdy zamieszkałem w domu ciotki Lwandeki. Na początku myślałem, że to właśnie on był tym dużym, ciemnym człowiekiem, który groził jej nożem i „koblą”. Później najbardziej jeszcze przypominał mi katolickiego proboszcza. Posiadał mnóstwo ziemi, mieszkał w dużym domu na wzgórzu i miał nowy samochód. Znał wiele wpływowych osób. Miał dużą praktykę i manery rozpieszczonego księdza. W tajemnicy żywiłem dla niego podziw, ponieważ prowokował Kościół katolicki, wytykając mu, że choć działa w naszym kraju już od stu lat, jego nauka nie zaspokaja wielu ludzkich potrzeb.

Gdyby za przykład wziąć Kasawo, okazywało się, że ludzi uzdrawiało to, w co wierzyli. Stojąca za terapią Kanclerza psychologia mówiła, że ten, kto oczekuje bólu, musi otrzymać bolesny zabieg, a ten, kto oczekuje miłych słówek, krwawych ofiar, zaklęć i objęć, również musi dostać to, czego pragnie. Miał tak wiele doświadczenia, że wiedział, jaką terapię powinien zastosować, zanim zdążyło się otworzyć usta.

Kiedy Kasawo przysłała do kwatery głównej Kanclerza, była przekonana, że jest przypadkiem szczególnym, i spodziewała się, że natychmiast ktoś się nią zajmie. Uważała, że

jest specjalną nagrodą dla tego człowieka, ponieważ odrzuciła dogmatyczny katolicyzm siostry i wybrała jego. Sądziła również, że tego dnia była jedyną osobą, która przeżyła **gangrape**. Sądziła, że zastanie przed sobą w kolejce około dwunastu osób. Myślała, że swoją elokwencją przekupki targowej szybko zwróci na siebie uwagę.

Dlatego przeżyła szok, gdy się przekonała, jak bardzo się przeliczyła. Kiedy przybyła około dziesiątej, zastała tłum, którego wielkość przypominała jej szkołę podstawową. Niektórzy musieli przyjść, gdy było jeszcze ciemno. Prawdopodobne wydawało jej się nawet, że część z nich spędziła na czekaniu całą noc. Długa kolejka przywodziła jej na myśl ślepców, głuchych i inwalidów, którzy przemierzali wielkie odległości w poszukiwaniu Jezusa, w nadziei, że uleczy ich w cudowny sposób. Był tam budynek główny, biuro rejestracji, apteka, sala sypialna, kiosk, pomieszczenia do zabawy dla dzieci, sznurki na pranie, krany, rzędy rolek papieru toaletowego i oczywiście wielu asystentów utrzymujących porządek. To był najbardziej pompatyczny i najbardziej zorganizowany znachor, jakiego Kasawo kiedykolwiek widziała. Zadrzała na myśl, że wszyscy ci ludzie przyszli do jednej i tej samej osoby. Czowała także dumę, że ten człowiek uratował praktykę z rąk obrzydłych starców i pomarszczonych staruszek i wciągnął ją w bogactwo i nowoczesność.

Kasawo spociła się, pokonawszy jedną czwartą kilometra pod górę. Z jej włosów kapał tłuszcz, który ścierała z szyi i karku wielką chusteczką do nosa. Przypatrywała się dobrze ubranym kobietom, których liczba znacznie przewyższała liczbę czekających mężczyzn. Pomyślała, że znachorzy zbankrutowaliby, gdyby kobiety przestały do nich chodzić.

Denerwowało ją, że przed nią jest tyle osób. Złościły ją marudzące dzieci i arogancka postawa niektórych kobiet. Od razu wyłapała co przebieglejszych ze względu na ich obojętność. Ci, którzy przyszli tu po raz pierwszy, rozglądali się nerwowo, próbując się upewnić, czy nie widzi ich nikt ze znajomych. Towarzyszące im z powodu pobytu w tym miejscu uczucie winy uwidaczniało się także w sposobie, w jaki nerwowo przebiegali w miejscu nogami, pokasływali czy mrugali oczami, jakby ich ciało otwarcie się tej wizycie przeciwstawiało.

Część tych ludzi powinna właściwie leżeć w szpitalu, wszyscy czekali jednak na decyzję Kanclerza. Już ponad sto lat stosowano zachodnią medycynę, ale wielu ludzi miało więcej zaufania do znachorów niż do lekarzy. Kasawo rozumiała to. Było mnóstwo chciwych lekarzy, którzy doili swoich pacjentów, nie mówiąc im prawdy. Była to kwestia zaufania. Jeśli chodziło o nią samą, wiedziała, kiedy poradzić się lekarza, a kiedy iść do znachora.

Z doświadczenia wiedziała, że połowa obecnych wcale nie przyszła z powodu

dolegliwości cielesnych; przybyli tu w poszukiwaniu szczęścia, sukcesu, zemsty, miłości, władzy, łask i przepowiedni. Były wśród nich kobiety z prośbą o czarodziejski napój, który sprawi, że mąż będzie je bardziej kochał niż inne kobiety, byli wśród nich mężczyźni, którzy szukali złych czarów, aby spowodować u swych rywali wypadki samochodowe, ściągnąć na nich choroby lub inne nieszczęścia. Były niepłodne kobiety, które rozpaczliwie pragnęły **baby**, i błagały już o pomoc w każdym kościele i każdym szpitalu - a także kobiety, które chciały mieć więcej dzieci, by zagwarantować sobie pozycję w rodzinie. Byli obłąkani mężczyźni i kobiety, których nękały „głosy”, każące im biegać nago, napadać na ludzi, siadać w ogniu, wspinać się na dachy albo mówić do siebie - a także mężczyźni i kobiety, którzy chcieli kogoś doprowadzić do szaleństwa. Byli ludzie z psychosomatycznymi i psychicznymi dolegliwościami; ludzie z migreną, rakiem, spuchniętymi nogami albo złamanymi kończynami. Byli ludzie poszukujący samych siebie, którzy potrzebowali magicznego dotknięcia dużego człowieka, które obierze ich z warstw oszukiwania samego siebie, współczucia samemu sobie i starego bólu, zanim będą mogli rozpocząć nowe życie. Byli też ci, którzy stracili kogoś bliskiego, ale nie mogli odnaleźć jego ciała: chcieli odnaleźć szczątki, aby poprzez należyty pogrzeb ułagodzić niespokojne duchy i w miarę możliwości nakłonić sprawcę do pokuty.

Kasawo szczególnie solidaryzowała się z tą ostatnią grupą, ponieważ wszyscy mordercy uciekli albo ukryli się i nikogo nie zawiedziono przed sąd.

Uważnie przypatrując się tym wszystkim ludziom, zastanawiała się, czy nie jest to nacja pustogłowych, których łatwo wywieść w pole, i zwyrodniałych mitotwórców. Z pewnością Kanclerz był mitotwórcą, enigmą. Kasawo nie zgadzała się z opinią siostry, że Ugandyjczycy to nacja marud. Była to po prostu nacja poszukująca przywództwa. Ona sama również od czasu do czasu potrzebowała, aby nią pokierowano. Zastanawiała się czasem, czy jej wiara w podobnych ludzi jak ten człowiek nie była wyrazem tęsknoty do innego mężczyzny, do zmartwychwstania CzłowiekaPangi z czasów, zanim od niego odeszła, człowieka, który kierował kiedyś każdym aspektem jej życia. Nacja, myślała, nie czuje potrzeby pokutowania, lecz sporządzania bilansu. Fantazjowała o dobrym mężu, z którym mogłaby się zestarzeć, o kimś, kto by się o nią troszczył. Myślała, że po rytuale oczyszczenia łatwiej jej będzie kogoś takiego znaleźć.

Musiała czekać pół dnia. Kiedy wreszcie przeszła przez lśniące, drewniane drzwi pokoju przyjęć i została połknięta przez nowiuteńkie, czerwone obicie z kory na suficie, ścianach i podłodze, trzęsła się ze zdenerwowania. Jej wnętrze było puste ze zmęczenia. Suchy, przypominający drewno zapach obicia wywoływał w niej senność. Mężczyzna

siedzący przed nią był duży i wyglądał na żadnego władzy. Jego ogromne oczy, strzeżone przez krzaczaste, stonogowate brwi, budziły w niej jeszcze większy niepokój. Patrząc na jego szerokie, okrągłe dziurki w nosie, miała wrażenie, że patrzy w podwójną lufę. Ciężki zapach wzbudzał w niej strach, że zostanie odurzona. Z niechęcią pomyślała, że silna osobowość tego mężczyzny przypomina jej CzłowiekaPangę. Ten mężczyzna był nową siłą, kolosem żerującym na obrzydłych starych znachorach, który nie poprzestanie, dopóki nie odbierze im wszystkich klientów. Swoim bogactwem i imponującą osobowością od razu wymuszał zaufanie. Kasawo czuła się prawie jak uczeń.

— Opowiedz mi całą twoją historię.

Słowa te padły z jego despotycznych ust niczym ciężkie uderzenia gongu, a ich dudnienie akcentował czerwony mrok, w którym je wypowiedziano. Kasawo była wdzięczna za ten czerwony mrok: czuła się w nim mniej speszona. W przeciwieństwie do tego, co powiedziała księdzu, tym razem nie zmniejszyła liczby gwałcicieli do trzech. Opowiedziała Kanclerzowi wszystko, co mogła sobie przypomnieć, a nawet miała ochotę dodać jeszcze coś zmyślonego. Na początku czuła się trochę dziwnie, słysząc siebie samą mówiącą w mroku, ale przyzwyczała się do tego. Kiedy już prawie kończyła, słowa płynęły niemal same z siebie. W ciszy, jaka nastąpiła, uczucie duszności nasiliło się. Jej serce biło jak oszalałe, gdy czekała na wyrok mężczyzny. Długo milczał, ale w końcu powiedział, że wszystko będzie dobrze. Ulga, jaką poczuła, była ogromna.

Potem kazano jej pójść do sal sypialnych, którymi okazały się podłużne budynki z jedno - lub dwuosobowymi pokojami. Obok był sklepik, w którym można było kupić mydło, żyłki, bandaż, papierosy, sól, mąkę kukurydzianą, herbatę i inne artykuły mogące się przydać podczas pobytu. Za kioskiem można było dostać gotowe jedzenie, herbatę i papkę. Na myśl opapce Kasawo przewracał się żołądek. Pospieszyła do przydzielonego jej pokoju.

Było w nim łóżko z materacem ze sprężynami, szafa, miednica i betonowa podłoga, na której spoczęły jej stopy, gdy zastanawiała się, ile to wszystko będzie kosztować. Kanclerz był jednym z tych nowoczesnych znachorów, którzy udzielali kredytu, ponieważ klientom nie przychodziło do głowy, że mogliby ich oszukać. Kasawo uważała, że ten człowiek zasługiwał na każdy cent, jaki dostawał: była tu dopiero pół dnia, lecz już czuła się znacznie lepiej. Leżąc na łóżku i czekając na zapadnięcie zmroku, rozmyślała, czy nie jest to zakład, do którego przychodzą ludzie, kiedy ciężary przeszłości i terażniejszości stają się dla nich zbyt uciążliwe. Gwałtownie usiadła na łóżku: myśl, że dokonany na niej gwałt miałby być urojeniem, napelniła ją odrazą. Nie, nie, nie. To nie było to, to nie było to, powiedziała na głos. Znowu powoli się położyła, zadowolona, że nie zwariowała. Pomyślała o chłopaku, którego widziała

tego dnia. Przyprowadzono go na sznurku. Jego ojciec powiedział, że opętały go duchy. Przypomnił jej się wyraz oczu chłopca - niezgłębiony, a jednak powierzchowny. Jak okropnie się rzucał, gdy go uwolniono! Trzeba było trzech mężczyzn do przytrzymania go, zanim przyszedł Kanclerz. Pamiętała, że Kanclerz wziął chłopca za rękę i powiedział do niego parę słów. Przypomniała sobie, jak go pogłaskał i poprowadził do środka. Władza, czułość, ufność, te różne strony Kanclerza przez cały czas zajmowały Kasawo.

Do pokoju wkroczył spowity w czerń mężczyzna z ogonem lamparta w dłoni. Powiedział Kasawo, że ma się rozebrać, owinać w czarne prześcieradło i udać za nim. Było po północy. Z wyjątkiem palących się tu i tam w salach sypialnych lampek cały teren był pogrążony w ciemnościach. Szli przez las bananowców do potężnego drzewa, wystającego ponad nimi jak diaboliczna wieża terroru. Pod tym monstrem znajdowała się grota, w której stały przygotowane trzy miski zimnej wody. W powietrzu unosiły się zaklęcia, a po drżącym ciele Kasawo spływała zimna woda z trzech misek. Do jej włosów i skóry przyklejały się listki ziół.

Kiedy wrócili do pokoju, mężczyzna kazał jej rozłożyć zwiniętą matę, która stała oparta o ścianę, i położyć się na niej. Kasawo już od dwudziestu lat nie kładła się na podłodze, by przyjąć karę. Było to dziwne uczucie. Otrzymała siedem uderzeń bambusowym kijem. Skulona z bólu, została ponownie powiedziona do groty. Kolejna kąpiel. Było jej przeraźliwie zimno i nie udało jej się powstrzymać łez towarzyszących wstrząsającym nią dreszczom. Czarne ubranie nadawało mężczyźnie wygląd niesamowitego ducha, który równocześnie napawał ją strachem i uspokajał. Człowiek urodzony po to, by sprawować władzę. Człowiek urodzony po to, by wypędzać demony i rządzić kobietami.

W drodze powrotnej Kasawo ponownie utwierdziła się w przekonaniu, że Bóg i Diabeł to jedna i ta sama osoba. Używali nawet tych samych metod do zwalczania oporu. Wiele lat temu, gdy dopiero co poznała CzłowiekaPangę, matka zabrała ją do proboszcza pod pozorem kupienia różańca. Kasawo bała się tego białego człowieka. Matka powiedziała mu, że Kasawo dopuszcza się nierządu z mężczyzną, pije alkohol i jest bezczelna wobec ojca, a potem poprosiła księdza o wypędzenie demonów nękających córkę. Ksiądz wstał i wypowiedział wiele łacińskich słów. Jego twarz była bez wyrazu. Zdawał się nie widzieć ani jej, ani matki. Na koniec wziął trzcinę i zbił Kasawo. Ale nawet on nie mógł wybić z niej CzłowiekaPangi.

Za drugim razem matka zabrała ją do przełożonej miejscowego klasztoru. Zakonnica słuchała w ciszy, z nieruchomą twarzą. Długo przyglądała się Kasawo, po czym poprosiła matkę i córkę, żeby uklęknęły. Zaintonowała różaniec i litanie do Świętej Dziewicy. Następnie

kazała matce odejść, prosząc Kasawo, by została. Zamknęła drzwi, a klucz schowała do kieszeni. Zasuwała wszystkie zasłony i kazała jej się rozebrać. Kasawo sztywnymi ruchami zdjęła ubranie. Zakonnica powiedziała, że ma się położyć na plecach. Potem wzięła skórzany pasek i dwanaście razy uderzyła ją między nogami. Kasawo okropnie krzyczała. Jeszcze nigdy nie czuła takiego bólu.

— Pomyśl o gwoździach, które przez twoje grzechy przenikają ciało Jezusa, i bądź cicho - nakazała zakonnica. - Nie wstyd ci za ból, który zadajesz Panu swoim zachowaniem?

Codziennie przez tydzień stosowała tę samą karę. Nie podziałało. Wkrótce potem Kasawo uciekła z CzłowiekiemPangą.

Po powrocie do pokoju jeszcze siedem razy twardym bambusem dosięgło celu. Kanclerz polecił, by położyła się do łóżka. Przeszkadzały jej powtórzenia w jej życiu, zwłaszcza dlatego, że nie udało się jej wydłubać z nich żadnej mądrości. Jej myśli rozlażyły się na wszystkie strony jak kijanki w mokradle. Ale łyzy i wszystkie przeżycia dnia miały usypiający efekt.

Obudziła się późnym popołudniem. Czerwone cegły mieszkania Kanclerza spoglądały na nią przez okno, uwodząc ją jak delikatnie żarzące się ognisko. Zdumiał ją hałas na dziedzińcu i zastanawiała się, jak mogła przy nim spać. Kiedy zapadła noc, poszła do kiosku kupić jedzenie. Wokół żółtych lamp krążyły ogłupiałe sówki. Usiadła na łóżku i zaczęła jeść, ale kiedy do ust wpadło jej skrzydło sówki, wyrzuciła jedzenie.

Czekając na przybycie Kanclerza, zastanawiała się nad działaniem terapii: opowiedziała mu wszystko o brutalnym napadzie, a także bardzo dużo o własnym życiu. Zdawał się wyluskiwać najgorsze szczegóły, żeby na nowo dać jej poczuć ból i pomóc się z nim uporać. Sprawiało to więcej cierpienia, niż się spodziewała, ale tak lepiej działa, pomyślała. Bardziej niż kiedykolwiek żałowała, że nie ma lepszego wykształcenia, żeby móc lepiej powiązać ze sobą różne nici swego życia. Przypomniała jej się spowiedź w konfesjonale. Początkowo naprawdę myślała, że biały człowiek za drewnianą kratką to Jezus. Drżała ze strachu, nie mając odwagi powiedzieć ani jednego kłamstwa. Potem uświadomiła sobie jednak, że gdyby spowiednik naprawdę był Jezusem z Nazaretu, nikt nie musiałby mu niczego mówić. Wtedy zaczęła kłamać i opuszczać szczegóły. „Jezus” wszystko przeżykał! Strach zniknął, a ona poczuła od mężczyzny zapach tabaki. Od tej pory nie odmawiała już modlitw pokutnych. Kanclerz był mądrzejszy. Prowadził swoich klientów przez rytuały. On jest przecież katolikiem, myślała Kasawo, a więc i książy musiał wodzić za nos. Zło należy zwalczać złem, mówił zawsze kierownik szkoły.

Masywna postać Kanclerza wypełniła drzwi. Gestem nakazał jej pójść za sobą do groty, gdzie ponownie została poddana kąpiel. Nigdy w życiu tak się nie trzęsła. Zęby okropnie jej szczękały, kiedy wracała do pokoju, aby przyjąć ostatnią serię razów. Wymierzył je i odwrócił ją. Zimna ręka wiatru wdarła się do jej wnętrza i wstrząsnęła jej ciałem do szpiku kości. Było jej tak zimno, że czuła, jak od wewnątrz narasta w niej matowe ciepło. Zamknęła oczy i poddała się powykręcany meandrom swego ducha. Ocknęła się wystraszona ogniem pieprznej, odzianej w gumę penetracji mężczyzny, sprawiającej, że ożyły wszystkie demony z jej przeszłości. Osmalił mocno napiętą błonę jej odmłodzonego ja piekielnym ogniem jej najgorszych bólów. Przypominało to profesjonalne okrucieństwo łamaczy kości, którzy w celu naprawienia błędu łamali na nowo kości źle zestawione. Nie mogła powstrzymać jęków i łez, ale próbowała się trzymać. Myślała o CzłowiekuPandze i swoim strachu przed nim, nawet o swojej miłości do niego. Myślała o ojcu, o proboszczu i zakonniczy, którzy ją bili, oraz o żołnierzach Amina i swoich gwałcicielach. Jej twarz była cała mokra. Zapytał, czy płacze. Nie potrafiła kłamać przed nim, więc przytaknęła. Zaśmiał się. Poczwała ulgę.

Gdy ponownie wrócili do groty, rozkazał jej napełnić wiadro wodą, nasypał do niego ziół i powiedział, że ma je nieść na głowie. Tym razem poszli w stronę drogi. Zatrzymali się przy skrzyżowaniu. Drżąc, patrzyła na trzy boczne drogi. Modliła się, żeby nikt nie nadszedł, żeby okolica nadal pozostała pusta, martwa. Mężczyzna kazał jej się rozebrać i wykąpać, wymawiając jednocześnie następujące słowa: „Pozostawiam tu gwałty całego świata. Pozostawiam tu nieszczęścia świata. Pozostawiam tu całe zło. Niech wiatry zabiorą je na koniec świata”. Stał w niewielkiej odległości i słyszała, jak mamrocze. W milczeniu wrócili do budynku. Cieszyła się, że tę część rytuału ma już za sobą. Jej ciało płonęło jeszcze, ale była spokojna. Było jej wszystko jedno, nawet gdyby została zbита jeszcze siedem razy. Przekroczyła pewien psychiczny próg. Czuła się niezwyciężona, nieustraszone i na wszystko przygotowana.

Przy jej drzwiach Kanclerz odsunął się, żeby ją przepuścić. Stojąc w przejściu, przyglądał się, jak drży w czarnym prześcieradle, szczelnie owiniętym wokół parującego ciała. Zdawał się opleciony swym kapłańskim dystansem.

— Już po wszystkim, dziewczyno - powiedział, ale nadal stał w drzwiach, jakby czekając na podziękowanie. Upadła więc na kolana i podziękowała mu tak, jakby nie musiała mu zapłacić.

Kiedy się podniosła, była kobietą pełną nowego ognia i płomiennego zapachu. Gdy znowu przysła do nas z wizytą, wiodła prym we wszystkich rozmowach. Ciotka Lwandeka

patrzyła na nią z podziwem. Kasawo nie była moim ulubionym komentatorem politycznym, lecz zgadzałem się z nią, że wyjazd Tan - zańczyków będzie dobry dla wszystkich. Ale kiedy powiedziała, że wkrótce wróci wypędzony dyktator Obote, nie podobało mi się to. Przez cały czas sądziłem, że to prawie niemożliwe. Wiadomość ta nie ucieszyła również ciotki Lwandeki, która oświadczyła, że według niej wybuchnie wówczas wojna partyzancka.

— Rządy są po to, żeby walczyć z rebeliami - powiedziała zadowolona z siebie Kasawo.

Jeszcze długo po jej wyjeździe rozmyślałem o tych słowach.

W ciągu kilku miesięcy blokady dróg zniknęły, a większość Tanzańczyków wróciła do domu. Utworzono nową armię. Godzina policyjna rozpoczynała się teraz o jedenastej wieczorem i trwała do piątej rano. Wiele spekulowano na temat Magicznej Trójcy: wyborów, demokracji i rozwoju.

Znowu poczułem się nietykalny. Przeżyłem mroczne dni i wyszedłem ze wszystkiego bez szwanku. Miałem pójść na uniwersytet studiować prawo. Nigdy nie naprzykrzałem się kobietomwyzwolicielom, strzegącym blokad na drogach. One także zdawały się mnie nie dostrzegać. Przemykałem obok nich, jakbym był niewidzialny. W wiadomościach podano, że mają wyjechać w ciągu trzech tygodni. Co drugi dzień chodziłem do przyjaciela, samotnie mieszkającego kolegi z seminarium. Rozmowy, zwłaszcza dotyczące polityki, kobiet i władzy, sprawiały nam przyjemność. Czasem zabierałem ze sobą alkohol, od którego język mu się rozwiązywał i mówił tak, jakby zbliżał się koniec świata. Obaj mieliśmy wrażenie, że możemy zmienić świat. Rozmawialiśmy, jakbyśmy siedzieli w parlamencie albo na jakimś innym narodowym forum, a nasze słowa stawały się ustawami.

Pewnego wieczoru zatrzymały mnie głosy dochodzące ze starej fabryki, przy której czasem ustawiano niespodziewane blokady. Ale w ciągu minionych pięciu dni ani tam, ani w pozostałej części przedmieścia nie było żadnych blokad. Zatrzymałem się i zobaczyłem leżące na poboczu drogi dwie cegły. Czasami używano opon samochodowych albo starych beczek po oleju, wszystkiego. Miałem się na baczności: o tej porze dnia można się było spodziewać wszystkiego. Co gorsza, nie miałem przy sobie pieniędzy ani zegarka, żeby się tym wykupić. Podeszły do mnie trzy kobiety w mundurach, karabiny trzymały lufą w dół. Do każdego karabinu przyczepione były gumką trzy magazynki. Każda z tych kobiet miała przy sobie dziewięćdziesiąt kul. Stałem zdumiony: wydawało mi się, że rozpoznałem wyrośniętą dziewczynę, której kiedyś przepowiedziałem, że urodzi stworzenie bez kończyn... Zrozumiałe, że wołała pójść do wojska, aby uniknąć wydania na świat takiego potwora.

Ale kiedy przeszła na stronę partyzantów? Czy mnie rozpoznała? I czy mnie śledziła?

Jak długo czekała na tę chwilę? Ilu mężczyzn zastrzeliła zamiast mnie? Nie mogłem oderwać od niej oczu. Chciałem się upewnić, że to naprawdę ona. Próbowałem zajrzeć jej pod daszek czapki. Czy w ciągu tych wszystkich lat tak niewiele się zmieniła?

Nie dano mi zbyt wielkiej szansy na ukończenie badania. Piekielna Trójca uznała moje pytające spojrzenie za zaloty. Ale kto byłby na tyle nierozsądny, by zalecać się do trzech kobiet uzbrojonych w dwieście siedemdziesiąt szybkostrzelnych kul? Zarzucono mi brak szacunku, zaniedbanie procedur wojskowych, działalność wywrotową i jeszcze parę rzeczy. Ogarnęło mnie trwożliwe przeczucie. Sztudent? Tak. Sztudent Amina, hihihiii. Obejrzałem się tymczasem dookoła, czy nie przechodzi jakiś pijak, jakiś przechodzień, ktokolwiek, kto swoją obecnością odciągnąłby uwagę trójcy ode mnie. Była to trasa ucieczki obierana przez ludzi z północy: jak to możliwe, że teraz jest tu tak pusto? Kazano mi pokazać dowód identyfikacyjny. Nigdy wcześniej nie musiałem przy blokadzie pokazywać dowodu identyfikacyjnego. Wyjaśniłem, że nie mam go przy sobie, i zaproponowałem, że zabiorę je ze sobą do domu, jeśli uznają to za konieczne.

— Ty nam pokazywać, jak mamy pracować? - odezwała się jedna z nich, ta, która do tej pory milczała.

Odwróciłem się w jej stronę. Równocześnie trafił mnie cios karabinu i zobaczyłem kalejdoskop piekielnych kolorów. Poczulem, jak ugięły się pode mną kolana. Leżałem już na ziemi, plecami w żwirze. Od lat nie zainkasowałem takiego uderzenia. Kręciło mi się w głowie, gdy spojrzałem w górę na nocne niebo. Prawie nie mogłem się poruszać. Nie czulem bólu, tylko głuche dudnienie w głowie. Kobiety widziane z dołu wydawały się ogromne. Niejasno uświadamiałem sobie, że mogą okaleczyć mnie kolbami swoich karabinów.

Zaciągnięto mnie do starej fabryki. Staralem się myśleć moich pierwszych dniach w seminarium i o sesjach trzepania kapucyna w środku nocy. Staralem się myśleć o swoich kampaniach wymierzonych przeciwko ojcu Mindi i ojcu Lageau o tym, jak zaskoczył mnie stróż nocny. Myślałem o tych dwóch ciałach, które pokazał nam Łodyga. Dziadek też tak leżał, pomyślałem, patrząc na straszne lufy karabinów i ciężkie buty wojskowe. Uderzono mnie kilka razy w twarz. Równocześnie poczułem mdlący zapach brudnej bielizny i brudnych ciał. Świnie, pomyślałem. Nie. Hieny. Kiedy te hieny ostatnio się kąpały? Tydzień, dwa tygodnie, miesiąc temu? O mało nie zwymiotowałem na ich narządy płciowe. Pomyślałem, że te kobiety prawdopodobnie częściej gwałciły mężczyzn, ale oni z pewnością nikomu o tym nie mówili. Ja też bym nie mówił. To była haniebna tajemnica, której nie wyjawiliby się nawet podczas tortur. Trwało to jakieś dwadzieścia minut, zanim wyrzucono mnie z budynku. Dwieście dwadzieścia razy usiadły mi na twarzy. Jakieś czterdzieści razy bardzo mocno

pociągnęły mnie za kutasa. Dwadzieścia razy brutalnie ścisnęły moje jądra. Trzydzieści razy rozdarły mi skórę. Miałem jeden wytrysk. Wyniosłem z tego złamany nos i guza na skroni. Przez dwa tygodnie dokuczały mi potłuczone zębra.

Spędziłem tę przeklętą noc u przyjaciela. Następnego ranka powiedziałem ciotce Lwandece, że zostałem napadnięty przez rabusiów. Nacja marud? Nie, ja nigdy nie marudziłem. Mogło być gorzej, powtarzałem sobie. Co za ironia, że akurat była u nas Kasawo! Przez kilka dni myślałem, że Kasawo przerzuciła swoją zgryzotę na moje ramiona. Nonsens. Jediną prawidłowością, jaką mogłem w tym dostrzec, było to, że i ja wniosłem cegielkę do rodzinnej statystyki. Zostałem zgwałcony, a moje dręczycielki nie zostały ukarane.

Tydzień później zlikwidowano wszystkie blokady dróg.

W ciągu jednego roku mieliśmy trzy rządy tymczasowe, z czego pierwszy przetrwał zaledwie dwa miesiące. Powrócił wypędzony dyktator, rzucił się w wir walki wyborczej i wygrał ją. Wśród obserwatorów zagranicznych spierano się, czy wyniki były ukartowaną grą, czy też nie. Politycznie naiwni, którzy wierzyli, że obserwatorzy mogą mieć na cokolwiek wpływ, zostali zmieceni. Amin udowodnił, że naiwność tego typu jest zabójcza, i że ci, co mieli nadzieję, powinni byli o tym wiedzieć. Wybuchła wojna partyzancka. NRR ciotki Lwandeki był jedną z pierwszych grup, które przyłączyły się do rebeliantów.

Syndrom latarni sztormowej i sówek rozpoczął się na nowo: całe to światło, cała ta śmierć.

Księga szósta

TRÓJKĄTNE

WYJAWIENIA

Kiedy po raz pierwszy stanąłem na szczycie Makerere University Hill, mając przed sobą szpital Mulago, a w tle wieże dwóch katedr i meczetu, płonęło we mnie Dziadkowe marzenie oadwokaturze. Miałem wrażenie, że stąpam po świętej ziemi. Nad wzgórzem zdawał się unosić duch Dziadka, inspirując nową generację zdobywców wiedzy. Syn na uniwersytecie był szczytem marzeń niejednej rodziny. Czulem wyrastające z ziemi ogólne oczekiwanie, pchające każdego kandydata przez wąską bramę elitarnego nauczania. Główny budynek uniwersytetu, tchnący wyniosłością, sugerował uprzywilejowany dostęp do zastrzeżonego braterstwa. Czulem, że dostałem skrzydeł, na których szybowałem w podniosłe sfery wśród innych wybrańców, zamierzających zdobyć wysokie szczyty. Wkroczyliśmy w lata osiemdziesiąte: w tyle za nami pozostał koszmar lat siedemdziesiątych, tak się wszystkim przynajmniej wydawało. Panowało ogólne przeświadczenie, że najgorsze za nami, a ten, kto

ma rozum, będzie mógł w końcu wyciągnąć ręce, by zerwać owoce przyszłości. Znowu powiodłem wzrokiem po wzgórzach.

Uniwersytet Makerere wyniósł z lat siedemdziesiątych kolorowe blizny kogoś, kto z trudem przeżył; nie dokonał się tu żaden postęp ani rozbudowa. Czasy, kiedy stanowił święte terytorium, dawno minęły i żyły jedynie we wspomnieniach byłych studentów, takich jak mój nauczyciel literatury w seminarium. Jako zwierzchnik uniwersytetu, Idi Amin bardzo się starał odcisnąć na nim swoje piętno. Wojsko często wychodziło do tłumienia zamieszek w miasteczku studenckim. Pewien rektor, zwolennik Obote, nie przeżył tego. Zniknął w następstwie nieudanej inwazji 1972 roku. Wielu nauczycieli akademickich uciekło, a z powodu mrocznych widoków ekonomicznych w latach osiemdziesiątych nie byli skłonni do powrotu. Ci, którzy zostali, musieli poświęcić zarówno swój status, jak i pensję: to pierwsze - ponieważ w latach siedemdziesiątych nie doceniano nauczania, drugie - z powodu inflacji. Aby związać koniec z końcem, wielu nauczycieli akademickich musiało obecnie dorabiać. Miasteczko akademickie cierpiało poza tym na niedostatek środków dydaktycznych. Na samej górze panowała korupcja: ci, którzy mieli koneksje polityczne, stale próbowali coś „kombinować”, gdy ster państwa był w rękach ich protektorów. Wszystkie te przeciwności nie osłabiły jednak zapału studentów, starających się ze wszystkich sił uczynić z tych beznadziejnych studiów coś sensownego.

Kiedy dotarłem do tego bastionu wiedzy wyższej, straciłem nadzieję - konkurencja była dławiąca. W mieszkaniach studenckich w ciasnych przybudówkach, przeładowanych i pękających w szwach, sześciu młodych ludzi zmuszonych było dzielić jeden pokój. Nawet najlepsze oceny z matury nie gwarantowały miejsca na wybranym wydziale. Rywalizacja urosła w ciągu lat do zabójczego poziomu. Mogły coś pomóc wpływy polityczne i przekupstwo, ale trzeba było wiedzieć, do kogo się z tym udać, choć nawet wtedy pozytywny rezultat nie był zapewniony. Podobnie jak reszta mających nadzieję, mogłem zdać się jedynie na bogów i łaskę komisji dokonującej selekcji. Zarówno jedni, jak i drudzy zostawili mnie na lodzie.

Przez radio wzywano tysiące zapisanych do stawienia się w miasteczku akademickim i niczym chmara szarańczy obsiedliś - my główny gmach, żeby przejrzeć listy przyjętych. Serce waliło mi w gardle, gdy wpatrywałem się w listę studentów prawa. Paraliżowała mnie myśl o stworzeniu historycznego precedensu: zostanę pierwszym adwokatem w rodzinie! Nie miało się tak jednak stać. Mojego nazwiska nie było na liście. Złożyłem odwołanie, ale i to nie pomogło: podano wiele wyjaśnień, powodów i technicznych szczegółów, na podstawie których zostałem odrzucony.

Moją pierwszą reakcją było całkowite porzucenie myśli o studiowaniu. Ale co miałbym wówczas robić? Wodziłem siebie samego za nos. Powinienem dalej szlifować swój intelekt. Ostatecznie przydzielono mnie do nauk socjalnych, ziemi niczyjej pomiędzy naukami przyrodniczymi i humanistycznymi.

Byłem skazany na zawód nauczyciela, tak jak Serenity. I na prowadzenie akcji straży tylnej w celu zdobycia lepszej posady. Czułem obrzydzenie do samego siebie, do życia, do wszystkiego. Jednego byłem pewien: nie będę dobrym nauczycielem. Będę czymś w rodzaju opiekunki do dzieci. Trafię do jakiejś paskudnej szkoły dziennej z polityką *laissezfaire*. Sporo było takich w mieście. Rząd zachęcał do zakładania szkół średnich, aby umożliwić większej liczbie uczniów naukę w pobliżu miejsca zamieszkania. Minęły czasy, gdy szkoły średnie były przeważnie szkołami internatowymi, jak to było w mojej młodości.

Określiwszy sobie priorytety, skupiłem się na zarobkach i własnych, prywatnych wojnach. Borykałem się jeszcze z konfrontacją z Diabelską Trójcą i musiałem sobie z tym najpierw poradzić. Jako student dochodzący, obecny jedynie na zajęciach i korzystający z biblioteki, dysponowałem nadmiarem czasu i wolności. Ostatecznie studiowanie nie było ciężkim zajęciem, przynajmniej dla mnie. Do miasteczka studenckiego chodziłem jak najrzadziej. Trzymałem się z dala od jego politykowania i kłótni o skąpą przestrzeń mieszkaniową, złe jedzenie i książki.

Drugiemu reżimowi Obote nie było na początku łatwo. Zwycięstwo jego partii było pewnego rodzaju fenomenem: po obaleniu doszła ponownie do władzy w wyniku głosowania. Ale to zwycięstwo psuły wątpliwości drążące różne warstwy społeczeństwa. Wątpiący sympatyzowali teraz z partyzantami wojującymi z nowym rządem. W czasach gdy partyzanci ukrywali się w buszu, w północnej Ugandzie panował głód. Ciężarówka Światowego Programu Żywienia i Czerwonego Krzyża ciągnęły na północ. Widziałem, jak przejeżdżają oflagowanymi konwojami. Rząd robił, co mógł, by ukryć informacje o głodzie, co ułatwiały działania partyzanckie na południu.

Dzień należał do rządu i wojska, noc do partyzantów i ich zwolenników. Nocą wychodzili ze swoich kryjówek i atakowali wojskowe baraki, obozy i blokady na drogach, a od czasu do czasu także posterunki policji. Celem było zdobycie broni i innych zapasów. Żołnierze żyli w nieustannym strachu przed atakami partyzantów i ich zasadzkami. Wojsko, składające się głównie z ludzi z północy i wschodu, musiało walczyć na nieznanym terenie. Na żołnierzy czyhały śmiertelne zasadzki na olbrzymich mokradłach, opuszczonych wzgórzach, trawiastych równinach oraz w mrocznych lasach i jedynie z wielkim trudem mogły trafić w zbliżające się cele. Matematyczna figura śmierci, trójkąt, która pojawiła się po

raz pierwszy w 1978 roku, zaczęła nas na nowo gnębić. Był to tym razem Trójkąt Luwero, kilkaset kilometrów kwadratowych kraju zamkniętych trzema jeziorami: Jeziorem Wiktorii na południu, jeziorem Kyoga na północy i Jeziorem Alberta na zachodzie. Środek tworzyła rzadko zaludniona trawiasta równina z rozległymi mokradłami papirusowymi, bagnistymi terenami i gęstymi lasami. Trójkąt Luwero miał to do siebie, że sam się kurczył i rozszerzał, ponieważ partyzanci podczas ataku lub ucieczki przenosili się z miejsca na miejsce. Tę magiczną zdolność Trójkąta potęgował fakt, że dawał on łatwy dostęp do Kampali, siedziby parlamentu, a także stanowił przejście zarówno do północnej, jak i zachodniej Ugandy. Od czasu do czasu Trójkąt rozciągał się aż na kilka kilometrów od centrum Kampali, a czasem kurczył się do mokrego jądra setki kilometrów od miasta. Wieś zamknięta między Mpande Hill i Ndere Hill leżała na skraju osławionego Trójkąta i na początku swojej kampanii partyzanci pozostawili ją w spokoju.

Wojsko popełniło parę zasadniczych błędów. Żołnierze, sfrustrowani z powodu braku większych sukcesów, podburzali mieszkańców Trójkąta przeciwko sobie. Ludność musiała wkrótce za to odpokutować: została posądzona o potajemne udzielanie schronienia partyzantom. Niektórzy z tych ludzi wcale nie byli zwolennikami partyzantów i upatrywali w nich zagrożenie, ale ponieważ wojsko nie dawało im szansy, także i oni zachowywali się spokojnie, podobnie jak zwolennicy partyzantów. Kiedy partyzanci zaatakowali jakąś bazę wojskową, lepiej było odejść, bo wojsko wszystkich, którzy pozostawali, traktowało jak ich sprzymierzeńców. Żołnierze nigdy nie wierzyli w to, co mówili obywatele. W ten sposób popychali ludzi w ramiona partyzantów i sporo osób przyłączało się do rozwijającego się ruchu partyzanckiego. Reszta musiała się przemieszczać w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia wewnątrz Trójkąta. Część tych ludzi udawała się do członków rodziny mieszkających poza Trójkątem, reszta próbowała szczęścia w mieście, gdzie jeszcze było spokojnie.

Liczba mieszkańców naszego miasteczka wzrastała: codziennie, co tydzień przybywali zmęczeni i wychudzeni ludzie z rzeczami w brudnych obrusach, prześcieradłach albo rozlatujących się torbach. Szli pochyleni pod dodatkowym ciężarem niezliczonych opowieści o odwadze, przeżyciu i okrucieństwie. W charakterze naszego miasteczka zaszła pewna zmiana. Wzrosło bezrobocie i ceny żywności. Stare fabryki, pozostawione przez Azjatów, a teraz niszczone w słońcu, znalazły niespodziewanie nowe przeznaczenie, ponieważ zajęli je bezdomni. Wzrosły ceny nieruchomości i początkowo nosiłem się z myślą, czy nie zacząć budować baraków, by potem móc je wynajmować. Wynająć można było praktycznie wszystko. Wciąż wyrastały nowe domy bez projektów czy zezwoleń gminy.

Urzednicy gminni rzucali puste groźby, że je zburzą, i w ten sposób zdobywali prowizję. Właściciele ziemscy wynajmowali ludzi do wypalania cegieł z błota i budowania chwiejnych budyneczków z dachami pokrytymi trzcina papierusową i tworzywem sztucznym, które zostawały wynajęte, zanim wstawiono okna i drzwi. Większość tych budowli nie miała toalet, lecz to nie stanowiło przeszkody.

Kiedy zacząłem chodzić na zajęcia, wziąłem na siebie całkowitą odpowiedzialność za gorzelnię ciotki Lwandeki, bo ona nie miała już na to czasu. Jej działalność partyzancka jechała teraz na wyższym biegu. Tyle czasu i uwagi poświęcała rebeliantom, że chwilami wydawało mi się, iż w każdym momencie mogą wyłonić się z Trójkąta. Ciotka niezbyt chętnie przekazała mi kierowanie gorzelnią, ponieważ nie chciała narazić się Kłódce, która wciąż jeszcze warczała z dala jak kapryśny wulkan. Zdarzały się też wypadki: kotły destylacyjne wybuchały czasem i ginęli robotnicy. Większość wypadków była wynikiem nie - staranności i ciotka nie chciała kusić losu. Zapewniłem ją jednak, że chętnie zajmę się gorzelnią. Czulem, że zawarłem pakt ze śmiercią. Śmierć była potworem uwięzionym w Trójkącie i miała w nim pozostać. Diabelska Trójca natchnęła mnie niezgłębioną odwagą graniczącą z dążeniem do samounicestwienia. Uczucie to skierowałem na gorzelnię. Eksplozja ludności w naszym miasteczku nastąpiła w samą porę. Mężczyźni, uginający się pod ciężarem straszliwej zgryzoty, pili praktycznie wszystko. Prawie nigdy nie narzekano na złą jakość alkoholu, mnóstwo robotników rozcieńczało naszą wódkę wodą. Gorzelnia Bumbum, jak ją ochrzciłem, prosperowała doskonale.

Proces pędzenia był prosty jak drut. Kupowałem pięćdziesiąt - ciokilowe worki cukru palmowego i wsypywałem go do beczki ze stoma litrami wody. Dorzucałem środek fermentujący, przykrywałem mieszankę i pozostawiałem na siedem do dziesięciu dni, mieszając od czasu do czasu, żeby dopomóc fermentacji. Gdy zacier był gotowy, pozwalałem mu przelać się do kotła destylacyjnego, który, aby uniknąć wypadku, musiał znajdować się w optymalnym stanie. Zakręcałem na nim pokrywę i przytwierdzałem do niej dwie powyginane miedziane rurki. Przymocowywałem je długimi paskami gumy, żeby para nie uciekała, kiedy zacznie się proces destylacji. Aby od czasu do czasu je ochłodzić i ułatwić kondensację, miedziane rurki umieszczało się w wodzie. Potem podgrzewało się kocioł, aż roztwór zaczynał wrzeć i parować, i wypływać z miedzianych rurek już w postaci spirytusu.

Kiedy proces raz został uruchomiony, było aż nadto czasu na myślenie, rozmowy i objanie się. Były to chwile pełne pokus. Można było odejść na dwadzieścia minut, a kiedy się wróciło, ogień jeszcze się palił. Właśnie podczas tych przerw ryzyko wypadku było największe. Śruby pokrywy często rozluźniały się od gorąca albo zatykały się miedziane

rukki. Do większości wypadków dochodziło, gdy pracownik próbował coś naprawiać. Czas przy kotle spędzałem na rozmyślaniu o przyszłości. W swoich fantazjach smażyłem żywcem na ogniu Diabelską Trójkę. Dumałem o miejscach z mojej przeszłości. Pod koniec dnia wracałem oczyszczony do domu.

Kiedy przybyło ludności i rynek się rozszerzył, ja również postanowiłem rozbudować firmę. Namówiłem ciotkę, żeby wzięła w dzierżawę kawałek gruntu, na którym zbudowałem szopę i zainstalowałem zbiornik z wodą. Kupiłem nowe kotły i nowe miedziane rurki. Do większości prac najmowałem tanią siłę roboczą. Moim głównym zadaniem było pilnowanie, żeby w czasie procesu fermentacji nie kradziono wódki. Z końcem dnia chowałem kotły i rurki w szopie, którą zamykałem na klucz. Zajmowałem się również sprzedażą.

Zarabiałem w tych czasach w ciągu jednego dnia tyle, ile nauczyciel w szkole średniej w ciągu miesiąca. Rząd ustanowił pensję nauczycielską w wysokości dwudziestu dolarów amerykańskich miesięcznie, przeliczanych według państwowego kursu, który był o wiele niższy od kursu czarnorynkowego. Za taką pensję można było zrobić zakupy zaledwie na tydzień, co oznaczało, że nauczyciele zmuszeni byli dorabiać albo wymyślić inny sposób uzupełniania dochodów. W niektórych szkołach pensje były uzupełniane przez Komitet Rodzicielski, lecz to nie wystarczało. Kiedy zacząłem pracować jako nauczyciel, dostawałem około trzydziestu dolarów za miesiąc. Ponieważ jednak nasz zakład tak się rozrósł, osiągałem zysk rzędu tysiąca dolarów miesięcznie.

Miałem równocześnie kilka dziewczyn. Preferowałem nastolatki, ponieważ starsze kobiety chciały mieć dzieci, aby związać mnie ze sobą, a dla mnie było jeszcze na to za wcześnie. Jedyną rzeczą, która mnie martwiła, były choroby weneryczne, zwłaszcza ta tajemnicza nowa zaraza, która wycieńczała ludzi i sprawiała, że umierali w okropnej gorączce w kałużach zielonej biegunki. Dziewczyny figurowały w moim życiu przelotnie, jak historyjki, które opowiadały. Niektóre twierdziły, że straciły rodziny podczas czystek. Inne mówiły, że ich rodziny zostały rozbite przez partyzantów. Jeszcze inne opowiadały, że na własne oczy widziały, jak mordowano ich rodzinę i przyjaciół, podczas gdy one ukrywały się w krzakach. Dręczony czymś w rodzaju poczucia winy, wierzyłem im wszystkim i wspierałem je, ponieważ mogłem sobie na to pozwolić. Niektóre wykorzystywały moje pieniądze na pomoc rodzinie w płaceniu czynszu, kupowaniu ubrań i żywności. Niektóre kupowały za nie alkohol i rzeczy osobiste. Inne twierdziły, że wysyłają je członkom rodziny zamkniętym w Trójkacie. Cieszyła mnie ta podwójna rola hojnego dobroczyńcy i jednocześnie rozpieszczanego kochanka.

Tymczasem walki w Trójkacie Luwero nasiliły się. Rząd dokonał masy zakupów.

Koreańczycy, którzy po raz pierwszy wkroczyli w życie Serenity jako artyści trapezowi w śmierdzącej toshibie, zaopatrzyli wojsko w katusze, którymi bombardowano i zrównywano z ziemią okolice zajmowane przez partyzantów. Rząd chełpił się, że wreszcie skończył z rebeliantami, i rzeczywiście przez jakiś czas nie było o nich słyhać. Niektórzy bezrobotni młodzi mężczyźni, zamierzający przyłączyć się do partyzantów, rozmyślili się teraz. Ciotka również się bała. Powiedziała mi, że brygadier jest chory. Przypuszczałem, że go postrzelono. Uzbrojone brytyjskie helikoptery współpracowały z katuszami przy oczyszczaniu lasów i trawiastych równin. Później wysyłano tam oddziały piechoty, żeby zdusić ostatnie ogniska oporu. Taktyka spalonej ziemi była w pełnym toku.

Nie wiedziałem dokładnie, które części Trójkąta spacyfikowa - no, ponieważ stale się kurczył i rozszerzał, jak kanał rodny.

Setki bojowników albo ludzi, co do których rząd utrzymywał, że są partyzantami, transportowano do miasta i pokazywano publicznie na miejskim placu: chude, brodate, wyświechtane strachy na wróble. Twierdzono, że przywódcy zostawili ich na lodzie, a sami uciekli do Europy. Jeśli było to prawdą, mogło dotyczyć tylko jednego z mniejszych ugrupowań partyzanckich; ugrupowanie główne, do którego należał brygadier, było jeszcze w całości i ukrywało się gdzieś w granicach tajemniczego Trójkąta. Wojsko zwiększyło nacisk; politycy cieszyli się, ale ludność była niespokojna.

Mniej więcej w tym czasie ciotka dwa razy prześliznęła się przez ucho igielne. W jasny dzień przyjechał do naszego miasteczka człowiek, którego znaleźliśmy jako rebelianta. Szpieg rządowy doniósł na niego i wkrótce pojawili się mężczyźni w cywilu. Zaczęli nagle zewsząd się wyłaniać i rebeliant został otoczony w ogrodzonym bungalowie, z którego korzystali czasem ludzie z NRR. Kazano mu wyjść na zewnątrz, ale odmówił. Zaczął strzelać przez drzwi do żołnierzy, jednego zabił, a innego ranił. Ostrzelano dom rakietami. Ciotka zaledwie parę minut wcześniej wyszła z domu z kanistrem wody na głowie.

Drugi raz miało to miejsce, gdy wojsko otoczyło targ, by skontrolować dokumenty identyfikacyjne. Na targu było trzech partyzantów: dwóch mężczyzn i chłopak. Chłopak wpadł w panikę, ponieważ nie miał papierów. Ciotka powiedziała dowodzącemu oddziałem oficerowi, że chłopak jest jej kuzynem. Oficer zapytał innych ludzi na targu, czy rzeczywiście chłopak jest jej kuzynem. Odpowiedziała mu cisza. Wtedy jeden z partyzantów powiedział, że to prawda. Mimo to chłopaka zabrano na bok. Oficer chciał wiedzieć, dlaczego jest taki chudy. Ciotka powiedziała, że uciekł ze strefy niebezpieczeństwa.

— W takim razie jest partyzantem - stwierdził oficer.

Ciotka zaprzeczyła z całą stanowczością i zaczęła opowiadać oniewinnych ludziach

uwięzionych w krzyżowym ogniu, którzy musieli uciekać setki kilometrów, zanim dotarli do bezpiecznego miejsca. Powiedziała, że chłopak jest u niej bezpieczny i że w razie konieczności będzie go ochraniać własnym ciałem.

— Ten chłopak niczego już więcej nie zniesie - oświadczyła.

— Każdy może jeszcze trochę znieść - odparł oficer z uśmiechem.

Cała dzielnica miała się na baczności. Wielu uważało, że ciotka naraziła wszystkich na niebezpieczeństwo. Ale oficer nie chciał stawiać wojska w złym świetle. Nie byli to sami obsesyjni mordercy. Potrafili być bardzo porządni. Klepnął chłopaka w policzek i powiedział, że może odejść.

Ciotka przez cały tydzień była roztrzęsiona. Sama zwerbowała tego chłopaka. Ostrzegła też całą trójkę, żeby tego dnia nie wychodzili na zewnątrz, ale oni puścili jej ostrzeżenie mimo uszu. Potrzebowali pilnie pieniędzy na transport partii lekarstw skradzionych z jakiegoś małego szpitala na skraju Trójkąta. Ciotka finansowała z pieniędzy z gorzelni Bumbum niektóre partyzanckie przedsięwzięcia. Sądziłem, że po tym zajściu ograniczy trochę swoją działalność. Płonna nadzieja. Osiem dni później znowu miała służbę: przekazywała informacje i pomagała partyzantom będącym w drodze do Kampali i rekrutom w drodze na umówione miejsca.

Ludzie przybyli z Trójkąta, wypędzeni przez katusze i helikoptery, uspokajali mieszkańców miasteczka, że partyzanci jeszcze żyją, że milczenie z ich strony jest taktyką odwracania uwagi. Ale rzecznik rządu nadal głosił, że „bandyci”, jak nazywał partyzantów, zostali wyeliminowani. W odwecie rebelianci zestrzelili gdzieś w sercu Trójkąta helikopter, w którym znajdował się dowódca wojska ze swą żoną. Dopiero ponad tydzień później podano to do publicznej wiadomości. Wojsko przechodziło moralny kryzys. Partyzanci zajęli parę katusz, zabijając kilku obsługujących je Koreańczyków. Pozostałe koreańskie oddziały najemne wzięły nogi za pas. Teraz wojsko zostało samo. Brytyjscy instruktorzy militarni sami nigdy nie brali udziału w walkach, a żołnierze musieli pokonać strach przed dżunglą, przed partyzantami i wrogo nastawioną ludnością. Z Anglii, Belgii, Stanów Zjednoczonych i Europy Wschodniej nadal nadchodził sprzęt militarny, ale wojsko nie miało z niego zbyt wielkiego pożytku. Z powodu serii poniżających ataków, dokonanych w jasny dzień, dalej siedziało jak na szpilkach.

Zostałem nauczycielem w Sam Igat Memorial College w Kampali, założonej niedawno szkole średniej mieszczącej się w dwóch podłużnych budynkach i dwupiętrowym bloku. Duchowym ojcem szkoły był Wielbny Igat, zwolennik Obote, który zachęcał swoich politycznych koleżków, by namawiali CARE i inne ugrupowania do sfinansowania budowy

szkoły. Przez cały czas twierdził, że chce w ten sposób zbudować pomnik upamiętniający jego syna, który w wieku trzydziestu lat zginął podczas reżimu Amina. Ale podobno swoim politycznym koleżkom powiedział, że syn zmarł w służbie Ugan - dyjskiej Partii Ludowej. W każdym razie stało się tak, jak chciał. Rząd, któremu zależało na tym, by biednym dzieciom z podmiejskich dzielnic stolicy dać szansę chodzenia do szkoły, przekazał pieniądze na budowę i udzielił swego błogosławieństwa. Dzięki dogodnemu położeniu, osiem kilometrów od centrum, szkoła mogła przyciągnąć dobrych nauczycieli i więcej uczniów niż potrzeba, jednak problemem była organizacja.

Nasz Wielebny bardzo wiele czasu poświęcał szkole, żeby zabezpieczyć swoją pozycję założyciela i dyrektora. Obstawał przy tym, że sam będzie zatrudniał nauczycieli, żeby starali się, by wszystko przebiegało według jego pomysłów. Bardzo długo sabotował założenie Komitetu Rodzicielskiego, ponieważ obawiał się ograniczenia swojej władzy. Rezultat był taki, że sam narzucał szkole ograniczenia. Gdy któryś z nauczycieli lub rektorów zdobywał zbyt duży wpływ, Wielebny rozsiewał pogłoski, że osoba ta dopuszcza się nierządu z uczniami czy oszustw lub jest członkiem bandy partyzanckiej. Zważywszy na to, że ostatni zarzut równał się karze śmierci, wielu nauczycieli odchodziło, nie czekając na następstwa.

Kiedy zacząłem pracować w szkole, panował w niej wielki zamęt. Mimo to dobrze się tam czułem. Wprawdzie nie było Komitetu Rodzicielskiego, który by pilnował podwyższania wynagrodzeń i miał wszystko na oku, ale nie przeszkadzało mi to. Pensja była niska: trzydzieści dolarów. To również mi nie przeszkadzało. Personel był podzielony. Niedawno zatrudniono rektora bez kręgosłupa, który postanowił patrzeć na wszystko przez palce. Dopuszczał, by Wielebny opowiadał uczniom oswoim synu i swoich politycznych koleżkach oraz o tym, ile znaczy dla gminy. Krążyły pogłoski, że Wielebny został wyrzucony z parafii za cudzołóstwo i splodzenie dzieci żonom parafian. Ale on zachowywał się tak, jakby były to zwykle oszczerstwa.

Szkoła bardzo długo musiała obchodzić się bez biblioteki. Nauczyciele korzystali z własnych książek, pożyczali je z innych szkół lub od innych nauczycieli. Tych parę podręczników, którymi dysponowano, przechowywano w dużej szafie. Pewnego pięknego dnia rozeszła się wieść, że najgorsze czasy minęły, ponieważ amerykańscy i kanadyjscy przyjaciele Wielebnego niebawem przyślą szkole wszelkie potrzebne książki. Zapanowało ogromne poruszenie, największe oczywiście wśród nauczycieli, szybko jednak minęło, gdy pewnego poranka dostarczono ładunek bezwartościowych książek - były to pierwsze projekty techniczne komputerów, zoologia, greka, książki o początkach lotnictwa, o morskich rybach i amerykańskim wojsku. Wielebny wygłosił długą przemowę, przywołał paru dobrze ubranych

uczniów, kazał im pięknie się uśmiechać i pozował z nimi na tle pudeł. „Papier toaletowy” - mówili nauczyciele, obejrzawszy książki. Rozeszło się to lotem błyskawicy. Wielebny został przechrzczony na „Wielebny Papier Toaletowy”. Szkoła liczyła około czterystu uczniów, z których większość nie miała pieniędzy na zakup potrzebnych podręczników. Wszyscy czuli się oszukani.

Ogólnie rzecz biorąc, rodzice byli zadowoleni, że w okolicy znajduje się szkoła, której w ciągu dnia mogą powierzyć swoje potomstwo. Byliśmy niańkami tych dzieciaków i troszczyliśmy się, żeby podczas lekcji nic im się nie stało. Klasy były przepełnione, ponieważ przyjmowano jak najwięcej dzieci, nie chcąc rozczarować ciężko pracujących rodziców. Było wśród nich kilku naprawdę pilnych chłopaków i dziewcząt, którzy w innej, dobrej szkole dużo by osiągnęli. Niektórzy pochodzili z Trójkąta. Na początku bardzo się starali, ale w końcu popadali w gnuśność.

Wybór rektoraasystenta zawsze wiele mówił o szkole. Nasz był mianowanym nauczycielem, który pracował już w SIMC, jak nazywaliśmy naszą szkołę, kiedy była jeszcze szkołą podstawową. Teraz wykonywał wszystkie niewdzięczne prace dla rektora. Otwierał i zamykał szkołę, pobierał chesne, pilnował porządku, łapał spóźnialskich, prowadził część księgowości i wypłacał pensje. Kontrolował kieszonki na piersiach, by zobaczyć, czy szkolna tarcza jest do nich porządnie przyszyta, a nie przypięta szpilką, co młodzież często robiła. Sprawdzał, czy dziewczyny nie mają makijażu, frywolnych kolczyków i zabronionych fryzur. Sprawdzał też dłonie dziewcząt, czy nie mają pomalowanych albo naklejonych paznokci. Był człowiekiem, który swoją pracę traktował poważnie i dawał z siebie wszystko, aby wykazać, że jest godny swej pozycji.

Rektor, człowiek o posturze słonia morskiego, większość swego czasu poświęcał rozwiązywaniu teoretycznych problemów matematycznych z suwakiem logarytmicznym w ręce. Nie miał zbyt wiele pracy, ponieważ jego asystent kierował niemal całą szkołą. Często bywał nieobecny, wołał gdzie indziej brać udział w jakichś zebraniach i załatwiać własne sprawy w mieście. W ten sposób mógł robić swoje, a równocześnie upewniał Wielebnego, że nie stanowi dla niego zagrożenia. Niczym niewidzialny człowiek, działał i przemieszczał się incognito. Czasem siedział w swoim biurze, choć nikt nie wiedział, że tam jest. Dzięki energicznemu asystentowi mógł sobie pozwalać na późne przychodzenie, gdy wszystko już się kręciło. Nie poświęcał też zbyt dużo czasu księgowości szkoły, w której panował jeden wielki bałagan. Wyglądało na to, że obecny w nim matematyk kreował sobie jak najwięcej pracy, aby wypełnić samotne godziny, a tkwiący w nim krętacz próbował wymazać swe ślady. Większość nauczycieli miała problemy finansowe. Aby jakoś temu zaradzić, szli do

rektora, przedstawiali mu swoją sytuację, a on decydował, jaką zaliczkę mogą dostać. Wypłacał pieniądze, a kwotę zapisywał na karteczce papieru. Rektor asystent również prowadził listę, która ostatecznie trafiała na biurko rektora. W końcu uzbierał się tak niebosiężny stos tych zapisków, że wiele z nich się gubiło. Być może rektor prowadził ten nieprzejrzysty system po to, by móc podkraść czasem coś z kasy, bo nic nie stało mu na przeszkodzie, żeby zatrudnić dobrego księgowego lub wprowadzić lepszy system. Co mądrzejsi nauczyciele zawsze wymyślali jakiś problem: z dziećmi, z żoną, ze zdrowiem i co tylko się dało, i podejmowali jak najwięcej pieniędzy. Kiedy asystent przekazywał te przypadki rektorowi, on, jako że był miłym człowiekiem, nie widział powodu odmawiania, i tak do stosu papierków dołączano następne.

Rektor mnie lubił, ponieważ nigdy nie prosiłem o zaliczkę. Przypuszczałem, że miał gdzieś karteczkę, na której widniało, że dał mi jakąś określoną sumę, ale wsadził pieniądze do własnej kieszeni. Chodziłem do jego biura tylko po to, by poprosić o wolne, tłumacząc, że muszę udać się do szpitala z powodu moich bólów głowy, które z czasem przerodziły się w ataki migreny. Rektor nie narzekał, kiedy nauczyciele prosili o zwolnienie lekarskie, wolał to niż prośby o finansowe wsparcie. Tak więc za każdym razem, gdy miałem coś do załatwienia w mieście, prosiłem o wolne i zawsze je dostawałem. Oznaczało to oczywiście, że tracili na tym uczniowie. Ale w naszej szkole nigdy za bardzo się z nimi nie liczone i nie miałem zamiaru zachowywać się tak, jakby tak było. Większość nauczycieli dawała lekcje również w innych szkołach lub gdzie indziej w mieście, żeby dorobić sobie do śmiesznej pensji. Po przeprowadzeniu lekcji nie było się zobowiązanym do przebywania na terenie szkoły. Czasem nauczyciele przychodzili do szkoły tylko po to, aby w pokoju nauczycielskim napić się herbaty i uciąć sobie pogawędkę, po czym wracali do domu, jakby na tym polegała ich praca. To była niezdyscyplinowana banda. Również wielu uczniów chodziło na wagary, żeby przynieść i sprzedać wodę albo robić inne rzeczy, którymi zarabiali na czesne.

Stary system, w którym porządku pilnowali inspektorzy szkolni, umarł w latach siedemdziesiątych bolesną śmiercią, a rząd był zbyt zajęty partyzantami, żeby się troszczyć o sprawy tego rodzaju. Pensje nauczycieli wypłacano z trzymiesięcznym opóźnieniem, ale rząd nie wywierał nacisku na władze szkolne.

Najlepszą rzeczą, jaką mogłem zrobić dla naszych chłopców i dziewcząt, było przeprowadzenie uświadczenia seksualnego. W końcu oddawano ich nam na przechowanie, zanim wejdą w wielki świat i założą rodzinę. Temat ten był jednak tabu. Naszym najpoważniejszym problemem nie był alkohol czy narkotyki, lecz niechciana ciąża. A o dziwo, wielu rodziców uważało, że uświadczenie tylko pogorszy sprawę. Większość

rodziców była również przeciwna, by ich córki brały pigułki antykoncepcyjne lub w jakiś inny sposób zapobiegały procesowi rozmnażania. Oburzali się, gdy ktoś uświadamiał ich dziewczynki w tej dziedzinie. Pod naciskiem konserwatywnych rodziców Wielebny z całej siły sprzeciwiał się szerzeniu „heretyckich informacji” w jego szkole. To mniej więcej przepełniło miarkę.

Jedyne, co szkoła mogła zrobić w tych warunkach, było zwalnianie dziewcząt w ciąży. W bardzo dużej mierze wiązało się to z panującą kulturą wstydu i skrytości. Większość rodziców nigdy nie rozmawiała ze swoimi dziećmi o seksie. Dobrzy chrześcijanie pozostawiali tego rodzaju sprawy własnemu biegowi. W przeszłości panował zwyczaj, że ciotka ze strony ojca brała na siebie obowiązek uświadamiania bratanków i bratanic. Ale ponieważ różne generacje nie mieszkaly już w jednym domu, powstała luka w tradycji. Większość młodzieży uświadamiała sama siebie nawzajem. Od czasu do czasu przechwytywałem karteczki i wycinki z pism pornograficznych oraz liściki miłosne przekazywane z ręki do ręki. Przypominał mi się Łodyga, który nam ojcował i kazał uzupełniać takie słowa jak „penis” czy „pochwa”. Nie byłem na tyle obłudny, żeby udawać, że jestem zły czy oburzony. Często polecałem jednemu z uczniów odczytywać taki liścik na głos. Potem pytałem, czy ktoś ma pytania na temat seksu, ciąży, środków antykoncepcyjnych lub przerywania ciąży. Wtedy nagle się zamykali. Raz zostałem wzięty na bok przez rektoraasystenta, który poprosił mnie o zaniechanie tych niecznych praktyk. Kiwnąłem głową, ale nadal to robiłem, gdy tylko taki liścik trafił w moje ręce.

W odległości kilkuset metrów od SIMC stała szkoła podstawowa dla dzieci muzułmanów z okolicy, zbyt biednych, by mogli posyłać swoje dzieci do lepszej szkoły. Za szkołą stał niewielki, podupadający meczet, w którym w piątki modlili się wierni. Imam prowadzący lekcje Koranu mieszkał w pobliżu. Patrząc na gliniane mury w opłakanym stanie, trędowny dach i gołe żwirowe podwórko wykute w twardej skale, można było pomyśleć, że to wysuszone miejsce nie spłodziło niczego poza złem. W porównaniu z naszą SIMC oraz szkołą katolicką i kościołem stojącym na grzbiecie tego samego wzniesienia, budynek robił wrażenie zapuszczonego i posępnego. Przypominał piaskownicę mogącą w każdej chwili podczas burzy napęlić się wodą. Ale w czasie przerwy słyhać było radosne okrzyki dzieci i widać było ich różowe mundurki trzepoczące jak chorągiewki na wietrze. Z równym entuzjazmem bawiły się, śpiewały i głośno uczyły na pamięć tekstów Koranu, które imam zapisywał na zniszczonej tablicy.

Podczas lekcji imam przechadzał się z jednej klasy do drugiej z laską w ręce i marszem na czole i biada temu, kogo przyłapał na czymś zabronionym. Niewierzący nauczyciele

omijali go z reguły lukiem; nie dlatego, żeby ich również bił, ale dlatego, że bardziej niż inni wierzył w uprzejmość i dyscyplinę, nigdy nie wdawał się w dyskusje. „Jestem człowiekiem czynu”, zwykł był mawiać. Kiedy któryś z uczniów dopuścił się czegoś niewłaściwego, był z miejsca karany. Nawet jeśli błagał o litość, dostawał karę, może złagodzoną, ale dostawał.

— To, czego ja uczę, to charakter, odpowiedzialność i przedsiębiorczość - oświadczał zawsze imam przed i po wymierzeniu kary.

Pośrodku tej podskakującej, grającej w gumę, rozkrzyczanej gromadki dzieci ujrzałem po raz pierwszy Jo Nakabiri. Przyjaciel, który również dawał lekcje w tej zakurzonej szkole, żeby sobie trochę napchać sakiewkę, zaprosił mnie raz na jej teren. Stałem cicho i wpatrywałem się w nią. Jej ciemna twarz lśniła w słońcu, jakby tego ranka nałożyła na nią zbyt dużo kremu. Przyglądałem się jej nogom i figurze i uznałem, że mogłaby być siostrą albo kuzynką Lusanani. Ogarnęło mnie wielkie podniecenie na widok jej talii osy i mocnego zadka. Moje pachy zrobiły się wilgotne. Miałem intrygujące uczucie, że ją znam albo już wcześniej ją widziałem. Tylko gdzie?

Kiedy podchodziliśmy, krzyczała do grupki dziewcząt, ale gdy tylko nas zauważyła, zaczęła mówić ciszej, jakbyśmy ją na czymś przyłapali. Wtedy zobaczyłem jej oczy: duże, zniewalające kule, pełne bezdennej radości, smutku i tajemniczości, które nadzwyczaj chętnie chciałem zbadać. Uwolniła się z kółeczka ze sztywną gracją kobiety, która wie, że się na nią patrzy, i pozdrowiła mojego przyjaciela, a potem mnie. Przez chwilę stałem przy nich w milczeniu, kiedy narzekali na niskie zarobki i rozmawiali o swoich planach na najbliższe wakacje. Wyglądała na trochę spiętą, jakby rozmawianie o sprawach szkolnych w obecności obcego było profanacją zaufania albo formą oszukiwania samej siebie. Patrzyłem to na nią, to na mojego przyjaciela, ale właściwie chciałem patrzeć tylko na nią. Po mojej głowie kołatała już myśl, że mam dość pieniędzy, żeby zabrać ją z tej szkoły i zaoferować jej dużo lepsze życie.

Wiedziałem, że nie pracuje tu dla pieniędzy, lecz by zdobyć uznanie. Ale kto w takim razie płacił jej rachunki? Pensja, jaką wypłacano jej z trzymiesięcznym opóźnieniem, mogła pokryć zaledwie jedną dziesiątą jej miesięcznych wydatków. Najprawdopodobniej miała męża lub mieszkała jeszcze u rodziców. Jeżeli była uciekinierką, miała prawdopodobnie męża w partyzantce, który gdzieś w Trójkacie stawiał czoło żywiolom, katiuszom, helikopterom i wojsku. Myśl ta wyprowadziła mnie nieco z równowagi. Tacy ludzie często wracali pełni żądzy krwi i podejrzeń, że ich żona wskakiwała do łóżka każdego mężczyzny w okolicy, i nie zastanawiali się dwa razy, zanim wpakowali komuś kulę w łeb. W niektórych przypadkach kobieta nie mówiła, że jest męzatką; dopiero kiedy odwiozło się ją do domu, widziało się

męża stojącego w drzwiach, rozwścieczonego, żadnego mordu niczym ranny bawół. Może jej mąż poległ na polu bitwy, a ona została młodą wdową? W tych dniach było sporo młodych wdów, ale ponieważ nie nosiły niczego, po czym można by to poznać, wielu ludzi nie wiedziało, jak się sprawy mają. Nie miałem nic przeciwko związkowi z młodą wdową albo z kobietą, której mąż walczył w buszu, jeżeli tylko wiedziałem, w co się wdaję.

Postanowiłem zasięgnąć informacji o niej u przyjaciela. Po to byli przyjaciele, nawet gdyby chodziło o ich siostry. To nie była wprawdzie jego siostra, ale mieszkała w tej samej dzielnicy. A on był mi coś winien, ponieważ mnóstwo razy wyciągałem go z finansowych tarapatów.

Opowiedział mi wszystko, co o niej wiedział, choć było tego niewiele. Tak, dwa lata temu przyjechała z Trójkąta i mieszkała u babci. Była kiedyś mężatką, lecz nikt nie wiedział, gdzie podziewa się jej mąż ani czy ma dzieci. Wolałbym usłyszeć, że jej mąż zmarł. Opuszczeni mężczyźni mogli być niebezpiecznymi typami: najpierw maltretowali żonę, a gdy tylko odeszła, uświadamiali sobie, co stracili, i próbowali ją odzyskać. Jeśli żona odmawiała powrotu, często byli rozgoryczeni. Niektórzy wysyłali poselstwa albo obrzucali żony urokami, inni śledzili je lub pisali listy z pogrózkami. Ale jak wyglądała druga strona medalu? Może ta dziewczyna była rozwiązła i ordynarna, i mąż miał jej dość? Może sama dążyła do odzyskania wolności? W takim wypadku mąż mógł czekać gdzieś na nią, pozwalając jej jeszcze przez jakiś czas pławić się w grzechu.

Moja kampania mająca na celu zdobycie Jo trwała kilka tygodni. Odrzucała wszelkie sugestie mojego przyjaciela na ten temat, twierdząc, że ma dosyć mężczyzn. Nie wierzyłem jej. Gdyby to była prawda, siedziałaby w klasztorze i więziła samą siebie, a gołymi palcami wrywała diabelskie włosy, jak kiedyś Kłódka. Pisałem do niej listy, które odsyłała nieotwarte. Wiedziałem, jak łatwo było poderwać dziewczynę z Trójkąta, toteż jej zachowanie wydawało mi się irytujące. Poprosiłem przyjaciela, żeby zaprzestał dalszych prób, ale on nawet nie chciał o tym słyszeć. Kiedy straciłem już nadzieję, odniósł sukces. Załatwił, że Jo zaprosiła mnie na szkolny koncert.

Siedziałem w ławce z tyłu i patrzyłem na nią, a ona słuchała swoich uczniów. Myślałem o tym, jak mój przyjaciel wstawiał się za mną, mówiąc, że jestem przyzwoitym mężczyzną, nie zasługującym na to, by traktowano go jak śmiecia. Jo oświadczyła, że podejrzewa mnie o to, że mam dużo dziewczyn, czemu mój przyjaciel stanowczo zaprzeczył, bo nie wiedział o dziewczynach z Trójkąta. Powiedział Jo, że właśnie zerwałem z pozbawioną manier dziewczyną i że jest mi przykro, że odrzuca moje awanse. Jo odparła na to, że nie ma zamiaru dać się wykorzystać jako schodek do następnego związku. Mój przyjaciel przyrzekł

wtedy, że mam godziwe zamiary.

Po koncercie Jo musiała porozmawiać z paroma rodzicami, zainteresowanymi tym, jak ich dzieci radzą sobie w szkole. Czekałem. Kiedy zaczął zapadać zmrok, przyszła do mnie i poszliśmy spacerem w kierunku SIMC, gdzie usiedliśmy na werandzie budynku. Opowiedziała, że jej ojciec zmarł, gdy była dzieckiem. Gdy miała siedemnaście lat, zaszła w ciążę i urodziła córkę, ale nie chciała powiedzieć, gdzie jej córeczka się znajduje. Mając dziewiętnaście lat, poszła do studium nauczycielskiego i zdobyła uprawnienia. Wtedy zaczął się tumult w Trójkacie. Jej szkoła musiała zostać zamknięta, a później zajęło ją wojsko. Razem z innymi ludźmi z okolicy Jo uciekła, kiedy partyzanci rozpoczęli swoje działania. Wyjaśniła, że nie chce mnie wodzić za nos, ale jest zainteresowana wyłącznie związkiem na serio.

Opowiedziałem jej o sobie - o ciotce Lwandece, o seminarium, uniwersytecie SIMC i gorzelni Bumbum. Zanim się zorientowaliśmy, zapadła noc. Poszliśmy do głównej drogi i tam się rozstaliśmy. Od tego czasu widywaliśmy się regularnie. Puściłem kantem inne dziewczyny, ale kilka z nich nadal wspierałem finansowo.

Czasem chodziliśmy w niedzielę na mszę w katedrze. Żadne z nas nie było zbyt pobożne, ale można było tam zdobyć informacje o sytuacji w kraju, zwłaszcza o sprawach, o których gazety nie wspominały albo wspominały pobieżnie. Kościół katolicki wciąż jeszcze odgrywał rolę najważniejszego krytyka politycznego. Potem jedliśmy lunch w dobrej restauracji i siadaliśmy w ogródku, żeby popatrzeć na przechodniów i żołnierzy. Jo bardzo lubiła piwo. Po piątej butelce zaczynała śpiewać dziecięce rymowanki i piosenki, które jej uczniowie wykonywali na szkolnych koncertach. Byłem w dobrym humorze. Wyglądało na to, że oboje szukaliśmy straconego czasu, aby go wskrzesić i zatrzymać. Oboje szukaliśmy w tych burzliwych czasach kotwicy.

W takich momentach zapominaliśmy o wojnie i o Trójkacie. Stworzyliśmy nasz własny, mały świat, do którego dopuszczaliśmy tylko tych, których chcieliśmy w nim widzieć. Niepożądanym osobom i wspomnieniom odmawialiśmy wstępu. Kiedy od piwa zaczynało nam się kręcić w głowach, opowiadaliśmy sobie historyjki, które wyparowywały podczas naszego zauroczenia, pozostając na prześcieradłach, na których uprawialiśmy miłość. Samo kochanie się było aktem wojny, wyrażeniem panującego w kraju napięcia. Próbując zbudować coś pięknego, przeciwstawialiśmy się złym mocom i zniszczeniu i rzucaliśmy sobie nawzajem linę ratowniczą. Doprowadzając siebie samych do ostateczności, hartowaliśmy się na walkę, na wszelkie doświadczenia, jakie miały nas jeszcze spotkać, i staraliśmy się przygotować na zniesienie najboleśniejszych prób. Oboje czuliśmy się jak

sieroty, jak ludzie, którym odebrano coś cennego. Ta wspólna więź pchała nas na poszukiwanie spełnienia.

Grzęznąć coraz głębiej w ruchomym piasku miłości, zastanawiałem się, jak jej córka wy dostała się na zewnątrz, bo Jo miała bardzo wąski otwór, węższy, niż wydawało się to możliwe. Czyżby skłamała, mówiąc, że ma dziecko i że była mężatką? Czyżby i ona opowiadała bajki, a ja byłem jej łatwowierną ofiarą? Prawie od samego początku byłem świadomy tego, że rozkoszując się mym rajem, byłem jednocześnie świadkiem swego upadku. Doświadczenie, które nigdy się nie powtórzy, które okaże się niezrównane. Moją radość tłumił smutek, moje szczęście zaczął drażnić strach. Jeśli ją stracę, pozostaną mi tylko wspomnienia. Wygrałem seksualną pulę. Rozkoszowałem się słodką torturą jej miłosnych spazmów, ale miałem wrażenie, że ją niebawem stracę. Już czułem, jak się odsuwa. Takie wspaniałe rzeczy nigdy nie trwają długo. Gdyby tak było, człowiek stałby się ich niewolnikiem i zmienił w idiotę z pianą na ustach. Pomyślałem, że muszę zrobić z Jo moją niewolnicę albo z niej zrezygnować. Bardzo chciałem uwiązać ją na łańcuchu, założyć jej obrozę i zawiesić dzwoneczki, żeby zawsze wiedzieć, gdzie jest. Ale chciałem też, żeby była wolna, żeby poszła w świat i rozpałała innych, by torturowała ich i doprowadzała do szaleństwa miażdżącą siłą swych ukrytych skarbów. Wyobrażałem sobie leżących na niej, śliniących się starców, którzy dostawali ataku serca. Wyobrażałem sobie, jak zawraca w głowach młodym mężczyznom, tak że odchodzą od żon czy przyjaciółek i w końcu zostają bez grosza przy duszy. Wyobrażałem sobie mężczyzn biegających tam i sam i zastanawiających się, kiedy to się zaczęło psuć i dlaczego nie udało im się zatrzymać tej perły przed powrotem na dno morza, skąd pochodziła. Czułem rozkosz.

Mogłem bez trudu namówić Jo, żeby się do mnie wprowadziła. Woląłem jednak grać sam ze sobą w tortury: pozwalałem jej odchodzić, czekałem na nią i znów brałem ją w objęcia. Zbroiłem się na wypadek, gdybym miał ją stracić, i zastawiałem pułapkę na innych. Kiedy odchodziła, myślałem, że już nie wróci. Kiedy wracała, z zapachem szkoły we włosach i namiętnością w żyłach, zastanawiałem się, czy kiedyś nie odejdzie na zawsze. Nadal trapiły mnie myśli o jej mężu i o tym, jak mógł znieść stratę tej kobiety lub tej dziewczyny, albo tej zjawy, czy czym tam była. Jego łóżko lub okop musiały w środku nocy zmieniać się w lubieżną ławę tortur. Musiał jej ogromnie pragnąć. Jego pożądanie jej musiało zmieniać się w pragnienie picia krwi. Musiał obejmować ją w swych snach i budzić się oszołomiony i zziębnięty z samotności. Miałem nadzieję, że nigdy go nie spotkam.

Dzięki związkowi z Jo lepiej zrozumiałem życie miłosne innych ludzi. Czyż Dziadek nie przejmował się koźlimi zębami matki Kawayidy? Czy nie musiał zaakceptować faktu, że

matka Serenity straciła głowę dla kogoś innego? Czy Serenity nie nauczył się znosić podłego zachowania żony? A czy Klódko nie musiała pogodzić się z tym, że jej mąż zakochał się w jej ciotce? Czy ciotka Lwandeka nie była zakochana w tajemniczym brygadierze? I czy nie schowała w Biblii pod materacem jego zdjęcia? Czy nie ufali sobie nieustannie, choć byli rozdzieleni i czasem całymi miesiącami niczego o sobie nie słyszeli? A czy wujek Kawayida nie był zakochany w trzech siostrach naraz? Historie miłosne nigdy nie były doskonałe; niedoskonałość była ich nieodłącznym elementem. Przygotowywałem się na najgorsze. W mojej walce o odnalezienie i wyzwolenie siebie samego Jo była zaledwie potyczką, a nie decydującą bitwą na otwartym polu.

W połowie dziesięciolecia stało się jasne, że w działaniach wojennych nastąpił impas. Widzieliśmy, jak wojskowe ciężarówki, obojętne niczym zaplombowane trumny, przewożą do Trójkąta swój ładunek ślepych naboń. Widzieliśmy brudnych, wynędzniałych żołnierzy, powracających z pola walki. Widzieliśmy oficerów wywiadu, z walkietalkie u pasa, oczami nabieg - łymi krwią ze strachu, nogami sztywnymi od wątpliwości, przemierzających nasze miasto w gorączkowym osłupieniu. Szerzyły się pogłoski, potwierdzone przez ciotkę Lwandekę, że partyzanci przygotowują się do ataku na stolicę. Kilka tygodni później napadli na duże koszary w pobliżu katedr. Ponieważ żołnierze, mimo swojej pozornej czujności, zostali zaskoczeni, partyzantom udało się wyrządzić wiele szkód. W odwecie wojsko aresztowało wielu ludzi w mieście, których potem przesłuchiowano i torturowano. Rzadko w ręce żołnierzy trafiali prawdziwi partyzanci.

W tym czasie zaczęły się wyścigi w szybkim chodzie albo „Olimpiada”, jak je ironicznie nazywano. W dni robocze zaczęto nagle rozgłaszać, że partyzanci są w mieście, więc ludzie wybiegali z biur i sklepów do samochodów, na przystanki autobusowe czy na postoje taksówek. Zamieszanie powiększali jeszcze plotkarze, którzy opowiadali, że kilka dzielnic podmiejskich zostało w tym czasie otoczonych. Raz i ja trafiłem na taką falę obłędu. Ludzie napływali z targu Owino, z Kikubo, z Naka - sero Hill i innych stron na postój taksówek. Ulica dudniła od ich krzyku i tupotu. Ktoś mocno pchnął mnie w plecy i omal się nie przewróciłem, na szczęście zostałem podparty przez idących za mną ludzi. Każdy starał się uciec. Zadufani w sobie zaklinacze węży, zaskoczeni w swym wątpliwym dostojeństwie, patrzyli na latające w powietrzu kosze i jaszczurki rozdeptywane na asfalcie. Wszędzie leżał rozrzucony towar sprzedawców trutek na szczury. Dookoła biegali domokrażcy z kartonowymi pudłami na głowach. Samochody dostawcze z trudem przepychały się przez tłum, który niemal wyrывał w nich drzwi z zawiasów. Wszędzie leżały pojedyncze buty, podarte torby, guziki od koszul, kolby prażonej kukurydzy i białe kanapki, porzucane w

ucieczce przed niewidzialnym wrogiem.

Bezrobotni młodzi ludzie, wałęsający się po przystankach autobusowych i postojach taksówek, natychmiast postanowili wykorzystać sytuację. Przychodzili ze śródmieścia, żeby kraść torebki i bawić się, ile dusza zapagnie. Zbierali się w grupkach i mlaskając i węsząc niczym przeżuwające krowy, przyglądali się, jak dobrze ubrani mężczyźni i kobiety w panice zbiegali ze wzgórze. Skupiali się głównie na kobietach, które uciekały w butach na wysokich obcasach, z saszetkami w rękach, o twarzach wykrzywionych strachem.

— Szanowna pani, bierze pani udział w sprincie czy w maratonie? - pytali wtedy.

— Ona biegnie w maratonie.

— Jak długo już pani ćwiczy przed tymi zawodami?

— A ile razy w tygodniu pani się pieprzy?

— Czy jest pani pierwszą Ugandyjką, która zamierza sięgnąć po złoty medal?

— Proszę, niech pani weźmie ten ręcznik, to przynosi szczęście. Nie mam nic przeciwko temu, żeby pobiec za panią.

Zabawa zaczynała się najczęściej zaraz po fałszywym alarmie. Ludzie wiedzieli, że nie mają dokąd uciec, ale uważali, że lepiej pozostać w ruchu. Z Trójkąta można było uciec do miasta, w mieście tylko do swojego domu. Przez kilka miesięcy regularnie ogłaszano podobne alarmy, ale gdy wszyscy zaczęli je ignorować, skończyły się równie nagle, jak się zaczęły.

W tym okresie partyzanci zaczęli opuszczać Trójkąt Luwero, przemieszczając się w kierunku Jeziora Alberta w zachodniej Ugandzie. W mieście twierdzono, że rebelianci się poddali zawarli układ z rządem. Samo wojsko było zbite z tropu: oddziały żołnierzy natrafiały w Trójkącie jedynie na wymarłe wsie, nad którymi unosił się zapach śmierci i zepsucia, wywołany przez ataki lotnicze, czystki i żywioły. Nie było już nikogo, z kim mogłyby walczyć. Ta pustka na ich byłym terenie łowieckim była znakiem, że stracili panowanie nad sytuacją. Przerazająca cisza podkreślała fakt, że pozwolili umknąć „bandytom” do miejsca, w którym prawie niemożliwe było ich złapanie. Wojsko było podzielone, a morale szybko upadało. Wielu żołnierzom już od miesięcy nie płacono, poza tym mieli już dosyć plądrowania i mordów. Ich ranni kamraci, leżący w łózkach ze świadomością, że ich oderwane nogi, ręce, szczęki, uszy jądra gniją gdzieś w Trójkącie, uświadamiali tym, którzy znajdowali się bliżej linii frontu, i tym, którzy czekali na wysłanie na pole bitwy, całą beznadziejność sytuacji.

Niedługo potem rebelianci zaczęli napadać miasteczka na zachodzie i wschodzie. W ich ręce wpadły Mubende, Hoima, Masaka i Mbarara. Kraj był teraz podzielony na dwie

części: jedna należała do partyzantów, a druga do rządu. Partyzanci ustanowili swój prowizoryczny rząd. Ciotka Lwandeka przez jakiś czas musiała obywać się bez kotwicy. Stała się bardzo milcząca, ponieważ chciała trzymać w ryzach swoje troski. Bała się, że nigdy więcej nie zobaczy brygadiera, bo długotrwała konfrontacja z oddziałami rządowymi wydawała się nieuchronna. Starła się udawać pogodną, lecz w skrytości była zrozpaczona. Pewnego dnia powiedziała mi, że jedzie do Masaki, miasteczka leżącego głęboko na terytorium partyzantów. Wtedy można było jeszcze pojechać tam i wrócić. Mówiło się, że jedzie w odwiedziny do wujka Kawayidy, ale w rzeczywistości zamierzała odszukać brygadiera. Nie było jej przez tydzień. Bałem się, że wpadnie w pułapkę po drugiej stronie. Rządowe blokady dróg były bardzo szczelne, ale jakoś udało jej się wrócić.

— Po tamtej stronie jest bardzo spokojnie. W nocy nie strzelają. Ludzie nawet nie zamykają drzwi na klucz. Nie ma się czego obawiać - opowiadała podniecona. - Niedługo zamierzam znowu tam pojechać.

Byłem przerażony i zły. Powiedziałem jej, że zwariowała. Czemu kusiła los?

i Robię to przez całe moje życie - odparła. pojechała. Ale tym razem partyzanci nie udzielili jej pozwolenia na powrót. Nie zamierzali dopuścić do tego, żeby ich tajemnice, dobrowolnie, czy też nie, trafiły w ręce oddziałów rządowych. Podejrzewali każdego, kto przyjeżdżał i wyjeżdżał, nawet własnych ludzi. Ciotka powiedziała, że potrzebują jej dzieci, ale odparli, że to im jest potrzebna do zorganizowania kobiet na wyzwolonym terenie. Brygadier pomógł jej jednak jakoś się stamtąd wyrwać. Wzięła łódkę i dotarła do portu w pobliżu Kampali. Miała gorączkę, ale odetchnęła z ulgą, że znowu jest w domu. Na nic się nie skarżyła, nawet na niedogodności podróży.

W wojsku panował bałagan. Grupa nacisku, składająca się z dowódców, chciała negocjować z partyzantami, żeby zakończyć walki i uformować rząd koalicyjny. Najmniejsze grupy partyzanckie, które do końca pozostały w Trójkącie, złożyły broń i podpisały jakieś dokumenty. Grupa na zachodzie, która zarządzała połową terytorium, pozostała na swoim miejscu. Na scenie politycznej odbywały się walki bokserskie z fikcyjnym przeciwnikiem, które prawie w całości przegapiłem, ponieważ byłem zajęty gorzelnią Bumbum i Jo. Pieniądze wciąż napływały i mogłem sobie pozwolić na zamknięcie się w swoim kokoniku.

Wojna, która przepędziła drugi rząd Obote i pogrzebała resztki wojska w północnej Ugandzie i południowym Sudanie, nadeszła tą samą drogą co oddziały, które wypędziły Idi Amina.

Partyzanci ruszyli do Masaki. Posuwali się krok za krokiem, wieś za wsią, do Kampali. Wojsko kilkakrotnie próbowało użyć czołgów do przedarcia się przez ich oddziały

w celu ponownego zajęcia wyzwolonych terenów, ale bez rezultatu. W najlepszym wypadku żołnierze odzyskiwali jakiś obszar na kilka tygodni, po czym znów zostawali przepędzeni. Stracili motywację. A nigdy jeszcze nie wygrano wojny samą tylko bronią.

Rząd pod naciskiem grupy wyższych oficerów zgodził się na negocjacje. Ogłoszono zawieszenie broni, które wciąż było pogwałcane przez obie strony. W sporadycznych potyczkach ginęło coraz więcej cywilów. Rozprzestrzenił się syndrom Trójkąta. Wstrzymując oddech, cały naród przyglądał się przebiegowi rokowań. Kiedy walczone w miejscowości ciotki Ka - sawo, każdy wiedział, że jest to teraz albo nigdy. Partyzanci nigdy nie zbliżyli się do Kampali na mniej niż dwadzieścia pięć kilometrów. Mijały tygodnie negocjacji i wzajemnych, nieustannych oskarżeń z powodu pogwałcania zawieszenia broni.

W końcu rząd i rebelianci podpisali porozumienie. Jednak po kilku tygodniach walki rozgorzały na nowo, a 25 stycznia 1986 roku Kampala dostała się w ręce partyzantów. Było to niemal powtórzenie sytuacji z 1979 roku, kiedy żołnierze rządowi uciekli na północ i na wschód i zapanowały nowe rządy. Tym razem jednak miasto zostało zajęte przez jednostki składające się z młodocianych żołnierzy, małych chłopców w za dużych na nich mundurach. Patrzyliśmy w zdumieniu na te jednostki maszerujące przez miasto, po piętach wycofującego się wojska.

Tak jak w 1979 roku, masowo nadciągali grabieżcy. Ale tym razem źle trafili. Ogłoszono, że będzie sprawowany nadzór, żeby nie dochodziło do kradzieży i żeby, w przeciwieństwie do lat siedemdziesiątych, nie łamano prawa. Grabieżców ostrzegano strzałami w powietrze, tuż nad ich głowami. Tych, którzy dalej robili swoje, załatwiano na miejscu. Szybko rozeszła się wieść, że partyzanci nie żartują. Przed każdym sklepem postawiono strażników, którym polecono, by w razie potrzeby strzelali. Przesłanie dotarło do wszystkich, grabieżcy wrócili do domu, mówiąc, że zmiana rządów nie jest już ani w połowie tak zabawna jak kiedyś.

Na południu kraju świętowano, na co poniekąd rzucało cień to, co działo się w Trójkącie Luwero. Na uroczystości padało przygnębienie, nie urządzano dzikich, pijackich imprez z waleniem w bębny. Przyszła do mnie Jo i przegadaliśmy cały dzień, teoretyzując na temat tego, co nas czeka w przyszłości. Jo zastanawiała się nad powrotem do Trójkąta, do domu, aby ocenić szkody i zobaczyć, czy z ruin można jeszcze coś uratować. Ja zastanawiałem się, czy gorzelnia Bumbum nadal będzie mogła istnieć.

Ciotka Lwandeka szalała z radości. Tym razem powiedziała mi, że już nigdy nie będzie się zadawać z partyzantami. Cieszyła się, że zwycięstwo w końcu nadeszło: miała dosyć czekania nieustannego strachu.

— Narodziłam się na nowo, chłopcze, dostałam nowe życie. To nie zdarza się trzy razy.

Miałem jeszcze w pamięci wydarzenia z 1971 i 1979 roku ogarnął mnie strach: kogo stracę tym razem? Jo, ciotkę Lwandeke czy kogoś innego? Nie mogłem znieść myśli o pojechaniu do Trójkąta: nie chciałem wiedzieć, co się stało z naszą dawną wsią. Uznałem zresztą, że na razie lepiej dla mnie będzie, jeśli nie będę tego wiedział. Szacowano, że w Trójkącie zginęło od dwustu do czterystu tysięcy ludzi. Wolałem, żeby ci zmarli sami siebie pochowali.

Najbardziej zauważalna zmiana nastąpiła w dziedzinie bezpieczeństwa: można było nocą położyć się spać bez obawy, że zostanie się zaatakowanym przez rabusiów, terrorystów czy żołnierzy. Można było podróżować i późno wracać do domu. Blokady dróg były rygorystyczne, lecz wszystko odbywało się zgodnie z prawem: nikogo nie okradano ani nie gwałcono. Naród coraz bardziej ufał rządowi. Najpierw było tylko pragnienie, żeby móc spokojnie spać. Teraz jednak ludzie odkryli, że z pustym żołądkiem nie śpi się najlepiej, ani kiedy człowiek martwi się o to, co się stało z jego domem, rodziną, krajem. Ci, którzy przyjechali z Trójkąta, chcieli wracać, ci, którzy znali tam kogoś, chcieli jechać go odszukać. Wszyscy urządzali wycieczki do swoich opuszczonych miast i wsi i wracali przygnębieni. Zmarli leżeli jeszcze w miejscach, w których zginęli, a domy, które kiedyś zamieszkiwali, nie miały już dachów, okien ani drzwi. Ołtarze ich bogów zostały zbezczeszczone, a pomiędzy przeszłością, jaką znali, i teraźniejszością, którą musieli zaakceptować, ziała ogromna przepaść.

Odbudowa była najważniejszym zadaniem. Rząd obiecał pomoc mieszkańcom terenów dotkniętych katastrofą, lecz pomoc ta jakoś nie nadchodziła. Ci, którzy mieli pieniądze, postanowili sami zacząć. Kupowali materiały budowlane, które przewozili rozklekotanymi samochodami dostawczymi do Trójkąta, i rozpoczynali prace. Większość ludzi czekała, wykonując jedynie drobniejsze roboty, takie jak przygotowanie gruntu czy uprzątnięcie ogrodu, po czym wracała do miasta.

Sponsorowałem wyjazdy Jo do Trójkąta, ale odmawiałem pojechania tam razem z nią. Raz po raz wracała zmartwiona. Jej dawna szkoła leżała w gruzach. Chciała wziąć udział w odbudowie, ale rząd nie mógł dostarczyć niezbędnych materiałów. Była wytracona z równowagi, że tak wiele uległo zniszczeniu. Prawie nie mogła tego pojąć, ale nie potrafiła też zdystansować się do tego. Nieustannie o tym mówiła i przypisywała winę reżimom Obote II, Amina i Obote I, wskazując na kolonializm jego lokalnych przedstawicieli, na wszystkich Ugandyjczyków handlarzy bronią. Obarczała winą nienawiść, obojętność nieuczciwość, które

to wszystko ułatwiły, aż doprowadzony do ostateczności wybiegałem z domu lub krzychałem na nią, żeby przestała. Przekleństwa i złorzeczenia pomagały jej uporać się z frustracjami, ale mnie działały na nerwy i wyzwalały we mnie wściekłość i agresję. Ciotka nadal czekała na swoją nagrodę. Często chodziła do miasta na spotkania z brygadierem, który przekształcał oddziały partyzanckie w legalne wojsko. Obiecał pomóc jej w założeniu własnej firmy, polecając ją w banku, by mogła dostać pożyczkę z niskim oprocentowaniem. Poprosił ją też o rękę. Powiedziała, że musi się zastanowić; po nieudanym młodzieńczym związku nie miała ochoty więcej wychodzić za mąż. Brygadier dał jej pierścionek. Początkowo krępowała się go nosić, ale jakoś się przełamała. Dostała za zadanie utworzenie stowarzyszenia kobiet. Zaczęła od klubów zebrań. Pracowała bardzo ciężko i była szczęśliwsza niż kiedykolwiek.

Już od dłuższego czasu zastanawiałem się, co porabia Lwen - do. Pojechałem do Kampali, aby dowiedzieć się, czy jest jeszcze w seminarium. Poinformowano mnie, że skończył je. Kiedy?

Mniej więcej wtedy, gdy kraj został podzielony na dwie części. Jakiś miesiąc później przed SIMC zajechał wojskowy jeep z żołnierzem, który o mnie pytał, ale mnie wtedy nie było, a on nie chciał zostawić żadnej wiadomości. Po tygodniu pojawił się Lwendo. Miał na sobie wojskowy uniform roboczy. Był teraz drugim lejtnantem. Objęliśmy się. Przez dawnego kolegę ze szkoły dowiedział się, gdzie jestem. Mieliśmy sobie dużo do powiedzenia. Zastanawiałem się, czy Lwendo przyjechał z ciekawości, czy też kryło się za tym coś więcej. Owszem, kryło się coś więcej. Chciał, żebym się do niego przyłączył. Jako kto? Jako pewnego rodzaju szpieg. Byłem wstrząśnięty. Odszedłem z seminarium, aby uciec od dyktatury, i nie zamierzałem zajmować się polityką. Lwendo zapewnił mnie, że będziemy pracować dla jednej osoby, grubej ryby z rządu, której zadaniem było zwalczanie korupcji. Zapachniało mi religią, no i rzeczywiście, ten człowiek był dawniej księdzem. To właśnie było powodem, dla którego powierzono mu kierowanie Rehabilitacją

i Rekonstrukcją: katolicy wciąż jeszcze cieszyli się reputacją uczciwych. Gdzie jednak w tej całości pasowaliśmy my: mój kumpel Lwendo i ja? Poza tym wydawało mi się to niebezpieczne: jak będą reagować ludzie oskarżani przez nas o korupcję? Będą próbowali nas przekupywać, czy będą usiłowali nas zatłuc? Odrzuciłem jego propozycję. Miałem wspaniałe dochody. Dlaczego miałbym nadstawiać karku? Zmieniłem temat rozmowy. Chciałem usłyszeć historię jego życia.

Lwendo był sierotą. Nigdy nie znał rodziców. Wychowało go pełne miłości katolickie małżeństwo z dużą rodziną, jako jedno ze swoich dzieci. Dopiero w seminarium odkrył, że nie byli jego biologicznymi rodzicami. Ale zanim to nastąpiło, określili już jego przyszłość:

miał zostać księdzem, wspomagać potrzebujących i odplacić Bogu za to, co on dla niego zrobił. Lwendo zawsze uważał to za zły pomysł: od dzieciństwa jego marzeniem było wstąpienie do sił powietrznych. Jego dobroczyńcy nie mogli zaakceptować tak niekatolickiej próżności. Jego złe zachowanie w seminarium wynikało z protestu przeciw wyborowi, jakiego dokonali za niego przybrani rodzice, oraz poczucia, że nie ma wyjścia.

Po moim odejściu uczył się dalej. Kiedy partyzanci przeszli do akcji, był już w wyższym seminarium. Tam jednak dyscyplina była jeszcze większa i szybko miał tego dosyć. Zaczął wagarować i mniej lub bardziej otwarcie flirtować z dziewczynami podczas wykonywania prac kapłańskich. Publicznie przeciwstawiał się księżom. Stawiał twarde jak skała pytania o istnienie Boga i wygłaszał polityczne przemowy. Ostentacyjnie popierał Ugandyjską Partię Ludową i działania rządu Obote II w Trójkącie Luwero. Kiedy pytali go, co sądzi o mordowaniu, cytował Biblię: „Wszelki autorytet pochodzi od Boga” - i odsyłał swoich rozmówców do czasów krucjat, kiedy Kościół także prowadził krwawe wojny. Wielu księży wyciągało stąd wniosek, że nie ma powołania. Inni bronili go, widząc w jego zachowaniu młodzieńczy bunt, który wkrótce minie. Dostał ostrzeżenie, że ma zmienić swoje postępowanie i odnosić się z szacunkiem do księży oraz zaprzestać działalności politycznej. Odmówił. Kazali go śledzić. Pewnego wieczoru został przyłapany, jak wychodził podczas ciszy nocnej. Wydalono go z seminarium.

Miał do wyboru dwie możliwości: pojechać do domu przez jezioro albo pozostać na wyzwolonym terenie. Ale gdzie był jego dom? Czy rodzice zastępczy przyjmą go z powrotem? A nawet jeśli tak, to co miałby robić w tym niespokojnym mieście? Nie miał pracy, pieniędzy, żadnych widoków na przyszłość. Zdobyta przez niego wiedza teologiczna dawała mu jedynie możliwość otrzymania niewielkiej posady nauczyciela lub jakiejś kościelnej funkcji, co go zupełnie nie interesowało. Poza tym z opowiadań docierających do wyzwolonych terenów jasno wynikało, że sfrustrowani żołnierze rządowi zabijali ludzi na zajętych jeszcze ziemiach. Zaznawszy względnego spokoju porządku panującego na terenach wyzwolonych, Lwendo nie był zbyt skłonny do sprawdzania, co dzieje się po drugiej stronie.

Zdecydował się zostać i przyłączyć do partyzantów. Już wówczas znał byłego księdza, nazywanego przez wszystkich Majorem Padre albo po prostu Padre, prominentną postać w ruchu partyzanckim. Major Padre dwukrotnie złożył wizytę w seminarium, sprzedając partyzancką propagandę księżom seminarzystom. Lwendo był jedynym seminarzystą, który okazał zainteresowanie jego przesłaniem i wiwatował na cześć partyzantów, ponieważ zwalczali morderczy reżim. Padre dał mu wyblakłą wizytówkę, jedyny egzemplarz, jaki komukolwiek w seminarium wręczył. Lwendo, bynajmniej nie należący do nieśmiały, chętnie

pokazywał ją wszystkim, przechwalając się przed kolegami, że jest jedyną dalekowzroczną osobą w seminarium.

— Jesteś kameleonem - mówili. - Nie masz poczucia lojalności ani zasad.

— Jestem dzieckiem ciemności - odpowiadał. - Potrafię wyczuć, z której strony wieje wiatr.

Wyśmiewali go. W miasteczku akademickim wykrzykiwał partyzanckie slogany, czym zraził do siebie ostatnich księży, którzy go jeszcze brali w obronę. Niedługo potem powiedział, że gdyby był przywódcą partyzanckim, zamknąłby seminarium, a seminarzystów i księży wysłałby do wojska na trening militarny. Zanim przyłączył się do partyzantów, złożył wizytę Padre dostał zielone światło: Padre potrzebował ludzi, którym mógłby ufać, a Lwendo ze swoją niewyparzoną gębą wydawał się idealnym narzędziem.

Z powodu kłopotów z transportem Lwendo dotarł do obozu ćwiczebnego w środku nocy i omal nie został zastrzelony przez jednego z obozowych wartowników. Wrzasnęli na niego, że ma unieść ręce w powietrze, i zabrali do środka na przesłuchanie. Partyzanci byli bardzo wyczuleni zarówno na niespodziewane ataki ze strony oddziałów rządowych, jak i na infiltrację szpiegów, którzy przebierali się za kandydatów na bojowników. Lwendo spędził noc w obskurnym pomieszczeniu, pilnowany przez dwóch strażników, ponieważ o tak późnej godzinie nie wolno było przeszkadzać Padre - nawet tym, którzy mieli jego wizytówkę. O poranku Lwendo został uwolniony i natychmiast wysłano go na ćwiczenia. Po treningu miał wartę i patrol, a jego oddział dwa razy włączano do akcji wypędzania z kryjówek ostatnich żołnierzy rządowych, którzy stali się bandytami. Przeleżawszy cztery dni w zasadzce, zastrzelili czterech z nich. Nie pozostało to niezauważone. Padre cieszył się, że jego podopieczny podołał zadaniu. W rozmowie z nim Lwendo znacznie zawyżył swoje zasługi. Padre cenił jego łatwość komunikowania się, bo większość weteranów z Trójkąta odzywała się wyłącznie wtedy, gdy się o coś zapytało.

— Kiedy ci łajdacy zaczęli strzelać, pomyślałem, że już po mnie. Ale wtedy ja też zacząłem strzelać. Dźwięk mojego własnego karabinu podniecał mnie i wszystko się zmieniło. To było fantastyczne uczucie. Mógłbym wtedy zabić nawet pięćdziesięciu - powiedział swojemu opiekunowi, który poprosił go o zdanie mu w cztery oczy sprawozdania z przebiegu akcji. Na moment na twarzy Padre pojawił się cień wątpliwości, lecz nic nie powiedział. Lubił dobre historie.

Kiedy partyzanci posuwali się do Kampali, po drodze Lwendo również był świadkiem walk, ale tym razem pełnił funkcję stróża obozu, ponieważ Padre szepnęła za nim słówko. Wywołało to trochę tarć i oskarżeń o faworyzowanie, ale Lwendo miał tę przewagę, że

zdobył wyższe wykształcenie, podczas gdy większość weteranów, szczególnie młodocianych żołnierzy i dawnych chłopów z Trójkąta, miała na swoim koncie najwyżej jeden rok szkoły średniej. Ruch partyzancki miał zapotrzebowanie zarówno na mózgi, jak i mięśnie. Lwendo był jednym z najlepiej wykształconych rekrutów, a jego łacińskie powiedzenia budziły podziw i wywoływały zazdrość.

— *Non compos mentis* - mówił, śmiejąc się szyderczo z kamratów, gdy go czymś zirytowali. Wiedzieli, że ich obraża, ale nie wiedzieli, jak bardzo. Wreszcie któryś zakradł się do niego od tyłu, przyłożył mu bagnet do szyi i poprosił o wyjaśnienie.

Po wojnie Padre wysłał Lwendo do Trójkąta, gdzie musiał walczyć z oddziałami rządowymi, uciekającymi na północ. Nie było tam za bardzo gdzie walczyć, ale to, co Lwendo robił, robił dobrze. W ten sposób awansował na drugiego lejtnanta. Teraz jego opiekun chciał, żeby kontrolował towary przeznaczone dla terenów dotkniętych katastrofą: żelazne płyty, cement, cegły, koce i tym podobne. Widząc, jak Lwendo jako strażnik obozu obchodzi się z amunicją i innymi zapasami, Padre doszedł do wniosku, że może mu powierzyć ważniejsze zadanie.

Po wojnie partyzanckiej gospodarka stanowiła kupę gruzu, inflacja była bardzo wysoka, w produkcji panowała chroniczna stagnacja, a doskonale prosperujący czarny rynek nie ułatwiał gospodarczego planowania. Młodzi ludzie, przyzwyczajeni do twardego życia i dyscypliny w czasie wojny, byli teraz wystawieni na pokusy szybkiego wzbogacenia się. Wielu z nich uważało, że zasłużyli sobie na to, ponieważ postawili na jedną kartę swoje życie w Trójkącie i gdzie indziej, żeby wyzwolić kraj.

Lwendo zapewniał mnie, że nie planuje zostać zbyt długo w wojsku.

— Nie cierpię siedzenia w zamkniętym baraku. Nie cierpię władzy wyższych oficerów i tego całego drylu. Chcę w porę odejść, ale z przyzwoitą sumką w kieszeni. Mam pewne plany na przyszłość...

— To znaczy?

— Mam zamiar upomnieć się o mój procent.

— Jak odnosi się do tego Padre?

— Jest grubą rybą, ja jestem pod nim, prawie na samym dnie. Może mnie zwolnić, jeżeli mój *opus moderandi* mu się nie spodoba.

— A zazdrość kolegów?

— Nie powstrzymuje mnie to przed robieniem tego, na co mam ochotę. Im szybciej dostanę to, czego chcę, tym szybciej z tym skończę.

— Ten cały pomysł wydaje mi się dość ryzykowny. Nie jestem żołnierzem. Jeśli

coś się nie powiedzie, wina spadnie na mnie.

— Zostaw to mnie.

— Ale ja już mam pracę...

— W której zarabiasz dwadzieścia, trzydzieści dolarów miesięcznie! Daj spokój, człowieku. Ile jeszcze wytrzymasz w tym cholernym zawodzie?

0 Nie mam zamiaru być bity i więziony za oskarżenia korumpowanie ciebie, Panie Wyzwoliciele.

— Potrzebuję cię. Od chwili, gdy Padre mnie w to wciągnął, wiedziałem, że właśnie ty najlepiej nadajesz się do współpracy. Szukam kogoś, komu mogę zaufać, kto nie zada mi ciosu w plecy z jakiegoś powodu.

— A jeśli nas złapią?

1 Najważniejsze jest przestrzeganie tajemnicy. Wierz mi, nie będziemy działać na oślep. Zmieniłem się. Jestem systematyczny, cierpliwy i czujny. Nie musisz się martwić - powiedział poważnie Lwendo. - Zastanów się, pomyśl o przyszłości przyjdź wtedy do mnie. Nie zacznę bez ciebie.

Pokusa była duża: czułem zapach przygody, możliwość zdobycia nowego terytorium i rozliczenia się z szychami. W wiążącym się z tym niebezpieczeństwie było coś magicznego, miałem uczucie, że wreszcie odrąbię trzy głowy smoka, którego Diabelska Trójca zostawiła w moim ogrodzie. Dostyc miałem prowadzenia lekcji i odnosiłem wrażenie, że w tym zawodzie wcale się nie rozwijam. Życie wolnego ptaka miało dla mnie tę samą siłę przyciągania co latarnia dla ćmy w chłodny zimowy wieczór. Pragnąłem wspiąć się na szczyt, nie w małej gorzelni, w której każdy nazywał mnie szefem, ale w wielkim świecie. Perspektywa ta obudziła nagle dawne duchy seminaryjne: dręczenie ojca Mindi i Lageau. Brakowało mi adrenaliny. Już od lat nie robiłem czegoś takiego. Sądziłem, że Lwendo i ja jesteśmy w stanie oprzeć się agentom służby bezpieczeństwa. To była gra umysłowa i moje myśli rozpałały obrazy, czyny, fortele mające prowadzić do naszego zwycięstwa.

Na razie jednak odsunąłem te wszystkie myśli, stłumiłem je w głowie, żeby się uleżały i pokryły kurzem, zanim na nowo zacznę ich przeżuwanie. Czy Lwendo naprawdę się zmienił? Czy pozbył się dawnej niezręczności i rozwinął w sobie więcej przebiegłości i cierpliwości? Czy będzie mnie słuchał, jeśli okaże się to konieczne? Jak daleko byłem gotów się posunąć? Większość z nas wyniosła z lat siedemdziesiątych pewną rozwiązłość, poczucie, że wszystko nam wolno, a pokusa, żeby podkopać ten tępy, bezosobowy, biurokratyczny system, była ogromna. Większość z nas była małymi bogami i wyrastała o głowę ponad gamoniowatych agentów rządowych i nadętych funkcjonariuszy, a pokusie wypróbowania

naszej supremacji trudno się było oprzeć.

Nie powiedziałem ciotce Lwandece o propozycji Lwendo. Zawsze ostrzegła mnie, żebym nie zadawał się z żołnierzami.

Ciotce wiodło się tymczasem bardzo dobrze. Jej stowarzyszenie kobiet coraz bardziej się powiększało. Po raz pierwszy od lat kobiety poczuły się doceniane, rozumiane i zaangażowane. Lwandeka łagodziła ich dysputy i przedstawiała zwierzchnikom ich życzenia. Jej związek z brygadierem coraz bardziej się zacieśniał.

Co weekend przyjeżdżał po nią samochód i zawoził do Kampali, gdzie dołączała do brygadiera i jego przyjaciół i im - prezowała do późnej nocy. W ten sposób poznała wiele osób stojących u szczytu. Często pytano ją, co kobiety sądzą o rządzie i jakie są ich oczekiwania. Nie dziwiło jej to, ponieważ wiedziała, że wielu z tych ludzi otaczają potakiwacze, więc od czasu do czasu chcieli usłyszeć czyjeś szczere zdanie.

Międzynarodowy Fundusz Monetarny i Bank Światowy niczym sępy i marabuty osiadały z rozcapierzonymi szponami na padlinie, jaką była Uganda. Nie były nowymi przybyszami, o nie, już od lat nie spuszczały *skyline* z oczu i były na miejscu nawet podczas panowania ostatniego reżimu. Teraz jednak przenikały do wnętrza, ponieważ klimat był lepszy. Miały listę warunków długą jak Nil. Rząd, dążący do stłumienia inflacji, stymulowania produkcji i zasilenia gospodarki zastrzykiem gotówki, wyszedł im naprzeciw. MFM postawił jednak warunki. Jeśli chcecie dostać pieniądze, musicie zwrócić własność wypędzonym Azjatom. Azjaci mieli więc wrócić, aby odzyskać swą własność, po ponad piętnastu latach. W całym kraju huczało, zwłaszcza w stolicy.

Na początek ogłoszono, że będąca w użyciu waluta przestaje być prawnym środkiem płatniczym i zostanie wymieniona na nową. Za kantory wymiany służyły szkoły i SIMC został choć raz wykorzystany do czegoś, co miało znaczenie dla społeczeństwa. Wielebny robił obchód, opowiadając z dumą, jaka ważna jest jego szkoła. Rano przed jednym z budynków stali w kolejce ludzie z dużymi workami i oddawali stare pieniądze, które liczone i wymieniano.

Postarałem się, żeby nie zatrudniono mnie przy wymianie pieniędzy. Nigdy nie lubiłem widoku ani zapachu starej waluty, zapach nowych pieniędzy również nie był upajający. Poszedłem do szkoły tylko po to, by wymienić pieniądze z gorzelnii Bum - - bum, które nie były odprowadzone do banku, po czym wróciłem do domu. Czas przeznaczony na wymianę minął, zanim wszyscy mogli skorzystać z okazji. Ludzie bali się, że stracą pieniądze podczas tego zwalczania inflacji. Termin wymiany przesunięto jednak o tydzień. Dla ludzi przyzwyczajonych do dużych sum pieniędzy otrzymanie tych małych kwot za ich miliony

było wstrząsem. Inflacja przez jakiś czas utrzymywała się na zerze, ale ponieważ produkcja nie była najlepsza, ponownie zaczęła wzrastać.

Kiedy dwa tygodnie po wymianie prowadziłem lekcję w dużej klasie, zostałem wezwany przez rektoraasystenta.

— W moim biurze ktoś na ciebie czeka.

Pomyślałem, że to Lwendo, ale był to ktoś posłany przez ciotkę Lwandekę.

— Wydarzył się wypadek - oświadczył niechlujny, spoglądający smutnym wzrokiem mężczyzna.

— Jaki wypadek? - zapytałem, a po plecach przebiegł mi dreszcz.

— Nie powiedziała. Kazała tylko przekazać, żeby pan jak najszybciej przyszedł.

Przed domem ciotki stał tłum, a w nim kilka bardzo rozgniewanych osób. Okazało się, że jeden z moich parobków doznał poparzeń. Na szczęście jeszcze żył. Skóra zeszła mu z przodu ciała jak skórka banana i wyglądał tak samo żółto. Skurwysyn. Tego dnia nie wolno mu było pędzić wódki. Wstrzymałem pracę w oczekiwaniu na nową walutę. Ale ten drań zrobił to za moimi plecami. Rozpalił ogień, zasnął i nie zauważył, że miedziane rury się zapchały. Obudził go potężny wybuch. Kocioł wyleciał w powietrze niczym kapsuła kosmiczna i pękł jak sucha łupinka grochu. To go uratowało. Gdyby kocioł został na ziemi, byłby z niego trup. Ale wylała się na niego część zawartości.

Ciotka Lwandeka załatwiła przewiezienie go do szpitala i wzięła na siebie odpowiedzialność za wypadek. To uspokoiło nieco ludzi, lecz niezupełnie. Lwandeka obiecała, że pokryje koszty leczenia i pomoże, ile będzie mogła. Sądziła, że sprawa jest załatwiona. Ale brat i szwagier ofiary przyszli do gorzelni, zniszczyli wszystko i podpalili magazyn. Pomyślałem o innym ogniu, piętnaście lat wcześniej. Postanowiłem nie zajmować się więcej gorzelnią. Lwendo wygrał.

Z powodu wypadku zacząłem więcej myśleć o moim związku z Jo. Kim była ta dziewczyna? Poza babką nie znałem nikogo z jej rodziny. Pewnego wieczoru, podczas jedzenia, powiedziałem, że chcę poznać jej matkę. Jo nie za bardzo spodobał się mój pomysł.

— Jeżeli masz wobec mnie poważne zamiary, ta kobieta powinna mnie poznać.

— Zastanowię się.

— Nie ma się nad czym zastanawiać.

— To jako kogo mam cię przedstawić?

— Jako pana Muwaabi, nauczyciela w szkole średniej i przyszłego adwokata.

— Co?

Powtórzyłem nazwisko, z pełnym zadowolenia uśmiechem na twarzy. Nigdy nie

używałem nazwiska Muwaabi, wszyscy nazywali mnie Mugezi.

— Zapyta wtedy, z której rodziny Muwaabi pochodzisz - powiedziała Jo.

Byłem zbyt podniecony, by zwrócić uwagę na dziwny ton jej głosu. Zacząłem opowiadać o Dziadku, wsi, Serenity... Nagle przestała jeść, zakryła usta dłonią i zamknęła oczy. Myślałem, że utknęła jej w gardle ość.

— ***Katonda wange!*** - wykrzyknęła. - Mój Boże!

— Co się stało?

— Przez cały czas coś podejrzewałam. Teraz wiem na pewno.

— Co wiesz na pewno? - zapytałem rozdrażniony.

— Że jesteśmy rodziną. Jesteś moim bratem albo przyrodnim bratem, jak mówią Anglicy.

— Co ty wygadujesz?

— Mój biologiczny ojciec nazywa się Muwaabi, pochodzi właśnie z tej wsi i chodził do szkoły podstawowej w Ndere. Jesteś jego synem. Teraz widzę, że jesteś do niego podobny. Oddalił moją matkę, żeby ożenić się z katoliczką, i od tego czasu przestał się mną w ogóle interesować. Dlatego zawsze mówiłam, że nie żyje. Ale wiem, że pracuje i mieszka w mieście. Postanowiłam do końca życia trzymać się od niego z daleka.

Nie mogłem już przełknąć ani kęsa. Czulem, jak zapadam się w ogromnym dole pełnym wyjących bestii. Spojrzałem na Jo nowym wzrokiem. W górnej części jej twarzy mogłem rozpoznać ciotkę Tiidę. Miała też coś z Kasiko, a nawet coś z Babci. Może wydawała mi się tak atrakcyjna właśnie z powodu rodzinnych rysów. Nie byłem zatwardziałym egzogamicznym tradycjonalistą, ale miałem wrażenie, że nasz związek na tym ucierpi. Nie traktowałem go już w ten sam sposób. Tego wieczoru dużo piliśmy, ale mało rozmawialiśmy, w następne wieczory również. Nie dotknąłem jej więcej. Magiczny płomień zgasł.

Pewnego wieczoru spostrzegłem nagle, że daje mi to wspaniałą okazję do zemścić się na Serenity i odplącenia mu za to, że mnie kiedyś o mało nie zbił na śmierć. Powinienem pójść do niego i powiedzieć, że znalazłem kogoś, z kim chcę się ożenić, i przedstawić mu Jo. Tak, tak zrobię, pomyślałem. Przejął mnie smutek, bo wiedziałem, że już nigdy nie znajdę takiej dziewczyny jak ona. Zazdrościłem już temu, kto się z nią ożeni.

— Zrobisz coś dla mnie? - zapytałem.

— Co takiego?

— Chcę cię przedstawić mojemu, to znaczy naszemu ojcu jako moją narzeczoną.

— Dlaczego chcesz to zrobić?

- Mam swoje powody.
- Nie sądzisz chyba, że za ciebie wyjdę, co?
- Nie, oczywiście, że nie - odparłem.
- To co chcesz przez to osiągnąć?
- Powiedzmy, że mam z ojcem na pieńku.
- A co ja mam z tym wspólnego?

Skurczyłem się, słysząc jej pytanie; było tak, jakbym musiał zdawać egzamin. Bardzo się starała spoglądać w przyszłość; z niechęcią pozwalałem płynąć lotnemu piaskowi terażniejszości i przeszłości.

- Przecież ty też masz z nim na pieńku, prawda?
- Dlaczego miałabym to zrobić w ten sposób?
- A nie złości cię sposób, w jaki potraktował ciebie i twoją matkę?
- Oczywiście, że tak. Ale chcę to załatwić inaczej.
- Jak?
- Ignorując go, tak jak on mnie ignorował.
- Nie chciałabyś, żeby zapadł się pod ziemię ze wstydu?
- A co bym z tego miała?
- Ja bym miał dużo.
- Powinieneś to jeszcze przemyśleć. Niczego tym nie osiągniesz.
- A w jaki sposób ty chcesz się zemścić?
- Wychodząc za mąż za bogatego człowieka i urządzając wspaniałe wesele, z

orszakiem samochodów, dziesięcioma druž - kami, bardzo długim welonem, tradycyjną trupą taneczną i bankietem trwającym kilka dni.

Co za drobnomieszczaństwo! Jak dziewczyna, którą ojciec tak źle potraktował, mogła stać się taka konwencjonalna? Za pomocą zięcia chciała wykluć Serenity oko. A jeśli Serenity takie rzeczy w ogóle nie obchodziły? Jeśli widział w nich jedynie wyrzucone w błoto pieniądze? To wszystko brzmiało niedorzecznie. Czy Serenity nie będzie współczuł tej dziewczynie, ponieważ facet, którego będzie na to stać, będzie mógł mieć wszystkie kobiety, a ona dzień w dzień będzie na niego czekała?

— Czy w takim razie chcesz stanowić część gospodarstwa z większą liczbą kobiet?

Pomyślałem o Lusanani i zastanawiałem się, czy Jo ma takie same zapatrywania. Pewien rodzaj Hadziego Gimbi, z brzuchem piwosza i tak dalej, który wyciągnął rękę po tę piękną kobietę. Przed oczami miałem już obraz leżącego na niej grubego starucha, sapiącego

jak maszyna parowa. Wyobrażałem już sobie, ile trudu kosztowałoby go utrzymanie sztywno fiuta w jej wąskiej cipce. Robiło mi się niedobrze i równocześnie ogarniała mnie złość.

— Tak długo, dopóki mężczyzna będzie mi dawał swobodę robienia tego, na co mam ochotę, będzie mi wszystko jedno, co poza tym wyprawia - odparła.

Poczułem się zupełnie bezsilny. Mogłem jeszcze tylko wpaść w szpony Lwendo. Z Serenity jednak był szczęściarz! Uciekł po raz któryś z kolei.

Spotkałem Lwendo w Ministerstwie Odbudowy przy Kam - pala Road. Wokół wciąż jeszcze panował nieład. Stały tam zakurzone szafy archiwalne, kilka nowych mebli, łuszcząca się, przeciążona maszyna do pisania i czarny telefon, odzywający się głośnym, wrzaskliwym tonem. Poszliśmy do głównego urzędu pocztowego i usiedliśmy na schodach, żeby porozmawiać.

— Nawet nie wiesz, jaka to dla mnie ulga - powiedział. - Padre zaczął się niecierpliwić i zamierzał wziąć kogoś innego. Ale teraz możemy zabrać się do dzieła.

— Jaki jest następny krok? - zapytałem. - Przedstawisz mu mnie?

— Nie. Ale potrzebne mu twoje dane osobowe. Napisz list motywacyjny do ministerstwa, a ja mu go przekażę. Resztę zostaw mnie.

— Do kogo mamy się zgłosić?

— Do pewnego urzędnika.

— A na czym polega nasze zadanie?

— Chodzi o przeprowadzenie podwójnej kontroli zezwoleń na budowę, położenia terenów i zastosowania materiałów. Potem musimy skontrolować, czy materiał rzeczywiście dostarczono. Resztą się nie martw, ja ponoszę za wszystko odpowiedzialność.

Poszliśmy do restauracji przy ulicy Luwum i zamówiliśmy *matooke* z mięsem i warzywami, które splukaliśmy piwem. Dobry początek, uznałem. W SIMC nigdy nie dostawaliśmy obiadu. Lwendo opowiadał o swojej obecnej dziewczynie, ale nie bardzo mnie to interesowało. Pracowała jako pielęgniarka w szpitalu Mulago, była starsza od niego i prowadzili zwyczajne, nudne życie.

Po lunchu chodziliśmy po sklepach i w jednym z nich kupiliśmy papier maszynowy. Były to sklepy dawnych azjatyckich wyzyskiwaczy, które MFM chciał im oddać. Wyzysk był wypisany na kruszących się murach. Dzierżawcy, którzy wiedzieli, że będą musieli odejść, nie przeprowadzali już remontów, a Rada Kuratorska, mająca na względzie jedynie własną prowizję, nie nalegała na to. Nadżarte rdzą dachy, popękane płytki chodnikowe i brudne okna dopełniały obrazu upadku.

Taki sklepik użytkowało zazwyczaj około dwudziestu osób: każdy ze swoją własną

niewielką przestrzenią przy ladzie. Wielu handlarzy wynajmowało taką małą przestrzeń, aby jedynie wystawiać na niej towary, a kiedy przychodził klient, zabierali go na zaplecze albo do innego magazynu, w którym leżały zapasy. Kilku z nich zarobiło niezłe pieniądze, jednak większość z trudem wiązała koniec z końcem. Teraz lada moment mieli wrócić pierwotni właściciele. W mieście żywo spekulowano, jak sobie poradzą handlarze z tych klitek. Jak Azjaci tym razem wezmą się do roboty? Poprzednim razem cieszyli się monopolem, lecz teraz na ich teren wdarli się Afrykańczycy. Napięcie wzrastało.

Najpierw wrócili przemysłowcy. Po nich - handlarze detaliczni i hurtownicy. Chodzili w eleganckich garniturach albo strojach safari, rozglądając się wokół; próbowali wskrzeszać stłumione wspomnienia, zastanawiali się, jak podjąć przerwany kiedyś wątek. Druga generacja, która wychowała się w Anglii, patrzyła na stare sklepy obojętnie. Można było zauważyć, jak ich rodzice rozpaczliwie próbują tchnąć życie w marzenie swych wąpiących serc.

Kiedy się spoglądało na budynki w mieście, z których część zburzyły bomby, a inne stały w słońcu, niszcząc, człowiek zaczynał się zastanawiać, jak to możliwe, że związanych było z nimi tyle różnych interesów. Wielu ludzi biznesu miało nadzieję, że rząd ustąpi i będzie trzymał Azjatów za drzwiami, ponieważ „każdy” przyczynił się do wojny partyzanckiej i stracił znajomych, ale rząd bardziej był zainteresowany rozwojem na dłuższą metę, czymś, czego nie uwzględniały plany większości handlarzy.

Przez pierwsze tygodnie chodziliśmy po całym mieście, odwiedzając różne miejsca mające związek z naszym zadaniem. Poszliśmy do składów przemysłowych, żeby przestudiować system fakturowania. Odwiedziliśmy biura Radia Uganda, gdzie pracowała jedna z naszych koleżanek, i jeszcze wiele innych miejsc.

Odetchnąłem z ulgą, gdy zobaczyłem, że Lwendo ma na sobie cywilne ubranie: zielone spodnie, zieloną koszulę i czarne buty. Nie miał przy sobie broni i chodziliśmy zatłoczonymi ulicami jak wszyscy inni. Czasem przejeżdżał jeep wojskowy, ale bez syren i nie spychał innych pojazdów z drogi. Taksówki jak zwykle były przepełnione i przewoziły teraz pasażerów do Trójkąta, w którym od lat nie byli.

Nasze pierwsze duże zlecenie polegało na sprawdzeniu kontyngentu koców przeznaczonych dla Nakaseke, byłej kryjówki partyzantów, położonej głęboko w Trójkącie. Pojechaliśmy autobusem do Luwero, około czterdziestu kilometrów od Kam - pali. Już w odległości dziesięciu kilometrów od miasta zobaczyliśmy ustawione wzdłuż drogi stragany na owoce, na których ułożono rzędy czaszek, a za nimi sterty kości goleniowych, udowych i innych. Czaszki były już pozbawione szczęk, wiele z nich miało dziury od kul i toporów.

Wyplukane przez deszcz i wysuszone przez słońce, wyglądały jak makabryczne rytualne akcesoria. Ale na tle upiornych, zbezczeszczonych budynków, gdzie ledwo zaczynało się zauważać oznaki życia, a zaciekawione twarze zerkały z ukradka na pasażerów w autobusie, nie było w tym nic zabawnego. Autobus zatrzymywał się w każdej zniszczonej wsi, gdzie wysiadała jedna lub dwie osoby, czasem z tobołkiem, czasem z pustymi rękami. Szli ścieżkami i drogami, które przez pięć lat były zarośnięte trawą, rosnącą także w niektórych pustych budynkach, przedzierającą się przez dachy i drzwi, ramy okien i wentylatory. Patrząc na tych ludzi idących do dawnych, ukrytych w zaroślach osad, zastanawiałem się, co tam zastaną: jeszcze więcej czaszek do kolekcji na straganach? Wymazane z mapy wsie? Czy może też kilka rzeczy, z którymi wiążą się stare wspomnienia?

Na terenach mniej boleśnie dotkniętych widziało się czasem niezniszczone sklepy. Były to miejsca strategiczne, w których stacjonowało wojsko, nadzorując okolicę. Budynki te uszły grabieżcom, ponieważ wojsko wyjechało zbyt szybko lub zbyt późno. W takich miejscach znajdowało się więcej ludności i gdzieś usunięto chwasty, a obok straganów z czaszkami stały również kramiki ze świeżymi ananasami, owocami papai, bananami, trzcina cukrową i ziemniakami. Brukowana droga przecinała dżunglę, mokradła i pastwiska niczym olbrzymia klinga. Była nadzarta po bokach przez czołgi i wojskowe ciężarówki, które korzystały z niej nieustannie podczas kampanii partyzanckiej. W miejscach, w które uderzyły bomby, widniały w jezdni potężne kraterzy. Panująca w autobusie cisza, przerywana od czasu do czasu przez jakieś kaszlące lub zadające matce pytania dziecko, napawała lękiem. Wzmagała wrażenie, że zmarli leżą w bliskiej odległości od drogi, aby ich znaleziono i pochowano. Bujność trawy i majestatyczność drzew sugerowała, że cała ta roślinność karmiła się krwią i ciałami tych, którzy polegli w czasie walk.

Powoli zacząłem nabierać przekonania, że następstwa wojny są o wiele gorsze niż same walki i że o wiele trudniej wygrać pokój niż wojnę. Teraz milczały tu karabiny, ale słychać było jęki martwych dusz i wzdychanie tych, co przeżyli, z których większość nie mogła doczekać się odzyskania kawałka gruntu. Lecz uczucie antyklmaksu, braku kierunku, podkreślało dziury w ciszy.

Luwero i Nakaseke były bliźniaczymi miasteczkami, które połączyła wojna partyzancka i historia. Aby dotrzeć do Nakaseke, trzeba było przejechać przez Luwero. Na początku wojny mieszkali tam tysiące ludzi, a okoliczna płodna ziemia zaplecza, uprawiana przez dziesiątki tysięcy, dostarczała pieniędzy i innych dóbr. Liczba ludności w Luwero, które przetrwało wojnę, wyraźnie rosła; Nakaseke, bardziej pechowy bliźniak, musiało dopiero pozbierać się po gwałtach, grabieżach i spustoszeniach. Luwero było niespodzianką, bo po

tych wszystkich straganach z czaszkami wzdłuż drogi spodziewaliśmy się, że w samym miasteczku będzie ich cały stos, ale tak nie było. Nakaseke natomiast wyglądało tragicznie: z gęstych lasów, mokradeł i rozległych trawiastych terenów wylaniało się miastowidmo. Powracający uchodźcy stawiali prowizoryczne budynki lub zatrzymywali się w sąsiednich wsiach, aby tam czekać na wsparcie rządu przy żmudnej odbudowie.

— Ależ miałem szczęście! - wykrzyknął Lwendo. - Ludzie w tej bagnistej okolicy musieli cierpieć okropny niedostatek!

Wróciliśmy z Luwero przeciążoną starą toyotą z platformą. Byliśmy posiniaczeni od wybojów, ale starałem się nie myśleć o tym wszystkim, ponieważ wołałem nie myśleć o mojej rodzinnej wsi. Przyjechałem do Luwero, żeby skontrolować parę dokumentów, a potem jak najszybciej odjechać. Ludzie, którzy teraz próbowali wygrzebać to miasteczko z popiołów, byli tu przez całą wojnę, ale niewiele mówili o swoich przeżyciach.

— Co minęło, to minęło - powiedział ktoś do Lwendo, starającego się zdobyć trochę informacji.

Oprowadzili nas po miasteczku, pokazali, gdzie żołnierze biwakowali, gdzie torturowali ludzi i gdzie złożyli broń, kiedy miejscowość po raz ostatni została zbombardowana.

— Byliśmy prawie jak policja drogowa, która czasem tylko się przygląda, a czasem kieruje niebezpiecznym ruchem - powiedział ktoś z miejskiej starszyny.

— Co za niesprawiedliwość - zauważył później Lwendo. - Strefa wojenna powinna się nazywać Trójkąt Nakaseke, a nie Trójkąt Luwero.

— Niektórzy ludzie zawsze mają szczęście - odparłem.

Dramat wojenny dobiegł końca, pozostało przejmujące zadanie wyrażenia tego słowami dla przyszłych pokoleń. Gdy uporaliśmy się z naszą pracą, nie mogliśmy się doczekać powrotu do Kampali. Zmarli z Nakaseke jeszcze trochę sami będą musieli dotrzymywać sobie nawzajem towarzystwa.

Patrząc na migające przed oczami wsie w drodze z Luwero do Kampali, na stosy czaszek na straganach i dachy ziejące dziurami, byłem podekscytowany. Ale moje miejsce było w mieście.

Cieszyłem się, że nasza pierwsza misja zakończyła się pomyślnie. Ale kiedy zastanowiłem się, doszedłem do wniosku, że ludzie pracujący tak ciężko i ponoszący taką odpowiedzialność jak my zasługiwali na więcej. Oficjalnie dostawaliśmy sto dolarów miesięcznie, jedną dziesiątą tego, co zarabiałem w gorzelni. Przed sobą widziałem już bale nowych koców, dziewiczo błyszczące żelazne płyty, składy pełne cementu. Uświadomiłem

sobie, że muszę zacząć od początku: albo zarabiać pieniądze na czarno, albo się nie wychylać.

Potrzebowałem dwóch dni na przetrawienie moich doświadczeń z Trójkąta. Kiedy spotkałem jedyną dziewczynę z Trójkąta, z którą nadal zamierzałem chodzić, uznałem, że ogromnie okroiła swą opowieść. Z pewnością widziała więcej trupów i zniszczeń, niż mówiła. Pragnąłem przeniknąć do jej mózgu i odkryć jej tajemnicę. Czy Jo wszystko mi opowiedziała? Nie, jej córeczka zginęła prawdopodobnie w czasie walk albo podczas ucieczki, być może wrzucono ją do rzeki, padła ofiarą gorączki albo została zdeptana przez uciekających. Możliwe też, że Jo w ogóle nie miała córki, a ciąża istniała jedynie w jej wyobraźni, ponieważ wszystkie dziewczyny w jej okolicy zmarły. Wszyscy mieliśmy trupy w szafach i dostosowywaliśmy nasze historie do słuchaczy. Zawsze uprzedzaliśmy publiczność, podobnie jak seminarzyści i księża, mówiąc to, co chciałaby usłyszeć albo co wyrządzi najmniejszą szkodę naszemu image czy uczyni go piękniejszym.

Nasze pierwsze wyprawy przebiegały według życzeń: wróciliśmy do Nakaseke i zastaliśmy tam wszystkie zamówione przez nas towary. Ludzie byli z tego zadowoleni i dziękowali nam, jakbyśmy dostarczyli je z własnych, prywatnych zapasów. Niektórzy zaczęli już łątać własne domy. Wzruszył nas dźwięk młotków, pogaduszki podnieconych budowniczych i iskrzące się oczy pełnych nadziei kobiet. Ludzie znowu mogli robić coś dla siebie. Śmierć zmarłych nie była daremna, żywi mieli po co żyć, a dzieci miały przyszłość.

Podczas naszego piątego wyjazdu sprawy zaczęły się komplikować. Pojechaliśmy najpierw do Kakiri, miasteczka przy drodze do Hoimy, a potem jeszcze do paru innych miejscowości, gdzie oszacowaliśmy szkody i zapotrzebowanie. To poszło dobrze. Podróż również nie była zbyt męcząca. W ciągu kilku tygodni materiały zostały dostarczone: bale koców i ciężarówki z cementem - w Biurze Odbudowy pokazano nam papiery. Ale w Kakiri i innych miejscowościach okazało się, że dostarczono jedynie część materiałów. Gdzieś w tym ciężko dotkniętym wojną miasteczku był ktoś, kto wiedział coś więcej, lecz nie puszczał pary z ust. Musieliśmy wrócić do źródła. W Kampali udało nam się zdobyć duplikat listu przewozowego. Poszliśmy do Radia Uganda, a nasz kontakt uzupełnił luki. Ale ten człowiek zawsze wyprzedzał nas o krok. Zastanawiałem się, której bandy szpiegowskiej był członkiem.

Odkryliśmy, że ciężarówkę pełną materiałów odsprzedano Kibanda Boys, naszej rodzimej mafii. Na początku lat osiemdziesiątych zaczęli od spekulacji walutowych. Potem założyli przedsiębiorstwa w Kikuubo, dzielnicy z azjatyckimi sklepami i składami pomiędzy dworcem autobusowym a ulicą Luwum, i powoli rozszerzali swoją działalność.

W Kikuubo roilo się od ludzi: handlarzy i klientów, którzy przepychali się nawzajem w ciasnych uliczkach, gdzie wyładowywano zapełnione po dach ciężarówki marki Tata.

Grupy młodych, rozebranych do połowy mężczyzn obładowywano workami cementu, cukru, soli, belami materiałów i płytami blachy falistej, które przynosili do magazynów za obskurnymi sklepami. Pozory mylą: to była poważna sprawa. Zamiast rozbudowywać azjatyckie lokale, mafia postanowiła zamienić na sklepy stare składy i garaże. Wychodziło to taniej, a sądząc po kwitnym handlu, nie było złym pomysłem, choć infrastruktura mogłaby być nieco lepsza: nie było tu prawie w ogóle toalet; handlarze nie przychodzili tu w końcu z wizytą, ale żeby zarabiać pieniądze.

Naszym obiektem badań, używając terminu urzędowego, było nielegalne przedsięwzięcie, garaż przebudowany na sklep. Kiedy zapytaliśmy o właściciela, pojawił się duży, gruby facet w krótkich spodenkach, obgryzający kolbę kukurydzy. Lwendo miał przy sobie pistolet. Wiedziałem tylko, że był ciężki i naładowany. Mężczyzna poprosił nas na tyły sklepu, do ciemnej klitki, w której na biurku leżało mnóstwo pieniędzy; zarówno miejscowa waluta jak i sterty dolarów. Lwendo przełknął parę razy, a mnie zaswędziały ręce.

— Chcielibyśmy zajrzeć do pańskiego magazynu - oświadczył Lwendo.

— Nikt nie ma na to pozwolenia.

— Mamy nakaz rewizji.

— Czego panowie szukają?

— To nasza sprawa - odparł nonszalancko Lwendo.

— Nie może pan tak po prostu wejść do mojego sklepu i zaglądać do magazynu.

Mogę zadzwonić po służbę bezpieczeństwa albo do jednego z naczelników, któremu podlega ta dzielnica.

— Prawo jest po naszej stronie.

— My sami jesteśmy prawem, bo walczyliśmy na wojnie - powiedział mężczyzna drwiąco.

W sklepie z przodu handel jakby nigdy nic toczył się dalej. Słyszeliśmy nawołujących się tragarzy, skrzypiące deski podłogi, ryczące silniki samochodów i podniesione głosy ostrzegające pieszych, żeby uważali. Ludzie wchodzili i wychodzili ze sklepu z plikami papierowych pieniędzy lub kwitami. Zamawiali duże ilości artykułów i każdy płacił gotówką.

— Wiem, czego szukają tacy chłopcy jak wy - odezwał się gruby mężczyzna chłodnym głosem. - Chcecie pieniędzy, a ja potrafię to zrozumieć. Poszłicie na wojnę, żeby doprowadzić stary rząd do upadku, i teraz, kiedy zdobyliście władzę, zauważyliście nagle, że człowiek potrzebuje pieniędzy, żeby móc cieszyć się ze zwycięstwa.

— Przyszliśmy tu tylko po to, żeby przeszukać pański sklep.

— Rozumiem waszą frustrację. My jesteśmy tylko handlarzami, którzy według

was jeszcze nigdy niczego nie zrobili dla kraju. Nie braliśmy udziału w wojnie. Już przedtem byliśmy bogaci, a teraz jesteście jeszcze bogatsi. A wy, którzy cierpieliście głód i pragnienie i stawaliście oko w oko ze śmiercią, nie macie nic. Ale nie zapominajcie, że to my sfinansowaliśmy wojnę.

— Proszę pokazać nam zapasy - powiedział Lwendo, ignorując tę całą przemowę.

Mężczyzna zdawał się mieć dużo czasu, prawdopodobnie czekał na kogoś. Ale nie udało mu się nas spławić. W końcu wziął nas do magazynu, o którego istnieniu Lwendo już wiedział. Lwendo znał numer rejestracyjny samochodu, który przywiózł materiały, i jeszcze kilka szczegółów. Ciarki przeszły mi po plecach, kiedy szliśmy za mężczyzną. W korytarzu mógł się ukrywać ktoś z nożem albo jeden z tych półnagich mężczyzn mógł spowodować „wypadek”, zrzucając na nas pięćdziesięcio - kilowy worek cementu. Całe pomieszczenie aż po dach załadowane było towarami. Lwendo badał koce, szukając niewielkiego znaku firmowego. Nie mogło im się udać usunąć go; przy użyciu niedoskonałej technologii było to prawie niemożliwe. Ale towar złożono zupełnie z tyłu i trzeba było zawołać kilku pracowników, żeby odciągnęli na bok bele, zanim mogliśmy się do niego dostać. Wszyscy się pociliśmy: robotnicy z wysiłku, ja ze zdenerwowania, Lwendo z podniecenia. Kiedy gruby mężczyzna uświadomił sobie, że go nakryliśmy, odesłał swoich ludzi i złożył nam propozycję. Lwendo policzył, ile facet by za to dał.

— Najlepiej będzie, jeśli zabierzemy pana do baraków Lubi - ri, żeby wytrześć z pana tę kukurydzę - oświadczył. - Jak sam pan powiedział: było wam przez te lata o wiele za dobrze.

— Nie, nie, proszę, nie... Nie jestem jedynym właścicielem.

— Więc niech pan nam powie, od kogo pan kupił te rzeczy?

Przypuszczałem, że właściciel sklepu, jak wielu innych handlarzy, miał paru znajomych w rządzie albo w wojsku, ale chyba te osoby nie były zbyt wpływowe. Poza tym większość oficerów wojskowych czy urzędników wołała nie zdobywać popularności w przestępczych kręgach. Umowa była zawsze taka: po pozbyciu się towaru każdy musiał dalej sam sobie radzić, szczęście albo pech. Parę miesięcy temu ten handlarz załatwiłby nas jednym telefonem: kazałby nas pojmać i postawić przed sądem jako kryminalistów. Teraz jednak wszystko było inaczej. Lwen - do zastanawiał się nad tym, jak ludzie w Kakiri wzniesli mur milczenia, i doszedł do wniosku, że kontrola może się ciągnąć w nieskończoność, jeżeli wpakuje do ciupy tego człowieka. Zażądał paru tysięcy dolarów i dostał je. Przekroczyliśmy pewną granicę i nie było już dla nas odwrotu.

Jeszcze nigdy nie czułem się tak bezbronny, jak wtedy, gdy wychodziliśmy z tamtego

budynku. Kiedy ktoś mnie potrącił, spodziewałem się, że poczuję zimne ostrze noża między zębami. Ponieważ była pora lunchu, wokół kręciło się sporo ludzi. Przechodzili tamtędy mężczyźni z gorącymi garnkami pełnymi mięsa i ryb, które zanosili swoim żonom sprzedającym jedzenie handlarzom i robotnikom. A gdyby tak któryś z nich wylał na nas zawartość gorącego garnka i uciekł z naszymi pieniędzmi? W tym chaosie wydawało się to bardzo proste. Dlaczego nikt jeszcze nie wpadł na ten pomysł? Na ulicy Luwum, z widokiem na postój taksówek po jednej stronie, a na meczet i stadion Nakivubo po drugiej, Lwendo powiedział:

— Właśnie dlatego chciałem pracować z tobą. Z kimś, komu nie ufa się w stu procentach, nie można załatwiać takich interesów. Widzisz, jak łatwo kogoś oszukać?

Zaśmiałem się, a on klepnął mnie w plecy.

— Oto początek końca mojego pobytu w wojsku - powiedział wesoło.

— Jeżeli szczęście nam dopisze - odparłem ostrożnie.

— Dopisze jak cholera, nie martw się.

Wzór był niezmienny: w dwóch z trzech przypadków, które nam nadawano, składaliśmy doniesienie; za trzecim razem wsadzaliśmy pieniądze do własnej kieszeni. Czy Padre wiedział, co robimy? Nigdy się tego nie dowiedziałem. Ale musiałyby być bardzo naiwny, by wierzyć, że jesteśmy aniołami, zwłaszcza że według oficjalnej statystyki korupcja u szczytu zanikała, ale wciąż jeszcze była obecna w niższych rejonach. Brygady polityczne - których Lwendo nie był członkiem - zaangażowane do zwalczania policyjnej korupcji, odnosiły mizerne sukcesy. Wielu szło drogą Lwendo i napępniało własne kieszenie.

Nie było dla nas wielkim zaskoczeniem, że gdy tylko wszystko zaczęło iść jak z płatka, niespodziewanie wprowadzono zmiany. Przeniesiono prawie cały personel Biura Odbudowy. Zatrudniono nowych ludzi, a my należeliśmy do tych nielicznych, którym pozwolono zostać.

Naszyc „spraw” chwilowo trochę ubyło. Znowu odbywaliśmy męczące wyprawy do obskurnych miejscowości, z tyłu rozklekotanych ciężarówek i w zatłoczonych autobusach. Jedna z najgorszych tras wiodła do Mubende, sto kilometrów od naszego miasta. Pierwsze czterdzieści kilometrów pokonaliśmy drogą brukowaną, pozostałe sześćdziesiąt drogami, które zniknęły, gdy padał deszcz. W pewnym miejscu przyczepa osunęła się na ciężarówkę i nasz pojazd utknął w błocie, a inna ciężarówka, która chciała ją ominąć, wylądowała w lotnym piasku przy drodze. Ciężarówkę rozładowano, a towar ustawiono na tym, co pozostało jeszcze z drogi. Nie mogliśmy przejechać. Próbowaliśmy wrócić stopem do Mityany, ale o tak późnej porze nikt już tamtędy nie jechał, więc całą noc spędziliśmy w autobusie w

oczekiwaniu holownika.

Tym razem chodziło o ładunek stalowych płyt, które zniknęły bez śladu. Podejrzewaliśmy, że sprzedano je w Mityanie, szybko rozwijającym się miasteczku, przyciągającym różnego autoramentu hołotę. Ten przypadek szczególnie złościł Padre, ponieważ dobrze znał tę okolicę, pracował tam przez kilka lat jako ksiądz, a potem przez jakiś czas reprezentował ruch partyzancki. Nalegał, by sprawę gruntownie przebadać.

Dowiedzieliśmy się, że prawdopodobnie stoi za tym mafia. W rządzie wciąż przybywało mafijnych powiązań i coraz częściej stosowano praktyki w stylu Lwendo.

Kontynuowaliśmy naszą wyprawę do Mubende, gdzie istotnie odkryliśmy, że towar sprzedano w Mityanie. Udaliśmy się tam w pośpiechu. Zatrzymani przez nas dwaj mężczyźni nie błagali o łaskę ani nam nie grozili. Co było ich tajemnicą? Czy był to czysty stoicyzm, czy też świadomość, że i tak nas później dopadną?

— To mi się w ogóle nie podoba - powiedziałem do Lwendo, paląc jednego papierosa za drugim. Siedzieliśmy w obcym miasteczku, w małej restauracji pachnącej jeszcze świeżą farbą, podczas gdy na zewnątrz chodzili ludzie, którzy mogli nas śledzić.

— Nie martw się - powiedział pewny siebie, jakby kule się go nie imały. - Nikt nie może nas dopaść.

— Jak wrócimy?

— Taksówką - odparł.

— Dlaczego podczas tych akcji nie korzystamy z samochodów rządowych? - zapytałem.

— Zdradziłibyśmy się tym.

Spojrzałem na zewnątrz. Mityana była dynamicznym miasteczkiem: wszędzie wyrastały nowe budynki, wyglądała jak jeden wielki plac budowy. Rozebrani do połowy mężczyźni wspinali się na rusztowania z wiadrami wypełnionymi cementem. Betoniarki ze swoimi grubymi brzuskami nieustannie kręciły się w kółko, a głosy robotników były podniecone i niecierpliwe. Wciąż nadjeżdżały i odjeżdżały samochody ciężarowe i autobusy oraz wyładowane ludźmi i towarem samochody kombi. Miasteczko zalewały tłumy kupujących z Mubende i okolicznych wiosek. Na horyzoncie widać było jezioro Wa - mała. Ale nawet spokój srebrnoszarej tafli wody nie uciszył moich nerwów.

Żeby się tu dostać, trzeba było pokonać ogromne lasy i otwarte trawiaste równiny. Wojsko straciło tu mnóstwo ludzi. Czy wrócimy stąd cali?

— Głowa do góry - powiedział Lwendo. - Tym razem nie możemy sukinsynom pozwolić się wymigać. Następnym razem będzie zysk.

- Czy to niebezpieczne pieniądze?
- Przecież o to właśnie chodzi: to wyzwanie.

Otrzeć wszystko było już załatwione. Dostaliśmy papiery z policji, która miała przechować zatrzymanych przez nas mężczyzn do przybycia sekcji do spraw defraudacji, i przygotowaliśmy się do wyjazdu. Wiedzieliśmy, że potoczy się parę głów z miejscowego Komitetu Odbudowy oraz w biurze w Kampali. Wsiedliśmy do busataksówki i ruszyliśmy z powrotem do Kampali.

Jechaliśmy przez gęste lasy, w których przed słońcem osłaniały nas olbrzymie sklepienia z listowia, mijaliśmy wioski ze straganami i zniszczone budyneczki - niektóre z nich nie tak dawno służyły wojsku jako sale tortur. Pięliśmy się w górę, a potem znowu zjeżdżaliśmy stromym zboczem w dół. W połowie drogi usłyszeliśmy potężną eksplozję. Bus przekoziółkował i potoczył się w dół, do stóp wzniesienia. Czuję się jak pozbawiony ciała. Uderzyłem głową o siedzenie fotela i rozciąłem sobie lewe ramię. Lwendo był potłuczony, bolała go klatka piersiowa i prawa noga, ale nie był ranny. Ludzie, których poraniło rozpryskujące się szkło, stękali, leżąc w trawie i wzywając swych bliskich. Jeden z nich wciąż marudził o swojej portmonetce, aż wreszcie zmęczył się i przestał. Inni leżeli, przewracając się z boku na bok albo krwawiąc, i lekko chrapali, dając tym znak, że żyją.

Nie bałem się. Wciąż spodziewałem się, że zdarzy się coś niedobrego, i teraz, gdy rzeczywiście się wydarzyło, poczułem ulgę. Lwendo, kierowca i jeszcze paru ludzi, którzy nie byli ranni, udzielali pierwszej pomocy. Zastanawiałem się, czy był to wypadek czy ostrzeżenie. Z pomocą przyszła nam ciężarówka jadąca do Kampali. Nie zgodziliśmy się z Lwendo pojechać do szpitala. Zbadał nas lekarz z małej prywatnej kliniki, znajomy Lwendo.

- To po prostu był wypadek. Gdyby mieli złe zamiary, byliśmy łatwym łupem.
- Może chcieli, żeby to wyglądało na wypadek - powiedziałem.
- Ależ nie, to nie byłoby konieczne.

Przez kilka tygodni zachowywałem się spokojnie i próbowałem wytłumaczyć sobie ten wypadek. Ostrzelano nas czy tylko złapaliśmy gumę? Nagle poczułem, że nie pragnę już tak bardzo przygód. Znowu miałem okazję pracować dla ciotki. Pilnie potrzebowała kogoś, kto zająłby się jej sprawami: zamierzała wyrabiać z nasion bawełny olej do smażenia. Bank zaakceptował już jej plany i zaoferował pożyczkę.

Po wypadku Lwendo stał się jeszcze bardziej bezwzględny i żądał jeszcze wyższych sum wykupu. Był świadomy, że nie możemy zbyt długo ciągnąć tego procederu, jeśli chcemy ująć z życiem. Doceniałem jego logikę. Chciwość i korupcja mogły bardzo dobrze obejść się bez nas. Rozsądniej było zrobić to jeszcze raz, a potem wycofać się. Nie bez znaczenia był też

fakt, że dziewczyna Lwendo coraz bardziej na niego naciskała, żeby zaczął prowadzić spokojne życie. Lwendo tak naprawdę nic się nie zmienił od czasu siostry Bizon, a jego dziewczyna chciała go jak najszybciej uwiązać na łańcuchu. Podczas naszej włóczęgi nie dotknął jeszcze żadnej kobiety, choć kilka z nich przyciągnął już zapach jego pieniędzy. Ale jego dziewczyna nie spuszczała go z oka.

Akcja mająca stać się naszym ostatnim skokiem związana była z cementem i była efektem ambitnej obietnicy rządu naprawy wszystkich dróg i przerzucenia mostów przez wszystkie rzeki na terenach dotkniętych klęską. Najpierw miały zostać naprawione wszystkie mosty zniszczone podczas akcji partyzanckich. Musiałem do tego zadania zebrać całą swoją odwagę, ponieważ wiedziałem, że będę musiał odwiedzić rodzinną wieś, a już słyszałem, że została zrównana z ziemią.

Podczas wojny domowej partyzanci ustawili przeszkodę dla wojska rządowego dokładnie w miejscu, w którym kiedyś utknął taksówkarz wiozący w deszczu rodzącą mnie Kłódkę do szpitala w Ndere. Najpierw napadli na najbliższe położone baraki, żeby odwrócić uwagę od przeszkody. Czystki nie doprowadziły do pojmania żadnych partyzantów, bo cywile nie puścili pary z ust, nawet podczas tortur.

Już we wczesnym stadium stało się jasne, że wojsko reagowało w ten sposób, że było obecne na miejscu, a nawet, kiedy wydawało się, że podejmuje inicjatywę, stanowiło to reakcję na wcześniejsze ataki partyzantów. Bombardowania nic nie dały, a aresztowania nie doprowadziły do pojmania żadnych ważniejszych partyzantów. Wojsko było coraz bardziej sfrustrowane i potrzebowało moralnego bodźca.

Pewnego dnia partyzanci ostrzelali wojskowe ciężarówki w pobliżu Mpande Hill, po czym skryli się w zaroślach. Robili to wielokrotnie i nadawali wiadomości radiowe, w których donosili, że zdobyli trójkątny kawałek ziemi pomiędzy barakami, Mpande Hill i gminą Ndere, którego każdy bok miał około dwunastu kilometrów. Wojsko, sądząc, że przechwyliło istotne informacje, zaplanowało wielką ofensywę dla oczyszczenia terenu.

Wysłano tam sześć ciężarówek pełnych żołnierzy pod przywództwem podpułkownika oraz jeepy zaopatrzone w karabiny maszynowe. To było w czasach katusz. Kiedy wszystkie pojazdy zostały rozstawione wzdłuż drogi na długości jednego kilometra, z nieprzystępnym Mpande Hill w tle, rozgorzało piekło. Pojazdy na obu końcach wyleciały w powietrze, a reszta została uwięziona pomiędzy nimi; pomysł rozstawienia ciężarówek blisko siebie okazał się katastrofalny. Partyzanci wysadzali jeden pojazd po drugim, a na żołnierzy, którzy to przeżyli, spadł deszcz ołowiu i ognia. Wojsko straciło tego jednego dnia dwustu piętnastu żołnierzy, było także wielu rannych. Partyzanci mieli niewiele ofiar. Wycofali się na czas i

uciekli przez mokradła do pobliskiej dżungli.

Kilka godzin później, kiedy spalone ciężarówki wojskowe leżały przewrócone na bok na drodze albo w bagnie, a martwe ciała puchły na słońcu lub dryfowały w wodzie, utykając wśród papirusów, nadleciały uzbrojone helikoptery. Na dwóch wzgórzach ustawiono wyrzutnie raketowe i rozpoczął się kontratak. Ale partyzanci już zniknęli, nie zamierzając wdawać się w walkę z lepiej uzbrojonym wojskiem. Również prawie wszyscy mieszkańcy uciekli już z tego terenu. Helikoptery i katusze zbombardowały wszystko: bomby spadały na las, do wody, na dolinę, na domy. Temperatura wody w mokradle wzrosła, zabiła ryby, żaby, szerszenie, komary i sparzyła trzcinę papirusową; stado hipopotamów na drugim końcu rzeki poczuło się zmuszone do ewakuacji. Gdyby nie celowano tak źle, ani jeden budynek w promieniu dziesięciu kilometrów nie pozostałby cały.

Kilka dni później, kiedy las dogorywał, a domy leżały w gruzach, wojsko przeprowadziło czystki mające na celu złapanie partyzantów, którzy przeżyli bombardowanie. Kilku starcom i staruszkom, którzy nie chcieli odejść, mając nadzieję, że oszczędzi się ich z uwagi na ich wiek, założono *kandooya*, trójkątny węzeł na łokciach. Nie mogli udzielić informacji, więc zostali zamordowani. Cywilów rannych podczas bombardowania zrzucano z dachów. Wszystko, co można było pieprzyć, pieprzono, a potem zabijano. Wojsko splądrowało domy i wywiozło ocalałe drzwi, okna i płyty z blachy falistej. Tak została zmieciona z powierzchni ziemi wieś mojego dzieciństwa.

Największe spustoszenia były w parafii w Ndere. Gdyby wieża nie była tak trudna do splądrowania, zupełnie by ją ogołocili. Ale żołnierzom nie uśmiechało się polecieć w dół i roztrzaskać się na betonie jak świętej pamięci ojciec Roulet Lule. Odpalili kilka rakiet, aż cała wieża popękała i pogięła się jak papier. Wyszadzili w powietrze dach kościoła i opróżnili plebanię i budynki szkolne. Podczas okupacji szkolne meble służyły im na podpałkę, gdy rozpalali ogniska, na których gotowali jedzenie. Ponieważ lubili grillować, szukali mięsa do upieczenia. Prawdopodobnie mniej więcej w tym czasie napadnięto i ograbiono seminarium, a owczarek niemiecki ojca La - geau wyzionął ducha.

W dniu, który miał być ostatnim dniem akcji, złapali księdza z okolicy, który ukrył się w lesie. Wraz z katechetą powieszono go do góry nogami na tłących się belkach plebanii. Kiedy w końcu zmarli, ptaki wydziobały im oczy.

Po większych bombardowaniach zawsze przychodził deszcz. Zakwaszony zemstą zmarłych, padał na puchnące mokradła, które wzbierały i zatapiały całą okolicę. Podmywały fundamenty domów, które w końcu się zawały. Kotłujące się fale prznosiły szlam do stóp Mpande Hill. Cała historia wsi została splukana. Grzmoty i pioruny wraz z nieustającymi

deszczami zniszczyły wszystko, co pozostało z zagrody. Trawa taro zarosła wszystkie podwórza, cmentarze i ruiny.

Kiedy pojechaliśmy tam zobaczyć, czy istnieje zapotrzebowanie na akwedukty, które miały ograniczyć wszechmocne mokradła Mpande, wieś już nie istniała. Wspomnienie o niej było ciemnym błotem, ściekającym ze zboczy obu wzgórz. Dom Dziadka i rodzinne miejsce pochówku zniknęły. Podobnie jak kawalerski dom Serenity, okazały dom Stefano oraz „restauracje”, „kasyna” i „supermarkety” nowej wsi. Mojego ulubionego drzewa, roztrzaskanego przez bomby, również już nie było. Prawie nikt z mieszkańców nie powrócił.

Ciotka Tiida i Nakatu pojechały tam, żeby uratować coś z marnych resztek, jako wspomnienie rodzinnego miejsca, ale przerażone tym, co zobaczyły, uciekły z powrotem do bezpieczeństwa własnych domów. Serenity też tam był, aby na własne oczy ujrzeć, co spowodowała historia i wojna, i zastanowić się, jak ewentualnie mógłby temu zaradzić. Ale i on zasłonił twarz rękami i uciekł: to, że spełniło się jego młodzieńcze, przepełnione chęcią zemsty marzenie i dom jego koszmarów zniknął, napawało go teraz odrazą. Posiadłości klanu i ich zarządcy również zniknęli. Kawalerski dom Serenity, ze wszystkimi wspomnieniami jego podbojów, także został starty z powierzchni ziemi. W drodze powrotnej przeszedł obok miejsca, w którym mieszkał Skrzypek, ale fundamenty domu były niewidoczne. Teraz rozumiał, dlaczego w mieście i dzielnicach podmiejskich było tylu ludzi, którzy mimo trudnych warunków nie dawali posłuchu wezwaniom rządu do powracania do rodzinnych stron. Wśród nich znajdowało się wielu członków jego związku zawodowego.

W tej całkowicie zniszczonej okolicy bardzo łatwo było ukraść parę ciężarówek z cementem przeznaczonym na akwedukty. Komitet Odbudowy był słaby, bo zasiadało w nim kilku analfabetów, a jego członkowie honorowi błędzili w labiryncie matematycznych obliczeń. Według rachunków wykonano dziesięć dostaw cementu. W rzeczywistości było ich jedynie pięć. Na mokradłach Mpande budowano akwedukty ze znacznie mniejszej ilości cementu, niż należało. Złodzieje pracowali według starego wzoru, ale syndykat stał się o wiele bardziej zachłanny. Byłem wściekły, a Lwendo podzielał moją frustrację.

— Tym razem ani krzty łaski - powiedziałem. - Jeżeli ich dopadniemy, dobierzemy się im do skóry.

Początkowo zgadzał się ze mną, ale wkrótce uświadomił sobie, że to być może nasza ostatnia szansa, i kilka dni później powiedział:

— Nie przesadzaj. Nie daj się ponieść emocjom.

— Co masz na myśli? Moja wieś została starta z mapy. Mam się z tym tak od razu pogodzić?

- Tego nie powiedziałem.
- A co powiedziałaś, do jasnej cholery?
- Że się być może obłowimy. Sam wiesz, że nie możemy robić tego wiecznie.

To prawdopodobnie nasz ostatni raz. Zniszczenie wsi i zniknięcie tych wszystkich ciężarówek to jakiś znak. Ty jesteś tą wsią. Ona nadal w tobie żyje. Cement i tak się nie znajdzie, a przestępcy łatwo się wywiną. Lepiej bierzmy forszę i znikajmy.

- Nie, nie tym razem.
- Tak, właśnie tym razem.

Nasz kontakt w Radiu Uganda zażądał tymczasem o wiele wyższej prowizji, twierdząc, że znajduje pod drzwiami listy z pogrózkami, martwe szczury, gekony bez głów i różne inne odpadki. Powiedział nam, do kogo mamy się udać. Lwendo zarekwirował jeepa i karabin i pojechaliśmy do Jinja.

Dom był wspinałym bungalowem, skrytym za ogrodzeniem, z widokiem na rozległe pole golfowe i Kokolo Hill. Nasz łajdak siedział w domu - był to mały, dobrze ubrany, inteligentny mężczyzna, który na początku lat osiemdziesiątych zbił kapitał na spekulacjach pieniężnych. Aż dziw, jak zwyczajnie wyglądali ci wszyscy urzędnicyprzestępcy. Ten człowiek mógł być nauczycielem z Sam Igat Memoriał College. Sprawiał wrażenie niedożywionego, ale był właścicielem magazynów w Kikuubo i miał partnerów w Londynie i Dubaju.

Bez zbytnich ceregieli dał nam to, co chcieliśmy. Wydawało się to prawie zbyt łatwe.

Kiedy otrzymaliśmy pieniądze, przez jakiś czas musieliśmy siedzieć cicho. W międzyczasie sporządziłem bilans swojej pozycji. Nie za bardzo uśmiechał mi się powrót do SIMC. Mogłem żyć spokojnie i prowadzić ciotce Lwandece księgowość, zastanawiając się nad swoją przyszłością. Mogłem też wyjechać za granicę. Wielu młodych ludzi wyjeżdżało do Anglii, Szwecji, Stanów Zjednoczonych czy Niemiec w nadziei, że zarobią tam wystarczająco dużo pieniędzy, by móc sobie pozwolić na zakup domu i samochodu. Jednak należało poprosić o azyl polityczny, ponieważ tylko ten sposób dawał prawo do pozostania na Zachodzie. Nie miałem ochoty przyłączać się do tych ludzi. Ponizenia obozów dla uchodźców to nie dla mnie. Ale może mógłbym pojechać tam jako turysta?

Człowiek, którego wydoiliśmy, nie był w ciemię bity. Doniósł na nas, wykorzystując swoich wysoko postawionych popleczników, i w końcu wiadomość o naszym kancie dotarła do Padre. Wezwał Lwendo do swojego biura i, jak ojciec marnotrawnego syna, wyraził głębokie rozczarowanie. Powiedział, że miał wobec niego wielkie plany i nie rozumie, dlaczego uległ pokusie szwindlu i korupcji. Lwendo, syn marnotrawny, pochylił głowę, jakby

chciał nadstawić głowę pod miecz. Padre oświadczył, że nie każe go zamknąć, ale przeniesie go na północ, żeby tam pracował przy odbudowie. Tak więc Lwendo został wypędzony z rajy i wtrącony w twardą rzeczywistość. Myśląc już o ucieczce, przyjął tę karę z pochyloną głową.

Naprawdę wypędzono go z rajy. Na południu łatwo zapominało się o walkach na północy. Choć nowy rząd zdobył duże obszary północy nadal jeszcze miały tam miejsce walki partyzanckie. Bojownicy Obote wciąż nie chcieli zaakceptować faktu, że wojsko z południa przejęło władzę na północy. Próbowali podburzać ludność, a kiedy im się to nie udawało, napadali na wsie i terroryzowali mieszkańców. Dobrze znając teren, mogli szybko posuwać się naprzód, przypuścić atak i zniknąć, zanim wojsko mogło cokolwiek uczynić. Jak na ironię, ludzie z południa, którzy wcześniej prowadzili wojnę partyzancką z rządem opanowanym przez ludzi z północy, znaleźli się teraz w drażliwej sytuacji. I tak jak ludzie z północy śmiertelnie bali się naszych lasów i mokradeł, tak ludzie z południa nie wiedzieli, co kryją zakurzone, niegościnnie równiny, kiedy szukali nieuchwytnych żołnierzy. Ale w przeciwieństwie do bojowników Obote nie wolno im było torturować cywili. Żołnierze przyłapani na gwałtach i plądrowaniu byli rozstrzeliwani przez plutony egzekucyjne. Oburzały się na to organizacje praw człowieka, ale rząd był nieustępliwy. Kiedy żołnierz dopuszczał się gwałtów lub takich czynów, jakie popełniali żołnierze Obote w Trójkącie Luwero, kara śmierci była jego najbardziej prawdopodobnym losem.

Lwendo drżał, rozważając niebezpieczeństwa pracy w strefie będącej w istocie strefą wojny. Miał wiele szczęścia podczas wojny partyzanckiej, ale czy to szczęście nadal będzie mu dopisywało na północy, na terenie, którego nie zna i którego śmiertelnie się boi? Najbardziej ze wszystkiego bał się zasadzki. Śniło mu się często, że wjeżdża samochodem Ministerstwa Odbudowy na minę lądową, wylatuje w powietrze i traci ręce i nogi. Prawie odchodził od zmysłów na myśl o spędzeniu reszty życia jako inwalida.

Jako przedstawiciel rządu będzie musiał ciężko harować, aby ludzie byli zadowoleni, bo rząd chciał, żeby ludzie z północy stawali po jego stronie, by w ten sposób uniknąć sytuacji, w której wyglądałoby na to, że rząd ma zbyt wielką przewagę na południu.

Lwendo opowiedział mi o swoim wygnaniu i poprosił o radę. Ale według mnie nie potrzebował żadnych rad, chciał jedynie usłyszeć swój głos odbijający się w moim.

— Powiedziałeś, że pojedziesz? - zapytałem.

— Żołnierz musi być posłuszny.

— Przecież nie musisz tego robić, jeśli wystąpisz z wojska.

— Zastanawiam się nad tym, ale na razie muszę się zachowywać tak, jakbym był gotów pojechać na północ.

— Okropne, nie? - próbowałem zażartować.

— Nie chciałem znaleźć się wśród walczących tam chłopaków. Wojsko obchodzi się z nimi wyjątkowo surowo, bo boi się, że będą się mścić na niewinnych cywilach. Sądziłem, że uciekłem przed tym całym plugastwem, a teraz ten sukinsyn wysyła mnie *linea recta* do piekła!

Potrząsnąłem głową.

— Chciałem, żebyś coś dla mnie zrobił - powiedział, patrząc mi prosto w oczy.

Nie golił się przez tydzień i wyglądał jak zbir. Powie mi teraz, że bym odpłacił mu za te wszystkie pieniądze, które zarobiliśmy, pomyślałem z odrazą.

— Tak? - zapytałem niezbyt wesoło.

— Chciałem, żebyś pojechał ze mną na północ, żeby rozpoznać teren.

— Odbiło ci? Chcesz, żebym zginął?

Szansa, że natrafimy naszym pojazdem na minę, była ogromna. Poza tym łajdacy Obote wciąż organizowali napady, które były teraz okrutniejsze niż kiedykolwiek, ponieważ przegrali i nastąpiły dla nich ciężkie czasy. Studiowałem w myślach mapę północnej Ugandy. Znałem nazwy miast i wiedziałem, jakich plonów dostarczają te tereny, ale w rzeczywistości była to dla mnie *terra incognita*. Za jeziorem Kyoga i Nilem było pełno bojowników Obote.

— Chcesz, żebym zginął? - powtórzyłem.

Lwendo roześmiał się.

— Czemu tak się boisz śmierci? - zapytał.

— Już od lat jej umykam. Dlaczego miałbym jej teraz szukać na północy?

— To przesada. Prawie wszędzie na północy jest znowu spokojnie, z wyjątkiem kilku ognisk oporu. Tak jak w latach osiemdziesiątych było i tutaj. Walki ograniczają się tylko do niektórych obszarów. Gdzie indziej życie płynie mniej więcej normalnie.

Powiedział to, żeby uspokoić samego siebie, nie mnie. Czulem, że nie mam wyboru. Czulem, że nie jestem lojalny; w jakiś dziwny sposób miał mnie w swojej mocy. Zresztą chciałem zobaczyć kawałek północy. Nie bałem się śmierci, tylko bólu, który mógł ją poprzedzać.

Po tygodniu byliśmy już w drodze. Nie powiedziałem ciotce Lwandece, dokąd jadę. Była przekonana, że udajemy się gdzieś niezbyt daleko, żeby oszacować szkody. Zabrał nas ministerialny samochód, stanowiący część konwoju z zapasami dla północy. Mieliśmy wojskową eskortę, chłopaków w wieku około siedemnastu lat. Byli uzbrojeni w karabiny AK-47, które przypominały mi o moim nocnym spotkaniu z Diabelską Trójcą. Patrzyłem na wygięte magazynki, wąskie lufy i lśniące drewno, i myślałem, jaką ma się władzę, gdy można

pociągnąć za spust. Nie miała ona zbyt wiele uroku, na to cena była zbyt wysoka. Spoglądałem na tych chłopaków w wieku uczniów z SIMC i zastanawiałem się, ilu ludzi zabili i jak będzie wyglądała ich przyszłość. Czy myśleli o ludziach, do których strzelali? Czy myśleliby o nich, gdyby byli starsi? Jaki wpływ będzie to mieć na ich życie? Czy staną się obsesyjnymi mordercami? Wyglądali tak, jakby sądzili, że potrafią unieszkodliwić minę lądową, sikając na nią. Co to wszystko będzie kiedyś dla nich znaczyć? Oceniałem, że wstępując do wojska, musieli mieć po trzynaście lat albo mniej. Wychowali się w lesie. Jak przystosują się do koszar? Cieszyli się władzą, jaką mieli. Widziałem, jak blefowali. Obiecywano im wszystko, ale co będzie, jeśli te obietnice nie zostaną spełnione? Bardziej bałem się tych młodocianych żołnierzy niż ich dorosłych kolegów. Starsi żołnierze byli przekupni, bardziej świadomi problemów życia: jeżeli miałeś im coś do zaoferowania, mogłeś pertraktować. A ci chłopcy wydawali się całkowicie uzależnieni od rozkazów.

Myślałem o czasach, kiedy byłem w tym wieku co oni, gdy przystąpili do partyzantki, o czasach, kiedy miałem tyle kłopotów z Kłódką i Serenity i ich despotyzmem. Gdybym miał taką szansę i gdyby okoliczności były sprzyjające, na pewno wstąpiłbym do wojska. Gdzie w takim razie byłbym teraz? Wtedy naprawdę miałbym kilka trupów w szafie. Chyba miałem szczęście, że sprawy nie zaszły tak daleko, bo wtedy może, z pozwoleniem w kieszeni, zabiłbym kilka Kłódek. Tymczasem prawdziwa Kłódka jadła, oddychała i wychowywała w pagodzie swoich gówniarzy. Może bym ją nawet zatorturował na śmierć, rozkoszując się każdym jej przekrwionym tchnieniem. Ach...

W naszym samochodzie niewiele rozmawiano. Lwendo chciał wyraźnie zachować dystans do młodocianych żołnierzy. Zawsze mi powtarzał, że od żołnierzy mam się trzymać z daleka.

— Nie warto - mówił. - Jak przyjdzie co do czego, przyjaciel cię zastrzeli, kiedy dostanie taki rozkaz.

Inni ludzie w samochodzie także woleli się nie odzywać. Bali się północy równie mocno jak my i próbowali przekonać siebie samych, że ten strach jest tylko ich wymysłem. Znajdowaliśmy się w Trójkącie Luwero i mknęliśmy słynną drogą Gulu, trasą ucieczki ludzi z północy podczas reżimu Amina i Obote II. Jeszcze nigdy nie byłem tak daleko. Zatrzymywaliśmy się wiele razy na sikanie i żeby od handlarzy przy drodze kupić banany, prażone kolby kukurydzy, słodkie ziemniaki i sok owocowy.

Na wysokości Masindi, mniej więcej w połowie kraju, gdzie w siedemnastym i osiemnastym wieku zetknęły się ze sobą dawne ludy południa i ludy północy, poczułem się jak rebeliant z południa podczas jakiejś mrocznej misji. Do tego miejsca na przełomie

wieków doszli nasi przodkowie, aby wspierać kolonialne rządy Brytyjczyków. Teraz jechaliśmy zobaczyć, czy północ i południe mogą wspólnie żyć po tym wszystkim, co się wydarzyło. Okręg Lango leżał zaledwie równię, rzekę dalej. Pochodzący stąd Milton Obote poszukał azylu w obcym kraju, daleko od wszelkich konfliktów, które wywołał w tym kraju. Prawie trzydzieści lat temu opuścił tę surową okolicę, ruszył na południe i z pomocą swego manipulującego, dryfującego na nieporozumieniach, arogancji i naiwności systemu politycznego zagarnął władzę nad całym krajem. Teraz zawiesił na kołku swoje karabiny i wojskowe buty, a naród pozostawił własnemu losowi. Próbowałem dostrzec, co uczynił dla ludzi z północy. Niewiele. Skupiał się głównie na osiągnięciu własnego celu.

Wszechobecna południowa zieleń ustąpiła miejsca bezkresnej, suchej równinie, skąpo porośniętej trawą i mizernymi drzewami, z nieskończonym niebem ponad nimi. Było tu gorąco i dziko i już od samego spoglądania na suchą, gołą ziemię chciało mi się pić. Żar słoneczny, któremu nic nie stało na przeszkodzie, lał się prosto z nieba i koncentrował na ziemi i ludziach. Wiatr zbierał kurz i wydmuchiwał go w powietrze w formie małych, swawolnych trąb powietrznych. Były to tereny, na których nieustannie trzeba było walczyć o jedzenie, wodę i życie.

Przeżyliśmy kilka trwożnych chwil, kiedy okazało się, że jeden z samochodów z naszego konwoju ma defekt. Nie było to nic poważnego, ale wszyscy się denerwowali, póki nie został naprawiony, jakby w każdej chwili spod ziemi mogli wyskoczyć bandyci, żeby nas napaść. Nawet młodociani żołnierze nie wyglądali już na tak odważnych. Zauważyłem, że pachy mojego przyjaciela Lwendo zrobiły się zupełnie mokre, a on sam rozglądał się płochliwie dookoła, jakby roilo się tu od wampirów.

W końcu dotarliśmy do miasta Lira. Wydawało się, jakbyśmy spadli z nieba. Miasto wyglądało jak grzyb wyrosły z ziemi: samotne jak palec i dostępne ze wszystkich stron. Było podobne do wielu afrykańskich miast: ubogie, z paroma sklepami i niewysokimi budynkami na krzyż, wszystko pod bezkresnym niebem, radosny nieporządek. W porównaniu z nim Kampala ze wszystkimi swoimi brakami była rajem. Podobnie jak w każdej innej strefie wojennej, było tu pełno wojska i mówiono nam, żebyśmy w nocy nie wychodzili. Żołnierze starali się wyglądać na odprężonych i trzymali na ciasnej obroży swe paranoidalne skłonności. Uczucie nagości i braku ochrony było przemożne. Po naszych lasach i wysokiej roślinności człowiek czuł się tu wydany na pastwę nieznanym, wrogim sił. Wrażenie to potęgowała jeszcze obecność wysiedleńców w mieście. Ich zmęczone i ściągnięte niepokojem twarze uświadamiały, że wszędzie czyha niebezpieczeństwo.

Część naszego konwoju jechała dalej, w głąb okręgu Acholi, mając Gulu za punkt

docełowy. Następnego ranka obserwowaliśmy ich wyjazd, ciesząc się, że zostajemy.

Lwendo bał się miejscowej ludności, która ciężko musiała walczyć o przetrwanie. Był też zdenerwowany z powodu wysiedleńców. Bał się, że będą do niego strzelać, ale oni nie mieli broni, nawet dzid czy pang. Bał się, że wśród nich znajdują się rebelianci, którzy mogą donieść na nas swoim koleżkom. Najwyraźniej mózg Lwendo dniem i nocą dręczył go żołnierskimi koszmarami. Miejscowi urzędnicy odbudowy mówili po angielsku, byli uprzejmi i próbowali rozproszyć nasze obawy. Zależało im na utrzymaniu dobrych stosunków z innymi funkcjonariuszami, ponieważ potrzebowali pomocy. Ufałem im, ale Lwendo nie. Wieczorami opowiadał mi o okopach, w których spał.

— Wszystko zmieniało się w jedną wielką cipę, w której pływaliśmy z palącym ogniem między nogami - mówił.

— Co wtedy robiliście? - zapytałem. Zawsze tak niewiele mówił o swoich żołnierskich doświadczeniach.

— Pieprzyliśmy wszystko, co nosiło spódnicę - odparł i wybuchnął gromkim śmiechem.

— Wszystko?!

— Mogę ci powiedzieć, że niemal odchodzi się wtedy od zmysłów - mruknął, przygryzając w zadumie dolną wargę. - Najbrzydsza baba wygląda jak bogini seksu. Sądzę, że niektórzy mogliby to wtedy robić nawet z psem.

Śmiałyśmy się obaj i poklepywałyśmy się po ramionach.

— A walka?

— To przebłyśki świadomości, których zwykli cywile nigdy nie rozumieją. Rozpadasz się na części i składasz je z powrotem w ułamkach sekundy.

— Czułeś przy tym coś szczególnego?

— Miałem wrażenie, że przejechałem się do piekła i z powrotem. Podróż w czasie albo coś w tym rodzaju. Czułem się wtedy kimś, kimś o wiele ważniejszym od przeciętnego cywila.

— A jeśli...

— O, wszystko przy tym blakło. Czekałeś, bałeś się i wtedy nadchodziła ta chwila. To pewien rodzaj antyklmaksu, który chcesz powtórzyć: potworny strach i ogień w kroku, denerwująca strzelanina i trafianie do celu. Mówiąc kategoriami ciała, bicie daje o wiele więcej satysfakcji. Najwyraźniej zapadł mi w pamięć dym z prochu i eksplozje.

Zastanawiałem się, czy mogę go teraz zapytać, ilu ludzi zabił. I gdzie? Czy zauważył, że ukradkiem mu się przypatrywałem i czy był świadomy, że go oceniałem, że

porównywałem jego słowa ze słowami innych, których opowieści słyszałem wcześniej? Znowu zaczął się głośno śmiać. Przez moment sądziłem, że sam mi to powie, ale tak się nie stało i nie udało mi się znaleźć sposobu, żeby go o to zapytać, nie będąc przy tym zbyt natarczywym. Chroniłem także siebie samego. Nie chciałem patrzeć na niego, gdy będzie się złościł, i myśleć: skoro zabił tylu ludzi, mógłby stracić panowanie nad sobą i również ze mną się rozprawić.

Droga powrotna nie wydawała się nam już taka straszna, w pewien sposób oswoiliśmy się z krajobrazem. Lwendo powziął już decyzję: złoży wymówienie. Wystarczyło, by przekupił lekarza wojskowego, a mógł zostać zwolniony z wojska z przyczyn zdrowotnych. W przeszłości chorował na żołądek i miał hemoroidy. Z pierwszego mógł wyniknąć wrzód żołądka, z drugiego krwotoki, z powodu których powinien zostać zoperowany.

Od zakończenia wojny partyzanckiej panowała tajemnicza choroba, podczas której ludzie chudli do samych kości i masowo umierali. Sądząc po objawach - wysoka gorączka, wysypka, obrzęki - wielu ludzi uważało, że powoduje ją rzucony urok. Wielu chorych chodziło do Kanclerza i innych znachorów. Zaczęło się to w południowoschodniej Ugandzie, w odległym okręgu Rakai, ponad pięćdziesiąt kilometrów od Masaki. Uważano, że jest to kara wymierzana przez tanzańskich przemytników, oszukanych przez ich ugandyjskich kontrahentów w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, kiedy bandy przemytnicze działały w tamtych bagnistych okolicach. A ponieważ w handlu zawsze było łajdactwo, a lepszego wytłumaczenia brakowało, wielu ludzi w to wierzyło. Ale jak w takim razie miała się sprawa z tymi wszystkimi umierającymi w mieście?

Wkrótce choroba otrzymała oficjalną nazwę, ale my nadal nazywaliśmy ją „Szczupły”. Potwierdzało to teorię, że po wojnie zawsze następuje inna klęska, w zupełnie nowym świetle. Po pierwszej wojnie światowej była hiszpańska grypa. To natomiast było naszą własną, o wiele bardziej przerażającą jej wersją. Mełła na proch najbardziej produktywnych ludzi i obciążała starych ludzi wychowaniem osieroconych wnuków. Atakowała samo serce społeczeństwa i aż do pęknięcia rozciągała mocno napięte więzy rodzinne. Sprawiała, że miasta drżały od zduszonego w zarodku rozwoju, a wsie szłochały nad niewykorzystanymi możliwościami. Sprawiała, że miasta drżały z bólu, a wsie kurczyły się od fetoru zielonoczarnej biegunki.

Na początku ofiarami Szczupłego byli obcy, ale w końcu dotarł także do naszych domów i z apokaliptyczną gwałtownością uderzył w gospodarstwo wujka Kawayidy, przynosząc ze sobą serię katastrof. Wszyscy byliśmy oszołomieni i zdumieni, a najbardziej ja. Zawsze podziwiałem tego człowieka za jego zdolność do przemieniania najbanalniejszych

rzeczy we wspaniałe historie.

Najdziwniejsze było to, że wystawianie go na próbę zdawało się mieć coś wspólnego z wyjazdem i powrotem Azjatów: gdy wyjechali, stał się bogaty, kiedy zaczęli wracać, zaczął podupadać.

Wujek Kawayida był pierwszym z potomków Dziadka, który miał samochód. Zawsze miał żyłkę do interesów. Jako mały chłopak sprzedawał w szkole banany, trzcinę cukrową, naleśniki i gotowane jajka. Kiedy w szkole był jakiś szczególny dzień, odbywał się mecz piłkarski czy zawody atletyczne, przynosił sprzęt do gotowania i pomagał matce w przyrządzaniu posiłków i ich sprzedaży. Koledzy z klasy wyśmiewali go i mówili, że czuć od niego olejem do smażenia, ale on śmiał się ostatni: miał kieszonkowe.

Kiedy Amin doszedł do władzy, Kawayida uświadomił sobie, że czasy się zmieniają. Sprzedał swój motor - orła z niebieskim brzuchem - pożyczył pieniądze od przyjaciela i kupił kawałek ziemi w Masace. Kiedy azjatycki exodus stał się rzeczywistością, zaczął rozglądać się w mieście, szukając jak najlepszych możliwości dla siebie.

Potrafił ciężko pracować, jeśli tylko robił coś, do czego miał serce. Poszukiwał dochodowego handlu, do którego niezbędny był pewien wkład, lokalny rynek i szybki obrót. Obejrzał azjatyckie sklepy i parę afrykańskich i doszedł do wniosku, że nie ma ochoty siedzieć przez cały dzień zamknięty w dusznej klitce, zajmować się sprzedażą i martwić o miesięczne dochody. Poza tym brakowało mu kupieckiej zręczności i kredytu, dzięki któremu byłby w stanie utrzymać zapas sklepowy na odpowiednim poziomie i konkurować z innymi.

Spisując liczniki, dobrze poznał okolicę. Podobały mu się bagniste osady koło Rakai, szczególnie miasteczko Kyotera, które uważał za ulepszoną wersję swojej rodzinnej wsi. Czasem podczas weekendu jeździł z przyjaciółmi do Kyotery, żeby się czegoś napić i poprzyglądać kierowcom ciężarówek, zatrzymującym się tam w drodze do Tanzanii, Ruandy i Zambii. Czasem jechali do Kenii, przez Masakę, Kampalę, Jinja, Tororo, Mala - bę i Mombasę na wybrzeżu Oceanu Indyjskiego. Z reguły kierowcami ciężarówek byli Somalijczycy lub Etiopczycy, chudzi, twardzi mężczyźni, którzy przypominali podróżujące tam i sam mrówki safari. Nocowali w Kyoterze, gotowali sobie jedzenie, myli się i naprawiali swoje pojazdy, zanim udali się w dalszą długą drogę. Towary, zarówno legalne jak i nielegalne, za granicą zmieniały właściciela, Ugandyjczycy sprzedawali je Tanzańczykom i vice versa.

Dzięki trasie przelotowej wujek Kawayida miał wrażenie, że na odizolowanych mokradłach Kyotery ma kontakt z wielkim światem. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych wiele razy myślał o tym, żeby się tam osiedlić i zająć handlem granicznym.

Była szansa na złoto albo diamenty z Zairu. Można było handlować rybą lub ubraniami, butami albo kosztownościami. Ale w tamtych czasach nie miał jeszcze odwagi otworzyć własnej firmy.

Pewnego późnego popołudnia, kiedy był w drodze do domu, usłyszał, jak na ogrodzonym podwórku gulgoczą i wytrzępują swe pióra indyki. Już od jakiegoś czasu myślał o farmie drobiu. Zanim zaczął zajmować się brojlerami, spróbował szczęścia z indykami. Indyki były najcięższymi i najgłupszymi oswojonymi ptakami, jakie znał. Wypuszczone na podwórze, składały jajka w najbardziej niemożliwych miejscach: pod płotem albo w bardzo niskiej trawie, gdzie nie zostawiłaby ich żadna kura. Zupełnie nie umiały chronić swoich jaj ani piskląt. Chcąc na nich zarobić, trzeba je było zamykać w kurniku i samemu troszczyć się o jaja i młode.

Kiedy Azjaci wyjeżdżali, wujek Kawayida kupił samochód dostawczy z platformą, który zrozpaczony właściciel chciał puścić z dymem. Przyjaciele Kawayidy wyśmiali go, mówiąc, że na platformie zmieszczą się zaledwie dwa indyki. Pozwolił im się śmiać. Oddał swój grunt pod zastaw, pożyczył pieniądze i wynajął szopę, którą załadował paszą, a potem udał się na poszukiwanie indyków.

Pochłonęło to prawie wszystkie jego pieniądze, ale miał jeszcze akurat dosyć rezerw, żeby utrzymać ptaki przynajmniej przez rok przy życiu. Zainstalował korytka i lampy, by indyki jadły dzień i noc. Kiedy był w biurze, opiekę nad ptakami przejmowała jego żona. Gdy wracał z pracy, czyścił korytka, przerzucał trociny, żeby odchody spadły na dno, karmił swoje stadko i z dumą mu się przyglądał.

Kiedy euforia po wyjeździe Azjatów nieco opadła i zaczęto walczyć o sklepy, sprzedawał indyki hotelom w mieście. W chwili, gdy większość handlarzy dopiero zaczynała, on eksperymentował już z preparatami powodującymi szybszy przyrost wagi. Wkrótce przybyła pierwsza partia brojlerów.

Sceptycy ostrzegali go, że pisklęta brojlerów często zdychają i że trudno się je sprzedaje. Ale Kawayida wiedział, że pisklęta zdychały, ponieważ nie troszczono się o nie odpowiednio i nie szczepiono ich na czas. Kiedy się pojawiły, wziął urlop i dzień i noc pilnował pierzastych stworzonek. Kilka z nich zdechło z powodu zaparcia, ale była to tak mała liczba, że w ogóle niewarta wzmianki. Oddzielał słabsze sztuki od silnych i wszystkich słabeuszy karmił z ręki. Po kropelce wlewał im wodę do dzióbków, wsadzał im dzióbki do jedzenia i cierpliwie czekał, aż przełkną. Chłopak pachnący olejem do smażenia stał się mężczyzną, który pachniał pisklętami. Tak długo siedział, przyglądając się im, że niemal mógł widzieć, jak rosną. Lubił patrzeć, jak piórka wystrzeliwały im na skrzydełkach niczym

chwasty, jak ich nóżki stawały się coraz silniejsze i jak jadły coraz więcej. Kiedy zaczął sprzedaż, miał dziewięćdziesiąt pięć ze stu kurczaków, w przeciwieństwie do tego, co mu przepowiadano.

Od tej pory dobrze mu się wiodło. Powiększył swoją indyczo - - kurzą farmę. Ściany szopy drżały od wrzasku sfrustrowanych indyków, nie mogących wydostać się z kurnika, żeby napastować przechodzących ludzi. Z klatek dobywał się nieznośny smród kurzego łajna, a w godzinach karmienia belki i płyty z blachy falistej rozbrzmiewały gdakaniem kurczaków rywalizujących o jedzenie. Wbrew ogólnym oczekiwaniom popyt na kurczaki i indyki stawał się coraz większy, ponieważ niewielu ludzi miało odwagę inwestować w kurzy interes.

Po czterech latach, kiedy wielu sklepikarzy czepiało się na wpół pustych półek, bo nie nadążali za zmiennościami handlu detalicznego, Kawayida zwolnił się z pracy i jeszcze bardziej powiększył farmę. W tym samym czasie stacjonujący w pobliskich koszarach żołnierze zaczęli jeść coraz więcej pieczonych kurczaków. Kawayida nawiązał kontakt z głównym furazerem koszar, który poprosił go o podniesienie wartości bonów konsumpcyjnych, aby oficerowie mieli podwójną przyjemność: wsadzając różnicę do kieszeni i pałaszując kurczaki dobrej jakości. Kupił nowy samochód dostawczy i zatrudnił kierowcę do przywożenia karmy oraz rozwożenia do nabywców klatek pełnych drobiu. Sam jeździł swoim starym autem, szukając nowych klientów.

Kiedy był u szczytu pomyślności, jego żona skorzystała z szansy dania Klódce nauzki i podczas wizyty ciotki Tiidy powiedziała:

— Szkoda, że żona Serenity nie szyje sukienek z pierza. Mogłaby dostawać je od nas za darmo.

Wujek Kawayida, znający humory żony, zaprotestował, ale ona odparła:

— Zostaw mnie, mężu. Ciężko pracująca kobieta zasługuje na to, żeby od czasu do czasu pożartować.

Ciotka Tiida, pławiąca się w blasku swojego nowego peugeota, zaśmiała się. Nigdy nie przepadała za Klódką, denerwowali ją zarozumiali ludzie niskiego pochodzenia.

Przy innej okazji żona Kawayidy powiedziała, że Mbale mógłby robić cegły z kurzego gówna, a wujek Kawayida zaśmiał się cicho. Ostatecznie była Kavule, a kobiety z tego rodu nigdy nie owijały w bawełnę.

Wyprawy po zapasy oraz z drobiem na sprzedaż obudziły w wujku Kawayidzie silną potrzebę powielania się i rozmnażania. Jako jedynak czuł się zagrożony wymarciem. Jakby naśladował swego zmarłego teścia, gorączkowo uganiał się za ładnymi kobietami w mieście. Zawsze wstydził się koźlich zębów swojej matki i kombinacja prostych zębów z ładną buzią

rozpalała w nim namiętności. Chciał się powieleć z pomocą najpiękniejszych kobiet, jakby zamierzał zetrzeć z powierzchni ziemi wszystkie koźle zęby. Pierwszą rzeczą, na jaką zwracał uwagę, kiedy spotykał kobietę, były jej usta. Na początku latał za wszystkimi kobietami z prostym uzębieniem, jakby były boginiami.

Kiedy po raz pierwszy ujrzał swoją żonę, ogarnął go strach: taka ładna kobieta, mająca takie przystojne siostry, na pewno nie zechce się z nim ożenić, ponieważ jego matka ma zęby jak kozioł. Był zdziwiony, że nie robiła z tego najmniejszego problemu. Kiedy się kłócili, spodziewał się zawsze, że zacznie o tym mówić, ale nigdy tego nie zrobiła. To był jedyny temat, którego nigdy nie poruszała. Co za ulga! Wiele jej za to przebaczał. W ciągu lat pokonał swój strach i zaczął zwracać uwagę na inne atrakcyjne kobiety. Wysyłał do nich chłopców na posyłki z prezentami i zapraszał je na mecze piłkarskie. Rozpieszczał je i miał nadzieję, że będzie mógł im spłodzić duże, zdrowe dzieci. Jego stary samochód dostawczy widywano teraz w bardzo wielu miejscach. Kobiety nie wstydziły się, że je w nim widziano, bo wiedziały, że wujek wyśmiewa ostentacyjne wydawanie pieniędzy. Nigdy też nie krytkowały dzinsów, bawełnianych koszul ani tenisówek, które nosił.

Jego kumple, towarzyszący mu zawsze podczas meczów piłkarskich, występowali dla niego czasem w roli łowców. Lubił zapraszać ich po meczu do domu, żeby się czegoś napili i opowiedzieli parę historii. Każdy mógł opowiadać to, co chciał. Po pewnym czasie wywiązało się współzawodnictwo, ponieważ każdy chciał być najlepszym narratorem. Materiał tych opowieści pochodził z życia codziennego, ale czasem ubarwiano go w celu utrzymania napięcia. Żona wujka Kawayidy nie znosiła jego kolegów, bo polowali dla niego na kobiety i robili w domu mnóstwo hałasu. Ponieważ jednak nauczyła się od matki, że mężczyzny nigdy nie wolno poniżać w jego własnym domu, uważała, że nie może mu zabronić zapraszania przyjaciół. Zamiast tego prowadziła kampanię partyzancką, przygotowując prawie niejadalne posiłki z pachnących jeszcze piórami i przypalonych kurczaków oraz zbyt słone zupy, od których wszyscy dostawali biegunki. Ale mężczyźni nadal przychodzili, ponieważ gospodarz tego chciał, a dobrze jadali w domu. Znali swoją rolę: mieli dawać mojemu wujkowi poczucie, że jest człowiekiem sukcesu, bo prawdziwy sukces mierzyło się towarzystwem i hojnością.

Natomiast wujkowe tempo reprodukcji pozostawiało wiele do życzenia. Niektórzy twierdzili, że jego żona rzuciła na niego urok. Nie brali jednak pod uwagę, że może miał do czynienia z uświadomionymi kobietami, które znały tajemnicę picia farbki, zażywania dużych ilości aspiryny czy obrabiania kanału rodnego rowerowymi szprychami. Możliwe też, że były ekspertami w podwiązywaniu szyjki macicy, łykały pigułki lub piły tradycyjne zioła

się, że prawdopodobnie zawiniła tu dieta. Zaczęła jeść, żeby uczynić swoje ciało podatniejszym dla męskich niemowląt. Kiedy szła do łóżka, myślała o jedzeniu, i kiedy wstawała, myślała o jedzeniu. W rezultacie roztyła się, jej ciało spęczniało jak indyki, które hodowali. Jej głowa wydawała się coraz mniejsza, a nogom coraz ciężiej było nosić nowy ciężar. Zaczęła sapać i mocno się pocić podczas wszystkich czynności, zwłaszcza podczas prób zrobienia chłopczyka. Zatrudniła gospodynię i stała się jeszcze grubsza, bo miała mniej do roboty, a nadal jadła tyle samo. Ludzie myśleli początkowo, że powodem jej otyłości był dobrobyt, ale wkrótce uświadomili sobie, że to choroba.

Poprosiła męża, żeby zbudował domek jednorodzinny. Mógł w nim dobrze ulokować swoje pieniądze. Krążyły pogłoski, że niezadowoleni żołnierze Amina odgrażają się, że pozbawią go życia, zanim skończy budowę domu. Po pewnym czasie pogłoski okazały się tylko pogłoskami. Wujek starał się, żeby oficerowie byli zadowoleni, a oni z kolei trzymali z dala od niego swoich ludzi.

Ale kiedy wprowadzili się do nowego domu, lekarze powiedzieli żonie Kawayidy, że jest za gruba, żeby zająć w ciążę. Uciekała z domu i dużo czasu spędzała przy indykach, które ze swoimi cienkimi nogami i grubymi ciałami przynosiły jej pocieszenie. Jej sypialnia nie pachniała już napojami miłosnymi ani korzeniem mandragory, tłącym się w glinianych skorupach. Jej sufit nie skrywał już czarodziejskich środków ze sproszkowanych kości lwa w paczuszkach z łyka. Wszystko to wypróbowała i nic nie zadziało. Dym palących się piór i lotek orła przyprawiał ją jedynie o potworny ból głowy. Spaliła swoje włosy łonowe na dnie rozbitej glinianej misy, której używała do sporządzania naparu z ziół, starła je i wymieszała z rosołem z kury, ale też nie pomogło. Przepędzała przez podpaskę pomarańczowy sok dla wujka, lecz nadaremnie. Zanim wprowadziła się do nowego domu, doszła do wniosku, że jej przekleństwo jest dziedziczne - jej zmarły ojciec spłodził trzydzieści córek - i że lepiej będzie, jeśli tak już zostanie.

Potem ogarnął ją nowy strach: choroba serca występująca w rodzinie matki. Mniej więcej w tym czasie Naaka urodziła wujkowi Kawayidzie pierwszego syna. Wyprowadziła się, ponieważ gruba siostra nie dawała jej spokoju, i z zemsty zakochała się w wujku. Musiała mu przysiąc, że dotrzyma tajemnicy, ponieważ bał się, że żona naprawdę dostanie ataku serca, kiedy dowie się, że urodził mu się syn.

Tymczasem Naaki, która wraz z rodziną Kawayidy przeprowadziła się do nowego domu, oczarowały opowiadania wujka oraz jego swobodny sposób bycia i hojność. Wodziła za nim oczami po całym domu. Czyściła jego buty i wachała jego skarpetki. Prasowała jego ubrania i ścieliła łóżko. Przyrządzała mu przekąski. Stale kręciła się koło niego. Jej oczy

zachodziły mgłą, gdy wchodził do pokoju. Dość długo opierał się jej urokowi, a nawet próbował ją skojarzyć z jednym ze swych kumpli. Naaki była jednak wytrwała. Była zdecydowana obdarzyć go najpiękniejszym prezentem: swoją miłością i obietnicą urodzenia syna. Wujek poddał się w końcu. Zrobili to przy indykach, kiedy dawał im ostatni posiłek, a ona wymknęła się z domu. Wystraszone, nienawidzące kobiet indory drapały trociny, potrzepywały piórami i gulgotały, widząc obcą kobietę na swoim terytorium i czując jej zapach. Wujek i Naaki uprawiali też miłość w kurniku, ale brojlery zbyt były zajęte jedzeniem i piciem, by się nimi przejmować. Kiedy żona wujka wysyłała siostrę, żeby coś załatwiła, robili to w starym samochodzie dostawczym lub w domu nieżonatego przyjaciela. Obawiając się plotek, nigdy nie szli do hotelu, robili to jednak w przebieralniach za stadionem, gdzie Kawayida, który był donatorem, mógł swobodnie wchodzić. Wujek przestał podrywać inne kobiety. Był szczęśliwy z trzema siostrami. Odpowiadała mu sekretność i konieczność stosowania przy tym podstępów. Sprawiało mu to przyjemność. Sprawiało mu przyjemność zakładanie przy żonie jednej czapeczki, a przy jej siostrach drugiej. W jednej chwili martwił się szmerami w sercu żony, w drugiej bawił się, śmiał i czubił z Naaki albo Naaka i jej pierwszym synem. Długo uważał siebie samego za najszczęśliwszego mężczyznę na ziemi.

Wkrótce Naaki również zaczęła rano źle się czuć i żuć glinę, a potem pokłóciła się z siostrą i wyprowadziła z domu. Żonie wujka było już wszystko jedno. Cieszyła się, że jej niebezpiecznie ładna siostra się wyniosła. Przeżywała przez nią straszne rozterki, patrząc w lustro. Jaką ulgę poczuła, gdy to dziewczyszko poszło precz!

W 1979 roku przyszli Tanzańczycy: zbombardowali Masakę, zrównując ją niemal z ziemią, mszcząc się za ataki Amina na ich terytorium. Wujek obawiał się o rodzinę, a jako partner handlowy żołnierzy Amina martwił się o własną reputację. Ale tyle się wtedy działo, że nikt nie miał głowy do wyciągania takich spraw. Zostawiono go w spokoju.

Na początku lat osiemdziesiątych w Trójkącie Luwero wybuchła wojna partyzancka. Przez cały ten czas wujek Kawayida korzystał z tego, co było najlepsze w jego trzech światach: w świecie żony, Naaka i Naaki. Nie miał na co narzekać. Jego handel szedł dobrze, żona zaakceptowała samą siebie, a on spłodził dzieci z dwoma młodymi kobietami.

W 1985 roku partyzanci dotarli do miasteczka. Panował tam pokój i było bezpiecznie. Podobnie jak żołnierze Obote II, którym wujek również sprzedawał drób, nigdy mu nie dokuczali. Już od dawna nie jeździł do Kyotery, która znajdowała się teraz w uścisku straszliwego koszmaru. Ludzie umierali tam na tajemniczą chorobę, zwaną *muteego*, nieuleczalną złośliwą epidemię, która potrafiła uśmiercać całe rodziny. Cieszył się, że nie

zajmował się przemytem i że nie było żadnego powodu, dla którego Tanzańczycy mieliby go przekląć, zsyłając na niego *muteego*. *Muteego* było karą dla chciwych oszustów. Przemysł zawsze był bardzo ryzykowny i niebezpieczny, ponieważ związany był z bandytyzmem. Wielu przemytników oszukiwało albo mordowało swoich przeciwników. Ale on miał czyste sumienie.

Kiedy pierwsza grupa ludzi trawionych diabelskimi atakami gorączki i dręczonych zieloną biegunką oraz piekielną wysypką zmarła na *muteego*, wielu im nie współczuło. Mają to, na co zasłużyli, myśleli. Kawayida został zaproszony przez przyjaciół z Kyotery na pogrzeb ludzi, których znał. Liczba ofiar nadal rosła. Kiedy partyzanci doszli do władzy, *muteego* powaliło już prawie wszystkich ludzi z bagnistego terenu nad brzegiem Jeziora Wiktorii: mężczyzn, kobiety, dzieci i niemowlęta.

— Cokolwiek ci mężczyźni zrobili, kara jest zbyt straszna - stwierdzili przyjaciele Kawayidy, przeglądając listę zmarłych. - Trzeba coś z tym zrobić.

— Rząd powinien zaatakować Tanzanię, żeby złapać tych roznosicieli *muteego*.

Wkrótce po dojściu partyzantów do władzy rozpoczęła się kampania przeciwko *muteego*. To nie były czary; była to nowa choroba przenoszona przez kontakt płciowy i rozprzestrzeniająca się po całym świecie.

„Bezpieczny seks” - radziło radio.

„Żadnych skoków na bok - powtarzał spiker. - Unikajcie przypadkowych stosunków seksualnych”.

Ale dla miasteczka, w którym wujek Kawayida czuł się tak bezpiecznie, było już za późno. Codziennie umierali ludzie i pogrzeby odprawiano bardzo szybko. Minęły czasy dawnych mów pochwalnych. Rosła liczba osieroconych dzieci. Rodziców, którzy pochowali synów i córki, czekała ponura starość.

Nikt nie był bardziej zaniepokojony niż wujek Kawayida. Stopniowy powrót Azjatów uszedł jego uwagi. Widział ich stojących w grupkach i patrzących na stare budynki. Spotykał ich w westybulu hotelu, w którym sprzedawał kurczaki i indyki, ale nie wywoływali w nim żadnych wspomnień. Równie dobrze mogli to być zmarli z okręgu Rakai, zreinkarnowani jako Azjaci. Sklepikarze, prowadzący interesy na terytorium Azji, mówili o swoim zmartwieniu i konsternacji wobec wzrastających cen najmu, ale do niego to nie docierało. Jego świat stanął na głowie. Przypominał mu się wypadek na motorze, który miał dziesięć lat temu, kiedy spisywał jeszcze liczniki. W jednej chwili jechał osiemdziesiątką i było wspaniale; w następnej toczył się po trawie. W tej chwili również się toczył, jednak tym razem odbywało się to w zwolnionym tempie, był świadomy każdego obrotu, ale nie mógł się

zatrzymać.

Wszystko zaczęło się od trzeciego dziecka Naaki. Urodziło się zbyt wcześnie, było bardzo słabe i zmarło z odwodnienia.

Kiedy je chowano, wyglądało jak świeżo urodzony króliczek w niebieskiej błonie, mającej uchodzić za skórę. Wujek jeszcze nigdy nie widział czegoś równie wstrętnego. Potem skóra Naaki, która miała dwadzieścia dwa lata i którą tak mocno kochał, jak mocno nienawidził koźlich zębów matki, zaczęła ciemnieć, a na jej ciele pojawiły się czarne plamy. Najpierw wystąpiły na udach i okropnie swędziały, potem rozprzestrzeniły się na nogi, piersi i plecy, i wreszcie zajęły ramiona. Naaki zaczęła nosić koszule z długimi rękawami i długie spodnie, drapała się i smarowała maścią. Każda zmiana, jaka w niej zachodziła, przerażała wujka. Jego uczucia do drugiej osoby jeszcze nigdy nie były wystawione na taką próbę. Wydawało się, że choroba unicestwi całe szczęście, jakie do tej pory dzielili, i zatruje miłość żalem i strachem. Patrzył, jak Naaki zamyka się w sobie, uwięziona przez własny lęk. Dręczyły go wspomnienia ich zabaw w chowanego w szopie, przy rozwścieczonych indykach i dziobiących ziarno kurczakach. Naaki piła wszystkie czarodziejskie napoje, jakie przepisywali jej znachorzy, ale nic to nie pomogło. Coraz bardziej niknęła w oczach. Sześć miesięcy później wyszła na dobre i umarła.

Szwagrowie wujka uważali, że śmierć ich siostry to wina Kawayidy. Byli przekonani, że jego interesy z tanzańskimi klientami nie były czyste i że sprzedał im zepsute indyki, a zysk przekazał ich siostrze. Rozpuszczali też plotki, że wujek Kawayida tak naprawdę zbił majątek na towarze przemytniczym.

— Na drobiu nie można tyle zarobić - mówili. - Pewnie szmuglował złoto.

Zabronili mu uczestniczenia w pogrzebie, a jeden z nich obrzucił go zgniłymi owocami papai i przeklął.

Ale nieszczęście, jakie spotkało rodzinę świętej pamięci starego Kavule, było znacznie większe, niż wujek mógłby przypuszczać. W ciągu jednego roku na Szczupłego zmarło dwanaście z jego dwudziestu jeden niezamężnych córek i zastanawiano się, ile z nich mogło być jeszcze zarażonych. Czterech z dziesięciu synów podążyło za siostrami do grobu.

Wujek był załamany. Na niego zwrócone były światła reflektorów: kiedy spotka to również jego? Kto zatroszczy się o jego dzieci? Po męsku znosił wystawianie go na te wszystkie próby i jak zwykle zajmował się interesami, ale był chudszy niż kiedykolwiek. Demon zmartwienia terroryzował jego dom z demonicznym oddaniem. Żona nie mogła tego znieść. Naaka jeszcze żyła, ale czy będzie trzynastą kobietąofiara z tej samej rodziny? Żona Kawayidy była przekonana, że i ona jest zarażona. To wszystko było takie niesprawiedliwe!

Im chudszy stawał się wujek, tym bardziej i ona chudła. Ludzie twierdzili, że teraz na nią kolej. Wieczorami, kiedy robiło się ciemno, górę brały demony i ostrzyły jej język ogniem morderczej swarliwo - ści. Kawayida nie miał spokoju: śmierć patrzyła mu w oczy, kiedy nie spał; gdy spał, nawiedzały go duchy zmarłych i prawie zmarłych.

— Pomyślałeś o naszych dzieciach?! - darła się żona.

Wyzywała go od morderców, złodziei i utrapieńców. Nie bronił się. Wciąż widział twarz Naaki i cień Naaka na ścianie. Na zmianę ogarniały go wspomnienia szczęścia, którego zaznał, i zmartwienie, które teraz stało się jego udziałem. Nie miał współczucia dla samego siebie. Wiedział, że albo jest niewinny, albo musi odpokutować za swoje grzechy.

Naaka gryzły troski i również zaczęła chudnąć. Kiedy spoglądała na dzieci zmarłej siostry i na swoje własne, czuła się zawieszona pomiędzy życiem a śmiercią. Miała zbyt dużo respektu wobec wujka, aby obarczać go winą za nieszczęście, które dotknęło tyle rodzin w całym kraju, ale jej spokojne, wpatrzone w niego oczy rozdzierały Kawayidzie serce. Bał się do niej chodzić, bo razem wyglądali jak dwa szkielety powstałe z grobu w komicznych, o wiele za dużych ubraniach. Szukał schronienia w swoim kurniku i zajmował się piskletami jak chorymi niemowlętami. Żona podjudzała jego dzieci przeciw niemu. Dawał im pieniądze, lecz nie mógł kupić ich lojalności ani miłości.

Mijały lata. Jego żona odzyskała swoją dawną urodę, choć w nieco chudszej wersji. Zaczęłam myśleć, że wujek jest nadzwyczajnym szczęściarzem. Nękały go troski, nie choroba. I Naaka też jeszcze żyła! Ale wkrótce zacząłem sobie uświadamiać, że zamartwianie się jest równie okropne jak sama choroba. Nawet prawdziwi chorzy żyli dłużej, jeżeli nie dopuszczali do siebie demonów strachu. Ale dlaczego Naaka przeżyła, a Naaki zmarła? Dlaczego wujek jeszcze żyje? Czy był w to zamieszany inny mężczyzna? A może niektórzy ludzie byli szczególnie odporni? Miałem nadzieję, że ja sam, ciotka Lwan - deka, Lwendo i wszyscy inni, których znałem, również posiadamy odporność, która pozwala na przeżycie plagi.

Tymczasem interesy wujka straciły rozmach. Żołnierze nie brali już od niego drobiu, ponieważ sami założyli farmę drobiu. Przeszawił się więc na cywilną ludność i zachęcał do kupowania i jedzenia kurczaków, mówiąc, że dzięki nim przeżył chorobę. Niektórzy wierzyli mu, innych skusił niżkami. Gotowano jego kurczaki w wielkich kotłach, wylizywano rosół do ostatniej kropli i wysysano ostatnią kość, i ludzie czuli się lepiej. Nowy rynek stał przed wujem Kawayidą otworem. Wszyscy byli przekonani, że jego rodzinę uratował rosół z kurczaka, i wierzyli, że oni również zostaną uratowani. Kawayida słał się z przeproszenia, a jego płuca zatykały trociny z kłatek. Pracował ciężiej niż kiedykolwiek.

Jego ambicją było uratowanie całego okręgu Rakai, i Kyotery, i Masaki, całego kraju. Zbudował nową szopę dla swojego drobiu. Pracował tak ciężko, że nawet nie miał czasu na założenie czystego kombinezonu. Lekarz ostrzegał go, że zapracuje się na śmierć.

— Dobry żołnierz ginie na polu walki - odpowiadał z uśmiechem.

Pewnego popołudnia padł z wyczerpania w jednym z boksów. Kurczaki tłoczyły się wokół niego, bo ich korytka były prawie puste, i raniły sobie dzioby o drewniane dno. Drapały i dziobały swego mistrza, on jednak nadal leżał nieruchomo. Wydziobały mu oczy i poparzyły jego skórę swoimi palącymi odchodami, ale niczego nie osiągnęły. Żona nie od razu za nim zatęskniła. Myślała, że jest u Naaka i opiekuje się swoimi dziećmi. Parę godzin później znalazła go w kurniku, na wpół zagrzebanego pod kurzymi odchodami. Ptaki prawie oszalały od jej lamentu. Została wdową bez syna.

Ogromnie mi go brakowało. W jego najgorszym okresie odwiedziłem go kilka razy. Byłem pod wrażeniem jego odwagi i wytrzymałości.

— Humor jest twoim najlepszym przyjacielem. Śpi z tobą i wstaje z tobą - oświadczył, kiedy mu powiedziałem, że zdumiewa mnie jego zdolność zrzucania z siebie wszystkich trosk.

— Dlaczego się nie bronicie? - zapytałem. - Dlaczego pozwalacie się tak traktować rodzinie żony?

— Stracili siostrę. Mają prawo się złościć.

— Może miała innego mężczyznę - zasugerowałem.

— Nie mówi się źle o zmarłych - skarcił mnie. - Bardzo ją kochałem i bardzo kocham jej siostry. Jestem jednym z wybranych, bo znalazłem prawdziwą miłość u trzech różnych kobiet. Świetnie się bawiłem. Życie wraca do równowagi, chłopcze.

— Wy to wiecie - mruknąłem z niechęcią.

— Chłopcze, powinieneś robić w życiu to, na co masz ochotę - powiedział, kładąc mi rękę na ramieniu. - Ale jeśli to się skończy, musisz się z tym pogodzić. I nigdy nie wolno ci narzekać na cenę, jaką przyszło ci zapłacić.

Czekali na niego klienci, więc kazał mi iść. To był ostatni raz, kiedy go widziałem. Dziewięć miesięcy później nie żył.

Rosół z kurczaka zdecydowanie nie był remedium na plagę wirusa. Dowód na to pojawił się w najstraszniejszej formie, o wiele gorszej niż cierpienia wujka. Najpierw jednak nastąpiły jeszcze szczęśliwe czasy.

Lwendo zrobił w końcu to, co sobie obiecywał: wystąpił z wojska. Przekupił wojskowego lekarza, który napisał, że z powodów zdrowotnych powinien zostać zwolniony.

Uczciliśmy to libacyjką. Przez miesiąc włóczyliśmy się po mieście, rozkoszując się wolnością. Spotykaliśmy się w południe, szliśmy do jednej z naszych ulubionych restauracji przy Kampala Road, jedliśmy, piliśmy i obserwowaliśmy miejskie życie.

— Kupię sobie zakład stolarski i zatrudnię menedżera do prowadzenia go, wtedy nie będę tam stale musiał siedzieć - powiedział. - Muszę jakoś wydusić trochę grosza od tych powracających Azjatów. Czuję potrzebę zajęcia się czymś, do czego będę mógł wykorzystać swoją głowę.

— Czym?

— No cóż, powracający ludzie często nie mają odpowiednich papierów, żeby domagać się zwrotu swojej własności. W urzędach panuje chaos. Poza tym wielu Azjatów nie ma odwagi się tam udać. Boją się, że zostaną napadnięci, obrabowani albo oszukani, i właśnie to chciałbym wykorzystać. Potrzebują pośrednika, człowieka, który sporządzi im dokumenty. Ja będę tym człowiekiem.

— Brzmi to tak, jakby to była cięższa praca niż przy Odbudowie.

— Sam mogę wyszukiwać sobie klientów - powiedział zarozumiale.

— A potem?

— Rozejrzyj się, człowieku. Widziałeś te setki pojazdów organizacji humanitarnych? Są jak rekiny zwabione zapachem krwi. Do kraju przyjeżdżają niezliczone rzesze ludzi, którzy nie wiedzą, jak dostać pozwolenia. Mogę im to załatwić, przynajmniej jeśli zechcą za to zapłacić.

Kiedy się nad tym zastanowiłem, uznałem, że pomysł Lwendo jest rewelacyjny. Ponieważ teraz był pokój, do kraju istotnie przyjeżdżali liczni obcokrajowcy: w czasach Amina prawie nigdy nie widać było na ulicach białych twarzy. Podczas reżimu Obote II biali zaczęli się pojawiać tu i tam. Teraz niemal nas zalewali: turyści z plecakami, białe kobiety w spódnickach mini, mężczyźni w krótkich spodenkach i wysokich butach, całe wycieczki w autobusach, Japończycy w trzyczęściowych garniturach. W mieście roiło się od charyzmatycznych amerykańskich kaznodziei, przemawiających do egzaltowanego, zawczasu zaprogramowanego tłumu. Ożywiali swój show spektakularnymi cudami, podczas których kulawi łamali na pół swe kule, ślepcy deptali swe okulary, a głusi - którzy nie mieli czego zniszczyć - rzucali się i wrzeszczeli jak obłąkani z mrówkami w dupie. Niektórzy kaznodzieje obiecywali unicestwić plagę wirusa Jezusową mocą, inni obiecywali, że uwolnią świat od wszelkich dolegliwości. Po raz pierwszy organizowano wieczorne nabożeństwa, na których spotykali się zielonoświątkowcy i baptyści, modląc się i śpiewając przez całą noc pod czujnym okiem kamer wideo. Tradycyjne wyznania musiały teraz współzawodniczyć ze

świeckimi księżmi w eleganckich garniturach, którzy na pokaz skakali, tańczyli i tarzali się po ziemi. Rozpoczęła się era teleewangelizmu i starzy księża, sztywni jak artretycy, niepokoiли się, bo spadło to na nich jak grom z jasnego nieba.

Łowcy przygód, poszukiwacze złota, miedzi, diamentów, czerwonej rtęci (pochodzącej z wież meteorologicznych), skór zwierzęcych, rogów nosorożca, papug z wyspy Sese, handlarze tandetą i ludzie zajmujący się dumpingiem trujących materiałów, fałszerze paszportów i dolarów, wszyscy pod tym czy innym przebraniem przyjeżdżali do kraju. Afrykę reprezentowali ogniści Senegalczycy ubrani w *boubou* ze złotą nitką i szerokie spodnie, z ogromnymi zegarkami na rękach. Kupowali legalne nielegalne towary i wymieniali prawdziwe i fałszywe dolary.

Lwendo miał rację: można było zarobić masę pieniędzy.

Nie zamierzałem brać udziału w realizacji jego nowych planów. Wiedziałem, że oznaczałoby to jedną wielką tułaczkę.

Wiedziałem też, że w większości biur i urzędów panował galimatias. Archiwa były w straszliwym stanie. Dokumenty już od lat leżały w stosach, jak liście tabaki na targu. Każda osoba, która miała w nich coś znaleźć, żądała wynagrodzenia za swój trud. Tak był zbudowany system. Wydawało się to zresztą zupełnie logiczne, jeśli się wzięło pod uwagę skandalicznie niskie zarobki urzędników, a każdy przecież wiedział, że Azjaci wrócili, żeby się wzbogacić. Jeżeli nie chciałeś zapłacić, jak niektórzy Azjaci na początku, mogłeś tygodniami siedzieć w hotelu i nic się nie działo. Ale jeśli zapłaciłeś, a poza tym tego czy tamtego zaprosiłeś na obiad, zakurzone teczki archiwalne i luźne kartki były od siebie odklejane po raz pierwszy od piętnastu lat dostawałeś to, co chciałeś.

Lwendo karmił mnie historiami o swoich przygodach z azjatyckimi repatriantami, którym często towarzyszył podczas inspekcji posiadłości. Niektórzy z nich wybuchali płaczem. Inni byli rozgniewani, ponieważ ich domy zaczęły podupadać. Większość jednak była zadowolona, bo wiedziała już, jak zabrać się do pracy - wypraktykowali to ci, co przybyli wcześniej, i nadal było aktualne: renowacja, podwyższenie czynszu i eksmisja. Miasto powoli myło swą twarz. Stare, zardzewiałe dachy pokryto lśniąca warstwą nowej farby. Stare meliny nabrały wyglądu wypieszczonych szkatuł, pulsujących nowym, zamożnym życiem. Wszystko, co przyszło śladami bandytów, odeszło tą samą drogą.

Tymczasem brygadier - w rzeczywistości był w nowym wojsku majorem, ale przyjaciele wciąż jeszcze używali starego tytułu - oficjalnie poprosił ciotkę Lwandeke o rękę. Pewnego wieczoru zapytała mnie, czy uważam, że powinna przyjąć jego oświadczyzny. Sądziła, że co jej odpowiem? Powiedziałem, że powinna to zrobić, jeśli uważa, że będzie

szczęśliwa.

— Już się zgodziłam - rzekła rozpromieniona.

Przez całe tygodnie nasze życie było postawione na głowie. Poświęciliśmy cały nasz czas i energię zbliżającemu się weselu. Byłem wyczerpany wyjazdami na zakupy po tysiące rzeczy, powiadamianiem członków rodziny i znajomych i załatwianiem przeróżnych spraw.

Gotowaniem, sprzątaniami i opieką nad dziećmi zajęły się sąsiadki. Wszędzie widziało się jedzących, pijących, śpiewających, kłócących się, prasujących, wchodzących z czymś i coś wynoszących ludzi. Chodziliśmy późno spać i bardzo wcześnie wstawaliśmy. Urosło to do o wiele większego wydarzenia, niż początkowo planowano, ponieważ postanowiono, że będziemy równocześnie świętować wyzwolenie od ciemności z przeszłości, a ciotka zgodziła się, by jej dzień był świętem całej okolicy.

Lwandeka i brygadier wstąpili w związek małżeński w kościele Chrystusa Króla w Kampali. Wszyscy byli obecni: Mbale, Kłódka, Kasawo, Serenity i Tiida. Ciotka była bardzo szczęśliwa i promieniała poprzez warstwy tiulu. Makijaż i przepełniające ją szczęście sprawiły, że wyglądała bardzo młodo, a jej z natury gładka skóra aż lśniła. Słyszałem, jak ciotka Kasawo powiedziała:

— Kto by pomyślał!

Jej głos ją zdradził: brzmiało w nim zbyt wiele zazdrości. Była jedyną z trzech sióstr, która pozostała niezamężna. W CzłowiekuPandze i jego następcach widziała wampiry, które wysały z niej całe życie, nie uhonorowały jej oficjalną ceremonią. W swoich fantazjach stale odrzucała jedną prośbę rękę za drugą. Ale żaden mężczyzna nie naraził się nigdy na ryzyko, że może zostać przez nią odrzucony. A mężczyzna, z którym była w tej chwili, dał jej wyraźnie do zrozumienia, że ani mu się śni z nią zenić.

— Za pieniądze, które się marnuje na wesele, wolałbym kupić samochód dostawczy albo zbudować dom - mówił.

Jego reakcja na małżeństwo Lwandeki była cyniczna:

— Rząd twierdzi, że nie ma pieniędzy na odbudowę, ale co niedziele żeni się jakiś żołnierz.

Kasawo miała wrażenie, że jej życie miłosne jest długą wyboistą drogą pełną dziur, z krecimi kupkami tu i tam. Jej serce tłukło się niespokojnie od niespełnionych pragnień.

Na wesele przybyło wielu wojskowych, przyjaciół brygadiera, młoda para wkroczyła do kościoła pod szpalerem błyszczących mieczy. Kościół wypełniało światło, muzyka oraz zapach kadzidła i czystych, zadbanych ciał.

Najlepsze z tego wesela było to, że przyjęcie urządzono w hotelu Sheraton. Bawiłem

się wspaniale i cieszyłem się razem z ciotką. Wydawało się, że posiada wszystko: pieniądze, sławę, władzę, miłość. Jako dziewczyna przeprowadziła się do miasta z niczym i mozolnie pięła się w górę. Teraz wystarczyło, by skinęła palcem, a dostawała, co chciała. Miała trzydzieści sześć lat, wiek, w którym inne kobiety zmieniają pieluchy i niańczą dzieci, a ona dopiero wychodziła za męża. I to nie za pierwszego lepszego. Brygadier był przystojnym, przyzwoitym, wpływowym człowiekiem. Przypominał mi dawnego rektora z seminarium i nie mogłem powstrzymać się, by nie podejrzewać go kierowanie jakąś małą organizacją szpiegowską. Stanowił dla mnie zagadkę. Chociaż już od dawna okazywał ciotce względy, nigdy go nie spotkałem. Ponieważ to ciotka zawsze chodziła do niego z wizytą, zobaczyliśmy się dopiero podczas przygotowań do wesela.

— Słyszałem o tobie wiele dobrych rzeczy - powiedział, kiedy się poznaliśmy.

Poza tym był dla mnie zamkniętą księgą. Oboje wyglądali na bardzo szczęśliwych, kiedy kroili tort. Gdy częstowali nim gości, myślałem o Jo Nakabiri.

Dotrzymała słowa i odmówiła uczestniczenia w uroczystości. Było mi smutno z powodu naszego rozstania. Wyobrażałem sobie, jak wyglądałaby w tiulu. Pod koniec w ogóle nie wiedzieliśmy, jak się wobec siebie zachowywać. Nasz związek osłabiła wiedza o tym, kim rzeczywiście dla siebie jesteśmy, choć nie kochałem jej jak siostry, nie czułem, że jest moją siostrą. Byłem dla niej tak samo obcy jak człowiek, który nas spłodził: jej mój ojciec. Wiedziałem, że próbuje teraz ratować swoją szkołę, zniszczoną przez wojnę. Ostatnią wiadomością, jaką od niej miałem, było to, że rząd przyznał szkole blachę falistą, cement inne potrzebne do odbudowy materiały.

Na weselu było mnóstwo jedzenia i z przyjemnością się częstowałem. Dużo piłem, po części, żeby stłumić myśli o Jo, a po części, żeby świętować szczęście ciotki. Lwendo też nieźle tankował. Widziałem, że jego dziewczyna rzuca mu ukradkowe spojrzenia. Prawdopodobnie widziała już siebie samą w tiulach, u jego boku. Powątpiewałem, czy kiedykolwiek się z nią ożeni; dziesięć lat różnicy wieku to trochę dużo. Ale ponieważ ich romantyczne życie niewiele mnie interesowało, powstrzymałem się od dalszych rozważań na ten temat.

Aby uciec od swoich myśli o Jo, poszedłem powłóczyć się po mieście i jak dawniej trafiłem na postój taksówek. Moje ulubione miejsce zajmowali teraz handlarze, wystawiający w swoich drewnianych kramikach wszystko, co tylko mieli: ubranka dla niemowląt, buty, plastikowe kubki, tanie ozdoby. Było tam owiele tłoczniej niż kiedyś, było więcej samochodów dostawczych, więcej podróźnych, więcej wróźbitów, więcej sprzedawców trutek na szczury, ale mniej zaklinaczy węży. Węże i ich właściciele wrócili do zakątków Trójkąta, z

których przybyli.

Poszedłem do pagody: była odnowiona i pomalowana na kremowy kolor. Myślałem o Lusanani i o tym, jak udawaliśmy, że się pieprzymy, i jak oberwałem od Kłódki. Myślałem o wszystkich zwariowanych rzeczach, które wydarzyły się wewnątrz tych czterech ścian, zwłaszcza o liście do Miss Singer, i było mi jednocześnie wesoło i smutno. Kto tu mieszkał, zanim wprowadzili się Serenity i Kłódka? Jakie życie wiedli mieszkający tu teraz Azjaci? Wyglądało, jakby Serenity, Kłódka i ich potomstwo nigdy tu nie mieszkali. Dom Hadziego Gimbi spotkał ten sam los: stare wspomnienia zniknęły pod nową warstwą farby i błyszczącymi ozdobami. Zdawało się, że małe, dekoracyjne smoki na markizach pożarły wszystkie ślady przeszłości. Poszedłem dalej.

Zająłem się naprawą rodzinnego miejsca pochówku pod dawnym drzewem chlebowca, na którym przesiedziałem tyle godzin, wpatrując się w Mpande Hill. Kupiłem cement i zatrudniłem murarza. Wokół wyrosły akwedukty i pojazdy mogły teraz przecinać mokradła, nie zapadając się w nich. Było jeszcze więcej repatriantów, ale nie znałem żadnego z nich. Pochodzili z młodszej części wsi. Brakowało jedzenia. Wielu ludzi jadało tylko *posho* i groch, czekając, aż będą mogli zebrać swoje *matooke*, słodkie ziemniaki, maniok i proso. Nocami, gdy kładłem się spać, czułem się jak dryfujący po jeziorze kawałek drewna. Wiedziałem, że jestem tu po raz ostatni. Tyle tu było ruin, tak mało życia. Wchłonałem w siebie wieś, jej ducha, każdy jej mały skrawek i moim zadaniem było przeniesienie tego wszystkiego gdzie indziej. Byłem zadowolony, kiedy groby wreszcie zostały naprawione, a robotnik oblał beton wodą dla nadania im połysku. Nadszedł czas wyjazdu.

W międzyczasie dowiedziałem się, co się stało z wieloma ludźmi, których znałem. Santo, wiejski wariat, zginął podczas czystek. Stary garbarz i jego żona zginęli podczas ucieczki. Stefano zmarł, zanim wybuchły walki, a reszta jego rodziny przeprowadziła się do Jinja i Kampali. Pierwszy kochanek Tiidy przeżył, ale jego żona dostała kulę w głowę. Palce, trędowaty, który wyjechał, zanim zaczęła się wojna, jeszcze żył. W nowej wsi również poległo wiele osób, ale żadnej z nich nie znałem. Co wyrosło z tych wszystkich dzieci, którym pomagaliśmy z Babcią przyjść na świat w środku nocy, z zapachem nawozu w nozdrzach, krzykiem rodzających kobiet i śmiechem szczęśliwych młodych matek w uszach?

Życie nabrało innego biegu. W mieście mnóstwo ludzi umierało na Szczupłego. Ciotka Lwandeka pocieszała tych, którzy stracili bliskich, chodziła na pogrzeby i od czasu do czasu organizowała transport ciał osób, które chowano w ich rodzinnej wsi. Pewnego dnia usłyszałem, jak handlarki rozmawiały oniej na targu. Początkowo mnie nie poznały, a potem nagle zamilkły i udawały, że mówią o kimś innym.

— Nie wygląda dobrze... - powtarzała wciąż jedna z nich wśród ogólnego potakiwania przygnębionych słuchaczek.

Wiedziałem, o kim mówią, ale nie chciałem w to uwierzyć. Kobieta, która niecały rok temu wyszła za mąż! Z brzęczeniem w głowie poszedłem ją odwiedzić. Odetchnąłem, widząc, że nie zmieniła się za bardzo. Jej skóra wciąż jeszcze była równie gładka jak kiedyś. Nie zeszczuplała. I była w dobrym humorze. Ale kiedy odwiedziłem ją po raz drugi, już od tygodnia leżała w łóżku z gorączką.

— Nie martw się o mnie, chłopcze - powiedziała, uśmiechając się. - To minie.

Czy patrzyłem na nią aż tak zatroskanym wzrokiem? Siedziała na łóżku w szlafroku na koszuli nocnej, z filiżanką w ręce. Jej wystające spod koszuli brązowe kolano wyglądało zdrowo. Opowiadała o swoich planach zawodowych, o kobiecej grupie, dzieciach. Zaproponowała, żebym rzucił to, czym się zajmuję, zostałem jej menedżerem. Przypomniał mi się mężczyzna, którego poparzył kocioł w zlikwidowanej już gorzelni Bumbum. Wyzdrowiał, a z jego pogroźek nic nie wyszło, ale nie miałem zbyt chętności znowu pracować z robotnikami. Chciałem zachować wolność, żeby móc się włóczyć. Dzięki niewielkiej sumce, jaką zaoszczędziłem, nie musiałem pracować. Nie chciałem też jednak rozczarować ciotki. Gdy byłem w potrzebie, wzięła mnie do swojego domu, więc czy nie powinienem jej teraz pomóc, skoro mnie potrzebuje? Ponieważ nie pracowałem już w SIMC, ciotka nie mogła zrozumieć, dlaczego odrzucam jej ofertę. Prawda była taka, że bałem się zostać obciążony odpowiedzialnością za gorzelnię, gdy ona będzie zbyt chora, by móc się nią zajmować. Ale nie mogłem jej tego powiedzieć.

— Porozmawiamy o tym, jak będziecie się lepiej czuć - odparłem wymijająco.

— Ja już się lepiej czuję, chłopcze - powiedziała, odstawiając filiżankę.

Sięgnęła ręką po teczkę leżącą na nocnym stoliku. Zdrowa czy nie, miała mnóstwo pracy. Zawsze mówiła, że chce przestać zajmować się polityką, ale mimo tych deklaracji coraz bardziej się w niej pograżała. Czy powinienem jej o tym powiedzieć? Poniechałem tego.

Kilka tygodni później znowu do niej poszedłem i zastałem ją w łóżku. Na prawym policzku miała wielki wyprysk, który spuchł do rozmiarów pięści. Była udręczona i wystraszona. Przeraziłem się. Ta żywa jak burza kobieta zdawała się znajdować w wielkich kłopotach. Co o tym wszystkim sądził brygadier? Nie mówiła o nim, co mnie zdziwiło. Ale przecież przez całe życie była niezależna. Tym razem nasza rozmowa przebiegała z oporami. Zastanawiała się, co mi powiedzieć. Mówiła ogorączce i paraliżu karku, który na szczęście minął.

- Pocę się jak myśliwy - powiedziała.
- Byliście u lekarza?
- Tak. Pobrał próbki krwi. Powiedział, żebym się nie przejmowała.

Pryszcz ciotki zniknął w równie tajemniczy sposób, w jaki się pojawił; poczuła się lepiej i wróciła do pracy. Ludzie rozmawiali o niej. Trochę schudła, ale dobrze się odżywiła i znowu przytyła.

Następny atak choroby dotknął jej talii: nazywano to „pasem śmierci”. Skóra w okolicy żołądka wisiała luźno, jakby była spalona. Pękała, tworząc bąble i owrzodzenia. Był to jeden z najbrzydliwszych objawów, jaki kiedykolwiek widziałem. Gdy na to patrzyłem, przenikał mnie dreszcz, a moja skóra marszczyła się jak u pełzającej gąsienicy. Był jeszcze czas, żeby jej pomóc, ale tak bardzo wstydziła się swojego „pasa”, że sama się leczyła maścią i tabletkami, w nadziei, że ustąpi. Tak się jednak nie stało. Kiedy wreszcie zdecydowała się pójść do lekarza, było już za późno. Doktor mógł jedynie opatrzyć ropiejące miejsca. Prawie nie mogła spać, bo koszula kleiła się jej do rany. Był to beznadziejny przypadek. Ciągnęło się jeszcze tygodniami. Tym razem schudła trochę bardziej. W końcu znowu się jej nieco poprawiło i zaczęła ponownie pracować.

Wkrótce nastąpił gwałtowny nawrót gorączki. Ciotka nieustannie się trzęsła i szczękała zębami. Prześcieradła i materac były przemoczone od jej potu. Wydawało się, jakby jej skóra była sitem, przez które przeciekały wszystkie pite przez nią płyny. Schudła jeszcze bardziej i dostała biegunki, która parzyła jej odbytnicę i nie chciała ustąpić. Jej mocz był czerwonożółtą mieszanką.

— Nie powinienes nade mną płakać - powiedziała pewnego dnia. - Dbaj o siebie samego i o swoich braci.

Było z nią coraz gorzej, ale nie zgodziła się pójść do szpitala. Powrócił cały wstyd. Była grzesznicą, która została słusznie ukarana za buntowanie się i liczne pomyłki. Wstydziła się tak bardzo, że ledwo mogła patrzeć na własne odbicie w lustrze. Nienawidziła ciężaru swej sławy i wpływów. Kiedy zamykała się w swoim pokoju, spadał na nią cały świat. Widziała, że ludzie śmieją się z niej, współczują jej albo zachowują obojętność. Wszyscy, z którymi pracowała na targu, w ruchu oporu, podczas wojny, byli obecni. Bracia i siostry również. Ale ona, jako pierwsza z rodziny zarażona plagą, nie mogła znieść wstydu.

Brygadier wziął ją na jakiś czas do siebie i zatrudnił pielęgniarkę, żeby się nią opiekowała, jednak czuła się tam jak ryba wyjęta z wody i chciała wrócić do własnego domu. Przywieziono ją pewnego wieczoru i od tej pory już więcej nie wyszła na zewnątrz. W domu roznosił się zapach potu i opary zielono - czamej biegunki, ponieważ była zbyt słaba, by prac

swoje rzeczy. Odmawiała przy tym wszelkiej pomocy. Kiedy przychodziło do niej tych parę osób, które jeszcze chciała widzieć, spryskiwała wszystko perfumami, zapalała kadzidło i mówiła spoza zasłony, że wszystko z nią w porządku. Płomień w jej jelitach i szpony w jej skórze były niczym w porównaniu z piekłem w jej głowie. Nie mogła znieść widoku dzieci: czuła, że je zhańbiła i napiętnowała. Słyszała, jak ostrożnie obchodzą się z garnkami, najciszej jak mogą odkręcają kran, i wtedy umierała ze zmartwienia. Nie przyrządzała im już jedzenia ze strachu, że będą się nim brzydzić albo będą się bać, że je nim zarazi. Chciała, żeby ciskały garnkami i tłukły filiżanki, do oporu odkręcały krany i puszczały głośną muzykę. Chciała, żeby sikały na jej łóżko i srały i rzygały na jej łono, jak dawniej. Ale dach wentylatory stukały tylko od jej własnego smrodu. Teraz dzieci chodziły na palcach, jakby za szafą czatował lampart. Trawił ją pożerający wszystko płomień żalu. W samotności wybranej z własnej woli życzyła sobie, żeby przeszłość wróciła by mogła wyjść za mąż w młodym wieku, wieść zwyczajne życie i umrzeć banalną śmiercią. Zamykała oczy i pragnęła być Dziewicą Marią, która ulatuje do nieba, nie pozostawiając na ziemi żadnego śladu. Chciała wymazać siebie samą z powierzchni ziemi, z kronik miasteczka i z pamięci ludzi, którzy ją znali. Widziała już w myślach swój grób obok zadbanego grobu rodziców i chciała móc zniknąć, odlecieć przez dach, pozostawiając wszystkich w zdumieniu. Prześladowało ją uczucie, że wszystkich rozczarowała. Ogarnęło ją poczucie winy, które kiedyś próbował jej zaszcześcić proboszcz i rodzice, i smażyło ją w swym ogniu.

Kiedy raz jeszcze ją odwiedziłem, nie zgodziła się otworzyć drzwi. Wysłała już dzieci do ich ojców. Postanowiła swoje ostatnie dni spędzić w samotności. Zza zamkniętych drzwi zasłony powiedziała, że muszę to zrozumieć. Chciała, żebym ją zachował w pamięci taką, jaka była dawniej.

- Chłopcze, jestem szkieletem z diabelskich ksiąg kościelnych - oświadczyła.
- Wszystko mi jedno - odparłem.
- Jeszcze nigdy nie zrobiłam niczego dobrego - dodała sucho.
- Pomogła ciotka wielu osobom, walczyła o wolność, o wspólne dobro. Co jeszcze więcej można zrobić?
- To wszystko jest nieistotne, chłopcze.
- To są właśnie rzeczy, które są istotne. Czy dobrze ciotkę słyszę, czy też mówi to ktoś inny?
- Może już tracę rozum, chłopcze.
- Pójdę po siekiere, żeby rozwalić te drzwi. Rozmawiałem z najlepszą przyjaciółką ciotki, Teopistą. Chce osobiście ciotce pomóc. Najpierw musimy zawieźć ciotkę

do lekarza.

Nie miała nic przeciw tej kobiecie; pochodziła z tej samej wsi co ona i obie rodziny były z sobą zaprzyjaźnione. Powiedziała jednak:

— Nie, nie pójde do lekarza. Nie przy tych wszystkich ludziach.

— Oni wszyscy pewnego dnia umrą. Dlaczego ciotka się nimi przejmuje? Okryjemy ciotkę i zaprowadzimy do samochodu.

Przypomniał mi się dzień czerwonej plamy z atramentu i ulga, jaką poczułem na myśl, że Kłódka wykrwawia się na śmierć. Ale myśl, że ciotka wykrwawi się na śmierć, niemal mnie paraliżowała. Dlaczego wierzyła, że jest odpowiedzialna za swoją chorobę? W obliczu całej tej niedoli historia rodziny mojego ojca, z tymi wszystkimi bohaterskimi zmarłymi, wydawała się historią pełną glorii. Wydawała się o wiele bardziej znacząca niż to diaboliczne, powolne niszczenie wszystkiego, co kiedykolwiek było. W porównaniu z tym rozpadem urody, zaćmieniem dobrych wspomnień, zanikiem siły i rozkładem godności w bagnie straszliwego cierpienia, każda inna śmierć wydawała się lepsza.

Wszyscy byli wytrąceni z równowagi. Przyjechała Kłódka cała reszta. Kłódkę zdawało się prześladować jej własne proroctwo. Była święcie przekonana, że przemówił przez nią Bóg, lecz przeraziło ją fizyczne wyniszczenie siostry. Kasawo również była poruszona, ale bardziej interesowało ją, co się stanie z firmą umierającej. Wypytywała mnie o tysiące rzeczy. Najwidoczniej sądziła, że ogołociłem konto ciotki, sejf i skarb - czyk. Było to dla mnie nieprzyjemne, ale nie chciałem się już bronić. Chciałem uwolnić się od tej odrażającej sprawy, ale najpierw musiałem ją jakoś znieść.

Podczas swoich ostatnich dni ciotka wciąż majaczyła i mówiła owężach. Krzyczała, że w jej łóżku jest pełno węży i że ogromny wąż wpełznął jej do ust i zżera wnętrze. Pielęgniarka głaskała ją wtedy i zapewniała, że w całym domu nie ma ani jednego węża. Widok ciotki sprawiał mi ból. Kobiety, której kiedyś pożądałem, którą podglądałem i którą chciałem chronić, już nie było: pozostał tylko szkielet pokryty gumową skórą. Jej oczy były jak pływające przepiórcze jaja, nos się zapadł, a usta napięły jak gumki. Jej kark zniknął, kręgosłup sterczał pod skórą, ręce i nogi wyschły. Bredziła o gadach, ale kiedy po majakach przychodziła do siebie, trzeszczącym, piskliwym głosem opowiadała wesołe historyjki. Stała się uśmiechającym kościotrupem! Przypominały mi się czaszki na straganach, które widziałem tuż po wojnie partyzanckiej. Zostały usunięte przez urzędników państwowych, niektóre miały być pochowane, niektóre miały trafić do muzeum historycznego. Wydawało mi się teraz, że przeniesiono je wszystkie razem do domu ciotki i że ona, z wymuszonym demonicznym uśmiechem torturowanego żywego trupa wywalczyła sobie ich spuściznę.

Ostatniego dnia jej przyjaciółka Teopista wzięła mnie na bok poprosiła, żebym wezwał księdza. Odmówiłem. Jaki to miało sens? Ta kobieta przeżyła już czyściec i piekło tu, na ziemi. Niepotrzebne jej były odziane w habit frazesy. Ale w końcu się zgodziłem. Tymczasem nadjechał brygadier z kilkoma członkami swojej rodziny. Wyglądał, jakby wybierał się na wojnę. Ksiądz nie został przy ciotce długo. W swoim czarnym stroju wyglądał jak kruk albo gangster, który właśnie dokonał egzekucji. Pęczek kości, jaki został z ciotki, został pochowany. Ceremonia pogrzebowa i wszystko, co działo się potem, było dla mnie zlepkiem luźnych, mętnych obrazów. Ciotka Lwan - deka miała rację: nikt nie otrzymuje trzy razy szansy rozpoczęcia nowego życia. Wirus odebrał jej trzecią szansę.

Z pomocą przyszedł mi Lwendo.

— Człowieku, powinieneś gdzieś wyjechać i trochę odetchnąć - nalegał. - Jedź do Anglii albo Ameryki na długie wakacje. Stać cię na to.

— Nikogo tam nie znam.

— Ugandyjczycy są wszędzie. Kilku naszych szkolnych kolegów też tam pojechało, możesz ich odwiedzić.

— Nie, chcę tu zostać.

Zamierzałem zostać, bo obiecałem brygadierowi uporządkować sprawy jego zmarłej żony, poza tym zaproponował mi pracę.

— Powinieneś pojechać. Jesteś bardziej trupem niż żywym człowiekiem. Jesteś tak rozkojarzony, że boję się, że któregoś dnia wpadniesz pod samochód - przekonywał mnie Lwendo.

— Nie przesadzaj - mruknąłem.

Wiedziałem jednak, że ma rację.

Pomoc przyszła z niespodziewanej strony. Action II, holenderska organizacja humanitarna, wpadła w tarapaty z powodu dziecięcego porno. Urzędnik rządowy znalazł w domu jednego z jej pracowników kompromitujące materiały oraz zdjęcia sierot pływających nago w Jeziorze Wiktorii i doszedł do wniosku, że człowiek ten jest pedofilem, który przyjechał do naszego kraju, żeby zaspokajać swoje perwersyjne zachcianki. Uznał, że Action II powinna zostać wydalona z kraju. Cała ta historia trafiła do Lwendo, który znał kilku wpływowych ludzi. Doszło do negocjacji. Pieniądze przechodziły z rąk do rąk, ale wyglądało na to, że organizacja mimo wszystko zostanie rozwiązana, a jej członkowie wydaleny z kraju.

Ostatecznie cofnięto nakaz deportacji. Tego dnia Lwendo zaprosił mnie do miasta. Człowiekiem, który prowadził tę sprawę, był Łodyga. Zrobił się wielki, gruby i ociężały. Dużo pił. Wkręcił się do świata urzędniczego i pracował w różnych wydziałach.

— Jak tam, byłeś już na północy? - spytałem, bo nie wiedziałem, o czym z nim rozmawiać.

Między nami rozciągała się wielka pustka, a moja służalcza libacja nie ułatwiła zadania.

— Nie, za dużo zgiełku - odparł lakonicznie.

— Nie jest tak źle. Byliśmy tam mniej więcej rok temu - powiedział Lwendo.

— Widziałeś więc na własne oczy, skąd pochodzę, co? - mruknął Łodyga w zamyśleniu.

Miał odpowiedzialną pracę i zdawał się uginać pod ciężarem tej odpowiedzialności. Zbyt wiele pracy, zbyt niskie zarobki. Nie musiał mi tego tłumaczyć. Ta odrobina z łapówek, jaką udawało się uciulać, zawsze szła na stare długi i inne zobowiązania.

— Istotnie - odparłem.

Chętnie przypominałbym mu lekcje seksu, których nam udzielał, i erekcje, którymi szokował nauczycielki, gdy łożono mu skórę, ale wyglądał zbyt staro, by go to jeszcze mogło interesować. Gnębiciel surowych nauczycielek dokonał egzekucji na samym sobie. Jego sekretarz w znaczący sposób zastukał w biurko.

— Cholernie twardy drań - powiedział Lwendo, gdy wyszliśmy z budynku. - Nieźle wycisnął jaja tym holenderskim chujom.

Action II działała od niedawna w południowoschodniej części Amsterdamu, czyli w Bijlmermeer, potężnym getcie na skraju tego okazałego miasta. Mówili nam, że jest tam wielu nielegalnych emigrantów, a wśród nich pewna liczba Ugandyj - czyków. Zaproponowali mi parę adresów, pod które mogłem się zwrócić. Nie byłem jednak zainteresowany nielegalną emigracją. Chciałem pojechać na wakacje i wrócić.

— Możesz tam spotkać ludzi mówiących twoim językiem - powiedział mi jeden z pracowników organizacji.

Zaproponował, że zorganizuje moją podróż, łącznie z zaproszeniem, które było potrzebne do otrzymania wizy. Ja w zamian za to zaproponowałem, że przez kilka tygodni będę dla nich kwestował. Nocleg i jedzenie miałem dostać za darmo. Umowa stanęła.

Pracownicy Action II dotrzykali słowa. Wszyscy potrzebowali się nawzajem: chcieli, żeby Lwendo pozostał na miejscu, a mnie potrzebowali do zbierania dla nich pieniędzy. Zostałem zaproszony do Holandii przez ich nadrzędną organizację. Zanim upłynęły dwa miesiące, siedziałem w samolocie lecącym do Amsterdamu.

Księga siódma GHETTOBLASTER

Wejście na pokład samolotu było najlepszą rzeczą, jaką od lat zrobiłem.

Podróżowałem pierwszą klasą - była to przynęta, jakiej użyli moi sponsorzy, by polećtać moje ego. Chcieli, żebym zbierał pieniądze, jakby od tego zależał los całego kontynentu afrykańskiego. Uważnie przyglądałem się bursztynowemu płynowi w kwadratowej butelce i życzyłem sobie, by wódka, którą swego czasu pędziłem, była na tyle dobra, by można ją było eksportować. W takim wypadku byłbym teraz biznesmenem w drodze do Europy. Ale w dżinsowym ubraniu sportowych butach nie przypominałem za bardzo biznesmena. Wyglądałem jak rebeliant podróżujący z jakąś tajemniczą misją, rzeczywiście nim byłem. Już teraz czułem, że przyda mi się całe moje rebelianckie doświadczenie: byłem zdany wyłącznie na siebie samego. Byłoby łatwiej, gdyby pojechał ze mną Lwendo, bo wspólnie lepiej byśmy sobie poradzili. Został jednak, żeby doglądać swojego warsztatu stolarskiego, wieść spokojne życie, o które walczył, i czekać na narodziny pierwszego dziecka.

Siedem długich godzin w powietrzu było jak czyścić. Miałem wrażenie, że szybuję niczym duch ponad własnym krwawiącym ciałem, zawieszony między strzępami człowieka, którym byłem, niejasnymi konturami tego, którym chciałem się stać. Było to również pewnego rodzaju wyzwolenie. Despoci, rodzina, wojny, wszystkie wcześniejsze radości i zmartwienia, wszystko opadło ze mnie, a ja pogrzebałem to za wyszczerbioną *skyline* przeszłości i chciałem, by pozostało tam na wieki. Czułem się nieważki, kręciło mi się w głowie od zadziwiających wymiarów mojej nowej wolności. Alkohol rozszedł się po moim ciele, potęgując wrażenie nieważkości i niespokojną egzaltację. Przepływały przeze mnie magiczne siły i wierzyłem, że jestem zdolny do wszystkiego. Zamknąłem oczy. Cały miniony kwartał wieku coraz głębiej zapadał się pode mną. Sam wykreśliłem siebie z jego kronik, przekonany, że nie odegrałem w nich żadnej roli, że wszystko to miało miejsce w czyjejsz szatańskiej wyobraźni. Zanim zasnąłem, marzyłem, że samolot eksploduje i ta odrobina niejasnej przeszłości, którą wciąż jeszcze w sobie nosiłem, zostanie rozsypana po chmurach, a potem opadnie jak deszcz na oceany i obce kraje.

Alkohol przestał działać, oprzytomniałem. Powróciłem do swojego ciała i wyrząłem przez okienko. Niebo nad Brukselą było mroczne, lotnisko świeciło jak statek podczas sztormu, ściągając na siebie uwagę kolorowymi, migającymi światełkami. Moje nowe królestwo spowijała ponura mgła i budzące strach piękno. Była to magiczna grota czarownika, jaskrawo oświetlona, jak tysiąc choinek w płomieniach.

Niezliczone dusze, snujące się po hali przyłotów w lunatycznym transie, podkreślały magiczność otoczenia. Ten dziwny świat był gargantuicznym przeciwnikiem, którego powinienem pokonać, jeżeli chciałem osiągnąć to, co zamierzałem. Ogrom tego zadania sprawiał, że po plecach spływał mi zimny pot, gdy patrzyłem, jak moich współpasażerów, do

których twarzy już przywykłem, jednego po drugim połyka tłum. Próbowałem wysledzić jakąś przyjazną twarz w nadziei, że jeszcze przez chwilę uda mi się uczepić rozchodzących się nitek miłej atmosfery samolotu, ale każdy zdawał się już zatopiony we własnych myślach i zajęty tysiącem spraw. Oślepiiony światłem szedłem przez grotę, mrużąc oczy. Próbowałem zobaczyć, czy na choince kołyszą się prezenty, zapowiedź ratunku, którego szukałem. Poszedłem do sklepów wolnocłowych, żeby pooglądać zegarki, aparaty fotograficzne i biżuterię. Wszystkie artykuły, oświetlone jaskrawym, białym światłem przypominającym palący się magnez, wydzielały ostry zapach agresywnego marketingu i krót - kotrwałości. Na jeden taki przedmiot musiałbym jako nauczyciel pracować pięć lat. Z podwiniętym ogonem powlokłem się do poczekalni i usiadłem. Niezliczeni ludzie przepływali obok mnie nieustającym potokiem, stukot ich obcasów był peanem na cześć boga podróżnych.

Samolot mający nas zawieźć do Amsterdamu był mały. Kiedy wznieśliśmy się, nastał dzień. Otaczającą nas mgłę zjadało zimne światło, które odsłoniło setki samochodów, cały rząd czekających samolotów i uwijający się w pośpiechu personel lotniska.

Najbardziej pamiętnym widokiem tego ranka był widok polderów z lotu ptaka - były to zielone prostokąty osuszonej ziemi, przygotowanej pod uprawy. Grota, w której teraz wylądowałem, była wspanialsza od grotki brukselskiego czarodzieja, oblewało ją miękkie, złociste światło i miała jeszcze więcej tuneli niż brukselska.

Po drugiej stronie lotniska, gdzie poczułem się, jakbym został wypluty z ciepłego wnętrza lewiatana do zimnych wód przekłętego morza, czekało na mnie dwoje ludzi z Action. Mężczyzna miał zielone oczy, bródkę, miękki głos i duże, niezdarne ręce. Kobieta miała końską twarz i szare oczy, zadarty nos i szerokie usta. Oboje byli nastawieni bardzo entuzjastycznie do mojego przybycia i pomyślałem, że trafiłem w dobre ręce. Pytali, jaką miałem podróż, jak wygląda sytuacja w Ugandzie, jak wyobrażam sobie przyszłość swojego kraju, czy ich koledzy są bezpieczni i o wiele innych rzeczy.

Oczy mężczyzny skierowane były przez cały czas na drogę, usta miał na wpół otwarte, ale nic nie mówił. Obok nas przetaczało się morze samochodów, budynki wynurzały się, a autostrady nurkowały w krajobrazie i znowu się wyłaniały. W chłodnym świetle słonecznym, któremu nie udawało się ogrzać zimnego powietrza przesywającego ubranie jak nóż masło, wjechaliśmy do Amsterdamu.

Zakwaterowano mnie w małym hotelu naprzeciwko Dworca Centralnego i z okna widziałem tysiące ludzi wylewających się przez główne wejście. Przypominali mi tłum na postoju taksówek w Kampali. Samochody, tramwaje, autobusy i pociągi czyniły straszliwy hałas, przerywany od czasu do czasu przez ryk potężnego motocykla. Stare domy z wąskimi

fasadami i zwieńczeniami, wyglądającymi jak magiczne trójkąty, stały rzędem wzdłuż kanałów niczym srodzy, osiemnastowieczni żołnierze na warcie.

Moja euforia trwała zaledwie do następnego ranka: mój nowy raj zaczęły nękać muchy. I podobnie jak doktor Ssali, mąż ciotki Tiidy, któremu te wstrętne stworzenia dokuczały, kiedy jego rana po obrzezaniu była jeszcze świeża, przyszło mi stoczyć walkę na wielu frontach jednocześnie. Nie uszła mej uwagi ironia, że po tak luksusowej podróży musiałem dosłownie walczyć z muchami, a pierwszego dnia pracy miałem zaprezentować tragedię dręczonego przez muchy narodu. Ten cierpki antyklimaks wywołał u mnie nerwową biegunkę. Międzynarodowe żebractwo, wykorzystywanie stereotypów i nekrofiliska eksploatacja w najgorszym stylu czekały na mój stempel przyzwolenia. Przede mną leżały przygotowane przez moich gospodarzy zdjęcia dzieci, bardziej martwych niż żywych, z muchami w oczach, wokół ust, w nosie, na ubraniu. Błagania pomoc, unoszące się jak demoniczna aura nad ich głowami, odebrały mi wszelką ochotę do podjęcia się mojego nowego zadania. Spostrzegłem, że drzę, i zapragnąłem kielicha.

Dobre wrażenie, jakie zrobił na mnie gospodarz, obróciło się wniwecz. Tępota ich propagandy wiele mówiła o organizacji jej prawdziwych celach. Znajdowałem się pośród łajdaków wiele bardziej bezwzględnych niż ja sam i Lwendo. Powinienem wszystko poddać rewizji i przyjrzeć się temu krytycznym okiem. Próbowałem postawić siebie samego na miejscu potencjalnych donatorów. Gdyby to mnie naprzykrzano się takimi zdjęciami, zwłaszcza zdjęciami dzieci zwijających się z bólu jak kurczaki z zaparciem kiszek, natychmiast bym zapytał, dlaczego tak długo zwlekano z udzieleniem pomocy. Ale cóż, to była oportunistyczna gra, mająca na celu nie tyle zapobieganie cierpieniu, ile zaklejenie ropiejących ran brudnym bandażem. Popelnilem błąd, włączając się w to w momencie, gdy mania udzielania pomocy humanitarnej, która w latach osiemdziesiątych przeżywała rozkwit, zaczęła słabnąć. Jeszcze do niedawna wszelkiego rodzaju organizacje zbierające pieniądze miały ogromną władzę nad anonimowymi masami i poruszały niebo ziemię, żeby wydobyć pieniądze z wyrachowanej obojętności bogatego Zachodu. Nie tylko dobrodusznicy staruszkowie byli celem tych organizacji, wszystkich urabiano chorymi dziećmi oblepionymi gównem i muchami, żeby podarowali dolarka tu i grosika tam. Gryzący flesz reaganizmu i thatcheryzmu wydobył z przyjaznego mroku kartele pomocy humanitarnej, a fakt, że znalazłem się nagle w jego niknącym blasku, nie wychodził na dobre moim oczom ani uczuciom.

Kartele i rekiny przemysłu pomocy humanitarnej posunęły się zbyt daleko. Obojętni bogacze stali się teraz superobojętni i nieczuli z powodu tych wszystkich trupów, z powodu

tej zebraniny pokrytej muchami i tego bombastycznego odwoływania się do ich chwiejnej szlachetności. Niektóre rekiny dostrzegły swój błąd i próbowały włączyć ludzki element w swoją nekrofilę i oblepione muchami wyłudzenie pieniędzy. Uważałem, że obowiązkiem mojego gospodarza i jego kolegów jest naprawienie tego, co spaprali, ale nie miałem ochoty im w tym pomagać. Nie zamierzałem grać z nimi w tę grę i decyzja ta dostarczyła mi złośliwego zadowolenia. Pokazali mi swój plan kwesty zapchany imprezami jak puszcza grochu. Miałem wygłosić dwadzieścia publicznych przemów i udzielić z tuzin wywiadów. Uznałem, że to wspaniale, i nawet podziękowałem im za ich starania w imieniu bezimiennej masy bezradnych. Nazwałem ich Miłosiernymi Samarytanami i oboje się zaczerwienili; moja ironia zapewne niezupełnie uszła ich uwagi.

Kiedy ponownie znalazłem się w hotelowym pokoiku, wcisnąłem głowę w poduszkę i zacząłem krzyczeć. Jak ktoś mógł ode mnie oczekiwać, że będę sprzedawał na ulicy ciotkę Lwan - dekę? To nie przez chore dzieci czułem się zmuszony do wycofania. To zdjęcie młodej, umierającej kobiety z krzykliwym, żebrzącym hasłem, wypisanym nad nią wielkimi literami, odebrało mi ochotę do jakiegokolwiek działania. Leżała na zdjęciu na macie, ze zwróconą do góry twarzą, z oczami pływającymi w wypełnionych śluzem dołach, z odsłoniętymi kolanami i tyczkowatymi nogami: obraz powolnej, męczeńskiej śmierci. Kwota, którą spodziewano się uzyskać za ten widoczek, trafiłaby kropla po kropli do Afryki, aby po jakimś czasie zrobić zwrot i zamienić się w splatę międzynarodowego zadłużenia. Kontynent afrykański dokładnie przypominał ciotkę podczas jej ostatnich dni: ta odrobina pożywienia, która wchodziła w nią z góry, wyciekała potem od spodu. Lwendo powinien ostro dobrać się do skóry temu pedofilowi z organizacji pomocy, a wszystkim innym podobnym organizacjom dać kopniaka między nogi. Nie byli to złoczyńcy najgorszego autoramentu, w każdym razie nie w porównaniu z naszymi mordercami, ale było to złe towarzystwo, towarzystwo, w którym nie chciałem przebywać ani jednego dnia dłużej.

Jeszcze tego samego wieczoru spakowałem swoje rzeczy, a potem poszedłem do budki obok hotelu i zadzwoniłem do getta. Kiedy po drugiej stronie rozległ się sygnał, serce zaczęło mi walić w gardle. Wypędzałem samego siebie z wrogiego raj. Kiedy tam dzwonił telefon, ja słyszałem muchy, które, bzyząc, czekały na moje elokwentne przemowy towarzyszące zbieraniu pieniędzy, unosiły się sponad zdjęć i wpadały na siebie nawzajem. Obraz tych zielononiebieskich i czarnych much opadających na padlinę, na gówno i zgniliznę wypełniał budkę telefoniczną trupim zapachem i przyprawiał mnie o mdłości. Niestety niczego nie udało mi się pozostawić za sobą. Nie pogrzebałem przeszłości w chmurach, wszystko zabrałem ze sobą. Czułem się osaczony i pozbawiony sił. Byłem zbyt świadomy

tych wszystkich białych twarzy wokół mnie, na ulicy, w domach naprzeciwko Dworca Centralnego, w bistrach na Damraku, wszędzie. Chciałem poczuć stały grunt pod nogami i uwolnić się od tych ohydnych much. Dotknąłem pieniędzy w kieszeni. Jak potwornie bym się tu czuł, gdybym nie miał złamanego grosza. Albo gdybym musiał zebrać na ulicy. Albo musiał czekać w jednym z tych piekielnych obozów koncentracyjnych na odrzucenie lub przyjęcie prośby o azyl polityczny. Kiedy tak stałem, rozmyślając, po drugiej stronie ktoś powiedział „Allo?”. To był potoczny lugandyjski, język mojego narodu. O mało nie podskoczyłem z radości i nie walnąłem głową w dach budki. Mała Uganda na wygnaniu manifestowała swoją obecność w samym środku białej Holandii! To właśnie musieli czuć Azjaci po powrocie, słysząc ludzi rozmawiających w centrum Kampali w gudzarati lub urdu.

— ***Osiibye otya nnyabo?*** - zapytałem.

— ***Bulungi ssebo*** - odpowiedział głos.

Jakże to fantastycznie zabrzmiało w zimnym wieczornym powietrzu! Co za ulga przekonać się, że adresy otrzymane z Action II naprawdę istnieją! Dalsza rozmowa i tłumaczenie, gdzie mogę wynająć pokój, przebiegła jak we śnie. Widziałem już w wyobraźni rozpalone twarze moich „udzielających pomocy” gospodarzy, kiedy odkrywają, że dałem nogę, nie wyjaśniając im nawet, że to, co robią i jak to robią, uważam za okropne. Śmiejąc się, wyszedłem z budki ze smakiem zemsty w ustach i na uskrzydłonych stopach. Będę nocował u ludzi z własnego narodu! Kanał, nad którym leżał hotel, lśnił wielokolorowymi światełkami padającymi z okien i ulicznych latarni. Ciemna, błyszcząca woda poruszała się i wiła jak wąż przyczepiony z obu końców. Ja również przyczepiłem swojego węża i czułem się niepokonany.

Trasa metra, którą wykuto w rozległym getcie, wyglądała jak litera Y albo jak różaniec, którego koraliki wyznaczały granice. Było lato i widok ponurych bloków łagodziła bujna zieleń miejska: kwitnące krzewy, drzewa i trawa rosnąca tam, gdzie droga odchodziła łukiem od kolei żelaznej. W zimie drzewa będą tu gołe jak członki pozbawione ciała, a powietrze szare jak strzelający wszędzie wokół w górę beton. Ale teraz było lato i cała ta zieleń oczarowała mnie, nadając koloryt moim pierwszym wspomnieniom. Wsiadłem z metra i przyjrzałem się okolicy: wysokie, skryte wśród zieleni bloki, drzewa wzdłuż brukowanej drogi i chodniki. Nie było aż tak źle, w każdym razie nie tak źle, jak mogło sugerować samo słowo „getto”. Koło stacji metra, pod wiaduktami i przed budynkami, kręciły się grupki młodzieży w skate’owskich ubraniach, sportowych butach i czapeczkach bejsbolowych założonych tyłem do przodu. Przechodząc obok nich, czułem podniecenie. Pomyślałem, że mogliby to być moi uczniowie. Ale uczniowie z jakiej szkoły?

Mój cel leżał w odległości kilkuset metrów od stacji. Szedłem przez pokryte graffiti galerie i tunele, w których nocą kwitł handel narkotykami, oraz plac, na którym w środy odbywał się pchli targ; było tam centrum handlowe i komisariat policji w niskim budyńeczku w kształcie pudełka. Ogromne bloki stały w alfabetycznym porządku. Największe z nich miały dobudowane dwa lub więcej skrzydeł. Od tej pory centrum mojego życia miał stanowić Blok W, kolos o nazwie Wiewiórka.

Getto, ten Eden, założono w 1966 roku, kiedy Dziadek popadł w tarapaty. Było przeznaczone dla Antylczyków i Suri - namczyków z kolonialnej przeszłości Holandii. Główne budynki i garaże zostały połączone ze sobą zadaszonymi galeriami, zainstalowano w nich bieżącą wodę i toalety ze spluczkami, krótko mówiąc, pękały od nowoczesności. Cały teren podzielono na przylegające do autostrad, linii metra i mostów kwadraty, w których posadzono duże krzewy kwitnące wiosną i latem. Wysoko ponad nimi górowały potężne drzewa przywodzące na myśl lasy kontynentu południowoamerykańskiego, z którego pochodziła większość imigrantów. W letnie wieczory nad ścieżkami unosił się zapach kwiatów i słychać było świergot ostatnich ptaków przygotowujących się do snu.

Kiedy marzenie w końcu się ziściło, między drzewami pełnymi zakazanych owoców i po trawie, w której skrywał się wąż, zaczęli chodzić byli mieszkańcy kolonii. Podobnie jak Bóg, Marzyciel, który to wszystko zaprojektował, wycofał się, a Eden, w prawdziwym duchu kapitalizmu *prime time*, zarósł rozczarowaniem, izolacją i zalegalizowaną przestępczością. Na biurkach Marzyciela piętrzyły się raporty o przestępczości, handlu środkami odurzającymi i bezrobociu, ale ponieważ wszystko rozgrywało się w granicach Edenu, patrzono na to przez palce. W końcu słodka woda zasiłku nadal spływała, dzieci nadal chodziły do szkoły. Każdy mieszkaniec dawnych kolonii mógł przenieść się do Edenu i jak na demokrację przystało, mógł robić to, na co miał ochotę. „Kontrolujemy sytuację” oraz „Mogło być gorzej” - oto hasła, którymi ozdobiono ściany biura Marzyciela. No właśnie.

Kiedy trafiłem do getta, zobaczyłem tam czarnych mężczyzn, czarne kobiety i dzieci wchodzące i wychodzące z wielkich bloków i robiące rzeczy, które się zwykle w życiu robi. Chcąc nie chcąc, musiałem się uśmiechnąć. Obsługa w sklepach prawie w całości była czarna, nie mówiąc o kilku Azjatakach i białych. Moje nowe lokum pomalowano niedawno farbą koloru kości słoniowej, a szyby zainstalowanych z boku wind na czerwono. Galerie były długie i hulały w nich przeciągi, a w niektórych miejscach okropnie śmierdziało sikami. Oficjalnie mieszkało tu osiemset osób, ale według nieoficjalnych obliczeń było ich około półtora tysiąca. Podobał mi się panujący tu złowieszczy półmrok i ekscytująca atmosfera Dzikiego Zachodu. Czułem się nietykalny: mogły się tu człowiekowi przytrafić różne

nieprzyjemne rzeczy, ale przecież nie mnie. Ja wyprałem swoje ubranie we krwi gorzkich wojen i nie mogło mnie już spotkać nic strasznego. Będę tu prowadził spokojniutkie życie, nie będę za nikogo ani za nic odpowiedzialny, a jak mi się znudzi, zawsze mogę wrócić do Ugandy.

Moim nowym domem miało być czteropokojowe mieszkanie na siódmym piętrze. Moja gospodyni, Keema, była trzydziesięcioletnią kobietą, która zostawiła za sobą Ugandę i zapleś - niałe małżeństwo i uciekła do Kenii, skąd prawie dziesięć lat temu przyjechała tu z wizą turystyczną. Znajomi pomogli jej znaleźć pracę, mieszkanie i pocieszenie, a gdy dostała pozwolenie na stały pobyt i holenderski paszport, ściągnęła trójkę swoich dzieci. W mieszkaniu kwaterowało około dziesięciu osób, które przychodziły i wychodziły o różnych porach. Kiedy do nich dołączyłem, stałych mieszkańców było sześciu. Wynająłem najmniejszy pokój, obok dużego, na wprost łazienki i toalety. W nocy duży pokój również służył jako sypialnia - spały tam osoby potrzebujące czasowego schronienia albo dopiero co przybyłe czy też nocujące po imprezie. Moja gospodyni nigdy nikomu nie pokazywała drzwi. Było to niemal centrum koordynacji dla migrantów w drodze do Anglii, miejsce spotkań ugandyjskich uchodźców i imprezownia - organizowano tu urodziny, Boże Narodzenie i wszelkie inne uroczystości, ponieważ w getcie, w przeciwieństwie do białych dzielnic, nie obowiązywał żaden limit dźwięku. Tutaj można było nastawić sobie stereo czy telewizor tak głośno, że drżały od tego ściany. Jeżeli któremuś sąsiadowi przeszkadzał hałas, mógł się tylko zrewanżować, również organizując imprezę i robiąc tyle hałasu, ile tylko się da. Policja nigdy się nie wtrącała. W nocy nie wychylała nosa ze swego kwadratowego budynekczku. Do każdego bloku przydzielono stróżów, ale oni również pozostawiali mieszkańców w spokoju. Kiedy w nocy było włamanie, trzeba było sobie samemu radzić i można było jedynie mieć nadzieję, że stróż na czas przyjdzie z pomocą. Kiedy napastowała cię banda młodocianych albo ześwirowany ćpun, trzeba było samemu sobie radzić. Kiedy prześladował cię albo napadł podejrzany typ, musiałeś sam się bronić. Skutek był taki, że większość mieszkańców zawsze miała przy sobie noże.

Dom Keemy był bardzo popularny. Drzwi się nie zamykały. Kuchnia była czynna dwadzieścia cztery godziny na dobę, a wodę w toalecie spuszczano non stop; bulgoczące odgłosy, jakie wydawała spłuczka, przypominały mi indyki wujka Ka - wayidy. Dzieci mojej gospodyni chodziły do szkoły, a kiedy wracały, odrabiały swoje prace domowe i szły się bawić na ulicy. Keema widziała je ponownie dopiero wieczorem, bo pracowała w szklarni za miastem i często późno wracała do domu. Była wtedy śmiertelnie zmęczona i rozdrażniona, a jeśli zauważyła, że dzieci rozbiły filiżankę albo popełniły jakieś inne przestępstwo,

wybuchala wyzwalajacym atakiem zlosci. Najwiecej klopotow sprawiala jej srednie dziecko, dziesieciolatnia dziewczynka. Kiedy cos sie stalo, Keema zawsze podejrzewala wlasnie ja. Jesli dziewczynka nie reagovala dosc szybko na polecenia, matka biala ja parasolką lub gołymi rękoma. Synek, najmłodsze spośród dzieci, był jej oczkiem w głowie. Był okropnie uparty i lubił złośliwie puszczać bąki, gdy przychodzili goście, ale Keema ignorowała zarówno odgłos, jak i zapach i zawsze znajdowała dla niego jakieś usprawiedliwienie. Zaczęłam darzyć pewną sympatią biednego kozła ofiarnego, a mała skwapliwie to wykorzystywała. Kiedy potrzebowała kieszonkowego, tańczyła dla mnie, kołysząc biodrami jak amerykański raper, którego widziała w telewizji. Nie byłem bynajmniej jej jedyną ofiarą. Na imprezach wirowała przed nosami męskiej części towarzystwa tak długo, aż dostała nagrodę. O dziwo, Keema nigdy nie karała jej za te dość prowokujące przedstawienia. W jakiś perwersyjny sposób zdawała się tym wręcz zafascynowana.

Przez pierwsze tygodnie często chodziłem do miasta, do muzeów, do dzielnicy czerwonych świateł i w inne interesujące miejsca, o których słyszałem lub czytałem. Ale kiedy straciły urok nowości, a ja przywykłem do nowego otoczenia, wołałem zostawać w getcie. Znowu wszedłem w swoją starą rolę niańki. Dzieci często mnie prosiły, żebym im pomógł w rachunkach, więc robiłem to. Jednak większą część czasu spędzały przed telewizorem albo bijąc się i kłócąc. Przypominały mi gówniarzy Kłódki i Serenity oraz osierocone dzieci ciotki Lwandeki.

Zetknąłem się tu z wieloma Ugandyjczykami. Niektórzy mieszkali w Szwecji, Anglii czy Ameryce, zanim przybyli do naszego raj, i wszyscy nazywali ich Szwedami, Anglikami albo Jankesami, ponieważ nieustannie opowiadali o tych krajach. Byli tu też Ugandyjczycy, którzy uciekli z kraju w czasach okrutnych rządów Amina. Były kobiety, które odeszły od mężów, i kobiety, które z konieczności uprawiały prostytutkę, ponieważ nie miały zezwolenia na pobyt i nie mogły znaleźć pracy. Byli tam również dawni oprawcy Amina i Obote, którzy swoją przeszłość odłożyli do zamrażalnika, a teraz założyli rodziny, związując się czasem z białymi kobietami. Razem z ludźmi, którzy zdobyli wykształcenie akademickie i nie mogli znaleźć pracy w swym zawodzie, mieszkali drobni przestępcy i absolwenci różnych niższych szkół. Byli ludzie z Ghany i Nigerii podający się za Ugandyjczyków, przynajmniej w chwili przyjazdu i podczas starania się o azyl. Byli także Ugandyjczycy, którzy zarejestrowali się jako Sudańczycy, chcąc wykorzystać wojnę między północnym a południowym Sudanem, ponieważ rząd holenderski udzielał azylu jedynie osobom z krajów, w których łamane były prawa człowieka. Te wszystkie różnice powodowały, że odnoszono się do siebie podejrzliwie i nie zawierano przyjaźni. Nie opowiadano zbyt wiele o sobie, dopóki nie było się pewnym,

skąd ktoś pochodził albo kim był. Miało się wrażenie, że rząd holenderski wszędzie ma szpiegów kontrolujących, co Ugandyjczycy mówią i myślą.

Początkowo słuchanie tych opowieści było fascynujące, zwłaszcza opowieści o tym, jak zdobywano pieniądze na paszport oraz o przeżyciach w Szwecji, Anglii bądź Ameryce. Ale po tygodniach słuchania tych samych historii nudzących się ludzi, przychodzących do Keemy na telewizję albo posłuchać muzyki czy poplotkować, zaczęły mi one wychodzić bokiem. Niemal wszyscy byli imigrantami ekonomicznymi, ale podawali się za ofiary reżimu i występowali o azyl polityczny, ponieważ był to jedyny sposób dostania się do tego kraju. Większość z nich przeszła poniżenia obozów dla uchodźców i miała za sobą długoletnie czekanie na oficjalny status, jednak teraz wszyscy tryskali energią i optymizmem. Wykonywali niewolniczą pracę w szklarniach, gospodarstwach, fabrykach mięsa i wszelkich innych podobnych miejscach pracy. Przychodzili do Keemy z matowym blaskiem ciężkiej pracy w oczach i przemęczeniem w skatowanych członkach. Było to ich ulubione miejsce spotkań. Stopniowo zacząłem rozumieć, dlaczego na początku przyglądali mi się podejrzliwie. Jak sobie dawałem radę, nie pracując? Czego tu szukałem? Byłem dla nich tajemnicą. Jak mogli mi zaufać?

Prywatność była przysmakiem, którego kosztowałem bardzo rzadko. Przesiąknięte nostalgią konwersacje docierały z dużego pokoju do mojego pokoiku, toteż gdy ktoś przyszedł z wizytą, odpoczywanie czy rozmyślanie stawało się niemożliwe. Byłem wówczas zmuszony przyłączać się do grupy i przeżuwać wraz z nią tępe rozmowy. Imprezy również były męczarnią. Przychodziło na nie trzydzieści lub więcej osób. Powietrze było duszne od tanich perfum i płynów po goleniu, a ściany drżały od hałasu, muzyki, tańców, kłótni i nieustannego gulgotania przeciążonej sfluczki. Keemie wszystko to bardzo odpowiadało: w ciągu tygodnia wychodziła o siódmej i wracała o siódmej, więc podczas weekendu chciała świętować, żeby się rozerwać i podtrzymać swoje kontakty, ponieważ - jak odkryłem - płacono jej za przyjmowanie nowych ludzi do domu. Już same przygotowania do imprezy trwały kilka dni, bo trzeba było kupić jedzenie i picie, trzeba było posprzątać duży pokój i inne pomieszczenia, trzeba było upiec kurczaki. Dom przypominał wtedy knajpę przed otwarciem. Tego dnia wcześniej jedzono, a potem zaczynali schodzić się ludzie, którym trzeba było zapewnić picie, przekąski oraz muzykę. Czasem dwie kobiety walczyły o jednego mężczyznę albo dwóch mężczyzn o jedną kobietę, o czym potem z lubością plotkowano.

Getto przypominało mi Ugandę podczas wojny partyzanckiej: w ciągu dnia panował autorytet i porządek, nocą rządy obejmowali przestępcy. Aby poznać ten drugi świat, zacząłem włóczyć się nocami i odwiedzać nory drobnych dealerów narkotyków i

narkomanów. O ósmej wieczorem ożywały galerie i niektóre mieszkania oraz knajpy mające stałych bywalców. Pojawiał się klient, który coś szeptał, przekazywał gotówkę i otrzymywał foliową paczuszkę. Niektórzy klienci nie wytrzymywali i odwróceniem twarzy do ściany od razu otwierali paczuszkę, a potem wdychali proszek zasmarkanymi dziurkami w nosie.

Zażywający *crack* mieli swoje własne miejsca, często było to jakieś puste mieszkanie, w którym rozpalali małe ognisko i ogrzewali nad nim łyżeczki do herbaty. Podekscytowany obserwowałem, jak po zaciągnięciu się fajeczką trzymaną drżącymi palcami pojawiał się na ich twarzy błogi wyraz, jak ta błogość przenikała do włókien całego ciała, głaskała kości, po czym znowu zniknęła. Wiotczały wtedy napięte mięśnie, usta zaczynały ziewać i ślinić się, oczy stawały się szkliste, a ciało kurczyło się jak balon, z którego ulatnia się powietrze. Ludzie przechodzący przez ten czyściec na ziemi wyglądali na straszliwie udręczonych. Przypominali ofiary jakiejś choroby wirusowej, wystawione na piekielne ataki gorączki. W końcu szli, zataczając się, na poszukiwanie następnej działki. Często były tam w użyciu składane noże. Starłem się zniknąć stamtąd, zanim ktoś podsunie mi taki pod nos.

Pod wiaduktami stali młodzi ludzie w skate'owskich ubraniach, z czapeczkami naciągniętymi na czoła, w odległości jakiegoś metra od siebie, czekając na klientów. Przypominały mi się krokodyle czatujące w zasadzce na swoje ofiary. Były to niebezpieczne miejsca, łatwo można było wplątać się w jakąś bójkę lub zostać napadniętym. Policji oczywiście nie było, zazwyczaj przyjeżdżała, kiedy najgorsze już minęło albo gdy jeden z przeciwników padał nieprzytomny bądź martwy. Kiedy ktoś zawiadamiał policję, że mu grożono, wkraczała do akcji dopiero wtedy, gdy groźbę wykonano. Ale te wszystkie niebezpieczeństwa i niepewność czyniły moje nocne włóczęgi jeszcze bardziej podniecającymi.

Nóż był tu symbolem autorytetu. Chłopcy w skate'owskich ciuchach zawsze mieli je przy sobie - były to ogromne kosy z ostrzami szerokości trzech lub czterech centymetrów. O wiele bardziej bałem się noży niż kul, nie powstrzymywało mnie to jednak przed nocnymi wędrówkami. Obserwowałem ćpunów w nieczynnych windach i pod schodami, kobiety obciążające mężczyznom fiuty i pieprzące się z nimi za pieniądze, a także mężczyzn i kobiety walczących ze sobą o narkotyki, o forszę lub o nic.

Największą osobliwością getta był ciągły ruch: ludzie codziennie się przeprowadzali. Nie było dnia, żeby ktoś nie wyjeżdżał lub nie przyjeżdżał. Spragniony intelektualnego kontaktu, siadałem na barierce przed blokiem i przyglądałem się, jak załadowywano i wyładowywano meble z samochodów dostawczych. Wydawało się, że ćpuny na rauszu, w niedzielny poranek leżące pod wiaduktami albo na galeriach w kałużach uryny i wymiocin,

odrodziły się zaopatrzone w nowe mięśnie, bo taszczyły teraz ciężkie dwuosobowe łóżka, szafy z przeszklonymi drzwiami i pękate walizki. Ale kiedy tak się im przyglądałem, noszącym meble po schodach w górę i w dół, ich mięśnie wątały na moich oczach i ponownie stawali się ospałymi zombi, złaknionymi kolejnej szprycy.

Stopniowo zacząłem otwierać się na Afrykę w diasporze. Było to trudne z powodu bariery językowej. Poza tym nie pracowałem, nie chodziłem do nocnych klubów i nie używałem środków odurzających. Rozpocząłem poszukiwania biblioteki, w której mógłbym wypożyczać książki, a może i spotykać innych ludzi, ale w okolicy takiej nie było. W końcu poprosiłem niegrzeczną i nieprzyzwoitą córkę Keemy, żeby w zamian za względy i pieniądze nauczyła mnie podstaw języka niderlandzkiego. Przygotowałem sobie podręczny arsenał codziennych niderlandzkich wyrażen i czekałem na swoją szansę. Kiedy pewnego wieczoru spotkałem na ulicy kobietę, za którą sunęły krokodyle spod wiaduktu, odezwałem się bezbłędnym niderlandzkim:

— Przepraszam za spóźnienie, skarbie. Powinienem być przyjść po ciebie na stację, tak jak obiecywałem.

Według mnie chłopcy raczej nie mieli złych zamiarów, bo gdyby tak było, dopadliby ją o wiele wcześniej. Ale usłyszałem, jak wołają do niej, by im po kolei obciągnęła pały. Nie mogła złapać tchu i była cała spocona ze strachu. Udało jej się jednak szybko zareagować i powiedzieć:

— No właśnie, gdzie się podziewałeś?

Gdy to powiedziała, krokodyle zatrzymały się, spojrzały na nas i powoli się odwróciły. Ciemności uchroniły ją przed dalszymi poniżeniami: chłopcy nie mogli mnie sobie dobrze obejrzeć, nie wiedzieli więc, czy byłem uzbrojony. To był czysty przypadek, że nasz blef się udał.

Kobieta podziękowała i zaprosiła mnie, żebym wstąpił do niej napić się czegoś. Nazywała się Eva. Żeby ją przetestować, powiedziałem: „Przepraszam, mam coś do załatwienia”. Nalegała jednak i pomyślałem, że pewnie mieszka sama albo tylko z dziećmi i nie chce wracać samotnie do domu. Nie miałem ochoty stanąć oko w oko z dwójką lub trójką rozryczanych malców, przez cały wieczór czekających na matkę. Ale do przejścia pozostało jeszcze kilkaset metrów słabo oświetlonym parkiem i widziałem, że kobieta rzuca na krzaki przestraszone spojrzenia, więc poszedłem z nią.

Okazało się, że nikt na nią nie czeka. Miała trzydzieści lat i zarówno z przodu, jak i z tyłu zaczęła się już zaokrąglać. Przypominała mi ciotkę ze strony matki, Kasawo. Choć w jej żyłach płynęła krew i biała, i czarna, była jaśniejsza niż niektórzy biali, których widziałem w

ciągu tego tygodnia. Miała płaską twarz i jedwabiste kruczoczarne włosy, które przykrywała jasną peruką. W świat rozpustników, grabieżców, krokodyli i obcych wkraczała z zimnym spojrzeniem, ale za tą tarczą krył się miły, zapraszający uśmiech. W jej mieszkaniu pachniało kwiatami. Co za wspaniała odmiana po stęchłym powietrzu w mieszkaniu Keemy!

Eva posiadała masywne meble, potężną wieżę stereo, duży zbiór płyt gramofonowych i kaset wideo, a na ścianach wisały liczne zdjęcia jej samej i jej rodziny. Rozczarował mnie brak książek, nie znalazłem żadnej poza książką telefoniczną, było za to mnóstwo pism o modzie. Jej łazienka pękała od kremów na dzień i na noc, perfum, pudrów, szamponów, wykałaczek, pilniczów do paznokci i wielu innych przedmiotów do pielęgnacji ciała, o których zastosowaniu nie miałem pojęcia. Byłem zdumiony. W Ugandzie można by z tym wszystkim otworzyć sklepik. Próbowałem wyobrazić sobie, jak godzinami karmi swą skórę i nakłada twarz, z którą stawia czoła codzienności.

Nasze pierwsze spotkania były zupełnie niewinne. Obejmowaliśmy się i prowadziliśmy banalne rozmowy, których tematem była pogoda, życie w getcie, narkotyki, młodość i muzyka. Zdziwiła się, że przyjechałem z Ugandy. Sądziła, że jestem z Ameryki albo Jamajki. Zapytałem ją, czy wie, gdzie leży Uganda, ale ona tylko się zaśmiała. Byłem ostrożny. Nie wypytywałem jej i sam starałem się nie zalewać jej informacjami. Najczęściej rozmawialiśmy o niej. Pracowała w domu opieki w białym Amsterdamie, miała syna, dwie siostry i trzech braci - wszyscy mieszkali na Karaibach. Od piętnastu lat była w Holandii i czuła się tu już jak w domu. Jej życie kręciło się wokół pracy, kilku przyjaciół i nieregularnych wizyt w jakimś klubie. Nie była zainteresowana tym, co się działo w innych częściach świata czy kraju. Byłem trochę rozczarowany, bo podejrzewałem, że niczego się od niej nie nauczę.

Próbowałem opowiedzieć jej coś o sobie: o moim wychowaniu, doświadczeniach nauczyciela, wojnach, Trójkacie Luwero, nie okazywała jednak najmniejszego zainteresowania i szybko się poddałem. Amerykańska muzyka pop, to ją podniecało, rozpalało jak pochodnię umaczaną w nafcie. Wciąż mówiła

0 Gregorym Hinesie, Lionelu Richiem, Jamesie Ingramie, Mi - chaelu Jacksonie, Prinsie i Arethcie Franklin. Moja wiedza na ten temat była ograniczona, bo wcześniej byłem zdany jedynie na artykuły w przedawnionych czasopismach, ale ona oczekiwała ode mnie tylko tego, żebym słuchał, i zasypywała mnie szczegółami z życia prywatnego piosenkarzy. Próbowałem przejść do literatury, nie było jednak najmniejszej reakcji. Z piosenkarzy przeszła na Hollywood. Jej wiedza o filmach gwiazdach hollywoodzkich była imponująca. Dokładnie wiedziała, kiedy dany film został nakręcony, przez kogo i kto w nim grał.

Wiedziała o wszystkich problemach, jakie pojawiały się podczas kręcenia, wiedziała też, które produkcje zasługiwały na miano przeboju. Jej ulubionymi filmami były romantyczne komedie, musicale i filmy przygodowe. Kiedy zaczynała o nich mówić, miałem ochotę wyjść. Gadała bez końca. Po filmach przechodziła do pokazów mody. Nie interesowały mnie ani ubrania, ani kto je robił i dla kogo, ale gdy raz zaczęła, nie można było jej powstrzymać. Miałem nadzieję, że będę miał jeszcze okazję zabłysnąć i opowiedzieć jej o różnych miejscach, zdarzeniach i książkach, jednak okazja taka nigdy się nie nadarzyła.

Po otwarciu butelki nasza rozmowa - lub raczej jej monolog - stawała się namiętna. Odkryłem, że zaczęła pić, kiedy rzuciła palenie; nie tylko nie wyszło to na dobre jej figurze, ale zaczęła również dyszeć i sapać. Tym razem zabrała się do krytykowania mężczyzn.

- *Dogs, dogs, dogs* - mówiła z ciężkim amerykańskim akcentem.
- A kim ty jesteś?
- Oni tylko łgają.
- A ty dajesz się na to nabierać i też zaczynasz łgać - powiedziałem.

To był nasz pierwszy prawdziwy dialog.

- Bronisz tylko własnej płci - odparła prawie rozzłoszczona.
- Lubię dobrą rozmowę. Monologi nadają się tylko do teatru.
- Mógłbyś przynajmniej być tak miły i pozwolić mi skończyć.

Kobiety, z którymi miałem do czynienia w Ugandzie, rzadko opowiadały mężczyznom o swoich porażkach i zwycięstwach. Wołały, żeby ich partner nie wiedział o nich wszystkiego. Evie nie sprawiało to różnicy; nawet bawiło ją to. Czula się w pewien sposób wyzwolona. Temat szybko ją wciągnął i z iskrzącymi się oczami opowiadała mi o swoim ideale: facecie ponad dwumetrowego wzrostu, sterczącym nad nią jak słup latarni. Wyglądało na to, że zawsze szukała kogoś takiego. Kupiła ogromne łóżko, a w jej szafie wisiały dwie wielkie koszule nocne i stał cały rząd eleganckich, ale bardzo dużych sandałów. Spoglądając na plakaty gwiazd popu na ścianach, wiedziałem, że nie była to czcza gadanina, i byłem szczęśliwy, że nie jestem jej idealnym mężczyzną. Jednak te wszystkie przygotowania mogły świadczyć o tym, że w grę wchodzi jakiś miłosny dramacik.

Pod wpływem alkoholu poprosiła mnie, bym dzielił z nią łóżko. Było to dla mnie sporym zaskoczeniem. Dlaczego nie zaczekała, aż pozna mnie lepiej? Czy za kulisami nie czaiły się przypadkiem dwumetrowe typy, czekające na swoją szansę? Nie zdziwiło mnie, że prawie wcale nie chciał mi stanąć. Moje myśli zajęła nagle Jo Nakabiri i nie mogłem jej przepędzić. Nie przemieniło to jednak kobiety leżącej obok mnie w boginię seksu czy choćby kogoś, kto podniecałby mnie podczas odwalania roboty - stałem się tylko jeszcze bardziej

obwisły. Oczywiście mogłem włożyć spodnie i wyjść, ale wtedy już nigdy nie mógłbym tu wrócić. A ta kobieta wciąż jeszcze mnie intrygowała. Uciekłem się do maratonowej gry wstępnej i zlizalem cały pot z jej karku, ramion, brzucha i wszystkich rozstępów ciężowych. Do sucha wyssałem jej wszystkie włosy pod pachami, wchłaniając przy tym taką porcję perfum, że aż zakręciło mi się w głowie. Dogadzałem jej w sprytny sposób językiem i po dobrej półgodzinie leżała, wijąc się, pocąc i dysząc, aja dokończyłem chałturę. Starsze kobiety w haniebny sposób wysysają energię z młodszych mężczyzn. Ich skomplikowane, pełne ociągania orgazmy są trudne do osiągnięcia, a one same protestują, gdy odwała się robotę na kolanie. Tą zmudną sesją zapłaciłem za całe jedzenie i picie, jakim mnie poczęstowała. Występując własny mizerny orgazm, wiedziałem już, że Eva będzie ostatnią starszą kobietą, z jaką się zadałem.

Nadal się z nią umawiałem, robiłem jej zakupy, sprzątałem mieszkanie, odkurzałem dywan i wynosiłem śmieci. Niezupełnie było to moim zamiarem, ale tylko w ten sposób mogłem odpocząć od zgiełku u Keemy. Nie udało mi się zainteresować Ewy moim rodzinnym krajem. Uganda była zbyt obskurna, by móc wzbudzić jej ciekawość, a Afryka była puszką Pandory pełną okrucieństwa i skandali, którą najlepiej było pozostawić zamkniętą. Kiedy próbowałem jej wyjaśnić, że kraj czy kontynent to coś więcej niż jego plagi, wytknęła mi obrzezanie dziewcząt. Na jednej z amsterdamskich stacji metra widziałem po przybyciu plakat przeciwko obrzezaniu kobiet. Eva należała do tych, którzy czuli się śmiertelnie urażeni haniebnymi czynami tej części świata, którą uważali za wylęgarnię wszelkiego zła. Najchętniej, powiedziała mi kiedyś, spaliłaby wszystkie te plakaty, wraz ze wszystkimi organizacjami, które prowadzą takie skandaliczne kampanie. Była przekonana, że sromy wszystkich afrykańskich kobiet są zaszywane i że cała Afryka, od Egiptu po RPA, jest taka sama.

— Do cholery, jesteście oprawcami kobiet - powiedziała ze swoim amerykańskim akcentem. - A ty prawdopodobnie również wolałbyś, żebym była obrzezana.

— Oczywiście - odparłem bez wahania.

To nie była kobieta, której mógłbym powiedzieć, że nawet nie wiem, jak wygląda obrzezana ani jaka jest w dotyku, i że wcale nie chciałem tego wiedzieć. Obarczyła mnie krzyżem, a ja byłem gotów nieść go z uśmiechem na ustach.

— W Afryce jest dwadzieścia dziewięć milionów dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt sześć obrzezanych kobiet. Gdybyś urodziła się tam również ty i twoja matka, i twoje siostry, byłoby dokładnie trzydzieści milionów, ha, ha, ha.

Eva się roześmiała i mieliśmy ubaw.

— Te wszystkie wojny, te wszystkie martwe niemowlęta, to całe zacofanie - narzekała dalej, ale już innym tonem.

Wyglądała jak podstarzała gwiazda z marnej opery mydlanej, która dowiaduje się, że jej mąż ma o wiele młodszą kochankę.

— Tak, to i jeszcze o wiele więcej, nadal się trzymamy.

Rzuciła mi wyniosłe spojrzenie.

— Nie macie telewizji, MTV, CNN. Nie znacie nawet Michaela Jacksona.

— Masz rację, to prawda. O istnieniu Michaela Jacksona usłyszałem dopiero w samolocie - odparłem z obłudnie żalospną miną.

Pogłaskała mnie po policzku! Myślałem, że mnie przejrzała, że widziała, że robię ją w konia, ale myliłem się. Naprawdę tak sądziła.

— Biedactwo! - powiedziała ze współczuciem.

— No właśnie - mruknąłem, z trudem powstrzymując się od wybuchnięcia śmiechem.

Jak to możliwe, że kultura pop stała się dla niej taką świętością? Odwróciła się do swej kolekcji płyt i znów zaczęła opowiadać o swoich ulubionych piosenkarzach, zarzucała mi datami wydania poszczególnych płyt, informacjami o tym, kto napisał teksty, kto grał w zespole i które piosenki stały się największymi hitami, a które nie, choć powinny się nimi stać.

Odgrywanie barbarzyńcy bawiło mnie, ale co otrzymałem w zamian? Muzykę popularną i hollywoodzkie filmy, alkohol, tampaxy i perfumy. Łup niezbyt podniecający. Myślałem sobie, że gdyby Eva była siostrą ojca Lageau, kazałbym jej zapłacić w inny sposób. Ale tej kobiecie nie musiałem przecież niczego udowadniać.

Wkrótce zaczęły się jej ataki złości. Narastały powoli, jak wiatr, który coraz bardziej się nasila, i nagle zmieniały się w wicherę wrywającą drzewa z korzeniami, zrywającą dachy i miażdżącą wszystko na swej drodze. Spodziewałem się tego, ale kiedy się zaczęło, zostałem niemal wciągnięty przez trąbę powietrzną. Było jasne, że jej furia już od jakiegoś czasu szukała ujścia. Jej dawni przyjaciele przeżyli to wszystko już wcześniej, a teraz przyszła kolej na mnie.

Codziennie po powrocie do domu zdawała mi szczegółowe sprawozdanie ze wszystkiego, co działo się u niej w pracy, omawiała ludzkie ułomności, skandale i tragedie. Ostatnie cięcia i zwolnienia personelu doprowadzały ją do szału. Wszystko zabierała ze sobą do domu: całą urynę i gówno białych ludzi, których doglądała, cały brud, jaki z nich

zmywała, i całe jedzenie, które kapało im z ust na jej fartuch, gdy próbowała ich karmić przez ich fałszywe zęby i drżące szczęki. Z dnia na dzień było z nią coraz gorzej. Kiedy wracała do domu, była na granicy załamania i musiała się jakoś wyładować.

— Nienawidzę tych sukinsynów, nienawidzę ich wszystkich. Mogłabym tych wszystkich staruchów pozabijać, razem z ich synami i córkami, i wnukami. Co oni sobie myślą? Że jesteśmy ich niewolnikami dlatego, że dla nich pracujemy? Kiedy tylko te dziewięćdziesięcioletnie suki sobie pomyślą, że chce się im szczać, to już cię wołają. Zmieniasz im ich przemoczone pieluchy, sadzasz je na nocniku, wycierasz ich pomarszczone tyłki, ponownie ubierasz, a one jeszcze mają czelność narzekać, że się je szorstko traktuje! Jestem dyplomowaną pielęgniarką, ale te białe suki myślą, że jestem dziewczyną do garów. Chodź tu, Evo, zrób to, Evo. Jedna kurwa narzeka, że na odwrót zakładasz jej szczękę, inny cham marudzi, że za mocno zawiązałaś mu sznurówki. Bokiem mi to już wychodzi. A do tego jeszcze te wszystkie głupie pielęgniarki machające pustymi biustonoszami i kręcące płaskimi zadkami. Jakby mogły na tym zarobić miliony! Och, za jakie wspaniałe się uważają! Na miłość boską, co się dzieje z tymi ludźmi? Czy sami nie widzą, jacy są beznadziejni?

Początkowo współczułem jej i próbowałem ją uspokajać, ale im więcej mówiła o wyglądzie innych kobiet, tym bardziej upewniałem się, że po prostu trawi ją zazdrość. Rozumiałem też, że nie cierpi swojej pracy, ale cóż mogłem na to poradzić? Coraz bardziej bawiłem się tymi jej przedstawieniami. Były takie teatralne i tak bardzo ją obnażały.

Mężczyźni również nie uszli batom jej języka.

— Te wstrętne białasy. Myślą, że cały świat do nich należy, nawet gdy nie mają grosza w kieszeni. Ci starcy z brudnymi dupskami patrzą na ciebie, jakby cię wynajęto do ssania ich obwisłych kutasów. Nie mają pojęcia, jacy są załośni z tymi swoimi pośladkami jak naleśniki i pomarszczonymi siusiakami. Mrugają na ciebie i mamrocą coś obrzydliwymi gumowymi ustami. Nienawidzę ich. Ja też jestem biała, bardziej biała niż wielu z nich, ale traktują mnie jak Murzynkę z dżungli. Jestem tak samo biała jak oni, ale odmawiają traktowania mnie jak równą sobie. Pochodzę z zalegalizowanego związku dwóch kochających się istot, ale wszyscy uważają, że moja matka została zgwałcona. Przez dziesięć lat była żoną holenderskiego sukinsyna w Paramaribo, dopóki nie umarł we śnie. Ale kiedy przyjechała do Holandii i przedstawiła mnie jego rodzinie, ktoś chlusnął jej w twarz garnkiem wody. Nigdy im tego nie wybaczyłam.

Byłem zdania, że nie potrzebowałaby może tego całego makijażu, gdyby po prostu zaakceptowała swoje pochodzenie, tym bardziej że zdradzał je kształt jej nosa, dość płaskiego i szerokiego, oraz mocno wypukłe pośladki. Nie odważyłem się jednak zapytać, czy

zastanawiała się nad operacją nosa i odessaniem zbędnego tłuszczu. Później dowiedziałem się przypadkiem, że wcale nie była dyplomowaną pielęgniarką; przeszła jedynie kurs opieki nad starszymi osobami. Chciała zostać piosenkarką i swym głosem podbić serca milionów. Od czasu do czasu naśladowała Arethę: wyjąłym głosem, z nabrzmiętymi żyłami na szyi i wytrzeszczonymi oczami ciągnęła nuty w sposób, który według niej był nową, sensacyjną techniką śpiewania. Czasem zaczynała kręcić się po pokoju ze sprayem w ręce, kiwając głową i trzęsąc ciałem, i wykonywała playback swoich ulubionych kawałków. Bawiłem się doskonale, a ona była cała w skowronkach. Mówiła, że śpiewała w łóżku dla mężczyzn, zwłaszcza dla Richiego, któremu nie zostałem jeszcze oficjalnie przedstawiony. Ale skończyła z tym.

Na jej miejscu nie opowiadałbym tego wszystkiego, Eva była jednak kobietą nowoczesną, nie mającą żadnych zahamowań. Poza tym wstyd był przeżytkiem, zwłaszcza w tym kraju, gdzie w telewizji codziennie można było oglądać reklamy podpasek, ze szczegółowym wyjaśnieniem, dlaczego lepiej używać tej marki, a nie innej.

— Nienawidzę tych wszystkich czarnych amerykańskich *motherfuckers* - powiedziała swoim nosowym amerykańskim.

Właściwie chciała powiedzieć, że nienawidzi tego jednego Amerykanina, który obiecywał jej złote góry, a potem puścił ją kantem. Powątpiewałem jednak, czy go naprawdę nienawidziła, bo wciąż jeszcze miała jego zdjęcia. Wiedziałem z pewnością, że ciągle jeszcze o nim fantazjowała, może nawet kochała go, i uporczywie poszukiwała jego następcy, czy to Amerykanina, czy Europejczyka. Był dobrze zbudowany, miał umięśnione ciało i nieznacznie negroidalne rysy. Miał ponad dwa metry wzrostu. Był jak dwie krople wody podobny do Lionela Richiego, a żeby tę iluzję spotęgować, Eva przykleiła plakaty piosenkarza obok zdjęć byłego kochanka. Miał czarujący uśmiech od ucha do ucha i najtłustszy lok wetlook, jaki kiedykolwiek widziałem u mężczyzny. Pewnie przy nim Eva czuła się jak królowa na tronie.

Spotkali się na jednej z wysp karaibskich. Richie utrzymywał, że jest początkującym koszykarzem z Houston Rockets. Być może było to prawdą, o ile można było się zdać na zdjęcia, na których trafiał spektakularne kosze z wyciągniętymi rękami, jakby łapał księżyc. Eva tak się w nim zakochała, że płaciła wszystkie rachunki. Wystarczyło, by Richie mrugnął okiem, a jej portmonetka się otwierała. Jak na człowieka twierdzącego, że w nadchodzącym sezonie zarobi pół miliona dolarów, nie okazywał zbyt wielkiej gotowości płacenia za cokolwiek. Nieustannie mówił jednak o willi w kolonialnym stylu, romantycznym weselu z gołębiami i bajkowej podróży poślubnej. Eva wszystko przetykała. Jako zapowiedź owego bajkowego wesela wprowadził swoją specjalność: seks oralny. Eva nauczyła się, jak mu

ciągnąć laskę, a zachęcana jego ciągłym napomykaniem, jak wspaniale będzie wyglądać w najdroższym tiulu, starała się jeszcze bardziej. Na początku zbierało jej się na wymioty i kaszlała, ale wkrótce stała się ekspertem. Potem zaczął jej dawać lekcje seksu analnego. Najpierw odmawiała, ale słodkimi słówkami ugadał ją i w końcu zaczęła to nawet lubić. Robił to z nią tak często, jak tylko mógł. Nazywał ją Larrym Birdem, Magie Johnsonem i Michaellem Jordanem seksu oralnego i sodomii. Ponieważ jeszcze nikt nigdy jej się nie oświadczył, nawet ci surinamscy czy antylscy „motherfuckers”, z którymi pieprzyła się po raz pierwszy, nie mogła oprzeć się temu wymarzonemu facetowi, którego jedynym słabym punktem była skłonność do seksu oralnego.

Mimo nieustannych lewatyw i bólu gardła od głębokich pchnięć jego obrzezanego penisa, przedstawiła go rodzinie, która oczywiście była pod wrażeniem. W końcu niecodziennie dostaje się propozycję małżeństwa od wschodzącego koszyka - rzamilionera obwieszzonego drogą biżuterią. Jedyną osobą mającą złe przeczucia był dziadek Evy, uważający, że jej narzeczony jest zbyt gładki, a ona sama działa zbyt pochopnie. Ale Eva zamknęła mu usta. Nigdy nie przepadała za tym starcem. Richie bardzo chciał poznać syna Evy. Nazywał go ich synem i mówił, że pierwszą rzeczą, jakiej go nauczy, będzie koszykówka, i że pośle go do najlepszych szkół sportowych na świecie. Chłopak mieszkał jednak u ojca. Evie to odpowiadało: nie miała zamiaru dobrowolnie się postarzać. W ciągu tego tygodnia, który para spędziła u rodziny Evy, bez przerwy świętowano, a Richie dużo opowiadał o Dallas, w którym się urodził, i o stanie Teksas w ogóle.

— W Teksasie wszystko jest bardzo duże, nawet gąsienica jest wielka jak grzechotnik - powtarzał, a Eva śmiała się, aż bolało ją od tego w boku.

Zanim mogli wyruszyć do Teksasu, Eva musiała uregulować swoje sprawy w Holandii. Zapłaciła za jego bilet na samolot. Jej oszczędności zaczęły topnieć w piorunującym tempie. Ale cóż było robić? Wkrótce miała opływać w złoto. Kiedy zobaczył getto, przeraził się, że „taka fantastyczna kobieta mieszka w tak odrażającym miejscu, między dealerami narkotyków i innymi pasożytami”, i jeszcze raz ją zapewnił, że dni jej ubóstwa minęły.

— ***Baby, baby, baby...*** Bóg nas połączył i nie wyobrazasz sobie, co nam jeszcze pisane. ***O, my baby...!***

Była jeszcze bardziej zakochana: jego ciepły baryton dotykał czegoś głęboko w jej wnętrzu i dostawała od tego gęsiej skórki. Nie przejmowała się za bardzo Bogiem, ale kiedy słyszała, z jaką miłością Richie wymawia Jego imię, była zachwycona. Obejmowała swojego ukochanego w pasie i patrzyła ludziom prosto w oczy, kiedy spacerowali po parkach getta.

Wobec mężczyzn okazywała zuchwałość, wobec kobiet wyniosłość.

Sesje sodomii i ciągnięcia druta osiągnęły apogeum. Wszystko kręciło się wokół drżącego szczytowania. Kochali się przez całą noc, a w ciągu dnia spali jak nowo narodzone dzieci. Kiedy się budziła, szła po bułki i coś do picia dla niego. Przynosiła mu śniadanie do łóżka i z lękiem czekała na jego reakcję. Gotując dla niego, bardzo się starała. Wychwalał pod niebiosa jej umiejętności, dodając, że niedługo będzie mieć kucharza i nie będzie już musiała sama robić tych wszystkich rzeczy. Gdy obserwowała go podczas jedzenia, myślała o ich życiu miłosnym; nigdy w życiu tyle się nie kochała. Była zdumiona własną wytrzymałością, ale bała się, że stanie się nienasycona. Miała teraz wielokrotne orgazmy, a jej miejsce G produkowało obfite soki, kiedy je pobudzano. Zostawiała go w łóżku, a sama wychodziła. Widziała go w myślach wyciągniętego w jej potężnym łóżku i była ogromnie dumna, że go usidliła. Robiąc zakupy, zastanawiała się, czy jej mężczyzna będzie w domu, kiedy wróci. Wyobrażała sobie, że w mieszkaniu wybuchł pożar, który przyniósł koniec jej marzeniom. Wyobrażała sobie, że do mieszkania wpadły sfiksowane ćpuny i zatłukły go na śmierć, ponieważ nie rozumiał, o co im chodzi. Wyobrażała sobie, że podczas snu mógłby zatruć go tlenek węgla. Aby uspokoić siebie samą, dzwoniła do domu i odkładała słuchawkę, gdy tylko odebrał.

Na dzień przed planowanym wyjazdem do Houston, czternaście dni po przybyciu do Holandii, Richie odszedł, zostawiając ją z pustym kontem, bez pracy i bez dachu nad głową. Najpierw pomyślała, że poszedł na spacer, żeby pożegnać się z gettem. Ale wtedy zauważyła, że zniknęły wszystkie jego rzeczy. Szukała go pod łóżkiem i za szafą. Chodziła od bloku do bloku, żeby sprawdzić, czy się nie zgubił lub nie pomylił drzwi z powodu obcych nazwisk. Było to szukanie igły w stogu siana.

— Ten sukinsyn mnie wykiwał! - wrzeszczała. - Powinnam była odgryźć mu jego śmierdzącego kutasa i wypluć do pieca.

Po atakach niepohamowanego gniewu następowało wielkie żarcie: ogromne ilości szarlotki, jaja, kotlety mielone i frytki z majonezem. Odnosiłem wrażenie, że nie jestem już mile widziany. Miałem rację. Szybko znalazła sobie zastępcę. Gdy pewnego wieczoru zadzwoniłem do jej drzwi, otworzył mi bardzo wysoki, hardy, ciemny mężczyzna, który przypominał mi żołnierzy Amina. Wyglądał niczemnie i groźnie, jak Badja Djola w roli mordercy Slima w filmie *A rage in Harlem*. Szorstkim tonem powiedział, że Ewy nie ma, ale zanim zatrzaskał przede mną drzwi, usłyszałem dochodzący z głębi mieszkania śmiech Ewy. Odszedłem ze wstrętnym zapachem mojego następcy w nosie. Jak na mój gust, za bardzo było od niego czuć marihuanę i czosnkiem.

Ponieważ nie miałem już swojego miejsca, zacząłem się włóczyć. Dom Keemy roił się od imigrantów, a ich wesołość i optymizm dusiły mnie. Wciąż gadali o pracy, o której w domu nie pomyślałbym ani przez sekundę. Byli wśród nich ludzie, którym udało się pokonać wszelkie przeszkody i pracowali teraz jako księgowi lub urzędnicy, większość jednak pracowała na czarno, a ja nie lubiłem słuchać historii, które mi opowiadali, zwłaszcza o tym, jak podle traktował ich szef.

Fascynowała mnie mała banda działająca w naszym bloku i wokół niego. Nazywali się „Dynamite 666” i od czasu do czasu dopuszczali się napadów rabunkowych i gwałtów. Byli notowani przez miejscową policję za drobne wykroczenia. Jeżeli nadarzyła się okazja, kradli radia samochodowe, które odsprzedawali dalej, żeby mieć na drogie buty sportowe, narkotyki i wstęp do dyskotek. Wszyscy mieszkali jeszcze u matek rządzących w domu za pomocą krzyku, gróźb i pasa, które zresztą w ogóle nie skutkowały. Chłopcy uważali, że mężczyźnie nigdy nie wolno krzyknąć z bólu ani uronić nawet jednej łzy, kiedy bije ich kobieta - choćby biła nie wiadomo jak mocno, i nigdy się nie zmieniać - choćby byli bici nie wiadomo jak często. Dwóm z nich zostały blizny po takim laniu, jednemu od sprzączki od paska, drugiemu od nocnej lampki, i obaj byli bardzo dumni z tych odznaczeń za bohaterstwo. Jeden z członków bandy popełnił niewybaczalny błąd i wrzasnął w obecności kolegów, kiedy matka uderzyła go pantoflem w twarz. Banda wzięła go potem na bok i dostał dwadzieścia kijów, ponieważ był potencjalnym kapusiem.

— Kiedy taka baba, taki kawał starego mięsa, może doprowadzić cię do płaczu, to jak się zachowasz, gdy naprawdę przyjdzie co do czego? - pytali.

Musiał przeprosić i obiecać, że nigdy więcej nie będzie jęczał, w przeciwnym razie nie może być członkiem Dynamite. Od czasu do czasu ojcowie czterech łotrzyków próbowali przemówić swemu potomstwu do rozsądku, ale nigdy długo nie zostawali, wychowanie swoich zahartowanych synów pozostawiając swoim zahartowanym byłym żonom.

Banda miała swoje własne stałe miejsce, kawałek parkingu niedaleko bloku, gdzie się spotykali. Planowali tam napady, palili skręty i co jakiś czas zatruwali komuś życie. Kiedy nie mieli „służby”, zostawiali ludzi w spokoju i wyglądali prawie tak samo grzecznie jak inne posłuszne dzieci. Ale gdy znowu nadchodziła pora, żeby popracować, całkowicie się zmieniali, przybierając groźne pozy ludzi decydujących o życiu i śmierci.

Ofiara najbrutalniejszego wyczynu bandy przyjechała tydzień wcześniej wielkim, nowiuteńkim volvo z wysokim, chudym kierowcą o kędzierzawych włosach. Jej droga walizka była oblepiona nalepkami Lufthansy. Powitała ją grupka Somalijek, Etiopiek i kobiet z północnej Afryki. Banda przyglądała się tej scenie z pewnej odległości. Dzięki

wielbłądziemu mleku skóra kobiety była w nienaganej kondycji. Jej gładka twarz lśniła jak wypolerowana miedź i niewiele osób mogło uwierzyć, że zbliża się do sześćdziesiątki. Dobre życie też jej nie zaszkodziło; poruszała się jeszcze lekko i z gracją. Nosila złoty naszyjnik, złoty zegarek i cztery cienkie złote bransoletki. Sądząc po sposobie, w jaki kobiety jej się kłaniały, była osobą wpływową. Została połknięta przez blok, a kiedy zobaczyłem ją następnym razem, otaczała ją ta sama grupka kobiet, oplakujących jej krwawiące ciało.

Banda dogoniła ją pomiędzy Wiewiórką a Wilczycą, kiedy wyszła na swój codzienny spacer. Zawsze wychodziła sama, bez przyjaciół czy ochrony, ponieważ chciała porozmyślać, odprężyć się, pomedytować i odnowić siłę duchową. Chłopcy wiele razy już ją śledzili, ale wciąż miała szczęście, bo z przeciwka nadchodzili ludzie. Chłopcy mówili między sobą, że to czarownica chroniona przez arabskie demony.

— Popieprzysz to stare mięso? - zapytał przywódca chłopaka, który kiedyś zaczął krzyczeć, gdy matka go biła.

Reszta bandy zachichotała.

— Jeszcze nigdy nie posuwałem Arabki. Słyszałem, że mają zyletki w cipie, tak jak my pod językiem.

Wszyscy ryknęli śmiechem.

— Facet, wymiękasz jak ciota? No już, przeleć ją - polecił przywódca łagodnie.

— Czemu miałbyś się przejmować zyletkami? Masz małego kutasika, więc nie ma czego uszkadzać - dogryzł mu inny członek bandy.

— Dlaczego zawsze muszę być tym, który robi to ze starym mięsem? Dlaczego?

— Bo jesteś psem, co skomli, jak matka go dotknie.

— ***Fuck you!***

— W porządku, uspokój się. Nie mogę cię zmuszać do jedzenia starego mięsa, skoro nie masz na to ochoty - powiedział przywódca, klepiąc chłopca w plecy. - Ale w takim razie zabierz tej starej suce pieniądze. I biżuterię. Idź, chłopak, bierz ją.

Zawarczał jak bulterier i dał swojemu podwładnemu kuksańca w plecy. Reszta stała, uśmiechając się. Kobieta zbliżała się.

— Paniusiu, może jakiś numerek? - powiedział chłopak, który mógłby być jej wnukiem, wykonując biodrami obsceniczne ruchy, żeby przyciągnąć jej uwagę.

Kobieta spojrzała na niego, jakby był kleszczem na jej ukochanym wielbłądzie. Widziała, jak pozostałych trzech chłopaków, stojących z tyłu, łapie się za krocza. Stali między grupką drzew na skraju parku. Dwadzieścia metrów dalej przebiegała autostrada i widać było samochody jadące w kierunku centrum. Trzydzieści metrów w drugą stronę

znajdowała się szkoła podstawowa, którą kobieta dopiero co minęła i która bardzo jej się podobała. Nasunęło jej to pomysł, żeby dla dzieci z jej wsi również zbudować taką szkołę. Niemal słyszała już, jak dzieci krzyczą, śmieją się i biegają po korytarzach. Nada tej szkole imię swej babki. Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała? Sama była sobie winna odpowiedź. Był późny wieczór. Długie letnie wieczory wciąż jeszcze ją fascynowały, ponieważ w jej kraju robiło się ciemno, gdy tylko słońce zaszło. Lubiła rozplywające się czerwone chmury.

— Zejdź z drogi - odezwała się do chłopca ze spokojnym autorytetem osoby przyzwyczajonej do posłuchu.

— Widziałem cię w tym wideo z Michaeliem Jacksonem, jak mu tam... *shit*, no, dawaj pieniądze.

— To było *Black or White* - powiedział jego kumpel.

— *Remember the fucking time*, człowieku.

— Właśnie, to było to. Byłaś ubrana jak egipska królowa, Eddie Murphy był królem, a Michael Jackson kochankiem.

— Nie wiem, o czym mówisz. Zejdź mi z drogi.

— Nie pieprz, paniusiu. Tydzień temu przyjechałaś tu wielkim, nowym volvo, na pewno w interesach, może narkotykowych. My też chcemy coś z tego mieć. Dawaj forszę.

— Wiecie co? - wtrącił się jeden z chłopców. - Ta kobieta jest matką tej suki z tego wideo, tej modelki, co się nazywa Armani, tej, co wyszła za Davida Bowie. Wszystko o tobie wiemy, damulko. Daj nam pieniądze, to się dzisiaj na tym skończy.

— Zawołam ochroniarzy - powiedziała kobieta bardzo spokojnie, zastanawiając się, dlaczego młodzież w Europie jest taka bezczelna, szczególnie wobec kobiet.

Jeden z chłopaków wyciągnął składany nóż. Kobieta uśmiechnęła się. Urodziła się w Noc Długich Noży i nóż wybrał ją, zanim się urodziła. Została dwukrotnie obrzezana. Po raz pierwszy przez niedoświadczoną kobietę, która niewłaściwie zaszyła jej wargi sromowe, i rana po trzech tygodniach wciąż jeszcze była otwarta. Rok później, gdy miała trzynaście lat, obrzezano ją ponownie. W noc przed weselem jedna z kobiet z rodziny rozcięła ponownie dziurkę nadającą się do różnych celów. Kiedy rodziła syna, rozcięto ją dalej, żeby główka mogła się precyzyjnie. Po porodzie zaszyto ją z powrotem. Po urodzeniu córki nie mogła już dłużej opierać się wewnętrznemu głosowi, nakazującemu jej zająć się obrzezaniem. Posługiwała się nożami, brzytwami, pangami, sztyletami, rozbitym szkłem, wszystkim, co tylko miało ostry brzeg, i czuła, jak przechodzi wtedy przez nią boska moc. Była przekonana, że gdyby musiała, potrafiłaby obrzezać małą dziewczynkę maczetą, nie wyrządzając jej

szkody. Z całą pewnością zrobiłaby to lepiej niż większość infibulatorek. Jako pierwszą obrzeżała własną córkę. Od tej pory wszyscy wiedzieli, że ma wielki talent. Była artystką. Żadna z jej klientek nie miała komplikacji. Resztki warg sromowych łączyła kolcem i po paru tygodniach rana wyglądała tak, jakby operację przeprowadził chirurg. Rany nigdy nie ropywały, nawet po zastosowaniu minimalnej dawki ziołowego remedium czy nowoczesnych leków. Kilka razy zdarzyło się, że naplula na ranę, ponieważ groziła zaropieniem, i po paru dniach po ropie nie było ani śladu. Jej sława rozeszła się lotem błyskawicy i dotarła w końcu do uszu przywódców kraju. Została wylansowana jak rakieta. Oblegali ją klienci. Zapraszano ją do najdziwniejszych miejsc. Latała do obcych krajów, żeby pomagać bogatym rodzinom, które wyemigrowały. Początkowo odmawiała przyjmowania pieniędzy, więc jej posiadłość zalały wielbłądy i kozy. Kiedy miała już dosyć zwierząt, zaczęła przyjmować pieniądze, a one gromadziły się i gromadziły. Pożyczała je i rozdawała rodzinie i przyjaciołom, lecz im więcej rozdawała, tym więcej otrzymywała.

W Kraju bez Łechtaczki i Warg Sromowych była prywatną infibulatorką rodziny dwóch przywódców rządowych oraz wielu ministrów i wysokich urzędników. Odległe wioski odwiedzała helikopterem. W domu miała jeepa z napędem na cztery koła, którym pokonywała trudne trasy górskie. Gdyby tak bardzo nie kochała swojej pracy, nigdy nie przyjechałaby do getta. Lecz ani pieniądze, ani sukces nie mogły zabić w niej nomady. Przewodziła corocznym ceremoniom w Nowym Jorku; w Londynie i innych dużych miastach Anglii rodzice oczekiwali na nią z utęsknieniem. Trasa obecnej podróży miała prowadzić przez Amsterdam, Rotterdam i jeszcze kilka innych miast, których nazw nie potrafiła wymówić. Jadąc tutaj, zatrzymała się we Frankfurcie i Hamburgu. W tym roku nie objęła Francji swoim harmonogramem, ponieważ doszło do różnicy zdań między nią a osobą pośredniczącą, a poza tym Francuzi sprzeciwiali się obrzezywaniu małych dziewczynek. Nie przeszkadzało jej to jednak: rodzice zawsze mogli przysłać do niej córki lub poczekać do następnego roku. Bez wątplenia miała dużo pieniędzy, ale nie dla łotrzyków śmierdzących tanimi perfumami, narkotykami i alkoholem.

Spojrzała na zegarek i ruszyła dalej. Zachowując się w ten sposób, popełniła najcięższy grzech: zlekceważyła bandę. Z głośnym przekleństwem, które spadło mu z języka jak kulka płwocin, jeden z chłopaków dźgnął ją nożem. W bloku zamrugały światła. Samochody pędziły pobliską autostradą. Błysnęło jeszcze więcej noży, które cięły ją i karbowwały, a ona szła dalej. Jej życiowe motto brzmiało: „Walczyć do końca”. Mimo straszliwego bólu nie osunęła się i nie okazała nawet najmniejszej słabości. Niczym rodzaj zaklęcia wymówiła na głos słowo „nóż”, żeby odwrócić myśli od bólu i skoncentrować się na

ucieczce, ale chłopcy pomyśleli, że ich prowokuje, więc kłuli ją dalej.

Nóż jeszcze nigdy jej nie zawiódł, poza sytuacją, gdy trafił do rąk niedoświadczonej infibulatrix. Zawsze był dla niej taki dobry! W końcu jednak oddała biżuterię i torebkę i chłopcy przestali zadawać ciosy. Patrzyli przez chwilę za nią, a potem wrócili do swojej kryjówki, żeby się doprowadzić do porządku i podzielić łup.

Ktoś zauważył umierającą kobietę, leżącą dziesięć metrów od bocznego wejścia do bloku, i wszczął alarm. Zgromadzili się ludzie. Nadbiegli Stróże nocni, a za nimi parę kobiet, które witały ją, gdy przybyła. Nadszedłem nieco później i na miejscu zdarzenia zastałem gęsty tłum otaczający ofiarę. Krew przepływała między stopami ludzi i odbijała się w letnim listowiu na brzegu trawnika. Powiodłem oczami za śladem rozdeptanej krwi, ale nie prowadził zbyt daleko. Chłopcy zniknęli. Bałem się. A gdyby tak złapała ich policja i pomyśleliby, że to ja na nich doniosłem? A jeśli mieli pistolet? Czy byłem bezpieczny? Wciąż miałem przed oczami młodocianych żołnierzy, którzy przepędzali oddziały Obote, oraz chłopców, którzy towarzyszyli nam w podróży na północ. Byli w tym samym wieku, a ta czwórka wyglądała na równie bezlitosną.

Chłopców nie zatrzymano nawet na rutynowe przesłuchanie, ale wtedy jeszcze tego nie wiedziałem. Od tej pory zacząłem oglądać się przez ramię, kiedy się ściemniło, i omijać zarośla i krzaki. Trzymałem się z daleka od wiaduktów i innych podejrzanych miejsc. Całymi tygodniami pozostawałem w swoim pokoju, próbując zgłębiać niderlandzki.

Nie mogłem jednak wiecznie tkwić w mieszkaniu. Dzielnica czerwonych latarni przyciągała mnie jak światło ćmy. Dołączyłem do pielgrzymujących do stolicy przemysłu seksu. Tylko sam dochód z kaset wideo i czasopism wystarczyłby na odbudowę całego Trójkąta Luwero. Były kąciki, gdzie można było oglądać filmy i sexshow na żywo, pilotowane przez eleganckich alfonsów w skórzanych butach i garniturach. Zignorowałem je i przyłączyłem się do potoku płynącego w kierunku klatek, w których kobiety zarówno wystawiały, jak i sprzedawały swój towar. Rząd klatek przywodził mi na myśl targ niewolników, na którym mężczyźni badali palcami cipki, a kobiety oceniały genitalia mężczyzn, żeby zobaczyć, czy są odpowiednio uformowane.

Kosztowało mnie to sześćdziesiąt dolarów, dwie moje miesięczne pensje w SIMC. Poczulem ukłucie żalu, gdy wręczałem pieniądze południowoamerykańskiemu motylowi nocnemu, który przyleciał z Dominikany, aby zdobyć doświadczenie w dzielnicy dziwek. Ta mała wyspa była największym dostawcą dziwek do Holandii i kilku sąsiadujących z nią krajów. Inne kobiety pochodziły z Kolumbii, Tajlandii, Europy Wschodniej, Hiszpanii. Było też kilka dziwek afrykańskich i parę holenderskich. To zderzenie światów traciło całą ironię,

kiedy kupowało się kota w worku, jak to było w moim przypadku. Jeśli ta dziwka przywodziła mi coś na pamięć, to właśnie tamtą hipnotyzującą półkę przy łóżku despotów, i znowu przyszło mi płacić, bo dałem się zwieść powierzchowności. Moja dziwka, zamknięta w klatce oświetlonej matowoczerwonym światłem, z zapraszającym „chodź tu” na miłej buzi, wyglądała wspaniale. Mogłaby być jedną z siostr wujka Kawayidy albo jednym z mieszanych dzieci pozostawionych w 1972 roku w naszym kraju przez Azjatów. Od tej mieszanej krwi i wirowania kontynentów zakręciło mi się w głowie. Miałem wrażenie, że przytrafiło mi się coś szczególnego, że zostałem rzucony w epicentrum jakiejś obcej kultury albo w historyczny czy nawet metafizyczny wir. Poszedłem za dziewczyną do jej klitki.

Całe jej życie było wciśnięte w ten pokoik. W jednym z kątów stała duża, skórzana torba podróżna z nalepkami linii lotniczych. Pod kredensem zobaczyłem posążek jakiegoś południowoamerykańskiego anioła stróża pieniędzy albo prostytutce. U stóp posążka stał talerzyk pełen dwudziestopięciocen - tówek. Stłumiłem chęć, by w zamian za sztywną laskę ofiarować coś temu aniołowi. Zamiast bidetu było tam małe, plastikowe naczynie, prawie takie samo jak tamto niebieskie, które mieliśmy w pagodzie. Kilka kroków od niego, skrzyni i torby stał stolicek z trzema fotografiami: puszczańska matka i dwoje dzieci - chłopczyk i dziewczynka. Zrobiło mi się niedobrze od tych wszystkich implikacji. Duchy dzieci mieszkających tysiące kilometrów stąd dotrzymywały towarzystwa matce, która dzień i noc sprzedawała swoje ciało, żeby móc posłać im ubrania, zapłacić za szkołę i leczenie. Co jakiś czas babcia otrzymywała list z Holandii, może z pieniędzmi w środku, a sama przesyłała wiadomości od dzieci. To kurwienie się przy zdjęciach było dla mnie wstrętniejsze niż cokolwiek innego. Miałem ochotę udusić dziwkę, a zdjęcia wrzucić do ognia. Chciałem wydostać się stąd, ale kiedy pomyślałem, że dziewczyna pewnie już wobec wielu mężczyzn zastosowała tę sztuczkę, żal mi się zrobiło mojej dwumiesięcznej pensji. Rozebrałem się ze złością. Dziwka przyglądała mi się w milczeniu. Wciąż patrzyłem na dzieci i wyobrażałem sobie, jak czekają na mamusię, która wróci z Europy z prezentami, śmierdząc tanimi perfumami, środkiem nawilżającym i starą spermą. Dziewczynka ze zdjęcia była bardzo ładna i pomyślałem, że za parę lat zauważy ją jakiś łowca talentów, sprawdzą, czy nie ma blizn po cesarskim cięciu, zaproponują jej pracę tancerki w nocnym klubie, a potem, podobnie jak matka, zostanie prostytutką. Choć miałem obsesję na punkcie dzieci, nie wytrąciło mnie to z równowagi, bo taki finał był po prostu logiczną konsekwencją życia matki.

W mojej wsi, którą wojna starła z mapy, mężczyźni nazwaliby tę dziwkę „wiadrem”. Jej pochwa zupełnie straciła elastyczność. To było czyste oszustwo. Była jak owoc chlebowca, na widok którego leciała ślinka, ale który po rozkrojeniu okazywał się papkowaty.

Jako były asystent akuszerki wiedziałem, co się stało: po urodzeniu dzieci, które tak miło uśmiechały się do mnie ze zdjęcia, kobieta nie zadbała o to, żeby ją zszyto. A ponieważ nie istniał związek zawodowy dziwkarzy, nie miałem gdzie złożyć skargi. Wstałem, wyrzuciłem prezerwatywę i ubrałem się.

Dostałem nauczkę: prostytutka była handlem, opakowanie wyglądało znacznie lepiej niż zawartość, a naciąganie było nieodłącznym elementem tej gry. Ale dziwiło mnie, że biali mężczyźni wychodzący z tych klitek mieli na twarzy wyraz zadowolenia, jakby dobrze wydali swoje pieniądze. Może umieli odróżniać „wiadra” od dobrych dziwek, a może byli zbudowani jak zebra albo zaspokajali swój popęd sodomii. Ale wtedy przypomniała mi się Diabelska Trójca. Czemu milczałem na jej temat? Całkiem możliwe, że ci biali mężczyźni również zostali naciągnięci, ale za bardzo się wstydzieli, aby to przyznać. Głęboko urażony wyszedłem stamtąd i dopiero po dwóch miesiącach wróciłem do dzielnicy czerwonych świateł. Chciałem mieć pewność. Wypróbowałem dziwkę, która zdawała się nosić słońce na głowie i której twarz miała alabastrową cerę Dziewicy Marii. Znowu było prawie tak samo jak poprzednim razem. Czy te kobiety używały za dużo środka nawilżającego? Nie. To przez te cholerne fiuty z gumy, kolczaste plastikowe kaktusy, na których siadały, ćwicząc mięśnie na tej czerwono oświetlonej pustyni. Miałem tego dosyć i zdecydowałem się pozostawić ten targ mięsny białym mężczyznom. Służył im już od lat.

Wiadomość o upadku despotów dotarła do mnie w getcie, w lodowaty, srebrny, zimowy dzień. Zima była surowa i staremu piecykowi nie udawało się ogrzać obszernego mieszkania Keemy. Opatuliliśmy się grubymi ubraniami i wyłączyliśmy go. Pomyślałem, że despotci powinni kiedyś przeżyć prawdziwą zimę. Jeśli o mnie chodzi, mogli ugrzęznąć w śniegu kilometry od najbliższej wioski.

Kłódka i Serenity byli ludźmi lat siedemdziesiątych i w latach osiemdziesiątych, kiedy wszystko wokół nich zaczęło się kotłować, zupełnie stracili głowę. Uświadomili sobie, że nie tylko Amin cierpiał na raka, a zmuszeni do spojrzenia dalej niż czubek własnego nosa, poczuli, jak ich optymizm więdnie. Idea silnego mężczyzny, troszczącego się, by wiatr nie zerwał z domu dachu, pociągała Kłódkę. Czyż i Papież tak właśnie nie czynił? Ale po odejściu Amina, sprzeczkach wewnątrz koalicji i ostatecznym nastaniu słabego, lecz krwiożerczego rządu Obote II, despotów ogarnął pesymizm i obojętność.

Właśnie wtedy Serenity po raz pierwszy sformułował swoje stanowisko polityczne. Powiedział, że Uganda jest krajem przepaści, strefą abisalną, w której nie można postawić ani kroku, nie wpadając w kolejną przepaść, i że historycy popełnili błąd: Abisynia to nie stara Etiopia, lecz nowoczesna Uganda. Wciąż na nowo rozważał to twierdzenie w poszukiwaniu

sposobu lepszego wyrażenia go, tak by mogli je wykorzystać politycy, uważał bowiem, że nadszedł czas, by „Ugandę” przechrzcić na „Abisynię”, czyli kraj przepaści.

Śmiertelnie się bał, że jego grzechy z przeszłości wyjdą na jaw - zupełnie jakby był jednym z morderców i oprawców, którzy dali drapaka wraz z Aminem i Obote. Godzinami wpatrywał się w dal, zastanawiając się, jak wymazać swoje ślady, co powiedzieć, gdy przyjdą go aresztować. Zastanawiał się też, czy nie spisać swoich przeżyć w formie opowiadania o akcji rozgrywającej się w legendarnym kraju, w Abisynii, ze zmienionymi imionami bohaterów, ale zrezygnował z tego pomysłu, gdy przyszło mu do głowy, że jakiś sprytny wészyciel mógłby do niego dotrzeć i zmusić go do złożenia zeznania o defraudacji, która miała być podstawą tego opowiadania. Bał się także, że jego opowiadanie nie dorównałoby tonowi, rytmowi i sile wyrazu książek, które stały na jego półce. Nie mógł znieść myśli, że zbłądzi się przed znającymi się na rzeczy czytelnikami.

Nieustannie rozmawiał z Nakibuką o tym, że boi się przyszłości. Było to podczas najbardziej zaciętych dni wojny rebe - lianckiej, kiedy propaganda rządowa twierdziła, że partyzanci są fanatycznymi komunistycznymi maniakami, mordującymi ludzi, zamierzającymi odebrać im ziemię i wszystko znacjonalizować. Brzmiało to znajomo, a ponieważ rozgłaszali to zręczni agenci rządowi, nie żołnierze, wszystko wydawało się bardzo wiarygodne. W latach sześćdziesiątych również Kościół przyłączył się do kampanii antykomunistycznej i nawet posunął się tak daleko, że oświadczył, iż komuniści znacjonalizowali czyjąś żonę wraz z innymi rzeczami i że należy ich zwalczać w świętej wojnie. Serenity przez jakiś czas również popierał propagandę antypartyzancką: wojna do niczego nie prowadziła, ginęli ludzie, a on sam był zdania, że najlepszym sposobem wydostania się z lotnego piasku są negocjacje. W pewnym momencie zrobiło mu się wszystko jedno: obie partie zabijały ludzi i sytuacja wyglądała naprawdę ponuro. Chciał tylko, żeby walki się skończyły. I kiedy rozeszły się pogłoski, że partyzanci przegrali, ucieszył się. Ale kiedy usłyszał, że jedynie przemieścili się do zachodniej Ugandy, że otoczyli miasta i podzielili kraj na dwoje, uświadomił sobie, że już nie rozumie, o co tu chodzi. Przestał słuchać jakichkolwiek wiadomości i pogłosek, wypisał się ze związku zawodowego i zniknął ze sceny. Poszedł za radą Ha - dziego Gimbi i kupił bydło. Zatrudnił pasterza, a zadaniem Klódki było pilnowanie tego mężczyzny i zwracanie uwagi, czy ich nie okrada, nie rozcieńcza mleka albo nie daje zwierzętom zbyt mało jedzenia czy picia.

Podczas weekendów Hadzi Gimbi i Serenity wymieniali informacje na temat swego bydła. Nie rozmawiali już o polityce. Hadzi Gimbi pożegnał się z nią, ponieważ nie ufał obecnym przywódcom gry. Przyjął postawę wyczekującą. Serenity nie przepadał za

zwierzętami, bo uciekały w nocy i zjadały zbiory sąsiadów, a on musiał potem płacić kary i przepraszać. Wiedział jednak, że była to dobra inwestycja.

Hadzi Gimbi zrezygnował z posady w banku i zamknął się w domu na wsi, w której mieszkał. Obawiał się, że zostanie skojarzony z osławioną służbą bezpieczeństwa Amina, ponieważ miał tam przyjaciół, i doszedł do wniosku, że jako muzułmanin może schować się na wsi, z dala od wrzawy i pokus miasta. Rządy partyzantów były surowe i wołał zniknąć. Mówiło się o jednostkach antykorupcyjnych. Utrzymywano, że wykrywają każdą defraudację i przekupstwo, jednak nie wspomniano przy tym, ile lat wstecz sięgało ich badanie ani co robią ze sprawcami. Niewiele wyszło z tej akcji, ale napędzono stracha ludziom z podejrzaną przeszłością, takich jak Hadzi Gimbi. Obaj mężczyźni przyglądali się powrotowi Azjatów i patrzyli w osłupieniu, jak powstaje historia, jak się ją wymazuje i przepisuje. Obaj mężczyźni byli zdziwieni tym, co się działo w mieście. Wydawało się, jakby zajęły je oddziały sprzed wyzwolenia. Bolesne było zastanawianie się nad faktem, że wszystko rozgrywa się jakby od nowa. Ale Hadzi Gimbi miał także zmartwienia natury osobistej: miał kłopoty z utrzymaniem rodziny w całości. Lusanani, wciąż jeszcze jego ulubiona żona, dwa razy od niego odchodziła. Bał się, że następnym razem już nie wróci. Nie spodobała jej się przeprowadzka z miasta na wieś i potajemnie próbowała znaleźć sobie mieszkanie w mieście.

Zniknięcie rodzinnej wsi i zmycie domów na mokradłach było dla Serenity wielkim ciosem. W dniu, w którym tam wrócił i zobaczył, że dom ojca już nie istnieje, poczuł, że odebrano mu coś ogromnie ważnego. Czuł się tak, jakby pozostała mu już tylko jedna noga. Dopóki dom ojca stał jeszcze i mógł go do woli nienawidzić, wszystko było w porządku; teraz, gdy go zabrakło, mordy, grabieże i bombardowania stały się dla niego czymś okropnym, nie do zniesienia. Coraz bardziej pogrążał się w depresji, mimo że Nakibuka robiła co w jej mocy, żeby go rozweselić. Martwił się o siebie samego i o Kłódkę: błoto, które zawsze ssalo jego stopy w trudnych chwilach, przyprawiało go o zawroty głowy i bał się teraz, że straci obie nogi albo jedną - tak jak wujek, który swoją zostawił w Birmie podczas drugiej wojny światowej. Wspomnienie mycia jego miękkiego kikuta przyprawiało go o mdłości. Ale wujek wyjechał pewnego dnia, nie mówiąc nikomu dokąd, i nigdy więcej nie wrócił. Serenity bał się, że spotka go ten sam los, bo wujek powiedział mu kiedyś, że łączy ich szczególna więź, nie wyjawiał jednak, co miał na myśli. Były to pierwsze i ostatnie słowa, jakie usłyszano od niego po powrocie z wojny. Serenity nigdy z nikim o tym nie rozmawiał, ale od zniknięcia jednonogiego wujka zaczął miewać koszmary, po jakimś czasie jednak ustąpiły. Teraz, po wielu latach, znowu się zaczęły. Widział we śnie, jak wujek walczy z białymi i zabija ich. Widział, jak próbuje ratować swoich rannych kolegów. Widział, jak go rozstrzelują, jak

leży martwy, a potem nagle wstaje i woła swoich kamratów. Widział wujka wybierającego się na wesele bez panny młodej, a potem znikającego w gęstej mgle. Widział, jak wujek uśmiecha się do niego i dziękuje mu za mycie tego, co pozostało z jego amputowanej nogi, a potem przymocowuje swoją nadzartą przez robaki nogę do kikuta i wesoło odchodzi. Człowiek ten objawiał mu się w coraz to nowych postaciach i sytuacjach i Serenity nie mógł zrozumieć, dlaczego go tak dręczy. Na - kibuka mówiła, że to dlatego, że go kochał, ale Serenity wcale nie czuł się lepiej.

Kłódka tymczasem ugiwała się pod ciężarem menopauzy, która nastąpiła zbyt wcześnie. Okropne krwawienia, które dawno temu zakłócały moje sny, gdy jawiła mi się jako Jezus na krzyżu, stały się teraz rzeczywistością. Podkopywały jej siły tak, że prawie zawsze była śmiertelnie zmęczona. Nie narzekała na krzyż, który przyszło jej dźwigać, ale z tygodnia na tydzień ten krzyż wydawał się jej coraz cięższy. Najbardziej bała się, że wykrwawi się na śmierć i jej własni synowie znajdą ją w kałuży krwi. Nie mogła znieść myśli, że mogliby widzieć ją w takim poniżeniu. Powzięła środki ostrożności, zabraniając im wchodzenia pod jakimkolwiek pozorem do sypialni, która należała teraz tylko do niej, ponieważ Serenity sypiał osobno. Wieczorem prała swoje ubranie i suszyła je w pokoju. Wciąż jeszcze była w domu wodzem naczelnym, lecz miała wrażenie, że dni jej rządów są policzone. Było to tylko niejasne przeczucie, ale nieustannie myślała o przyszłości. Cieszyła się, że udało jej się wychować wszystkie swoje dzieci i że mogła je posłać do szkoły. Wiedziała, że resztę może pozostawić Bogu.

Nie wzruszały jej zmiany polityczne w kraju: boży naród zawsze przeżyje. Była zadowolona z wyborów, których dokonała w życiu; wiedziała, że gdyby przyszło jej zaczynać od nowa, zrobiłaby wszystko dokładnie tak samo. Momenty ulgi, gdy ból znikał, dawały jej przedsmak tego, jak będzie w niebie; przeżywała je z intensywnością męczennika gotowego umrzeć za wiarę. Najbardziej lubiła wieczory: wychodziła wtedy do zwierząt, do krów w kraalu, wdychała zapach łąna i patrzyła na przeżuujące zwierzęta, długimi ogonami odganiające od siebie muchy. Sprawdzała, czy na ich brzuchach i wymionach nie ma kleszczy. Poleciała pasterzowi przynieść trochę łąna i podpalić gorącymi węgielkami, niby dla odpędzenia much, ale właściwie dla własnej przyjemności. Biały, aromatyczny dym przypominał jej kadzidło w kościele, zapach mszy świętej. Stawała wtedy na skraju kraalu nieruchomo jak posąg i czekała, aż wiatr rozwieje dym. Wciągała głęboko powietrze i czuła, jak powraca do życia i płonie jak błyskawica łącząca niebo z ziemią. W takich chwilach czuła, że jest środkiem wszechświata.

Niedługo po moim wyjeździe do Holandii postanowiła wyjechać na jakiś czas, po raz

pierwszy, odkąd wyszła za męża. Zapragnęła spokoju swojego rodzinnego domu i pocieszenia kościoła parafialnego z młodości. Jej brat Mbale przeraził się, kiedy zobaczył, jak bardzo z nią źle. W oczach miała bezdenny smutek włoskich madonn. Przypominało mu to dni po jej wygnaniu z klasztoru. Czy wróciła, żeby zamknąć się w rodzinnym domu i pościć aż do upadłego w ostatnim napadzie religijnego szaleństwa? Dom już dawno nie był zamieszkały, żelazny dach niszczał i Mbale musiał skrzyknąć paru mieszkańców wsi, żeby pomogli go naprawić, by znowu nadawał się do zamieszkania. Wysłał też jedną ze swoich córek, żeby opiekowała się ciotką, bo siostra nie zgadzała się na przeprowadzkę do niego.

Co rano Kłódka wstawiała wcześniej rano, szła cztery kilometry na piechotę do kościoła, uczestniczyła w mszy i przyjmowała komunię świętą. Chodziła drogą za domem, biegnącą przez wzgórza, na których, gdy była małą dziewczynką, w marcu i listopadzie szukała szarańczy. Pofalowane zbocza, spowite poranną mgłą, przywodziły jej na myśl Golgotę i mękę Jezusa. Uspokajała się, gdy wracała myślami do Jerozolimy i miejsc, po których spacerował Jezus i po których ona również spacerowała. Dobrze robiła jej rosa na nogach, trawa pod stopami i mokra mgła na twarzy. Nie cierpiała wtedy, choć tajemnicza dolegliwość sięgała zenitu. Ogarniał ją spokój i miała ochotę zostać tam na zawsze. Czuła wtedy przepływającą przez nią nową siłę i nie mogła pojąć, dlaczego ludzie myśleli, że jest nieszczęśliwa. Czuła przepelniającą ją radość. A gdy Mbale ostrzegł ją, żeby nie chodziła zarośniętą drogą przez wzgórza, uśmiechała się tylko wyniośle, więc poddał się. Zrezygnował też z wysłania jej opiekunki albo kogoś, kto mógłby wozić ją na rowerze.

Mbale nie był jedyną osobą, która uważała, że Kłódka się zmieniła. Ludzie we wsi przebąkiwali, że stała się bardzo tajemnicza, że źle wygląda, że sprawia wrażenie starej zakonnicy, która zwariowała. Często słyszała teraz muzykę albo głosy w głowie. Ludzie widzieli wówczas, jak spogląda w górę, jakby śledziła lot drapieżnego ptaka, i zastanawiali się, co się dzieje w jej głowie. „Zwariowała”, mówili między sobą. Kłódka nic nie mówiła na temat muzyki i głosów. Serenity już dawno zauważył, że z głową Kłódki jest coś nie tak, nie chciała mu jednak powiedzieć, o co chodzi. Również Mbalemu i innym mieszkańcom wsi nie mówiła o tym wszystkim, co przeżywała. Po jakimś czasie zostawiono ją w spokoju, bo w końcu nie obrzucała nikogo kamieniami i nie jadła motyli ani odchodów. Był to znośny rodzaj psychicznego zaburzenia.

Głośność i wysokość dźwięków muzyki powoli się nasilała i Kłódka miała wrażenie, że siedzi uwięziona w samym środku trąby powietrznej albo na zatłoczonej sali konferencyjnej, gdzie wszyscy mówią jeden przez drugiego. Gdy muzyka i głosy zamierały, odmawiała różaniec i zajmowała się domowymi pracami.

Mbale skontaktował się z Kasawo, żeby dowiedzieć się, co sądzi o siostrze. Kasawo, której dobrze wiodło się w miasteczku i która już bardzo dawno nie widziała siostry, pojechała ją odwiedzić w ich rodzinnym domu. Nie była zaskoczona wyglądem i zachowaniem Kłódki. Stwierdziła, że siostra zawsze taka była: zamknięta we własnym świecie. Dominowała w rozmowie, bo Kłódka nie była zbyt rozmowna i wydawała się jakby nieobecna. Kasawo starała się nie wspominać o ich zmarłej siostrze Lwandece ani o innych ofiarach epidemii. Mówiła wyłącznie o swoim życiu. Jej sprawy szły dobrze, miała męża, a jej oczy były zwrócone w przyszłość. Następnego ranka, tuż przed wyjazdem, zaprosiła siostrę, żeby przyjechała do niej z wizytą. Kłódka wybierała się właśnie na mszę i zupełnie nie zrozumiała, o czym mówiła siostra. Uśmiechnęła się złośliwie, patrząc za Kasawo, znikającą we mgle, w kierunku dużej drogi, przy której zatrzymywał się autobus. Bardzo chciała zmusić siostrę do pójścia z nią na mszę. Jakże chętnie przegnałaby ją po parujących wzgórzach i przez skąpane w rosie doliny i cisnęłaby jej grzeszne ciało na próg kościoła ich młodości! Jakże byłaby dumna, mogąc ją złamać i słyszeć jej głośne błagania o wybaczenie! Ale Kasawo wracała znowu do swego bezbożnego życia i prawdopodobnie spotka ją to samo, co spotkało Lwandekę: wieczne potępienie! Potępienie, potępienie, potępienie... Ogarnięta obsesją zbawienia jedynej siostry, jaką jeszcze miała, po raz pierwszy zabłądziła na wzgórzach i dotarła do kościoła, gdy msza prawie dobiegała już końca.

W dniu swej śmierci Kłódka, z przedwcześnie osiwiałymi, rozczochranymi włosami, wybrała się, aby zbadać, dlaczego orkiestra w jej głowie tak strasznie hałasuje. Nieustannie słyszała zgrzytanie, rozdzieranie, łomotanie, dudnienie i dzwonienie. W tle tej kakofonii rozbrzmiewało coś, co przypominało krzyk dochodzący z izby tortur pracującej pełną parą. Opuściła swój pokój w złym humorze. Kiedy wyszła na podwórko i spojrzała na las w oddali, jej nogi zrobiły się miękkie ze świętego strachu. Przed sobą zobaczyła ołtarz kościoła Świętego Piotra, nad którym szybowały gołębie. Było ich tyle, że całe niebo zrobiło się białe.

Na początku była plaga szarańczy, a potem, po pielgrzymce, wichura. Teraz był cud niebiańskich gołębi, które przybyły, by z dżungli i ze wsi wypędzić zło. Muzyka osiągnęła siłę orkanu zrywającego żelazne dachy i rozłupującego drzewa na dwoje. Była to ta sama wichura, co po pielgrzymce Mbalego. Nagle Kłódka usłyszała nieznośny szum szarańczy, a potem powietrze wypełnił łopot skrzydeł spadających gołębi.

Dochodziła dziesiąta rano. Słodkie, bezżębne słońeczko, dobroczynne dla cery, flirtowało ze zmysłami. Pochyleni rolnicy pracowali już, ich motyki poruszały się stałym rytmem w górę i w dół. Pracowali w *shamba*, tuż przy ścieżce. Kłódka widziała ich, lecz oni nie mogli jej ujrzeć. Co jakiś czas dochodził do niej głos niemowlęcia leżącego w pobliżu

pracujących, pod chustką, na wiązce liści bananowych, a w jej głowie pojawiał się obraz jej wszystkich potomków. Rolnicy byli bardzo zajęci, przygotowywali się do zasiania grochu, kukurydzy, manioku, pomidorów, posadzenia ziemniaków i warzyw liściastych. Dzieci pomagały rodzicom albo były w szkole.

Kłódka znajdowała się sama na ścieżce. Skręciła w boczną dróżkę, w stronę dżungli i spadających gołębi. Zanurzyła się w wysokiej trawie taro. Poruszała się z szacunkiem, jak ktoś, kto stąpa po poświęconej ziemi. Taro ustąpiło miejsca niższej trawie z kępami parasolowatych drzew. Las był zaledwie kilka metrów od niej, święty spektakl był w jej zasięgu. Czuła, że nie jest sama. Ujrzała srebrne czaple, ale nie zauważyła potężnego bawołu, który straszył czaple za każdym razem, gdy próbował strzepnąć z siebie mrówki obsiadające jego nos i łeb i łaskoczące jego mózg. Bawół był mile zaskoczony, że spotkał kogoś na swej drodze. Kilka dni wcześniej postrzelili go myśliwi, ale nie potrafili go dogonić, żeby go dobić. Niemal oszalały z powodu powstrzymywanej wściekłości i podekscytowany odkryciem pokrewnej duszy, ruszył spod niskiego drzewa, pod którym się schronił, prosto na Kłódkę.

Z łatwością wziął ją na rogi i podrzucił do góry, a ona dała nura w powietrze jak koreańscy artyści trapezowi, których przed laty widziała w śmierdzącej toshibie. Zarośla na ziemi z niesamowitą, wywołującą zawrót głowy prędkością pędziły jej na spotkanie. Spadła na potężne rogi, z nogami w powietrzu jak święty Piotr na krzyżu. Wzbijając w górę tumany kurzu, bawół galopował przez śpiewające, jęczące, wyjące krzaki, a jego śladem podążało stado czapli. Kiedy zagłębili się w las, wystające korzenie zaczęły obrabiać Kłódkę swymi pazurami. Listowie było takie zielone, powietrze pachniało odurzająco, a jej ciało było lekkie jak skrzydło młodziutkiego anioła. Znowu była w chmurach, w drodze do Rzymu i Ziemi Świętej.

Wylądowali na otwartej przestrzeni w dżungli, gdzie było ciemno, ściana olbrzymich drzew przesłaniała słońce. Bawół ponownie wyrzucił Kłódkę w powietrze, po czym upadła w ob - roszoną trawę. Bawół pognał na koniec polany, a stamtąd z ogromną prędkością z powrotem. Powietrze drżało od tętentu jego kopyt i huku jego oddechu. Niebo, drzewa, zarośla, ziemia zdawały się drżeć i trząść od tego szturmu. Przegalopowawszy tak trzydzieści sześć razy, bawół runął na szczątki swej towarzyszki i zaczął ociężale przewalać się po nich. Siedem razy szorował i pocierał swym potężnym brzuchem, aż nie było już czego wcierać w ziemię. Kiedy próbował się podnieść, ciężko upadł: z wyczerpania jego serce przestało bić i zwałił się na swoją pokrewną duszę. Listopadowe deszcze, wyczekiwane przez rolników, rozpoczęły się jeszcze tego samego dnia i splukały ślady kopyt, splukały także prawie

wszystkie zasiane i posadzone rośliny. Po deszczach przyszła szarańcza i cała okolica ruszyła łapać te latające przysmaki.

Bratanica pomagająca Klódce w pracach domowych wróciła ze szkoły i zobaczyła, że ciotka zniknęła. Natychmiast pojęła, że coś jest nie w porządku. Palenisko było zimne. Jedzenie, które zostawiła dla ciotki na ognioodpornym kamieniu, było zimne. Czy ciotka gdzieś się przewróciła? Czy zgubiła drogę przez wzgórze? A może poszła do źródła i została zmyta przez ulewę? Bardzo niepokoiła się o ciotkę. Przyzwyczyła się do jej surowych, lecz słusznych nakazów i poleceń. Jej surowość niewiele różniła się od surowości ojca, choć próbowała szukać zbliżenia. Było w niej coś smutnego i miłego. Ale miała też w sobie coś obcego i imponującego. Szczególnie imponująca była jej umiejętność oddawania się refleksji podczas długich okresów nieprzerwanego milczenia, kiedy wydawała się zupełnie odcięta od świata. Nie była to miłość od pierwszego wejrzenia, ale z czasem bratanica zaczęła uważać ciotkę za coraz sympatyczniejszą osobę. Ze łzami w oczach pobiegła do domu ojca, żeby powiadomić go o nieobecności ciotki. Miała nadzieję, że zastanie ją tam, rozmawiającą lub słuchającą ojca, a może odpoczywającą po wędrowce. Gorąco pragnęła, żeby tak było.

Mbale przyjął tę wiadomość z nieruchomą twarzą. Jedyńm śladem emocji były jego usta, które lekko się zacisnęły, i zmarszczki, które pojawiły się na jego czole. Obszedł wieś, wypyując o siostrę. Ostatnim miejscem, w którym pytał o siostrę, był kościół, ale nikt jej tam tego dnia nie widział. Wrócił do wsi przez wzgórze, po których jeszcze niosły się głosy polujących na szarańczę. Nikt nie mógł sobie przypomnieć, by ją widział, ani tego dnia, ani żadnego innego. Wielu ludzi myślało, że już jakiś czas temu wróciła do swojej wsi. Mbale zorganizował poszukiwania na większą skalę, ale nikt nie wpadł na to, żeby poszukać w dżungli. Szukali w studniach i innych miejscach z wodą i w rowach, żeby się upewnić, czy nie leży gdzieś, wzywając pomocy.

Tymczasem wiadomość dotarła do Serenity. Przyjechał w środku ulewy i wyglądał jak kurczaczek wyłowiony z kałuży oleju. Porażony niepowodzeniem przy poszukiwaniu ojca w 1979 roku, cierpiał na mamuci brak pewności siebie, a jego głowę wypełniały wspomnienia jednonogiego wujka. Przypomniął sobie wszystkie swoje sny. Czy to właśnie żona, a nie on, miała podzielić los tego człowieka? Poczul chwilową ulgę, ale zaraz pomyślał o dzieciach i postanowił wyteńczyć wszystkie siły, by odnaleźć Klódkę. Musiała znajdować się gdzieś w tej wsi. Widział ją przed sobą podczas dni przed ślubem, myślał o ich pierwszym spotkaniu, o weselu, przygotowaniach do niego i o samym tym wielkim dniu. Musi ją znaleźć. Drżał, bo zadanie to przytłaczało go. Był świadomy tego, że osobę, która przez całe życie ani razu nie zbłądziła, może odnaleźć tylko cud. Do akcji poszukiwawczej przyłączyła się Nakibuka, ale

nie wniosła niczego nowego. Najgorsze były wieczory. Wyczerpani i przemoczeni, siedzieli z posępnymi twarzami przy ognisku, lecz nie tak, jak podczas czuwania przy zmarłym, bo ciała jeszcze nie znaleziono, i również nie tak, jak przy radosnym ognisku, ponieważ w powietrzu wisiało jeszcze tyle niepewności. Dni mijały i przechodziły w tygodnie z dręczącą powolnością starej maszyny parowej. W pewnej chwili ktoś zaproponował, żeby przeszukać dżunglę. Wszyscy gwałtownie się sprzeciwili. Tam nie mogło jej być. Ale następnego dnia zaczęto przeczesywać las.

Nie mieli żadnego punktu zaczepienia. Nitki, które podczas jazdy Kłódki na bawole zaczepiły się o zarośla i kolce, zmył deszcz. Serenity drżał na widok posępnych rzędów drzew. Ciemność, wilgoć i tajemniczość lasu sprawiały, że czuł się jak ktoś, kto wychodzi na spotkanie własnej śmierci, kto za chwilę zostanie wchłonięty przez bagna gotującego się błota, najpierw jednak zmiażdżą go olbrzymie drzewa.

Nakibuka położyła rękę na jego ramieniu i powlekli się dalej. Kiedy dotarli na polanę, stanęli zdumieni widokiem larw i rojów much wylazących z cielska olbrzymiego bawołu. W jego kadłubie powstały wgłębienia, jego żebra wyglądały jak wydrążony stok góry. Myśliwi mówili, że zostawili go zranionego, nikt jednak nie skojarzył bawołu z Kłódką. Po pierwsze, Kłódka nigdy nie wchodziła do lasu. Część mężczyzn była zdania, że to był inny bawół, ponieważ tamten został przeszyty dzidą siedem kilometrów dalej. Sądzieli, że gdyby ranny bawół chciał z zemsty atakować ludzi, miał po temu dosyć okazji w miejscu, w którym go raniono. Większość mężczyzn biorących udział w poszukiwaniach chciała wrócić do wsi. Nie widzieli pożytku w posuwaniu się dalej na oślep w części lasu znanej z tego, że zakładano tam duże sidła na dzikie zwierzęta. Ale Mbale i Nakibuka nalegali, żeby pójść do końca lasu, i kazali każdemu szukać kawałków ubrania. Nie spotkało się to z aprobatą, a kiedy w końcu zdecydowano się na tę wyprawę, nie przyniosła ani rozwiązań, ani dowodów. Nie znaleziono ani jednej nitki materiału. Zmęczeni ruszyli w drogę powrotną. Na polanie myśliwi odciągali na bok olbrzymi szkielet. Larwy chodziły im po nogach i rękach, a muchy bzyczały w powietrzu. Serenity miał wrażenie, że odór wywierci mu dziurę w głowie. Rozkazał myśliwym, by przestali odsuwać bawołu. Jego żona nie mogła znajdować się pod tym plugastwem. Nie jego Kłódka. Nie jego

Dziewica. Zniechęcał ludzi pełzających po ziemi w poszukiwaniu najmniejszych śladów kopyt.

Wielu ludzi sądziło, że Kłódka została pożarta przez zbłąkanego lamparta i że jej ogryzione kości wiszą gdzieś na gałęziach drzewa. Inni twierdzili, że połknęło ją w całości stado dumnych lwów, a zgraja hien zmeła jej kości swymi silnymi szczękami. Jeszcze inni

utrzymywali, że utonęła w rzece po drugiej stronie wsi. Byli też tacy, co mówili, że wpadła w jakiś tajemniczy dół. Ktoś nawet sugerował, że popłynęła do nieba.

W domu depresja Serenity nasiliła się. Ogarnęła go obsesja wody. Przypomniał mu się Tybr w Rzymie, gdzie mieszkali kiedyś Romulus i Remus. Wciąż mówił o wodzie i różnych zbiornikach wodnych. Ze wszystkich krążących po wsi teorii najbardziej jeszcze wierzył w tę, według której Klódka została pochłonięta przez rzekę. Nakibuka, zapędzona w kąt przez obsesję kochanka, również zachęcała go do regularnego chodzenia nad Jezioro Wiktorii. Zaczęli to robić w każdy weekend i odwiedzali miejsca połowów, patrzyli na rybaków w czólnach zarzucających sieci, a potem siedzieli na brzegu, słuchając fal i wiatru. To, że Nakibuka była ciotką żony, pomagało Serenity w przywoływaniu jej obrazu. Zaczął też rozmyślać o Dziewicy Marii.

W młodości adorował Ją i prosił, by mu matkowała, a potem znalazł swą własną dziewicę, swoją Klódkę. Aby móc znieść ból, połączył teraz te dwie dziewice i zaczął coraz mocniej wierzyć, że jego własna dziewica wróci do niego przez jezioro. Była krokodylem, o którym mówiła jego zmarła ciotka. Wyłoni się z głębin jeziora i uciszy ból jego serca. Zaczęły go atakować demony religii, którym opierał się prawie przez całe swoje życie; dręczyły jego duszę, zakłócały jego sny i podstępnie przypominały mu, jak zebrał pieniądze na opłacenie pielgrzymki. Nakibuka widziała go zatopionego w myślach, wypatrującego na horyzoncie swojej dziewicy, i wiedziała, że musi go pilnować. Nie czytał już książek. Długie czekanie na Godota zakończyło się rozczarowaniem. Dziury w życiu nie mogły zostać załatane zagraniczną fikcją. Świat Serenity ograniczał się teraz do domu i pielgrzymek nad jezioro.

Hadzi Gimbi starał się go pocieszyć, ale Serenity niewiele się odzywał. Znowu powrócił do tamtych dawnych milczących dni, gdy wielka kobieta odepchnęła go i wyleczyła z obsesji na punkcie dużych kobiet. Od czasu do czasu widział powracających Azjatów, ale byli teraz dla niego zjawami, istotami z innej planety. Nie bał się już ich i nie czuł do nich nienawiści; po prostu już dla niego nie istnieli. Nakibuka była jedyną osobą, która potrafiła jeszcze do niego dotrzeć. Wprowadziła się do wymarzonego domu Klódky i troszczyła o tych paru gówniarzy, którzy nie mieszkali jeszcze w szkole z internatem. Wielokrotnie musiała przyrzekać Serenity, że będzie o nich dbać jak o własne dzieci. Tak też robiła i było jej obojętne, czy gówniarze ją polubią, czy nie. Po prostu będą się musieli do niej przyzwyczaić. Serenity chodził teraz nad jezioro co drugi dzień. Nakibuka nie zawsze mogła z nim pójść, ponieważ miała obowiązki domowe. Nie przeszkadzało mu to. Był przekonany, że żona objawi mu się tylko wtedy, gdy będzie sam, choć jednocześnie wiedział, że każda wycieczka

w pojedynkę może być jego ostatnią.

Pewnego popołudnia uświadomił sobie, że zgubił drogę. Zaczął przedzierać się przez papirusowe sitowie, w kierunku miejsca połowu po drugiej stronie jeziora. Wchodził coraz głębiej w mokradło, a ostre jak piła liście cięły go po nogach. Pijawki wyskakiwały z wody, przysysały się do niego i puszczały dopiero wtedy, gdy napiły się do syta jego krwi. W pewnym momencie zjechał po śliskim bloku skalnym w płytką wodę. Im bardziej zbliżał się do swego miejsca przeznaczenia, tym dalej zdawało się ono leżeć. Jego ubranie było przemoczone, a buty pełne wody. Błoto ssało mu stopy. Szarańcza gryzła jego żołądek i wnętrzności. Słońce zachodziło, balansując niebezpiecznie na horyzoncie; jego ognista kula wyglądała, jakby lada moment miała wpaść do jeziora i utonąć.

Uwagę Serenity przyciągnął kawałek dryfującego drewna, nie, to była dryfująca wyspa bezludna, ząbkowana, żebrowana, imponująca w swej prehistorycznej starości. Znowu był w Rzymie, u Romulusa, Remusa i wilczycy. Czy te ząbki to nie wystające sutki wilczyc, które wychowywały go w domu jego ojca? Nagle ostre brzeżki pomnożyły się, jakby mnóstwo wilczyc pływało na grzbiecie z wyzywająco sterczącymi w górę sutkami. Serenity nie mógł oderwać oczu od tego dziwaczego obrazu. Nagle oblała go potężna fala, wszystko zostało zmaćcone, a kolumny wody wzbity się w górę i opadły.

Zbliżał się do niego ogromny krokodyl. Dopiero niedawno objął ten teren w posiadanie. Grupka mniejszych samczyków próbowała go przepędzić, organizując zamach, ale udało mu się zdusić go w zarodku. Teraz bez pośpiechu przeczesywał brzegi, a gdy tylko nadarzała się okazja, wywracał czołna, żeby pokazać, że jest władcą całej tej okolicy. Jednak już od miesiąca porządnie się nie najadł. Serenity był jednym z kilkudziesięciu dużych kęsów, jakimi miał się uraczyć w tym roku. Nic dziwnego dla kogoś w wieku pięćdziesięciu ośmiu lat, długości siedmiu metrów i wagi wieluset kilogramów. Rozwarł swoje potężne szczęki, a Serenity ujrzał pomiędzy falami różowe i czerwone kalejdoskopy. Po chwili wszystko przesłoniła mu piana i kotłująca się woda. Gdy zniknął w szczękach ogromnego krokodyla, w jego głowie mignęły trzy ostatnie obrazy: rozkładający się bawół pełen dziur, z których wypelzały larwy i wylatywały roje much; jego długoletnia kochanka, ciotka jego zaginionej żony - i tajemnicza kobieta, która, gdy był dzieckiem, uleczyła go z opętania przez duże kobiety. W tej ostatniej chwili pojął nagle, gdzie leżą kości jego żony. Lecz ponieważ komunikowanie się zmarłych z żywymi za pośrednictwem snów już dawno temu przepędził z rodziny katolicyzm, zachodnie nawyki i pogardliwe zaniedbanie, wiedza Serenity nie opuściła brzucha krokodyla nawet wtedy, gdy dziesięć lat później zdechł.

Hadzi Gimbi i Nakibuka sądzili, że Serenity się utopił, więc polecili rybakom szukać

jego ciała i powiadomić policję, gdy tylko je znajdą. Grób Serenity miał się jednak stać grobem nieznanego żołnierza. Jego ciała nigdy nie odnaleziono i Hadzi Gimbi i Nakibuka aż do śmierci spierali się o to, jaki koniec go spotkał.

Wypożyczanie i kupowanie paszportów było w getcie czymś normalnym; wynikało to z faktu, że ludzie wciąż musieli przyjmować nową tożsamość, żeby przetrwać. Jako widza sport ten bardzo mnie intrygował. Niewiele różniło się to od tego, co robiliśmy z Lwendo, szantażując ludzi, którzy kradli materiały budowlane przeznaczone na odbudowę. Ale był to dobry sposób podminowania otępiełego, skorumpowanego, bezosobowego systemu. Falszerze wyglądali znacznie lepiej niż ludzie, którzy gnili w getcie, i stali dużo wyżej niż dealerzy narkotyków. Stali też o stopień wyżej od myślących wyłącznie o własnej skórze policjantów z kwadratowego budyneczku. Byli czarodziejami posiadającymi klucze do drzwi, zwykle zamkniętych dla biednych ludzi, którzy z jakiegoś powodu uciekli ze swojego kraju. Mieli własne prawa i utworzyli minirząd, który mógł sabotować zarządzenia dużego rządu, nie ponosząc za to kary. Jak wszystkie rządy, mieli się na baczności i byli w stanie użyć przemocy do obrony własnych interesów. Siedząc w metrze, patrzyłem na pozbawione wyrazu twarze pasażerów i zastanawiałem się, ilu z nich zawdzięcza swój pobyt tutaj owemu podziemnemu rządowi. Policja holenderska nie przeprowadzała wyrywkowych kontroli paszportów, jak to miało miejsce w krajach sąsiednich, lecz urządzała naloty na znane im miejsca, w których pracowano na czarno. Była to woda na młyn fałszerzy: właśnie dzięki temu wpadli na pomysł wypożyczania paszportów ludziom, których nie stać było na ich kupno.

Po zniknięciu despotów zacząłem zdawać sobie sprawę, że prędzej czy później będę musiał zdecydować, co chcę zrobić ze swoim życiem. Miałem jeszcze parę tysięcy dolarów, które mogłem przeznaczyć na oszczędną egzystencję albo gdzieś zainwestować. Wybrałem drugą możliwość, zrezygnowałem z wszelkich środków ostrożności i skontaktowałem się z człowiekiem handlującym europejskimi paszportami. Można mu było zaufać, ale był cholernie drogi. Ogólnie znano go jako Kurze Gównno, ponieważ ludziom, którzy narzekali na jego wysokie ceny, zawsze mówił, że z kurzego gówna nie można zrobić rosółu. Chodził z wypiętą piersią, bo dostarczał produkt dobrej jakości i nikt nie miał przez niego kłopotów z policją. Do integracji ze wspólnotą holenderską potrzebowałem dobrego paszportu. Myślałem nad poszukaniem pracy, żeby poćwiczyć język i zarobić trochę pieniędzy, i zastanawiałem się, co robić dalej. Kurze Gównno zaoferował mi wybór między paszportem brytyjskim, amerykańskim, hiszpańskim i portugalskim. Dzięki pieniądзом mogłem stać się człowiekiem Zachodu! Na początku trudno mi było w to uwierzyć, ale stopniowo coraz bardziej sobie

uświadamiałem, że to naprawdę ma nastąpić. Moznowład - cy, którzy podzielili pomiędzy siebie kontynent afrykański na konferencji berlińskiej w 1884 roku, uczynili to, nawet nie postawiwszy na nim stopy. Ja natomiast sam pojechałem do Europy, wszystko sam opłaciłem, a teraz zamierzałem kupić sobie obywatelstwo. Byłem świadomy, że to, co chciałem zrobić, nie było czymś szczególnie nadzwyczajnym; po prostu dołączałem do mrówek z podziemnego świata, podtrzymujących gospodarkę. Miałem jeszcze kilka pytań do człowieka, który załatwiał mi papiery: czy będę istniał w archiwach jakiegoś kraju? Oczywiście, bo używał do paszportów istniejących danych. Co mam robić, gdy policja zapyta mnie o akt urodzenia? Powiedział, że bez problemu mi taki dostarczy. Najpierw jednak musiałem wybrać, jaką chcę mieć narodowość. Wybrałem brytyjską.

Po czternastu dniach moja nowa tożsamość była gotowa. Kiedy poszedłem po nią, Kurze Gówno przeprowadził małą próbę. Wręczył mi dwa paszporty i zapytał, czy mogę powiedzieć, który został zrobiony przez niego. Nie mogłem dostrzec różnicy. Zapłaciłem mu ponad tysiąc dolarów za paszport i akt urodzenia. Adrenalina buzowała w moich żyłach, kiedy wkładałem książeczkę do kieszeni. Narodziłem się na nowo: nazywałem się teraz John Kato. To nazwisko często występowało w Ugandzie jako nazwisko tego z bliźniaków płci męskiej, który urodził się jako drugi. Gdzieś w Anglii żyła bliźniacza mrówka o tym samym nazwisku, nieświadoma istnienia swego brata bliźniaka, zmagającego się z błotem holenderskich pol - derów.

Aby sprawdzić się jako obywatel wszechpotężnego Zachodu, poszedłem na jeden z gminnych cmentarzy, żeby zapytać, czy mają dla mnie pracę. Nerwy mnie zawiodły, ale odwołałem się do swojego aktorskiego talentu. Zamaskowałem napięcie poważną, gorliwą miną. Nadszedł czas, żebym odegrał własnego doradcę. Cmentarz leżał na skraju miasta i był zacisznym miejscem z wysokimi, smukłymi drzewami, brukowanymi ścieżkami, krótko przyciętymi trawnikami i schludnymi grobami. Było tu bardzo czysto i spokojnie. Chodziłem między grobami i stawałem zdumiony różnorodnością kamieni, umieszczonych na nich tekstów, kształtów liter, małymi klombikami i atmosferą ciszy i spokoju. Były tam krany i zielone konewki do podlewania roślin i kwiatów. Znalazłem miejsce, w którym mogłem się odprężyć i zastanowić. Negocjacje odbyły się po angielsku. Przydałby im się sprzątaczkę i ogrodnik. Czy byłem zainteresowany? Pensja była bardzo niska, ale nie potrzebowałem więcej. Przeszedłem pierwszą próbę pomyślnie.

Pracowałem z fanatycznym zapalem kogoś, kto dopiero co wyszedł na wolność. Chciałem zwrócić na siebie uwagę, chciałem nawiązać znajomość, która powiodłaby mnie dalej. Czy będę potrafił wodzić ich za nos, tak jak wodziłem za nos ich krajana, ojca

Kaandersa? Obserwowałem wiele pogrzebów: były to bardzo spokojne, bardzo przyzwoite, bardzo schludne wydarzenia, bez zawodzenia przenikającego do szpiku kości, bez koszących powietrze ramion, bez wyrywania włosów czy szcęknięcia zębami. Ubrana w czerń rodzina zmarłego gromadziła się w auli, ktoś mówił kilka słów o zmarłym, było trochę muzyki, a potem wszyscy szli w milczeniu za trumną, niesioną do grobu przez pracowników zakładu pogrzebowego w czarnych garniturach. W jakiś sposób wiedziałem, że powinienem szukać wśród żałobników z rodziny zmarłego. Gdy trumnę spuszczano do grobu, ludzie spokojnie, po kolei, niektórzy coś szepcząc, ale większość w milczeniu, przechodzili do auli, gdzie otrzymywali filiżankę kawy i ciasteczko, by następnie dalej wieść swe życie. Bardzo trudno było nawiązać kontakt z żałobnikami, nawet z tymi, którzy przychodzili jedynie zadbać o kwiaty na grobach swoich bliskich. Im bardziej zbliżałem się do tego świata, tym bardziej wydawał się oddalony ode mnie.

Po przepracowaniu kilku miesięcy wiedziałem już, że najlepiej płacono za wykopywanie ludzi zmarłych dawno temu, dawno zapomnianych, których okres najmu upłynął i których szczątki miały zostać spalone albo pochowane na nowo w specjalnie wyznaczonych miejscach. Praca ogrodnika nie bardzo mi się podobała; wydawała mi się śmieszna w porównaniu z ciężką pracą Mbalego i twardym życiem jego dzieci. Odkopywanie było zajęciem dość obrzydliwym, ale coś we mnie wyzwalało. Byłem ogromnie ciekaw, jak wyglądają zmarli ludzie, którzy przeleżeli w ziemi dziesięć lat albo dłużej. Była to brudna, ciężka praca, często cięższa niż to, co robili znajomi Keemy, ale po takiej harówce spałem każdej nocy jak kamień.

Kiedy po raz pierwszy wyciągnąłem zmarłego na powierzchnię, poczułem dziwny przypływ energii, niejasne objawienie. Początkowo odnosiłem się do grobów z czcią, z czasem jednak poczułem brawurową przyjemność zaprawionego grabarza. Tak jak niektórzy ludzie dostają zawrotów głowy od wznoszenia się w górę, tak ja, im głębiej kopałem, tym bardziej czułem się związany z ziemią. Groby otwierały się jak skrzynie ze skarbami pod piracką siekierą. Spuścizna była tu zniesławiona - to było dziwne, smutne, trudne do pojęcia. Znajdujące się w nich szkielety, czaszki, strzępy ubrań, na wpół zmurszałe włosy przypominały mi Trójkąt Luwero i następstwa wojny, a także ludzi, którzy tak całkowicie byli stopieni z ziemią, że na koniec pozostawał tylko szkielet. Czasem znajdowałem pierścionki, zniszczone buty lub naszyjniki, przedmioty, które dawniej były drogocenne, a teraz reprezentowały wspomnienia, zwyczaje i mody, które minęły. Kładziono je na szczątkach właściciela i wraz z nim trafiały do pieca krematoryjnego. Spalanie tych zwłok, tych pamiątek po wcześniejszym życiu, dotykało czegoś wewnątrz, co paliło się jak magnez i wskazywało

na nieocenioną rolę pamięci w zachowywaniu przeszłości.

Nie wiedziałem nic o tych ludziach, lecz konfrontacja z ich mroczną przeszłością, na zawsze oddzieloną mgłą czasu, coś we mnie wyzwalała. Z blocka śmierzących szczątków zdawało się wyrastać coś czcigodnego, spokrewnionego z kimś, kto powstaje z martwych, żeby opowiadać stare historie, o których wszyscy sądzili, że zabrał je ze sobą do grobu. Nie pracowałem już z umarłymi: poprzez nich wskrzeszałem tych, o których sądziłem, że ich straciłem na wieki. Wróciłem do czasów, gdy pracowałem w bibliotece seminarium. Groby były moimi półkami z książkami, pełnymi pokrytych kurzem tajemnic. Zaczynały powstawać historie, kołatać się po mojej głowie, a ja zaczynałem się zastanawiać, co z nimi począć. Zapał, z jakim pracowałem, zbijał z tropu zarówno moich kolegów, jak i szefa. Być może myśleli, że jestem chory i w jakiś dziwny sposób lecę na zmarłych. Duchy zmarłych zdawały się czynić mnie niez mordowanym. Pracowałem wytrwalej niż moi twardzi koledzy poganiałem ich, aż się pocili jak długodystansowcy. Większość z nich wciąż narzekała na ciężką, brudną pracę. Nie przyłączałem się do ich narzekań; byłem zajęty czymś szczególnym. Rekonstruowałem w myślach życie, śmierć i pogrzeb naszych zmarłych. Niektórym wymyślałem chlubną przeszłość; innym żalosne lata, przy których śmierć, po wszystkich nieszczęściach, monotonii dnia codziennego i zmartwieniach, była prawdziwym wybawieniem. Jeszcze innym dawałem szare życie, które nie było ani dobre, ani złe, ani wspaniałe, ani mroczne, ani bolesne, ani radosne.

Tymczasem zaczęły się też dziać inne rzeczy, na innych frontach. Pracując, tu spotkałem pewnego dnia kobietę, która przywróciła mi światu żywych. Siła pierwszej iskry kazała mi przypuszczać, że w tym spotkaniu było coś trupiego. Padał deszcz i nie robiliśmy żadnych wykopów, odbył się tylko jeden pogrzeb. Zostałem trochę dłużej i zaofiarowałem się, że posprzątam konewki, żeby móc jeszcze trochę spokojnie poroz - myślać. Zobaczyłem ją klęczącą przy jednym z nowych grobów, samotną postać, pragnącą tego, kto leżał pod kamieniem nagrobnym, przywrócić do życia. Jej ciało drżało od szlochu. Większość białych kobiet stała jak bawół, który utknął w lotnym piasku, i oplakiwała swoich bliskich z wyrachowaną afek - tacją księdza podczas sumy. Ona jednak zachowywała się zupełnie inaczej i przez chwilę musiałem pomyśleć o Kłódce, która po wypędzeniu z klasztoru rzuciła się z paznokciami na podłogę w domu Mbalego. Kiedy się zbliżałem, mój wzrok padł na nagrobek: zmarły dożył czterdziestu czterech lat - była to obecnie średnia długość życia w Abisynii Serenity. Jej facet, pomyślałem nieswojo. Scenariusz typu: starszy mężczyzna - młodsza kobieta. Po chwili ogarnął mnie nagle strach, że moje znalezisko ma około pięćdziesiątki i scenariusz wyglądał dokładnie na odwrót. Jej ciemne, skrywające twarz włosy

rozwiewały się w pachnącym wietrze. Byłem teraz bardzo blisko niej. Stałem w odległości metra i czekałem, aż się odwróci. Nie zrobiła tego. Zakasłem, lekko się ukloniłem i zapytałem, czy przynieść jej wodę do kwiatów. Wciąż jeszcze nie widziałem jej twarzy. W końcu poirytowanym ruchem odwróciła głowę. Była ładnie opalona i to nadawało jej twarzy głębię i wyrazistość, ostro odcinając ją od gęstwiny włosów, sukienki i otoczenia. Wyglądało na to, że jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku. Zauważyłem, że głośno przełknąłem ślinę. Jak ktoś taki jak ona mógł nie być zamężny albo zaręczony? Miała cztery pierścionki na palcach, na palcach, które nigdy nie zetknęły się z szorstkością łopaty czy nawet przyjazną gładkością mózdzierza. Jak mógłbym dotrzeć do tej rozpieszczonej kobiety? Jediną cenną pamiątką, jaka pozostała mi po kopaniu grobów, była złota obrączka, ale gdy teraz patrzyłem na pierścionki klęczącej przy grobie nieznajomej, miałem ochotę wyrzucić moje trofeum do kosza. Dla tych ludzi wszystko wydawało się zabawą. Cztery pierścionki ot tak sobie!

Kiedy zaczęła mówić, byłem prawie przekonany, że to duch Kłódki, który powrócił, żeby dokuczyć mi po raz ostatni. Zmieszanie malujące się w tym momencie na mojej twarzy sprawiło, że prawie uwierzyła, iż oplakuję zmarłego razem z nią. Oczywiście, mogę przynieść jej wodę do kwiatków. Ton, jakim to powiedziała, nie był zarozumiały czy wyniosły, mógł być zinterpretowany jako niezdecydowanie uprzejmy lub obojętny. Miałem już do czynienia z ludźmi, którzy się tylko uśmiechają, ponieważ śmiertelnie się ciebie boją. Ale ona panowała nad sobą. Jej makijaż rozmazał się i spływał strużkami krętymi jak leśne ścieżki, jednak to, co znajdowało się pod nim, było bardzo pociągające. Moja mieszanina łamanego niderlandzkiego i dobrego angielskiego zadziałała. Jej usta się odprężyły, a zmartwienie odpłynęło z giętkością węża zrzucającego skórę: miała słuchacza. Pomyślałem, że prawdopodobnie jest to zwyczajne, przynoszące ulgę wyznanie przed obcym, zebrałem jednak parę informacji: była osobą, od której mężczyźni zawsze odchodzą. Jej ojciec i dwóch braci zmarło na raka. Znajdowaliśmy się przy grobie ostatniej ofiary nowotworu: jednego z braci. Przeniknął mnie dreszcz do szpiku kości, lecz nie odstraszyło mnie to. Jeśli nawet po jej ciele błąkała się choroba, jak zaraza, która spustoszyła ciało ciotki Lwandeki, co mnie to mogło obchodzić, skoro choroba nie była zaraźliwa? To przez śmierć tu trafiłem, więc równie dobrze mogła mnie też ze sobą zabrać. Staralem się wczuć w to, co ona musiała czuć: ci wszyscy zmarli, cały ten strach. Wiatry śmierci połączyły nas z przerażającą intensywnością. Wkrótce zaczęliśmy ze sobą chodzić. Zostałem wyrwany z getta i hałasu mieszkania Keemy i trafiłem do obszernego mieszkania na przedmieściach. Z przodu był widok na fragment miasta: kilka dachów, wierzchołków wież kominów. W mglistej dali czułem przywołujące mnie getto, wzywające do Małej Ugandy. Ale gdzieś bardzo głęboko w mym wnętrzu

wiedziałem, że skoro zaszedłem tak daleko, już do niego nie wrócę. Zresztą i tak nigdy nie czułem się tam jak w domu.

Stałem się teraz własnością Magdelein de Meer: byłem pierwszą osobą, która naprawdę dawała jej poczucie, że do niej należy. Przez jej życie przewinęło się kilku białych mężczyzn, ale wszyscy rozmyli się jak duchy. Sądzę, że odstraszył ich rak w jej rodzinie, zwłaszcza tych, którzy chcieli mieć dzieci. Ja byłem fantazją, snem, który można było zachować i który mógł spełniać jej oczekiwania. Początkowo cieszyłem się swoją nową rolą i poszerzałem swój horyzont pod nowym niebem. Najpierw uważałem ją za zwycięstwo, potem za zemstę: zemstę na despotach, na Lageau i na całym świecie. Ale wkrótce zacząłem zdawać sobie sprawę, że nie chodziło o zemstę ani zwycięstwo, lecz że jest to po prostu kolejny rozdział w moim życiu, kolejna bariera psychologiczna, którą pokonałem.

Mägdelein pełniła podrzędną funkcję w pobliskim banku, ale wydawała pieniądze jak ktoś, kto ma nieograniczony kredyt. Wbijała mnie we wspaniałe ubrania, w których czułem się nieswojo, i chwaliła się mną. Nigdy nie nosiłem sztywnych garniturów ani twardych, skórzanych butów, a teraz musiałem je wkładać, gdy szliśmy na przyjęcie. Nawet tam, gdzie ludzie ubierali się swobodnie i niezobowiązująco, Mägdelein zamieniała mnie w tropikalną akwariową rybkę. Przyglądano mi się ciekawie, a miało być na odwrót. Często czułem się jak trup podczas własnej mszy żałobnej. Ale Mägdelein miała dobre zamiary i była idealistką. Robiła dla mnie to, czego nie zrobiłaby dla żadnego białego mężczyzny, jak sądzę. Nie musiałem wydawać swoich brudnych pieniędzy, jedynie na prezenty dla niej lekcje języka. Gotowała i sprzątała dom, przy czym to drugie wychodziło jej znacznie lepiej niż to pierwsze. Myślę, że współzawodniczyła z czarnymi kobietami, niewidzialnymi duchami, które mogłyby obrabować ją z jej snu, zdobywając moją miłość poprzez mój żołądek. Przebiegle usunąłem Evę z mojej opowieści. Patrząc, jak Mägdelein sprząta i gotuje, pomyślałem, że Eva kazałaby mi to wszystko robić samemu. Gdy siedziałem w wannie, śmiałem się do łez. Mägdelein miała zamiar matkować mi i rozpieszczać mnie, aż poczuję się zmuszony z nią zostać. Mentalność bankiera: inwestycja długoterminowa. W skrytości ducha śmiałem się z moich dwóch białych kolegów z pracy, których żony nic nie robiły w domu.

Było jeszcze więcej rzeczy, które mnie bawiły. Zanim wprowadziłem się do Mägdelein, musieliśmy zameldować się w miejscowym biurze policji. Pokazałem mój brytyjski paszport i akt urodzenia. Wszystko przebiegło sprawnie. Powiedziałem Mägdelein, że urodziłem się w Anglii, a potem rodzice wyemigrowali do Ugandy, która była wtedy jeszcze ogrodem rozkoszy. Przelknęła tę opowiastkę, a ja czułem, jak pierś puchnie mi z dumy, że tak dobrze sobie poradziłem. Opowiedziałem jej, że Serenity pełnił wysoką funkcję

w zakładzie energetycznym, a Kłódka była nauczycielką (doprowadzaną do szału przez Łodygę, któremu stawał fiut, gdy obrywał od niej różgą). Ale pewnego dnia Serenity został zabrany przez ludzi Amina, zamknięty i wyrzucony z pracy. Ostatecznie trafił do niewielkiego zakładu produkującego narzędzia, gdzie pracował aż do śmierci. Mag - delein była wszystkiego ciekawa, a ja starałem się, by moja bajeczka była nieskomplikowana, nie chciałem wpaść w wykopany przez siebie samego dół. Liczyłem się z tym, że może pewnego pięknego dnia Mägdelein zechce odwiedzić mój kraj, ale ponieważ było to jeszcze bardzo odległe, nie przejmowałem się tym zbytnio. Nie zacząłem okłamywać jej celowo; po prostu wymknęło mi się to nieco z rąk, kiedy już zacząłem opowiadać. Jej ciekawość nawiercała w mojej głowie źródła wyobraźni nowe kłamstwa same zaczynały płynąć.

Zasugerowała, że powinienem przestać pracować. Prawdopodobnie okoliczności, w jakich się spotkaliśmy, były dla niej przykre. Być może obawiała się również, że jakaś inna oplakująca swojego zmarłego kobieta może mnie jej odebrać. W istocie jednak to myśl, że w ciągu dnia wlamywałem się do zapuszczonych grobów, a w nocy do jej skrzyni tajemnic, mąciła jej obraz własnej osoby. Stanowczo za bardzo przybliżyło to śmierć.

Jeśli chodzi o mnie samego, miałem wrażenie, że Mägdelein coraz mocniej zaciska sznur wokół mojej szyi, żebym stał się całkowicie od niej zależny. Lubilem swoją pracę, przede wszystkim dlatego, że wykonywałem ją z własnej woli. Nie było dwóch takich samych grobów, każdy zawierał swoje własne tajemnice. Ogień z pieca krematoryjnego przypominał mi moje gorzelniane czasy i pożary szalejące w Abisynii Serenity. W ogniu było coś spirytualnego, wyzwalał duchy mojej przeszłości. Dobrze się czułem w mojej pracy i nie widziałem żadnego sensownego powodu, dla którego miałbym z niej zrezygnować. Była też druga strona medalu. A jeżeli Mägdelein kiedyś mnie wyrzuci? Nie miałem zamiaru dać się tak zaskoczyć, bym musiał wracać do getta. Sprzeciwiałem się wszelkim próbom pozbawienia mnie mojej niezależności. Najbardziej mnie irytowało, gdy zaczynała otym mówić podczas naszej sesji miłosnej. Jeszcze nigdy nie pozwoliłem, by seks zaważył na podejmowanych przeze mnie decyzjach lub przytępił moje władze umysłowe; teraz również nie zamierzałem na to pozwolić. Czulość jako formę przekupstwa uważałem zawsze za szczególnie odpychającą, ponieważ przywodziła mi na myśl Kłódkę, próbującą wydobyć zeznania za pomocą służalczych psalmów.

Moje ego również zaczęło pokazywać pazurki. W murze, jaki zbudowaliśmy wokół siebie, pojawiły się pęknięcia. Zacząłem się sprzeciwiać noszeniu garniturów. Na przyjęciach zacząłem odmawiać występowania w obronie afrykańskiego kontynentu, Ugandy albo całej czarnej rasy. Odmawiałem pełnienia roli ambasadora, tłumaczącego okrucieństwa Amina czy

Obote albo reżimu innego tyрана, jakbym ponosił za to winę. Oczekiwano ode mnie, że z uśmiechem na ustach będę składać relacje o okresach suszy i czasach głodu, o oszukańczych praktykach Międzynarodowego Funduszu Monetarnego i Banku Światowego oraz innych łajdaków. Czy to w końcu nie biali zapraszali mnie na te wszystkie przyjęcia? Kiedy szedłem z Mägdelein ulicą, działały mi na nerwy ukradkowe spojrzenia niektórych starszych kobiet, które dawały do zrozumienia, że doskonale wiedzą, jak się sprawy mają. Złościły mnie chłodne spojrzenia białych mężczyzn, zwłaszcza starszych, których przeszłość była zakurzona i nudna, lecz czysta jak lza.

Najgorsze były miesiące letnie: wtedy cały ten biały świat przy tłaczał mnie najbardziej. Często byłem jedynym Murzynem w hotelu, na plaży, w parku. W najmniej spodziewanych miejscach zacząłem wyczuwać obecność Diabelskiej Trójcy, z karabinami zręcznie ukrytymi pod ubraniem. W recepcjach hoteli, w restauracjach, na plaży zacząłem wyczuwać obecność Lageau, wygłaszającego swe małpie kazania cienkimi małpimi wargami. Jad przeszłości mieszał się z terażniejszością i zatruwał mi ją. Brzydziłem się seksualną stroną rasizmu: wiele kobiet, widząc nas razem, reagowało tak, jakbym pożądał ich wszystkich naraz niemal nie mógł się doczekać, by zedrzeć z nich ubranie publicznie je zgwałcić. Przepelniało mnie to goryczą, bo większość tych kobiet była nieatrakcyjna, były zbyt chude, zbyt blade, zbyt grube, zbyt płaskie albo za stare. Może istnieli mężczyźni, których te kobiety podniecały, ale ja do nich nie należałem. Rozmyślałem przede wszystkim o książkach i o tym, jak trudno przelać na papier istotę przeszłości. Nagle wyobraziłem sobie, że jestem Lwendo, uzbrojonym w karabin maszynowy i glejt, i pojąłem, że trumna naszego związku nadal jest szeroko otwarta. W żadnym wypadku nie miałem zamiaru poświęcać swojego zdrowia psychicznego dla białej kobiety ani dla nikogo innego.

Biały świat zakłócał też nasze wieczory. Na początku nasza miłość była płomienną namiętnością. Dusiliśmy i spalaliśmy demony przeszłości z młodzieńczą bezwzględnością. Czasem myślałem, że być może będziemy żyć długo i szczęśliwie pod kłosem, pod którym miłość była drzewem nigdy nie prześladowanym przez wichury. Ale w rzeczywistości miłość była słabą roślinką, którą paliło słońce i splukiwał deszcz. Nasz seksualny grafik wykazywał spadek. Leżałem w łóżku, myśląc pornograficznych zdjęciach Łodygi, i robiło mi się niedobrze z obrzydzenia. Wkrótce uświadomiłem sobie, że razem z Mägdelein nie tworzymy frontu przeciwko światu.

W przeszłości czasem traciłem grunt pod nogami, walcząc z silniejszym wrogiem, i to nauczyło mnie, że muszę być dyskretny, sprytny i nieuchwytny. Świadomość, że wróg może uderzyć z zupełnie nieoczekiwanej strony, za pomocą spojrzenia lub negatywnego gestu,

zniechęcała mnie. Ale większość moich wrogów była cieleśnie i duchowo o wiele słabsza ode mnie. Walka z nimi nie należała do przyjemności, a nie mogłem zwabić ich w pułapkę. Człowiek, który powalił potężnego Lageau, czuł się bezsilny. Doskonale się czułem, gdy wychodziłem sam, ale gdy byliśmy razem - to było piekło. Najgorsze było dla mnie to, że u boku Mägdelein tak bardzo rzucałem się w oczy. Nie mogłem odkrywać świata w sposób pokojowy wciąż na nowo o nim marzyć. Podobnie jak Serenity wiedziałem, że zostałem pokonany, i podobnie jak wujek Kawayida nie zamierzałem się sprzeczać.

Jak opętany rzuciłem się na lekcje niderlandzkiego. Z takim samym zapalem zabrałem się za następujący po nich kurs szkoleniowy. Byłem jednym z niewielu Murzynów, którzy dostali dobrą pracę. Brakowało mi moich odkrywczych ekshumacji, jednak musiałem zająć w życiu dalej. Dostałem pracę w dużym tygodniku. Nie byłem dziennikarzem, ale znajdowałem się w miejscu, w którym ze słów kuto broń. Powoli ostrzyłem swoje.

Była cała masa rzeczy, o których nie mówiłem Mägdelein, na przykład o przykrościach, jakie spotykały mnie w mieście. Przychodziłem do domu i zachowywałem się spokojnie, zadowolony, że mogę toczyć swoją własną walkę. Później odkryłem, że prowadziła dziennik, w którym pisała prawie wyłącznie o mnie. Pewnego dnia zajrzałem do niego i zachciało mi się wrzucić go do pieca. Żyłem z dnia na dzień i moje wczorajsze czynności nie miały nic wspólnego z tym, co robiłem następnego dnia. Życie było odkrywczą wyprawą, a charakter człowieka zmienną, kołyszącą się z lewej na prawo, w poszukiwaniu idealnego sposobu spędzenia dnia. Dla Mägdelein charakter był czymś niezmiennym, a życie bilansem księgowym, który należy bacznie śledzić. Uświadomiłem sobie, że związek wybrednego bankiera z wolnym duchem jest podróżą pełną niebezpieczeństw. Pod tym względem wołałem Evę z jej egomaniakal - nymi skłonnościami. Czując zimne dreszcze na plecach, czytałem: „Jay - tak mnie nazywała - się zmienił... Jay humorzas - ty... Jay jeszcze nami zainteresowany...? Jay pił herbatę z mlekiem... Jay rozmawiał przez dziesięć minut z kimś z getta. Niczego nie zrozumiałam, bo to było w jego języku, po lugan - dyjsku. Jay już od dłuższego czasu mnie nie dotknął... Czy pociąga go jakiś stary płomień z getta...? Kupiłam Jayowi krawat za sto pięćdziesiąt guldenów. Nie docenia tego. Powiedział, że to wyrzucanie pieniędzy...”.

Pokłóciliśmy się. Ona oskarżała mnie o to, że nie poświęcam jej dostatecznie dużo uwagi. Ja oskarżałem ją o to, że jak szpieg nie spuszcza mnie z oka. Powiedziała, że nie życzy sobie, by pouczali ją bigoci, i nalegała, żebyśmy częściej wychodzili, trzymali się za ręce, całowali publicznie, żeby w ten sposób wymierzyć im policzek. Nie zgodziłem się. Nie odpowiadała mi intymność tablicy reklamowej i nigdy nie będzie mi odpowiadać.

Zakwestionowała moje motywacje. Powiedziałem, że mam dość przymusu. Odparła, że wygramy. Powiedziałem, że pyrrusowe zwycięstwo mnie nie bawi. Wybiegła z domu i wróciła z paczką papierosów. Zapaliła jednego i zakrztusiła się. Powiedziałem, że nie lubię dymu z papierosów i że nie wyjdzie to na dobre ani jej zdrowiu, ani oddechowi. Odparła, że jest wolna i może robić co chce. Przyznałem jej rację. Stało się. Łzy nie mogły pokonać przepaści między nami. Byłem zdecydowany odejść, by znowu móc być sobą. Ona była zdecydowana mnie zmienić i pozostać sobą. Nie wróżyło to niczego dobrego.

Odszedłem pewnego pięknego, wiosennego poranka. Mägdelein wyglądała jak mały piesek, który wpadł do miski z papką. A ja jak buntownik wyrzucony ze statku.

Wróciłem na Dworzec Centralny, usiadłem na ulicy z torbami przy stopach i obserwowałem tłum. Słońce świeciło, gołębie fruwały w kółko, trzech chłopaków grało jakieś kawałki rockowe na swoich sfatygowanych instrumentach. Lewą stopą wybijałem rytm. Rozebrani do połowy chłopcy przyglądali się wszystkiemu razem ze mną. Podróżni przepływali obok nieprzerwaną wstęgą, tramwaje dudniły. Ludzie wszelkiego autoramentu i ras masowo napływali do miasta, jak mrówki do mrowiska. Kiedy tak na nich patrzyłem, zaczęło mi się kręcić w głowie. Wszystko wywróciło się do góry nogami, zmarli wydawali się powstawać z grobów, żyjący nurkować do nowych grobów. Wszędzie był ruch i zamieszanie: najeżdźców najeżdżano, dzielących rozdzielano, atakujących atakowano. Pomieszanie narodów było ogłupiające. Miejsca przeznaczenia i wyjazdu spowite były mgłą. Kurczowo złapałem się falującego krawężnika, żeby nie zwymiotować albo żeby ktoś na mnie nie zwymiotował. Znalazłem kamień, na którym mogła spocząć moja głowa, zaczarowany szczyt wzgórza z gładów ze wszystkich zakątków świata. Znowu byłem w swoim żywiole: przypatrując się, układając plany, czekając na właściwy moment. Po głowie chodziła mi Abisynia, a także mój nowy punkt oparcia na tym stromym szczycie wzgórza. Dla Abisyńczyków wetknięcie stopy między drzwi zawsze było trudne, ale gdy raz dostali się do środka, nie można było się ich pozbyć. Ja się dostałem.

Od Autora

Każda książka opiera się na wielu innych i moja nie stanowi tu wyjątku. *Uganda Now* autorstwa Holgera Berneta i Michaela Twaddle'a (Londyn, 1988) oraz *Lust to KUL The Rise and Fali of Idi Amin* Josepha Kamaua i Andrew Cohena (Londyn, 1979) pomogły mi przypomnieć sobie i uporządkować chaotyczne wydarzenia, które przeżyłem ja i wielu moich znajomych podczas burzliwych lat przed upadkiem Amina i po nim. Rezultatem tego są książki piąta i szósta. Do fragmentów o Azjatach w mojej opowieści czerpałem z pozycji Mahmooda Mamdaniego *From Citizen to Refugee* (Londyn, 1973).

Lista słów afrykańskich boubou - obszerny ubiór mężczyzn w Afryce Zachodniej
busuti - ubiór kobiet w centralnej Ugandzie kandooya - sposób torturowania, w którym ręce i
łokcie się razem mocno na plecach Katondo mange! - Mój Boże!

Kibanda Boys - podziemie w Kampali; mafia mamba - jadowity wąż matooke -
gotowany banan mpanama - wodniak jądra mtuba - rodzaj afrykańskiego drzewa muko -
szwagier muteego - AIDS nagana - tropikalna choroba bydła panga - duża maczeta posho -
chleb z mąki kukurydzianej shamba - plantacja

Osiibye otya, nnyabo? - Jak się pani miewa? Bulungi ssebo - Dziękuję panu, świetnie